

MELCHIOR WANKOWICZ

WRZESIEŃ ŻAGWIĄCY

OD AUTORA

Ta książka w głównym trzonie była napisana w 1939 roku w myśli, aby zanim odnowiło się wojsko, dać relację o naszych walkach. Sami wówczas wylewaliśmy dziecko z brudną wodą, a świat relacje o wrześniu czerpał od naszych wrogów (którzy wspólnym wysiłkiem ustalili ten termin o osiemnastodniowej kampanii) i zastanawiał się, dlaczego mała Finlandia broni się tak długo.

Dlatego książka była pisana z wysiłkiem największego pośpiechu, bez źródeł, z jedyną ambicją, aby wykazać polską wolę walki. Nie jest więc relacją o wojnie, stara się być jedynie relacją o polskiej duszy we wrześniu.

Świat był wówczas spragniony tematów wojennych i dlatego prywatny wydawca nie tylko złożył książkę po polsku, ale i całkowicie przetłumaczył ją na francuski i w połowie na angielski. Książka miała dokumentować w 1939 tę samą prawdę, co i w 1831, kiedy Mickiewicz pisał o gajowym, który mieszkał pod lasem i stanął w obronie spokojnych osiedli, kiedy na nie z tego lasu szedł zbój;

"Gajowy miał w ręku strzelbę, ale tylko nabita śrutem na ptaszki, przecież rzucił się na rozbójnika i ranił go, sam zaś był mocniej zraniony, aż rozbójnik obalił gajowego i podeptał i myślał, że go zabił. Ci, których obronił, mówili: daliśmy tobie wódki i chleba i opatrzyliśmy rany i damy jeszcze talar bity,

Wiedzieli, iż ciężko raniony był, ale czuli, iż złe zrobili, a chcieli sami w siebie wmówić, że nic złego nie zrobili. I gadali głośno, aby sumienie swoje zagłuszyć".

Książka miała na celu zrobić co można, aby utrudnić to zagłuszanie sumienia.

Jednak wydawca był zależny od ówczesnego rządu polskiego i przysłał mi list:

"Książki drukować nie mogę. Mój wkład pieniężny był dosyć duży - tymczasem nie pozwolono mi nic z nią zrobić - bo szkodliwa. Nie drukuję więc pana na rozkaz z góry. Jest to pierwszy duży manuskrypt, którego mi nie pozwolono drukować".

Luźne kartki wędrowały ze mną po trzech częściach świata. Kiedy w 1943 roku zaistniała możliwość wydania, kilku rozdziałów brakło, a dzieje kompanii saperskiej odtworzyłem bez pierwszych czterech dni jej działania. Książka ukazała się w małym nakładzie pt. Wrześniowym szlakiem, podpisana pseudonimem Jerzy Łużyc. Poza tym opowiadanie 2 generałem Sosnkowskim ukazało się w przekładach książkowych na angielski i szwedzki (w trzy lata po wrześniu, kiedy go przesłoniło w oczach świata tyle innych zdarzeń!...).

W Polsce pod okupacją niemiecką wydano wiosną 1940 roku 2 generałem Sosnkowskim oraz Te pierwsze boje.

Obecnie, kiedy wielu ludzi dołączyło z oflagów, lagrów i z Polski, kiedy otworzyła się możliwość dania tej książki rodakom w Anglii, zaszła potrzeba jej ponownego wydania.

Dodaję też Westerplatte, dzieje lotnictwa w armii generała Kutrzeby i dzieje oddziału majora Hubala, ostatniego oddziału z września, ale już będącego dziejami żołnierza bez państwa w większej jeszcze mierze, niż Armia Krajowa.

Umieszczam to opowiadanie jako ostatnie z myślą, że książkę tę wkładam w ręce obywatela i żołnierza, którego państwo jest pod okupa-

cją.

DYWERSJA NIEMIECKA

W POLSCE

Łotrostw, które uprawiają poza granicami państwa nie poczytują za hańbę, przeciwnie, chwalą się, że czynią to dla ćwiczenia i zahartowania młodzieży.

Gaius Julius Caesar o Germanach

W dziejach dywersji niemieckiej na ziemiach polskich widać, tak jak i na każdym innym odcinku działalności nazistowskiej, że Hitler bynajmniej nie wynalazł nowych, obcych duchowi niemieckiemu elementów, że on tylko te cechy niemieckie potrafił zogniskować. Jest za nie odpowiedzialny naród niemiecki.

Dywersja niemiecka na ziemiach polskich, tak dawna jak sąsiedztwo tych dwu narodów, nie ustawała właściwie po wielkiej wojnie ani na jedną chwilę. Zmieniała się forma, znikły zagony Orgeschu, dywersje różnych powojennych puców, ale fala skrytej dywersji nie przestała podmywać państwa polskiego, gruntującego się coraz silniej.

y

dr

Państwo to jeszcze przed nastaniem ery hitlerowskiej dokonuje pierwszej likwidacji dywersji niemieckiej: zostaje rozwiązana Deutsche Arbeitspartei, której sztab, wypracowujący metody insurekcji niemieckiej, mieścił się w Tarnowskich Górach.

Dobroduszni Polacy wymierzają wówczas bardzo niskie kary.

Wówczas zawiązuje się nielegalna Jngendbnnd. Działa przede wszystkim na Śląsku i udaje jej się objąć cały aktywniejszy element niemiecki. Dzieli się kolejno na Kreisleitungi, Ortsgruppy i Kameradschafty. Co niedziela Kameradschafty odbywają dalekie marsze w miejsca odludne, w których przerabiane są ćwiczenia złączone z dywersją.

A działają w kraju, w którym przez sześćsetletnią niewolę element polski i element niemiecki tak poprzerastał wzajemnie, że trudno to nieraz było rozróżnić. Przywódcą głównym Yolks-Bundu zostaje... Hans Głodny, urodzony z matki Niemki, syn działacza polskiego z Nadrenii. Jego pierwszym zastępcą jest Piątek z Katowic, zaś drugim... Stachula z Nikiszowca.

I tych likwidujemy w 1932-1933 roku, w roku objęcia władzy przez Hitlera.

Od tej chwili to, co zawsze było istotą pracy niemieckiej wobec sąsiadów, otrzymuje wyraźne sformułowanie.

Jak pisze Rauschning, Hitler w 1934 roku zwołał przywódców niemieczny z całego świata i w ich zaufanym gronie powiedział:

"Musicie stworzyć grupę szturmową. Nie powinniście walczyć ani o swobody parlamentarne ani żadne inne, bo to tylko opóźnia nasz atak. Żądam ślepego posłuchu. Musicie być placówkami przednimi - podsłuchu i maskowania. Prawo wojenne już teraz ma wami rządzić. Macie wszędzie dzielić się na dwa stronnictwa - jedno z nich będzie podkreślać lojalność, rozszerzać wpływy towarzyskie i gospodarcze. Drugie, powstańcze, będzie często przez mój rząd dezawuowane".

Na czele tej roboty Hitler postawił Hessa, tajemniczego w czasie wojny wysłannika do Anglii, którego Rauschning uważa "za jednego z najgorszych bandytów kliki".

Akcja niemiecka się zaostrza. W Polsce bezrobocie trwa już dawno. Śląsk mu się opierał najdłużej, aż wreszcie uległ i wpadł w skurcze nędzy, okrutniejsze niż w reszcie kraju. 2 kopalń Śląska pozostało przy Polsce sześćdziesiąt sześć kopalń, przy Niemczech trzydzieści. Był to

ogromny rezerwuar węgla, zbyt wielki na razie na potrzeby startującego do życia państwa. Toteż nadmiar ludności, tak zagęszczonej na Śląsku jak nigdzie w Europie z wyjątkiem Belgii, począł odpływać do Francji, gdzie się wytworzył popyt na skutek ubytku sił roboczych w wojnie i perspektyw na olbrzymie odszkodowania niemieckie, wynoszące sześć miliardów funtów.

Kiedy strajk węglowy w Anglii stworzył dla nas koniunkturę i Śląsk począł pracować pełną parą, opuszczone przez Ślązaków miejsca pozajmowali przybysze z różnych kątów Polski. Kiedy upadły widoki na wypłacalność Niemiec, a na dobitkę rozpoczął się kryzys światowy - wyrzuceni z Francji Ślązacy gromadnie powracali, zastając swe miejsca zajęte. Poza tym Śląsk musiał przystosować się do kryzysu i kurczył produkcję. Robotnik śląski widział się w położeniu bez wyjścia. "Chyba kraść albo szmuglować" - mówili mi zrozpaczeni ludzie. To wówczas rozpoczęła się epoka bieda-szybów - nielegalnej eksploatacji węgla. Nędzota robotnicza ryła grunt z płytkich odkrywek; gdy korytarze szły głębiej, będąc nie podstemplowane, przygniatały ludzi, właściciele kopalń protestowali. Władze patrzyły przez palce, bo przecie zasiłki dla bezrobotnych - od 3 zł 50 gr do 12 zł na dwa tygodnie - nie mogły wyżywić rodzin.

Ciężko i ciasno było w rodzinie śląskiej. Czy pamiętacie ten kraj? Osada tam styka się z osadą, wieś z wsią, kopalnia z kopalnią. Tu jedne domy się kończą, a tam już poczynają się inne. Ulica śląska zawsze żyje ożywionym życiem, a zwłaszcza wieczorem - cały Śląsk to jeden klub pod otwartym niebem.

Tę ulicę śląską przede wszystkim wykorzystuje Niemiec dla swojej propagandy. Niemiec jest wrośnięty przez sześćset lat w ten kraj, wiadome są mu drogi i dróżki i dusze ludzkie. Sączy w te dusze niezadowolenie, wskazuje, że to napływ przybyszów z Polski odbiera Ślązakom chleb, werbuje do swoich szeregów rdzennych Ślązaków, którym obiecuje po odebraniu Śląska posady i stanowiska.

Na odmianę teraz powołują Niemcy National-Sozialistische Arbeiterbewegung pod wodzą, znowuż, niejakiego Zająca, któremu pomagają: Kari Pielosch z Murcek i Michac z Wełnowca.

Organizacja Zająca, nielegalna, ma już zupełnie dywersyjny charakter. Szeroko prowadzi akcję szpiegowską, denuncjuje do Rzeszy Niemców nie dosyć prawomyślnych, przeprawia ludzi przez granicę, żeruje na istotnej biedzie polskiego górnika.

To wówczas Polska zagroziła wkroczeniem do Gdańska i posunęła ku niemu oddziały. Zostaje aresztowanych dwieście osób. Wyroki ostre - od czterech do piętnastu lat.

OKRES "PRZYJAŹNI"

POLSKO-NIEMIECKIEJ

Wiemy, co wówczas zaszło. Hitler się przyłąścił.

"Musimy się wpięrc wzmoćnić, a potem to się robi" - mówi do Rauschninga o stosunkach z Polska. A przed samym podpisaniem paktu o nieagresji, mówi do tegoż Rauschninga: "Zagwarantuję wszelkie granice, pozawieram wszelkie pakty, jakie kto będzie chciał. Byłoby to dziecinadą z mej strony nie posłużyć się tymi środkami dlatego, że je kiedyś będę musiał znienacka złamać".

Nastąpił polsko-niemiecki pakt o nieagresji. Niemcy tracą wprawdzie wielki wysiłek winwestowany w propagandę światową ich praw do Pomorza, ale to Hitlerowi nie jest potrzebne. On nie będzie "korytarza" zdobywał przekonywaniem.

Za to uzyskuje większe możliwości poruszania się w polskim tere-

nie.

Powstaje legalna Jungdeutsche Partei, utworzona przez inżyniera Wiesnera w Bielsku. Robota Wiesnera ogarnia nie tylko wszystkie ziemie byłego zaboru pruskiego aż po Gdańsk, ale tworzy węzły organizacyjne w Łodzi, na Wołyniu i po licznych skupiskach Niemców w Królestwie.

Robiąc szereg robót legalnych, równocześnie, w myśl wskazań Hessa, przygotowuje dywersję wojskową. Z Niemiec stale dojeżdżają inni struKtorzy, młodzi ludzie z Polski wysyłani są na kursa do Niemiec. Akcja masowego werbowania trwa dalej. Niemcy hitlerowskie idą pełną parą do wojny, nie dbają o pokrycie złotem, nie dbają o racjonalną gospodarkę - wszystko to ma zapłacić niedaleki już łup wojenny. Hitler nie tylko likwiduje sześć milionów bezrobocia, ale potrzebuje wciąż nowych rąk do pracy. Toteż nic dziwnego, że kopalnie i fabryki po tamtej stronie chętnie zatrudniają przybyszów z Polski, ale to uderza, jak ich organizują. Na kopalni Delbruck pojawia się ogłoszenie w polskim i niemieckim języku, że pierwszeństwo w pracy otrzymują... byli powstańcy polscy i ich synowie. Cóż się stało, że Niemcy poczynają wynagradzać za udział w powstaniu? Przypominają się słowa Hitlera,

11

kiedy powiedział, że za najlepszy materiał dla partii nazistowskiej uważa byłych członków partii komunistycznej, bo mają temperament. A już z resztą ich przekonań sobie poradzi.

Do spokojnej więc pracy fabrycznej poszukiwano, jak się okazuje, ludzi z temperamentem, a już z resztą radzono sobie na sposób hitlerowski. Robotnik przede wszystkim musiał się zgodzić na potrącenie składki organizacyjnej oraz na abonament niemieckiego pisma. Kiedy już się nałożył - przed podwyżką zarobku następuje warunek, aby dzieci zapisał do niemieckiej szkoły. A wreszcie przychodzi ostateczne żądanie - spędzenia płatnego urlopu robotniczego na "koloniach wypoczynkowych" i na koniec - na kursie w Leobschiitz na granicy czeskiej. W Leobschiitz już się mówi wyraźnie. Jednorazowy kurs przeszkala trzy tysiące ludzi. Mówi się oto tym ludziom, wciągniętym już w krwiobieg niemieckiej pracy, poawansowanym, że ich przyszłość jest związana z losami Niemiec, że oni muszą uderzyć pierwsi, że oni muszą rozpocząć powstanie, które wesprze potężna Rzesza. Kursiści uczą się obchodzenia z bronią automatyczną i z ręcznymi granatami oraz z zasadami partyzantki. Wieczorami wysłuchują kursów ideologicznych. Stara polska nazwa Leobschiitz - Głubczyce. Śląskie Gustliki jeszcze raz w dziejach tam są zagłupiane przez Niemców.

Pięknie sobie plony z tej roboty obiecuje Hitler i w Polsce, i na Zachodzie:

!

"Jeśli rozpocznę wojnę - zwierzał się Rauschningowi - być może, że wprowadzę w czasie niezmałconego pokoju wojska do Paryża. Te wojska będą w mundurach francuskich. Przewidziałem najdrobniejsze szczegóły. Te wojska zajmą sztab generalny, ministerstwa, parlament. W ciągu kilku chwil Francja, Austria, Polska, Czechy zostaną pozbawione organów rządzących. Ludzi powolnych zaś, którzy zechcą stworzyć nowy rząd, znajdziemy wszędzie: sami się zgłoszą. Znajdziemy na to dosyć ochotników, dostateczną liczbę ludzi milczących i ofiarnych. Przeprowadzimy ich na tamte strony granic w czasie pokoju i wszyscy będą sobie wyobrażać, że są to nieszkodliwi turyści. Teraz trudno wam w to uwierzyć, a przecież zrobię dosłownie jak to mówię: wprowadzę ich pluton po plutonie".

Tak mówił Hitler jeszcze przed objęciem władzy. Widzieliśmy, że udało mu się tak zrobić z Austrią, z Czechami, z Gdańskiem, z Danią, z Rumunią, z Jugosławią i z Grecją. Ale się potknął o Polskę. I profesor Bartel, i profesor Estreicher przełożyli śmierć nad stanowisko Quislinga.

12

TUŻ PRZED WOJNĄ

Już na kilka tygodni przed wojną zatrzymano na granicy śląskiej obok miejscowości Karol-Emanuel¹ przekradających się kilkunastu dywersantów zza kordonowego Freikorpsu, złożonego z polskich Obywateli. Nieśli oni wielkie plecaki naładowane rewolwerami i amunicją. Padł wówczas pierwszy trup - poległ dywersant Nowak z Chorzowa. Jak donosiły po inwazji pisma niemieckie, odbyła się wielka uroczystość ekshumacji jego zwłok i przeniesienia do Chorzowa.

Ale taki wypadek był zgoła wyjątkowy. Przepisy o małym ruchu granicznym umożliwiały omal bezkarną kontrabandę. Na granicy stał jeden strażnik na trzy-cztery kilometry. Śląsk zostaje zalany bronią niemiecką.

W kilka dni po zejściu pod Karolem-Emanuelem policjant prowadził dywersanta, u którego znaleziono skład broni. Minęła go grupa mężczyzn z grzecznym pozdrowieniem. Następnie jeden z tej grupy, niejaki Kaleta, odwrócił się i strzelił policjantowi w tył głowy. To był znowuż pierwszy trup z naszej strony.

Kiedy aresztowano Kaletę, Niemcy podnoszą niebywały gwałt. Pisma niemieckie roją się od opisów, jak to zezwierzęceni Polacy wyrzucili Kaletową z małymi dziećmi z pierwszego piętra na bruk. Zaalarmowani korespondenci amerykańscy, którzy przyjechali na Śląsk, mają możliwość oglądania idyllicznego obrazka: Kaletową w ogródku otoczoną dziećmi. Władze polskie nie dają się zastraszyć krzykami i biorą się ostro do likwidacji. Zostaje aresztowany przywódca inżynier Wiesner, senator w poprzednim sejmie z mianowania Prezydenta. Wiadomo było, że przewoził osobiście broń. Powołany przez Prezydenta do ostatniego senatu Wambeck przychwycony został jak przewoził ze swoją córką broń automatyczną. A przecież, kiedy powoływano Wambecka na miejsce Wiesnera, Niemcy podnosili gwałt, że "lojalna" Jungdeutsche Partei zostaje pozbawiona przedstawicielstwa, lansowano w społeczeństwo polskie wiadomości, że Niemcy bojkotują Wambecka jako sprzedawczyka. Jak widzimy - komedia rozwijała się według napisanego w Berchtesgaden scenariusza.

'rRed.:] Ruda Śląska.

13

Poza tymi nazwiskami okazowymi stał w Bydgoszczy podporucznik rezerwy wojsk polskich Goersdorf - Geschaeftsleiter Deutsche Vereinigung in Polen - kierownik wywiadu i dywersji na Polskę, organizator "powstania" niemieckiego w Bydgoszczy.

Zdaje się jednak, że Niemcy poprzestać musieli na własnej, co prawda, sprężystej organizacji, ale w zdrowe społeczeństwo polskie wnikać nie mogli, jak to miało miejsce w innych krajach, które podminowali. Przynajmniej w Polsce, po ich wejściu, nie okazały się po ich stronie nazwiska żadnych Polaków, będących w niemieckiej służbie.

Zresztą nasz wywiad nie spał. Szpiedzy - technik fortyfikacji na Śląsku oraz naczelny geometra zarządu dóbr księcia Pszczyńskiego - zostali rozstrzelani w Toruniu.

W ostatnich tygodniach przed wojną już ta robota niemiecka musi wychodzić z ukrycia, musi rozlewać się masowo. Bojówkarze niemieccy prowokują bójki po knajpach, które następnie są rozgłaszane przez prasę niemiecką jako terror polski. Równocześnie na teren Polski po-

czyna napływać broń w coraz większych ilościach.

Do właściciela knajpy w Czerwionce zwrócili się jacyś po polsku mówiący ludzie wynajmując skład na towary. Knajpiarza tknęła wysoka suma, którą mu za to zaofiarowano, więc kiedy złożono pierwszą partię towaru, postanowił zajrzeć do skrzyń. Okazało się, że podejrzenia jego były niesłuszne. Skrzynie zawierały znane w Polsce konserwy - "Pudliszki" i dużą ilość aparatów radiowych. Obawiając się jednak, że aparaty pochodzą ze szmuglu, restaurator dał znać do policji. Po zbadaniu okazało się, że pod postacią konserw sprokurowano materiały wybuchowe; wystarczyło wygnieść krążek w denku i wstawić lont. Pamiętamy liczne wybuchy w szkołach i lokalach niemieckich w ostatnim miesiącu przed wojną, które były roztrąbione przez Niemców na cały świat. To właśnie po to były potrzebne owe "Pudliszki".

Aparaty radiowe były idealnie proste, bezantenowe, o uproszczonej skali. Potrzebną falę łąpało się jednym pokręceniem. Najwyraźniej były przeznaczone dla rozsiania w terenie, aby stworzyć szybki i bezpośredni kontakt. Ale na razie nie wiadomo było nic bliżej.

Teraz odkrycia tego rodzaju mnożyły się. W jednej ze wsi zgłosił się do policji kowal z tym, że obstalowano u niego dwanaście jakichś dwuczynnych klamer, których użytku zamawiający nie umiał jasno wytłumaczyć. Wezwani fachowcy rozeznali, że mają to być klamry dla wykołowania pociągów. Klamry te były zaopatrzone w tak zwaną piętę, która powodowała wybuch, skoro ją nadusiło koło lokomotywy. Kiedy wywiadowcy dyskretnie udali się za dającymi obstalunek, wykryto skład broni automatycznej.

Teraz więc sygnęły się rewizje. Wykrywano nowe zapasy "Pudlisz-

14
szek" i broni, wykryto pięć waliz typu jak ta, która rozwalila dworzec w Tarnowie. Na Pomorzu aresztowano trzystu, na Śląsku pięciuset dywersantów.

Popłoch padł na Niemców. Chowali broń pod węglem, po stodołach. Na tydzień przed wojną wykryto osiemdziesiąt rewolwerów automatycznych pod stopniami ołtarza kościoła ewangelickiego w Siemianowicach. Umieścił je tam kościelny za wiedzą pastora.

Sojusznicy z naciskiem interweniują, aby nie drażnić Niemców. Ma miejsce dramatyczna rozmowa telefoniczna Becka z Grażyńskim. Na tysiąc pięciuset aresztowanych pozwalają zatrzymać tylko pięćdziesięciu. Akta są jeszcze nie rozpatrzone, trzeba więc puścić pierwszych lepszych. Można sobie wyobrazić, co się działo w duszach organów odpowiedzialnych za bezpieczeństwo Śląska! Obaj zdrajcy - Wambeck i Wiesner - są wypuszczeni mimo oczywistych dowodów winy.

Ale robota niemiecka jest rozbita. Poza Tarnowem - nie eksplodowała ani jedna waliza. Nie eksplodowały ani jedno "Pudliszki". Nie założono ani jednej klamry wybuchowej na tory. Jeden jedyny zamach na tunel na stacji Tunel w Kieleckim - zlikwidowano.

Po polach i zagajach, po ustronnych zaciszach za hałdami, znajduje teraz policja pełno wyrzuconej broni. To wystraszona niemczyzna czyści swe domy.

Dywersja wewnątrz była zduszona. Plany opanowania Polski od wewnątrz zawiodły. Stąd może taka zawziętość i żal do Polski o rozstrzelanych dywersantów, których zresztą zaczęto rozstrzeliwać jedynie po wybuchu wojny, kiedy ich ujmowano z bronią w ręku.

Ale z zewnątrz już przed wojną przybywają coraz nowe grupy.

Grupa dywersantów przybyła do Katowic i wysadziła szkoły niemieckie przy ulicy Młyńskiej i ulicy Stawowej. Gazety niemieckie rozdarły szaty.

Teraz, kiedy się spogląda wstecz w te dni, uderza posunięta do ostatecznych granic obłuda. Z jednej strony pcha się do Polski zabójców, dynamitardów, prowokatorów, z drugiej - nie ustają krzyki konsulów generalnych niemieckich: Moeldeckiego z Katowic, Waltera z Poznania, Grata z Torunia, Seelosa ze Lwowa, Damerau'a z Cieszyna. Ci, których autami z chorągiewką konsulacką wożono broń, jak stwierdzono z autem konsula Moeldeckiego, konsula Damerau'a, zgrywają się na dobrych pasterzy, osłaniających bezbronnymi ramionami swoje owieczki, na które dybie stado polskich wilków.

Przecież ich szef, ambasador Mokkę, ma czelność przyjść w połowie lipca do ambasadora Szembeka i nazwać wojewodę Grażyńskiego grabarzem przyjaźni polsko-niemieckiej.

Hitler - przeczytawszy w dniu 26 sierpnia 1939 roku list prezyden-

/

15

ta Francji, który mu wręczył M. Coulondre, ambasador francuski w Berlinie, oddawszy hołd aux nobles pensees occidentales (cytuję z raportu Coulondre'a wysłanego o 0.15 dnia 27 sierpnia i otrzymanego o 4.30 nad ranem tejże nocy) - prosił ambasadora, aby Francja zrozumiała, że "żaden kraj, mający poczucie honoru, nie mógłby tolerować polskich prowokacji. Francja, będąc na miejscu Niemiec, już dawno by wypowiedziała wojnę".

W gruncie rzeczy wojna postanowiona została ostatecznie od dnia 23 sierpnia, to znaczy od chwili podpisania paktu sowiecko-niemieckiego. Hitler chciał wojny przez cały czas, ale zdecydował się na nią dopiero wówczas, kiedy zapewnił sobie pomoc Stalina.

W ostatnie dni przed wojną, Kiedy w Warszawie do końca się łudziło, że wojny nie będzie, na pograniczu nie mógł się łudzić nikt. W dzień - demonstracje tłumów, gromadzących się po niemieckiej stronie granicy, w nocy strzelaniny, puszczenie kul świetlnych, wojna...

Na kilka dni przed pierwszym września radiostacja gliwicka raz po raz nadaje tajemnicze komunikaty, jak np.: Doktor X soli seine Arbeit machen und dann sich melden¹.

Doktorowie X, Y i Z nie wypełnili w większości swych skrytobójczych zadań: z walizkami "tarnowskimi", z puszkami "Pudliszek", z kłamrami, mającymi wysadzać pociągi - powędrowali do więzień i wielu z nich ziemię teraz gryzie, o co propaganda niemiecka wnosi niebywały lament.

Należy uderzyć wprost. Zaczyna się to już na tydzień przed wojną. Na posterunku policyjnym na stacji w Makoszowach znajduje się dwu policjantów i strażnik graniczny - kapral rezerwy. Ze strony niemieckiej aż do samego toru polskiego przylegają mury kopalni Delbruck. Kilkudziesięciu dywersantów niemieckich musiało tylko przesadzić tor i już opanowali stację. Postrzelili kolejarza, postrzelili kaprała, którego przewlekli przez granicę.

Nadbiegł z pobliza patrol polski, rozpędził dywersantów. Krwawa smuga na torze wskazywała, że tamtędy wleczono rannego kaprała. Radio niemieckie wystąpiło ze wściekłym atakiem na Polskę, która "rozzuchwalona gwarancją angielską, nasyła bandy zbrojne na tereni Rzeszy, pragnącej pokoju".

Rzecz charakterystyczna jednak - biała księga niemiecka, która jest księgą kilkusetstronicowego pieniactwa, która reprodukuje skargi swoich konsulów na to, kiedy ktokolwiek na całym terytorium państwa skrzywił się na Niemca - w tej sprawie milczy. Nie zdecydowano się podtrzymać zbyt wyraźnie załganej tezy.

(Doktor X spełni zadanie i zamelduje się.

16

W dwadzieścia cztery godziny po napadzie na Makoszowy, na innym odcinku granicznym zabito policjanta oraz porwano i przewleczono do Niemiec strażnika granicznego.

Wojskiem się wciąż nie obsadza granicy, aby nie dać Niemcom powodów do oskarżeń. Jedynie do śląskiej policji przyjmuje się pięciuset kandydatów oraz trzystu policjantów przysyła policja państwowa.

Na parę dni przed wybuchem wojny obie strony zatarasowują wszystkie drogi. Na tydzień przed pierwszym września już Niemcy nie pozwalają robotnikom z Polski wrócić na noc do domu.

Dywersant, student Uniwersytetu Wrocławskiego zeznaje przy badaniu, że hasłem wybuchu ma być odegrany wyznaczonego dnia o godzinie ósmej wieczorem Deutschmeistermarsch.

A więc wiadomo, po co były rozdawane odbiorniki...

WYBUCH WOJNY

Jak wiemy, atak niemiecki werznął się w Polskę klinami. Pomiędzy tymi obcęgami pancernymi, mającymi się zwierać daleko od granicy, pozostawały nie ruszone całe połacie kraju.

Na odcinku śląskim postanowiono wypełnić te luki dywersantami.

Freikorps, wyszkolony na tę okazję, złożony z obywateli polskich, miał spełnić rolę powstańców. Ci powstańcy, ubrani po cywilnemu (mieli tylko opaski ze swastyką), byli jednak wiele lepiej uzbrojeni niż nasza policja, rozporządzająca zwykłymi pięciostrzałowymi karabinami. Wojsko polskie zostało wycofane. Związkowi Powstańców, Strzelcowi, Przysposobieniu Wojskowemu odebrano ćwiczebne karabiny w obawie, aby nie prowokowały Niemców.

A przecież robotnik polski gorzał chęcią zmierzenia się z wrogiem.

Pięć batalionów powstańczych po czterystu-pięciuset ludzi każdy, obsadziło granicę. Górnik w ciągu dnia był w pracy, a w nocy chodził na patrole. Na krótko przed wojną dali jeden karabin na dwudziestu ludzi. Kiedy wybuchła wojna, leżeli po rowach z kamieniami w garściach, czyhali na broń zabitych żołnierzy i dywersantów.

Naczelnik gminy Michałkowice, Fojkis, skazany na śmierć przez Niemców w drugim powstaniu śląskim, dowodzący pułkiem w trzecim powstaniu, nie miał już od tygodnia ani dnia ani nocy spokojnej jako lokalny komendant Związku Powstańców.

Nad ranem w noc z 31 sierpnia na 1 września przyległ, tak jak przyszedł z obchodu placówek, w mundurze, kiedy o pół do szóstej obudziły go rzadkie strzały karabinowe.

Podsłuchał zdziwiony, że to tuż, boć zawsze budynek gminny, w którym mieszkał, znajdował się o sześć kilometrów od granicy. Uchyliwszy firanki na oknie, ujrzał oddział złożony, jak następnie ustalono, z trzystu pięćdziesięciu ludzi. Byli już tak blisko, że z całą wyrazistością zobaczył Hackenkreuz na opaskach. Wszyscy byli uzbrojeni w trzydziestodwustrzałowe automatyczne karabinki, w StUlhandgranaty i w Totschlaegery - pałki żelazne, osadzone w drewnianych rękojeściach, zakończone nakręcaną na sprzężynie mutrą żelazną - służące do zabijania bez rozgłosu.

"Gdzie burmistrz?" - posłyszał głosy. Fojkis odskoczył od okna.

18

Ale po chwili oddział ruszył dalej. Okazało się, że przesmyknęli się niepostrzeżenie na teren Polski między hałdami i grobla i pragnęli wykorzystać zaskoczenie. To uratowało życie Fojkisa. Rzucił się do telefonu, powiadamiając powstańców i policję. Poleciał im powitać Niemców ogniem i po chwili biegł ku swoim, pośpiesznie dopinając pas.

Ale Niemcy, mając fałszywy wywiad, skierowali się do szkoły,

przypuszczając, że w niej mieści się sztab powstańców. Nie znalazłszy nikogo, ruszyli na kopalnię.

Na kopalni jeszcze nie rozpoczęła się praca. Pięćdziesięcioletni inwalida, Szczepan Wilk, stróż fabryczny, odziany, jak i inni, w mundur powstańczy, bo od czterech dni obowiązywało pogotowie, nie spłoszył się zbyt strzałami, które usłyszał pod gminą. Czasy były niespokojne i coraz to ktoś strzelał.

Nagle otworzyły się drzwi, w których ukazał się naczelnik oddziału, oficer w mundurze Reichswehry. Wystrzałem w skroń powalił Wilka. Nadbiegającemu robotnikowi Przybycinowi, rozdającemu marki przychodzącym do pracy, roztrzaskano głowę Totschlaegerem.

Teraz Niemcy ruszyli na trzy wieże wiertnicze. Ale nadbiegający ze wsząd powstańcy kazali im się skupić. W pierwszym natarciu padło naszych czternastu z inżynierem Chrobokiem. 2 innych nazwisk zdołałem ustalić Kolankę, Solika, Prudłę i Begusa.

Niemcy obwarowali się w obszernym i solidnym magazynie fabrycznym. Szczupła garść powstańców nic począć nie mogła, ale trzymała dywersantów w saku.

O godzinie ósmej słychać warczenie motoru. Nadjeżdża wielki opancerzony samochód policyjny z dwudziestu policjantami. Jest między nimi wysłany na motocyklu z głównej komendy powstańców Bobelak, mający polecenie ustalić, co to za strzały było słychać w Michałkowicach. Policjanci wzięli go na samochód.

Spalić magazynu nie było można, bo Niemcy wymietli z zabudowań kopalnianych napotkanych Polaków i trzymają ich jako zakładników. Należy wysadzić zamknięte drzwi. Fojkis obejmuje komendę nad pancerką, która podjeżdża pod same odrzwia. Z okien pierwszego piętra broń maszynowa sypie ulewą kuł, które dzwonią o pancerne białchy. Skoro pancierka podjechała pod sam magazyn, rzucono pod nią wielki pęk powiązanych granatów. Bok pancierki zostaje przebity i pancierka staje w płomieniach. Załoga cała ma okaleczenia, wyskakuje tylnymi drzwiami pancierki za mur, otaczający magazyn. Niemcy rzucają granaty. Fojkis jest ranny w rękę. Mimo to, zaparci za murem, nie pozwalają Niemcom wymknąć się z obieży.

Bobelak tymczasem wraca po pomoc do głównej kwatery powstańczej. Obiega ją kilka tysięcy ludu z kilkunastu pobliskich wsi, wołają o

19

broń. Przyjeżdża dowódca dywizji pułkownik Sadowski. Uściskali się z komendantem naczelnym: "Godzina wybiła!". Nikt w ten pamiętny dzień nie myślał o klęsce, tylko o ostatecznej rozprawie.

Wysłano do Michałkowic pół kompanii z poleceniem, aby pomogła powstańcom zdobyć magazyn. Nikt się nie orientował, że broni go trzystu pięćdziesięciu świetnie uzbrojonych ludzi.

Zakołysał się tłum. Widać z okien z góry, że prowadzi pierwszych dwudziestu jeńców dywersantów w jeżu bagnetów. Ich dwadzieścia karabinów dają powstańcom. Dalszych sto karabinów przywożą z dywizji.

Wnet staje kompania stu dwudziestu ludzi. Twardy to materiał. Brali udział w trzech powstaniach, znają Niemców, umieją się z nimi bić. Ale ci nie idą do Michałkowic, bo skoro wojska zostały cofnięte, nie można nastarczyć potrzebom. Pięćdziesięciu wzmacnia policję, szesnastu strzeże sztabu dywizji, reszta udaje się na patrole.

Wieczorem tegoż dnia I. kompania Mikołowskiego Baonu Powstańców otrzymała broń i poszła z wojskiem do okopów. Gdy wojsko cofnęło się - broniła wzgórze do ostatka. Wybita do jednego - ze swoim prezesem Grupy Mikołowskiej na czele.

Kiedy wysłane pół kompanii przybywa do Michałkowic o godzinie dziesiątej, sytuacja jest nie zmieniona. Ataki powstańców są bezskuteczne i gęsto leżą po naszej stronie zabici i ranni.

Dowódca oddziału, podporucznik, którego nazwiska nie znam¹, widzi, że okna magazynu, ziejące ogniem, są wąskie, że mury grube, że jedynie można szturmować drzwi. Sam rusza pod nie z wiązką powiązanych granatów i pada zabity.

W godzinę potem przybywa drugie pół kompanii. I tego oddziału dowódca poległ.

O godzinie trzeciej wreszcie Niemcy widzą, że zostaną wybici.

Otwierają się drzwi, ukazuje się w nich dowodzący oficer Wehrmachtu.

Przykłada granat odbezpieczony do gardła i woła: Es lebe Dentschland!

Heil Hitler!... Oszołomieni powstańcy na chwilę się zatrzymali. Kiedy wpadli do wnętrza, znaleźli czterdzieści trupów dywersantów. Inni dywersanci starali się ratować ucieczką poprzez zabudowania fabryczne. Naszych poległo osiemnastu, rannych - siedemdziesięciu dwóch.

Niemców poległo ponad stu, jeńców wzięto czterdziestu kilku.

Zapytywani, co ich skłoniło do napadu na ziemię ojczystą, odpowiadali: "My wam przynosimy wolność. My się chcieli tylko tych pierońskich goroli pozbyć".

' [Red.:] W krajowym wydaniu tego tekstu - podporucznik Póleczek z 77 pp w Chorzowie.

20

Tak się skończył ów piątek - pierwszy dzień wojny. Sobota minęła spokojnie. Rano w niedzielę ranny Fojkis siedział spokojnie samotrzeć w pokoju. Przybiegł znajomy Niemiec: "Uchodźcie, panie Fojkis, bo oni już wchodzą do Michałkowic".

Boczną dróżką na rowerze uchodził Fojkis tak jak stał - w mundurze powstańczym. Z boku powitała go strzelanina. Niebawem był za wzgórkami. Kwiaty pięknie kwitły, ziemia pachniała i żegnała go na długie rozstanie.

Na kopalnię nadgraniczną Walenty-Wawel uderzono w pierwszym dniu wojny nieco później, kiedy już górnicy byli pod ziemią. Dwustu dywersantów obsadziło kopalnię. Dali sygnał wyjazdu. Wyjeżdżających na powierzchnię górników sformowali w grupę marszową, którą zamierzali popędzić do Niemiec.

Wywiązała się z naszą policją czterdziestoośmiogodzinna walka, przy czym kopalnia kilkakrotnie przechodziła z rąk do rąk. Powstańcy nasi, którzy z kamieniami w rękach leżeli w rowach, pilnując granicy przeciw karabinom, chwyтали broń zabitych dywersantów i przyłączali się do polskiego ataku. I ten oddział dywersancki został wystrzelany co do nogi.

Stu dywersantów opanowało kopalnię Łagiewniki. Inżynier Zawieja z grupy Hubertus w Chropaczowie organizował górników i wspomagany przez policję, odbił kopalnię po dwudziestoczterogodzinnej walce. Kiedy rozstrzeliwano w kamieniołomach czterdziestu sześciu wziętych do niewoli dywersantów, zachował sobie na pamiątkę opaskę z Hackenkreuzem jednego z nich. Kiedy następnie ewakuował się, pociąg ewakuacyjny zatrzymały nasze władze na granicy Śląska, w Bukownie, w celu przesiania pasażerów i zdemaskowania podążających głębiej na teren dywersantów. Przy rewizji znaleziono przy inżynierze Zawiei dywersancką opaskę i z miejsca rozstrzelano zaraz za stacją.

W Pawłowie, w Bielszowicach policja, wspomagana przez ludność, broniła się parę dni dzielnie, nim nie ukazały się regularne wojska niemieckie.

W Orzegowie zetknęła się policja z tymi wojskami pierś w pierś.

W powiecie rybnickim walka o kopalnię w Knurowie trwała tak długo, aż ukazała się regularna armia niemiecka.

Wiemy, jak tragiczny finał był udziałem tych walk. Musieliśmy się cofać. Batalion powstańczy z Piekar, liczący trzystu ludzi, cofał się pod dowództwem swego komendanta Jana Barona. Piątego dnia wojny, było to pod Miechowem, poseł na Sejm Śląski, Płonka, pojechał szukać

21

^

kwater. Powstańcy, oczekując na niego, poczęli warzyć strawę. Niespodziewanie otoczyli ich Niemcy i wyrznęli w pień.

W Jędrzejowie Niemcy wywieźli kwaterujących dwudziestu powstańców. Kazali im iść z podniesionymi rękami w kierunku Śląska. Szli tak, wznosząc ręce ku ziemi, którą tyle nocy widzieli jaśniejącą blaskiem hut. Ale teraz ciemna była ta ziemia przed nimi, daleka i niewidoczna. I tak padli od salwy z tyłu.

Ostatnia się cofała policja i powstańcy. Starszy posterunkowy Międzybrodzki w wiosce granicznej Cwierczynowiec, przypomniał, że zostawił akta "mob" na posterunku. Mimo że Niemcy wchodzili drugą stroną wsi - wrócił. Dali salwę, widząc, że ktoś jest w środku. I tak zastygł na stole, z którego zbierał akta, jakby chciał bronić tajemnicy do końca.

Porucznik Goersdorf, o którym pisaliśmy na wstępie, działał równocześnie na północy. W Łasinie na Pomorzu ludność niemiecka wyróżniała polską, w Bydgoszczy strzelano z okien do wycofujących się polskich wojsk: nastąpiło formalne niemieckie powstanie. Przeliczyli się jednak, bo wojska polskie wróciły. W czasie trwających cały dzień na ulicach walk zabito stu sześćdziesięciu Niemców. Wówczas okazało się, że owo "powstanie" niemieckie było urządzone według planów Hitlera, marzącego o podbijaniu krajów od wewnątrz: na stu sześćdziesięciu - tylko dziesięciu okazało się mieszkańcami Bydgoszczy. Reszta - byli to przybysze z Rzeszy.

Nie udało się z tym "opanowaniem od środka". Ale trupy się przydały. Bezpośrednio po wkroczeniu Niemców, wezwano w Bydgoszczy zarówno jak i na Śląsku rodziny zabitych dywersantów, pochodzących z polskiego terenu i pofotografowano matki i żony, pochylone nad ciałami "zwierzęco pomasakrowanej przez Polaków ludności cywilnej narodowości niemieckiej". Liczba tych ofiar polskich rosła z tygodnia na tydzień. Wiosną 1940 roku czytałem w prasie niemieckiej o pięćdziesięciu sześciu tysiącach zamordowanej przez Polaków ludności cywilnej. Gospodyni, u której odnajmowałem pokój, Niemka rumuńska, wróciła wstrząśnięta z pokazu filmowego, urządzonego w poselstwie niemieckim dla Yoiksgenossen. Pokazano jej między innymi długi stół, przy którym siedziało wiele niemieckich dzieci z poprzybijanymi do stołu rękami.

Tym razem korespondentów amerykańskich nie było. Oszczerstwa niemieckie szalały na cały świat i przesączały się do krajów alianckich. Kraj, powalony, milczał. To, co się w nim działo, było oczom naszym zakryte. I tylko czasem ktoś się przekradł z ziem zachodnich, przywoził ułamkowe wieści z terenu, ograniczone kołem najbliższych spostrzeżeń, wiadomości z najbliższego sąsiedztwa.

22

Tak dowiedziałem się o losach żony woźnego w gminie w Michałkowicach. Kiedy naczelnik gminy, Fojkis, wybiegł dopinając pas munduru, kobieta została sama. Huczały strzały. Przynoszono naszych rannych. Dowiadywała się o masakrze tych pierwszych czternastu na kopalni, o śmierciach bliskich. Więc kiedy przyniesiono rannego dywer-

santa, odmówiła mu wody.

Więc potem Niemcy urządzali widowisko. Ustawiono w sali krzesła rzędami jak dla przedstawienia. W krzesłach zasiadali mieszkańcy Michałkowic, a w pierwszym rzędzie mąż woźnej. Przyprawiono woźną z więzienia i kazano tańczyć przed audytorium i śpiewać. Kiedy mdlała, rozczapierzano ją na podłodze robiąc "polskiego orła" i bito, po czym wynoszono do celi. Podejrzanych o walkę z dywersantami wzięto do obozów koncentracyjnych. Niepodejrzanych wzięto do Niemiec do roboty. Po jakimś czasie z obozów koncentracyjnych przyszło do Michałkowic sześć kartek z tych obozów z nazwiskiem i z krzyżykiem. Po jakimś czasie do Michałkowic odesłano cztery dziewczyny w ciąży z tych robót.

W Ligocie pogrzebano dwudziestu harcerzy, w czym czworo dziewcząt.

W miejscowości, której nazwę zgubiłem w notatkach, spędzono sześćdziesięciu powstańców, kazano im burzyć pomnik powstańca polskiego. Kiedy robota została skończona, wszystkich rozstrzelano.

Dokładny obraz pomsty niemieckiej będziemy mieli dopiero, gdy wrócimy do kraju. Skąpo wiemy, co w nim jest. Dopytujemy.

Przyjechała ze Śląska Polka z dziesięcioletnim synkiem. Gdy wyjeżdżała, posłała synka na dół do piwnicy po wodę, bo robotnicy poprawiali wodociągi i w kranach na piętrze wody nie było. Dziecko nie umiało wyjęzyczyć się po niemiecku.

- Zaprawdę zaś nie rozumiesz?...

Zanieśli mu wodę na piętro:

- Powiedz, synku, że ci co pracują w piwnicy, to też są Polaki. Powiedz matce, że nadejdzie jeszcze czas, niech nie płacze. Powtórz, czy zaś spamiętasz: niech nie płacze - nadejdzie jeszcze nasz czas.

PIERWSZE TRZY DNI

WOJNY W GDAŃSKU

Nowy, potężny rząd niemiecki uczył naród jak żyć bez nienawiści do innych ludów... Tak samo jak po sześciu latach wysiłkach pokojowych Fiihrera zarzucono nam wypowiedzenie wojny, tak teraz nazywają nas świniami. Musimy to pomścić. Musimy zerwać z naszym nastawieniem pokojowym, nasza przyjacielska gościnnością i wspaniałomyślnością. Nie będzie to dla nas łatwe, gdyż z natury jesteśmy łagodni i pełni miłości dla innych.

"Voelkischer Beobachter"

W Polsce w sierpniu nastąpiło odprężenie i ludzie oczekujący wiosną wybuchu wojny, poczęli krzątać się za swymi sprawami dnia codziennego.

Ale Gdańsk, punkt zaogniony świata, szedł już w tym miesiącu sierpniu pełnymi krokami do wojny. Szczupła liczba Polaków, trwająca tam na posterunku wraz z przedstawicielami państwa polskiego, ze swymi posłami do Sejmu Gdańskiego, ze swym duchowieństwem, ze swym nauczycielstwem, ze swymi organizacjami społecznymi na czele, to była załoga tej twierdzy, twierdzy, która pierwsza została zaatakowana, która dzielnie się broniła, która została wyróżniona w sposób dziki, nie praktykowany w Średniowieczu.

To wtedy, w sierpniu, kiedy okręty niemieckie, ze zgaszonymi latarniami nocami zajeżdżały do stoczni, rzekomo dla naprawy, wyładowując wojenny sprzęt, kiedy dokoła Gdańska stało kolisko potężnych fortów, bastionów, ulice Gdańska zaroily się mundurami, ludność niemiecka Gdańska została powołana pod broń rzekomo dla przećwiczenia

w "rezerwowych oddziałach policji", konie zostały zmobilizowane, żywność zracjonowana, strach błady padł na przygnębionych gdańszczan, haszysz upojenia na hitlerowską młodzież, na aroganckich przybyszów z Reichu - to wówczas już począł się czyścić ludność polskiej, który niebawem przemienić się miał w piekło.

Ludność tę wyrzucano z pracy wbrew wszelkim umowom, ludność
26

też pozbawiono mieszkań mimo kontraktów, ludność tę poddano nie uporządkowanemu terrorowi, aresztując co parę dni bez powodów, bijąc po ulicach i po aresztach, wybijając szyby w lokalach polskich stowarzyszeń społecznych.

Za wszelką cenę chcieli Niemcy złamać butny, nienawistny kark tego narodu, który wyrzynany dosłownie tylekroć w Gdańsku, trwał jak wydmuchrzyca na piaskach nadmorskich, wczepiona daleko idącymi korzeniami, trzymająca wydmy, wżarta, wrosła, podana wichrom i słonemu zalewowi fal, nie wytrzebiona, nie wytępiona przez wieki. Zwarł się żywioł polski, w sobie się zebrał. Wszystkie budynki należące do rządu polskiego wypełniono wyrzucanymi z mieszkań i z pracy nędzarami. Polski Czerwony Krzyż szedł z szeroką pomocą w jadle, odzieży. Na terror szkolny - nędzarze, od pracodawców niemieckich zawiśli, odpowiadali zaciętym postanowieniem - niedania dzieci do niemieckiej szkoły. Kiedy wbrew ich woli władze gdańskie ostatecznie nie pozwoliły dwadzieścioru dzieciom chodzić do szkoły polskiej, postanowiono te dzieci wywieźć do Polski.

Wtedy, w sierpniu, kiedy Polska odetchnęła i pojechała na letniska, w Gdańsku Polacy otoczeni przemocą, otoczeni strasliwym gniosem szli w pełni świadomości do dziejowej rozgrywki.

Radca Antoni Zalewski, ten właśnie, który stojąc na czele wydziału kulturalno-oświatowego Generalnego Komisarjatu Rzeczypospolitej Polskiej był tej ludności przewodnikiem, opiekunem i podporą, obudził się pewnego pięknego dnia sierpniowego... odrutowany. Kozły hiszpańskie stoją, przed jego domem zostawiono tylko wążutkie przejście panu radcy między płotem i drutami.

Radca przenosi się do Wrzeszcza - momentalnie wszystkie domy w Oliwie pustoszeją. Wszak tuż obok idzie linia kolejowa na Kokoszki, wszak wzdłuż niej na Friedensschluss budują gniazda karabinów maszynowych. Wojna idzie wielkimi krokami. Nikt tu co do niej nie ma najmniejszych złudzeń. Nie ma też nikt najmniejszych złudzeń, że w pierwszej fazie wojny Polacy dostaną się w strasliwe ręce. Mimo to nie wyjeżdża nikt. Tobie, matko ziemio dysząca dorzeciami Wisły, Tobie, kraju od morza odpychany, za tchawicę schwycony. Na toż ci przyszło państwo wielkie, państwo dumne, aby jak w 1863 roku granice oblewać krwią...

Kierownicy chcą przynajmniej ratować młodzież. Starsza młodzież się buntuje, nie chce wyjeżdżać do Polski. Oni też płoną żądzą ofiary. Jeszcze co który z Polaków jedzie do Gdyni. Aby zaczerpnąć powietrza w płuca, aby raz jeszcze pożyć tym wolnym, niepodległym życiem, zobaczyć maszerujące wojska i wysoko łopocące na niebie biało-czerwone chorągwie. Na asfaltowanej szosie, którą przez tyle lat po-
27

mykały auta rozbawionych kuracjuszków, na szosie, ku której pod Kolidkami tak blisko jest morze podane, gdzie zboże szumi i obraz się składa z jego błękitu, ze złotości zboża, z zieleni starych drzew i pałapu zabawnych efektownych, niby w jakiejś panoramie, kumulusów - w tym krajobrazie, mimo asfaltów, piastowskim, miodnym, pszczelnym, polnym i zacisznym - teraz raz po raz drogę grodziły druty, barykady

z wozów, broń pancerna, gniazda karabinów maszynowych.

Błądzili wieczorami - nadbrzeżami długimi, liczącymi jedenaście kilometrów, wspominali jak przed dwudziestu laty stało tu parę chałup, patrzyli w splecione kontury dźwigów na wieczornym niebie, których żelazna moc przerzucała na godzinę siedemdziesiąt pięć tysięcy ton, chłonęli w siebie widomy znak prężności swego narodu, który z niczego dźwignął ten największy port na Bałtyku,

Szli na miejsce, na ten daleki punkt podany w morze, gdzie miał być dźwignięty pomnik Zjednoczenia Ziem Polskich. Widzieli oczyma wyobraźni, jak ze zniszczenia wojny znowu za odszkodowania niemieckie powstaje tym świetniejszy port, a w miejscu, kędy miał być ów pomnik, na wieczną rzecz pamiętkę, projektowali umieścić, wykuć nazwiska tych wszystkich, którzy tu padną w obronie Wybrzeża.

Kto wie, może w najtajniejszych duszy zakątkach widzieli swoje imię wykute, potomnym na znak - gorzka ostatnia zapłata ojczyzny.

30 sierpnia przychodzi depesza dawno oczekiwana:

PIERWSZY DZIEŃ MOBILIZACJI 30 SIERPNIA.

Wnet potem:

MOBILIZACJA ODWOŁANA.

Myślą, że to odprężenie. Nie wiedzieli, że to na interwencję Anglii i Francji, które nie chciały drażnić Niemców do końca. Gdyby mężowie stanu tych państw pomieszkali w Gdańsku choć przez parę dni, zrozumieliby, że "niemieckiego gadu nie ugłaszcze nikt".

I znowu depesza:

PIERWSZY DZIEŃ MOBILIZACJI 31 SIERPNIA.

ZOSTAJĄ..

A więc - już należy zawiesić na kołku pracę dnia codziennego, prowadzona do ostatniej chwili. Komisarz Generalny zarządza: zostanie on, zostaną radcy, urzędnicy odpowiedzialni za robotę i za to, co się tu dzieło. Rodziny, częściowo wyewakuowane wcześniej, mają wyjechać. Działacze specjalnie zaangażowani również.

Wydział wojskowy, specjalnie znienawidzony przez Niemców, ma się wyewakuować cały. Jednak szef jego, pułkownik Sobociński i kapitan Tchorzelski, kierowniczy ludzie mają pozostać. Kilku podoficerów staje do raportu: proszą o rozkaz pozostania. Szofer pułkownika Sobocińskiego jest zdumiony: "Jakże pan pułkownik obejdzie się w takim czasie bez auta? Ja muszę zostać". Jeden z urzędników dowiedziawszy się, że ma się ewakuować, rozplakał się. Uważa to za brak zaufania do jego osoby.

Zostają przywódcy ludności polskiej. Kancjaści, zmaturalizowani, zgorzkniali nieraz w stosunku do Polski - teraz, kiedy nadeszła godzina próby, nie zawodzą.

Zostaje poseł do Senatu Gdańskiego, krawiec gdański z zawodu, Lendzion.

Zostaje drugi poseł polski, gdański kupiec zbożowy, Budzyński.

Zostaje sekretarz generalny gminy polskiej Bolesław Paszota, członek zarządu głównego Maleszewski, członek zarządu głównego Augustyn Perszon, zostają wszyscy.

Zostaje in corpore duchowieństwo na stanowiskach. Proboszcz parafii polskiej w Gdańsku, ksiądz Franciszek Rogaczewski z dwoma wikarym, ksiądz Bronisław Komorowski, proboszcz parafii Matki Boskiej Częstochowskiej w Nowym Porcie w Gdańsku, ksiądz Franciszek, proboszcz parafii polskiej w Sopocie (Zoppot), ksiądz dr prof. Nagórski, prefekt gimnazjum polskiego. Wreszcie młody, dzielny ksiądz Dydyński, proboszcz parafii w Piekle, w którym przetrzymywał w ostatnim miesiącu istotne piekło obłąkań, wybijania szyb i pogróżek. Zostaje

ksiądz Wiecki, proboszcz w Wodzisławiu (Wotzlaff), który na kilka dni przed wojną, bombardowany kamieniami, musiał się schronić do Gdańska.

Z nauczycieli jeden tylko Balcer nie został powołany do polskiego wojska z powodu wieku. Aczkolwiek człowiek stary, przyjezdny, nie 29

mający obowiązków zasiedzenia wobec tej ziemi - został. Tu pracował, tu uczył dzieci tego, czym jest Polska, tu rozmawiał z ich rodzicami, którzy zostają na miejscu - zostanie i on.

Ci wszyscy ludzie - od szofera do doktorów teologii - nie mieli na ustach wielkich słów, może im nie przychodziła na myśl szczytność ich ofiary. Wzrosli w walce, przyszedł czas ostatecznej próby, wiedzieli od lat, że nadejdzie w ich życiu, i tak jak została załoga Westerplatte - nie bronieni nawet tymi schronami z betonu - zostali po prostu bez dyskusji, spełniając naturalny obowiązek,

Spełniając naturalny obowiązek przyszły polskie zakonnice z tym tylko, aby spytać co mają robić i gdzie będą potrzebne.

Wielka jest moc narodu niemieckiego. To spiż i brąz dawniej/beton i stal obecnie, to żelazny porządek, to potężna machina zniszczenia przysposobiona do miażdżenia słowiańskiej ziemi. Ale coś robi, kiedy spod tego zgniotu odrasta wiecznie żywa, wiecznie zielona łąka polska, łąka polska kwitnąca kwieciami nieustającej ofiary.

"GOŚCIE" PRZECHODZĄ PRZEZ MOST

Tej gromadzie polskiej nikt nie miał stanąć ku obronie. Wiadomo było, że początkowe plany uderzenia na Gdańsk zostały zaniechane. Jedyne wojsko polskie - załoga Westerplatte - zamknęło się w betonowym worku. Pod betonowy worek podjechał "Schleswig-Holstein", stary okręt szkolny niemiecki, przeznaczony na ewentualne zniszczenie, uzbrojony w ogromnej ilości w działa - baterie ruchome. Przybywszy w "odwiedziny", kiedy skończył się w dniu 24 sierpnia termin wizyty, pozostał samowolnie, przesunął się po Martwej Wiśle tuż pod mur Westerplatte. Jedna jego burta szczyrzyła gardła armat na Westerplatte, druga na Gdynię. Pod Westerplatte zgęszczono niemieckie siły, otoczono ją kołem niemieckich szańców. Potem sterroryzowano dostawców żywności i pewnego dnia zostawiono Westerplatte bez dostawy. Ludność polska dowiedziawszy się o tym, rzuciła się łodziami przez Martwą Wisłę, dźwigając w worach i koszach co kto mógł.

Żłudzeń urzędnicy Komisariatu nie mają żadnych. Wszak to ich kolegów: konsula Czyżewskiego w Kwidzynie i konsula Sidorowicza w Morawskiej Ostrawie uwięzili w gmachach konsulatów Niemcy jeszcze w dniu 26 sierpnia. To wtedy radio polskie nadawało co pewien czas niezrozumiałe komunikaty: "Czyżyku i Sidorze - Pamiętamy o Was, Czyżyku i Sidorze...".

Urzędnicy Komisariatu pakują bagaż, ale, rzecz znamienna, każdy przygotowuje oddzielnie jedną walizeczkę więzienną i pled. Do walizeczki idą nawet karty - aby się nie nudziło przez te lata obozu koncentracyjnego.

Kiedy wiadomo już o mobilizacji, docierają z Gdyni i Gdańska: radca Wołowicz, radca Moderow z polskiej delegacji Rady Portu, komandor Poznański, prezes polskiej delegacji Rady Portu, doktor Mendyk, lekarz weterynarii Komisariatu Generalnego. Nocowali w Gdyni, obecnie dojechali do granicy polsko-gdańskiej w Kolibkach i stamtąd przyszli piechotą.

Gdańsk wpadł w orgię dekoracyjną. Wszędzie słupy, tarcze, bramy triumfalne. Sieg Heil\...\p>

Kogóż to czeka Gdańsk?

Rzecz charakterystyczna: wtedy jeszcze, w ostatnim momencie,
31

przychodzi z Warszawy wiadomość o odprężeniu. Ale trudno się tym zwięść widząc, co się tu robi. W gabinecie komisarza generalnego siedzą jego najbliżsi współpracownicy. Koło godziny siedemnastej wywiad nasz podaje przez telefon krótką wiadomość: Die Gäste kommen ilber die Brücke.

"Goście przechodzą przez most". Wiadomo, co to znaczy: wojska niemieckie wkraczają z Prus Wschodnich przez most pontonowy, wzniesiony w ostatnich czasach przez Gdańsk.

Wojna!...

A więc czas próby nadszedł. Spojrzeli po sobie i wszystkich ręce wyciągnęły się do tabelki dyżurów nocnych w Komisariacie Generalnym. Już od pewnego czasu ustanowiono te dyżury, aby w ostatniej chwili spalić szyfry.

Według tabelki kolej wypadła na radcę Arieta i urzędnika kontraktowego Bębenka, Kaszubę.

Arieta wraz z kilku współpracownikami zabiera komisarz generalny na ostatni wspólny posiłek. W tym cercie uczestniczą radca Zalewski, radca Głogowski i sekretarz komisarza generalnego, Jan Dunst. Otwierają radio - komunikat niemiecki pieni się na Polskę, precyzuje warunki stawiane przez Hitlera, zapewnia, że Niemcy nie zniosą tego rodzaju traktowania. Kubek w kubek noty krzyżackie ongiś. Kilku Polaków słuchających tych kłamstw perfidnych znowu czuje się na drogach rozstajnych historii.

Boże, daj Grunwald - ostateczny i zwycięski.

Godzina dyżuru nocnego nadchodzi. Radcy Głogowski i Zalewski odwożą Arieta do biura. Jest już w nim pułkownik Sobociński i kapitan Tchórzelski. Obaj oficerowie postanowili nocować - zniszczą stację nadawczą i szyfry w ostatniej chwili.

Zastępca komisarza generalnego, Zawadowski, zwolniony z dyżuru dziennego przez Arieta, jedzie z Zalewskim do mieszkania pułkownika Sobocińskiego, położonego o piętro wyżej nad mieszkaniem ministra Chodackiego, na tejże klatce schodowej. Lepiej będzie oczekiwać wypadków w kupie. Minister Chodacki wręcza im na wszelki wypadek klucz od swego mieszkania. Krótki uścisk dłoni - wszyscy udają się na spoczynek.

I kiedy rozbierają się, o uszy ich uderza charakterystyczny chrzęst żelaziwa.

To czołgi "gości" z grzmotem blach pancernych wjeżdżają w aleję Lipową...

IMMUNITET

O godzinie czwartej minut czterdzieści pięć nad ranem zbudził ich grzmot dział. Zrozumieli. To ciężkie dwudziestoośmiocentymetrowe działa "Schleswig-Holstein" bombardują Westerplatte.

A więc wkrótce przyjdą po nich. I pierwszy odruch tych naszych przedstawicieli, którzy tyle lat przywykli reprezentować Polskę - był: ogolić się. Aby, kiedy nic już nie pozostawało do zrobienia, trzymać fason do końca.

Nie było jednak na to czasu. O furtę żelazną wałą, hucząc, uderzenia. Wyglądają przez okno: ulica zasiana łapaczami w cywilnych ubraniach, trzymającymi rewolwery w garści.

Zawadowski i Zalewski zbiegają w dół do mieszkania ministra Chodackiego, które otwierają posiadanym kluczem. Zaraz potem przypada do drzwi gromada łapaczy:

Aufmachen... Rausgehen!...

Kiedy nikt im nie odpowiada, biegną wyżej. Tam, w innym mieszkaniu nocowali urzędnicy Komisarjatu Generalnego: Stankowski, Lemański, Ruprecht, Danielewicz. Po chwili słyszą kroki w dół. To już ich sprowadzają.

Teraz znowu poczynają walić w furtę w dole. Sekretarz ministra Chodackiego, młody chłopak, Jan Dunst, gdańszczanin, ożeniony własnie na wiosnę, wygląda oknem i komunikuje, że minister żąda, aby przyszła policja mundurowa. Łapacze się mitygują, biegają po ogrodzie z rewolwerami, ale już się nie dobijają.

Obleżeni wychodzą na balkon położony od innej strony ulicy. Po pogodnym niebie sierpniowym lecą klucze niemieckich samolotów. Słychać łoskot karabinów maszynowych na Westerplatte.

Słuch ludzi siedzących na balkonie wyteża się w stronę, w której toczy się walka, myśl przenosi się do tych żołnierzy, do tych oficerów, z którymi tyle spędzili miesiące niepokoju, z którymi byli w najściślej-szym związku przyjaźni i bliskości.

Kiedy przyjeżdżało się do nich, nie wiedzieli jak gościć, czym przyjmować, co postawić na stół...

Rzemieślnicy polscy pracujący stale na Westerplatte, pokumani z żołnierzami, kiedy major Sucharski chciał ich usunąć, nie pozwolili na

33

to, zostali. Komendę nad nimi objął jeden z nich - Władysław Deik, żołnierz niemiecki z czasów wojny światowej, gdańszczanin. Jeszcze jeden w długim szeregu Hechtów, Retzkauów, burmistrzów gdańskich, gdańszczan z dziada pradziada, poległych w obronie praw polskich przed zdradą niemiecką.

W pewnej chwili strzały milkną. Czekaający na swój los na balkonie nie wiedzą, czy załoga żyje jeszcze, czy się poddała. Są przekonani, że Westerplatte padła.

Należy się ogolić! - to jest jedyne, co w danej chwili mogą zrobić.

Szarpani bólem i niepokojem, pragną się zająć. Dzięki Bogu - działa znów grają.

Ogolili się i w dalszym ciągu nikt nie przerywa ich oczekiwania. Łapacze wciąż się kręcą przed domem po ulicy, coraz więcej ich wsiąka do ogrodu, ale do mieszkania nie dobija się nikt.

Mija godzina szósta, poczynają się po świetle budzić stacje radiowe. Radio niemieckie mówi już przed siódmą. Od razu rozgospodarowuje się w materiale wojennym, poczyną kuchmarzyć wojnę zapobiegliwa gospodyni. A więc z materiału, dawno zapewne przed wojną przygotowanego i oczekującego w kopercie, obwieszcza spiker ceny na towary, sprowadzane do Gdańska w czasie wojny, anonduje strefy niebezpieczne na Bałtyku i wzywa wszystkimi językami do opuszczenia jego wód. W tych wiadomościach nagle przebłyskuje informacja: że dworzec w Gdańsku jest już zajęty przez wojska niemieckie.

O godzinie siódmej budzi się Warszawa. Rozgorączkowany pochyla ją się nad głośnikiem - z głośnika leje się beznamiętna zwykła woda normalnego komunikatu prasowego z dni sierpniowych.

Teraz kanonada milknie na dobre i na długo. Milcząc, spoglądają po sobie. Ciszę przerywa wzruszony głos ministra Chodackiego:

- Jeśli który z panów umie się modlić - zmówcie za tych ludzi wieczny odpoczynek.

Spoglądają na zegarek: jest 8.45.

Rozlega się dzwonek, ale to swoi: radca Wołłowicz i poczcuiwy weterynarz, doktor Mendyk. Mieszkają obok, znudziło im się i przyszli bez oporu ze strony łapaczy. Nastrój nieco się odpręża.

O dziewiątej już i radio warszawskie obwieszcza, że Niemcy wkro-

czyli w granice Rzeczypospolitej, że wojska polskie ukarzą najeźdźcę i że... Westerplatte się broni.

Wreszcie przemawia Hitler. Jąka się, robi przerwy, mówi urywanym głosem - nigdy tak jeszcze nie przemawiał z jakimiś wewnętrznymi oporami. Widać, że ten człowiek wszystko postawił na kartę, że dławi go wściekłość, bo trafił na sprzeciw, którego już nie mógł wyminąć, który go zmusił do porzucenia drogi wymuszeń pokojowych.

34

Słuchają go ci ludzie, nawykli przecie w Gdańsku do cynizmu i nie mogą się otrząsnąć ze strasznego wrażenia, które robi bezwstyd tej mowy, opartej na kłamstwach wynalezionych ad hoc.

Dochodzi jedenasta. Zjawia się lokaj ministra, Wesołowski. Staruszek, otwierając furtę napastnikom, dostał w łeb i przesiedział wystraszony z gospodynią w piwnicy. Teraz, nieco zawstydzony wrócił i zakrzętnął się koło przygotowania śniadania.

Ale nie ma już czasu go zjeść. Bo ledwo zasiedli do stołu, rozległa się na ulicy seria strzałów z ręcznego karabinu maszynowego i natarczywy dzwonek do drzwi. Minister Chodacki podaje każdemu rękę, dziękuje za współpracę, kieruje się do drzwi. Jego współpracownicy wychodzą za nim do salonu i stają o krok za ministrem.

We drzwiach ukazuje się oficer policji mundurowej, a za nim łapacze. Jeden z nich trzyma w ręku karabin maszynowy i zabawnie nim wodzi na wszystkie strony.

Oficer z rękami w kieszeniach zapytuje:

- To pan jest minister Chodacki?

- Tak jest.

- Proszę iść za mną.

- Czy ja jestem aresztowany?

Zgrzeczniał, wyjął rękę z kieszeni:

- Pan jest proszony do Prezydium Policji.

Wyszli.

Zostali łapacze i współpracownicy ministra. Łapacze zręcznie obmacują wszystkich, szukając broni, po czym znowu zapada oczekiwanie.

- Czy prędko pojedziemy?

- Jak nadejdą auta.

Ktoś przypomina swoje więzienne czasy i poucza, że główna rzecz

- nie być głodnym. Zasiadają do przerwanego śniadania, zmuszają się do jedzenia.

O godzinie pierwszej łapacze obwieszczają, że wozy czekają. Komendę obejmuje zastępca ministra, Zawadowski. Każą im jechać po dwóch. Do pierwszego auta wsiada Zawadowski i Zalewski. Za nimi drugim autem jedzie Wollowicz i Mendyk. Inni poczekają na powrót aut. Wysadzono ich przed Prezydium Policji, pieszo prowadzono wzdłuż muru do mieszczącego się na bocznej ulicy więzienia policyjnego. To już jest jasne, że elementarne prawo, według którego dzikie ludy nawet szanują posłów, jest podeptane. Po jakiejś godzinie oczekiwania funkcjonariusze więzienni przystępują do pracy. Przede wszystkim odbierają wszystkie pieniądze, dowody, zegarki i inne drobiazgi.

- Oddamy rzeczy jak będziecie stąd wychodzić - kpinkują szpicle

- wątpimy jednak w to, abyście stąd wyszli.

35

- Zwracamy panom uwagę, że jesteście członkami Komisariatu Generalnego, którym przysługuje immunitet dyplomatyczny.

- Straciliście go. Jesteście zwykłymi zbrodniarzami. Milczeć! Nie rozmawiać ze sobą! Można mówić tylko po niemiecku i głośno!

Więźniowie milkną. Jakże wolno na tych drewnianych ławach ob-

drapanego Zuchthausu wlecze się czas, godzina za godziną. Dlaczego nie przywożą reszty kolegów?

Słuch wbija się w ściany, oko łapczywie wybiega za każdym policjantem, który otwiera drzwi. Czy to się zdaje, że przez ścianę słyszą głos Głogowskiego i Dunsta? Czy to nie przywidzenie, że kiedy na ułamek sekundy otwierano drzwi, mignęła w nich postać Arieta?

Po czterech godzinach żelaznymi wąskimi schodami prowadzą ich w górę. Na trzecim piętrze jakieś obrzydliwe makbetowskie więdźmy warzą cuchnącą strawę. Na czwartym piętrze ładują ich do separarek. Separatki mają półtora kroku szerokości, sześć kroków długości, ale jeden krok z tej długości zabiera klozet, stojący pod otworem, dającym nieco światła. Otwór jest tak wysoko, że nawet wspiąwszy się na klozet, nie można go sięgnąć wyciągniętą ręką.

Ściany są całe podrapane podpisami i napisami, które dyktowało cierpienie: Hier kann Mañ verrückt werden! Hitler verrecke!1; wezwania komunistyczne. I w jednym miejscu skromny zamazany napis: "O Boże!"

Radca Zalewski wypraktykowany w więzieniu bolszewickim, z punktu stara się ułożyć znośny reżym więzienny. Przede wszystkim zakłada więzienny kalendarz, o którym w przedmowie do Moich bojów pisze Piłsudski: niedziela - długa kreska, dzień powszedni - krótka. Rachunek będzie łatwy, bo to wszak I wrzesień.

Potem radca Zalewski odbywa spacer tego dnia. Postanowił, że spacer będzie wynosił dwa tysiące kroków. Ponieważ klozet zabiera dwa kroki, więc czterysta razy przemierza celę.

Wnoszą kolację - śledzia i kartofle w łupinach. Śledzia nie rusza - może nie dadzą wody? Pokoleniami jesteśmy otrząskani po więzieniach i rutynę wysysamy z mlekiem matek.

Dozorca zabiera kolację, odkręca pryczę, każe ściągnąć całe ubranie, które zabiera. Więzień kładzie się na pryczy i w ciszy, która zapanowuje, słyszy... salwy armatnie. Czyżby Westerplatte jeszcze się broniło? Budzi go huk motoru. Co z zaskoczonymi w Komisariacie Arietem, Sobocińskim, Tchórzelskim, Bębenkiem? Co z resztą kolegów, wziętych z mieszkania komisarza generalnego?

A w Komisariacie Generalnym poczęto sobie grzeczniej niż w mie-
' [Red.:] Człowiek może zwariować!; Hitler szaleniec!

36

szkaniu ministra. Jeśli nie liczyć bagateli: rzucenia na podwórze petardy o świcie.

Tyły Komisariatu Generalnego wychodziły na więzienie Schiesstange, w którym więziono Piłsudskiego w drodze do Magdeburga. W ostatnich dniach sierpnia powycinano na podwórzu więzienia gałęzie drzew, tak że stworzono obstrzał na Generalny Komisariat. Obecnie stały na pierwszym piętrze więzienia karabiny maszynowe.

Kiedy na petardę nie nastąpiła reakcja ze strony polskiej, dano na kilka godzin spokój. Osaczeni zniszczyli obie stacje radiowe nadawcze, szyfr, aparaty przeciwpodśluchowe.

O dziesiątej rano zjawił się komisarz policji mundurowej, poprosił poprawnie, aby Herrschaften udali się za nim, ale i tu nie obeszło się bez prowokacji, pytał mianowicie, gdzie jest amunicja do ręcznego karabinu maszynowego i trzech karabinów zwykłych. Okazało się, że przerzucono je nocą przez ogrodzenie i teraz komisarz je "znalazł". Poczciewicz zapewne przypuszczał, że lepiej będzie, jeśli stworzy jakieś pozory. Ale nawet stwarzanie pozorów okazało się zbędne. Już na schodach pchnął łapacz pułkownika Sobocińskiego o ścianę.

Zawieziono ich nie do więzienia policyjnego, ale do Yictoria-Schule,

pośpiesznie zamienionej na więzienie.

ZEMSTA

Ze wszystkich stron pędzono wyaresztowaną ludność polską, nic dziwnego, że nie starczyło normalnych więzień.

Byli pędzeni wśród tłumu zalegającego chodniki. Tłum szalał, pluł, kobiety szarpały ich za ubranie, obelgi ze wszystkich stron sypały się na głowy odznaczonych wojskowych, na głowę... chronionego immunitem radcy. Pod Yictoria-Schule tłoczyła się młodzież niemiecka. Młodzież wyła, pluła, groziła. Dzieci ciekawie zerkwały w głąb bramy. Co się tam działo!

Przed Yictoria-Schule tłum czarnych mundurów SS. W bramie przepuszczają ich przez dwuszeręg esesmanów -po ośmiu z każdej strony, z pałkami gumowymi. Jeden z nich ma pałkę drewnianą, nabijaną gwoździami. Na pułkownika Sobocińskiego i kapitana Tchórzelskiego pada grad uderzeń, oczy ich zalewa krew, nie widzących nic wpychają w podwórze szkoły, gdzie esesmani pastwią się nad innymi już pobitymi i "przepuszczonymi przez magiel" w bramie ludźmi.

Bo to tu zwożą naszych kolejarzy, pocztowców, celników, bo to tu znaleźli się rodzice wszystkich dzieci uczęszczających do szkół polskich, bo to tu ściągnięto działaczy organizacji polskich.

Pocztarzy dostali najmniej. Znienawidzeni przez Niemców, tkwiący w żywym ciele Gdańska jak wspomnienie wygranej przez nas wojny o czerwone polskie skrzynki pocztowe, roznosiciele pism polskich, listów frankowanych markami polskimi według taryfy wewnętrznej, widomi reprezentanci jednolitości obszaru gdańskiego z Rzeczpospolitą, zorganizowani w swoim przysposobieniu wojskowym - postanowili się bronić w gmachu poczty. Wiara w to, że ich wojsko polskie w ciągu godziny wyzwoli, czy znajomość natury niemieckiej, czy świadomość, że dla nich nie ma odwrotu?

Dosyć, że bronili do upadłego, że widać Niemcy musieli uciec się do bardziej energicznych środków niż karabiny maszynowe, bo na ilustracjach, które pt. "Zdobytą pocztą polską" podała ich prasa, czernieją jamy, ziejące miast okien, i powyrywane futryny. . . . :

Kolejarzy zgarnęli na "zdobytym" dworcu i spędzali z mieszkań.

Kolejarzy-Niemców było na obszarze Gdańskiej Dyrekcji Kolejowej pięćdziesiąt procent. Można ich było zwolnić przez sąd pracy. Sądy pra-
38

cy były gdańskie, więc kolejarze-Niemcy byli faktycznie nienaruszalni.

Za to Ich polscy koledzy, mieszkający na terenie Gdańska, byli w tysiączny sposób zależni od presji niemieckiej. Na dwa lata przed wojną miał miejsce słynny zamach na dzieci naszych kolejarzy, od których Niemcy zażądali, aby je posyłano do szkoły niemieckiej. Zakwestionowali około setki kolejarских dzieci. Wygraliśmy wówczas ten zatarg w stosunku 49:7. Teraz Niemcy mieli sobie wziąć odwet za lata hamowanej wściekłości.

Celników prowadzono wśród największych naigrywań gawiedzi. To ci, którzy w każdej godzinie świadczyli swoją pracą, że Gdańsk należy do polskiego obszaru celnego. To ci, którzy podczas aresztowań bezprawnych ostatnich miesięcy, kiedy Rzeczpospolita chcąc uniknąć konfliktów nie mogła ich otaczać należną opieką, którzy wśród petard wrzucanych w okna urzędów, wśród szczucia, pomstowań tłumów, samotni na swoich oddalonych posterunkach, w Piekle, w Kalthofie, na zarzuconej Mierzei Wiślanej wyrzucani - wracali do rozbitych domów celnych, rozpoczynali pracę od nowa.

Pocztowcy, kolejarze, celnicy polscy - żołnierze Polski Walczącej, bohaterowie tym trudniejszej walki, że codziennej, że niezbrojnej i bez

surm bojowych. Teraz ich prowadzono na dziedziniec Yictoria-Schule przez szpalery oprawców.

Przywieziono tu i działaczy polskich. Do naczelnego inspektora celi, doktora Mielecha (znanego w swoim czasie w Polsce piłkarza) strzelano przy aresztowaniu, pobito jeszcze przed przywiezieniem do Yictoria-Schule, stawiano pod ścianą z rękami w górę przed plutonem egzekucyjnym. Przywieziono pobitych księży, zwłaszcza ucierpiał ksiądz Bronisław Komorowski. Wreszcie wśród gawiedzi powstało wycie i jubel: przywieziono posła Lendziona.

Oficer SS podszedł ku niemu:

- Dieses Schwein lebt noch!¹

Pamiętamy, że urzędnicy z mieszkania komisarza generalnego byli wywożeni parami. W ostatniej parze zostali radca Głogowski i sekretarz ministra Dunst.

Nim doczekali auta, czelność niemiecka wzrosła, apetyty się zaostrzyły i nie powieziono ich za innymi do Prezydium Policji, tylko tu, do tego krwawego szpaleru, przez który przed chwilą przeszli pułkownik Sobociński i kapitan Tchórzelski.

Głogowski, wyjeżdżając, nałożył płaszcz komisarza generalnego, bo przyszedł do jego mieszkania bez palta. Kiedy biegł przez szpaler, poły płaszcza rozwiały się, zasłania się od ciosów walizką. Walizka poleciała ' [Red.:] Ta świnią jeszcze żyje?

39

w przód) potknął się, schwycono go za poły płaszcza, przytrzymano, bito dłużej niż innych. Miał przesiąknięty krwią płaszcz, marynarkę i nawet koszulę. Głowa jego przedstawiała krwawą kulę, a włosy jeden wielki krwawy skrzepły kołtun.

Ale szpaler był tylko preludium. Na obszernym podwórzu szkoły pełni uciechy esesmani urządzali sobie nacechowane pomysłowością zabawy z Polakami.

Oto przeprowadzono przez szpaler Arieta. Wpuszczony na podwórze zatrzymuje się, ścierając krew z oczu. Któryś z łapaczy wali go w głowę pałą gumową. Kiedy bity pochyla się, chcąc uniknąć następnego ciosu, stojący z tyłu esesman kłuje go w plecy bagnetem. Ariet wyprostowuje się, otrzymuje ponowny cios, znowu się pochyla instynktownie, znowu otrzymuje ułknięcie. Tłum zaśmiewa się: świetny wynaleźli sposób, ażeby Komisariat Generalny tańczył jak mu każą.

2 podwórza, pokrwawionych ludzi wpędzano do sali szkolnej. Co raz tu wchodzi jakiś esesman i wówczas wszyscy muszą stawać na baczność. Poranieni, pobici, opuchli ludzie nie widzą tych wejść, więc pośpiesznie sąsiedzi trącają ich ostrzegawczo. Mówić bowiem nic nie moż-

na.

Do tej widmowo cichej sali, pełnej maszkar niepodobnych do ludzi, raz po raz wpychają nowe ofiary prosto "spod magła". Wprowadzają Radkego, dyrektora Banku Związku Spółek Zarobkowych; ma, zamiast oka, krwawą plamę.

Czarny esesman gestem każe za sobą iść posłowi Lendzionowi i działaczowi wśród kolejarzy, Sniegockiemu.

Skrwawione widma ostrożnie przysuwają się do okna, aby rzucić jedno spojrzenie na podwórze. Nie, Lendzion i Sniegocki jeszcze będą żyli. Dają im kubły i długie druty i każą im czyścić ustępy w całym gmachu.

Po paru godzinach zapiekli w sobie, chmurni jak noc, wracają. Słowa od nich nie można wydobyć. Nazajutrz znowu rozlega się komenda:

-Posła Lendzion do wychodków!...

Tak świętuje nazistowska hołota swoje zwycięstwa, tak demonstruje, wobec pobitej masy wyborców Lendziona, jego poniżenie. Okazało się, że dieses Schwein nie na próżno pozostawiono przy życiu. Trzeba się nim jeszcze pobawić. Es lebe Hitler! Sieg Hitler!

Wreszcie oficerowie i urzędnicy Komisarjatu Generalnego, znajdujący się w Yictoria-Schule zostali przeprowadzeni do Schiesstange. I tym razem prowadzono ich wśród szpalerów dzieci urągających i plujących. Jakiś wyrostek coś krzyknął, wskazując na walizkę kapitana Tchórzelskiego, i żołnierz z eskorty mu tę walizkę wykopał. Już w drodze pobito jednego z więźniów, pilota portu, którego złote guziki w mundurze

40

marynarskim wywołały drwiny i wybuchy wściekłości. Przy wejściu do Schiesstange eskorta, idąca w przedzie zatrzymała się nagle. Eskortą idącą w tyle poczęła wobec tego bić uwięzionych, karcąc za zatrzymanie się. Kiedy ci próbowali iść naprzód, eskorta przednia biła ich za to, że się pchają. Nie wiadomo, jakby długo trwała ta zabawa, gdyby nie rzucili się w przód i nie wpadli do więzienia.

TORTURY I MORDERSTWA

Radca Zalewski, odmierzający swoje dwa tysiące kroków w celi, liczącej półtora kroku szerokości, nic nie wie o tym. Kiedy złożył już według rozkazu ubranie na stołku więziennym, kiedy bosy czekał na strażnika, który ubranie zabierze i nary spuści, kiedy następnie położył się, słuchał kanonady na dalekiej Westerplatte i zapadł w półsen - nie wiedział, czy jest potraktowany specjalnie ostro, czy też Bogu powinien dziękować za tego śledzia z kartoflami i za ten żywot doczesny.

Koło zapewne dziesiątej wieczorem słyszy kroki, zapaliło się światło, zgrzytnął klucz - do celi weszło dwóch przysadzistych ludzi w cywilnych ubraniach. Za nimi widnieje już na korytarzu sylwetka strażnika więziennego. Czy to złudzenie - wydaje się, że twarz tego strażnika wyraża trwogę.

Twarze przybyszów nie mówią nic. Są jakby jednakowe, opiekle, z grubą ciosane. Głowy mają osadzone na kwadratowych szyjach.

- Nazwisko? - schrypłym głosem wyrzuca jeden z nich.

Zalewski leży na wznak z rękami pod głową:

- Zalewski, Legationsrat der Republik Polen.

Wybuch śmiechu.

-Jakie stanowisko przedtem?

- Konsul Rzeczypospolitej w Olsztynie.

W ziemi Smętka przez szereg lat konsul Zalewski trwał na ciężkim stanowisku.

- I pan jeszcze się ośmielił w Gdańsku działać? Nie bał się pan?

Milczy.

- Jak pan przypuszcza, co z panem będziemy robić?

- Nie wiem...

Śmiech urągliwy:

- Ach, Sie wissen nicht...1

Drzwi się zatrzasnęły. Słychać dalsze odmykanie cel. Potem milknie wszystko.

Zalewski nie może już zasnąć. Wizyta tych dwóch nie była niczym więcej niż normalnym chamstwem, a przecież biło coś oślizłego i coś strasznego od tych kwadratowych postaci.

' [Red.:] Ach, Pan nie wie...

42

Motor na podwórzu więziennym znowu poczyną pracować. Zalewski, sam automobilista, nie może zrozumieć co znaczy takie ambalowanie motoru.

Nagle przez szum motoru przedziera się nieludzkie wycie. Ten głos, oszalały bólem, draży mury więzienia.

Cisza.

Znowu puszcza motor. Znowu słychać wycie, tym razem słabsze.

Po raz trzeci puszcza motor. Czy to już mówi rozgorączkowana wyobraźnia, czy też istotnie słychać poprzez ten szum motoru słaby Jęk.

Teraz zajeżdża ciężarówka. Słychać szczucie psów, warkot krwiożerczy brytanów, nawoływanie się i zachęcanie siepaczy, okrzyki nabrzmiałe bólem.

Widać przywieziono nowe ofiary.

Zapanowuje chwilowa cisza i Zalewski zapada w sen. Nagły warkot motoru go budzi.

Huk wibruje w całym więzieniu. Zalewski przebija się słuchem poprzez ten huk, starając się wyłowić jęki ludzkie. Ale słyszy tylko tępe jakieś odgłosy. Czy to motor przebija?

I kiedy motory milkną nagle, rozlega się - wyraźnie i jasno - zapóźniony wystrzał.

Tak trzy razy z rzędu powtarza się zapuszczanie motorów i tępe odgłosy.

Potem słychać, jak rusza wóz. Wywożą trupy.

Zalewski rozumie, że to wyrzynają ludność polską. Tych, którymi się opiekował. Tych, których znał, których umacniał. Którzy szli do niego po opiekę i ratunek.

Na ranem powtarza się znowu seria tortur i egzekucji.

Kiedy mu strażnik kazał podnieść rano pryczę, radca Zalewski odmierzać zaczął swoje dwa tysiące kroków. Przerywa mu inspekcja. Gestapowcy sprawdzają cele i każą wykrzykiwać nazwiska. Zalewski głośno krzyczy swoje. Może inni posłyszają? Istotnie, po chwili słyszy nazwiska:

- Sobociński...

- Mendyk...

- Wołłowicz...

- Zawadowski...

Więc żyją...

Istotnie tegoż dnia, 2 września, przewieziono do Prezydium Policji Sobocińskiego i Tchórzelskiego, umieszczając ich w trzecim z rzędu więzieniu. Do karetki więziennej wprowadzono razem z nimi urzędnika z ekspozytury cel, który nie ma immunitetu. Widać ten immunitet coś

43

r
jeszcze znaczy, bo biedaka właczają do klatki wbudowanej w wozie, w której zamknięty na kłódkę, musi jechać w pozycji stojącej.

Tego dnia przywieziono do więzienia policyjnego Dunsta, Lendziona, Moderowa, Wiercińskiego.

Przewodniczący polskiej delegacji inżynier Wierciński, jego zastępca radca Moderow i członek delegacji, komandor Poznański zostali aresztowani w Sopocie dnia 1 września o godzinie szóstej rano. Przeprowadzeni do miejscowego Komisariatu Policji, gdzie w odpowiedzi na oświadczenie ich, że są eksterytorialni i posiadają paszporty dyplomatyczne, miejscowy szef SS powiedział:

- Das war seiner Zeit, jetzt ist aber ungültig!

Po przetrzymaniu godziny pod ścianą w korytarzu Komisariatu, gdzie znajdowali się już stłoczeni wszyscy Polacy, zostali oni załadowani na wozy ciężarowe do przewożenia mięsa i wśród wygrażań tłuszczy przewiezieni do Gdańska.

Widać nie starczyło nocy, bo wycia i tortury trwają przez cały dzień i motor warczy nieustannie. Z celi obok Zalewskiego wyprowadzają jakąś kobietę. Po chwili przeraźliwy jęk kobiecy przebija się przez motor. Po pewnym czasie słychać jak otwierają drzwi jej celi. Nie można sobie dać rady, słuchając tego bezbronnego chlipania. Strażniczka więzienna mówi coś do niej, opuszcza pryczę, mimo że jest dzień. Zebyż ta kobieta krzyknęła choć jedno słowo - kim jest...

Przeszła noc drugiego dnia. Zastępca komisarza generalnego, Zawadowski, leży w celi i tak jak wszyscy wsłuchuje się w noc, która w tym strasliwym miejscu nie jest martwa, która jest pełna wyrazu.

Zgrzytnęły drzwi do sąsiedniej celi.

- Du bist Lendzion! - pyta chrapliwy głos.

Po czym zaraz bezpośrednio: - Gas-Alarm!...

Słychać szamotanie; chryp ofiary.

- Raus mit der Zungel

Szamotanie. Głuche stękanie. Trzasnęły drzwi.

- Na, der wird schon nicht mehr schwatzen!... - mówi jeden z oprawców, stając u drzwi celi Zawadowskiego.

' To miało miejsce w swoim czasie, ale nie obowiązuje obecnie.

Dawaj język!

3 [Red.:] No, ten już kłamać nie będzie!...

W wydaniu krajowym autor dodaje do swego pisanego na emigracji tekstu - jako komentarz do niego - relację pana Jana Dunsta. Zamieszczamy ją na końcu rozdziału.

44

Dlaczego stoją pod drzwiami? Dlaczego nie przechodzą! Co znaczy ten szept pod drzwiami?!... czyżby oni...

Zgrzytnął klucz:

- Du bist Zawadowski!...

- Gas-Alarm!...

Gaśnie światło. Jakież żelazne dłonie chwytają Zawadowskiego za gardło. Resztą świadomości słyszy okrzyki:

- To za Kalthof!

Zawadowski był zastępcą komisarza generalnego. Jego poprzednik, Perkowski, był uczestnikiem pamiętnego zajścia w Kalthof, kiedy szofer jego auta w obronie własnej zastrzelił niemieckiego awanturnika. Kiedy odzyskał przytomność, napastników w celi nie było. Czuł, że ma pokancerowane nogi i szyję opuchłą. Kiedy zaczęło świtać, stwierdził, że ma całe stopy sine. Podczas, kiedy jeden drab go dusił, inny mu miażdżył palce.

Rankiem wynoszono Lendziona. Zawadowski przytknąwszy ucho do drzwi słyszy rozmowę niosących strażników:

- Jak można było tak z człowiekiem postąpić. Wcale nie ma policzka!

W tym trzecim dniu więzienia (to jest niedziela) również przez cały dzień słychać koncert torturowanych.

Do celi kapitana Tchórzelskiego raz po raz od rana tego dnia wchodzi któryś z esesmanów z zapytaniem:

- Wie heissen Sie?

Kapitan Tchórzelski wymienia nazwisko, zapytujący cofają się, zamykając drzwi.

Kapitan Tchórzelski nie ma zegarka. Kiedy pierwszego dnia na podwórzu Victoria-Schnle odbierano więźniom rzeczy, kapitan widząc, że jego papierosnica znikła ze stołu ustawionego na podwórzu, na którym składano przedmioty, pochwycił swój piękny złoty repetier na grubym złotym łańcuchu i owinał ten łańcuch wokół ręki. Esesman szarpnął

zegarek, a nie mogąc zerwać łańcucha i widząc, że kapitan Tchórzelski nie puszcza, gruchnął zegarkiem o stół i strzaskął go. Kapitan Tchórzelski próbuje odgadnąć, czy to nie jaki regulamin z tym ciągłym pytaniem, czy nie da się wymierzyć między jednym pytaniem a drugim równych jednostek czasu.

W pewnej chwili drzwi się otwierają, staje w nich nowy esesman; tym razem jest to drab o tak szerokich barach, że wypełniają całą futrynę.

- Wie heissen Sie?

[Red.:] Jak się pan nazywa?

45

- Kapitan Tchórzelski - odpowiada, nie spodziewający się niczego, więzień.

Szybki cios sierpowy uderza go w szczękę z prawej strony, następny z lewej i drzwi się zamykają. Kapitan wypluwa przedni ząb i trzy korony. Inne zęby w szczęcie mu się ruszają.

WYZWOLENIE

Atiswartiges Amt ocenia, że pobawiono się w sam raz...

Koło południa tego trzeciego dnia w klatce schodowej na dole więzienia, oddzielonej kratą od korytarza, zebrano: Zalewskiego; Zawadowskiego utykającego, z pręgami na szyi; opuchłego Głogowskiego; Arleta pokłutego bagnetami; pobitego pułkownika Sobocińskiego, z głową spuszczoną, milczącego; kapitana Tchórzelskiego, ślaniającego się, półprzytomnego: ma szum w uszach i zęby mu się ruszają. Ostatniego wprowadzają doktora Mielecha, sponiewieranego, z podbitym okiem, bez kołnierzyka: ten też ma zaciśnięte usta, spuszczoną głowę i nic nie mówi.

Więźniów otaczają z rewolwerami gestapowcy, którzy nie krępują się bynajmniej w wyrażaniu swych uczuć;

- Po co te psy żywić? Już w pierwszym dniu należało ich wystrzelać bez litości.

Któryś z Polaków odezwał się do współtowarzysza.

-Nie rozmawiać, polska hołoto!

Teraz kratą się odmyka i prowadzą ich parami. Strażnik przy kracie nie ukrywa zdumienia:

- Dlaczego nie pojedynczo?

Widać technika torturowania tego wymaga.

Gestapowcy wzruszają ramionami:

- Tak kazano.

Nie kończącymi się przejściami i labiryntami prowadzą więźniów.

Pierwszy idzie Zalewski, podtrzymując Tchórzelskiego.

W pewnym miejscu otwierają się drzwi i wchodzi do wielkiej sali. W sali tej nad wielkim stołem wiszą portrety Hitlera i Hindenburga. Pod portretami za stołem stoi dwóch panów. Jeden w czarnym uniformie oficera SS, drugi w zielonym mundurze partyjnym.

Pod ścianą naprzeciwko stoi zmizerowana gromadka ludzi. Poznają kapelana Westerplatte, Kaszubę, księdza Bamke, poznają szoferów i woźnych, pomniejszych funkcjonariuszy Konsulatu Generalnego.

Boże, jakież to wszystko zmaltretowane!

Dygnitarz w nieskazitelnym mundurze SS pyta ich o personalia, o to, kiedy każdy z nich przybył do Gdańska, do jakiej się poczuwa narodowości.

47

Kiedy kolej przychodzi na Grotha, dygnitarz, posłyszawszy, że jest z urodzenia gdańszczaninem, każe sobie jeszcze raz przesylabizować jego nazwisko i zwraca się z odcieniem współczucia:

- Od kiedy pan przyznaje się do mniejszości polskiej?

Groth jest Kaszuba, nie ma immunitetu dyplomatycznego, ma rodzinę, ma straszną naukę minionych trzech dni. Oto życzliwy mu dygnitarz wyciąga most, po którym się wciągnie do życia, podsuwa mu odpowiedź.

Jakże bez polotu są ci Kaszubi! Nie robi żadnego bohaterskiego gestu, odpowiada całkiem po prostu, jakby szło nie o odpowiedź ważącą o życiu, a o zwykłą formalność registryjną:

- Od zawsze.

Tak oni wszyscy, kiedy zachodziła kwestia, czy zostać, stwierdzali bez cienia patosu, że zostają,

Teraz tamtych biedaków wyprowadzają i grupie "immunkarów" każą zająć ich miejsce pod ścianą. Pan w mundurze SS stwierdza personalia każdego z nich, po czym się przedstawia:

- Jestem doktor Westermeier z Auswärtiges Amt. Przysłano mnie dla załatwienia panów wyjazdu. Dowiedziałem się, że spotkały panów pewne przykrości. W czasie wojny nie wszystko da się zawsze ułożyć. Muszę jednak oświadczyć, że uznajemy panów immunitet1,

Radca Ariet wybuchł: - Pewne przykrości?... Przecież pobito - pokazuje dookoła ręką - i pułkownika Sobocińskiego i radców. Głogowskiego, i kapitana Tchórzelskiego, i mnie...

- Panie Ariet - mówi doktor Westermeier - w czasie wojny przecie różnie bywa...

Ale Ariet wychodzi z siebie:

- Bagnetami mnie kluto, słyszy pan? Bagnetami...

Doktor Westermeier zmrużając oczy:

- Bardzo mi przykro, będziemy musieli zrobić w tej sprawie dochodzenie. Pan złoży zeznanie, panie Ariet...

Po czym zwracając się do wszystkich:

- Auta czekają. Będą panowie łaskawi udać się po swoje rzeczy do mieszkań, po czym dziś jeszcze wyjedziemy nad granicę litewską. Szpicle, stojący pod ścianą, mają wyraz twarzy niezmiernie głupi. Wyglądają jak psy, które straciły trop.

Po godzinie poczynają urzędnicy Komisarjatu Generalnego ścigać z rzeczami z powrotem. I kiedy oczekują w Prezydium Policji, w przyległym gabinecie gra radio. Słyszą, że Anglia i Francja wypowiedziały wojnę. Jest to największy balsam za poniesione cierpienia.

1 Niemcy zorientowali się, że Polska zatrzymała część ich personelu jako gwarancję.

48

Szpicle zmienieni, łaskawszy, poczynają nie proszeni wdawać się w rozmowę. Pogardzając, trudno nie słuchać. Odwracając ku oknom objęte głowy, łapią więźniowie chciwym uchem straszliwe wieści o postępach armii niemieckiej w Polsce. Chyba ci szpicle kłamią!

Ale ci szpicle mówią, że Westerplatte broni się wciąż. Ze dzisiaj właśnie ukazała się na jej murach biała flaga. Niemcy ruszyli triumfalnym marszem czwórkami, z szarżami na przedzie, aby wkroczyć do wewnątrz. Przywitał ich ogień wszystkich karabinów maszynowych, który zasłał jezdnię gęstym pokotem niemieckich trupów. Strażnicy opowiadali o tym bez oburzenia, jak o dobrym kawale wojennym. Kto jednak znał majora Sucharskiego, ten wie, że nie uciekłby się do takiego podstępu.

Ale to grunt, że się Westerplatte broni, że zadaje straty Niemcom.

Jeśli Westerplatte się tak broni, to coś dopiero Polska? Kłamią ci szpicle.

Ostatni zjawia się Ariet. Ma rzadką minę. Doktor Westermeier oświadczył, że jego zarzuty są poważne, że śledztwo zajmie dłuższy czas, że wobec tego radca będzie łaskaw zostać czas dłuższy. Chyba

że... Chyba że podpisze protokół, w którym stwierdzi, że nie ma żadnych pretensji.

I Ariet podpisał.

Kto zna uzusy niemieckie, nie może się mu dziwić. Te badania kończyły się zawsze stwierdzeniem, że Polak oskarżał fałszywie, i wytoczeniem mu sprawy o oszczerstwo.

Teraz ukazuje się Westermeier. Oświadcza, że ponieważ jest już późna pora, a jeżdżenie ze zgaszonymi latarniami nie należy do bezpiecznych, więc nasi dyplomaci będą musieli spędzić jeszcze tę jedną noc w Gdańsku. Naturalnie nie w więzieniu - dodaje pośpiesznie.

Ktoś wysuwa projekt, aby w mieszkaniu komisarza generalnego.

- Nie widzieliśmy go od czasu rozstania przed trzema dniami i chcielibyśmy coś wiedzieć.

- Ach, naturalnie - cieszy się doktor Westermeier - to rozwiązuje sprawę. Będą panowie łaskawi pójść do więzienia po pozostawione drobne rzeczy.

Szpiclom znowu przybywa fantazji. Znowu poczynają hukać i pokrzykiwać. A to rozmawiać ze sobą nie można, a to wyglądać oknem.

Krętymi schodami idą znów na czwarte piętro do swoich cel, znów na trzecim piętrze widzą jędrze warzące strawę.

Kto wie, czy się znowu za nimi nie zatrzasną drzwi. Wszystko jest możliwe w tym kraju nihilizmu moralnego.

Ale nie. Wracają na dół. Znowu sala i znowu doktor Westermeier jest zmartwiony.

Z pewnych względów zamieszkanie u ministra Chodackiego jest niemożliwe.

49

- Ale zamieszkają panowie - krzywy uśmieszek - w hotelu, który zapewne jest im znany: w hotelu Yanselów.

Hotel Yanselów! To w nim była pierwsza siedziba Komisariatu Generalnego, kiedy w 1919 roku rozpoczął w Gdańsku swą pracę.

Lubi symbolikę naród Wagnera. I żadnej przyjemności postanowili sobie nie odmówić: szpicle sobie, Westermeier sobie.

Swoją drogą okazało się potem, że istotnie nie mogli umieścić ich w mieszkaniu ministra Chodackiego, z tej prostej przyczyny, że je ograbili doszczętnie.

Minister Chodacki był znanym zbieraczem i jego meble przedstawiały wartość nieraz muzealną. Wszystko to przepadło. Heil Hitler!!

Się g Heil!!!...

W hotelu Yanselów znalazł się wreszcie minister Chodacki. Jego na szczęście nie bito fizycznie, ale zastosowano "torturę Schuschnigga". W pokoju w Prezydium Policji, który zajmował, zmieniali się po kolei łapacze, wygłaszając nauki dotyczące narodowego socjalizmu, puszczając radio z mowami propagandowymi i gramofon z mowami Fuhrera.

Kiedy zasypiają, po raz pierwszy od trzech dni mając poduszki pod głową, o uszy ich uderza chrzęst blach pancernych. To broń zmotoryzowana ciągnie na Gdynię.

Budzą ich nazajutrz o pół do czwartej. Podczas śniadania (okropne namiastki kawy i masła, za które zapłacili sami) wchodzi do sali wyświeżony, cały w uprzejmych uśmiechach doktor Westermeier.

Zbliża się do ministra Chodackiego, siedzącego w łożu restauracyjnej, wyciąga rękę:

- Guten Morgen, Herr Minister...

Minister Chodacki powstał na powitanie, cofnął rękę w tył i spojrzał z zapytaniem w oczy Niemca. Ręka doktora Westermeiera zawisła w powietrzu...

Relacja Jana Dunsta1

W sprawie pracowników Biura

Komisarza Generalnego RP, w Gdańsku

Pod koniec sierpnia 1939 r. władze gdańskie przetrzymywały pociągi z Tczewa do Gdańska-Gdyni na stacji Pszczółki przez kilka nawet godzin. Około 20 sierpnia 1939 r., kiedy po takim "przetrzymaniu" pociągu w Pszczółkach przybyłem do Biura Komisarza Generalnego dopiero około godz. 11, min. Chodacki zaproponował mi najpierw "ewakuację" 1 l-Tł | 1 f» | • ł •

[Red.:] Z wydania krajowego.

50

do Polski. Nie zgodziłem się. "Panie ministrze. Przez cały czas zachęcaliśmy ludzi do walki z żywiołem niemieckim i żądaliśmy wytrwania. A teraz - gdy zaczyna być gorąco - mamy ich zostawić?" "Spodziewałem się tego po panu. Uważa pan, że nie powinniśmy byli nikogo ewakuować?" "Poniekąd tak. Moim zdaniem wszyscy powinni zostać, zwłaszcza, że są na liście dyplomatycznej." "Panie kolego. Nie wszyscy są tacy twardzi. Od dzisiaj będzie pan mieszkał u mnie. Pojedzie pan do domu i zabierze niezbędne rzeczy."

Tak zamieszkałem na kilka dni przed wojną w mieszkaniu służbowym Komisarza Generalnego RP w Gdańsku przy ul. Marii Curie-Skłodowskiej (dzisiejsza siedziba Dziekanatu Akademii Medycznej). W dniu 31 sierpnia 1939 r. wyjechaliśmy jak zwykle około godz. 14 na obiad, zabierając tym razem Wiesława Arieta, który był wyznaczony do nocnego dyżuru w Biurze Komisarza Generalnego RP w Gdańsku przy ul. Neugarten 27 (obecnie gen. Świerczewskiego - siedziba KMMO - Wydz. Drogowy). Około godz. 16 Chodacki i Ariet wyjechali do biura, ja zostałem w mieszkaniu. Radioodbiornik był nastawiony na Warszawę, która nadawała normalny program z przewagą muzyki.

Po godz. 20 wrócili Chodacki z radcami Komisariatu Antonim Zalewskim i Adamem Głogowskim. Nasze MSZ poinformowało komisarza generalnego depeszą zaszyfrowaną, że rząd polski zamierza wysłać delegację do Berlina na pertraktacje z III Rzeszą w sprawie Gdańska. Na moją uwagę, że nas przecież mobilizacja strasznie drogo kosztuje, odpowiedział mi dosłownie: "Panie kolego. Dziesięć niepotrzebnych mobilizacji jest tańszych od jednej wygranej wojny". W tym samym czasie Zalewski przełączył radio na Gdańsk i to w momencie, gdy nadawano komunikat o warunkach Hitlera w sprawie rozwiązania problemu Gdańska, Pomorza z autostradami, tranzytami itp. Wysłuchaliśmy komunikatu w skupieniu, po czym Chodacki oświadczył: "Panowie, to znaczy wojna. Mam ostatnią butelkę koniaku w piwnicy, napijmy się na pohybel Niemcom i Hitlerowi". Po godz. 22 Chodacki przeprowadził rozmowę telefoniczną z Arietem - dyżur w biurze pełnili razem z nim Alojzy Bębenek i Andrzej Borówko (obsługa radiostacji), po czym poszli do swoich pokojów. Zarówno Zalewski, jak i Głogowski spędzili noc w mieszkaniu Chodackiego. Telefony, to jest miejski gdański i bezpośredni Poczty Polskiej, były przy moim łóżku. O godz. 2 - jak zwykle o tej porze - próbowałem się połączyć z biurem. Telefony głuche. Gdański na pewno zablokowany, natomiast do bezpośredniego Poczty Polskiej przecięto prawdopodobnie kable. Obudziłem Chodackiego i zameldowałem mu, że jesteśmy odcięci. "To znaczy - zaczęło się. Prześpijmy się, nie wiadomo, co nam rano przyniesie."

51

Cisza była kompletna, żadnego łoskotu, żadnych jeżdżących czołgów nie słyszałem.

O godz. 4.35 obudziła mnie pierwsza salwa "Schleswig-Holstein" i

prawie jednocześnie dobijanie się do drzwi wejściowych do siedziby Komisarza Generalnego RP. Wyskoczyłem z łóżka, w piżamie, i wyszedłem na balkon. Przed drzwiami wejściowymi trzech cywilów w tyrolskich kapelusikach, jeden z nich uzbrojony w pistolet maszynowy -- ten sam zresztą, który uczestniczył w lipcu 1939 r. w rewizji domowej w mieszkaniu moich rodziców w Gdańsku przy ul. Stągiewnej 13 (Milch-kennengasse). "Los! Aufmachen."

Poszedłem do pokoju Chodackiego i zameldowałem o sytuacji. "Panie kolego. Proszę im powiedzieć, że otworzymy jedynie wówczas, gdy się zjawi oficer policji w mundurze."

Wróciłem na balkon i powiedziałem: "Ihr klopfen ist zwecklos. Wir öffnen nicht, solange ein uniformierter Offizier nicht erscheint".

Naradzali się dość długo, nie wiedząc widocznie, co począć. Zatrzymali przejeżdżający samochód, porozmawiali z kierowcą i czekali. W każdym razie przestali się dobijać. Chodacki, Zalewski i Głogowski ogolili się i ubrali, ja uczyniłem to jako ostatni. W tym samym jednak czasie inne grupy "łapiduchów" szalały po drugiej stronie domu. Działali według ściśle opracowanego planu i z pruską dokładnością. Mieszkanie Chodackiego powierzono innym "drabom", więc boczne wejście do tego mieszkania zostawiono w spokoju. Układ mieszkania nie pozwalał na obserwowanie ulicy z drugiej strony domu.

Tymczasem kanonada nie ustawała. Pierwszą przerwę zanotowaliśmy około godziny 7, jednak jazgot karabinów maszynowych nie ustawał. Jednocześnie jednak mknęły w kierunku szpitala miejskiego (obecnie Akademia Medyczna) karetki i to jedna za drugą. Wiadomo - to nie mogli być ranni Polacy.

Po niedługiej przerwie kanonada rozpoczęła się na nowo. W dalszym ciągu karetki mknęły w kierunku szpitala. Lotnictwo niemieckie w tym dniu nie weszło do akcji - nastąpiło to dnia następnego - a sądzę, że założono, iż Gdańsk uzbrojony po zęby przez III Rzeszę rozprawi się przy współudziale "Schleswig-Holstein" w mgnieniu oka z garstką Polaków. Wreszcie około godz. 9 umilkły działa, umilkły karabiny maszynowe, nastała kompletna cisza. Chodacki - raczej przygnębiony: "Gdybym umiał się modlić, zmówiłbym pacierz za tych chłopców". Nie przypuszczał ani on, ani żaden z nas, tam wtedy obecnych, że prawie pięciogodzinne ataki niemieckie załamały się na garstce obrońców tego małego skrawka ziemi polskiej w Gdańsku. Nikt z nas nie wiedział, że wiele wysiłku i trudu kosztowało Niemców zdobycie gmachu Poczty Polskiej.

52

Rozgłosnie niemieckie nadaje przemówienie Hitlera, Gdańsk po przemówieniu Forstera włącza się do programu ogólnoniemieckiego, a Warszawa nadaje muzykę marszową. Chodacki - wściekły, Zalewski - zdenerwowany, a Głogowski - całkowicie przygnębiony. Przykrą i ciężką atmosferę rozładował Chodacki. "Panowie, pomyślmy o śniadaniu. Zobaczę, czym dysponujemy." Śniadanie jedliśmy na stojąco. Nie dane nam było je skończyć. Około godz. 10 dzwonek u drzwi wejściowych. Wychodzę na balkon na piętrze, przed drzwiami oficer policji w mundurze i tylko on jeden był widoczny z balkonu, mimo że z miejsca tego miałem widok na całą ulicę. Wracam i melduję Chodackiemu; "Panie ministrze, przed drzwiami oficer policji w mundurze. Co robić?"

"Musimy otworzyć".

Otwieram. A tu jak dzikusy wpadają trzej cywile, ci sami zresztą, którzy rano dobijali się do drzwi - skąd się wzięli, ani wtedy nie wiedziałem, ani teraz nie jestem w stanie się nawet domyślić; za nimi oficer z prawą ręką w kieszeni - wiadomo, na pistolecie gotowym do strzału.

Cywil z pistoletem maszynowym, wymierzonym w nas, zajmuje miejsce na schodach wiodących na piętro, zaś dwaj pozostali przystępują do rewizji osobistej. Chodacki protestuje. Protest uwzględniono tylko w odniesieniu do jego osoby. Przekonawszy się, że nie posiadamy broni, oficer wyjmuje rękę z kieszeni i zwraca się do Chodackiego, aby mu towarzyszył. "Czy mam rozumieć, że jestem aresztowany?" "Nie, jesteście tylko proszeni, aby nam towarzyszyć" (Nein, Sie sind nur gebeten uns zu folgen). "Dziękuję panom za wytrwanie i do miłego zobaczenia w lepszych warunkach", a zwracając się do mnie: "Panie kolego, tę walizkę proszę zabrać i proszę ubrać mój płaszcz".

Zegna się z każdym z osobna i wychodzi w towarzystwie oficera, następnie Zalewski z jednym z cywilów. Zostaję z Głogowskim. "Panie muszą poczekać, aż nadjedzie samochód."

Wyjeżdżamy jako ostatni, wiozą nas do Victoria-Schule. Kierowca otwiera drzwi i woła: "Den Sekretar des Diplomatischen Vertreters haben wir auch schon" (Sekretarza przedstawiciela dyplomatycznego też już mamy).

Przed szkołą tłumy ludzi, przeważnie kobiety. Na korytarzu szkoły szpaler SA. Przez ten szpaler każdy musi przejść. Biją niesamowicie. Głogowski, stosunkowo niski - na szczęście był we własnym płaszczu - ułatwiał oprawcom swoim wzrostem skuteczność uderzeń. Cały zakrwawiony, w nocy gorączkował. Szczęśliwie przebrnął przez ostatnią parę siepaczy, która z reguły podstawiała nogi przechodzącemu przez szpaler. Biada temu, który upadł.

Dantejskich scen na dziedzińcu szkolnym, oraz zmasakrowanego wyglądu działacza polonijnego Romana Ogryczaka, nie da się opisać.

53
Twarz postrzępiona, oko wybite - pierwsza śmiertelna ofiara bestialstwa i bandytyzmu hitlerowskiego w Gdańsku.

Przez szpaler przeszedłem względnie "szczęśliwie". Skończyło się na lekkim rozcięciu czoła i skaleczeniu nogi - skóra zerwana do samej kości. Ale to był początek. Na dziedzińcu szkolnym każdy esesman krzyczał "Hierher" (tutaj), gdy tymczasem trzeba było stanąć zwyczajnie w kolejce do rejestracji. Chodziło po prostu o "skołowanie" aresztowanych i znęcanie się nad nimi. Głogowski stanął przede mną w kolejce. Przeszedł gładko i odprowadzony został do małej sali gimnastycznej. Ode mnie zażądano najpierw klucza od samochodu - a ja nigdy samochodu nie posiadałem - potem wskazania miejsca jego postoju. Okazuje się, że nie wszystkie informacje, zebrane przez Niemców, były ścisłe. Walizkę musiałem otworzyć. Papierosy, które Chodacki do niej włożył, zostały natychmiast "skonfiskowane" na prywatny użytek rewidujących. W klapach marynarek były wstążki Virtuti Militari. "Was ist das?" (Co to jest?). "Keine Ahnung. Es gehört Minister Chodacki" (Nie mam pojęcia. To należy do ministra Chodackiego). "Es gibt hier keinen Minister". (Tu nie ma żadnego ministra). "Das höre ich zum ersten mal" (To słyszę po raz pierwszy). "Du musst doch wissen, was für Orden das ist" (Musisz przecież wiedzieć, jakie to jest odznaczenie). "Entschuldigen Sie bitte, aber wir haben im Sand nicht gespielt" (Przepraszam pana, ale nie bawiliśmy się w piasku).

Przesadziłem. Uderzenie, okulary spadły. "Los, die Brille aufheben" (Jazda, okulary podnieść).

W tej chwili stanął mi przed oczami leżący Ogryczak; domyśliłem się, w jaki sposób oprawcy go urządzili. Schylając się po okulary bacznie obserwowałem nogę esesmana. W chwili gdy jego noga była gotowa do kopnięcia, błyskawicznie się odsunąłem, esesman runął na ziemię, ja okulary podniosłem. Hitlerowiec zemdłał, a mnie również zbroczonego

krwią odprowadzono do małej sali gimnastycznej.

W tej małej sali gimnastycznej umieszczono również aresztowane niewiasty i dzieci. Z pracowników Komisariatu Generalnego zastałem tu Wiercińskiego i kmdr. Poznańskiego. Głogowski zaopiekowało się kilka niewiast, obmywając go z krwi i starając się zahamować dalszy jej upływ. Kilka innych wzięło mnie w opiekę. Walizka Chodackiego wnet się opróżniła. Wierciński - bez marynarki, ks. Górecki - tylko w bieleźnie nocnej, ks. Komorowski - jeszcze półprzytomny (pełni sił nie odzyskał aż do samego rozstrzelania) w koszuli nocnej i spodniach. Pod wieczór zaczęto zwalniać niewiasty i dzieci. Trwało to całą noc aż do wczesnych godzin rannych. Robiło się luźniej, ale o jakimkolwiek odpoczynku mowy być nie mogło. Krzyki na dziedzińcu szkolnym, świecące reflektory, otwieranie w regularnych odstępach czasu drzwi wejś-

54

Ł

ciowych, oświetlanie hali silnym światłem latarek ręcznych, wywoływanie niewiast i dzieci do zwolnienia - to wszystko przy niesamowitej ciasnocie nie pozwalało na zmrużenie oka.

Późnym wieczorem zachęcano ochotników do spaceru. Skończył się po kilkunastu minutach, bo tyle czasu potrzeba było na dokonanie zdjęć do kroniki filmowej.

Skutki tego dnia miałem odczuć dnia następnego. Noga zaczęła się jątrzyć, głowa pękać z bólu. Przy pierwszej okazji poprosiłem o doprowadzenie mnie do lekarza. "Was? Mit dem Dreck zum Arzt?" (Co? 2 tym łajnem do lekarza?) Po upływie niecałej godziny zgłasza się ten sam esesman. "Der zum Arzt wólkę mit Gepdck raustreten" (Ten, który chciał do lekarza, wystąpić z bagażem).

Przeniesiono mnie do dużej sali gimnastycznej. Mała sala gimnastyczna była luksusem w porównaniu z tym, co tu zastałem. Tu nie można było nawet pomyśleć o tym, aby usiąść. A do tego zakaz otwierania okien. Nie było czym oddychać. Z pracowników Komisariatu Generalnego zastałem tu Marcina Ruszkowskiego, Lemańskiego, Biangę - obecnego trenera bokserskiego, Bębenka, Reymana, Szafrąńskiego, Delkę. Zastałem tu również posła Antoniego Lendziona. Mimo że był strasznie pobity - zapewniam, że miał policzki - nie stracił nic ze swego wigoru, nie skarżył się, nie jęczał, przeciwnie, podtrzymywał na duchu załamujących się, którzy znacznie mniej od niego fizycznie ucierpieli. Słysząc ryk motorów przelatującej eskadry samolotów - podniecenie na sali. Nareszcie! Niestety - to eskadra niemiecka leciała bombardować Westerplatte. Uczucia były mocno podzielone i przechodziły przez wszystkie stadia od dumy, że ta garstka żołnierzy polskich wciąż jeszcze stawia dzielny opór nawale germańskiej, aż do rozpacz, Tego samego dnia w godzinach południowych wywołano wszystkich pracowników Komisariatu Generalnego na dziedziniec szkolny przed oblicze Westermeiera oraz jego asysty. Celu po tylu latach nie jestem w stanie się domyślić.

Woźny Szafrąński, zapytany o miejsce pracy, odpowiedział: "Bote bei der polnischen diplomatischen Yertretung" (Posłaniec przy Polskim Przedstawicielstwie Dyplomatycznym). Westermeier: "Wie schön das Sie jetzt sagen können" (Jak ładnie pan to umie teraz powiedzieć). Wierciński, stojący obok mnie, zgrzytnął zębami. Byłem przedostatni w kolejce. Pytał, jak wszystkich innych, o nazwisko, a następnie: "Und was waren Sie?" (A czym pan był?). "Sekretär des Generalkommissars" (Sekretarz komisarza generalnego). "Es gab hier keinen Generalkommissar, es war nur ein diplomatischer Yertreter" (Nie było tu żadnego komisarza generalnego, był tylko przedstawiciel dyplomatyczny). "Sie wissen es so gut wie ich, dass es in Danzig keine diplomatische

55

Yertreter gąb" (Wie pan na równi ze mną, że w Gdańsku nie było żadnych przedstawicielstw dyplomatycznych). "Sie scheinen ein frecher Kerl zu sein" (Pan zdaje się być bezczelnym facetem). »Es ist Anschauungssache" (To sprawa poglądów).

Niedziela, 3 września godz. 8 rano. Wywołują imiennie wszystkich pracowników Komisariatu Generalnego, ładują do samochodów policyjnych, przewożą do Prezydium Policji przy Okopowej (dawniej Wiebenwall - obecny gmach KWMO), wprowadzają do piwnicy, ustawiają w odstępach co najmniej jednego metra twarzą do ściany (czubki butów i nos musiały dotykać ściany - diabelnie męczące), ręce złożone na karku, bezwzględny zakaz mówienia. Czekamy w tej pozycji dosyć długo, coraz to nowych wprowadzają - oczywiście z różnych miejsc izolacji - wreszcie kierują nas do dosyć obszernego pokoju. Za dużym biurkiem Westermeier. Sprawdzanie personaliów. Chodackiego nie ma wśród sprowadzonych pracowników. Zastępca komisarza generalnego Zawadowski z rozpiętym kołnierzykiem, pełno sińców na szyi, widoczne ślady duszenia. Prawdopodobnie mszczono się na nim za Kałdowo, tylko, że w Kałdowie był jego poprzednik Perkowski. Ariet zgłasza protest w sprawie znęcania się nad osobami korzystającymi z praw eksterytorialnych. Westermeier bardzo grzecznie: "Sie können selbstverständlich eine Beschwerde zu Protokoll geben und wir werden sie uberprüfen. Sie müssen aber damit rechnen, dass es langere Zeit in Anspruch nehmen wird" (Może pan oczywiście wnieść zażalenie do protokołu, a my je zbadamy. Musi pan jednak z tym się liczyć, że to potrwa dłuższy czas).

Ariet wiedział doskonale, jakie mogą być wyniki i skutki tych dochodzeń, więc oświadczył: "Danke, ich verzichte" (Dziękuję, rezygnuję).

Westermeier przyczepił się najpierw do pracownika kontraktowego Edwarda Grotha, wmawiając mu, że jest pochodzenia niemieckiego. Groth stanowczo, ale spokojnie, odpowiedział: "Jestem od urodzenia Polakiem".

Pragnę tu stwierdzić, że doprowadzono w tym dniu wyłącznie pracowników Komisariatu Generalnego. W tej grupie nie było posła Antoniego Lendziona. Przebywał on w Yictoria-Schule, potem został wywieziony do Stutthofu, stamtąd do Nowego Portu i w 1940 r. rozstrzelany. Wróciliśmy do Yictoria-Schule. Polecono nam zabrać bagaże i ustawić się na dziedzińcu szkolnym. SA wycofano, wprowadzono już SS. Na drugim piętrze gmachu głównego szkoły przygotowano dla nas dwie klasy ze stołami, krzesłami, siennikami wypchanymi słomą, dla każdego dwa koce. Wprowadzono nas do jednej z tych klas. Wydano zakaz kontaktowania się z kimkolwiek, nawet z kolegami, umieszczono-

56

nymi w drugiej klasie. Korzystanie z ubikacji tylko pojedynczo za uprzednim zgłoszeniem "potrzeby" u wartownika SS, który prowadził "delikwenta" do opróżnionej ubikacji i z powrotem do klasy. "Posiłki" - oczywiście na dziedzińcu szkolnym - otrzymywaliśmy oddzielnie klasami i to po uprzednim "oczyszczeniu" dziedzińca z pozostałych "aresztantów". Do tych klas sprowadzono również innych pracowników Komisariatu Generalnego, którzy po aresztowaniu zostali umieszczeni bądź w więzieniu gdańskim, bądź w areszcie Prezydium Policji. Mogę stwierdzić autorytatywnie, że w żadnej z klas Yictoria-Schule nie było Chodackiego, Sobocińskiego, Zawadowskiego, Zalewskiego, Arieta i Moderowa.

Zakaz rozmawiania z nami wydano również wartownikom SS. W

tymże trzecim dniu wojny nasza "klasa" zeszła na obiad. Miseczki wydawał b. pracownik Senatu gdańskiego - oczywiście w mundurze SS. Znaliliśmy się. Ważne noty Senatu gdańskiego przynosił właśnie on bezpośrednio do sekretariatu komisarza generalnego, a nie do kancelarii. Wydając mi miseczkę, powiada: "Niech pan miseczkę mi zwróci". Wracając daje mi znaki, abym szedł jak najwolniej. "Zostaniecie wywiezieni." "Dokąd?" "Nie wiem. Wymiana za dyplomatów niemieckich."

Okna klasy wychodziły na ulicę. Tu pełno było kobiet. Kiedy tegoż popołudnia podszedłem do okna, rozpoznałem kilka członkiń polskich zespołów śpiewaczych oraz żonę pracownika Komisariatu Generalnego Jana Biangi. Okien otwierać nie było wolno, więc zacisnąłem oba kciuki i pokazałem niewiastom. Po kilku minutach wpada do klasy dwu oficerów SS. "Wer hat den deutschen Franen gedroht?" (Kto tu groził niemieckim niewiastom?). Brak odpowiedzi. "Wer war am Fenster?" (Kto był przy oknie?) "Ja". "Sie hatten gedroht?" (Pan groził?) "Nie. Pokazałem, aby za nas trzymano kciuki, byśmy się jak najprędzej z tego piekła wydostali."

Zakaz podchodzenia do okien. "Kto się przy oknie pokaże, zostanie bez uprzedzenia rozstrzelany." Ulicę opróżniono. Po drugiej stronie jezdni ustawiono kilku esesmanów z pistoletami maszynowymi, wymierzonymi w nasze okna.

4 września 1939 r. Ponowne spisywanie personaliów, tym razem jednak w "klasach". Jakkolwiek przebywałem przeważnie w Gdańsku w mieszkaniu rodziców, posiadałem własne mieszkanie w Orłowie i to na polecenie radcy Perkowskiego. "Miejsce zamieszkania?" "Orłowo."

"Nazywa się teraz Adiershorst." "Znam tylko miejscowość Orłowo."

"No tak, ale my mamy ją teraz nazywać Adiershorst. Pan był na liście osób, które dzisiaj wyjechały. Ponieważ pan minister Chodacki (wyrażnie Herr Minister Chodacki) nalegał, aby pana do tego transportu koniecznie dołączyć, został pan z tej listy skreślony. Moim zdaniem nie po-

57
winno się tak postępować" {Meiner Ansicht nach solkē mañ so nicht handein).

Od 4 września 1939 r. wolno było robić zakupy (2 osoby z "klasy") pod eskortą SS dla całej "klasy", oczywiście za własne pieniądze, a pracownicy, którzy zostawili jakieś osobiste rzeczy w biurze, mogli je stamtąd odebrać (oczywiście znowu pod eskortą).

W dniu 6 września 1939 r. zjawił się oficer SS, aby zebrać zamówienia na śniadanie w dniu 7 września i aby nas powiadomić, że w tym dniu rano o godz. 5 wyjedziemy. Śniadanie - za nasze pieniądze - zostanie zakupione w hotelu Vanselów. 4 września dowiedziałem się zresztą, że część pracowników - imiennie nie można było udzielić informacji - Komisariatu Generalnego została w tym właśnie hotelu ulokowana. Mała dygresja - nie w hotelu Vanselów była pierwsza siedziba Biura Komisarza Generalnego RP w Gdańsku.

7 września 1939 r. przyniesiono nam śniadanie o godz. 4.30, zaś o godz. 5 wywieziono nas autokarem pod eskortą SS i policji gdańskiej przez Królewiec do Tylży.

W sprawie posła Lendziona

Sprawa Lendziona jest rzeczywiście kontrowersyjna. Chciałbym jednak (...) wyjaśnić sprawę autorytatywnie. Z Głogowskim zostałem wywieziony samochodem z mieszkania Chodackiego nie do Prezydium Policji, lecz do słynnej Yictoria-Schule. Tu zetknąłem się w dniu 2 września - po przeniesieniu mnie z małej do dużej sali gimnastycznej - z Lendzionem. Nie miał on ani "poharatanej twarzy", ani wyrwanego języka. Był natomiast ogólnie pobity. Podziwiałem go, bo mimo bezsprzecznie

wielkiego bólu był pełen werwy i to właśnie on podtrzymywał innych na duchu. Wywieziony został do budującego się obozu w Stutthofie, stamtąd przewieziony w styczniu do obozu w Nowym Porcie. Odseparowany od pozostałych więźniów wyjeżdżał razem z dr. Bronisławem Łangowskim, dr. Franciszkiem Kręckim, Czesławem Tejkowskim, Feliksem Melką, ks. Franciszkiem Rogaczewskim, Chmielewskim, Zygmuntem Grimsmanem i innymi do Piaśnicy kopać swoje groby. 29 stycznia 1940 r. zostali wczesnym rankiem wywiezieni i tam rozstrzelani. Przewodnik muzeum w Stutthofie, b. listonosz Poczty Polskiej - Tysarczyk, twierdzi, zresztą zgodnie z prawdą, że pracował w warsztatach krawieckich razem z Lendzionem, który rozstrzelany został w Wielki Piątek 1940 r. I ta data jest nieprawdziwa, jakkolwiek została ona przyjęta oficjalnie jako data zamordowania Lendziona. Ekshumacja zwłok Lendziona nastąpiła w Piaśnicy, natomiast w Wielki Piątek rozstrzelano następną partię w lesie stutthofskim. Poza tym w styczniu 1940 r. pracowałem w paczkami. Na początku lutego, korzy-

58

stając z możliwości kontaktowania się z dostawcami paczek dla więźniów, uprzedziłem rodziny, aby nie oddawały paczek dla zamordowanych m. in. Łangowskiego, Rogaczewskiego, Tejkowskiego, Kręckiego i Lendziona.

Taka jest prawda obiektywna, jakkolwiek nie mam zamiaru upierania się i przekonywania, że przyjęta jako pewnik data śmierci jest niewłaściwa, bo to moim zdaniem nie posiada istotnego znaczenia dla samego faktu morderstwa.

WESTERPLATTE

Ankona - stolica "Małej Polski" - latem 1946 roku była na pokwitaniu. Żandarmi stali na skrzyżowaniach szos wzdłuż całego pobraża adriatyckiego, błyszcząc białymi pasami, pięknym żołnierskim moderunkiem. U wjazdu do włoskich osiedli panoszyły się polskie napisy. Były ulice "Warszawskie", ulice pułków, które pierwsze w swoim czasie wkraczały do danego miasta, plac najpiękniejszy w Ankonie był "placem generała Andersa", boiska roily się polskimi drużynami, po pięknych gmachach mieściły się polskie gimnazja, dowództwa przechowywały iluminowane pergaminy, w których rady miejskie dziękują swoim liberatorom, nadając im obywatelstwo, najpiękniejsze dziewczyny były urzeczone legendą, w tej zdrętwiałej poblokowanej Europie wolny stał dla polskiego munduru wjazd, wyjazd do każdego kraju, wozów pełno było do dyspozycji, cisza, spokój, nicnieróbstwo, pożywanie zwycięst-

wa...

A już z niedalekich - tylko przez Brenner sięgnąć - Niemiec, szedł gorący dech wyzwolonych - oflagowców, stalagowców, kacetowców, wywiezionych na roboty, powstańców, żołnierzy AK, ludzi leśnych, którzy się przekradli. Oflagi starały się żyć życiem garnizonowym, wysuwając bezsilną fikcję wrześniowej legendy przeciw brutalności amerykańskich sierżantów żywnościowych. Chłopcy z Brygady Świętokrzyskiej, żarliwie modląc się do broni i do munduru, rozpaczliwie bronili się przeciw malowaniu ich na zielono. Przez Brenner waliła fala "pod znaki narodowe w Italii", odejmowała sobie od ust "Mała Polska" korpusowa i nastarczyć nie mogła. Tej "Małej Polsce", dzięki fasowaniu angielskiemu zasobnej i zażywej, poczęto ukrócić przywilejów, aż wreszcie ogłoszono rozkaz o rozwiązaniu Korpusu.

Rozkaz niepoprawni optymiści przyjmowali ze zmrużeniem oka:

"Jasne - jedziemy się przeszkolić w nowych broniach". Ale już dołem rwał prąd nędzy ludzkiej, nieszczęścia dziejowego. I tak się stało, że kie-

dy od góry przychodziły zarządzenia kładące kres wszystkim nadziejom, od dołu znędziali ludzie przychodzili tuląc, jak skrwawione sztandary do piersi, wspomnienia września i powstania. Szklany klosz pękał pod ciosami, które wymierzała krzywda.

62

Hotel oficerski w Ankonie był już jakby odzwierciedleniem nowej rzeczywistości, która nadciąga. To już nie był żaden luksusowy rekwirowany hotel, w którym za pięćdziesiąt lirów dziennie, to znaczy za wartość pięciu papierosów, miało się pokój z łazienką i pięciorazowym posiłkiem. W pokojach gnieździło się na tapczanach po sześciu oficerów, brudny gmach przypominał dom noclegowy. Tych tapczanów zazdrośnie strzegła Komenda Miasta, by nie były załęgane dłużej niż trzy dni; tyle przez ten hotel oficerski przewalało się przybyszy ze świata. Nosiło to wytarte, gdzieś po Niemczech wyfasowane battiedressy, dystynkcje oficerskie i nie miało grosza przy duszy. Za to dusze mieli pełne ognia, a oczy pełne pytań. Przez długie lata wojny kołysały nas miraż krajów egzotycznych, aż oto pod same nasze stopy podpłynęła nie podrabiana - Polska.

W zgiełku zadymionego klubu oficerskiego, który miał wygląd spelunki, złapałem kąć wolny, aby zagrać w szachy. Mój przygodny partner, major z "pawianów", to znaczy oficerów, którzy przebyli wojnę w oflagach, człowiek o z grubsza ciosanej męskiej twarzy, grał ofensywnie, rzekłbym - drapieźnie. Gra ta szła stale krawędzią przegranej, za każdym jednak razem wygrywał.

Gdyby nie otrzymana kupa matów, odszedłbym ziewnąwszy i nie byłoby tego opowiadania. W zalewie niebywałych faktów człowiek nawet mojego fachu tępieje. Cóż mi kto powiedzieć ciekawego zdoła? Że obsługiwał krematorium? Że go bili w Moskwie, w Oświęcimiu? Że uciekał z Murnau, z Braszow, z Mirandy? Że strzelali za nim, gdy przechodził granicę w Tatrach, na Prucie, w Pirenejach? Czy że borykał się jak ten tu "pawian" gdzieś nad Bzurą czy pod Kutnem?

Ale porażka obowiązuje, więc zapreliminowałem sobie, że dam mu się pięć minut wygadać. Potrzeba wygadania się dławila tych ludzi z oflagów. Tyleż lat przymierzali siebie do siebie. Kiedy wyszli do świata, który przez ten czas narósł, sprawdzali gorączkowo - jak daleko od nich odszedł?

Ale mój partner nie był skory do zwierzeń:

- Cóż - westchnął - ja tam nic ciekawego; siedziałem całą wojnę w oflagu.

- Gdzie pana wzięli?

- Na Westerplatte... Bo ja, właściwie, byłem tam komendantem;

- Tam komendantem był major Sucharski.

- To ja właśnie.

I tak się zaczęło. Major wyjeżdżał i musiałem go ściągać przez dowódcę dywizji. Przyjechał:

- Melduję się na rozkaz dowódcy dywizji.

63

W wojsku często się tak sobie upraszcza towarzyskie przywitania lub pożegnania. Mówi się "odmeldowuję się" kobietom, mówi się "odmeldowuję się" cywilom. Tak i ja to potraktowałem. Ale nie major. Do stał rozkaz, wypełniał go najszczegółowiej. To nie było dobrze. Bo w tym języku, meldunkowym, przesyconym technicznymi zwrotami, założeniem zadania, wykonaniem, skrupulatnym wyliczaniem stanów, godzinowaniem, zatracą się żywy człowiek i jego uczucia.

Ale przecież - temat mówił za majora Sucharskiego.

Major Sucharski objął dowództwo na Westerplatte we wrześniu

1938 roku, w groźne dni sudeckie.

Urodzony w 1898 r. pod Tarnowem w Gręboszowie (wieś, w której dzieje się akcja Kłątwy Wyspiańskiego), chłop z pierwszego pokolenia, wnuk stryjeczny senatora Bójki.

Front włoski nad Piave, dowództwo batalionu szturmowego 6.

Dywizji Piechoty w 1919 roku, Virtuti Militari za akcję pod Glinianami

9 września 1920 roku, kiedy na czele dwu kompanii uderzył w lukę między siłami przebijającego się Budionnego. Do 1928 roku w 20.

Pułku Piechoty (Kraków), 1928-1930 - instruktor w podchorążówce w Komorowie 1930-1938 - dowodzi 35. Pułkiem Piechoty (Brześć nad Bugiem).

No i teraz, w te groźne dni, stary wypróbowany żołnierz, nieżonaty - bo takich dobierano na ten stracony posterunek - został posłany na Westerplatte. Był to wąski język lądu, wdany między Martwą Wisłą a morzem.

Przed 1914 rokiem była to plaża ze starym fortem nadbrzeżnym, zwróconym na morze.

Kiedy w Wersalu zwyciężyła teza, że światu nie jest potrzebna Polska silna militarnie, kazano i ten fort zburzyć. Przywrócono Polsce uprawnienia gospodarcze przy ujściu Wisły, odmawiając uprawnień wojskowych.

Poczęły się dwudziestoletnie zmagania o grand depot pour la guerre du Nord¹, jak określił Gdańsk Napoleon, o prawdę sformułowaną lapidarnie przez Fryderyka II: "Kto zdobędzie ujście Wisły, będzie właściwym jej panem, a nie ten, kto nią rządzi".

Napór potrzeb gospodarczych Polski był tak silny, że dla ochrony przeładunków wojskowych pozwolono jednak w 1925 roku na utrzymanie na Westerplatte szczupłego oddziału osiemdziesięciu ośmiu ludzi bez ciężkiego uzbrojenia, bez prawa budowania umocnień. Gdańszczanom przyznano co do tego prawo kontroli.

[Red.:] Wielki magazyn wojny północnej.

64

Szła walka coraz ostrzejsza o to, czy Gdańsk jest Freie Stadt (wolne miasto), czy Freistaat (wolne państwo).

Kiedy w 1933 roku marszałek Piłsudski postanowił, po przewrocie hitlerowskim, zagrać va banque i major Wnuk lądował na Westerplatte ze swoim batalionem, znowu kazano założone druty zdjąć, okopy zawalić.

I znowu potem - wyrosły budyneczki, a to mieszkania podoficerów, a to wartownia, a to skład drwa - budowane matyjaśnie z przy-mierzaniem, z kombinowaniem wielkim, aż się żołnierze dziwowali: tyli kram o drewnutnię - nie wiada po co.

A wszystko to budowane było z żelbetu badanego na wytrzymałość przeciw pociskom. Okna wąskie, w kształt strzelnic, przed nimi jakieś niby ławy żelbetowe.

Kiedy tylko dawano znać, że przyjdzie kontrola niemiecka, przez całą noc żelbetowe ściany obkładano cegłą.

Zrobiono wszystko, aby dobrana i żyjąca życiem klasztornym załoga miała warunki lepsze niż reszta skromnie uposażonego naszego wojska. Wyżywienie mieli podwójne - lepsze niż w kompanii zamkowej.

Że byli niejako na służbie poza krajem, więc przysługiwał im dodatek do żołdu. Major Sucharski np. brał na rękę, po wszystkich potrąceniach, tysiąc czterysta złotych. Wszystkie towary miała prawo załoga kupować ze strefy wolnocłowej.

Bo istotnie z przepustkami poza ten "klasztor" było źle. Jedna trzecia stale była na warcie, jedna trzecia stale miała pogotowie. Ta jedna

trzecia do Gdańska nie była puszczana, w Gdyni była zbyt wielka konkurencja marynarzy całego świata. Tedy stworzono im plażę własną, kajaki; major Sucharski z lubością założył gospodarstwo jakby to był Gręboszów: kilka tam hektarów było pod uprawą, trzy mleczne krowy, koń, świniaaków dwadzieścia-trzydzieści sztuk, że co dzień świnia była w kotle.

22 marca małe to gniazdo oporu przeżywa pierwsze pogotowie bojowe. Obawiano się, że flota niemiecka, wracając z zajętej Kłajpedy, zagarnie i Gdańsk.

Wówczas - po raz pierwszy - zdekonspirował major Sucharski wobec załogi kondygnacje podziemne, gniazda karabinów maszynowych i inne naruszenia umowy.

Chodzili wzdłuż tego skupieni, pełni przejęcia. Tak musieli się czuć 'ich poprzednicy, żołnierze załogi Wisłoujścia, kiedy w Wielki Czwartek 1793 roku łamali broń wołając, że nie chcą służyć Prusakom przeciwko Polsce. Ale wówczas załozdze z sukursem pośpieszył patriotyczny propolski Gdańsk. Teraz - stężała nienawiść stała za murami Westerplatte; hitlerowski Gdańsk czaił się do skoku. Załoga trwała w komplecie sie-

65
demdziesiąt dwie godziny na stanowiskach; było ich za mało, aby sobie pozwolić na zmianę.

Od chwili tego pogotowia, na skutek raportu majora Sucharskiego, powiększa się stan załogi wszelkimi możliwymi sposobami. Zamiast dozwołonych osiemdziesięciu ośmiu żołnierzy, major ma dwustu dziesięciu, w czym dwudziestu pracowników cywilnych, przebieranych jak orzechy, którzy też w chwili uderzenia niemieckiego zostali. Od czerwca załoga jest pozbawiona urlopów.

Zbrojenie Westerplatte idzie dalej. Poszły w krąg okopy z przedpiersiami, maskowane drzewami od lotnika. Naprzeciw bramy od Gdańska, przez którą wchodziły pociągi, idące wzdłuż całej kieszki Westerplatte aż do drugiej bramy przy basenie - sto pięćdziesiąt metrów okopów, a za nimi - trzyczęściowy parkan z hartowanej sześciomilimetrowej stali, nie będący niczym innym jak namiastką przeszkody przeciwczołgowej.

Miedzy parkanem a okopami - szeroka sieć potykaczy w burzanach. W pobliżu obu bram, tam gdzie mógłby sięgnąć wzrok policjantów niemieckich, stróżujących za bramami - przygotowane kozły hiszpańskie. Po tamtej stronie Martwej Wisły, w Neufahrwasser¹, przedmieściu gdańskim, poczęło się roić w dużej latarni morskiej od fotografów, filmowców, reporterów, zaglądających majorowi Sucharskiemu do garnka. Gwałt powstał, artykuły w prasie... Ale sami już oni tyle łamali przepisów, że i myśmy nie reagowali, tylko robiliśmy swoje.

- To jest ale bardzo fajny płot - z ironią chwalił niemiecki kontroler ten niby parkan, na który narychtowane były okna-strzelnice wszystkich niby-składzików.

- Porządny płot, gospodarski - przyświadczał major.

Dwa działka pepanc, moździerz, amunicję, materiały wybuchowe ; szwarcował pomysły urzędnik kolejowy Dąbrowski - wszystko | niby dla tego konia i tych krów. Wyładowywano to w nocy, kiedy z latarni morskiej Niemcy nie mogli zaglądać. Kiedy wreszcie doszło do tego, że przyszło częściami rozmontowane działko, które złożył pułkownik z dowództwa marynarki, Niemcom udało się nakryć schowane pod żywnością miny, materiały wybuchowe i stół operacyjny. To już był sierpień i c d tego czasu kontrola zaostriżyła się tak bardzo, że dopływ uzbrojenia ustał. Mieliśmy już jednak szesnaście cekaemów, dwadzieścia pięć ełkaemów, dwa działka pepanc, cztery moździerz piechoty Brandta (81 mm), no i to jedno działko - rosyjską trzyczęściówkę.

Na każdy cekaem mieliśmy dziesięć jednostek ognia, to znaczy po dwadzieścia pięć tysięcy naboí, na każdy elkaem pięć tysięcy naboí oraz dla dział trzysta pocisków.

' Nowy Port.

66

W tym wszystkim - trudno się było łudzić załodze Westerplatte, jak łudziła się reszta Polski, która pod koniec sierpnia zalała pobrzeże wyfularowanymi letniczkami i panami w białych flanelowych spodniach. Jeszcze w maju, po mowie Becka, odwiedził załogę pułkownik dyplomowany Hoszowski, dowódca obrony lądowej wybrzeża.

- Nie jesteście sami - powiedział do całej zebranej załogi - macie krótko wytrzymać, sześć dywizji przyjdzie wam na pomoc.

Nie łudzono się więc na Westerplatte. Na parę tygodni przed wojną, wówczas, kiedy odprężenie opanowało Polskę i pociągi poczęły wyrzucać spóźnionych letników, rodziny dwudziestu cywilnych pracowników zostały odesłane za Gdańsk, do Tczewa lub Orłowa. Oni wszyscy - elektrycy, ślusarze, stolarze, kowale, szewcy, krawcy, mechanicy przy kranach przeładunkowych - postanowili pozostać. Na dolę i nie-dolę - z żołnierzem.

W końcu sierpnia zamarło życie w porcie gdańskim. Tam, gdzie stał ciągły zgłęb syren, gwizdków, warkotu motorów, nawoływań, skrzypu dźwigów - woda martwa, zielona, pokryta oliwą, smród zbutwiały, bezruch. Tym szybciej bije zatajone na wąskiej mierzei serce załogi Westerplatte.

25 sierpnia na horyzoncie ukazują się dymy. Jeden, drugi... trzynasty... W lunety wskazują sylwety - wojennych okrętów. Miał być tylko jeden pancernik "Schleswig-Holstein", którego wizytę zaawizowali Niemcy rządowi polskiemu.

Tak jak na te rosnące w polu widzenia sylwety okrętów wojennych patrzyła załoga Westerplatte, patrzy przycupnięty w terenie zwierz na zbliżającą się nagonkę.

Już ich widać dokładnie. Wielki w środku - tak, to dreadnought, o wyporności 13 600 ton. 2 obu jego stron po sześć kontrtorpedowców. Podprowadziły tuż i zawróciły do ujścia. Gość sam wciskał się masywnym kadłubem pod Westerplatte. Był to stary pancernik zbudowany w 1905 roku, służący teraz jako okręt szkolny. Toteż w obsadzie ośmiuset pięćdziesięciu ludzi miał pięciuset kadetów morskich. Stało to teraz gęstymi szeregami w niepokalanej bieli na pomoście.

Major Sucharski kazał cofnąć posterunki w głąb, by uniknąć zaczepki słownej. Małoż to naprosili się u marszałka Śmigłego generałowie Carton de Viart i Faury, żeby tam czasem jaki mostek nie wyskoczył, żeby jaki strzał z naszej strony nie padł, bo opinia ich krajów nie wytrzyma, chętnie da się przekonać o polskiej prowokacji i wyłamie.

Więc teraz, zebrany w sobie, melduje tylko major Sucharski.

-Wzmóc czujność. Meldować!-otrzymuje rozkaz.

Stary pancernik uzbrojony jest na tę pokojową wizytę dokumentnie.

67

Ma dwie wieże po dwa działa dwudziestocentymetrowe i na każdej burcie po pięć dział stu pięćdziesięciomilimetrowych.

Czternaście ciężkich morskich dział! Z szacunkiem patrzy na nie plutonowy Grabowski z 14. Dywizjonu Artylerii Konnej (DAK), który schował w garażu swoją rosyjską trzycalówczykę.

"Schleswig-Holstein" ze swych wież i gniazd ma całkowity wgląd w gospodarstwo majora. A tu roboty fortyfikacyjne nie dokończone...

Jakże tu pracować, kiedy z pancernika słyszą rozmowy prowadzone normalnym głosem.

Kiedy zebrali się tego dnia wieczorem w kasynie, major Sucharski poruszył swymi z grubsza ciosanymi szczękami i spojrzał spokojnym gospodarskim wzrokiem:

- Strzeżonego Pan Bóg strzeże - powiedział jakoś z chłopska, po gospodarsku, nieśpieszliwie, jakby zarządzał rozpoczęcie sianozęci, a nie wydawał rozkaz wojskowy - z dniem dzisiejszym zarządzam ostre pogotowie.

Spojrzał po twarzach:

Zastępca jego - kapitan Franciszek Dąbrowski z 29. Kaliskiego Pułku Piechoty, trzydziestosześcioletni wysoki, szczupły, o twarzy ściągłej znamionującej inteligencję i wolę, doskonały szkoleniowiec, typ oficera służby stałej już w drugim pokoleniu (jego ojciec, generał w stanie spoczynku, zginął w więzieniu bolszewickim, matka wywieziona do Rosji). Kawaler - takich dobierano na posterunek Westerplatte.

Porucznik Leon Pająk. Z pierwszego pokolenia chłop z Kieleckiego. Tryskający dwudziestodwuletnim zdrowiem i czterotygodniowym małżeńskim szczęściem. Porucznik Pająk z 4. Pułku Piechoty Legionowej był w kadrze wymiennej, zmienianej co pół roku z coraz innej dywizji i dlatego otrzymał pozwolenie na ożenek.

Jego zastępca - chorąży Gryczman z 3. Pułku Piechoty Legionowej, Kawaler Virtuti z 1920 roku. Wytrzymały i odważny.

Podporucznik Zbigniew Kręglewski z Gnieźnieńskiego Pułku Piechoty, lekarz, kapitan Słaby z 5. Pułku Strzelców Konnych, wreszcie podporucznik rezerwy z 2. Pułku Lotniczego, Stefan Gródecki, dozorujący elektryczność, kanalizację i wodociągi na Westerplatte, ofiarny, niesłychanie odważny - tak, to ta gromadka, którą spotka ciężka próba. Z zapadnięciem zmroku stanęła świetnie wyszkolona załoga na stanowiskach obronnych. Moździerz, działo, pepance, amunicja, czujki, podsłuchy - wszystko jak dobrze nastrojone struny jednego instrumentu.

Major Sucharski poszedł w obchód. Od pełnego morza szedł płaski przyziemny wilgotnawy wiatr. Z tamtej strony Martwej Wisły, z Neu-

68 fahrwasser duża latarnia morska przez zgniłą wodę rzucała smugi błysków na jego królestwo. Major poszedł na ten blask.

Szedł teraz wybrzuszona częścią Westerplatte ku dalszym składom, ku basenowi przeładowczemu. Minął żelbetowy bunkier nr 3, nabity czujnością i gotowością. Bunkier, położony pośrodku mierzei, miał obstrzał zarówno na morze, jak na Martwą Wisłę. Major poszedł ku niej, doszedł do potężnego muru, grodzącego mierzeję od wody i okalającego całe Westerplatte. Sprawdził gniazda oporu nr nr 5, 4, 3.

Gniazdo oporu nr 2 miało już przed sobą drut kolczasty, otaczający baseny wyladowcze.

-Jak tam? Szwaby stoją? - pyta szeptem major.

- Po dawnemu, panie majorze - melduje dowódca punktu, kapral Grudziński.

Major zna dobrze tego chłopaka, świetnego służbistę. Dlatego dał mu dowództwo w tym punkcie. Widzi z upodobaniem młode, wierne oczy patrzące z oddaniem, z gotowością spod okapu hełmu. Tak ślusarz mający coś zmajstrować, z upodobaniem ogląda świetnie działającą sprężynę.

- No, to się przekonajmy.

Wchodzą z bunkra w noc. Przecina ją raz po raz blask rzucany przez inną latarnię, wjazdową, stojącą na ostatnim cyplu przy wjeździe z pełnego morza na Martwą Wisłę.

Widok im przesłania na razie ciemna sylweta magazynu przeładun-

kowego. Kiedy ją obchodzą, widzą za drutami bramy przy kolejnym błysnięciu obły hełm gdańskiego szupo. A więc jakoś wszystko po staremu?

- Jakby co - od razu go zdejmujemy - szepcze Grudziński.

- Jakby co, to byście zgnili w pace - mówi major.

- Ja mówię, panie majorze, na wypadek, gdyby oni zaczęli.

Doszedłszy w ten sposób do końca swych włości, major zawrócił i począł iść z powrotem torem kolejowym, przebiegającym wzdłuż Westerplatte od bramy kolejowej, oddzielającej Westerplatte od Gdańska aż do basenów przeładunkowych.

- Grabowski, pilnujecie? - zatrzymał się przed samotnie stojącym budyneczkiem, który wobec Niemców nosił nazwę garażu.

- Tak jest, panie majorze - wionął w ciemności rzeński szept - jakby co "w tri miga" wytoczym.

Major poszedł wzdłuż toru dalej.

Tor stanowił tak zwaną strefę zieloną, odparkanioną od reszty Westerplatte. Był wieczny postrach, że w trakcie pełnego pokoju Niemcy wjadą legalnie tym torem w sam środek Westerplatte pociągiem kamuflowanym na pociąg towarowy, skrywającym zbrojną załogę i działa.

69

Major zawołał cicho - z tamtej strony toru odezwał się bunkier nr 4, czuwający nad torem i mający obstrzał na morze.

- Dwustu dziesięciu ludzi na dwa kilometry obrony - mruknął.

Rozumiał jednak, że zrobiło się co mogło, dochodząc aż do tej liczby z dozwolonego stanu osiemdziesięciu ośmiu.

Toteż gros szczupłych sił skoncentrowano nie tam, na wyrzuczeniu w stronę basenów, tylko tu, na węższej szyi, podanej ku bramie kolejowej. Major natrafił na pepanc, patrzący ku bramie i na tor.

- Łopatniuk! - woła cicho.

Plutonowy Łopatniuk, dowódca dwu pepanców, czuwa.

- Wywrotki nałożone?

- Tak jest, panie majorze.

Na noc zawsze nakładano wywrotki na szyny kolejowe; miały one wykoleić każdego niespodziewanego gościa, który by nocną porą wjeżdżał szynami.

Przed pepancami zaraz poczynął się właściwy teren nasilonej obrony. Od toru kolejowego aż do drugiego brzegu mierzei biegł właśnie ów trzyczęstowy stalowy "płot" będący zaporą przeciwczołgową. Na płot patrzyły lufy cekaemów z dwu solidnych bunkrów nr 5 i I. To jest królestwo porucznika Pajaka i jego plutonu wartowniczego, I.

- Gdzie dowódca? - zatrzymuje się major przy bunkrze nr 5. •

- W przedzie - informuje jego zastępca, mał (w marynarce równoznaczne kapralowi) Rygielski.

Ten "przód", to odległe o sto pięćdziesiąt zaminowanych metrów okopy, leżące już tuż pod bramą kolejową.

Major okrąża pole minowe, przechodzi ruiny starego fortu z czasów francuskich, w których czuwa nasz posterunek. Jest jeszcze za torem, odcięty oparkaniem, posterunek Szamlewskiego.

Okopy rozrzucają majora. To przynajmniej, jak za jego młodości wojskowej. Rów biegnący w zygzak, by dać ochronę przed rozpry skami, przedpiersie fajne, przyklepane łopatkami pochyłym skłonem w stronę nieprzyjaciela, rów dobiegowy, ława ziemna na ręczne granaty i amunicję, wygodny pierwszoklasny okop, z którego można strzelać w wyprostowanej pozycji. Na wilgotnej ziemi leży przykryty płaszczem porucznik Pajak. Dręczy go lekka grypa od kilku dni. Jego zastępca, chorąży Gryczman, stary żołnierz z 3. Pułku Piechoty Legionowej, ma-

jący Virtuti za 1920 rok, sprawia ludzi.

Przed okopami - ciemność nocna, w której tkwi zaryglowana brama kolejowa. Za nią leży milczący Gdańsk. Cisza aż w uszach dzwoni. A przecież są wieści, że w tym Gdańsku ćwiczą całe bataliony; za dnia, nic już nie skrywając, jeżdżą całe baterie.

70

Czy i gdzie tam, za tym Gdańskiem, stoi obiecanych sześć dywizji?

Major przesunął się dalej, ku bramie wjazdowej samochodowej. I za nią stał, po dawnemu, nieruchomy posterunek s z u p o.

Wracał znów brzegiem Martwej Wisły. Zajął do bunkra nr 1, blokującego wspólnie z bunkrem nr 5 przejście przez druty; plutonowy Buder, dowodzący bunkrem, zdał krótki meldunek. Przeszedłszy koło drugiego działka pepanc, zajął do ostatniego gniazda oporu, nr 5, gdzie gospodarował zawadiacki, świetny bojowo plutonowy Petzef. Adolf, tak bowiem było Petzefowi na imię, co wywoływało masę dowcipów i wesołości, chuchał i dmuchał na swój cekaem. Ten wieczór 25 sierpnia nalał do żył ludzkich niby tęgiego wina.

Wtedy major poszedł z powrotem "do siebie". Nie znaczyło to, że idzie do swojej willi; mieszkaniem jego odtąd, aż do kapitulacji, miał być jedyny wielki budynek obronny, żelbetonowy dwupiętrowiec znaczący jako bunkier nr 6.

Niemal tuż przed nim obrały sobie pozycje cztery moździerze. Ich dowódca, plutonowy Bieniasz z 2. Dywizji Legionowej tkwił przy pierwszym z brzegu, najbliższym dowództwa, w owym właśnie dwupiętrowcu, ażeby móc otrzymywać rozkazy głosowo. Moździerze, których przestrzelać nie można było, były jednak narychtowane na bramę kolejową, w którą miały strzelać łukiem ponad stanowiskami Pajaka.

Tak oto ich sprawiał noc w noc, tak oto tkwili oni na posterunkach dni cztery. Kontakt ze światem był już niemal urwany. Gdańsk buzował się wojną. Przez radio tylko przychodziły rozkazy. "Nie dajcie się sprowokować".

31 sierpnia o godzinie drugiej, po obejściu, jak zwykle, pozycji nocą, major Sucharski udał się na spoczynek w budynku dowództwa. Miał zmartwienie, bo porucznik Pajak, przemagając przez tyle dnisiebie i siedząc w okopie, wreszcie zamiast Niemców doczekał się tak poważnej temperatury, że major odesłał go do domu do łóżka.

- Dziś miesiąc jak się chłop obzenił- uśmiechnął się do siebie major - niech się ta odleży, żona by mi nie darowała, jakbym go w zapalenie płuc wpędził. To już się począł I wrzesień. Może się rozejdzie po kościach? Ciekawe, czy też się już co kiedy działo I wrzesień na tym tu Westerplatte?

Otworzył książkę - dzień I września 1577 roku był dniem klęski, kiedy na Westerplatte poddały się, opuszczone przez Rzeczpospolitą, siły Żółkiewskiego.

No, ale teraz ich nie opuszczą. Sześć dywizji narychtowano na od-

siecz.

71

Rozgniewał się nagle na siebie, że zajmuje się kabalarstwem zamiast spać. Przeżegnał się szerokim, uważnym, namaszczonym znakiem Krzyża Świętego, jako zwykły był od dziecka i usnął snem kamiennym. W pewnej chwili zbudził go niesamowity huk. Porwał się - za oknem na tle nieba widać było jak lecą czubki drzew. Po chwili inny huk wstrząsnął powietrzem

- "Schleswig-Holstein" - przekrzyknął kapitan Dąbrowski, śpiący w tymże pokoju.

Teraz poszedł drobny - tak znany! - mak strzałów. Spojrzeli po sobie:

- Nasze maszynki...

Spojrzeni na zegarki: 4.40.

Dzwoni telefon:

- Porucznik Pająk melduje się. Brama kolejowa wysadzona; Niemcy wtargnęli; otworzyłem ogień.

Porucznik Pająk, do którego dotarłem po wojnie, opowiadał mi dzieje tych pierwszych chwil.

I jego atak niemiecki złapał w łóżku. Wskoczył i z pięciu żołnierzami pobiegł do okopu. W drodze posłyszał, że jego broń maszynowa już strzela. W okopach były dwa cekaemy, jeden erkaem i dziewiętnastu ludzi pod chorążym Gryczmanem.

Pająk biegł wzdłuż okopów, komu trzeba - "wyciągając głowę", komu trzeba - każąc składać się. Magia dotknięcia ręki dowódcy. Kiedy dobiegł do Gryczmana, sytuacja była w punkcie kulminacyjnym. Niemcy, którzy rzekli się zmiękczenia poprzedzającym ogniem na rzecz zaskoczenia, wleli się przez wywaloną bramę i poszli do ataku na nasze okopy, wspierani ogniem swoich cekaemów, które wstawili w wywalone w murze dziury. Nasze moździerze, przygotowane do strzelania na bramę, nie robią szkód nacierającym, wśród których za to nasze cekaemy żłobią krwawe tunele. Całe taśmy jedna po drugiej schodzą z naszych cekaemów, słychać krzyki: Mein Gott, atakujący zwijają się w miejscu, ale przez bramę wlewa się coraz nowe mrowie. Już są i marynarskie mundury. Już są o sto-sto pięćdziesiąt metrów za murem.

- Skróć ogień moździerzy - telefonuje Pająk.

Kapitan Dąbrowski otwiera okno: - Bieniasz! - woła - kąć podniesienia... ładunek nr... Ogień poszerzany...

- Za krótko! - telefonuje Pająk - dostałem odłamkiem w policzek!...

Posterunek kaprała Szamlewskiego zacichł. Mat Rygielski telefonuje z bunkra nr 5, że Szamlewski wycofał się do nich, bo mu się erkaem zaciął.

72

Po tamtej stronie Martwej Wisły, szaleje Neufahrwasser. Wwindowali cekaem na latarnię morską, na dachy co wyższych domów i pokryli Westerplatte parasolem drobnego ognia.

Major Sucharski wzywa Grabowskiego. Każe mu wytoczyć dział.

Wahał się dotąd, bo przecie wie - żywot działa w tych warunkach będzie krótszy, niż żywot motyla.

Grabowski ochoczo wytacza dział istotnie "w tri miga". Dosyć się nawypatrywał ze swego garażu na tę świetlną zgraję za Martwą Wisłą. Dobrze sobie pokonotował punkty ognia. Wreszcie go dopuścili do roboty.

Więc najprzód - tę wielką latarnię. Drugim strzałem rozwala jej głowicę i gniazdo cekaemu w niej skryte. Potem ciągnie - punkt po punkcie - po tych markantnych celach na dwieście, na dwieście pięćdziesiąt metrów. Dziury kolejne wykwitają na szarych sylwetkach spichlerzy. "Ależ strzela Grabowski!" - cieszą się żołnierze. Neufahrwasser milknie. Ale "Schleswig-Holstein", zajęty niszczeniem Pajaka, przenosi cały swój ogień na biedne działko. Sucharski zacina usta. Wie co będzie za chwilę. Za chwilę, bez hełmu, z żalem w oczach, przybiega Grabowski:

- Panie majorze - prostuje się - melduję, że działo rozbite.

Tenże ogień zabił w sąsiadującym z działem bunkrze nr 3 strzelca i ranił dwu innych.

Pająk za to wykorzystał gracko chwilę zwolnienia spod ognia pancernika. Moździerze, wreszcie wyrzutowane, układały Niemców stosami. Na przedpolu leżą trupy gdańskich SS i SA i gdańskich marynarzy, liczniejsze niż cała załoga Westerplatte. Gdańsk, inkorporowany tego dnia do Rzeszy, chciał uczcić ten historyczny fakt samodzielnym oczyszczeniem Westerplatte.

Jest 7.30. Nastrój u Pajaka, nastrój po wszystkich gniazdach oporu - wspaniały.

8.00 - "Schleswig-Holstein" powraca do chwilowo porzuconej ofiary. Na okopy Pajaka, na tę szczupłą przestrzeń stu pięćdziesięciu metrów od morza do toru kolejowego pada niepowstrzymanie szybki ogień z czterech dział dwudziestośmiocentymetrowych i z pięciu dział stu pięćdziesięciomilimetrowych.

Nic nie pomagają pięknie uklepane przedpiersia modo antiquo 1920. Lecą wierzchołki drzew, liście, fontanny piasku i płynie krew. Pająk melduje, że ma zabitych i rannych. W trakcie tego telefonowania widzi nagle swoje gołe nogi. Orientuje się. Krzyczy do Gryczmana: "Zostań. Odeślij mnie". Traci przytomność.

73

Sucharski przy drugim końcu telefonu słyszy, że Pająkowi splątał się meldunek, nic nie rozumie. Po chwili słyszy znów równy tok meldunku:

-- Melduje się chorąży Gryczman. Pan porucznik Pająk ciężko ranny. Objąłem komendę. Przytłumili nas całkiem.

- Wycofać się na główną linię oporu (tzn. za płot przeciwczołgowy do bunkrów nr nr I i 5) - zabrać rannych.

Cekaemy z Neufahrwasser, zrozumiawszy, że działo rozbite, znowu grają. Pod tym ogniem sanitariusze wloką rannego porucznika Pajaka z rozwalonymi biodrami. Za nim - innych rannych. "Schleswig-Holstein" dalej grzmi ze wszystkich swoich dział.

Wreszcie i Niemcy milkną, zdezorientowani zaprzestaniem ognia z dział, zamilknięciem pozycji Pajaka. Robi się cisza.

Jest 8.45. O tej właśnie godzinie minister Chodacki mówi do swych współuwiecznionych współpracowników:

- Jeśli który z panów umie się modlić - zmówcie za tych ludzi wieczny odpoczynek.

Bunkier dowództwa jest skryty w swojej dolnej kondygnacji od strzałów pancernika przez fałdę terenową. Za to pierwsze piętro jest zniszczone, a wraz z nim apteka i narzędzia chirurgiczne. W dolnej kondygnacji na zwykłym łóżku polowym czterech żołnierzy trzyma porucznika Pajaka za ręce i nogi, piąty za głowę. Doktor Słaby tnie nożyczkami na żywca.

Jeśli ministra Chodackiego zmartwiła cisza, to mógł się teraz "pocieszyć". Niemcy, zajmując okopy Pajaka, zorientowali się niebawem, że idzie na nich w najlepszy polski ogień z bunkrów I i 5 oraz z moździerzy. "Schleswig-Holstein" znów rozpoczął swoją ponurą robotę, a gdy szło mu niesporo z fałdą terenową, Niemcy z dogodniejszego punktu, z Neufahrwasser, poczęły strzelać z działek piechoty. Wreszcie z kierunku Heubude1 poczęła strzelać bateria niemieckich 88-ek.

Gdy coraz to nowe środki ogniowe ściągano na pochybel Westerplatte, bita i wyrzynana ludność polska w mieście wiedziała coraz dobitniej - że Westerplatte się broni.

A na Westerplatte panował dobry przedwojenny porządek. Ludzie dostali obiad gorący, wieczorem major zarządził uzupełnienie amunicji, konserwację broni, wyznaczenie służby patrolowej.

Kiedy o jedenastej na zmierzkać zaczęły przez cały dzień bunkry nr nr I i

5 poszło natarcie niemieckie z byłych stanowisk Pajaka, nasze cekaemy narżnęły Niemców co niemiara i natarcie ich się załamało.

[Red.:] Stogi.

74

Tegoż dnia odbywało się masakrowanie szczupłej floty polskiej.

Trzy kontrtorpedowce na dwa dni przedtem wysłaliśmy na szczęście do Anglii. Na pozostałą małą flotyllę wojenną w dniu 1 września zwała się bez wypowiedzenia burza.

Pierwszy był trafiony "Mazur", torpedowiec bardzo małego typu.

Bomba lotnicza zabiła na nim dwudziestu marynarzy i "Mazur" począł tonąć. Ale kiedy pokład był już pod wodą, jego działka przeciwlotnicze jeszcze strzelały.

Stawiacz min "Gryf", wyładowany minami, był atakowany przez dwadzieścia bombowców, przy czym dowódca został zabity. Jedna z bomb padła tak blisko traulera "Mewa", że cała załoga została zdmuchnięta do morza. Pozostał jedynie dowódca i ci przy kotłach. Dowódca, ciężko ranny, leżąc na pokładzie dawał rozkazy i doprowadził do portu pokaleczony okręt.

Zaangażowanie samolotów odciążyło Westerplatte w tym pierwszym dniu wojny. Tak samo jak użycie działa zdjęło ogień pancernika z pozycji Pajaka i pozwoliło odeprzeć ataki od bramy kolejowej, jak ambicje gdańskie złapania Westerplatte znienacka i bez przygotowania ogniowego i tylko gdańskimi siłami, wyszło naszej obronie na dobre. Ale dział już było rozbite, samoloty w znacznej części dopełniły krwawej roboty na morzu, zmiękczenie ogniem obrony szło bez przerwy, a do ataku, jak zobaczymy, szykowały się coraz to nowe i coraz doborowsze oddziały SS i Wehrmacht.

Ranek 2 września przyniósł dalsze zwiększenie środków ogniowych działających na Westerplatte. Na morzu ukazują się dwa małe, ogromnie ruchliwe torpedowce niemieckie i, szybko manewrując, kładą nieustanny ogień na Westerplatte. Nie ma na nie żadnego środka ogniowego-8°-

Parter jednak bunkra dowodzenia, bunkry nr nr 1 i 5, dobrze wtulone w teren, pozostają nie ugrzyzone.

Wówczas przychodzi to, na co nie ma rady, co przyjść musiało.

O godzinie czwartej ogień niemiecki ustaje. Major wychodzi przed bunkier i widzi pikujący samolot. Niemal równocześnie pisarz kancelaryjny, starszy strzelec Dunkiewicz, woła:

-Jestem ranny!

Krew ścieka z czoła Dunkiewicza i na drzwiach występuje trąd od kul cekaemu z samolotu.

Niezwłocznie potem potworny warkot zasnuwa niebo nad Westerplatte. I znów nie ma żadnego środka ogniowego na nalot. Na Westerplatte nie udało się przeszwarcować ani jednego działka pelot.

Załoga bunkra dowodzenia rzuca się do podziemi, gdzie stały skrzynki

75

z zapalnikami. Budynek "chodzi w miejscu" Jak okręt. Major widzi błędne oczy żołnierzy. Żołnierz póki ma broń i może walczyć, ma zupełnie inną psychikę. Major czuje, że powinien jakoś wpłynąć na tych żołnierzy: - Chłopcy, przejdźcie z tego kąta w tamten.

Oba kąty przedstawiają równie małe szansę, ale wśród żołnierzy następuje uspokojenie: jest ktoś, kto myśli za nich, kalkuluje i dowodzi. W bunkier, obok bunkra, wali bomba za bombą. Jest jasny dzień, a przecież kurz czy dym wypełniający podziemie nie pozwala oddychać, widać przez niego tylko zamglone sylwetki.

Ostra świadomość przeszywa mózgi: "Gaz!...".

Masek gazowych nie ma...

Major każe oddawać mocz na chusteczki i nimi uszczelnić drogi oddechowe. Ale sam nie jest w stanie sprokurować tego prymitywnego środka, przypomina, że w kancelarii, na górze, miał pochłaniać; dopada góry - konstatuje czyste powietrze!...

- To nie gaz, chłopcy, to kurz! - zlatuje z wiadomością do swoich.

W progu niemal nie rozdeptał rannego porucznika Pajaka, który, zapomniany przez wszystkich, zwłókł się do suteryn, przycisnął, pełznąć, kolanem koniec bandaża, bandaż się rozwinał. Pajak leży w kałuży krwi i ropy. Rozmawiając ze mną dopiero dowiedział się, że tam na dole się znalazł. Był cały czas nieprzytomny zwlekając się, był nieprzytomny, kiedy go po nalocie znów ułożono na łóżku. Działal za niego przemożny instynkt życia.

W nalocie, jak okazało się potem ze sprawozdań niemieckich, brało udział czterdzieści siedem samolotów. Ponieważ była krótka przerwa, więc major przypuszcza, że samoloty obracały z ładunkiem bomb dwukrotnie.

Wyszli po nalocie zmiażdżeni psychicznie, przekonani, że już oni sami tylko zostali na księżycowym Westerplatte.

I znowu instynkt, tym razem żołnierski: major każe wyłożyć granaty na parapety okien; rozumuje, że piechota nieprzyjacielska niezwłocznie wykorzysta nalot. Nie sądzi, żeby ktoś żywy pozostał z załogi. A przecież, jak strzelony jastrząb jeszcze zaciska szpony, jak szczupak wyrzucony na brzeg jeszcze zwiera paszczę, tak i on każe wyłożyć granaty.

Jego dwa psy - airdel-terrier i dog - cały czas nalotu i teraz chodzą za nim ściśle przytulone mordami do nogi. W takiej chwili w zwierzętach i w ludziach po równo grają tylko instynkty zachowania i walki. Ale atak niemiecki jakoś się nie rozpoczyna i do głosu poczynają przychodzić refleksy mózgowe. Major wysyła gońców do poszczególnych bunkrów i punktów oporu, przestrzegając aby uważali na niewypały; sam zaś poczyną palić szyfry i akta.

76

- Gdyby Niemcy bezpośrednio po nalocie nas zaatakowali - mówił do mnie - wybraliby nas jak raki z kosza.

Przybiegają gońcy i majorowi wraca otucha:

- Bunkier nr 3 - w porządku.

- Bunkier nr 2 - w porządku.

- Bunkier nr 4 - w porządku.

- Bunkier nr 1 - w porządku.

Od bunkra nr 5 przybiega kapral Magdziarz ze strzelcem Aniołkiem. Magdziarz ma urwaną prawą dłoń. Wysłany, po wycofaniu się Szamlewskiego, za tor, pragnął się schronić w czasie nalotu do bunkra, kiedy go zawałiła ciężka bomba. Aniołek gada coś zupełnie od rzeczy. Wysłana z łopatami drużyna nie może wydobyć sześciu poległych spod skruszonych płyt żelbetu.

Wesoły, przedsiębiorczy plutonowy Adolf Petzef też zginął.

Strop bunkra dowodzenia przebiła pięćsetkilówka i bunkier świeci niebem. Naokoło - krater obok krateru. Wszystkie cztery moździerze - rozbite. Zdemolowana radiostacja. Łączność telefoniczna zniszczona. Wodociąg nie działa. Jedyna studnia w podziemiach koszar ma bardzo małą wydajność. Kuchnia rozbita.

Gdzieś, w Polsce, Naczelnny Wódz raz po raz przesyła "pozdrowienia bohaterskiej załodze Westerplatte". Ale oni nie słyszeli tego ani razu...

A jednak, kiedy w cztery godziny po nalocie ruszyło niemieckie na-

tarcie, spotkał ich po dawnemu ogień bunkier nr I. Na lewym skrzydle milczał zburzony bunkier nr 5, kryjący trupy całej załogi, ale ich następcy wyskoczyli w przód, do resztek starych fortów z francuskich czasów i współdziałali z bunkrem nr 5.

Natarcie - zaległo.

Obrońcy-żyją!...

Niemcy - widać szukali innej koncepcji, skoro Blitz się nie udał.

Noc mija spokojnie, jeśli nie liczyć nękania ogniem. Przez cały 3 września trwa z lekka stukanie żywą siłą i coraz intensywniejszy ogień.

Odzywa się - artyleria z Brzeźna (pod Oliwą). Obrońcy Westerplatte są ze wszystkich stron omknięci ogniem. Ktoś przynosi dno pocisku. Dwadzieścia jeden centymetrów. Jakaś artyleria starego typu? Ciężkie moździerz?

Tymczasem tragiczna walka na morzu trwa. Dwa torpedowce niemieckie zaatakowały w porcie polski torpedowiec "Wicher" i stawiacz 77

min "Gryf". Polskie okręty, będąc przycumowane, mogły strzelać jedną tylko stroną. Mimo to zatopiły jeden niemiecki torpedowiec, a drugi uszedł, wypuściwszy zasłonę dymną. W dwie godziny potem nalot niemieckich bombowców zniszczył te obydwa okręty. W czasie tego nalotu jeden oficer i jeden podchorąży, którzy na "Gryfie" obsługiwali działko przeciwlotnicze, zostali strąceni do morza, ale wydostali się z powrotem na pokład i dalej strzelali.

W tym też dniu Niemcy wykryli, gdzie są łodzie podwodne. W pobliżu "Sępa" wybuchło trzydzieści pięć bomb niemieckich.

W nocy z 3 na 4 września trzy polskie traulery dokonały prawdziwego wyczynu: udało im się postawić miny u wjazdu do portu gdańskiego.

Tej nocy kontrtorpedowce oświetlają oślepiającymi reflektorami z morza cały teren Westerplatte; chcą przytłumić wszelki ruch. '

Okropna to rzecz - nie mieć czym odpowiadać artylerii, nie mieć czym odpowiadać kontrtorpedowcom, nie mieć czym się bronić przeciw samolotom. Westerplatte jest jak owad porażony przez osę, ale nie zabity, jak owad, który pożerać się zabierają osie liszki.

Ale i tym razem - nie udało się osim liszkom opanować porażonej zdobyczy. Ruszyli w tym dniu, 4 września, do ataku - kadeci marynarki, tych pięciuset białodprasowanych z pancernika. Batalion ich szedł jak na paradę, po łatwy łup, po pierwszy wawrzyn w tym Blitzkriegu, który miał trwać tak krótko, że młode Nibelungi .obawiały się wrócić z wojny nie powąchawszy prochu.

Nasi brudni Magdjarze, Bieniasze, Łopatniuki, wymięci nocami czuwać, terroryzowani reflektorami, miażdżeni bombami z nieba, deprimowani śmiercią towarzyszy - dobrze mierzą. Zwałami przed "fajnym, ale, płotem" zlegają paniczowie Herrenvolku. Po raz drugi idą i po raz drugi się załamują w ogniu dwóch bunkrów, bo przecie moździerz już nie ma. Choć bliźniaczy bunkier nr 5 również przez nalot zniszczony - ale w tych ruinach fortu zadrzazgł nasz opór, ale bunkier nr 4 wspiera ogień bunkra nr 5.

Chorąży Gryczman, stary żołnierz legionowy, jeden z tych na wymarcu "chłopskich generałów" w wojsku polskim, dla których stworzono najwyższy i nieprzekraczalny, z powodu braku cenzusu, stopień, wydaje w ten czwarty dzień walki rozkazy tak spokojnym głosem, jakim meldował obejmowanie dowództwa po ranieniu porucznika Pająka. W wojsku wzrósł, w wojsku się wychował, poza wojskiem niczego innego nie widział, wojsku wszystko zawdzięczał, latami szkolił Jasiów w miłości ojczyzny, w cnotach bojowych, co na błotnistym podwórku ko-

szar wydawało się przeintelektualizowanym jednorocznikom nieznoś-
78

nym zupackim szymiem, aż oto teraz trafaretowe napuszone słowa ka-
techizmu żołnierskiego nabiegły krwią i chorąży Gryczman walczył i
dowodził logicznie kontynuując twarde życie i wieloletnią służbę.

Przed stanowiskami naszymi leży kwiat młodzieży niemieckiej.

Niemcy proszą o przerwę ognia w celu pozbierania rannych. Dajemy
im tę przerwę, ale zabieramy rannym i poległym broń i lornetki. Biedna
Polska rolnicza, przepomożona na ubożuchny COP1, obławia się na
zeissowskich, na kruppowskich magnateriach. Potem znowu Niemcy ata-
kują, znowu proszą o przerwę i zbierają zabitych i rannych, którym pa-
miątki wlepiły rozpalone cekaemy.

I znów cisza, i znów Niemcy przekonstruowują natarcie.

Od rana piątego września idzie nawała za nawałą. Tym razem naciera
po raz pierwszy Wehrmacht. Jest to doborowa kadrowa jednostka -
Pionieriehrbatalion z Dessau, specjalnie sprowadzony samolotami z
Królewca.

Bunkry nasze, zda się, krztuszą się od strzałów, ich obsady, bez
przenośni, krztuszą się od dymu. W tych ciasnych bunkrach ciągle bez
końca trzeba kręcić ręczną korbą wentylatora.

Mały, zebrany w sobie, bunkier nr I, z którego dowodzi chorąży
Gryczman, liczący zaledwo trzy na trzy metry, zajęzgly za uskokiem
ziemnym, trudny do trafienia i ocalały parter bunkra dowodzenia skry-
ty za fałdą ziemi - już nie będą dłużej niedosięgle. Pionierzy z Dessau
są zaopatrzeni w miotacze min, strzelające stromym torem (łukiem).

Mina trafia niebawem w ścianę bunkra dowodzenia, solidny żelbet wy-
brzusza się do wewnątrz, łamie kręgosłup kapralowi Łąkowcowi. Ka-
pral Łąkowiec wyje, wyje godziny. To ciągle wycie w nieustającym og-
niu wydaje się syreną ogłaszającą koniec walki.

A przecież walka trwa. Westerplatte błyska ogniami strzałów. Wódz
Naczelny przesyła im próżne pozdrowienia w eterze; ze ściśniętym ser-
cem patrzą na łuny nad mierzeją obrońcy Wybrzeża.

A na tej mierzei - odmierza się regulaminowy dobry porządek woj-
skowy, tak jak go przepisowo uczono. Strzelec obsługujący inwentarz,
kiedy nie miał wody, przekradał się pod ogniem i rzucał koniowi, kro-
wom i świniom soczyste buraki. I jeszcze szóstego dnia walki ciężko
ranny Pająk i jego koledzy mieli świeżo udojone aromatyczne mleko.
W noc z 5 na 6 września i na Westerplatte i na Wybrzeżu, i na morzu
dzieją się dziwne rzeczy.

W tym dniu na wodzie trwają walki końcowe: okręt podwodny
"Wilk", stawiający miny wśród okrętów niemieckich, zostaje poważnie
uszkodzony (pełnił służbę przez następnych dziewięć dni, nim otrzymał
[Red:] Centralny Okręg Przemysłowy.

79

rozkaz udania się do Anglii). I Niemcy mają do tego dnia straty: zato-
piony torpedowiec i dwa traulery, inny torpedowiec poważnie uszko-
dzony.

W tę noc następuje wypad polskiej garstki obrońców Wybrzeża na
Gdańsk.

W planach wojennych polskich było Wybrzeże przeznaczone na
ustąpienie; zostawiono więc tam tylko dwa bataliony regularne i siedem
batalionów rezerwistów. Szczupłe siły polskie mogły sobie pozwalać
tylko na wypadki nocne. Na przykład wypad stu dwudziestu marynarzy
zdobył trzy działa przeciwczołgowe, cztery cekaemy, osiem ciężarów-
wek.

W tę noc Niemcy podejmują próbę podpalenia Westerplatte.

Choraży Gryczman telefonuje (bo co noc ciągnięto ponownie linię, co noc obsady bunkrów otrzymywały żywność i wodę):

- Panie majorze, idą czołgi.

- Łopatniuk, do działek! - woła major Sucharski.

- To nie czołgi - uzupełnia po chwili telefonicznie Gryczman. -

To się posuwa po szynach; zapewne pociąg pancerny.

- To nie pociąg, tylko dreżyna; jakaś cysterna...

I już słyhać pepancc. To Łopatniuk doczekał, aż dreżyna wjedzie na punkt z dawna wybrany, przymierzony, przycelowany. Wziął wyprzedzenie - pierwszy zaraz pepanc rozpruł bok cysterny wypełnionej ropą, która miała rozlać się na suchodrzew, wygrzany przez te pamiętne bezdeszczowe dni września i podpalić Westerplatte i usmażyć obsady bunkrów.

Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie: załoga dreżyny zostaje zniszczona, łuna szeroka wstaje nad Westerplatte, Niemców stanowiska świetnie naświetlone, nasza broń maszynowa chodzi po nich jak psie zęby, iskające skórę z kleszczy.

Ale łuna gaśnie, triumf gaśnie, wstaje nad pozbawionym środków obrony Westerplatte nowy dzień, szósty dzień nierównej walki. Znękanym ludziom coraz to się zwiduje desant od Martwej Wisły, coraz to bunkry nr 2 i nr 3 otwierają zbędny ogień.

Kanonada niemiecka po północy narasta do tak potwornych rozmiarów, że nie jest się w stanie rozróżnić, kto strzela i z jakiego kierunku. Ciężkie miotacze min sześćdziesięciokilowymi pociskami dobierają się do fundamentów bunkra dowodzenia. Jak potem ustalono, tej nocy na Westerplatte działało, wraz z moździerzami i miotaczami min, czterdzieści ciężkich środków ogniowych. Ogień trwa trzy i pół godziny.

Już kruszy się w miał ocalały parter bunkra. Dwóch rannych dobijają pociski. Łąkowiec z przełamanym krzyżem wyje nieustannie już dwadzieścia cztery godziny; ludzie patrzą na majora sarnim wzrokiem. Te

80

ciężkie pociski kruszy nie tylko żelbetowe stropy, ale za każdym z nich odłupuje się dumna wiara, która zaczynała wojnę ze śpiewką "my Hitlera mamy w nosie", która czekała i doczekać nie mogła na obiecaną odzież sześciu dywizji,

Nad ranem siódmego dnia walki formuje się od wschodu walec ogniowy. Gdy przesunął się, znowu słyhać terkot naszych maszynek. To nieustępliwy nr 5 Gryczmana i ruiny fortu, namiastka rozbitego bunkra nr 5 - strzelają...

A jednak linia telefoniczna, przeciągnięta wzdłuż morza - przetrwała. Gryczman melduje, że pojawiły się miotacze płomieni i przezornie przede wszystkim wypalają murowane poamunicyjne składziki, stojące wzdłuż toru, w przekonaniu, że tam są obsadzeni żołnierze.

"Nie można dopuścić, by wypalili obsady" - myśli major.

- Natarcie odeprzeć za wszelką cenę - odpowiada Gryczmanowi.

- Rozkaz - słyhać głos Gryczmana.

Nie ma już jednak moździerzy przeciw temu natarciu. Już Niemcy są o trzydzieści kroków od Gryczmanowego bunkra, już obrzucają bunkier ręcznymi granatami; jeden z nich wpadł przez ambrazurę, celowniczy zepchnął go z parapetu.

Okolo godziny ósmej i to natarcie zostaje odparte. Ale Westerplatte to już istotnie pustynia. Mur wzdłuż Martwej Wisły na całej długości kompletnie zburzony. Niemcy z tamtej strony nie potrzebują wlażyć na latarnię morską, by widzieć co się dzieje na tym polskim skrawku, który się broni, kiedy padły Katowice, Częstochowa, Kraków i czołgi niemieckie są pod Warszawą. Oczy niemieckie z Neufahrwasser chciwie pasą

oczy widokiem usypiska. Bunkier nr 2, ten którym dowodził ów kapral Grudziński, któremu major groził paką za apetyty na Niemca - trafiony volltrefferem - w gruzach. Czy żyją? Ale niebawem wydobywa się spod gruzów pokrwawiona obsada wraz z Grudzińskim. Są już jednak bez broni. Niemcy z tamtej strony, odlegli o sto pięćdziesiąt metrów, krzyczą: Haiti. Nasi żołnierze pod lufami niemieckich spandauów - stoją. Sytuacja wyjątkowa: ci się nie mogą ruszyć, są niby w niewoli, a tamci ich nie mogą wziąć.

Bunkier nr 4, świecąc rozwaloną wreszcie ścianą, trzyma się "na słowo honoru", nie daje osłony. Bunkry nr nr 3 i 5, dziwacznie pokręcone, meldują, że amunicja jest na ukończeniu. Bombardowanie niemieckie coraz większe, całe Westerplatte, jak na patelni.

Wówczas major Sucharski zbiera kapitana Dąbrowskiego, podporucznika Gródeckiego, doktora Słabego, chorążego Pełkę, chorążego 81

Szewczuka (Gryczman jest na swoim stanowisku, a podporucznik Kręglewski na odcinku 3 i 4).

- Wydaję zarządzenie o kapitulacji.

Spytałem majora, czy był już o to nagabywany przez podkomendnych. "Nie" odpowiedział - "oni mi nic nie proponowali i ja ich o żadną radę nie prosiłem. Sam oceniłem położenie i sam wziąłem na siebie odpowiedzialność za decyzję".

Major krzyczy do unieruchomionej pod lufami niemieckimi obsady bunkra nr 2, aby pomachali białą chustą i krzyknęli, że dowódca Westerplatte chce udać się dla pertraktacji. Wiadomość idzie po niemieckich stanowiskach ogniowych, jakby po nich przejeżdżał szlauchem z wodą: ogień stopniowo cichnie; jeszcze nasze bunkry 3 i 4 strzelają: gasi się je przez gońców.

I nagle - cisza stoi nad Westerplatte.

Do bunkra dowodzenia ściągają obsady poszczególnych punktów. Przed tygodniem było to podciągnięte wojsko, dziś są to poobtlukiwani, pobandażowani, zarośnięci obdrapańcy. Ale oczy im się jeszcze jarzą uniesieniem bojowym. Nim je zasnuje mgła, właściwa jenieckim obozom. To jest żołnierz, który przeżył po długim szkoleniu ostatnie stadium wtajemniczenia żołnierskiego: ogień i śmierć.

Zeszli do podziemi potrzaskanego bunkra dowodzenia, ustawili się w dwuszereg. Mogli to zrobić na otwartej przestrzeni, wszak ognia już nie było, ale chcieli, ostatni raz, być ze sobą. Wszak zewsząd bez przeszkód patrzyły na nich oczy niemieckie, które odtąd przez lat sześć będą towarzyszyć każdej jeńca sprawie.

Stanęli w dwuszeregu. Szef zdał raport - jak za tych wszystkich dni, kiedy Westerplatte pęczyło w entuzjazm, kiedy miało przyjąć owe sześć dywizji.

Major przyjął raport, podziękował za służbę, podał swoją decyzję. Wysłuchali w milczeniu w postawie zasadniczej. Dopiero po "rozejście się" padali sobie na szyję z płaczem, wyrzucali zamki z broni.

Major, gospodarz zapobiegliwy, każe wydać nowe sorty z magazynów, myć się i golić.

Zastanawia się, kogo dobrać sobie na parlamentarza. "Nie byłem pewny" - zwierzał mi - "czy który z oficerów ten rozkaz wykona".

- Starszy ogniomistrz Piotrowski i mł. Bartoszek - ze mną!...

Chcieli iść ku byłej bramie kolejowej, skąd atakowali Niemcy wzdłuż toru kolejowego, byle dalej od Martwej Wisły i tłumnie rojących się za nią niemieckich gapiów. Ale tu teren tak był zryty w kratery, opłatany poprzerzywanym drutem, poprzegradzany zwalonymi drzewa-

mi, że musieli pójść wzdłuż brzegu Martwej Wisły. Niemcy z przeciwnego brzegu krzyczą, aby "optycznie" wzięta do niewoli obsada z bunkra nr 2 szła za nimi.

Tak przeszli ku swojej niewoli żołnierskie stacje męki: cztery rozbite moździerze, pokrzywiony, utracony lewy pepanc, bunkier Gryczmana przechylony niby po trzęsieniu ziemi, trupy, które Gryczman narzynał tu za "fajnym, ale, płotem", samże ów płot, który dawno przestał być fajny, ziewając szerokimi rozpadlinami, wysadzonymi przez Niemców, pole minowe rozminowane ciałami niemieckimi, dawną bramę dla samochodów, teraz nie istniejącą, wreszcie okopy Pajaka o przedpiersiach spłyconych ulewą pocisków.

Tu już, nad tymi okopami, stoją zwycięzcy. Podbiegają wprawne feldfeble, macając mundury. Na protest majora - rozgrzany jeszcze walką młodzik, oficer niemiecki, grozi pistoletem. Każą im zdjąć płaszcze, odbierają dokumenty, portfele, scyzoryki, prowadzą w głąb. Po ujęciu stu kroków natykają się na podążających na spotkanie dwu oficerów.

Młodzik się pręży: - Melduję, że wziąłem do niewoli komendanta Westerplatte - mówi z emfazą.

Major podrzuca głowę. Ale starszy oficer niemiecki sam przechodzi nad młodzieńczym wybrykiem do porządku dziennego. Staje na baczność:

- Panie majorze - mówi skrzekliwym głosem niemieckiego oficera zawodowego, nawykłym do komendy - jestem szczęśliwy, że choć w takich okolicznościach mogę poznać tak dzielnego przeciwnika. Jestem Oberst-Leutenant Hencke, dowódca Pionieriehrbatalion, który miał zaszczyt walczyć z panem.

Podpułkownik Hencke częstuje papierosami; adiutant jego doskakuje do majora Sucharskiego z ogniem. Tymczasem ukazuje się grupa oficerów, idących w ich kierunku.

- Panie majorze - szepcze podpułkownik Hencke - ten z czerwonym poszyciem to generał Eberhardt.

Major Sucharski melduje się z precyzją. Za generałem utworzył się półkrąg. Błyszcząc czerwienią wyłogów, generał mówi:

- Wyrażam podziw i współczucie dla tak godnego przeciwnika.

Składam gratulacje i wyrazy uznania. Jako ich dowód daję panu prawo noszenia szabli w nowej pańskiej sytuacji.

Major Sucharski, milcząc, salutuje.

- Niech pan mi powie - pyta generał Eberhardt - co pana skłoniło do kapitulacji? Czy dzisiejsze natarcie?

- Dzisiejsze natarcie zostało odparte. Skłonił mnie brak amunicji, wyczerpanie żołnierzy, stan rannych.

83

- Oczyszczyć! - skinął na buty majora generał. Dwu żołnierzy niemieckich przypada, szorując je na glanc. Już na nich nie ma tłustego mułu Westerplatte, kurzu z rozbitych bunkrów, już zmieciony z jej obrońcy ostatni proch walki.

Kzesło. Stół. Piwo. Podpułkownik niemiecki mówiący płynnie po polsku:

- Byłem komisarzem policji gdańskiej. Możemy teraz mówić ze sobą jak starzy żołnierze. Otwarcie. Niech pan major mi przyzna... cóż za sens było walczyć?

Major Sucharski dojrzał w krzakach wozy z aparaturą i dyskretnie umieszczony mikrofon. Zaloty policjanta gdańskiego doznały fiaska. Przyniesiono odebraną szablę, którą generał Eberhardt wręcza majorowi Sucharskiemu.

- Jakże pan major ma prywatne życzenia?
- Ranni...
- Ależ to rozumie się samo przez się - wskazuje generał na jadące karetki.
- Zmienić mundur...
- Proszę... Ale rozumie pan major, że musi pan być odtąd... w towarzystwie.
- Tak jest.
- Oto oficer, który panu będzie towarzyszyć i oto lekarz, który pójdzie razem, bo może się przydać. Następnie pan zda Westerplatte komisji.
- Major z dodaną asystą przychodzi do mieszkania swego, którego nie widział od chwili wybuchu wojny. Czeką czyściutko zasiane łóżko, tak jak je słał cierpliwie i na próżno na każdą noc między 2 sierpnia i 1 września pocztowy pocztowy osobisty, Kita. Nie ma Kity. Zginął na bunkrze nr 5.
- Panie majorze, niech się pan napije - mówi lekarz niemiecki, biorąc z kredensu butelkę wódki. Utracając szybką i piją po kolei. Ordynans niemiecki ściąga majorowi buty. Drugi żołnierz usiłuje sobie władować do kieszeni jego order, ale na reklamację majora jest poskromiony.
- Zapowiedzianą komisję stanowi podpułkownik Hencke i dwu oficerów. Obchodzą z majorem Sucharskim pomiażdżone Westerplatte. Wzdrygnęli się na widok skrwawionego nr 1:
- Istne jatki - szepcze Niemiec.
- Nr 5 - grób całej załogi; tu zginął wierny Kita; major Sucharski salutuje i z oczu jego staczają się łzy; Niemcy dyskretnie się cofają.
- A teraz proszę, panie majorze, pokazać wasze wieże pancerne.
- 84
- Przecież generał uprzedzał pana majora o konieczności zdania Westerplatte, pan major wyraził zgodę - mówi z lekkim zniecierpliwieniem Niemiec - a wieże pancerne mieliście; proszę, oto zdjęcia lotnicze.
- Major przygląda się naniesionym na mapę czerwonym kółkom, porównuje z terenem:
- To są kopki siana.
- Niemcy są ciekawi innych szczegółów:
- Nie wiedzieliśmy, że stosujecie Baumschützen. Strzelali oni i do rannych.
- Nie mieliśmy żadnych Baumschützen.
- Mamy protokoły...
- Chodźmy do lasu - mówi major Sucharski.
- Las jest to szczotka ściętych kikutów. Między nimi na poszyciu z nałamanymi gałęziami, gęsto leżą zabite bażanty, które hodowały się na Westerplatte.
- Widzi pan pułkownik, że żaden strzelec na drzewie by się nie utrzymał, skoro nawet bażanty nie uszły śmierci. To raziły was wasze własne stanowiska z Neufahrwasser.
- Komisja jeszcze wyraża uznanie za maskowanie bunkrów nr 2, 3, 4. Są to ostatnie gorzkie pociechy, są to ostatnie gorzkie chwile, kiedy major Sucharski czuje się jeszcze niby gospodarzem terenu, zbrojonego przemyslnie, potajemnie i długo, jeszcze niby dowódcą żołnierzy, którzy tu walczyli z determinacją i do końca.
- Dziękuję panu majorowi, komisja przejęła Westerplatte - mówi podpułkownik Hencke.
- Tak!... Więc to-już...

Za byłą bramą kolejową już czekają ustawieni w czwórki żołnierze załogi Westerplatte. Mundury na nich nowe, buty wyglancowane, lśnią pasy, twarze pogolone, rzekłbyś - przegląd jak za dawnych czasów. Tylko oczy wpadnięte w wychudłe policzki świadczą o tym, co przeszli.

Ostatnia przed nimi załoga polska, żegnająca się z Gdańskiem, wy-maszerowała z niego w dniu Nowego Roku 1814 po długim oblężeniu. I wówczas pozostałym przy życiu dwustu trzydziestu oficerom i trzem tysiącom żołnierzy pozostawiono w dowód uznania broń, którą złożyli dopiero na milę od Gdańska.

Major Sucharski wysforował się na czoło, obejrzał się; stali plutonami, z szarżami na właściwych miejscach, oczekując na ostatni rozkaz. Ruszyli. Pustaciami, placami, po których biwakowały niemieckie Strzelcy obsadzeni na drzewach.

85

wojska. Kiedy przechodzili, witała ich kolejna komenda: Achtung!... i wszystko się podrywało na baczność.

Salutowana przez zwycięzców, szła załoga Westerplatte na długą niewolę.

W kilka tygodni po opowiadaniu majora Sucharskiego przeczytałem w "Dzienniku Żołnierza" nekrolog:

W dniu 30 sierpnia 1946 r. zmarł po ciężkich cierpieniach w Neapolu jeden z najlepszych synów Rzeczypospolitej, dowódca bohater-skiej załogi Westerplatte, ostatnio dowódca 6. Baonu Strzelców Karpackich śp.

MAJOR HENRYK SUCHARSKI

odznaczony: Virtuti Militari, dwukrotnym Krzyżem walecznych i in. za wojnę 1918-1920.

Śmiertelne szczątki naszego kochanego Dowódcy przewiezione zostały w dniu 31 sierpnia do Casamassima na miejsce wiecznego spoczynku, o czym zawiadamiają oficerowie i szeregowi 6. Baonu Strzelców Karpackich.

TE PIERWSZE WALKI

(Według opowiadania porucznika Jerzego Lewandowicza)

To było w Domu Polskim w Bukareszcie, kiedy napłynęła pierwsza fala. Młody mężczyzna wreszcie doczekał się w kolejce i poprosił o koszulę, ale jej nie otrzymał. Chciał odejść, ale się zachwiał. Podtrzymano go i usadzono na ławie. Okazało się, że jest oficerem, który ma przestrzelona pierś, rękę i kontuzję głowy. Nazywa się Lewandowicz. Porucznik Lewandowicz znalazł gościnę i całkowitą opiekę; znalazłem go na rekonwalescencji. Słuchając go, myślałem o was, którzy to czytać będziecie. O was, o nas, zgietych wpół, o naszych myślach, o naszych uczuciach. Nie mogłem nie mówić i od nas. To stąd - wtrącane innym drukiem ustępy.

Był koniec sierpnia. U nas w Krakowie, jak i w całej Polsce zapewne, ludzie bawili się w zgaduj-zgadulę: "będzie wojna - nie będzie wojny". Tymczasem Niemcy przez radio nadawały transmisję z uroczystości wręczania przez Hitlera nagród drobnym działaczom i wynalazcom:

- Co pan wynalazł? - Aparat do kieszonki paszy.
- Nie ma pan dosyć paszy dla swoich krów? W Polsce są obfite łąki...
- Pan wynalazł maszynę do robienia kielbas? Trudno jest o żywność? Będzie łatwiej. W Polsce będziemy mieli nierogacizny w bród...

W nocy z 24 na 25 sierpnia o pół do piątej obudził mnie żołnierz z

rozkazem mobilizacyjnym. Mieliśmy stworzyć osłonę mobilizacji.

Doba następna przeszła w wytężonej pracy. Nie czułem godzin; nie pamiętam posiłków, nie byłem w domu.

Po dwudziestu czterech godzinach ruszyliśmy autobusami PKP.

Ach, co to? Jak zjawisko z innego świata, z przemienionego świata, mignęła mi postać żony na chodniku. Kiwnąłem ku niej ręką.

Tuman kurzu się wzbił i ją przysłonił. Została tak, wsparta o ścianę kamienicy. Miała błękitny szal na sobie. Końce lekkiego szala zwisały w dół bezwładnie. Ręce wzbiły się jak ptaki i opadły za szalem.

Przyjechaliśmy do Kęt pod Białą. Nigdy tu wojsko nie stało. Wyległa masa kobiet i dzieci z koszykami owoców. Przez cały czas z tych darów mogliśmy dawać do obiadu na żołnierza po ćwierć litra kompotu.

Gospodarz, u którego miałem kwaterę, czekał mnie wraz z całą rodziną 88

i z obiadem do dwunastej w nocy. Mając dużo zajęcia, nie chcąc go krępować, na drugi dzień poszedłem do restauracji. Przywołany do rachunku kelner odpowiedział:

-Wojsko u nas nie płaci.

Zapraszają nas na posiedzenie miejscowego komitetu współdziałania z wojskiem. Sypią się dary nad możność, nad miarę. Właścicielka owocarni w Rynku przynosi wszystkie swoje oszczędności: dziesięć tysięcy złotych. My, wojsko, w zamian postanawiamy nieco uszczknąć swych porcji i dla rodzin rezerwistów miejscowych deklarujemy czterdzieści pięć obiadów dziennie.

Dzieciaki miejscowe depczą nam po piętach. Od tych małych chłopczków począwszy z wypiętymi brzuskami, od dziewczynek z tego zaplecionymi warkoczykami.

- Co byś robiła, gdyby Niemiec przyszedł?

- Jakby prosił wody, to bym nie dała, a jakby pytał drogi, to bym nie powiedziała.

Chłopcy są rezolutniejsi:

- Ja bym mu zamek wyjął z karabina, bagnet bym skradł...

Pamiętacie Ojczyznę zamgloną, w dali, jakeście ją opuścili tak dawno...

To było tego lata... Szliśmy w Polskę, jak w ciepło promienne. W jednej wsi chłop przyniósł dla wojska barana. Naznaczył cenę - złoty... Aby się nazywało, że nie darmo. Pamiętacie szlaki pyłne ucieczki, już w czasie klęski? Kiedy po chałupach przydrożnych bez zmęczenia, bez ustanku, stali całą rodziną gospodarze, ciągnęli żurawie, dźwigali wodę, poili tłumy maszerujących w rozsypce wojsk. Przebijcie się przez piasek, którym w oczy świata sypie rosyjska, niemiecka prasa, o ludzie polskim, wyzwalanym z opresji znienawidzonych rządów. Chwilka milczenia: myślimy o polskich dzieciach, o polskich kobietach.

29 sierpnia pułkownik Warta otrzymał rozkaz przygotowania swego odcinka w rejonie Górki Węgierskiej, za Żywcem. Wówczas dopiero powiał ostry wiatr wojny. Zażądaliśmy od wójta ludzi. W ciągu godziny stanęło trzystu. Wielu było rozczarowanych, że ich się posyła po łopaty. Sądzili, że będą walczyć wraz z wojskiem. Chcieli się skrzyknąć na tysiące.

PIERWSZE CZOŁGI

W dzień wybuchu wojny od świtania byłem na nogach. Nikt nas nie uprzedzał, że to dziś, ale należało oczekiwać.

Pozycja mojej kompanii tkwiła na stoku wzgórza, przed właściwymi okopami, które mieli zająć inni. Wszędzie przezierająca skała, więc okopy mieliśmy płyciutkie. Przed nami biegł teren lekko w dół, potem się wznosił ku laskowi. Dzień był ładny, cichy, bezwietrzny, ale jeszcze w dole i aż ku laskowi leżała lekka poranna mgła.

O godzinie piątej minut trzydzieści z lasku padły pierwsze strzały niemieckie i nasze placówki cofnęły się. Zanim zorientowaliśmy się, co to za huk powstaje w lasku, ustokrotniony przez skalną dolinę, już z tego lasku wysunął się czołg. Szedł szary, sam, jakby węszył, jakby się oglądał. Wspomniałem łowy "na zasiadanego" na dzika, kiedy, fukając, ukazuje się z drugiego brzegu polany stary odymiec.

Za tym pierwszym wyszło dalszych siedem.

Moi ludzie - rezerwiści w wieku pod czterdziestkę, lud spokojny, zasiedziały w gospodarkach, a rzemiosłach, przeważnie Krakowiacy i górale, przywarł do płtych skalistych rowków przed tymi pancernymi bestiami, sunącymi w szczęku i jazgocie pancerzy. Ale wytrzymali i nie wystrzelił żaden.

Dopiero kiedy były na trzysta metrów, poczęliśmy im dogadzać z naszych dwóch działek i z karabinów specjalnych do niszczenia broni pancernej. Czołgi poczęły się cofać, ale dwa zostały. Niby tok przeleciał przez kompanię. Jedne uciekają, a te dwa - może chwilowy defekt, może się namyśla i ruszą? Bo czyżbyśmy im co zrobili...

Kierujemy cały ogień w wieżyczki tych dwóch. Co tu gadać - wykończyliśmy je bez reszty. Stoją na łące nieruchomo, podczas gdy inne już skryły się w lasku.

Wycofane i niewidoczne czołgi kierują na nas z lasku silny ogień.

Ale o godzinie jedenastej przychodzi im w pomoc niemiecka artyleria. Wszystkich gatunków broni widać danym będzie od razu skosztować moim chłopcom w tym dniu. Najprzód słyszymy detonację pocisku, padającego koło naszych pozycji, a potem dopiero dochodzi huk wystrzału działa. Przez to wygląda, że jest dwa razy więcej strzałów, niż w istocie. Żołnierz się tuli do ziemi, ale po odparciu czołgów już wchodzi

90

w smak tego wojennego sportu. Wypatrzyli w kępie drzew, odległej o tysiąc dziewięćset metrów obserwatora i zdjęli go serią karabinu maszynowego. Po chwili poczyną działać drugi obserwator. O godzinie jedenastej minut czterdzieści artyleria niemiecka jest wstrzelana. Mimo że leżymy jak kuropatwy w ziemi, mam dwóch zabitych i jednego ranne-go. Wycofuję ludzi za grzbięt, gdzie jesteśmy bezpieczni. Artyleria znęca się nad wstrzelanymi pozycjami, które poczynają wyglądać jak grunt księżycowy. Ładnie byśmy wyglądali!...

Wreszcie o godzinie drugiej znowu ukazują się czołgi. Wiemy już, że się umieją cofać i chętnie pędzimy w przód - na dawne pozycje, "poprawione" przez artylerię, bo w tych lejach pysznie się można chować. Dwa czołgi wpadły w doły przeciwczołgowe. Idzie na nas silny ogień. Pada trzech rannych. Ale unieruchamiamy dwa nowe czołgi. Reszta się cofa (może będą flankować?), na przedpolu stoją już cztery unieruchomione siwe mamuty.

Z lasku szybko wyjeżdża czołg - warsztat reperacyjny. Przede wszystkim, nim opatrzyć się zdołaliśmy, stanęła przed czołgiem zdemontowanym i czołgiem warsztatem, który do niego dojechał, ściana stalowa.

- Pewno tam biorą tego wraka na hol i wywiozą nam sprzed nosa, panie poruczniku - mówią z emocją żołnierze.

- Jak tu strzelać? Żadna kula tej ściany nie przebije.

Kulomiotacz-góral bierze się na sposób. Ponieważ parawan stalowy stoi na skale, strzela pod niego. Widać kawałki skały łupią się i uderzają Niemców, bo ściana... hokus-pokus-niknie, warsztat odjeżdża, pozostawiając nie zabrany czołg.

- Sposób na sposób! - śmieją się żołnierze. Ich humor wzrasta.

Zza lasu poczyną się wysuwać szara linia tyraliery. Za nią druga. Po-

tem trzecia.

Żołnierze zaciskają ręce na karabinach. Wreszcie widzą "żywe mięso", coś, co dobrze rozumieją. Pachnie im bezpośredniość bójki. Przecież dotąd te karabiny były beзуżyteczne.

Pilnuję, by nie strzelali. Serce w piersi łomocze. Skąd, nie wiem, z jakiego dna dziecinnej pamięci, wypływa mi zdanie, które powtarzam bezświadomie w kółko: "jeszcze chwilka, jeszcze chwilka, aż przymarznie ogon wilka!".

Są już od nas o osiemset metrów. Chłopcy nie wytrzymali i, Jezu Maryja - jak nie hukną!...

Padły linie tyraliery niemieckiej i leżą, ani drgną. Widzę przez szkła paru oficerów, biegnących z rewolwerami. Potem artyleria niemiecka poczyną walić i tak nas poucza i monituje przez pół godziny. Widać zdecydowali, żeśmy skruszeli, bo podrywają znów swoją piechotę, którą

91
ra idzie na nas wspierana przez artylerię i karabiny maszynowe. Strzelamy, aż lufy parzą, ale na próżno: jednak te trzy linie skokami posuwają się dalej.

Każę przez gońców niewidocznie nałożyć bagnet na broń. Są już tak blisko, że artyleria ich milknie, a kaemy nie mogą przez nich już strzelać. Kiedy dzieli ich od nas trzysta metrów, wypadamy z piekielnym wrzaskiem.

Pierwsza linia Niemców poczyną uciekać. Wówczas padamy na ziemię i szybko, aby jak najwięcej skorzystać, poczynamy w nich strzelać. Padają gęsto trupy. Wstrzymuję nasz atak. Chłopcy tak rozpalili się, że odległość między pierwszymi i ostatnimi wynosiła jakie sto metrów.

A więc Niemiec nie lubi uderzenia na bagnety! A więc czołgi są do ugryzienia. A więc na artylerię jest sposób, byle się nie strachać tyła tego huku.

Zluzował nas KOP1. Zsunieci na tył, za bezpieczną górkę, gdzie już czekała kuchnia z pierwszoklasnym obiadem, żołnierze gardłują, śmieją się. "Jak tak dalej pójdzie jak dziś, to za dwa tygodnie będziemy w Berlinie".

Korpus Ochrony Pogranicza.

PIERWSZA GORYCZ

Otrzymujemy rozkaz załadowania się w autobusy PKP. Okazuje się, że jedziemy gdzieś w stronę Śląska. Ogromna fala uchodźców wali w kierunku odwrotnym. Żołnierze, którzy zasiedli w wygodnych fotelach autobusów, żołnierze, którzy przetrzymali artylerię, rozbili cztery czołgi, poszli z powodzeniem na bagnety, zostali w czas wycofani i w czas otrzymali dobry obiad - patrzą z początku na to zjawisko z pewną aprobatą - że to ewakuuje się front z cywilów. Coraz mniej jednak widzą w tym porządku, coraz więcej paniki. Milkną przepierania się i dowcipy żołnierskie. W tłumie uciekających coraz częściej widać mundury wojskowe. Cóż to znaczy, u licha?...

Następnego dnia pułkownik Warta, siedząc na pniu w lesie, wyjaśnia nam, że oddziały 6. Dywizji są rozbite przez czołgi. Że na nas spoczywa zadanie osłonięcia dywizji, nim się przegrupuje.

Pchamy się, pod prąd, ku Sole. Na szosie Pszczyna-Oświęcim widzimy porzucony obficie sprzęt wojenny. Samotne, często zwalone na bok drogi, jaszczere artyleryjskie zdają się wyciągać w tym drugim dniu wojny swoje dysze do nieba - nieme świadectwa nieszczęścia. Musimy pchać się polami, bo drogami nie sposób przebić się przez gęszcz uciekających.

Przeszliśmy Sołę, za sześć kilometrów będzie linia Wisły, którą mamy obsadzić i trzymać, nim się opór nie sformuje na Sole. Teraz tu

już nie ma cywilów, za to od Wisły w ślepej panice ucieka 6. Dywizja. Patrzę na Wartę - ten człowiek postarzał się od dzisiejszego rana! Spod hełmu patrzą głęboko wpadnięte oczy. Wyciąga rewolwer z pochwy, głosem ochrypłym rzuca komendę:

- Bagnet na broń!

Błysnęły ostrza bagnetów. Żołnierz je zakłada nieporadniej niż wczoraj, w ogniu kaemów niemieckich. Bagnet przeciw własnym kokgom?

Nie poszło to. Jakże uderzyć w żywą pierś rodaka? Oficerowie nasi schrypli przyskakują do uciekających oficerów dywizji.

- Stój, s... synu - krzyczę do jakiegoś porucznika. - Z powrotem!...

Stanął, od razu w dobrej formie.

93

- Panie poruczniku - mówi - z kim z powrotem? Widzi pan co się dzieje? Muszę dopaść swoich ludzi.

Przelecieli przez nas bezradnych. Już się cicho robi i pusto. Ani cywilów, ani wojska, tylko porzucone i połamane wozy. Wisła przed nami płytka i kamienista. Pusto za nią - rzekłbyś: pustynia. O półtora kilometra z tamtej strony wieś. Nie widzę przez szkła ni żywego ducha. Dalej za wsią las. Ze wsi Góra, leżącej z tej strony o półtora kilometra przed Wisłą, dochodzą odgłosy rozgospodarowującego się naszego baonu. Tu, za wsią, kiedy tak patrzę w umarłe zawisłe, koniki polne poczynają grać w najlepsze. Myślałem, że od razu trafimy na nieprzyjaciela. Ta martwa cisza, przerywana ćwierkaniem koników, zamarta wieś, ciągnące górą obłoki - i ten popłoch naszej armii, który przed chwilą widzieliśmy, mieści w sobie straszliwą groźbę. Gdzie jest ten milkliwy wróg i jak straszliwa musi być jego postać?

Chowam szkła i wracam do wsi Góry. Pułkownik Warta już zdążył obsadzić Wisłę - na lewo od drogi jedną kompanią, na prawo od drogi drugą. Moja kompania ma być w odwodzie. Otrzymuję rozkaz przejścia za Wisłę dla rozpoznania i ubezpieczenia.

W OPAŁACH

Sądzę, że to samo co ja przed chwilą czułem - groźbę ciszy, nabrzmiałej niebezpieczeństwem, od którego uciekła cała dywizja - teraz czuje każdy żołnierz mojej kompanii.

Przeszliśmy Wisłę, obserwowani przez kolegów z tamtych dwóch kompanii, którzy nad brzegiem zalegli. Posuwamy się pochodem ubezpieczonym ku wsi. Właściwie ku dwom długim wsiom: jedna się wyciągnęła długą ulicą wsiową w prawo, druga w lewo od szosy.

Weszły już czujki w wieś pod strachem Bożym. Cicho jest i słonecznie. Jest godzina piąta po południu.

Przeszły czujki wieś, już widnieją po tamtej jej stronie na skłonie, który się podnosi ku lasowi. Chcąc nie chcąc muszę się za nimi pchać, choć nie wiem, czy zasadzka we wsi naumyślnie nie przepuściła czujek. Nie rozumiałem jeszcze, w tym drugim dniu wojny, że machina wojenna niemiecka nie bawi się takimi abisyńskimi cymesami, jak zasadzka na jakąś kompanię.

Jesteśmy we wsi, przechodzimy obejścia pierwszego rzędu domów, przechodzimy ulicę, przechodzimy obejścia drugiego rzędu domów, już jesteśmy na zewnętrznej stronie wsi, skąd widok na ten las. Patrole nasze nieco się odsądziły, widzimy je jak czernieją na żółtym ściernisku, podążając charakterystycznym myszkującym krokiem, półzgięci.

Nagle z lasu rozlegają się strzały, patrole nasze zapadają się w jakieś miedze i mają się ku nam. Pośpiesznie umocowujemy się jako tako. Strzelanina z lasu narasta. Po upływie jakich dwudziestu minut - przez

sekundę ma się złudzenie, że to oddzieliła się ściana krzaków, porastających brzeg lasu - szerokim frontem wyjeżdża na nas masa czołgów nieprzyjacielskich. Ponura tajemnica lasu wyjaśnia się, żołnierz przywiera do karabinu. Nic mu ten karabin, niebożęciu, nie pomoże, ale zawsze wie, co ma przed sobą.

Czołgi szeroką ławą suną na wieś. Podczas gdy co drugi jedzie, pozostałe strzelają. Następnie one ruszają, a ubezpieczają je tamte. W ten sposób znajdujemy się stale pod ostrzałem.

Niemcy też widocznie nie lubią tajemnic. Nie wiedzą, co wieś kryje i strzelają ponad naszymi głowami pociskami zapalającymi. W ciągu dziesięciu minut wieś za nami staje w płomieniach. Stodoły, pełne zbiorów, palą się jak stos jałowca.

95

O trzysta metrów przed nami czołgi się rozdzielają. Będą flankować wieś, a my pozostaniemy odcięci od naszych, w płonącym worku!

Cofamy się w kolejności taktycznej do drugiej linii domów, z tamtej strony ulicy, która częściowo się nie pali. Tam się grupujemy. Mamy dziewięciu rannych. Nie zniszczyliśmy ani jednego czołgu.

Co robić, co robić?... Cofamy się całkiem za wieś - widzimy, że szczypcę czołgów już się zaokrąglają ku zwarcu. Wystrzelają nas na tej płaszczyźnie, mowy nie ma, abyśmy wrócili do swoich. Rzucamy się znowu do wsi, która rozpala cię coraz bardziej. Żołnierze trzymają się mnie jak małe kuropaciełka starej kuropatwy. Wypadamy przez wieś na tę drugą, odniemiecką stronę, bo w tym piekle ognistym wytrzymać trudno. Widzimy tyralierę niemiecką już o czterysta metrów od wsi. Łatwo im było przejść przestrzeń od lasu, skoro tu tymczasem hasaliśmy z jednej strony wsi na drugą jak myszy w łapce.

Widać ich doskonale, rysy już wkrótce rozróżniać będzie można, słyszać komendy.

Padamy w linii i grzejemy jak się da. Można powiedzieć, że jemy Niemców pełną łyżką. Trupy ich aż "pryskają" według obrazowego opowiadania żołnierzy po tej walce. Ale nie rzucają się do ucieczki. To jest przecie ten sam żołnierz niemiecki, który już widział ucieczkę 6. Dywizji. Kiedy są od nas o dwieście pięćdziesiąt metrów, uderzamy na bagnety. Przypadli otwierając silny ogień. Przypadliśmy i my. Kiedy znowu podrywam żołnierzy do ataku wręcz, nerwy niemieckie nie wytrzymują. Pierzchli.

Oficerowie, podoficerowie wstrzymują żołnierzy, klną na czym świat stoi. Bo na cóż się zda dopaść i pogarbować Niemców, mając z tyłu czołgi.

Znowu zebraliśmy się, czołgając się po polu. Mamy chwilę spokoju.

Tyraliera pierzchła, a czołgi gdzieś tam za wsią. Co robić?

Wzrok mój padł na gęsty dym, wałący ukośnie ku Wiśle w stronę jej dolnego brzegu. Czarny dym, żywiony słomą, gęstymi kłębami szedł przy samej ziemi, niesiony leniwym wiatrem.

- Chłopcy! - wołam - tędy wyjdziemy, ale jeśli żaden z was nie nawali, nie przestraszy się czołgów.

Cofamy się najprzód w wieś, aby Niemcy nie zmiarkowali, ładujemy rannych na biedki od kaemów i wypływamy z chmurą dymu ze wsi.

Dużo się przeklina słomiany ogień, ale wówczas uratował nam życie i wolność. Dym z tego ognia towarzyszył nam ze cztery kilometry, aż doszliśmy wraz z nim do Wisły, w dół od rozplaszowania naszej prawoskrzydłowej kompanii. Miała tam być rzekomo nasza kawaleria, ale nie znaleźliśmy jej ani śladu.

Co za rozkosz wyjść z płytkiej wody wiślanej, która nam nie sięgała

96

po pas, iść "polską" stroną bezpieczną, schnąć w miłym wiatku, mieć przed sobą Górę, gdzie nasze kwatery, gdzie nasz obiad! 2 tych dzie-
więciu rannych żaden nie był ranny śmiertelnie. Jadąc na biedkach,
chłopcy prześcigali się w dowcipach, jak to teraz ich hrabiny opychać
będą specjałami i jak to oni, pierwsi ranni w tej wojnie, będą zadawali
szyku.

Chłopcy kochani, nasi ranni chłopcy? Może to którego z was spotyka-
łem, brnąc kurzem przydrożnym na opuchłych nogach, jak wlekleście
się, podtrzymując opatulone byle jak, nie przebandażowywane od
trzech dni kikuty...

We wsi Góra został jeden mieszkaniec, staruszek, Niemiec. Miał
krowę i wieprza. Krowę poćwiartowałem i rozesałem mięso do wszyst-
kich trzech kompanii, wieprzka zostawiłem dla swoich.

Warząc smaczne jadlo, skłopotalem się, że jeśli my byliśmy tacy mą-
drzy, aby obejść Wisłę niepostrzeżenie i dla swoich, bo żadnej tam ka-
walerii jako przedłużenia nie ma, to i Niemcy to samo potrafią, mogli
bowiem spostrzec się co do naszej drogi, mogli nas widzieć przez lorne-
ty, bo gdyśmy dochodzili do Wisły, dym już był rzadki i zgubiony.

Zawołałem na ochotnika - kto pójdzie w patrolu jeszcze raz i naty-
chmiast za Wisłę. A że już od podsmażanego wieprzka zapach w nosie
kręcił, odpowiedziało mi milczenie.

Pociągnąwszy z żalem nosem luby zapach, zadeklarowałem się, że ja
pójdę sam. Kto następny?

Jakiś cień wystąpił naprzód.

-Jak się nazywacie?

- Porucznik Rusin.

Zaraz za nami dwoma wystąpiła cała kompania. Stypny naród, te Po-
laki, jak Boga kocham!

Dobrze koło północy wezwał mnie pułkownik Warta. Wieś Góra, w
której staliśmy, tonęła w ciemni tym większej, że przeciwległy brzeg ja-
śniał od pożaru tych dwóch wsi.

Czołgi niemieckie, wyciągnąwszy się wzdłuż przeciwległego brzegu
Wisły, strzelały nieprzerwanie i te strzały wyglądały w ciemności jak
przebiegające girlandy ognistych sznurków.

Spotkałem Wartę przed kwaterą. W nasileniach ognia i ciemności
ukazywała się, to znów ginęła, jego sucha twarz, ujęta w otok rzemienia
trzymającego hełm.

- Panie poruczniku - powiedział i głos mu się z lekka zaciął -
musicie z kompanią zrobić wypad.

- Rozkaz, panie pułkowniku - powiedziałem bez entuzjazmu gło-
sem schrypłym od całodziennego wrzasku.

97

- Widzicie - dodał zwracając się ku ognistym zygzakom - napie-
rają nas bardzo. Jak nas za wcześnie wykurzą, to i linia Soły pęknie.
Wróciłem do kompanii w nastroju, o którym Żydzi mówią: "Ja już
tylko się śmieję". To jest czasem dobry nastrój, bo już wszystko jedno.
Żołnierze jeszcze nie zjedli właściwego obiadu, który się gotował, poza
małym kawałeczkiem podpieczonego prosiaka, który wypadł na każde-
go.

Co tu miałem gadać, wybierać, wzywać, deklamować? "Ja już się
tylko śmiałem". Kazałem zrobić zbiórkę, kazałem broń rozładować, bo
bałem się, że się który zdenerwuje, wystrzeli i wsypie, kazałem bagnety
nałożyć na broń i wziąć ręczne granaty.

Prowadziłem moich ludzi terenem równym, dobrze nam znanym,
jasno przez pożar oświetlonym. Gdyby mnie który spytał: "Dokąd
idziemy, panie komendancie?", pewno bym podkręcił wąsa tak jak go

nie mam i tak jak Zagłoba odpowiedział: "Do Konstantynopola, jeśli taka będzie moja wola!".

W gruncie rzeczy wiedziałem tylko, że mam zrobić wypad i zamieszanie, a ponieważ jasno było, a tylko w tym jednym miejscu poczciwa chmura dymu, która nas uratowała ciągnęła się aż do Wisły (zapewne zapalały się we wsiach coraz nowe stodoły), więc wparłem ludzi w bród tam, gdzie chmura dochodziła rzeki. Wyszedszy z wody, chwilę szliśmy chmurą ku wsi, ale rozumiałem, że wleźć w palącą się wieś nie ma sensu, tym bardziej, że i czołgi musiały ją obstawić. W pewnej więc chwili wyrwałem kompanię z chmury na bliski las, z którego przed kilku dniami szarżowało na nas to diabelstwo, od którego zwała przed nami piechota.

Miałem jak obszył dwustu pięciu ludzi, bo piętnastu ubyto z szeregów w czasie walk, a dwudziestu zostawiłem przy taborach. Tych dwustu pięciu rozumiało, że kroi się grubszy kawał, aczkolwiek żaden z oficerów, żaden z podoficerów, a po prawdzie mówiąc i ja sam, nie wiedziałem jaki. Szli cicho, w zupełnym milczeniu, niosąc karabiny jak jajka, że nic nie brzękło, nic nie stuknęło. W lesie czekaliśmy, że dostaniemy bobu, o jakim się nie śniło światu ani Koronie Polskiej. Oko nasze jednak weszło w las, weszły czujki, patrol ubezpieczający - cisza dookoła trwała, gdy tam znad Wisły dochodziła ciągła strzelanina.

Cała kompania weszła w las. Pamiętałem, że las dalej na lewo odbiega od rzeki, że przez to atakujące nas dzisiaj czołgi ukazały się na większej odległości.

Wziąłem ze sobą siedmiu górali i szliśmy cichutko naprzód. Po pewnej chwili, las zaczął się przersedzać. W dali ukazała się łuna wsi, a na jej tle na otwartej polanie podłej jakaś ciemniejsza ściana. Wsłuchawszy się, posłyszeliśmy rozmowy, brzęk menażek. To kuchnie polowe '98

niemieckie fasowały obiad. Poszczególni żołnierze, nabrawszy w menażkę jadła, odchodzili na skraj lasu, aby je spożyć.

W obawie, by nie trafili na nas, wycofaliśmy się spiesźnie.

W lesie oczy, przywykłe do blasku luny, ogarnęła zupełna ciemność.

Pachniało wilgocią. Z szurpatości drzew wyszliśmy na dyszącą ciepło naszą kompanię. Nie rozróżniając ludzi, dotykałem ich piersi, pasów, ryszunków i posuwając się od jednego do drugiego szeptałem:

- Odpląćmy za kolegów... Iść równym krokiem, nie wrywać, trzymać się mnie... Biec, kiedy krzyknę: "naprzód", rzucić granat, kłuć. Podaj dalej, podaj dalej...

Na żadnych pokazowych ćwiczeniach żołnierz tak nie szedłby równo, tak nie szlusowałby do dowódcy, jak ci Ślązacy, Krakowiacy i górale, w dziewięćdziesięciu procentach rezerwiści, z którymi walczyliśmy dopiero od dwu dni.

Doszliśmy na pięćdziesiąt metrów do kuchen, gdy nasi ludzie natknęli się na pierwszych siedzących i jedzących. Padło od razu ze trzydzieści granatów. Zrobiło się piekło na ziemi. Skoczyłem naprzód, pierwszy mi się zasłonił menażką, pchnąłem bagnietem, zaraz potem przebiłem drugiego.

Niemcy poczęli strzelać z rewolwerów, kompania nasza parła przez polanę, robiąc bagnietami. Krzyki: kamarad, Niemców, krzyki polskie, renegatów zapewne, rwały się wpół, w jakiejś krwawej czkawce. Któryś z moich żołnierzy wpuścił odbezpieczony granat do kotła. Kanonengulasch wysadziło z hukiem - to za naszą nie zjedzoną kolację!...

Trwało to nad wyraz krótko - i już znaleźliśmy się w lesie po przeciwnej stronie. Za nami polana grzmiała od rzęśstych strzałów, ale wkoło nas już coraz bardziej obmotywała się noc i zwiłgła chłonność

lasu.

Biegniemy ze cztery kilometry, w odwrotnym kierunku od tego, którym przyszliśmy, pragnąc przejść Wisłę nie w dole - tam, kędy dwa razy chodziliśmy - a w górze, gdzie od strony niemieckiej przylegały do Wisły stawy.

W pewnym momencie natykamy się w krzakach na polską armatę przeciwpancerną z ośmiu nabojami, porzuconą tu wczoraj przy ucieczce 6. Dywizji. Żołnierze zaprzęgają się do niej, dochodzimy do Wisły, jest tu ona węższa i głębsza, niż tam w dole, armatka robi nam tysiąc kłopotów, własne placówki z tamtej strony poczynają strzelać do nas rzęsiście.

Jesteśmy wreszcie w Górze. Kolacja czeka! Teraz rozładowuje się nasze milczenie, nasz pośpiech. Rozparci wygodnie, nażarci po uszy, poczynają żołnierze dzielić się wrażeniami. Nadbiega pułkownik Warta,

99

który był w rozpaczy, słysząc strzelaninę w lesie, bo wiedział, że kazałem rozładować broń.

Kiedyśmy się policzyli, okazało się, że ten wypadek kosztował nas osiemnastu ludzi. Pan pyta o straty Niemców? Nie wiem... Ja zakłuję pięciu... Nie było żołnierza, który by przynajmniej jednego Szwaba nie dopadł. A granaty rzucone? Ja tak sądzę, że do czterechset ich zostało na placu.

OBRONA MOSTU

Całą noc trwa kanonada ze strony niemieckiej. Nasze kompanie obsadzone nad Wisłą muszą się czuć ciepło. Dobrze, że im wczoraj posłałem po ćwiartce krowy. Żołnierz jak sobie podje, to się inaczej czuje.

Czuję, że sytuacja narasta, że znowu odwód będzie w robocie i nie śpię całą noc.

O godzinie czwartej nad ranem przychodzi rozkaz cofania się na linię rzeki Soły. Wysadzono zaporę w Porąbce.

Przed samą wojną wydałem książkę o sztafecie gospodarczej, która, idąc z prawieków, przeszła przez pierwsze dwadzieścia lat naszej niepodległości. Pisząc, zaglądałem w każdy kąt gospodarstwa polskiego. Widziałem ludzi, którzy budowali Porąbkę, którzy budowali Rożnów, którzy budowali Stalową Wolę, Mielec, Rzeszów, Dębicę, Niedomice. Widziałem ich potem, w odwrocie, na wygnaniu, słuchałem opowiadania, jak własnymi rękami wysadzać musieli w powietrze te arcydzieła konstrukcji, z których byli tak dumni. Pokolenie, które budowało od nowa ojczyznę, niszczyło ją z powrotem, wysadzało piękne konstrukcje mostów, rwało tory, burzyło trzewia męczeńskiej Polski.

Ci inni, najeźdźcy, pomagali w tym dziele zniszczenia: płonęły budynki, w gruzy zapadały się domy mieszkalne, w popiół szły zbiory, drzazgi pozostawały z warsztatów pracy. Potem zapanowała cisza. Potem poczęliśmy czytać pisma rosyjskie, pisma niemieckie. Ci pierwsi wydzielali jakie to wszystko małe; ci drudzy pogardliwie krzyczeli o polskiej gospodarce.

Wysadzono zaporę w Porąbce, należało więc przejść most na Sole póki czas. Posuwałem się z taborami na przełaj przez las. Drogi żadnej nie było, pochód był nad wyraz ciężki. Dotąd widzę wysilone, sine z napięcia twarze żołnierzy, podsadzających się pod wozy. Na domiar złego w lesie natykamy się na dwa porzucone wozy pełne amunicji artyleryjskiej. Wyprzegamy konie z biedek karabinów maszynowych, które ciągną żołnierze, przyprzegamy do wozów, które popychamy jeszcze, bo ciężkie. Cofając się tak, mijamy kopalnię, której wieżę niszcę. Z okien kopalni strzelają do nas niemieccy dywersanci. Rzucamy do wnętrza granaty. Jacyś cywile uciekają tylnym wyjściem. Strzelam za nimi

bez rezultatu.

101

Przy moście nad Sołą stanąłem jeszcze przed baonem. Pułkownik Warta, stwierdziwszy, że saperzy już kończą zakładać pod ostatnim przęsłem ładunki wybuchowe, kazał mi czekać jeszcze przez dwadzieścia minut na zbłąkany pluton porucznika Zięcika, po czym wycofać się i dać znak, aby most wysadzić.

Podczas więc, kiedy moja kompania przeszła przez most, pozostaje na nim z poczem czterech ludzi, oczekując na Zięcika.

Panuje tego dnia gęsta mgła. Stojąc pośrodku długiego, bo liczącego jakie sto pięćdziesiąt metrów mostu, wpieramy wzrok w tę mgłę, licząc z niecierpliwością minuty. Aczkolwiek czas naznaczony minął, czekam jeszcze dalsze dwadzieścia minut: szkoda zostawić Niemcom kolegów. Po niemieckiej stronie ukazują się czołgi i poczynają ostrzeliwać most. Wtulamy się za przęsła - ja z jednym żołnierzem po lewej stronie mostu, pozostali trzej po prawej. Skoro te czołgi tak strzelają, to właśnie może Zięcik z plutonem dobiega. Tak!... U początku mostu ukazują się jakieś sylwety.

Nagle, już na jakie dwadzieścia kroków przed nami, posuwające się sylwety przybierają wyraźny kształt: biegnie oficer niemiecki, a za nim dziesięciu żołnierzy. Rzucamy ręczne granaty. Oficer i pięciu żołnierzy pada, pozostali z mostu uciekli.

Kompania niemiecka idąca za oficerem rozwinęła się, zaległa, ich kaemy prażą i na ukos i głównie na wprost przez most, którym idzie potok wyjących kul. Nie sposób wyleźć zza filaru.

Od czasu do czasu kaemy niemieckie zaprzestają ognia na "wprost i na most idzie atak. Dobrze, że mamy spory zapas granatów. Podpuszczamy dosyć blisko i rozbijamy atakujących. Wówczas ponownie rozpoczyna się piekielna kanonada. Stojący przy mnie za przęsłem żołnierz otrzymuje równocześnie z serii postrzały w udo, szczękę i lewą rękę. Widzę, że przy filarze naprzeciwko jeden z żołnierzy pada i nosem jeździ po nawierzchni.

Saperzy nie wysadzają mostu, czekając widać, aż z niego zejdziemy.

Ale przecie wyjść zza filaru to śmierć. Tu też śmierć.

Przecie nie utrzymamy mostu już we trzech tylko. Jeśli stracimy most, stracimy linię Soły! Czegóż wahają się ci saperzy?...

Jeszcze raz odparliśmy wypad niemiecki. Żołnierz leżący pod przeciwnym filarem przestał nosem jeździć po ziemi. Ten ma dosyć...

Ogarnięty nagłą myślą, zwracam się do tego postrzelonego żołnierza przy mnie (mostem już idzie ponowna lawina kul): - Umiecie pływać?

- Umiem, panie poruczniku.

Patrzę w dół: poziom już podniósł się o jakie trzy metry i spieniona woda rwie całym impetem. Nasz brzeg od samej wody pokryty gęstą olśziną.

102

- Potraficie skoczyć i dopłynąć?

Kiwa krwawą głową.

- Skaczcie. Powiedźcie saperom, żeby natychmiast wysadzali most.

Nie wiem, jak skoczył, bo w tej chwili poszedł nowy atak. Bardzo się Niemcom spieszyło opanować most, nim zostanie wysadzony, i pchali się. Rzuciliśmy ostatnie granaty, poczęliśmy strzelać we trzech z karabinów. Cofnęli się i ponownie poczęli "robić nas" z kaemów. Jeden z dwu żołnierzy pod przeciwnym filarem padł trafiony w brzuch.

Co ci saperzy tak zwlekają?...

Porucznik Lewandowicz patrzy gdzieś w przestrzeń, przeze mnie. Porucznik Lewandowicz patrzy w śmierć, w siebie na tym moście, obmy-

tego z życia, gotowego do marszu na tamtą stronę, z której się nie wraca. Krople potu wystąpiły mu na czoło. Zginęło otoczenie pokoju i ja nie widzę nic, co mnie otacza. I mnie się zdaje, że każde uderzenie serca to wieczność, w której się waży oczekiwanie: "Co ci saperzy tak zwlekają?..."

Porucznik przetarł czoło ręką, mówi:

Wiedziałem, że lada chwila ponowi się atak, kiedy na krótką chwilę milkną kaemy bijące na wprost. Podniosłem rękę, dając znak pozostałemu przy życiu żołnierzowi, aby zważał na mnie. Widzę, że ten drugi biedaczysko trafiony w brzuch leży, ale granat w ręku w pogotowiu trzyma. Żegnaj, biedaku...

W tejże chwili, kiedy dawałem znak, poczułem szarpnięcie w piersi i równocześnie skonstatowałem, że przestrelili mi rękę, bo spływała po niej krew. Tego żołnierza trzasnęło w ramię.

Zaraz potem nastąpił atak. Trafiony w brzuch słabym łukiem wyrzucił granat, a my z jego kolegą pomknęliśmy mostem. Niemcy, którzy wpadli na most, dali za nami salwę. Żołnierz biegnący ze mną padł o dwadzieścia metrów przed końcem mostu.

Wypadłem w olszyny, huk straszliwy wstrząsnął powietrzem, to wyleciał wysadzony most. Padłem nosem w ziemię w olszynie. Nastąpiła druga eksplozja i straciłem przytomność.

Kiedy ocknałem się, trzymał moją głowę na kolanach kapitan saperów. Zdjął mi hełm, który był pognięty. Okazało się, że już na brzegu kontuzjował mnie pocisk armatni. Kapitan zakładał mi prowizoryczny opatrunek na rękę i pierś, która była przestrelona na wylot. Robiło mi się bardzo słabo. Oddałem kapitanowi papiery i zlecenia dla rodziny. Gdzie to, gdzie to szal błękitny i ręce wzdłuż ciała opadły bezwładnie? - Ja nie będę mówił, jak mnie ewakuowali i com w tej ewakuacji widział? - pyta półbłagalnie porucznik.

103

- Ach nie - przytakuje pośpiesznie - nie, nie, już tego nie. Niech pan powie tylko, co pańska kompania, co dowódcy?

Palce rannego robią nieokreślony ruch ręką po kołdrze.

Kompania - nie wiem. Dowódcy? Generał Mond okrył mnie swoim płaszczem, dał mi go na drogę, przyjechałem w nim aż tu. W cztery godziny po moim ranieniu poległ mój bezpośredni dowódca. Obsługę mu wystrzelali przy działku przeciwczołgowym, podjął jego obsługę sam i padł.

To opowiadanie jest dla Ciebie, skrwawiona i zniszczona Polsko. Mosty i budowle padły i polegli ludzie. Ale ziemia, na którą wrócimy, nie będzie pusta. Drży nad nią wysiłek tych, co pracowali i śmiertelna męka tych, którzy walczyli.

DZIEJE KOMPANII

SAPERSKIEJ

(Notatki do czwartego dnia wojny zagubione)

Do Krakowa szliśmy jak do ziemi obiecanej. Jakże to daleko od naszych Tarnowskich Gór na tyłach! Kwatery wygodne. Doprowadzenie się do porządku. Przeformowanie się. Naprawy. Bary, kina, dziewczęta, bohaterowie... Znowu będzie kompania jak z igielki, ruszymy na front od pewnego punktu, z pewnej bazy, z planem dowództwa, z nowym sensem.

Na przedmieściu jakiś kupiec, hurtownik wina, ofiaruje nam wina dla kompanii ile chcemy. Koniecznie chce nam dać pięć beczek, ale z największym żalem możemy naładować tylko trzy. Ba, gdyby był Czudek z taborami!...

Skład monopolowy rozdaje ile dusza zapagnie papierosów. Obtykamy się nimi po uszy. Żołnierzy nastrój podnosi się niebywale. Kompania (śmiej się to nazwać, bo doszedłem z dwunastu ludźmi) kpinkuje, podśpiewuje i rażno maszeruje. Toż przyniesiemy wszelkiego dobra na miejsce zbiórki kompanii!

Mnie przez chwilę nieco zimno się robi na widok tego pośpiesznego rozdawania. Ale już dziewczęta z chodników rzucają kwiaty, ale już jakieś paniusie fasują herbatę, już nam chcą myć nogi w punktach specjalnie po temu urządzonych, aby opatrywać zatarte nogi wracających z frontu żołnierzy. Dają się ponieść temu prądowi.

Otrzymujemy kwaterę w jakiejś szkole. Ściągnęło stu siedemdziesięciu ludzi z mojej kompanii. Jest i Czudek z przetrzepanymi, co prawda, taborami. Kuchnię nam rozbito pociskami, fasujemy jakąś drugą zepsutą, która nam odtąd towarzyszyła.

Wieści nas dochodzą ze świata. Te bliższe - o plutonie mojej kompanii, zostawionym do dyspozycji dowódcy baonu na Śląsku. Porucznik, jego dowódca, wysadzając most pod nadzwyczaj silnym ogniem, zwariował. Ale most uprzednio wysadził. I te dalsze wieści - że zwyciężamy, że Niemcy trzeszczą.

Oho! Kupa nas tu jest. 6., 21., 23. dywizje, generał Mond, widziałem jakiś pułk z Wołynia, jakiś pułk poznański, pełno wojska. Pójdzie kontruderzenie jak cholera.

Roztarasował się, uwygodnił żołnierz. Liczą sobie palce u nóg, przeciągają się, rozprężają, na miasto nikt nie idzie, bo zbyt znużeni, na jutro rają sobie rajske rozkosze, większość już śpi.

106

O północy, Już całym batalionem, wyruszamy. I... na wschód!

Dowódca kompanii zmotoryzowanej, przystosowanej do niszczeń, oparł się o mnie, posłyszałem w ciemności, że płacze:

- Cały czas, cały czas niszczyłem to, co budowaliśmy przez dwadzieścia lat. Jakbym matkę zarzynał... I teraz... kiedy myślałem, że będzie kontrofensywa, ruszamy dalej na niedoniszczoną Polskę. I znowu będę wysadzał, wysadzał, wysadzał...

Porucznik Siwiński milknie i łapie się za narywającą rękę. Może to i szczęśliwa okoliczność, że każde załamanie głosu można zwać na karb tej ręki. Przysuwa mi zmięty notatniczek.

- Tu notowałem. Może panu wystarczy?

Czytam:

"Z Krakowa wywała masa wojska i ludności. Szereg dni. Nocami.

Pod Nowym Korczynem przeprawiamy się przez Nidę przy ujściu do Wisły. Dawałem patrole z oficerami dla niszczenia mostów. Naprawialiśmy dwa mosty, -zbudowaliśmy półtora kilometra drogi, zebraliśmy wszystkie, jakie się dało galary pod Nowym Korczynem. Cały czas walki. Przez te tabory nie możemy się oderwać od nieprzyjaciela. Spotkałem porucznika Ganowicza - ранego. Między Nowym Korczynem i Pacanowem w majątku Chrzanowie powiedzieli farnale, że poprzedniej nocy przejeżdżało tędy dwieście czołgów. Nocujemy, ale się obawiam ataku rano. Nie mam ani jednego działka przeciwpancernego, ani jednego przeciwpancernego karabina. Biorę dziewięćdziesiąt butelek ze składu z lemoniadą, napełniam benzyną i zakładam do tych butelek lonty. Granatów też nie mamy - prokuruję prowizoryczne z trotylu. Przejeżdża oficer z rozbitego przez czołgi oddziału, śmieje się: «Nie ostrzcie zębów na czołgi, one nigdy nie atakują umocnionych pozycji». Istotnie, atak nie nastąpił, pozbieraliśmy miny i spakowaliśmy nasze butelki. Z rozkazu dowódcy dywizji rozstajemy się z naszym taborami. Z taborami musiała pójść kolumna mostowa całkowicie zmotoryzowana.

Każą mi dwom pułkom piechoty dać po plutonie. Dowódcy pułków przyjmują ich jak psy dziada w ciasnej ulicy, a ja po każdym takim daniu tracę kilkunastu ludzi.

W tych kluczeniach, wędrówkach, potyczkach, nocach w marszu, dniach bez snu, kiedy trzeba się odstrzeliwać napierającym Niemcom, kiedy trzeba się chować od zabijających aeroplanów - jeden był kres, niby próg ziemi obiecanej - wstęga Wisły. Tam czekają przy przeprawie umocnienia polskie, armie nienaruszone. Przemkną za ich potężne plecy rozbite oddziały, wyliżą swoje rany, zbiorą się w sobie dla dalszej walki.

Wisła! - Mówi się tylko o niej...

107

Postanawiam skoczyć nad Wisłę, zasięgnąć języka. O parę już staj od naszego rozdroża trafiam na stłoczoną masę wozów. Przedzieram się bokami wzdłuż zalegającej na siedem kilometrów masy. I kiedy z nagłą las się skończył i o nozdrza uderzył zapach wodny - widzę, że na środku Wisły boryka się z prądem galar, w którym chłop przewozi ni mniej ni więcej, z tysiąc ludzi czekających na brzegu.

Okazuje się, że most wysadzono źle - załamany w środku, tworzył wielką dwunastometrową literę V. W tej sytuacji owe dwie drużyny saperów mogły się tylko rozpłakać. Poradziły sobie o tyle, że boki tej litery połączyły w środku pomostem. Ludzie najprzód się wdrapali po jednej poprzeczce V, szli wątym pomostem do drugiej i schodzili po niej na drugi brzeg. Nawet przeprowadzają poszczególne konie i biedki z karabinami maszynowymi".

Porucznik Siwinski nie wie dokładnie, co będzie robił, ale każe ściągać materiał, obficie złożony na brzegu, pozostały po budowie mostu. Rzeką płyną galary z ludnością cywilną. Wyładowane betami, skrzyniami, wszelakim sprzętem niosą ludzi w dół rzeki - tak, jakby w tym dole nie czekała ta sama niemiecka niewola. Saperzy wyrzucają biedaków, rekwirują galary, kleić po nich poczynają pomost drewniany ku wyspie. Jest godzina dziesiąta rano, kiedy ruszono pracę. Już zjawia się klucz niemiecki, by przeszkodzić przeprawie. Jedna z bomb pada o trzydzieści metrów od budowy, na brzeg i zabija trzech oficerów. Ludzie nie wierzą, aby się robota udała. Zjedli już nawet rezerwowe konserwy, nie byli karmieni od trzech dni. Są tak osłabieni, że belkę, którą lekko powinno nieść dwu ludzi, wlecze czterech, stoją, ocierają pot z czoła, ręce im drżą. Na szczęście jakieś nasze litościwe działka przeciwlotnicze ustawiły się nad brzegiem i grzmą do Niemców. To wystarcza, aby latali tak wysoko, że nie zaszkodzą. Brzeg wiślany wysoki, kaemy niemieckie nie mają obstrzału. Już i nasza artyleria, zamiast czekać biernie, widząc, że się coś poczynia robić, odprzodkowała się i wali, aż grzmot się przewala z krańca po kraniec horyzontu.

To tyle dla ciebie zaszczytu, saperze marny, zawado pochodów, spławiany przez dowódców piechoty na zgubę. To twojej pracy ku osłonie te zenitówki i te działa, i ta armia czekająca?

Na tamtym brzegu była już kompania policji śląskiej. To oni, kiedy wojska opuściły pograniczne tereny przeznaczone na ewakuację, z pomocą strzelców, powstańców, przysposobienia wojskowego, ochotników, stawili czoło dywersantom niemieckim, uzbrojonym w trzydziestostrzałową broń automatyczną, ręczne karabiny maszynowe, granaty.

108

To oni, będący w utarczkach już na parę dni przed wojną, stoczyli pierwszego dnia krwawą walkę o kopalnię w Michałkowicach, która przechodziła z rąk do rąk: tam wzięli pierwszych dwudziestu jeńców z

Hackenkreuzami, których broń schwyciło skwapliwie dwadzieścia nie uzbrojonych rąk. To oni pomogli w Łagiewnikach inżynierowi Zawiei odbić kopalnię, to oni odbijali w Czarnym Lesie oblężony posterunek policji, którego komendant poległ, to oni trzymali Pawłów, Bielszowice, których ludność broniła się tak dzielnie, to oni dopiero ustąpili w Orzegowie, gdy pierś w pierś ukazały się niemieckie wojska regularne, cofali się na rozkaz na Będzin pośród oburzonej ludności, która domagała się broni, która chciała walczyć.

Szli tak z zapiekłą raną w sercu coraz dalej na wschód, pragnęli czymś się przyczynić; pod Pińczowem robili zasadzkę na czołgi, rozsławszy słomę, którą miano podpalić (ale ich uprzedził innym, "abisyńskim" sposobem porucznik Kował, upolowawszy czołgi, rozsypawszy na ich drodze proch, który został zapalony). Potem we Lwowie usiłowali stworzyć oddział niszczenia czołgów, następnie eskortowali Bank Polski do Rumunii, z Rumunii wróciło ich dwudziestu siedmiu do Polski na wiadomość, że mają oddać broń.

Takie honorne były te "gliny" śląskie.

Teraz, kiedy już byli na tamtym spokojnym brzegu i ktoś im powiedział, że saperzy klecą most, wrócili, rozebrali się do naga chłop w chłopa, wleźli w wodę i stanęli do pomocy.

Biega po brzegu kierownik roboty, porucznik Siwiński w krzyku, w gorączce. Co pięć minut zanurza łeb w wodzie wiślanej. W tym łbie huczą wszystkie dzwony, usta zioną nieartykułowane przekleństwa, przed oczami mają s sylwetki ludzkie.

Ci ludzie nagle widzą, że się most istotnie poczyną klecić. Wówczas ogarnia ich entuzjazm i zaciełość. Naloty niemieckie powtarzają się raz po raz - nic na to nie zwracają uwagi, stoją w wodzie, klecą, rąbią, piłują, zabijają, dźwigają, świdrują, ładują...

Widzi porucznik, że naładziła się praca. To tak jak z lewarem: jak dobrze pociągnąć, to już potem sam prąd płynie. Przysiadł na piachu na kępie wyrudziałej trawy, przybiega pułkownik artylerii, który tak waleśnie z ciężkich dział do Niemców bije, tę robotę saperząt-niebożąt majestatem swoim osłania; pyta pułkownik, kiedy most stanie.

- Na dziewiętnastą, panie pułkowniku...

Odetchnął, pot ociera z czoła:

- To dobrze. Tyle wytrzymam. Uratowaliście sto milionów, bo tyle jest warta artyleria pozostała na lewym brzegu.

Słowo saperskie zostało dotrzymane. Most stanął na godzinę osiemnastą - o całe sześćdziesiąt minut przed obiecany terminem.

109

Kiedys, w wolnej Ojczyźnie, ten dzień wrześnieowy powinien się stać dniem święta saperskiego.

Kiedy o osiemnastej pierwsze oddziały popłynęły przez most, pięć celnie rzuconych bomb trafiło w sam środek przejścia - na wyspę. Most bowiem składał się z dwu mostów, tak jak dwa koryta okrężały wyspę.

Poszła fala, spłynęły trupy ludzi i koni, i znów popłynął potok wojska przez most me naruszony.

Twórcy jego jednak nie korzystają z tego, że mogli przejść pierwsi. Nadzy, zaparci w pogotowiu przy pontonach, czujni na to, aby natychmiast odbudowywać, drżą z wewnętrznego uniesienia, kiedy nad ich głowami przechodzą ich koledzy, ich rodacy, ich bracia.

Kompania tkwi tak przy przeprawie do pierwszej w nocy i ściaga ze stanowisk dopiero wtedy, kiedy artyleria i wszystkie cenniejsze oddziały znajdują się już po bezpiecznej stronie.

JESZCZE STAWIAM POD KARABIN

Oddajmy głos porucznikowi Siwińskiemu:

- Dostawszy się do Baranowa, postanowiłem zrealizować sen wielu dni o zawiślańskiej ziemi obiecanej i po raz pierwszy od czasu odwetu zdjąłem na noc spodnie. A że na noc znalazła się gęś - pieczona! że słoma była sucha i przyjemna, izba czysta - spałem wspaniale.

Ale, niestety, krótko. O świcie coś tak rąbnęło, że nie od razu mogłem, zbudziwszy się, połapać się, co się dzieje. Okazało się, że pubudkę nam zagrała niemiecka artyleria, która bombardowała Baranów z całego serca.

Wybiegłem na ulicę. W miejscu postoju kompanii nie zastałem już nikogo.

Opuszczam Baranów niemal sam. Tak już przyzwyczailem się w tej wojnie, że kompania rozprasza się, to znów się zbiera: przecie do Krakowa wmaszerowaliśmy w dwudziestu.

Powoli w tym odwrócić doszłusowują istotnie. Ci ludzie, wczoraj z oddaniem budujący most pod ogniem samolotów niemieckich, znowu stają się dziadami. Niech zdechną, a dyscyplinę będę trzymał.

Co krok wróg nam stawia przed oczy straszliwe memento. Maszerujemy przez marną mieścinę Chmielów w powiecie tarnobrzesckim. Kościół z niej tylko został i figura przy drodze; drzewa pościnane stoją w popalonych ogrodach, jak szkielety. Podobno w miasteczku, liczącym tysiąc pięciuset mieszkańców zabiły bomby niemieckie trzystu, poraniły mnóstwo. Niemców nie dopuszczono do Stalowej Woli, i wracając, tutaj wyładowali swoją złość i swoje bomby.

Nie możemy wytknąć nawet nosa na szosę, bo trafiamy na istny ogień zaporowy. Leśnym kołem, robiąc łuk siedem kilometrów, dochodzimy do wsi Stale. I ta wieś jest już bombardowana. Zdaje się, że już z tej aury bombowej nigdy nie wyjdziemy, poczynamy w niej pełnić zwykle swoje czynności. I kiedy dowiaduję się, że moi ludzie uciekając z bombardowanego Baranowa zgubili ręczny karabin przeciwpancerny, który szczęśliwie przed kilku dniami znaleźliśmy porzucony w rowie - stawiam pośród tych wszystkich bomb pod karabin na godzinę plutonowego i trzech żołnierzy.

111

- I plutonowego?

- I plutonowego. Trudno. Przecież chciałem jeszcze wojować, a nie uciekać. Tymczasem na noclegu w Stałem dogonił nas żołnierz, który miał pieczę nad ciężkim karabinem maszynowym. Mieliśmy dwa. Jeden zgubiliśmy, wyszukując galary pod Nowym Korczynem. Wówczas jakaś banda dywersyjna na nas wpadła. A tu ten drań tłumaczy się, że konie urwały się i biedkę w pole uniosły. Kazałem wracać do Baranowa i bez kaemu nie wracać. Do Baranowa, pod Niemców - to po śmierć albo niewolę. Uszedł kawałek drogi, wraca, prosi się. Nie zgodziłem się. Jeszcze raz wrócił, kiedy do mnie podjechał kapitan, zastępca dowódcy batalionu. Trzasnął w obcasy i prosi kapitana o pozwolenie meldowania się do mnie. Pyta, czy będzie przyjęty do oddziału, gdy dostarczy inny karabin maszynowy. Podobało mi się, że w myśl regulaminu się zwraca - pozwoliłem. Istotnie po paru dniach zjawił się z kaemem polskim: skradł go gdzieś, czy wycygał, a może znalazł?

To już, zdaje się, jest 13 września. Marsz wrasta w nogi, huk bomb w uszy, a sen w żołnierza na każdym miejscu. Teraz znów mamy cięższą służbę niż inni, bo musimy niszczyć mosty za sobą. Kiedy już ciasno się robi z trotylem, próbujemy okręcać słomą i palić. To się zawsze nie udawało i na manewrach, i tylko okapcało mosty. Tu palą się jak świece. Hitler w mowie do towarzyszy partyjnych powie, że Opatrzność pomogła zwalczyć Polskę. Widać mieli Pana Boga jako szefa szta-

bu. Niemiecki Bóg, dając suche lato, pomagał palić się Polsce.

Zostawiliśmy za sobą zaskieki, przy których zarywały się tylne straże, minowaliśmy pola, zrywaliśmy mosty, przekopywaliśmy drogi i znów, mimo że saper miał dwukrotnie większy trud niż żołnierz innej broni - poczucie tego, że coś robimy, że do czegoś jesteśmy potrzebni, dodawało nam siłę; patrząc w swoich "chłopców", którzy wyglądali raczej na dziadów z tymi zarostami, w dosyć różnorako noszonych, brudnych i porwanych mundurach, widząc ich błyski w oczach, kiedy tylko zażądało się od nich celowego wysiłku, widząc to, co potrafią ze siebie wydobyć, myślałem sobie, że to raczej teraz więcej są żołnierzami niż wówczas, w tych przedhistorycznych, w tych zamglonych czasach, kiedy maszerowali w świeżutkich mundurach i na zatartych nogach, w ostatnie dni pokoju, na pozycje nad śląską granicę. Myślałem sobie, że niechby nam dali jakie trzy dni na wypoczynek i oporządzenie, niechby się znalazł nasz sprzęt wysłany w niewiadome z taborami, to ta kompania będzie pierwszorzędnym wojskiem i cudów dokona.

MASAKRA W LESIE

Złudzenie w Krakowie trwało przez cały dzień postoju. Złudzenie na rozstaju leśnym nad Wisłą przez siedem godzin. To złudzenie tu rozwiązało się nagle po dwóch godzinach, kiedy wypoczynek nam przerwało i kazano spieszyć się cofać dalej na wschód - na Biłgoraj.

Maszerujemy całą noc i cały dzień. Kto się zwali i zaśnie, to go i nie podnoszą. Nie ma siły, czasu i możliwości. Liczy się, że dociągnie. Tak pod wsią Stalą usnął i został porucznik Uracz.

Płynie, sączy się tymi duktami sama śląska dywizja: 11., 73., 75. pułki piechoty. Map nie ma - odbite w sztabie dywizji pośpieszenie na hektografie jakieś bohomyzy, z których nic zrozumieć nie można, a tu wielkie arterie nie dla nas.

Jak tylko polana po drodze, to i nieustępliwy poborca czeka - śmierć. Już nad nią lotnik czyha i grzmi.

Z lotu nurkowego, z karabinów maszynowych strzela.

W pewnej chwili, kiedyśmy przeszli kolejną polanę śmierci, pamiętam, sięgnąłem do opatrunku indywidualnego, aby opatrzyć żołnierza - palec urwany przez kulę z karabinu maszynowego. I wówczas otworzył się na nas gęsty ogień artyleryjski. Skąd? Nie mieliśmy bezpośredniego kontaktu z wrogiem. Znaczą Niemcy są tuż.

Nadjeżdża pułkownik Powierza, dowódca dywizji śląskiej, z szefem sztabu. Każą się ubezpieczyć w miejscu. Ułani dywizyjni w trzydzieści koni ruszają na wywiad w przód.

Kiedy po pewnym czasie ruszyliśmy i my naprzód, zobaczyłem na skrzyżowaniu drogi leśnej i, nieco dalej, na wprost porzucane ciała tych ułanów. Nasz dukt zboczył w lewo; skoczyłem na wprost, bo zdawało mi się, że jeden z ułanów daje oznaki życia. W tej chwili na skrzyżowanie padł pocisk. Kiedy wróciłem, zobaczyłem ciężko rannych: porucznika Supernaka, podporucznika Falkowskiego (bardzo zdolnego inżyniera w cywilu) i trzech szeregowców.

Cel marszu - pono jakaś leśniczówka, Edwardówka. Gdzie też być może. Trafiamy na 73. pp i idziemy jako jego tylna straż. Niebawem jednak musimy poprawiać mosty rozwalone na drodze pochodu. Na wieczór dobijamy się do jakiejś okropnie długiej wsi Ciosny. Wieś jest zaphana. Przez całą długość chyba parokilometrowej wsi stoi w trzy rzę-

113

dy artyleria - jaszcz przy jaszczu. Już się pojawił lotnik-obszator niemiecki, już po wsi zaczyna strzelać artyleria. Stłoczona ulica stoi i czeka zmiłowania Bożego. Bo gdzież tu wyjeżdżać? Żołnierze chowają się po rowach - ale pociski rwą konie na miazgę, wylatują w powietrze

jaszcze z amunicją, jest sądny dzień. Pułkownik Powierza posyła do Edwardówki, gdzie ma stać sztab grupy, gońca po gońcu, ale nie otrzymuje odpowiedzi. Okazuje się, że wszyscy gońcy zostali wybici.

Deszcz zaczyna padać. Ciężko ranni oficerowie naszej kompanii leżą na wozach - okrywamy ich brezentem.

Nie mam już oficerów... Zwolski, zostawiony przeze mnie z plutonem przy cofaniu się znad granicy, zwariował przy wysadzaniu mo^{tu} pod obstrzałem (wpierw dokładnie wykonawszy zadanie). Osoba gdzieś się zawieruszył, wysłany dla robienia zapór; Uracz usnął przy drodze koło Stali i dotąd go nie ma; Supernak i Falkowski bardzo ciężko ranni. Prawda, jest porucznik Koszade, spotkany po drodze w cywilu, który błagał wszędzie o przyjęcie do wojska.

Deszcz pada. Jest noc, więc samoloty nie bombardują, ale artyleria wstrzelała się w wieś i od rana chyba nikt tu z nas nie zostanie, deszcz pada; żołnierze zwierzęco zmęczeni, wracają spod krzaków, ryzykują spać w chałupach, byle schwytać trochę snu na sucho. Coraz to ktoś pada. Wynosimy rannych bokiem zatłoczonej ulicy, przewracając opłotki, a wracając potykamy się o nowe trupy i nowych rannych.

Bezbronni!...

Zarządzam zbiórkę kompanii. Wychodzą z chałup osowiali żołnierze, głowy mają wtulone w mokre ramiona, jak chore ptaki. Ustawiają się w coś w rodzaju czwórek na drodze, kiedy zajeżdża benzyna z moich butelek dowódca.

- Nie podobają mi się te czwórki, poruczniku...

Nie podobają się? Dobytam głosu i obsztorcowuję kompanię. Na chwilę poprawia się krycie i równanie.

BIAŁE RĘKAWICZKI

Dobijamy wreszcie do Edwardówki. Tam dowódca daje mi rozkaz skierować wozy droga na lewo, z liniowymi saperami zostać, wziąć swój kaem, dołączyć drugi z drugiej saperskiej kompanii porucznika Marcinka i maszerować wstecz o dwanaście kilometrów i osłaniać odwrót. Spojrzałem w oczy wydającemu rozkaz dowódcy batalionu. Ucisnął mi mocno rękę i odwrócił się. Wiedzieliśmy obaj, co taki rozkaz znaczy.

Wziąłem swego podporucznika Koszade, wziąłem przydzielonego mi z kaemem porucznika z tamtej kompanii. Wzięliśmy najnowsze mundury z wozów, z bagietkami orderowymi, włożyłem białe rękawiczki, zebrałem stu dwudziestu ludzi, którzy właśnie mieli otrzymać obiad...

I znowu ludzie moi dali mi głębokie przeżycie. Ileż razy ulegali panice i demoralizacji. Ale ile razy zażądano od nich wysiłku, dopisywali ponad moje oczekiwanie i ponad własne siły. Myślę, że żołnierz polski jest lepszy w ofensywie, niż w defensywie, że nawet obronę z takim żołnierzem, nawet rozpaczliwe sytuacje należy planować ofensywnie. Rozumieli przecie, po nocnej rzezi, w ciągłym ogniu, który szedł za nami - co znaczy odmarsz dwanaście kilometrów w stronę nieprzyjaciela. A przecież pomaszerowali z fantazją i chętnie. Któryś spróbował zaintonować. "Milcz głupi" - odezwały się głosy, bo ci prości ludzie nie czytali Rostanda, nie wiedzieli nic o Bergeracu, o Termopilach, o Orlandzie, o Winkeirydzie, o turniejach, o Minnensangerach, o grandilokwencji rycerskiej, kto wie - może nie bardzo wiedzieli, może nie bardzo by im przemawiała Reduta Ordona, może obce im były nasze tradycje najświeższe, najkrwawsze.

Ale wiedzieli, że mają bronić tych wsi, które płonęły po nocach, tych kobiet uchodzących, których spódnice czepiały się dzieci, miast, rozwalonych w gruzy, niszczonej warsztatów. Ale zapewne zupełnie dobrze

rozumieli, że może nadejść czas, kiedy przed ich najbliższymi, kiedy przed nimi nie stanie żadna zbrojna zasłona, kiedy zupełnie wydani zostaną na łup, na samowolę, na eksperymenty - bez żadnej już obrony i bez żadnego ratunku.

115

Wiedzieli, że po to mają karabin w garści, męczyli się tym, że tak mało im dano robić z niego użytku.

I teraz, kiedy ruszyliśmy z tej polany leśnej, wyraźnie stu dwudziestu ludzi poczuło w sobie rozwiązanie kompleksu, dławiącego ich od dawna. Dlatego, choć odrzucili piosenki, jako w ich chłopskim rozumieniu nieprzystojne w takiej okoliczności - przez cały czas marszu przerzucali się wesołymi słowami i dowcipami, czego nie było już dawno, i nie rozciągali szeregu.

Dowódca odcinka, przyjąwszy mój meldunek, westchnął, spojrzawszy po saperach, którzy mają spełniać piechociarskie funkcje, wskazał pozycję i pożegnał wymownym uściskiem dłoni.

Jednak, ledwośmy się zdążyli okopać, przyszła na zmianę jakaś kompania piechoty, wytrząśnięta w ostatniej chwili. Moi żołnierze - proszę mi wierzyć, bo nie ukrywałem ich wad - nie chcieli z pozycji schodzić i szemrali. Bardzo chcieli raz przynajmniej bezpośrednio strzelać.

Wróciwszy do Edwardówki, niszczymy tabor. Nocą wymaszerujemy. Pewno tamta kompania, która miała powstrzymać Niemców, została wybita.

Nad ranem znajdujemy się na szosie do Zamościa. Cały czas nad głową samoloty niemieckie. Tną tak z niska z kaemów, że jakiemuś plutonowemu łączności znosi pół czaszki jak nożem uciął. Wieczorem jesteśmy już za Krasnobrodem. Koszade poszedł na zniszczenie i nie wrócił. Ale nagle syknęło kompanii jak z rogu obfitości. Znalazł się porucznik Uracz, porucznik Osoba, a co najgłośniejsza - podchorąży Mitis, który dawno się gdzieś zawieruszył sam, bez żołnierzy, obecnie przyprowadził czterdziestu pozbieranych po drodze żołnierzy kompanii, dużo poza tym saperów i innych oddziałów, jakąś kuchnię, prowianty, nawet wino. Dołączył się jakiś saper - porucznik Markowski. Miałem już w kompanii stu siedemdziesięciu ludzi - stan, którego nie pamiętam od samego Śląska.

I znowu - żołnierzowi potrzebna jest tak samo wiara jak amunicja i prowiant, żołnierz musi w coś wierzyć, aby trwać - znowu roimy: idziemy na odsiecz Lwowa!

Ale upływa dalsze trzy dni. Od dwóch dni nie jemy. Konie nawet nie pojone - studnie wszędzie wybrane, strumienie wyschły, większych rzeczek nie ma. Z nieba bezustannie lecą bomby. Kapitan saperów, Pogorzelski, wyszedł na chwilę z łazika, bomba trzasnęła, upadł: gdy wstał, skonstatował, że łazik, szofer, sierżant i żołnierz w nim pozostali nie egzystują. Piechota walczy na cztery strony świata. Jesteśmy niby w oblężonej, coraz wolniej posuwającej się i wygłodniałej fortecy.

116

Staliśmy na jakiejś ogromnej polanie leśnej, na której rozparł się istny jarmark. Wozy tam usiłowały jechać w osiem rzędów. Te tabory się niszczy i mimo to narastają. Już nie regulujemy. Już wszystko się zatkało. Już i w przód iść nie można. Saperska komórka w piechociarskiej plazmie - gramy w pokera.

Zebrałiśmy się, szarże, czekamy przez dwie godziny na rozkaz dowódcy batalionu. Rozkaz nie nadchodzi. Ciężko patrzeć na męczarnie koni. Rozchodzimy się szukać dla nich wody. Polana pustoszeje, strażów nie słysząc. Żołnierze patrzą pytająco na nas. Mija jeszcze cztery

godziny. Już nikogo na polanie nie ma oprócz naszej kompanii. Już poczynają przez polanę przechodzić pierwsi rozbrojeni żołnierze. Mówią, że Niemcy nawet pierścionki odbierają. Nic tu taić nie można. Zastępca dowódcy batalionu saperskiego, kapitan Sliwczyński, uformował dwie kompanie, moją i porucznika Marcinka, w czworobok. Chciał powiedzieć, że kompanie istnieć przestają i rozplakał się. "W prawo zwrot" - wzięliśmy swoje kompanie. Mówię żołnierzom, że żegnamy się w składzie tak liczny, jak nigdy nie byliśmy. To nie to.. Mówię im, żeby nie tracili odwagi... To nie to! Więc przystępuję do wypłaty ostatniego żołdu. Każdy otrzymuje dwudziestozłotówkę. Strzelają obcasami, ciągną się jak nigdy. Łzy mi przysłaniają oczy, nie mogę patrzeć. Odchodzę w tył, muszę coś robić, nie mogę beczeć w oczach całej kompanii. Macham ręką na "rozejść się", ciągnę kaemy - ten swój i ten ukradziony, biorę łopatkę saperską, kopię. Kto to wyjmuję mi delikatnie łopatkę z ręki? To kapral Czudek, którego z Trzebini wysyłałem na śmierć. Inni cisną się z łopatkami. Naoliwiają, namaszczają broń, spuszczają w łono ziemi, klękają i układają zieloną darń, której kwadraty pieczołowicie wycięli. Stoję z boku i patrzę na ten - pogrzeb broni... A potem saperzy poczęli topnieć jak ta polana przedtem. Coraz to któryś zarzuca chlebak i znika.

Pytam chłopaka, który w mojej kompanii odsługiwał wojsko, którego żeniłem:

- No cóż, fruujemy?

Prostuje się, patrzy mi prosto w oczy. Chłopska gęba wyraża silne postanowienie.

- Panie poruczniku, ja i tam będę potrzebny.

Pytam drugiego:

- Idziecie ze mną?

- Nie, panie poruczniku. Pójdę do rodziny.

Oni chcą zostać. Oni nie czytali Cyrana de Bergerac.

- Druga kompania, zbiórka! - wołam.

117

Odpowiada mi cisza. ;

- Cóż tQ, nie ma już twojej kompanii, dali dęba? - ironizuje porucznik Marcinek.

Ale niepotrzebnie. Bo pierwszej kompanii saperskiej, którą on dowodzi - również już nie ma.

JAK ZAJĄCE W KOTLE

Na polanie pozostali oficerowie i podoficerowie zawodowi. Dziewiętnastu ludzi. Siedliśmy wszyscy na konie i pojechaliśmy na północ przez skraj lasu.

W pewnym miejscu rozstały się drzewa i otworzył się widok na dalekość. Dalekość była zielona i popręgowana słońcem, tworzyła przestrzał między lasami. Na pierwszym pfanie, o jakieś pół kilometra przed nami, ujrzeliśmy wielką flagę hitlerowską wbitą w ziemię. Drobne figurki przewijały się przed nią. To był jeden z punktów, w którym żołnierze generała Szylinga mieli składać broń.

Przypomniało mi się, jak dzieckiem, otrzymałem na "Wielkanoc" wspaniałe ogromne cukrowe jajko. Z obu stron jajka były szybki. Kiedy się patrzyło przez jedną z nich, widziało się ciekawą panoramę, mostki zwodzone, zamki - wszystko bardzo kolorowe, sztywne, tajemnicze i obce.

Cofnęliśmy się w liściasty las, przepychaliśmy się świerkowym za-

gajnikiem, ścierałem z twarzy pajęczynę, cicho było naokół po tylu dniach huku i wydawało się, że tamto wszystko nie istnieje, a jest tylko las, ziemia, słońce i wieczne dobro.

Kierujemy się w stronę wielkich bagien. W pewnym momencie wyłania się z krzaków oficer, mówi, że przed bagnami jest rozrzucona wielka wieś, pełna Niemców, że on przez całą noc przesiedział w jakimś chlewie i ucieka.

2 tyłu - siły niemieckie, które napierały przez tyle dni; na lewo - ta flaga; na wprost bagna, których brzegi obsadzili Niemcy; na prawo - wąskie przejście między bagnami i wzgórzami - to ten przesmyk, w którym ostatecznie została przyłapana armia generała Szylinga, przesmyk niewątpliwie mocno obsadzony i pilnowany.

Siedmiu spośród nas decyduje się zawrócić. Jedna grupa ma iść na Kraków - bo tam Bortnowski, tam wezmą udział w walkach. Drugi skierują się do Warszawy, która się broni.

Zsiadamy z koni i puszczamy je wolno. Idziemy naprzód - istotnie, kiedy otwiera się pole, spostrzegamy na jego skraju wieś. Włazimy w zagajnik stojący pośrodku pola. Spędzamy tam noc, położywszy się spać na głodno.

119

Od wczesnego rana wyłania się za nami z lasu tyraliera niemiecka. Równocześnie ze wsi przed nami w kierunku na las idzie taka sama tyraliera. Widać oczyszczają teren z takich łazików jak my. Polowanie odbywa się widać na dużej przestrzeni, bo - co to? -? raz po raz słyszymy krótkie strzały rewolwerowe.

Rewolwerowe? Więc to widać nasi oficerowie się bronią. Ale dlaczego pojedyncze? Czyżby tylu ich strzelało sobie w łeb?...

Co prawda, kto się miał poddać, to mógł to zrobić już wczoraj. A tych opornych dzisiaj w pojedynkę wyduszają po zagajnikach.

Zbijamy się w zagajniku w gromadkę - jest nas dwunastu - i szepcemy wiążemy się słowem honoru, że będziemy strzelać do Niemców, dopiero ostatnią kulę mamy prawo zarezerwować dla siebie.

Tyraliery się zbliżają. Ich punkt zetknięcia jest na linii zagajnika.

Słyszymy ich głosy ściszone i komendy wydawane półgłosem. Najwidoczniej liczą się z tym, że zagajnik jest obsadzony.

Jakże świetnie zbalansowany ten vis. Ściskam go w rękę, leżąc pod najdolniejszymi łapkami młodego świerka. Widzę, że koledzy robią to samo, zaległszy dookoła rantów zagajnika.

2 mego ukrycia nie mam pola widzenia dalej jak na kilka kroków.

Słyszę stąpanie wielu ludzi. W pewnej chwili widzę buty żołnierzy.

Przechodzą...

Tyraliery rozdzieliły się przy zagajniku i minęły go, uważając \nie bez racji, że lepiej do niego nie zaglądać.

Wypełzliśmy wieczorem i idziemy całą noc, kierując się na bagna.

Idziemy jakąś groblą, na której końcu stoi wieś. Spotyka nas ogień czujek. Cofamy się o kilkaset kroków. Jest tak ciemno, że nic nie widać o parę kroków. Nocujemy na grobli.

Kiedy się rozwidnia, przeprawiamy się przez rów i zapadamy w wilkiny.

Jesteśmy cali przesyceni wilgocią, głodni; z tyłu słychać rozsiane pojedyncze strzały, z przodu potraktowano nas w nocy ogniem, bagna po bokach nieprzejrane... Nie wiadomo co robić.

Porucznik Krasnokucki powiada, że w każdym razie, jeśli nie dostaniemy żywności, to zdechniemy w tych łozach, że nic nie ma do stracenia, wyprawia się do wsi - tej przed nami, z której w nocy strzelano. Idzie z nim podoficer. Długo nasłuchujemy, czy nie padną strzały. Kie-

dy jeszcze dużo czasu mija, decydujemy, że wpadli w ręce Niemców. Nastrój robi się nie do wytrzymania. Niektórzy uważają, że walczyć - dobrze, przedzierać się - owszem, ale w mokrym bagnie zdechnąć nie chcą. Próbowali Krasnokucki iść naprzód, to oni pójdą w tył. Wychodzi naprzód jedna grupa, potem druga. W dwadzieścia minut 120

po ich wyjściu, kiedy już musieli osiągnąć koniec grobli, słyszymy od tej strony, w której znikli, ożywione strzały.

Spojrzelśmy po sobie - pozostało nas sześciu. Porucznicy Marcin, Markowski, Jaros i ja, podporucznik Stoch i kapral Ślęzak, któremu Niemcy zamordowali ojca w pierwszym dniu wojny. Miałem ze sobą płachtę brezentową. Rozesłaliśmy ją na bagnie i staraliśmy się zmieścić.

Kiedy zmierzchno, posłyszeliśmy kroki i chwyciliśmy za rewolwery.

- Chłopcy, tylko nie strzelajcie - posłyszeliśmy głos Krasnokuckiego. - Sakramencki garnek wam tu przydzwigałem.

Przez rów niebawem wgramoliła się w błoto procesja: podoficer z ogromnym chlebem, baba z wielkim garem, buchającym parą (a był to rosół z kury z kluskami), wyrostek wiejski z jajami na twardo i wreszcie Krasnokucki, miłośnie tulący do łona zawiniątko, w którym były dwie kury.

Krasnokuckiego i podoficera odstawiliśmy od interesu jako nażartych we wsi i w sześćcioro daliśmy koncert przy akompaniamencie popłakiwań i siorbań babiny. Wieś nazywała się Antonówka, a ten wyrostek to był jej syn, żołnierz, który właśnie wrócił. Ciemnościami wyprowadził nas w kierunku szosy Tomaszów-Zamość.

Szosa, co jakie piętnaście minut pomyka grupa czołgów. Podkradamy się blisko - widzimy, że na czele każdej grupy jedzie jeden wóz ze słabym światłem błękitnym, a inne suną za nim bez światła czarną ścianą, jak jedna masa.

Artyleria niemiecka co jakiś czas strzela łukami świetlnymi, rozświetlającymi okolicę w dużym promieniu.

Zapewne bokami szosy idą ubezpieczenia tego pochodu czołgów.

Kiedy tak leżymy jak zające w bruździe, szlusuje do nas jakichś czterech przekradających się oficerów. Znowu jest nas dwunastu.

Kiedy przewaliła się z chrzęstem jedna z grup, pomykamy przez szosę.

Zapadamy o dwadzieścia metrów po tamtej stronie. Zaszywamy się w las pod jakąś wsią. Nabieramy techniki: wysyłamy delegację do wsi, zajętej przez Niemców. Delegacja przekrada się opłotkami i znów wraca z chlapiącą babą, z kurami, z jajami, z mlekiem.

Nabieramy humoru. Objadamy się jak nigdy w tej wojnie. Słonko wychodzi na niebo. Zaszyci w krzaki, słodko zasypiamy. Stanowczo lepiej jest być łazikiem niż dowódcą kompanii.

PONOĆ NASI BIJĄ W TARABANY...

Nie wiem, kto pierwszy się obudził i zaalarmował wszystkich innych.

Od wsi, z której otrzymaliśmy żywność, dochodziły gęste strzały. To nie mogło być polowanie na rozbitków armii generała Szylinga; strzelanina z kaemów była zbyt silna.

Nawykiem zawodowym rzuciłem okiem na zegarek - była siedemnasta - i popchnąłem się za kolegami na brzeg zarośli.

Pod lasem z przeciwległej strony zobaczyliśmy idące biedki amunicyjne i hełmy, polskie hełmy!

Jak oszaleli popędziliśmy naprzód, wpadliśmy na jakiegoś porucznika w hełmie, który rozwijał tyralierę na wieś.

- Idziemy naprzód, robimy ruch! - wyjaśnił, śmiejąc się do nas

wszystkimi zębami - prowadzę straż przednią I. Pułku Legionowego. O, tam pod stertą macie dowódcę batalionu; zameldujcie się, koledzy. Idziemy prosto pod stertę. Płaszcz żołnierskie na nas. Zrzucam więc płaszcz, mam na sobie visa na sznurku od szyi, szóstkę w futerale przy pasie, nadto ogromnego waltera, którego odebrałem - mimo błagań - ciężko rannemu Falkowskiemu, podejrzewając, że chce sobie życie odebrać.

Major, dowodzący batalionem, roześmiał się życzliwie, widząc ten arsenał.

- Widzę, że koledzy-ście się nie rozbroili, więc chcecie walczyć?

- Jasne.

Major pyta o dyslokację Niemców. Mówimy, że od miejsca rozbrojenia uszliśmy dwadzieścia kilometrów i wszędzie wsie zapchane Niemcami, mówimy o nocnym ciągu czołgów, o artylerii...

Poprawił major ramię od hełmu pod brodą:

- No, to idziemy...

Spojrzelśmy po sobie. Jasnym nam się stało, że to natarcie szuka śmierci, nie zwycięstwa.

W tej chwili od wsi buchnęło: "Hura". To ten porucznik ze straży przedniej poprowadził żołnierzy na bagnety.

Doszliśmy do wsi, przez którą przeszli już nasi, szybko podążyliśmy za nimi drogą, którą szliśmy w nocy. Znowu przeskoczyliśmy szosę, tym razem w licznej i dobranej kompanii, znowu poczęliśmy zbliżać się do Antonówki, położonej nad groblą - tej wsi, z której porucznik Krasnokucki przyniósł po raz pierwszy żywność.

Antonówka leżała o dwanaście kilometrów od tej pierwszej wsi, opróżnionej przez nasze natarcie, ale znaleźliśmy się przy niej tak szybko, że nie uwierzyłbym, gdyby nie mapa (i nie noc miniona, kiedyśmy tę odległość przebyli przez całą noc).

Było już jednak ciemno, kiedyśmy podeszli. Kompania idąca w przód zajęła placówki błyskawicznie. Ze wszystkich stron w wieś, pełną Niemców, poczęły strzelać polskie kaemy. Niebawem zmilkły, bo już w wieś - bagnet na broń - wpadli nasi. Pełna teraz wieś strzałów, niby siennik dziedzieli słomy. Już ze wsi prowadzą jeńców niemieckich - jakie trzysta chłopów.

O trzysta metrów leży inna wieś. Niemcy, słysząc natarcie w Antonówce, zapalili stogi słomy i przygotowali się. Żołnierze z Antonówki z nieobeschłymi bagnetami, wpadli na tę drugą wieś, zdławili ogień niemieckich kaemów. Biegłem za nimi. W świetle płonących stogów zwijały się ich czarne sylwetki przy krwawej robocie - wyglądali jak szatani. Po drodze natykamy się na młodzieńczego podporucznika, pewno z rezerwy. Chłopak jest literalnie zlany krwią. I choć podtrzymuje zwisające ramię, krew na mundurze zapewne nie jest jego, bo jest w cudownym humorze:

- Idźcie panowie do wsi, tak tam znajdziecie pełne ręce roboty.

Zęby mu błyszczą w twarzy, na której zakrzepła krew, jak u młodego wilczka.

Wieś gra jękiem, jak skrzynia wiołonczeli. Kiedy wchodzimy w jej ulice, słyszymy, że Niemcy, podnosząc ręce, wołają: Pień, pień... (zostało im to rosyjskie słowo, oznaczające niewolę, z czasów tamtej wojny). Wszędzie leżą ich trupy, wszędzie pomykają świecąc kaesonami. Ten widok - tego wygodniostwa, tego na porę spania i żarcia, rozświeckła jeszcze więcej żołnierzy. Pędzę za grupą, która operuje karabinem maszynowym. Dopada stodoły, wywala drzwi i kosi jej wnętrze, z którego wypadają poszczególni ludzie w białiznie.

Stojąc z visem o kilkanaście kroków, korygowałem ich robotę. I jak kiedy kobieta, posuwająca się za żniwiarką, zbiera niedosprzątnięte przez maszynę kłosa, tak ja zbieram visem te życia ludzkie, pyrgające z otwartych wrót. Biorę starannie na muszkę, jest światło od gorejących stogów jak w dzień. Wygarniam trzy magazynki. Potem przekonałem się, że w trzecim pozostały mi trzy naboje.

Przeleciał przez wieś tabun koni bez jeźdźców. Więc tu stała kawaleria?

Minęło półtorej godziny, wieś poczęła milknąć. Wracam z czterema kolegami, utrudzonymi jak i ja. Robi się szaro.

123

ODWET NIEMIECKI

Za wsią jakieś luźne kule bzykają dosyć często. Jeszcze widoczność jest zła. Na prawo luzacy trzymają wierzchowce sztabu. Nieco dalej sześciu naszych żołnierzy pilnuje wziętej do niewoli kompanii Niemców.

Wojsk naszych nie widać, ogień niemiecki (dobrze się nie orientujemy skąd, czyżby ze wszystkich stron?) - jest coraz gęstszy.

Rozwidnia się powoli, jakby się odsłaniała scena. Stajemy we czwórce, tak jakeśmy wypadli ze wsi: ja, Stoch, Markowski, Mitis, koło wielkich niemłóconych stogów. Pociski poczynają bić w stogi, przechodzimy na ich drugą stronę - tam bzyka też!...

Teraz już dostrzegamy, że o kilkaset metrów zalega polska tyraliera i że na nią idzie ogień coraz potęgujący się. W pewnym momencie tyraliera drgnęła, widzimy oficerów biegnących z rewolwerami. Jeszcze opanowali sytuację.

Nagle z boku jakaś piechota wali na naszą tyralierę. Niemcy! Skąd się wzięli? Okazało się, że zaalarmowany Tomaszów wysłał piechotę ciężarówkami.

Pociski naszej artylerii padają między te dwie tyraliery.

Artyleria niemiecka poczyną strzelać coraz silniej z minuty na minutę. Już wybili konie naszych dział, obsługa pierzchła, działa stoją samotnie.

W ciągu piętnastu minut robi się pusto, nikt od nas nie strzela.

Znikła nasza tyraliera, znikły konie sztabowe, znikła kolumna jeńców, pociski artyleryjskie padają na nasze stogi.

Markowski, Stoch, Mitis i ja biegniemy pod ogniem artylerii ku grobli. Pamiętamy te trzęsawiska, które nas już raz przytuliły. Po rowach pełzają na czworakach ranni, skamląc o opatrunek.

Na grobli dostaliśmy się pod ogień, którego nigdy nie zapomnę. W groblę wał z trzech stron karabiny maszynowe i artyleria. Jest już zupełnie widno. Wstrzelali się i pociski trafiają w sam wał, w samą groblę. Po niej, tak jak my, pełźnie ogromna masa półprzytomnych ludzi. Pociski armatnie rwą w nich krwawe liszaje, ludzie oszaleli rzucają się w bagno, więzną w nim, a tam w tym bagnie wydziobują ich karabiny maszynowe.

Jakiś żołnierz z głową obandażowana (przez opatrunek przeszło tyle

124

krwi, że niesie niby krwawą kulę) trafiony w rękę, z której krew tryska, usiłuje zerwać bandaż z głowy i zatamować krwotok, ale w tej chwili zostaje ponownie trafiony i pada. Na bagnach ktoś wyje tak nieludzkim głosem, że jest to ponad siły nerwowe nawet tych żołnierzy, którzy widzą wokoło tyle krwi i słyszą zewsząd tyle jęków.

Markowski, Stoch, Mitis i ja pełzniemy przez cały czas na brzuchach, załomkami, starając się trzymać czucie:

- Mitis - jest?

- Z tyłu Markowski...

Po dwóch godzinach czołgania poczynają się krzaki. Wsiąkamy w nie. O jakie trzysta metrów znajdujemy nasze miejsce, gdzieśmy leżeli w brezencie w czarnej rozpacz. Teraz nam się wydaje najcudowniejszym zakątkiem.

Leżymy bez czucia. Jest dzień zwilgły i mundury ani błoto na nich nie schną. Teraz spostrzegam, że mam mundur przebitą kulą. Przeszła bokiem po obrazku, który mi dała gospodyni w Tucznej Babie, ale obrazka ani nie uszkodziła.

Jedliśmy ostatni raz wczoraj o świcie kurę. Teraz już wywala się wielki dzień. Stawy wszystkie bołą, kiszkę rwą.

Wóz jakiś przedziera się skrajem bagien. Żołnierz wiezie dwóch rannych oficerów. Wóz załamuje się przy wydobywaniu się przez rów na szosę. Odpręgamy konie, podkładamy deski, męczymy się dwie godziny - wypchnęliśmy na groblę. Gdzie też pojadą?

Pozostaje po tym szeroki ślad w bagnie - trzeba zmienić legowisko.

Przemykając się, spotykamy pułkownika Czerwińskiego (artylerzystę), idącego z trzema oficerami.

- Panie pułkowniku, niech pan w tę stronę nie idzie, tam Niemcy...

Zastanowił się przez chwilę, machnął ręką i poszedł w tym kierunku.

W gruncie rzeczy miał rację - wszędzie byli Niemcy...

Na nowym legowisku, mokrzy i głodni (to już trzydzieści sześć godzin jak zjedliśmy tę kurę) - próbujemy spać na brzegu rowu pełnego zielonej wody. Pod wieczór zrywa się deszcz i pada całą noc. Nad ranem przechodzi patrol niemiecki z erkaemem, zasiada na skraju grobli i kropi do przechodzących.

W pewnej chwili, o piętnaście metrów od nas, słyszymy chłupot kroków. Przywarowaliśmy. Wychodzą prosto na nas - nasi chłopcy z I. DAK-u.

Ci też jeszcze nie ostygli z uniesienia wczorajszej bitwy. Walczyli bez osłony piechoty. Zaatakowali czołgi niemieckie i zmusili Niemców do porzucania ich w polu.

Nic nie wiedzieli, że w rejonie tej grobli była walka. Myśleli, że wydobyli się na jakąś swobodniejszą zonę i chcieli upiec spokojnie w krzakach

125
kartofle. Bardzo się skonfundowali, kiedyśmy im powiedzieli, że niedawno na skraju wiklin strzelał niemiecki karabin maszynowy.

Wspólnie - starając się sprawiać jak najmniej szelestu - odchodzimy w głąb, znajdujemy coś w rodzaju suchszej wysepki, rozniecamy z badyli ogień i machając nad dymem, aby się rozprasał, pieczemy kartofle. Wypadło tego parę sztuk na gębę, ale zawsze coś gorącego.

Znowu się robi wilgotno, zimno i jeszcze głodniej, strasznie głodno.

Nie ma rady. Przed trzema dniami też tu siedzieliśmy bezradnie, porucznik Krasnokucki (co się też z nim stało?) zaryzykował, poszedł do Antonówki groblą, wrócił z babą, z mlekiem, z chlebem. Z jajkami! Z kurą!...

Wieś Antonówka - Mekka upragniona, mleka i słoniny pełna - wiadnieje, jeśli głowę wychylić, burowiejąc słomianymi strzechami.

Wyłazimy przez rów na groblę, dochodzimy do miejsca, gdzie jej już nie osłaniają zarośla, idziemy wczorajszym pobojuwiskiem, tą drogą, na której przebycie, czołgając się pod ogniem, zużyliśmy dwie godziny.

Cisza teraz panuje na grobli. Ludzi rannych nie ma, trupy gęsto leżą w najróżniejszych pozach. To z tej kępki wczoraj szło owe nieludzkie wycie. Leży na niej żołnierz skręcony wpół. Kępka jest mniejsza niż jego ciało i sztywne nogi toną w błocie. Prawa ręka wyrwała spod munduru szkaplerz i zastygła, przyciskając go do ust.

Ale błota nie są martwe. Nim się orientujemy, co to być może, czujemy na sobie liczne spojrzenia. To konie pozapadane w błoto, ranne i zdrowe, obracają ku nam głowy, patrząc oczami pełnymi cierpienia. Wydobywam visa i, uważnie celując, dobijam jednego konia po drugim. Kiedy wystrzelałem magazynek, orientuję się, że mi naboju nie starczy. Posuwamy się dalej szosą, salutowani smutnym "w prawo patrz" umierających koni-towarzyszy żołnierzy, pozbawionych wszelkich praw w tej wojnie. Jak zresztą i żołnierz...

Szukamy gorączkowo jedzenia, przetrząsamy chlebaka zabitych. Znajdujemy pełno pierwszorzędnych rzeczy, znajdujemy skórę Stocha, który wczoraj pełznąąc porzucił ją, znajdujemy doskonałe koce, lornety, rewolwerów jest ile chcąc, ale nie natrafiamy ani na jedną puszkę konserw.

Niech się dzieje wola Boża! pójdziemy do wsi.

Już tu Niemcy porobili porządki po wczorajszej rzezi. Nigdzie nie widać ani jednego trupa. W obejściu jakiegoś domu widzimy systematycznie rzędem ustawione polskie karabiny i hełmy. Dwa działa olbrzymie, z artylerii najcięższej, stoją samotnie i bezradnie. Nigdzie ani żywego ducha.

Wchodzimy do pierwszej z brzegu chałupy... Jesteśmy tak głodni, że
126

nie mamy innego wyjścia. W chałupie na łóżku leży umierający żołnierz i charczy. Twarz jego jest zupełnie żółta, jak twarz trupa. Obok wisi mundur - nasz podchorąży. Baba krzątająca się po izbie mówi, że nie ma zupełnie nic do zjedzenia, uprzedza, że Niemcy złożyli sprzęt, poszli po wóz i zaraz wrócą. Wychodzimy, w opłotkach spotykamy jakiegoś chłopaka. Jest nastraszone, bo mu Niemcy zrzucili czapkę z głowy, aby zobaczyć, czy jest ostrzyżony i krzyczeli: "Polski wojok!". Ale chłopcu, który istotnie wrócił z wojska, udało się wymigać, jako że był z tej wsi i wykazał się tym.

Prosimy go o chleb. Chleb? Przecież ludność przez cały czas bitwy w lasach siedziała.

Zaskoruzłą ręką szuka po kieszeniach.

- Z mąki na węglach piekliśmy. - Na dłoni ma mały podpłomyk.

Nabożnie dzieli go na pół i nam połowę oddaje. Uważnie dzielimy go z Markowskim na dwie ćwiartki i oddaliśmy się, żując.

Było to tak jakby ten żołnierz, zostający na roli, udzielił komunii żołnierzom, ruszającym w świat.

CMENTARZYSKO BRONI

Wróciliśmy w bagna do swoich. Nie cieszy Stocha odzyskana skóra, nie sprawiają na towarzyszach należytego efektu koce. Leżą na wznak, na suchszym garbie, nad rowem pełnym zielonej wody i patrzą w niebo poprzez sitowia. Trzy pełne dni niejedzenia dla młodych, zdrowych ludzi, którzy pozostawali w ciągłym wysiłku fizycznym, przeszli nerwowe napięcie bitwy i szczękali zębami w zimnych oparach bagien nocą - to jest istotnie wielkie cierpienie.

Artylerzyści już gdzieś poszli, siadamy w czwórkę - Mitis, Stoch, Markowski i ja - odbywamy naradę wojenną. Oczy mi błyszczą nienaturalnie, na policzkach wypieki. Za wszelką cenę iść gdzieś, nie pozostawać bez ruchu! I za wszelką cenę - wyjść z bagien.

Decydujemy się iść tym suchym przesmykiem między bagnami, w którym ostatecznie rozgromiona została dywizja.

Ruszamy przedwieczorną porą, wkrótce znajdujemy się na leśnej drodze. Jest cicho naokoło, aż w uszach dzwoni. Po tylu dniach huku, aż dziwno. Nie stąpaliśmy jeszcze po takiej ziemi, na której nie słychać ani pieśni w polu, ani ryku bydła, ani szczekania psów we wsi, ani śpie-

wu ptaków w lesie. Wzdłuż drogi leśnej wszędzie - bezsilne - działka przeciwpancerne, karabiny maszynowe. Wszędzie bruzdy po czołgach. Zmierzcha. Idziemy po ciemku ile się da. Wreszcie około drugiej w nocy kładziemy się na tej drodze leśnej tak, jak na nią weszliśmy i zasypiamy. Zasypiając myślę, czy też nas nie obudzi kopnięcie niemieckiego buta. Kładę visa poręcznie. Wczoraj ruszając pytaliśmy siebie, czy dawna poręka, że będziemy strzelać, trwa. Orzekliśmy, że tak.

...Obudziło mnie szturchanie butem. Nad nami stało kilku polskich żołnierzy:

- Co, do cholery (mieliśmy płaszcze bez odznak), nie mogliście już lepiej się położyć? Przecie tam, pod tymi budynkami, placówka niemiecka.

Widniało już. Przez wycinek duktu ujrzałem jakieś budowle nie dalej niż o dwieście metrów.

Skoczyliśmy głębiej w las. Las, który widział różnych i licznych gości i przechowywał po nich różne ślady. Na polanie leśnej ujrzelśmy trzy kuchnie. W jednej z nich na dnie kotła znaleźliśmy zakrzepłą kaszę

128

może sprzed pięciu dni, na którą naciekła woda deszczowa. Wyczerpnęliśmy wodę, nabożnie wycieliśmy kaszę, rozstawiliśmy trójnog z gałęzi, uwiesiliśmy menażkę i zjedliśmy tę trochę. Ale głód nie dał się oszukać i dał gwałtownie wewnętrzności.

Potem szliśmy jeszcze cztery godziny. Siady po taśmach czołgów poczęły się zgęszczać, zbiegać, rozbiegać, wyraźnie gdzieś prowadzić. Wyszliśmy za nimi na leśniczówkę, powitało nas wściekle ujadanie brytana, ale Niemców nie było.

W leśniczówce młoda dziewczyna krzątała się po domu, a przy piecu stała starsza kobieta - smażąc kaczkę. Od tej chwili przestaliśmy cokolwiek spostrzegać, staliśmy - cztery głodomory, Stoch, Markowski, Mitis i ja - wparci oczami w kuchnię, zawieszeni na niej powonieniem, wzrokiem, słuchem nawet, bo ta kaczka diabelnie głośno i apetycznie się smażyła.

Poruszyłem zaschłym językiem i powitałem jak umiałem najgrzeczniej, gospodynię.

Markowski, zwykle najbardziej przedsiębiorczy, zapytał z lekka załamującym się głosem, który miał być swobodny:

- Czy nie można by czego dostać do jedzenia?

Stoch pośpiesznie rozpiął odzyskaną skórę i wydobywał otrzymane z ostatniego żołdu dwudziestozłotówki.

- Nie, nie ma nic, wszystko wyjedli...

Podchorąży Mitis, najmłodszy spośród nas, zapytał, pośpiesznie plącząc słowa, przy czym w głosie jego czuć było ni to bezradność, ni to dziecinną prośbę:

-- Czy naprawdę, proszę pani, nie ma nic, czy naprawdę?

Oświadczyła z całą stanowczością, że istotnie nie ma nic.

I my, czterech drabów z rewolwerami u pasa, w czwartym dniu głodu, nie znaleźliśmy tyle odwagi, aby choć spytać, co znaczy ta kaczka. Z przeprosinami wycofaliśmy się i poszliśmy w las.

Dążyliśmy na wschód, lasem, bojąc się wyjść ku wsiom na własnej ziemi. Zdawało nam się, że to już zaraz powinien być kres zasięgowi niemieckiemu, a, tymczasem wciąż znajdowaliśmy ślady niemieckich czołgów.

W pewnym miejscu weszliśmy na równinę międzyleśną. Tu były pozycje naszej dywizji, może naszej armii. Okop na półtora kilometra długi, co parę kroków karabin maszynowy.

Kilkanaście kilometrów posuwamy się tymi pozycjami. Widzimy

całe baterie artylerii i stopy naboju. Markowski podnosi wychudłą twarz, oczy mu świecą gorączką:

- Taki pocisk do ciężkiego działka kosztuje tysiąc złotych, a taki do połówki kilkaset...

129

Jest i dla nas kasek: dwanaście nietkniętych wozów jakiejś zmotoryzowanej kompanii saperskiej.

Karabiny, karabiny... Wszędzie ich pełno. Hełmy. W jednym miejscu spostrzegamy górę szabel kawalerskich. Te przynajmniej są połamane. Stopy ślicznych siodeł, prosto z magazynów.

Stąpamy nabożnie, ludzie głodni, tym pobożowiskiem, najstraszliwszym z pobożowisk, jakie widziałem. Nic to żołnierz zmarły, zastygły w męce, nic oczy umęczonych zwierząt wobec tej strasznej wymowy klęski, którą poniosła ziemia polna i rolna, w broń, w sprzęt uboga, zdławiona, za gardło schwycona techniczną przemocą wroga.

Mitis, najmłodszy, kiedy wreszcie spostrzega karabin przeciwczołgowy, karabin - chlubę, któregośmy przed wojną nie znali, który został wydany z magazynów dopiero na wojnę (taki karabin porzucony w rowie nasza kompania znalazła i cieszyła się, że już nie tylko na abisyńskich butelkach polegać będzie), Mitis, najmłodszy, zatrzymuje się, bierze go w rękę, gładzi i mówi półprzypadkowo:

- Taka broń, taka broń...

Ale są i inni amatorzy. Po pobożowisku szmygają postacie chłopskie. Pierzchając spieszenie, zbliżają się, kiedy widzą, że to swoi. Szukają żelazki, skór, materiałów - termity ze ślepej kohorty pracowniczej, które nie widzą nic, jeno budują, budują, budują, kiedy mrowisko ktoś uszkodzi, aż wznoszą większe niżli było.

Pytamy, czy może chcą wybrać broń i schować, i w pytaniu naszym jest ten sam ton, którym Mitis pytał o kaczkę. Chłopy spluwają przez zęby. Co to - to nie. To niebezpieczny szpas. U jednego z nich dziś nocą kapral w stodole spał, chłop nie wiedział, że ma broń, bo by go nie wpuścił. Kapral przy sobie "leworwer" położył, wszedł niemiecki patrol, zobaczyli rewolwer, z punktu zadźgali, że ani się pewno przed śmiercią nie obudził.

Chłopi kosę spojrzenia rzucają na nasze rewolwery. Idziemy.

Pod wieczór jeszcze idziemy. Pewno do wieczora dobrniemy do swoich, nakarmią. W pewnej chwili znowu spotykamy chłopów.

- Gdzie nasi?

- Nasi? To panowie nie wiedzą, że już w Rawie Ruskiej) bolszewicy?...

Za lasem jezioro. Całuję visa i rzucam w wodę. Dwa pozostałe rewolwery zatrzymuję.

Za jeziorem łąka. Za łąką las brzozy. Gdzie idziemy?

W lasu groby. Darnią wyłożone, porządne, świeżutkie. Nad grobami krzyże. Na krzyżach napisy: "Tylu i tylu żołnierzy polskich" i tyleż hełmów polskich pod krzyżem. I dalej groby z napisem: "tylu i tylu żołnierzy niemieckich". I tyleż niemieckich hełmów.

130

Ręka litościwa, czy szarwark. Szarwark porą jesienną, porą zbiorów, porą dożynkową.

Trupy końskie już pękają. Wrony kraczą nad lasem. Słońce świeci ostro i ukośnie.

Gdzieś tam, za drugim nie znanym wrogiem - Rumunia. Gdzieś za nią, za morzami, nie znanymi tym porucznikom i temu podchorążakowi - znowu formujące się, w ziemi obcej, wojska narodowe.

My - Markowski, Stoch, Mitis i ja, ostatni z kompanii saperskiej -

my gromada, my nie znani, którzyśmy bili się, dla Ciebie Ziemi, którzyśmy się zastawiali dla was, by pętla wam na szyję nie spadła - idźmy.

JĘDREK, WITEK

I ICH TYŚIĄCE...

Wszedł do mego pokoju wyrośnięty, "cybaty", jak się mówi na zaawansowane szczeniaki, udające już psy, chodzące na sztywnych nogach, próbujące już basu, a jeszcze mające zbyt wielki zapas skóry na wiecznie dziwiącej się mordzie.

Podchorąży Witek (zostawmy już jego nazwisko przy sobie, skoro tego namiętnie żąda, a nam to daje możliwość swobodniejszego pisania i swawolniejszych określników bez urażenia jego - omal oficerskiej - szarży) też sprawiał wrażenie człowieka, który się szybko przeobrażał w mężczyznę. Pionowa zmarszczka na czole, surowo patrzące oczy, ciężkie buty żołnierskie, schowane pod spodniami ufarbowanego na kolor cywilny munduru, łapska zgrubiałe i poodciskane, surowa i prosta zwięźłość relacji - tak, to był mężczyzna w każdym calu, mężczyzna dojrzały i zahartowany.

A przecież - miał dwadzieścia jeden lat... Młode matki, kiedy je taki syn prosi do tańca, kiedy je obejmie męskim ramieniem, płoną wzruszeniem, nadziwić się nie mogą, że oto wyrósł na opiekuna ten bąk, którego, tak przecież niedawno, przewijały, potem uczyły chodzić, potem strofowały, potem wyklamywały u srogich nauczycieli.

Nie mam takiego syna. Ale mam córki w "podchodzącym", jak mówią na kresach, wieku; chłopaczydlów w ostatnich dwu latach miałem pełen dom. Wiecznie to się kręciło, przychodziło na obiady, dyskutowało, pobijało moje argumenty triumfalnie nowo przeczytanymi książkami, których ja, biedny wół roboczy i starzec, nie miałem możliwości czytać.

Pojęcie starca poczynало się w tym towarzystwie gdzieś zaraz po trzydziestu latach. Kiedy moje córki miały jedna piętnaście, a druga trzynaście lat, okazało się nawet przy rozmowie, że pewien starzec miał lat dwadzieścia siedem. Kiedy podfruwajom przybyło po dwa lata, granica lat starczych przesunęła się może nieco, ale pojęcie młodości nie sięgało dalej niż wiek podchorążaka.

Otóż chciałem powiedzieć, że tych podchorążaków mieliśmy w domu cały bukiet: podchorążaków lotników, artylerzystów, kawalerzystów, piechurów i nawet podchorążaków łapiduchów. A poza tym chmary koleżanek. Całe to towarzystwo mało zadawało sobie fatygi z

134
poznawaniem pana domu i nieraz, wracając z pracy, byłem witany w progu uprzejmym: "Do kogo pan przyszedł?".

Czasem która z córek wpadła do biura w towarzystwie którego z kolegów. Pewnego razu przyszła w towarzystwie podchorążaka rumianego jak jabłko. Chłopak jak świeca, "jak ta szóstka", jak mówią w Krakowie. Uciął sobie ze mną dyskusijkę na temat de Manna, a ja proszę pana nie czytałem de Manna...

Wieczorem postarałem się go trochę powąchać i kiedy na następny dzień młodzi znowu zjawili się w moim biurze, pośpieszyłem, aby zrehabilitować się, że nie jestem filister, ani zjadacz chleba, że i owszem, proszę pana, czytałem de Manna.

Wyrok bowiem "wiesz, twój stary jest byczy chłop, ale cóż, to tylko zjadacz chleba", wisiał nade mną nieustannie w tym towarzystwie i biedny, gruby ojciec musiał w siódmych potach podążać za wszystkimi hockami-klockami, które młodzi państwo wyprawiają. Raz nawet założyli konspiracyjny związek "trzynastki" (jako że Marszałek Piłsudski umarł

dwunastego maja, następców nie zostawił wiele wartych, więc już zaraz na następny dzień po jego śmierci oni są odpowiedzialni), związek się wyspał, a młodsza córka za kolportowanie jego odezw została wydalona na tydzień z gimnazjum.

Mój podchorążak jednak nie miał pojęcia o de Mannie, ani be ani me.

- Jakże - powiadam zdziwiony - wczoraj jeszcze pan tak sypał cytatami?...

- Ależ tatusiu - zmonitowała mnie córka - przecież wczoraj to był Wojtek z podchorążówki przeciwlotniczej, a dziś to jest Stasiek z podchorążówki kawaleryjskiej.

- Licho was tam wie - mruczę skonfundowany - wszystkich was wystrzygli jak kolano, na gębie jesteście tak samo czerwoni...

- AYeż tatusiu, Wojtek miał zielone szlify, a Stasiek czerwone - gromi moja latorośl. - I wiesz, w ogóle, w podchorążówce kawalerii nie czytali de Manna.

Ja nie wiem, co się stało z Wojtkiem. Nie wiem, co się stało ze Staśkiem. Ja nie wiem, co się stało z wami wszystkimi, nie znającymi wojny, nie znającymi niewoli, rosnącymi ufnie w codziennej pracy narodu, z wami, chłopakami, którzy nabierali innego, konkretniejszego niż my, składu myślenia, na których piłkę nożną i zachwyty sportowe bez reszty, na których surowe, konkretne pojmowanie przyszłej walki o chleb patrzyli z niepotrzebną trwogą ludzie pokolenia naszego, pokolenia intelektualistów, indywidualistów i dyletantów.

Nie wiem, co się stało z naszym dorobkiem, w którym dochowaliśmy się nowego pokolenia młodzieży. Nie wiem, ilu ich jeszcze zobaczę, o ilu z tych drogich chłopców już tylko pamięć zostanie i ich młody

p

135

śmiej w uszach. Pamięć minie jak kręgi na wodzie i tylko matki będą wspominały, jak to ich syn zdał maturę, jak objął matkę męskim ramieniem i... jak go nie stało.

Nie wiem o nich nic, nie wiem o swoich dzieciach.

Więc kiedy teraz wszedł ciężkim krokiem w tych grubych buciorach, w jakimś wyfasowanym po dobroczynnościach kubraku, podchorążę Witek, jakże inny, jakże dojrzały zapewne, niż w ostatnie dni sierpniowe, uczepiłem się oczami na jego ustach, odcyfrować pragnąłem drogę, którą w klęsce własnej ojczyzny ta młodzież zrobiła, sprawdzić hart jej, rzekomo pogrążonej w materializmie.

OPOWIADANIE WITKA

Opowiadanie Witka było odbitką tych opowiadań, których tyle wysłuchałem - o cofaniu się beznadziejnym, o pochodach w wiecznej walce, o ciągłym rozbiciu, o wiecznej improwizacji.

Nie otrzymał karty powołania, tak jak podobno wielki procent podchorążych. Naprosił się do 10. Pułku 26. Dywizji w Łowiczu, od pierwszego dnia w polu był w wojsku rozbitym, zaczął wojnę od rozgromu pod Brzezunami i od rozkazu indywidualnego cofania się na Górę Kalwarię. Przytula się do jakiegoś porucznika de Obem, przytula się do nich garstka dwudziestu siedmiu ludzi, nocują w jakimś majątku na lewym brzegu Wisły, rankiem na tę gromadkę uderzają Niemcy, ucieka wraz z innymi prosto z noclegu bez butów i kurtki; ku Wiśle uciekać nie mogą, bo drogą ponad nią ciągną już Niemcy; pomykają laskami, mokradełkami, trafiają na jakąś kompanię pod dowództwem jakiegoś porucznika Wandla, z tą kompanią nocą truchcikiem, gęsiego pomykają przez szosę, wzdłuż Wisły aż do Pilicy, przez Pilicę przeprawiają się przez wodę, przy czym kilku tonie, w dół od Pilicy znajdują prom, przy którym odbywają się sceny dantejskie - dostają się wresz-

cie na zbawczy prawy brzeg Wisły.

Ładna szkoła, pedagogiczne pierwsze dni wojny dla kandydata na oficera!

Odtąd już Witek sobie radzi jak umie, plunąwszy na wielkie filozofie i na czekanie na rozkazy.

W Garwolinie formuje pluton - luźno zebranych żołnierzy - z kawalerzystów, z artylerzystów, z saperów, diabli wiedzą z kogo. Ktoś się ucieszył, że jest sformowany pluton, ktoś mu dał dwa karabiny maszynowe i już wódz, który rozpoczynał wojnę, drałując bez butów i kurtki, otrzymuje napuszczony rozkaz: bronięcia przeprawy.

Piękne zadanie. Brnie podchorąży Witek, co, Bogiem a prawdą, nie tak to dawno jeszcze zapewne dopraszał się dodatkowej porcji leguminy od mamy, brnie podchorąży Witek dwanaście kilometrów od Garwolina ku Wiśle - po co? prosić? - bronić przeprawy... Poziera po tych swoich dziadach zebranych, cztery kąty a pięć piątą, po rezerwistach dzielnych, żonatych, po szoferakach jakichś, Antkach warszawskich

137

prześmiewnych, dla których nic świętego, choćby generał, a cóż dopiero kawaler, co niedawno jeszcze w Ogrodzie Ujazdowskim bawił się w berka.

Już kilka lat przeszło, jak mu się głos zmutował,^ teraz w ciągu tych kilku dni przerepetował sobie najgorsze wyzwiska. Ścisną więc rękę rewolweru i mówi sobie wewnętrznie najgrubszym basem, że jakby który... taki syn... nie słuchał, to mu, jako oficer, w łeb strzeli.

Siedzi sobie improwizowany pluton w łozinie jak gromadka wróbli, wyrzucił dwa cekaemy na rzekę, jako że Niemcy mają się pono przeprawiać na jakichś promach na poduszkach. Promów nie widać, ale w pewnym miejscu rzeki Niemcy usiłują między ramionami, zwałonego w literę V przez Polaków, mostu przerzucić deski. Pluton "od sasa do łasa" wali, Niemcy się mitygują - dalibóg nie był głupi, kto te kaemy wymyślił, dalibóg pomaga!...

Widzą Niemcy, że im coś nad rzeką doskwiera, ściągnęli działa, od świtu poczęli po łozach walić. O czwartej obiecywali w Garwolinie przysłać im zmianę - diabła tam! Patrole wysłane nie wracają, armaty niemieckie strzelają, może krzyknęłoby się jak za dawnych lat "mamo", ale fason się trzyma, pan podchorąży każe się wycofywać, na punkcie kontrolnym nie znajduje nikogo, maszeruje do Garwolina, klecony pluton mu się rozłazi - to nie pomogło, że od jakiegoś oficera taborowego, grożąc rewolwerem nafasował dla nich konserw, zjedli, rozleźli się - po raz drugi to już Witek kończy wojnę.

Ale przemiarkował, że znowu kleci się jakieś polskie przeciwnatarcie, znowu sklecił "pluton" z siedemdziesięciu żołnierzy (te plutony Witkowe w czasie wojny składają się z różnych fantastycznych ilości ludzi), znowu, uparty karaluch, maszeruje nad Wisłę.

A po tamtej stronie, hokus - pokus, już operuje jakaś polska zbierana dywizja bez numeru. Już Witek z plutonem na tamtej stronie. Niemcy się zabierają ostro, masę ludzi ich samoloty wytlukły; tak doskwierali Polakom, że ci, jak zwykle, straciwszy cierpliwość, poszli na bagnety i Niemców odparli. I, jak zwykle - wojna ta miała swoje szablony - Niemcy odpowiedzieli atakiem czołgów. Na Witkowy odcinek wyjechało tych czołgów dziesięć, ukazały się z nagłą o jakieś siedemset metrów, straszliwie huczą i dzwonią blachami, kiedy podjechały do Witkowych żołnierzy i na trzysta metrów rozpoczęły ogień.

Przylgnął Witek z żołnierzami do ziemi, wał z trzech kae-mów - zabawa niewinna - posypują pancerze niemieckie jakby grochem, ogląda się Witek wstecz, myśląc, że teraz już wiać nie dyshonor,

a tu łącznik przylatuje:

- Co za pluton? Trzymać Niemców do końca, wojsko polskie się wycofuje, osłaniać odwrót do końca!

†

138

Witek macha wielkim visem i krzyczy groźnie, że kto będzie uciekał - kula w łeb! Diabła tam - nie ma takich amatorów, kto by się pod lufami bliskich już czołgów ruszył?

Przez Witkową głowę leci, czy nie robić zasieków (a jakże, kiedy?), czy nie wiązać granatów w paczki? Ale czołgi już tuż - żołnierze Witkowego plutonu rzucają pośpiesznie granaty, czołgi przejeżdżają po nich; od Witka o dziesięć metrów przejeżdża czołg i - złość największa - z otwartą klapą. Tak jakby się chciał natrząsać z Witkowego wojowania.

Wybili żywcem obsługę jednego kaemu, pojechali dalej. Za nimi, gdzieś tam z daleka, szła piechota niemiecka. Między tą piechotą a czołgami pomknął pluton Witkowy w las, lasem do Maciejowie, nad Wisłę. Nad Wisłą - "sądny dzień". Niemcy zapalili most, ludzie, konie rwą rzeką, karabiny maszynowe niemieckie jak grad sypią kule po wodzie.

Wylaź Witek mokry, już bez plutonu, z wody, mgłę ma w oczach, ale nauczył się już chodzić do Garwolina. Przybywa do niego po raz trzeci.

W Garwolinie - chodziła czapla po desce - szykuje się... przeciw-
natarcie.

Ba, nawet na jakimś podwórku urzęduje prokurator. W te dni rozpacz, w te dni zawzięcia, w te dni, kiedy każdy chciał czymś pomóc, panowała mania łapania szpiegów. Prokurator waży na jednym końcu sumienia życie ludzkie, a na drugim oburzenie tłumów.

O, właśnie wprowadza jakiś szofer łysawego cywila, z brzuszkiem. Cywil ma już podbite oko - na zadatek. W owe dni zamętu odrodził się statut Piotra Wielkiego, w którym mądry monarcha, w rozdziale o badaniu świadków, każe "ponajpierw niżli badać, zdzielić świadka mocno kijem po głowie, na skutek czego ów bywa wielce zdumiony".

Cywil wynajął taksówkę w Warszawie, kręcił się tu i tam, coś zapisywał i coś fotografował. Gdy go szofer chciał przytrzymać, chciał szofera pobić, ale sam dostał swoje i teraz stoi przed prokuratorem.

- To jest skandal! - woła - Jestem powszechnie znany doktor Grabowski z Warszawy... proszę... oto moja legitymacja... referencji może o mnie udzielić... - sypie się grad poważnych nazwisk.

Zapomniałem powiedzieć, że Witek poszedł po maturze na medycynę. Widząc, że prokurator się zawahał, proponuje siebie jako rzeczoznawcę.

- Jaką gałąź medycyny uprawia pan doktor?

- Jestem ginekolog.

- A kiedy dokonujemy cesarskiego cięcia?

- Kiedy płód gnije w łonie matki.

139

Egzaminator nie bardzo wie, czyli to tak, czy inaczej, więc strzela z następnej mądrości:

- Co to jest skaza moczanowa?

- To jest skandal, to dowód nieuctwa, jak można dawać takie głupie pytanie - zaczyna straszliwie wrzeszczeć doktor. - Jestem poważny lekarz, nie pozwolę, żeby taki smarkacz mnie egzaminował...

Snadź to oburzenie nie trafia do przekonania prokuratora, bo każe aresztowanego włączyć do konwoju.

A Witek? Witek znowu poczyną majdrować pluton. Tym razem ten pluton liczy dziewięćdziesięciu dwu ludzi. Witek ma się z nim zameldować u kapitana de la Tour pod Maciejowicami i ponownie rusza ku Wiśle.

Niemcy napierają, z dział strzelają, armie się rozpraszają, mosty się palą, a ten chłopak, co już bez butów uciekał, po którym już czołgi przeszły - wciąż się pcha pod prąd.

Na drugi dzień w Sobotowie pod Maciejowicami donoszą chłopci, że po wsi pęta się jakiś podejrzany potłuczony cywil.

Okazuje się - stary znajomy - doktor Grabowski.

- Panie podchorąży - mówi rzekomy doktor - jestem doktor Margulies z Płocka. (Widać nie poznaje Witka). O, tu mam zaświadczenie od komendanta garnizonu z Płocka. Wszyscyśmy wiali, nie było czasu na pieczęcie.

Pokazuje nagryzmołoną ołówkiem kartkę, która głosi, że doktor Margulies jest osobiście znany komendantowi garnizonu i godnym zaufania człowiekiem.

- Co się, panie doktorze, stało z konwojem, który pana zabrał? - pyta Witek, a gardło mu ściska narastające wzruszenie. On, Witek, ma przed sobą życie ludzkie, którego los będzie musiał rozstrzygnąć.

Wracają do wsi. Żołnierze są niezadowoleni.

- Panie podchorąży, ja go rąbnę sam - ofiarowuje się zdjąć ciężar z Witkowego sumienia jeden.

- Panie podchorąży - mówi któryś z cywila, warszawski Antek - ja go kozikiem zarżnę.

W Sobotowie natrafiają na zaaferowanego podchorążego - dowódcę konwoju. Ucieszył się:

-To ta cholera mi zwała!...

Witek więc robi się nieubłagany. Delikwent odciąga egzekucję żądając księdza. Ksiądz go długo spowiada i potem z wyrzutem patrzy na Witka. Chłopaka skręca w sobie.

- Pod gruszę! - komenderuje.

Rzekomy Grabowski-Margulies zaczyna płakać. Kiedy stoi już pod gruszką, wyrzuca ze siebie jakieś niemieckie słowa. Salwa je przerywa.

140

WALKA POD KAMIONKĄ STRUMIŁOWĄ

Cóż będę krok po kroku kreślił te smutne dzieje beznadziejnej, nie uporządkowanej walki, w którą wplątana została Witkowska młodość? Jak przez trzy noce pod ogniem niemieckim wyszukuje na brzegu wiślanym działka przeciwlotnicze, pozostawione przez nasze wojska; jak mu w plutonie w tym czasie szesnastu ludzi zabijają; jak transportuje te działka bocznymi ścieżkami do Dębłina, mając już nacierającego z trzech stron nieprzyjaciela; jak znowu z rewolwerem w ręku odbiera wygodnie jadącym oficerom taborowym konie, jak trafia do Dębłina w przeddzień ewakuacji, jak znów nie ma plutonu; jak pomyka ciężarowym autem, naładowanym przez zbrojmistrza w Dęblinie, bronią, jako tej ciężarówki eskorta, jak go tak zanoszą aż do Dubna, bo tam miał rozkaz ewakuowania się zbrojmistrz, a Witek od początku nie miał dowódcy i przydziału i sam sobie stwarzał możliwości walczenia o Polskę.

Wiele się nauczył w ten krótki czas. Czołgi spotykać, ludźmi dowodzić, samemu sobie radzić, brać odpowiedzialne zadania, zęby pokazywać własnym oficerom, decydować o życiu ludzkim.

Daleką uszedłś drogę, podchorąży Witku, od rodzinnego domu w Łowiczu!

Z Dubna go kierują do Łucka, w Łucku przydzielają do formującego się batalionu, aby na drugi dzień, po skonstatowaniu, że bolszewicy

wkroczyli, otrzymał/ rozkaz wraz ze wszystkimi wojskami w Łucku;
"Rozchodź się, gdzie kto może".

Snadź to już doła taka wypadła na wojskową karierę Witka, że od pierwszego dnia wojny, od rozkazu pod Brzezinami "indywidualnego cofania się", stale go los namawiał do rzucenia broni i dawał legalne rozgrzeszenie.

Ale wielu jest takich jak on, którzy nie chcą przestać walczyć. Pono broni się Lwów - masa wojska samorzutnie płynie w jego kierunku. W drodze się skrzykują, formują, ustanawia się hierarchia.

Wycofują się, między innymi, kolumny zmotoryzowane saperów wileńskich, saperów krakowskich, podchorążowie z Centrum Wyszko-
lenia w Modlinie...

W Busku zabiegają im drogę bolszewicy.

Skręcają na Kamionkę Strumiłową.

141

W Kamionce Strumiłowej zabiegają im drogę Niemcy.

Świeże armie dwu państw ćwierć miliarda ludzi liczących i szóstą część globu - na tych chłopaków bez dowództwa, bez nadziei i bez żadnego sensownego planu militarnego, którzy wiedzą jedno: że nie chcą się poddać.

Tu powstała grupa pułkownika Hanki-Kuleszy: sześć szwadronów zapasowych kawalerii pod dowództwem pułkownika Halickiego, dyon PAL-u, dyon artylerii najcięższej zmotoryzowanej, jacyś amatorzy "od sasa do łasa", tak jak Witek.

Uderzają na Niemców. Mają i artylerię, a jakże. Cudownie strzela nasza artyleria. Pierwsze trzy strzały zapalają trzy auta ciężarowe z niemiecką piechotą.

Widać, że ten żołnierz polski potrzebuje czasu, aby się rozkręcić. Jak w 1920 roku...

Atakują czołgi niemieckie. Saperzy nasi rozwijają na nie tyralierę.

Mamy też dwa czołgi i działka przeciwpancerne. Jeden czołg polski ginie i trzy niemieckie.

Oho! Zdarzyło się naszym chłopcom, że teraz oni za własnymi czołgami tyralierą idą. Dotąd musieli tylko patrzeć, jak Niemcy tak robią. Kiedy są na pięćset metrów od Niemców, idą na bagnety. Niemcy nie mają gdzie uciekać, nie ma ich kto osłonić, bo trzy ich czołgi pozostały na placu, trzy uciekły, a nasz pozostały czołg jedzie z nami, huczy i strzela za dziesięć, robi ruch w interesie!

Kiedy Witek dobiega niemieckiej linii, oficer niemiecki wygarnia do niego cały magazynek z parabellum, ale nie trafia. W mgnieniu oka zostaje rozniesiony na bagnetach.

Witek trzyma karabin w garści, prze naprzód, tuman krwawy mu oczy przesłonił, poznał objawienie uniesienia bitewnego, dźga za naszą hańbę, za ucieczkę tylu dni, za podły napad, za bezwstyd zbrodni, za spółkę złodziejską z Moskałem, za dzieci i kobiety wymordowane, za zburzoną pracę, za sponiewieranego chłopca, za Hel, za Westerplatte!

Wieś Łany Polskie, przez którą idzie nasze uderzenie, płonie, zapalona pociskami zapalającymi czołgów niemieckich, które strzelały na boki. Odbijają Kamionkę Strumiłową, odbijają kościół zapaskudzony (Niemcy trzymali w nim Żydów-zakładników, każąc na miejscu załatwiać potrzeby fizjologiczne).

Biorą osiemdziesięciu dziewięciu jeńców, wracają zziębnięci. Dymią kopącym ogniem rozżarzone blachy dopalających się czołgów niemieckich, zionie od nich swąd skwarzonego mięsa. Z żalem idą ich oczy w kierunku rowu przykrytego gałęziami zielonej akacji, gdzie stoi rozbity nasz czołg.

Podchodzą w milczeniu. Widzieli jak to było. Czołg nasz, prowa-
142

dzony przez dwóch podchorążych, stanął pod tą akacją, wstrzeliwując się w czołg niemiecki, który zniszczył wreszcie. Pochłonięty walką nie zauważył, że mu z boku zajechał drugi czołg nieprzyjacielski, wygarnął z działa na bliski dystans. Rozerwał się pocisk wewnątrz polskiego czołgu. Wypadł z niego poparzony jeden z podchorążych i odczołgał się w rów. A drugi?... -

Jeden z podchorążych szepcze:

- Jurek miał przed bitwą złe przeczucia i podarował mi visa; mówił, że mu już nie będzie potrzebny...

Zbliżają się. Wewnątrz wozu, nad kierownicą siedzi trup Jurka. Pocisk oddał mu lewe ramię i część klatki piersiowej. Widać całkowicie otwarte serce.

Tak się oto zameldował kolegom i Polsce odchodząc. A ja nie znam nawet jego nazwiska i nie wiem, czy czytał de Manna i czy nie tańczył z moimi dziewczynami na kinderbalach, i czy miał mamusię, i czy jej kto powie o jego śmierci?

HEJ! GDZIE TO WALCZA JESZCZE?

Poszło z drugiej strony uderzenie sojuszników niemieckich. Poszedł do niewoli rosyjskiej pułkownik Hanka-Kulesza, zastępca dowódcy kresowej kawalerii w Brodach, jeden z pierwszych siedmiu "beliniaków", którzy z dwoma siodłami przekroczyli pieszo granicę rosyjską.

Witek ponownie znalazł się w grupie, która się umknęła i szła szukać, gdzie walczą jeszcze. Ruszyli dalej - żołnierze bez dowództwa, żołnierze-tułacze. Pod Hrubieszowem naleciały na nich samoloty sowieckie. Rzuciły ulotki:

"Rzucanie Armii Polskiej!

Pańsko-burżuazyjny Rząd Polski, wciągnowszy Was w awanturystyczną wojnę, pozornie¹ przewaliło się. Ono okazało się bezsilnym rządzić krajem i zorganizować obronę.

Armia Polska pocierpieła surową porażkę, od której ona nie oprawić wstanie się. Wam, waszym żonom, dzieciom, braciom i siostram ugraża głodna śmierć i zniszczenie.

W te ciężkie dni dla was potężny Związek Radziecki wyciąga wam ręce braterskiej pomocy. Nie przeciwicie się Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej. Wasze przeciwienie bez korzyści i przerzeczono na całą zgubę. My idziemy do Was nie jako zdobywcy, a jako wasi braci po klasie, jako wasi wyzwolenci od ucisku obszarników i kapitalistów.

Wielka i niezwoleczona Armia Czerwona niesie na swoich sztandarach procującym, braterstwo i szczęśliwe życie.

Rzucanie Armii Polskiej! Nie poliwacie doremnie krwi za cudze Wam interesy obszarników i kapitalistów.

Was przymuszają uciskać białorusinów, Ukraińców. Rządzące kole Polskie sięją narodową różność między polakami, białorusinami i ukraińcami.

Pamiętajcie! Nie może być swobodny naród, uciskający drugie narody. Pracujące białorusini i ukraińcy - wasi procujące, a nie wrogi. Razem z nimi budujcie szczęśliwe dorobkowe życie.

\Pozorno - haniebnie.

144

Rzucajcie broń! Przechodźcie na stronę Armii Czerwonej. Wam zabezpieczona swoboda i szczęśliwe życie.

Naczelny Dowódca Białoruskiego frontu

komandami Drugiej Rangi

Michał Kowalów

17 września 1939 roku"

Zagęszczać począł się horyzont jazdą i czołgami. Cóż mieli zrobić? Dać się wyróżnić tym czołgom ku radości bohaterskiej armii sowieckiej? Poddali się.

Na podwórzu dworskim do zebranych żołnierzy przemawiają bolszewicy. Witek, wciśnięty w żołnierski tłum, widzi ten bezmiar pogardy, jaki ma prosty żołnierz do tej dziczy bladej w oberwanych mundurach. Właśnie im prawią o cudach, o dobrobycie sowieckiej ojczyzny.

- Jakie to cuda masz, ty oberwańcze!?

- Cóż to, w łachmanach was na wojnę wyprawili?

- Nowe mundury zostawiliśmy w domu - broni się krasnoarmiejec.

- A tuście przyszli się ubrać, cholery!...

Witek, wszystkiego ciekaw, zachodzi - jako aspirant do stanu lekarskiego - do ambulansu. Starszy lekarz pokazuje mu narzędzia chirurgiczne, niezdarne, poźółkle.

- Wyrób sowiecki - mówi z przekąsem.

- A mnie oficerowie mówili, żebym jechał do Moskwy na medycynę kontynuować studia.

Stary lekarz patrzy ze zdumieniem na młodzika. Potem w oczach jego zapala się błysk głębokiego ludzkiego współczucia. Zapuszcza rękę w bujną czuprynę chłopca i nagle, po ojcowsku:

- Uchodź ty ościuda, poka można, molodoj człowiek.1

A potem, gdzieś koło płotu wsiowego, obejrzawszy się dokładnie, czy nikt nie słyszy, szepcze mu robotnik petersburski, zmobilizowany na ten najazd:

- Ty bracie, zmiataj. Tu - śmierć.

Uciekł więc i poszedł znów szukać, kędy się biją.

Szedł w górę, na Chełm, krajem, który dyszał walkami sprzed paru dni.

W rejonie Lublina, kiedy armie po prawym brzegu Wisły pęły, było postawione na dwunastu szlakach, dwanaście zastaw oficerskich z żandarmerią, każda miała ciężarówkę z tysiącem porcji żywności, każda dyspozycje, gdzie należy ludzi kierować. Kiedy zbliżający się atak nie-
'Uchodź stąd póki można, mój chłopcze.

145

miecki i nabrzmiewająca fala zniosły te zastawy - przez Chełm poczęły walić nieskończone masy ludności i wojska.

Wówczas pułkownik Szalewicz, dowódca PD' 13. Dywizji Piechoty w Chełmie, podjął organizowanie rozbitków. Dążył do ufortyfikowania Lublina, Tomaszowa, Rawy Ruskiej, do trzymania oporu i kierowania poza tymi umocnieniami napływających żołnierzy na obronę Lwowa. W dwudniowych walkach pono uzyskuje wycofanie się Niemców, którzy się przegrupowują.

Kiedy wkroczyli bolszewicy, pułkownikowi Szalewiczowi znienacka nadeszła pomoc. Mianowicie dowodzący we Włodzimierzu generał Sawicki² obwieścił, że ponieważ wkroczyli bolszewicy, należy rozejść się, złożyć broń, oficerowie mają skromnie siedzieć po kwaterach i czekać zmiłowania bożego. Trzy baterie haubic się wyłamały, pociągnęły ku Szalewiczowi, rozbiły podobno po drodze siedemdziesiąt czołgów, niczego nie spodziewającym się Niemcom.

Wówczas wzmocniony Szalewicz uderza na Łaszów, na Tomaszów. Pod Tomaszowem świetnie walczy na prawym skrzydle kompania oficerów rezerwy. Biedacy, którym nie udało się wskoczyć w nieudaną "mobilizację, tu wreszcie znaleźli możliwość walki. Z Tomaszowa wycofu-

ją się Niemcy. Wycofują się też z Łaszowa, który znalazł się pod silnym ostrzałem naszej artylerii. Kiedy do niego wkraczały wojska polskie, na zgłiszczach leżały ułożone sagi trupów na wysokość człowieka. Tu pracował pułkownik Warchoł ze swoim 43. pp.

Jeden pancerny baon niemiecki tak ładnie zlikwidowany, że cztery nie uszkodzone czołgi objęli nasi czołgiści. Porucznik Jerzy Wołk-Łaniewski, oficer rezerwy z działek przeciwpancernych, preparuje cały ciężarowy samochód butelek antyczołgowych, które rozwozi. Znajduje się wielu bohaterów, którzy idą z butelką na czołg. Po cofnięciu się Niemców, porucznik Łaniewski widzi osiem czołgów w ten sposób spalonych.

Ale to wszystko przeszedł przed przyjściem Witka. Przyszły siły niemieckie od zachodu, zamknęły się nad tymi ostatnimi wysiłkami polskimi.

Szedł więc teraz krajem wystraszonem i przycupniętym, pomijał miasteczka i wsie, w których - zgaduj zgadula - stali Niemcy lub bolszewicy. Żywił się ulęgałkami w polu, trafiał na chłopów rozżartych na tych, którzy według nich zgubili Polskę, trafiał na zagrody ukraińskie, • ' [Red:] Dowódca piechoty dywizyjnej - zastępca dowódcy dywizji.

2 Generał Sawicki mówił mi, że był przeciwny kapitulacji, że tę decyzję powziął gene-

rał Smorawiński. Generał Smorawiński będąc w Kozlelsku mówił, że rozpuścił tylko Ukraińców i Białorusinów, nie mając do nich zaufania.

146

w których wieszczono śmierć Lachom. Za wiele nieco na tę dwudziestoletnia rozpacz i samotność.

Aż gdzieś pod Chełmem trafił na polskie zakonnice. Uliłowały się kobiety nad tą czupryną smętnie zwisającą, nad cybatym chłopczyskiem, wsuniętym w worek munduru i w szufle butów. Gęś mu zarznęła, upiekły, podjedźże sobie, kochany.

Gęś w brzuchu, czy serce napotkane usposobiły go do nowych czynów. Pilnie przepytuje, kędy się biją?

Gdzieś z północy dochodzą wieści o walkach. Idzie na Włodawę.

Szosa zagęszcza się coraz bardziej. Na razie to tacy łązikowie jak on, bez odznak, bez broni. Im bliżej Włodawy, tym z tych łązików wyłazi coraz bardziej wojskowa postawa, zjawiają się dystynkcje, zjawia się nawet broń. Bo tam, we Włodawie, już bliskiej - pono polskie wojska.

Witek się wstydzi, że nie ma swego visa. Za piętnaście "Junaków" nabywa od jakiegoś policjanta parabellum. Cóż za balans ma ta maszyna! Biję jak piorun!...

Latają samoloty sowieckie nad szosą, rzucają ulotki: "jesteście sprzedane przez burżujów oficerów obcym kapitalistom!" A tu już od Włodawy patrol idzie, bagnet na broń, ktoście są zacz? No, to dalej do komendy garnizonu!...

Jacyś wypoczęci, dopięci na ostatni guzik, roześmiani...

W ARMII GENERAŁA KLEEBERGA

We Włodawie nasze działka przeciwpancerne przez Bug biją do myszkujących po tamtej stronie pancernych czołgów. W komendzie garnizonu porządek - jak w czasie pokojowym. Linie telefoniczne przeciągnięte wszędzie, łączność nawiązana. Zaraz zakwaterowali, zaprowiantowali, zaliczyli do plutonu oficerskiego.

To teraz, kiedy już wojna przegrana, to teraz, kiedy idą ostatnie dni września, otrzymuje po raz pierwszy podchorąży Witek dowództwo z prawdziwego zdarzenia, przydział nie fingowany, opiekę.

Na drugi dzień dają mu zastępstwo plutonu. Nie taki wyskrobany, własną przemyślnością na słowo honoru i na zapraszanie "kto ze mną"

pluton, tylko jak się patrzy żołnierzy. Plutonem dowodzi porucznik Rupiejko, kompanią kapitan Cichalewski, dywizja nazywa się "Brzoza". Dwie inne dywizje mają też nazwy roślin. Wszystko razem - ta iscie zielona, powstańcza armia, to armia generała Kleeberga.

Tegoż dnia maszerują na Parczew. Chcą walczyć z Niemcami, ale naokoło już wojska sowieckie. Kiedy są na gołym polu o cztery kilometry przed Parczewem, nadlatuje pięćdziesiąt samolotów pościgowych sowieckich, eskadrami po kilkanaście. Bombardują z lotów nurkowych "myszkami" - małymi bombami rzuconymi ręką. Żołnierzy w zdumienie wprawia wielka szybkość tych samolotów, karkołomność ewolucji i wielka niecelność strzałów.

Na zasiadłych w Parczewie bolszewików, po przygotowaniu przez ogień polskiej artylerii, rusza nasz atak z dwoma batalionami 20. Pułku Piechoty w szpicy. W ataku pono jest morski batalion.

Morski batalion? Witek nastawia uszu. Toż jego brat Jędrek, dwiętnastoletni podchorążak z podchorążówki marynarki, jeśli gdzie jest, to chyba tam...

Wysiekli sotnię Kozaków, przeszli Parczew, ruszyli na Kock. Tam już na pewno Niemcy.

Kiedy w jednym miejscu wojska muszą przebywać groblę, JUŻ na nie czekają sowieckie aeroplany. Bombardują bardzo ciężkimi bombami, zabijają w straży przedniej dziesięć koni i dwudziestu żołnierzy, trzeba się cofnąć.

Nocą dopiero Polacy wynurzają się z lasu i idą dalej.

148

O świcie już są starzy znajomi - samoloty niemieckie - i rzucają bomby na ciągnące oddziały.

Brygada suwalska kawalerii zatoczyła łuk, spieszyła się, wyszła na tyły pancernej brygady niemieckiej pod wsią Syrokomla.

Powietrze jest jasne i Witek widzi z odległości trzech kilometrów jak idą tyraliera, jak wspomagają ich nasze 9. i 16. pułki artylerii lekkiej, jak Niemcy pierzchają, jak zostawiają na placu dwanaście rozbitych czołgów.

Witek drepcze na miejscu z niecierpliwości. Odkarmili go, ma dowództwo, ma przydział - chciałby się bić.

Dopiero nazajutrz jednak bierze udział w walce. W tym dniu (tj. 3 października) Syrokomla przechodzi trzy razy z rąk do rąk. Obie strony wprowadzają coraz większe siły. Kiedy Niemcy po raz drugi zajmują wieś, ogień ich jest tak skuteczny, że wygniatają wszystkie nasze karabiny maszynowe. Teraz ruszą do ataku na nasze zmilkłe pozycje.

Wówczas ratuje sytuację szarża naszej kawalerii na dymy palącej się Syrokomli. Wpadli w jej ulicę na Niemców, którzy nie zdołali się wycofać, zrobili sądny dzień, odesłali na tyły trzystu jeńców.

Nocą pluton Witka ma pracę. 2 rozbitych gniazd karabinów maszynowych wyciągają rannych. Inne plutony montują nowe gniazda.

Przedpole i pozycje robią swoją toaletę na następny dzień.

Nad ranem jednak pluton Witka, rzecz niesłychana w tej wojnie, zostaje wycofany w tył "dla odpoczynku" i nakarmiony doskonałym obiadem z kuchni polowej, tak jak był karmiony przez te wszystkie dni walk, czy tam kto atakował czy nie, czy tam co z samolotów leciało, czy też nie.

A ten trzeci dzień walki pod Syrokomla jest niesłychanie krwawy.

Polskie oddziały atakujące mają sześćdziesiąt procent strat.

Pod wieczór dowództwo polskie zarządza odwrót. Wojska maszerują na Zelechów, aby się przedrzeć do Warszawy. Nie wiedzą, że Warszawa już padła... Przecie to już październik.

Pluton Witka, wypoczęty i najedzony, jest w liczbie oddziałów detaszowanych do osłaniania odwrotu. Wysyłają go z silnym patrolem i dwoma karabinami maszynowymi w przód. Walczy przez dwie godziny, aż otrzymuje rozkaz cofania się. W pewnej chwili reflektory niemieckie, obszukujące teren, nie widzą nikogo i Niemcy ruszają w przód.

Następna noc zastaje pluton Witka w Budziskach. Noc jest bardzo zimna i żołnierze zaryzykowali mały ogienek, przy którym się kolejno grzeją. Nagle przychodzi rozkaz, by zająć na skraju lasu stanowisko z jednym karabinem maszynowym.

149

Z tym karabinem maszynowym to jest najgorsza sprawa. Dali jakiegoś starego maxima z kawalerii, który lubi się zacinać w najmniej odpowiednich momentach. Żołnierze tłumiąc wściekłość po karabinach maszynowych plutonu, które im zabrano na potrzebniejsze odcinki (i broń i amunicji jest coraz mniej), kopią gniazdo na skraju lasu. Jest świt, lekka mgła. W takie dni na wiosnę cietrzewie lubią zaczynać później toki, wylaniają się z mgły zupełnie blisko, czeka się na nie z brzegu lasu z bronią gotową do strzału.

ZIEMIA ZWRACA BRON...

Nagle łopata uderzyła o coś twardego. Pochylili się - w dole zatłuszczony brezent, w nim jakaś maszyna.

Obkopali dół i wyciągnęli, zaszyty w płachtę brezentową niby muumia egipska, obficie wywazelinowany nowiutki karabin maszynowy polskiego wyrobu model 1930.

Oddziały, które już nie mogły się bić, splotały swą dań ziemi. Kiedy ziemię tę ogołoco, kiedy poburzano jej miasta, jej wsie, jej tory i drogi i mosty, kiedy już niebawem sięgnąć miano po jej węgiel, po jej naftę, aby kuć broń na pogłębienie niewoli, kiedy sięgnięto po skarby, które nawarstwiały wiekami w jej łonie drobinki wody, atomy słońca, człowiek wyrzucany z tej ziemi, aktem rozpacz, pomyśleniem serca, tysiącem inicjatyw-atomów, budował nowe pokłady, nowe bogactwa naturalne - broń.

Wiele jej wykryją, wiele się zmarnuje przez rdzewienie, wiele jej służyć będzie, kiedy nadejdzie czas, ale najwięcej zostanie nie odkrytej na zawsze. I od czasu do czasu znajdować ludzie będą dziwne wykopaliska, jak my znajdujemy kamienne toporki na cmentarzyskach przedhistorycznych. I za każdym razem pomyślą, że ta broń była zakopywana wówczas, kiedy cmentarzyskiem był ten cały kraj.

Witek był daleki od tych filozofii. Cieszył się, że nie będzie się parat z krnąbrnym maximem, podniósł wysoko lufę cekaemu i wołał:

- Patrzcie, chłopcy, ten, który zakopywał, nie wiedział, że już tak prędko na Szwaba się przyda!

Rzeczywiście prędko się przydał. Ledwo go oczyścili, już Niemcy się pokazali. Spotkali serią, cofnęli się ku wsi.

Nocą Witek wysła patrol do wsi, która nazywa się Huta, Patrol stwierdza przed wsią duże siły niemieckie i armatę ustawioną na pozycji. Jasne, że to na plutonik Witka, który wczoraj trzepnął tę serię do Niemców.

A nasza artyleria już od wczoraj milczy. Wystrzelała wszystkie naboje. Gdzie COP1, gdzie fabryki amunicji? Nie ma ich! Nieprzyjaciel wszędzie dokoła od Władystoku po Ren i cała już Polska podbita i zdławiona. To jest piąty października.

[Red.:] Centralny Okręg Przemysłowy.

151

Nad ranem idzie pośpiesznie na Hutę jakiś tabor.

- Gdzie idziecie, tam Niemcy. Gdzie się pchacie na pierwszą linię taboryty nieszczęsne, taka wasza i owaka, i jeszcze raz z powrotem!

- Generał Kleeberg się poddaje. Spróbujemy się przedrzeć.

Milkną żołnierze plutonu jak porażeni prądem.

Tabor rusza dalej.

Naturalnie dostali ogień z tej wsi i z tej armaty i wrócili szybciej niż poszli. Teraz armata usiłuje napytać Witkowy plutonik pod lasem.

Wreszcie armata milknie. Jednocześnie niemal przychodzi rozkaz:

- Zaprzestać ognia. Ściągać placówki. Nie ostrzeliwać Niemców, którzy przyjadą zabierać broń.

Żalotne jest Witkowe serce. Półdziecinnie żalotne. Jakże to? Tak się dobrze walczyło... Jeść dali, wypocząć dali, odwody mieli do ostatniej chwili. Łączność była, rozkazy były. Bili Moskali, wypierali raz po raz Niemców... Jakże to? I - co teraz?...

Od wsi Huta jechać poczynają ku naszym pozycjom wielkie ciężarowe samochody niemieckie. Do wsi Huta jest cztery kilometry równiny, ciężarówki zrazu wyglądają jak żuczki.

Jeden wyjeżdża ze wsi...

Drugi...

Trzeci...

Czwarty...

Piąty...

Szósty...

Sześć wozów - są już wielkości pudełek od zapalek - jedzie wolno ku Witkowym pozycjom.

Jak skamieniali patrzą żołnierze, którym zabroniono strzelać.

Wozy są już o kilometr. Żołnierzy na strzelnicach uczono strzelać do tarcz już na odległość sześciuset metrów. Już teraz każdy ma daleko-
mierz w oku, już można rozróżniać poszczególne części wozów, oddzielne figury niemieckich żołnierzy. Niechże prędszej jadą, niech nie kuszą. Ale ciężarówki posuwają się niezmiernie powoli i ostrożnie.

Skamieniał Witek, nie patrzy na swoich żołnierzy. Wszystka krew zbiegła mu do serca, jak zaczarowany patrzy w te zbliżające się ciężarówki, które mają go pozbawić broni i wolności. Tak patrzy, w straszliwym napięciu wszystkich nerwów, wyżej, kiedy wystawia zwierzynek.

- Panie podchorąży - słyszy za sobą błagalny szept - postrzelamy sobie. Dy, aby trocha...

Witek nie ogląda się na tego, który to mówi. Głos mówiącego idzie mu gdzieś spod nóg - pewno to celowniczy, który zaległ przy maszynie.

Witek lekko stara się zaprzeczyć, kręcąc głową. (Boże, jakże zeszy-
152

wniał ten kark, jak ociężałe całe ciało... Trzeba przecie tego draba od maszyny odsunąć, bo gotów...).

Wozy są już na pięćset pięćdziesiąt metrów. Równo sobie na wyściełanych fotelach siedzą panowie piechota niemiecka, z komfortem jadą po broń tych, co się tułali, szli przez kordony wojenne, rozbijali się i uzbrajali...

- Panie podchorąży - skamle coś z dołu żarliwym szeptem.

Wozy już na czterysta, na trzysta pięćdziesiąt metrów. Dystynkcje już widać niemieckie, mięso niemieckie, na które się polowało z tak daleka, mięso niemieckie, schowane głęboko w pancerzach czołgów, za ogniem artylerii, za deszczem bomb samolotowych.

Wzruszenie niesamowite ścisła Witkowe gardło, balon wielki powietrza rozpiera się w piersi - zdaje się, że pierś pęknie, że nie wytrzyma tej męki.

Znowu psie trącenie o but i ciche skamłanie: - Panie podchorąży...

I wtedy - Witek nie wie, jak to się stało... wie tylko, że w jednej chwili pomyślał sobie, że dłużej nie wytrzyma tej męki. Czy głową kiwnął, czy ręką zbuntowana przeciw stężałemu ciału dała jakiś nieuchwytny znak - posłyszał, jak równo, bez żadnych zacięć, pracować począł nasz karabin maszynowy.

Doznał uczucia jakby był ciasno zaciśnięty jakąś siatką, spowity drobnym opłotem cienkich, niemiłosiernie mocnych pnączy i oto jakby kto cieniutkim ostrym lancetem przejechał po tej siatce od głowy do stóp. Pierwszy wóz zapalił się, ze wszystkich poczęli jak żaby wyskakiwać Niemcy i kulgać się przez rów w pole. Zagrały wszystkie ręczne karabiny żołnierskie, przypadł Witek do ziemi, już jest tylko znowu dowódcą plutonu, który się bije, już mu nic innego nie w głowie.

Przypomina, że żołnierzom brak było papierosów, woła:

- Za każdego Niemca papieros.

Krótko było tej radości. Co trupa niemieckiego zostało, to zostało, ale inni pokryli się w terenie. Żołnierze teraz wypatrują ich i wydłubują poszczególnymi strzałami, a tu przyjeżdża od dowództwa naszego motocyklem oficer i rozstawia po kątach familię, i piekli się.

Nic ich więcej zresztą nie spotkało, bo pono większość oddziałów wykazała ten brak dyscypliny.

Nie osądzajmy tych chłopców. Przedarto nad ich ojczyznę i przez wrogów i przez przyjaciół uroczyście zawarte pakt, napadnięto na ich ziemię w sposób bandycki, nic nie mający wspólnego z honorem. I kiedy świat nie stawia wymagań honorowych panom w mundurach dyplomatycznych, których gości po stolicach świata, bądźmyż łaskawi w osądzie dla Wojtków i Bartków, którzy bronili swej ziemi i dla Witków, którzy dzierżyli nad nimi komendę.

153

UCIECZKA 2 NIEWOLI

Cofnęli się, w myśl rozkazu, do wsi Budy. Żołnierze w drodze poniszczili iglice w karabinach, powysypywali materiał wybuchowy z granatów ręcznych, powyrzucali naboje karabinowe, a z tych reprezentacyjnych, które ze sobą przynieśli, powysypywali proch.

PAL-e - dziewiąty, szesnasty, trzydziesty - zdemontowały działa co do jednego (dobrze pracowali - Witek, przechodząc już jako jeńiec, widział trzy zniszczone baterie niemieckie).

Stała kompania Witkova w dwuszeregu we wsi Budy. Dowódca kompanii, kapitan Cichalewski, przemówił krótko: że są ostatnim oddziałem składającym broń i żeby czekali rozkazu, który na pewno w swoim czasie przyjdzie s k a d ś.

Kapitan Cichalewski przelał komendę na tego nie znanego rozkazodawcę. Jako Polak, we krwi nosił pewność, że ten rozkazodawca się pojawi.

W pierwszym plutonie padła komenda: "Prezentuj broń!" - na pożegnanie dowódcy. Następne poszły za jego przykładem.

"Na ramię broń" - maszeruje kompania, za nią i przed nią inne kompanie, szarże na swoich miejscach, kryjąc, równając, wybijając takt. Idą na placyk we wsi, gdzie czekają oficerowie niemieccy, przed nimi kupa broni. Rzucają żołnierze karabiny z taką siłą, że nieraz coś w nich pęknie. Niemcy stoją poważnie, starają się nie poniżyć tego żołnierza, który przez tyle dni stawiał im opór, który składa broń ostatni w Polsce.

ce.

Po oficerów i po rannych polskich żołnierzy zajeżdżają auta; inni polscy jeńcy skierowani są piechotą do odległego o trzydzieści pięć kilo-

metrów Dęblina. Witek wkręcił się między żołnierzy, zdjął odznaki i idzie teraz z nimi.

Po czternastu kilometrach marszu mają spoczynek w spalonej Syrokomli. Wieś, która w jednym dniu przechodziła trzy razy z rąk do rąk, w której piętrzyły się zwały trupów, bo na ulicach Syrokomli wrzały walki wręcz - teraz jest wymarłym zgorzeliskiem.

Kiedy tak sobie spoczywają na zwęglonych fundamentach domów, jadą przez wieś samochody z wziętym do niewoli pierwszym batalionem morskim.

154

To ten batalion pod Lipinami uderzywszy na Niemców na bagnety, gnał ich przed sobą, przez ogień flankowy, mimo tego, że poniósł pięćdziesiąt procent strat. Kiedy wywieszono białe chorągwie, pozrywali je i dalej strzelali do Niemców.

Witek nie wiedział na pewno, czy też nie ma w tym batalionie podchorążych szkoły morskiej. W istocie byli w nim ci najmłodsi. Trzeci rocznik podchorążych promowano pośpiesznie na oficerów i zdążono wywieźć okrętem z Gdyni przed samą wojną. Drugi rocznik wojna zastała w podróży morskiej na "Iskrze" i zawinął szczęśliwie do Francji. Trzeci rocznik, najmłodszy, wywieziono do Pińska, do marynarki rzecznej, nie bardzo wiedziano co z nimi robić, czy nie bardzo chciano tych szesnaste- i siedemnastolatków wysłać na rzeź i w dziesiątym coś dnia wojny, kiedy już było całkiem źle, zaproponowano im, jak tyle razy proponowano Witkowi - zdemobilizować się.

Chłopcy obrazili się okropnie, dopięli tego, że na drugi dzień dowódca ich przeprosił i wcielił do pierwszego batalionu morskiego, który jako piechota poszedł na front. Poszedł z nimi ich dowódca, ojciec podchorążaków, kapitan Rabenda, który trząsł się nad tymi dziećmi jak kura nad kurczętami, podbiegał do każdego niewypału i osobiście rozkręcał. Poszedł dowódca plutonu Jędrka, porucznik Wyrostek, który w ataku pod Lipinami, trafiony dwoma kulami w brzuch, klęczał w linii i wołał "Naprzód, chłopcy, naprzód!", aż go trzecia kula trafiła w usta i zabiła.

Nic tu nie pomogło zastawianie się oficerów za chłopców. Z siedemdziesięciu podchorążych trzeciego kursu Szkoły Podchorążych Polskiej Marynarki Wojennej tylko piętnastu nie otrzymało ran, dwudziestu pięciu poległo na polu bitwy, ilu z ran zmarło, nie wiadomo.

Minęły czasy, kiedy szli do ataku rozwiniętym dwuszeregiem, z fasonem, z kordami przy bokach, mając przed sobą swoich oficerów w białych rękawiczkach, połyskujących złotymi gardami szabel marynarki. Jechali teraz - ta resztką trzeciego kursu - jak szare wróble, wymiętoszeni, wtłoczeni między żołnierzy niedorżniętego pierwszego batalionu piechoty morskiej.

Witek krzyczał na oślep przy każdej ciężarówce: "Jędreku, Jędreku..." i nagle z któregoś wozu dobiegł go głuchy stłumiony głos:

-Jestem!

Wozy jechały zupełnie wolno przez wieś. Witek biegł, uczepiwszy się wozu brata i wzywał go, żeby wyskoczył, że będą razem uciekać. Małemu jednak duch się stłukł widać, bo powtarzał, że Niemcy pilnują, że będą strzelać.

- Szczeniaku jeden, jak nie słuchasz starszego brata, to słuchaj starszego stopniem - krzyczał zdesperowany Witek, widząc, że wieś się

155

kończy. Jędreku jeszcze marudził za chlebakiem, ale przy ostatnich chałupach pyrgnął z wozu. Niemcy strzelili za nimi dwa razy, ale już był mrok - szukaj tu dwu takich, co nurknęli w ogród.

We wsi Przytocznej Witek oddał całą swoją gażę, którą otrzymał za jedną dekadę - wszystkie sto dziesięć złotych, i mundury, swój i brata, za jakieś łachy cywilne. We wsi Adamowie Jędrzek mu na grypę chorował ku wielkiemu strachowi chłopców, bo Niemcy rozstrzelali uciekinierów z armii Kleeberga. Szli z półzdrowym Jędrkiem, księża bali się przyjmować ich na noc, chłopcy żądali kartek od sołtysa, wszystkie stodoły w Polsce zamknęły się przed nimi, to już nie była Polska walcząca, gdzie w każdej chałupie znajdował żołnierz z rozbitego oddziału pomoc i opiekę, to już była Polska, na którą padł groźny cień okupacji. Ci najbiedniejsi tylko ich przyjmowali, przechowywali i karmili.

ZNOWU POD BOLSZEVIKAMI

W Rejowcu dostają się na pociąg niemiecki, od Zawady idą piechotą na Rawę Ruską.

Pytają na wszystkie strony, czy kto nie słyszał o tym, że gdziekolwiek się biją wojska polskie. Ale nikt nie wie nic, ale już w kraju zagospodarowuje się żandarm i administracja, zginał już plecy chłop i daje podwody, wyrachowuje się z zapasów.

Więc postanawiają iść do rumuńskiej granicy, przedzierać się gdzieś we światy, szukać gdzieś przecie formujących się wojsk polskich. Jędrkowi znowu przybyło fantazji, a że wyzwała się stale spod supremacji brata, który jakoś nie chce uznać, że i brat jest podchorążym, tylko go wciąż traktuje jak młodszego pętaka - więc i teraz znalazł powód do sporów:

- Widzisz Witek, że dobrze zrobiłem, biorąc granaty ręczne. Jeśli będziemy przechodzić granicę, to paru kacapów stukniemy.

Witek wie, że Jędrzek dźwiga w plecaku pięć granatów i stale się o to irytuje. Rozumie, że taki bagaż, to w razie złapania wyrok śmierci. Ale mały jest czupurny i uparty i Witek nie może całkiem odzyskać dawnego autorytetu.

- Jędrzek, nie bądź głupi. Jak cię z granatami złapią, to fruniesz do lali.

- Co mnie mają złapać. Tyle widziałeś Moskali, co cię rozbroili pod Kamionką Strumiłową. A ja z nimi walczyłem.

(A to przecie tak niedawno, kiedy rodzice zaśmiewali się, jak się chłopaki kłóczyli: a ja mam Gwatemalę - a ja mam Honduras - Honduras ma każdy patałach - a Gwatemalę zbierają gęsi od Kowalczyków - Gęsi? - pęc w łeb - Patałach? - tanga w podbródek...)

Ale teraz temat jest zbyt ciekawy:

- Gdzieżeście pierwszy raz ich dopadli? - pyta Witek.

- Koło Włodawy. Od razu widzieliśmy, że dziady. Nasze szwadrony miały wtenczas jeszcze po dwadzieścia - trzydzieści lanc na szwadron. Jak tylko pokazały się czołgi, zaszarżował na nich szwadron z lancami i wziął wszystkie czternaście czołgów.

A nasz batalion morski... Otoczył czołg kołem na dwieście metrów.

Mogli z nas narobić mięsa. Tymczasem nie strzelali ani razu, wyskoczy-

157

li, komendanta wozu ustrzeliliśmy, kierowcę złapaliśmy, a ten kierowca krzyczy, że jest ziemia, co u nich znaczy krajan, że on nic nie winien, że tym wszystkim kierował ten swolocz zabity. Potem z nami się wszędzie włóczył, dali go do taborów, był wierny jak pies, kradł siano dla koni, przy kapitulacji porwał kasę i do lasu uciekł, a potem nienaruszoną odniósł. Nie, Witek, ty mi wierz, z nimi trzeba z góry, to świat przejdziemy. Oni lubią, jak na nich krzyżeć. Pamiętam, zaatakowaliśmy ich piechotę, która okopała się na brzegu lasu z kaemami. Rzucili od razu kaemy, uciekli w las, my za nimi; pozbierawszy kaemy, idziemy w las ze strachem Bożym, idziemy coraz głębiej, widzimy: na polanie Moska-

Ile równiutko postawili karabiny w kozły, obok rzędziem hełmy, ładownice, podchodzi do nas ich podoficer z papierkiem w ręku i melduje, ile się czego zdaje Polakom. Stypa!

- A wy kucia? - słyszą nagłe. Nie wiedzieli, że za Rawą Ruską znaleźli się już w strefie rosyjskiej.

- My na jarmark.

- A co tu niesiecie? - pyta patrol, wskazując na plecak z granatami.

- Jajka, masło - łże rozpaczliwie Jędrzek, co mu ślina na język przyniesie.

- Nu, ładno, stupajcie.

Ani słowa, że Jędrzek spisał się chwacko i sam Zagłoba by go pochwalił. Ale Zagłoba to nie Witek, który tylko czyha na to, aby się do czego przyczepić. Co mu tam powiedział żargonem żołnierskim, który w nim dojrzał przez ten miesiąc, jakie mu tam "opeer", nie będę powtarzał gwoili przyzwoitości publicznej. Jędrzek ugiął się ostatecznie i granaty w jakimś rowie zakopał.

Wreszcie doleźli do Sniatynia. Zwąchali się z miejscowymi, wywieździeli się o drogę na granicę i skoro się ściemniło - poszli.

Niedaleko granicy pokłócili się znowu. Jędrzek upierał się, że należy iść na lewo, on to wie dobrze, on jest marynarzem, on zna się na gwiazdach.

- Co tam zaiwaniasz o gwiazdach, kiedy ich nie widać. I co ty za marynarz. Podchorążym miałeś być dopiero 11 listopada i to jeszcze nie wiadomo, czy byś został z powodu żeś szczeniak. Gdyby nie wojna, wcale byś teraz nie był podchorążym. Marynarz!... Na gwiazdach się zna!...

Trafił Jędrka w najczulszy punkt:

-Skoczybruzda! Zajac!...

- Niech sobie skoczybruzda, ale piechota jest królową broni. Trzeba iść na prawo i co mi będziesz głowę zawracał. Marynarz!... oddaj pancernik...

To mówiąc, Witek kieruje się na prawo, Jędrzek uczepia się go za rękę-
158

kaw, poczyną ciągnąć na lewo i dostaje w zęby. I elegancko dostaje, bo z przeciętej wargi płynie krew. Poczyną "wyć" - jak mi relacjonował brat - i oświadczą, że podchorążym marynarki Rzeczypospolitej nie może darować takiej zniewagi nawet rodzonemu bratu, że mu bardzo przykro, ale nie mogą wspólnie przechodzić granicy, muszą się rozejść, a jeśli we Francji się spotkają, to Witek będzie się musiał pojedynkować. "Na szczęście" te krzyki i szarpaniny pod samą granicą zwabiają dwóch żołnierzy sowieckich. Nadbiegają z nastawionymi bagnetami i z sakramentalnym: kto idioty!

Rozgorączkowany klótnią Witek, który zawsze miał pretensje, że mówi po rosyjsku, jako że urodził się w Piotrogradzie i jako roczne dziecko przywieziony był do Polski, krzyczy:

- Śmierć na was!

- Śmierć na was- nie bardzo rozumiejąc powtarza Jędrzek, starając się nie uciąć koguta.

Efekt jest nieoczekiwany. Bo podczas, kiedy obaj bracia, wyrzuciwszy z siebie krwi żadne słowa, biorą nogi za pas i zgodnie pomykają nie na prawo po Wiekowemu, ani nie na lewo po Jędrkowemu, tylko na wprost za granicę, która "okazuje się być" o dwieście metrów - bolszewicy krzyczą: nie strelaj, towarzyszu! i uciekają w odwrotną stronę.

Padli za słupem granicznym z ciężko bijącymi sercami. Słup miał z jednej strony litery: RP, a z drugiej - R. Jędrzek miał jeszcze ochotę się klócić, że to nie jest właściwy słup graniczny, ale starszy brat przyciąg-

nał go do siebie i mocno ucałował w rozcięte usta.

Bracia wstali i poszli w noc.

'Kto idzie.

DZIECKO!...

Oto taką relację wysłuchałem pewnego dnia od Witka, który mnie odwiedził. Okazało się, że Jędrak już wyjechał i on okropnie się niepokoi, że "szczeniak sam może jakich głupstw narobić".

Przyrzekłem mu pomóc co mogę. I kiedy zabierał się do wyjścia, zapinając swoją za wielką kurtę, użaliłem się w sobie tej kurcie, tym grubym butom, temu rozstaniu się z bratem, tej ciężkiej doli, która padła na nich u wyjścia z dziecinnego wieku i zapytałem o rodzinę.

- Ojciec mój był majorem. Dostał trzy kule w brzuch w Prusach Wschodnich i nie żyje.

Wyrywał to twardym głosem i zabierał się do odejścia. Nie w smak mu snadź było mówić o tym. Może uważał to za swoją prywatną sprawę, skoro przez kilka godzin nie wspominał o tym. A może zamknął w sobie tę rzecz wysiłkiem woli, tak jeszcze dla siebie i dla tego młodszego, potrzebnej.

Ale ja go nie mogłem tak puścić.

- A matka? - spytałem.

Odwrocił się do okna, zmiatając coś z szyby.

- Matka - próbował rąbać tym samym zdecydowanym głosem.

Ale nagle odwrócił się do mnie, ujrzałem bolesne skrzywienie ust, podkówkę dziecinną:

- Mamusia.. mamusię i siostrzyczkę czternastoletnią...

- Co? - spytałem drętwiejąc.

- Zabiła bomba...

Pan podchorąży, dowódca z pierwszych linii, rozplakał się...

Kiedy wyszedł, słyszałem w korytarzu długo kroki jego ciężkich, wojskowych butów. Kiedy siedzę wieczorami sam, przypominam sobie Witka i Jędrka, myślę o dzieciach naszych, które ruszyły na rzeź, pierśmi swymi zasłaniając przeciw bestialstwu i zbrodni matki i siostry, które szarpały bomby.

Zdaje się, że te kroki potężnieją, że słyszę ich tysiące, że zmarli z grobów wstają, trawa polna rusza, drzewa suną, ziemia drży, powietrze huczy i dudni, młodość i nieustępliwość narasta i hartuje się, i myślą jestem przy dzieciach naszych, którym ziemia równa, niebronna - na wsze strony otwarta - nie poskapiła losu wszystkich omal w Polsce pokoleń.

160

WALKA

O POLSKIE NIEBO

OGÓLNE DANE

Samolot przestarzały jest przeznaczony na rzeź. Nie stać nas było na zmienianie co dwa lata całego lotnictwa. I tak w 1938 roku wydaliśmy na lotnictwo dwieście trzydzieści milionów, gdy w 1936- sto dwadzieścia milionów, a 1935 - sześćdziesiąt osiem milionów. Śmieszne to cyfry, jeśli się weźmie pod uwagę, że bezpośrednio po wybuchu wojny alianci zamówili w Ameryce sprzęt wojenny, przeważnie lotniczy, za jeden miliard funtów (dwadzieścia pięć miliardów złotych), ale tragiczne, jeśli się zważy, że całkowity budżet państwa polskiego nie przenosił dwu i pół miliarda złotych.

Budżet więc nasz lotniczy (jakże mały w stosunku do zadań i jak duży w stosunku do możliwości Polski) był użyty nie na wyprodukowanie jednorazowo samolotów, a na ciągłe kosztowne budowanie prototypów i postawienie fabryk, które w razie potrzeby mogły te prototy-

py masowo produkować. Wskutek tego mieliśmy maszyny świetne, chętnie nabywane przez obcych. Eksport sprzętu wojennego był poddyktowany następującymi względami. Fabryki broni, a więc i działek przeciwlotniczych, miały przydziały obstalunków. Za więcej wojsko by nie zapłaciło, bo budżety nie przewidywały większego wydatku niż w planie produkcji. Wobec tego fabryki wyjednywały pozwolenie na zwiększenie produkcji, uruchamiały dodatkowe zmiany robotników, a sumy osiągnięte ze sprzedaży za granicę pozwalały odpowiednio zwiększać dany dział produkcji na nasze potrzeby.

Z chwilą wybuchu wojny maszyny nasze były dobre, ale nieliczne. Choć może liczniejsze niż niejednego państwa, które wiele później od nas weszło do wojny i miało czas się przygotować.

Myśliwców pełnej klasy typu Pil mieliśmy z chwilą wybuchu wojny siedem dywizjonów po dwie eskadry, po dziesięć samolotów w eskadrze. Razem - sto czterdzieści. O pomocniczych czaplach, RXIII, wyłach, "erwudziakach", szkolnych maszynach itp., trudno mówić. Nie były przeznaczone do walki.

Było tych samolotów towarzyszących: sześć eskadr czapli, mających zadania obserwacyjne, rozporządzających szybkością dwustu kilometrów i sześć eskadr RXIII o szybkości stu trzydziestu kilometrów.

162

Kiedy wojna wybuchła, każda z pięciu armii otrzymała po jednym dywizjonie myśliwców (tzn. po dwie eskadry, czyli po dwadzieścia myśliwców), a Warszawa otrzymała pięć eskadr, to znaczy pięćdziesiąt myśliwców.

Bombowców czystej krwi, tzn. łosi, mieliśmy dwa dywizjony (dowodzone przez majora Weraksę i kapitana Cwynara), to znaczy czterdzieści sztuk. Był to bombowiec na owe czasy nie ustępujący pierwszorzędnym światowym bombowcom. Miał nośność dwu tysięcy kilogramów, szybkość trzystu sześćdziesięciu kilometrów, zasięg tysiąca kilometrów. Najcięższe bomby, jakimi rozporządzaliśmy, były trzystukilowe, ale były to "skorupy" przestarzałego typu. Dobre były bomby stu-, pięćdziesięcio- i dwunastokilowe, a poza tym kilowe "myszki" zapalające i elektronowe zapalające dwustugramówki. Uzbrojone były w trzy karabiny maszynowe. Łosie pod Piotrkowem opóźniły o dwa dni pochód niemiecki, bombardując niemieckie kolumny pancerne.

Karasie były samolotami dalekiego rozpoznania, które mogły być używane do bombardowania. Było ich dwa dywizjony (pod majorem Reszke i majorem Białym) i jedna eskadra samodzielna pod majorem Skibińskim. Karasie miały szybkość dwieście pięćdziesiąt kilometrów, obciążenie sześćset kilogramów, uzbrojenie - trzy karabiny maszynowe, obsadę: pilot, strzelec i obserwator.

Był to poroniony typ samolotu, odrzucony w Anglii, odrzucony we Francji, który powstał u nas jako prototyp w 1932 roku. Strasznie powolny, niezwrótny, mała lotność, wymagał dużych lotnisk.

W drodze było i nie doszło już sto pięćdziesiąt bombowców Ferrey Battie, sto francuskich myśliwców meran (po sześć karabinów maszynowych) i czternaście hurricanów po osiem karabinów maszynowych. W chwili wybuchu wojny Niemcy w ogóle posiadali trzy tysiące osiemset maszyn, w czym: tysiąc czterysta bombowców z lotu poziomego, dwieście nurkowców (w tym sławny condor), tysiąc myśliwców, dwieście maszyn rozpoznawczych i inne.

Bombowce były to dornieri o nośności tysiąc dwieście kilogramów, szybkości trzysta sześćdziesiąt kilometrów, i heinkle (które stanowiły gros bombardującego lotnictwa niemieckiego) o nośności tysiąc kilogramów i szybkości trzysta dwudziestu kilometrów.

Niemcy użyli w polskiej kampanii ośmuset bombowców.

Ich myśliwce były to dwuosobowe meserszmity o szybkości trzysta sześćdziesiąt kilometrów, przy czym typ cięższy miał sześć cekaemów i dwa działka 20 mm, a typ lżejszy cztery cekaemy i jedno działko 20 mm. Niemal wszystkie myśliwce były rzucone na Polskę.

Poza tym w Polsce pracowały rozpoznawcze niemieckie DO 17, o olbrzymim na tamte czasy zasięgu dwóch tysięcy kilometrów.

163

Słabe liczbą, lotnictwo usiłowało nadrobić pracą i przygotowaniem.

Po zajęciu Czechosłowacji wyszkolono w pilotażu tysiąc stu pilotów, w czym sześciuset podchorążych, reszta - podoficerowie. W największym punkcie szkolenia, w Dęblinie, z każdego z jego pięciu lotnisk co dzień odbywa się po tysiąc dwieście lotów. Zamiast jednej normalnej ekipy uczniów, cztery zmiany ćwiczą codziennie - ale obsługa i instruktorzy są ci sami dla wszystkich czterech zmian. Te same maszyny należy ciągle szykować. Pracują dwanaście godzin na dobę w tej odpowiedzialnej pracy - bez najmniejszego szemrania, z nie słabnącym zapalem. To dlatego mogliśmy po zakończeniu polskiej kampanii dać alianantom kontyngent lotniczy, nieproporcjonalnie duży w stosunku do posiadanego przez Polskę sprzętu. Szkoła podchorążych ze stu czterdziestu wzrosła do sześciuset. Ta najmłodsza broń miała już swoje tradycje - tradycje "zielonych wianków" (odznaka lotników latających bojowo w czasie wojny polsko-bolszewickiej). Maszerując na start śpiewali marsz lotniczy porucznika Latwisa (zabił się jako instruktor). Najstarszy rocznik przed promocją leciał do Warszawy złożyć wieniec przed pomnikiem lotnika. Ostatnia promocja odbyła się w polu, w dniu 5 września. Następnego dnia zginęło dwu spośród promowanych (zestrzelono wówczas pięć niemieckich maszyn).

BRYGADA OBRONY WARSZAWY

Serce kraju, siedziba Naczelnego Dowództwa - było bronione specjalnie silnie. Na dwieście dwadzieścia posiadanych przez Polskę działek przeciwlotniczych 40 mm (doskonałe, eksportowane przez nas do Holandii, Danii itp.) dla obrony Warszawy przeznaczono dwadzieścia cztery (sześć baterii), na osiemdziesiąt działek przeciwlotniczych ciężkich 75 mm, które dopiero zaczęły produkować Starachowice - Warszawy broniło czterdzieści osiem (dwanaście baterii). I na siedem dywizjonów myśliwców, mających obsłużyć cały obszerny front, aż dwa przeznaczono do obrony Warszawy.

Tą Brygadą Obrony Warszawy dowodził, znany z wielkiej dzielności w czasie wojny polsko-bolszewickiej, pułkownik Pawlikowski.

Ale i Niemcy doceniali znaczenie Warszawy. Skierowali na nią całą grupę "Condor", złożoną z lotników zaprawionych w walkach lotniczych w Hiszpanii.

Ludność, stłoczona po placach i ulicach Warszawy, widziała wysoko na niebie poruszające się sylwetki samolotów, których rozeznac nie mogła - swoi, czy obcy? Dziwiła się, że mimo pękających pocisków, żadna maszyna nie spada. Słyszała, że pono Niemcy zrzucili bomby gdzieś na Siekierkach. Nie rozumiała jeszcze, co znaczy nalot, czym powinno grozić kilkadziesiąt bombowców nieprzyjaciela nad miastem. Teraz wiemy, że była to zasługa naszych myśliwców. 2 wolna przedziera się mrok spraw, wówczas osłoniętych tajemnicą wojskową. Przez ten mrok widzimy lotników czarnych od smarów, popalonych, krwawiących, walczących do ostatniego tchu.

28 sierpnia lotnicy, którzy nie byli na służbie, zostali wyciągnięci z domów. Był alarm. Odszedł rzut kołowy tegoż dnia do Zielonki. Zasadzono tysiąc drzewek dla zamaskowania lotniska. Z ludności cywilnej

pomagał, kto tylko mógł.

30 sierpnia na lotnisko przylatują samoloty. Lotnicy otrzymują kwatery we wsi Kobylanka.

Walki nad Warszawą były gorączkowe i poplątane. Fragmenty tylko mogą ustalić.

Rano 1 września - alarm jeszcze za ciemna. Nawiązana łączność radiowa i telefoniczna z brygadą pościgową w Rembertowie. Na rozkaz obie eskadry wzbijają się w powietrze.

165

Lecą, jak zwykle, kluczami po trzy samoloty. Dowódca każdego klucza ma radiostację. Eskadra 111. ma kryptonim "Gustaw", eskadra 112. ma kryptonim "Marian", ziemia ma kryptonim "Jan".

Niebo jest podzielone na strefy, znaczone literami, i wycinki, znaczone cyframi. Każdy pilot ma 1:300 mapę Warszawy z czterema kręgami A-B-C-D, szerokości pięciu kilometrów każdy, i szesnaście szprych.

"Jan - tu Marian!..., Jan - tu Marian!..., Jan - tu Marian!..."

"Marian - tu Jan!... D4, D4, D4. Marian - tu Jan!... D4, D4, D4, D4, D4..."

Ledwo nabrali wysokości - ukazuje się kilkanaście samolotów niemieckich.

Lotnicy obserwujący z ziemi rzucają się do sylwetek, by ustalić typ.

Ale samoloty są za wysoko. Okazało się następnie, że były to dornier.

Lotnicy patrzący z ziemi, obserwują ze ściśniętym sercem przewagę Niemców w szybkości. Potem się wszystko kryje za chmury. Potem zza tych chmur, poczynają grać armatki. A więc niemieckie maszyny są uzbrojone w armatki! Nasze - nie!...

Nagle radosny okrzyk rozlega się na dole. W luce między chmurami ukazał się goniony dornier i wpadł na porucznika Okrzeję. Krótka seria - dornier się pali! Rozrywa się. Owiewka pilota spada na polską maszynę, tak, że ją porucznik Okrzeja przywiózł jako trofeum.

Ani jeden dornier nie rzucił bomby na Warszawę. Radosny powrót.

Obsługa roluje maszyny w krzaki, nalewa benzynę; po sześciu kwadransach są gotowe do nowej walki. Gorączkowo spożywany obiad.

Fragmentaryczne wiadomości. Porucznik Palusiński strącony. Kilka dornierów też. Nie doszli!...

O piątej - ponowny nalot. Nasze maszyny wzbijają się w powietrze. Jest ich już o kilka mniej (cięższe i lżejsze uszkodzenia).

Nad lotniskiem ukazuje się dwadzieścia kilka meserszmitów. Messerschmitt 110 wyposażony w dwa motory Daimler-Benz, ma wbudowane sześć karabinów maszynowych i dwie armaty. Szybkość zawrotna. Nim pilot polski zobaczy w lusterku, już Niemiec prześmignie. To eskadry "Condora" atakują naszych myśliwców. Okazuje się, że jest to trik, by związać polskie pościgowce po nieudanych porannych próbach bombardowania. Bo oto boki nad Warszawą przesmykuje się czterdzieści bombowców.

Wwiązani w walkę, nasi myśliwcy nie widzą tego. Rembertów radiuje: "Nad Warszawą bombowce!" Otrzymuje odpowiedź: "Zrozumiano!...". Lecą nad Warszawę z Niemcami na karku. Walki. Zestrzelony kapitan Sidorowicz, dowódca 111. eskadry. Ląduje w Gocławku w palącym się samolocie, ucieka na poparzonych nogach przed nacierającymi

166

lotem koszącym meserszmitami (zostawiony następnie w szpitalu w Chełmie).

Pr. Sz (w notatkach znalazłem tylko kryptonim) wyskakuje z rozbitej maszyny na spadochronie. Messerschmity obstąpiły i pluja w spadają-

cego i bezbronnego z karabinów maszynowych. Wbrew etyce lotniczej. Otrzymuje dziewiętnaście kul w nogi. Pułkownik Pawlikowski wobec tego nakazał również strzelać do niemieckich lotników, którzy opuścili maszyny.

W Rumunii już czytałem: Wir, deutsche Flieger, werden niemals die 31 fusilierten mit den Fallschirm in Luftnot abgesprungenen Kameraden unserer Luftwaffe vergessen! (Motor Schau, October-November 1939).

My- też...

Podpułkownik Pamuła, zastępca dowódcy Brygady Pościgowej, chociaż latać nie powinien, nie może wytrzymać. Właśnie z walki na chwilę przylatuje starszy żołnierz dla uzupełnienia benzyny. Podpułkownik Pamuła zabiera mu maszynę i leci. Otrzymałszy strzał armatni w bak, ląduje mocno poparzony.

Dowódca 112. eskadry kogutów, kapitan Opulski, przyjął walkę z pięcioma na raz maszynami. Dowódca III dyonu, kapitan Krasnodębski zaatakował koło Wawra dorniera, który mu zapalił maszynę. Kapitan Krasnodębski wyskakuje ze spadochronem na wysokości dwóch tysięcy metrów z popalonymi rękami i twarzą. Spadochron rozwija się, rozbił planuje wolno, a Niemiec wypuszcza w niego serię za serią. Oficer taktyczny dyonu, porucznik Cedrzyński pośpiesza z pomocą, strąca Niemca, osłania, krążąc wkoło spadającego, od atakujących meserszmitów i doprowadza szczęśliwie do ziemi.

Inny znowuż (znów nie pamiętam nazwiska), splanował w uszkodzonej maszynie na pole. Dwie niemieckie maszyny poszły w dół i szły z karabinów maszynowych tak, że kule szły nad nim i ryły koło niego. Ten miał łaźnię. Starszy szeregowiec Rozworski opowiadał mi, że kiedy przestrelono mu zbiornik, wrócił skąpany w oliwie od stóp do głów. Ale inni mi dopowiedzieli, że miał postrzeloną maszynę jak sito i rysę od kuli na haubie.

Ofiarność personelu technicznego osiąga najwyższe napięcie. Bez kolacji pracują całą noc, starając się co można przygotować do jutrzejszej walki.

Na drugi dzień już o trzeciej w nocy wszyscy są na nogach, 113. eskadra jest w alarmie od świtu.

'My, lotnicy niemieccy, nigdy nie zapomnimy trzydziestu jeden kolegów rozstrzelanych w czasie zeskakiwania ze spadochronem.

167

Niedaleko tego sprokurowanego dopiero przed trzema dniami lotniska, które tak pięknie zamaskowało tysiąc drzewek - spostrzegają na roli wydeptane wielkie koło z krzyżem na poprzek. Kto wie, jak ostra jest widoczność z samolotu, z którego na wysokości sześciu tysięcy metrów widać doskonale na ziemi oddzielne kretowiska, ten zrozumie, że był to krzyż śmierci, którym szpiedzy zaznaczyli stanowisko naszych eskadr. Takie same wydeptane koło znalazła eskadra lotnicza w dniu 14 września, wydeptane pod boki swego lotniska w Denysowie.

Tego dnia w IV dyonie przecięto druty telegraficzne...

...Dorniery ukazują się koło dziewiątej rano. Wynika rozsiana walka na dużej przestrzeni.

Koło czwartej po południu - znów nalot. Podporucznik Janicki (z którym uciekłem od bolszewików i nocą przeszliśmy Dniestr) zapala samolot niemiecki. Niemiec ratuje się spadochronem, ale spadochron zaczepia o maszynę. Wijąc się na dyndającej linie, wygląda w swoim kombinezonie jak poczwarka na pajęczynie. Leci w przepaść.

Porucznikowi Feryciowi na wysokości trzecich tysięcy metrów odstrzelono drążek sterowy, koziołkuje, wyskakuje dopiero na wysokości pięciuset metrów.

W pewnej chwili pojawia się nad samym lotniskiem dornier, zniżając się na jakie dwadzieścia metrów do lotu koszącego. Jeśli się go nie zniszczy - lotnisko będzie rozkonspirowane. Idący z izby chorych doktor, porucznik K., chwyta za ręczny karabin. Tymczasem Niemiec już ostrzelał lotnisko i wyciął świecę. Ale już ma na piętach Pil. To porucznik Januszewicz. Dopadł Niemca na wskos, od prawego płata dał serię, buchnął z dorniera ogień. Z ziemi zagrzmiało polskie: "Hurra!", ale zmiękło, bo Niemiec gaśnicą zgasił ogień i znowu zeszedł do lotu koszącego. Gdy wyciągał, dostał nową serię. Buchnął spod obu skrzydeł dym, dornier spadł w lesie, nad którym długo stał kłęb czarnego dymu. Ciężki jest wieczór po tym dniu. 2 dwudziestu dwu maszyn pozostało trzynaście.

Przynoszą buty i ekwipunek strąconego przez porucznika Cedrzyńskiego pułkownika Hinske. Masło, biskopki z kminkiem, konserwy... Z luksusem wojują. I tylu ich jest!

Nasze spracowane pozostałe jedenaście maszynek, stoi zrolowane w zagajach. Ile z nich ubędzie jutro?

Ale nazajutrz już dywizjon przenosi się do Zaborowa. Czterdzieści samochodów dywizjonu przesuwają się nocą przez milczącą i zaciemnioną Warszawę.

3 września o godzinie pół do siódmej ujrzeli chmurę nadciągających bombowców. Szło pięćdziesiąt maszyn niemieckich. Pułapem na czterech tysiącach metrów ciągnęły samoloty pościgowo-bombardujące, 168

dwuosobowe i dwumotorowe. Nad nimi o jakie pięćset metrów, eskortujące maszyny myśliwskie, jednoosobowe meserszmity. Tę całą chmurę ujrzeli Rozworski, patrolując w dwie maszyny (na drugiej jego komendant, porucznik Cedrzyński).

Porucznik Cedrzyński dał znak - coś mieli, biedaki, robić - rzucili się na ostatnią trójkę. Zaraz przy tym pierwszym ataku zbiornik począł mu się palić, podczas kiedy napastnicy ginęli w chmurach, ciągnąc na Warszawę. To wówczas porucznik Okrzeja rzucił się na nich - w oczach patrzących z lotniska, samolot niemiecki postrzelił go z działka tak, że Okrzei skrzydło odleciało. Zakręciła się jego maszyna bezwładna, wpadła na maszynę podchorążego Nowakowskiego, obie wpadły w korkociąg; Okrzeja został zabity na miejscu, Nowakowskiego wyciągnięto z rozbitej maszyny z przetrąconym kręgosłupem.

Na czwarty dzień - znów walki dywizjonu od szóstej rano. Porucznik Januszewicz zestrzelił takiego "najlepszego", dwuosobowego, dwuarmatowego meserszmity BF 110. Zameldował, że Niemiec siadł, że pędzili do niego chłopci. Zaraz pojechał chorąży M. i znalazł trupa majora Hamesa, dowódcy dywizjonu "Condora" i pobitego przez chłopów strzelca sierżanta Steffensa.

- Żebyście jeszcze mieli szybkość - mówi Steffens - to nie mogliśmy z wami walczyć.

Na piąty dzień rozpoczyna się koło lotniska ciąg uciekinierów spod Mławy. Nie jest to pocieszający dla żołnierza widok. O półtora kilometra, w Palmirach wysadzili Niemcy składy amunicyjne. Prąd powietrza uderzył w lotnisko.

Znów przez lotnisko przewijają się junkers. Zakurzył się grunt od pocisków. Znów uderza w niego tenże porucznik Januszewicz. Wzniesli się w górę. Strzelają. "W pewnej chwili widzi porucznik Januszewicz, że wykończył strzelca w niemieckiej maszynie. Zachodzi ją z boku. Pilot niemiecki jest bezbronny - może strzelać tylko w przód. Salutuje polski samolot. Porucznik Januszewicz odsalutowuje i daje ręką znak lądowania. Niemiec kręci głową odmownie. Nie ma czasu - meserszmity

jako szybszy, umknie. Seria. Niemiec siada. Widać biegnące do jego maszyny figurki cywili.

Zapada zmierzch, ostyga uniesienie bojowe. Znowu mniej maszyn!

Na rżysku leży samolot, który wracał uszkodzony z walki i rozbił się lądując. Ta biedna jedenastka kopci samotnie w zachodzącym słońcu.

Drogą ciągnie nieprzerwany sznur uciekinierów.

Co wieczór lotnicy oglądają niebo. A nuż się schmurzy, pułap się zniży, artyleria przeciwlotnicza pomoże... Ale niebo jest czyste, jasne i wysokie. Po suchej ziemi unoszą się kłęby kurzu. Zęby nie zatrzcć maszyn... Jeszcze latają na remonty na Okęcie.

169

Następnego dnia przychodzi rozkaz: sześć samolotów wystać na "wymiatanie" na front. Dowództwo nad wyprawą obejmuje porucznik pilot Ł. Spotkali kilka junkersów, zestrzelili dwa. Załogę tego drugiego już za spadochronach. To za zestrzelonego porucznika Sz.

Wieczorem dowództwo dywizjonu jedzie na odprawę do brygady, która przeniosła się na Okęcie. Na chodniku, twarzami do ziemi, z powiązanymi w tył rękoma - leżą dywersanci.

A potem - od 6 września poczynając - przesuwanie się na wschód.

Najpierw pod Lublin, podczas gdy mniej potrzebny sprzęt z młodszymi podoficerami przesunięto pod Otwock. Samoloty niemieckie latają już swobodnie i nisko nad okolicami Warszawy. Wtedy ci podoficerowie biorą ze strąconego meserszmka zapalającą amunicję i strącają takiego pewnego siebie dorniera.

Przed południem 8 września nasz patrol stwierdził, że idzie wyprawa bombowa. Porucznik Łapkowski gonił postrzelonego dorniera aż pod Sandomierz, gdzie go wreszcie wykończył, ale sam miał postrzeloną maszynę; z wyciekającą oliwą ledwo dopchał się na prawy brzeg Wisły.

Co dzień latają. Teraz ich używają dla lotów rozpoznawczych. 2 dwudziestu dwóch maszyn dywizjonu zostało "poharatanych" siedem.

17 września cały personel latający jest skierowany do Kut - dla przeszkolenia się na maszynach angielskich, które mają przybyć. Przeszkolenie na tych maszynach istotnie odbyli. Tylko nie w Kutach.

LOTNICTWO W ARMII

GENERAŁA BORTNOWSKIEGO

Tam, na armię Bortnowskiego poszło wściekle uderzenie armii generała Kluge od granicy pomorskiej, armii generała Kuchlera od Prus Wschodnich.

Od pierwszego dnia wojny powstało na tym terenie ogromne zamieszanie. Od Chojnic naciskana jest brygada kawalerii generała Grzmota-Skotnickiego, od północy Dywizja 27. (generał Drapella); z prawej strony Wisły, generał Bołtuć, mając pod sobą 16. i 4. Dywizje Piechoty, robi szerokie skoki i nie daje się ogarnąć. Na zachód od Bydgoszczy od świtu pierwszego dnia poszło na naszą 9. Dywizję Piechoty uderzenie jednej dywizji pancernej, jednej lekkiej i dwóch zwykłych dywizji piechoty niemieckiej. Zmiotli naszą 9. Dywizję i powstał popłoch. Na drugi dzień uderzenie miało pójść na 9. i 15. dp. Za tymi dywizjami, pod Toruniem, mieściło się dowództwo armii. A przy nim, w Gniewkowie - dywizjon myśliwski, jedyny, jaki posiadała armia.

O jego dziejach będziemy mówić.

Most pod Fordonem został wysadzony o świcie 2 września bombą tysiąckilową.

Most pod Grudziądzem wysadziliśmy tegoż dnia sami, o ósmej rano, za wcześnie, bo na lewym brzegu została 27. Dywizja Piechoty,

resztki 9. dp oraz brygada kawalerii.

Marszałek Śmigły, informowany o sytuacji, rozmawiając przewodem bezpośrednim z generałem Bortnowskim, mówi: - Trzymaj się. Pomogę ci wstrzymać kolumny niemieckie bombowcami.

Ale karasie, jak zobaczymy w następnym opowiadaniu, zostały skierowane na Częstochowę.

Wówczas... ów dywizjon myśliwski otrzymuje rozkaz - uderzenia na broń pancerną.

Dowódca dywizjonu, kapitan Laskowski, postanowił uderzyć na broń pancerną z jedną eskadrą, powierzając drugiej eskadrze, pod dowództwem kapitana Leśniewskiego, ubezpieczenie.

Jakoż istotnie, eskadra ubezpieczająca natknęła się na silną formację bombowców, lecącą atakować przejścia na Wiśle. Dwadzieścia jeden maszyn niemieckich leciało w zwartym zespole. Nad nimi o pięćset metrów wyżej leciało pozostałych osiem maszyn.

171

Kapitan Leśniewski skierował swoją eskadrę (siedem samolotów) na dolne maszyny, a sam poleciał przeciw górnym ośmiu. Wpakował się z góry na pierwszego z brzegu Niemca, kiedy inny mu się począł podbierać pod ogon.

- Co u licha, bombowce atakują myśliwca? - spytał sam siebie kapitan i w tej chwili poznał straszną prawdę: miał przed sobą nie żadne myśliwce, tylko osiem straszliwych dwuosobowych, uzbrojonych w działa meserszmitów¹. Ale nic już nie pozostawało, jak tylko walka.

Wiedział, że meserszmity są szybsze, więc nie umknie. Za to nasze Pil - zwrotniejsze. Przewinął się na wznak, zatoczył kołem pod ogon

Niemca i - spuścił go pięknie na ziemię. Zabawił się trochę tym spadającym, pilotując go dla pewności do ziemi, wraca - a tu Niemcy zrobili wianuszek, tzw. karuzelę: jeżdżą po niebie w kółko, pilnując jeden drugiemu ogona. Kapitan jednak nabrał apetytu: podjechał do karuzeli i rąbnął drugiego "leserszmity".

Jego eskadra sprawiła się pięknie. Jeden klucz poszedł na dornierzy, drugi na junkersy. Porucznik P. strącił dwie maszyny niemieckie, porucznik S. również dwie, podchorąży P. - jedną maszynę.

Siedem maszyn niemieckich strącono bez jednej straty z naszej strony! Promieniejący, wracają na lotnisko. Co by to było, gdybyśmy mieli te dwudziestkiczwórki, których setkę sprzedaliśmy Turkom! Miały po cztery kaemy i czterysta dwadzieścia kilometrów szybkości. Gdy wybuchła wojna, nie mieliśmy ani jednej takiej maszyny.

Teraz wracają koledzy z tamtej eskadry. Spełnili szalone zadanie, pukali z karabinów maszynowych w pancerną kolumnę, gęsto poprzesiawaną z armatkami przeciwlotniczymi. Stracili trzy maszyny. Poległ dowódca kapitan Laskowski, poległ porucznik Urban, poległ kapral Mielczyński. Na dobitkę złego atakowały ich meserszmity. Kapitan Laskowski dwa sprzątnął, trzeci go dostał... zostawił czteroletniego chłopca i roczną dziewczynkę: tę parę nad życie kochał i stale o nich mówił.

Następnego dnia Niemcy postanowili wziąć odwet. O zmierzchu (był to 3 września) dwadzieścia meserszmitów ukazało się nad lotniskiem dywizjonu w Lipie. Ale źle trafili. Dywizjon akurat wracał z "wymiatania" i był cały w powietrzu. Dowodzi, po śmierci kapitana Laskowskiego, kapitan R.

Zawrzała chaotyczna walka na różnych wysokościach od trzech tysięcy pięciuset do stu metrów. Jak nisko czasem walczone dowodzi na meserszmity wówczas miały szybkość trzystu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Typ cięższy był uzbrojony w sześć karabinów maszynowych i dwa działa 20 mm, lżejszy, również dwuosobowy - w cztery karabiny maszynowe i jedno działko

20 mm. Polski myśliwiec Pil kapitana Leśniewskiego był jednoosobowy, miał szybkość trzystu kilometrów, żadnego działka i tylko dwa karabiny maszynowe.

172

stepujący fakt: szef mechaników 141. eskadry, majster wojskowy Nawrót, obserwując walkę, wychylił głowę zza drzewa, dostał serię, padł z czaszką odciętą w połowie, jakby kto nożem przeciął kawon.

Rezultat: spadły cztery meserszmity. Porucznik P. strącił dwa, łącznie z wczorajszymi dwoma miał już na rozkładzie czterech Niemców w trzecim dniu wojny. Ale kiedy jego samolot splanował po walce na lotnisko, zbiegli się wszyscy oglądać rzecz niebywałą: cały samolot było to jedno truchło; miał osiemdziesiąt przestrzelin.

Porucznik S. strącił jedną maszynę w tej walce, dwie we wczorajszej i jednego heinkla w pierwszym dniu wojny: miał więc też czterech Niemców na rozkładzie.

Porucznik W. gonił dwa samoloty, zdążył postrzelić jeden z nich, widział, że Niemiec siadł, dążył za nim, sam musiał się wskutek defektu: obiegli go chłopci, nim się wylegitymował, Niemiec poprawił defekt i uciekł.

W tej walce nad lotniskiem straciliśmy jeden samolot. Wracał z pościgu za zmierzchu i w ferworze walki postrzeliliśmy go sami.

W następne dni - już źle jest z armią i lotnicy otrzymują zadanie osłony przegrupowań. W czasie tych dni, 6 września, kapitan Leśniewski zestrzelił dalsze dwa meserszmity. Ale go trafił meserszmit z armatki w ramię, samolot jego zapalił się, Leśniewski poparzony śmiertelnie wylądował wprawdzie, ale zmarł w szpitalu.

LOTNICTWO W ARMII

GENERAŁA KUTRZEBY

Opowiadanie to zawdzięczam przede wszystkim dowódcy lotnictwa w armii generała Kutrzeby, pułkownikowi dyplomowanemu. Stanisławowi Kuźmińskiemu. Pułkownik Kuźmiński, pochodzący z Kowieńszczyzny, eks-Dowborczyk, już jako polski oficer dyplomowany ukończył politechnikę lotniczą w Paryżu.

20 sierpnia 1939 roku pułkownik Kuźmiński kończy pod Kutami podróż taktyczną z Wyższą Szkołą Wojenną. Podróż ta odbywała się w gorączce, w podnieceniu, w oczekiwaniu, że łań dzień zostaną wezwani do działań bojowych.

Można też sobie wyobrazić z jakim zainteresowaniem zasiadał, na drugi już dzień po ukończeniu podróży, do stołu obrad Komisji Regulaminowej pod przewodnictwem marszałka Smigłego-Rydzia. Konferencja jednak, trwająca sześć godzin, w najmniejszej mierze nie poruszała ewentualności wojny.

- W ciągu jakiego czasu pan generał mógłby opracować dodatkowo regulamin wojny górskiej? - spytał marszałek generała Piskora po sześciogodzinnej krytyce przecinków.

- W ciągu sześciu tygodni.

- Wystarczy dwa miesiące.

Pułkownik Kuźmiński miał wreszcie dostatecznie miarodajną opinię:

- Wojny nie będzie - oświadczył żonie, powróciwszy z komisji.

Nazajutrz, 22 sierpnia, zostaje mianowany dowódcą lotnictwa Armii "Poznań".

Kiedy 28 sierpnia zjeżdża dla objęcia funkcji, zastaje na lotnisku w Ławicy sto dwadzieścia samolotów.

Cyfra ta jednak przy bliższym przyjrzeniu się wygląda opłakanie:

Dyon myśliwski - dwadzieścia jeden maszyn Pil plus dwa łącznikowe RWD;

Eskadra liniowa - dziesięć karasi plus dwa RWD;
Dwa plutony czapli po trzy maszyny plus dwa RWD;
Eskadra towarzysząca - dwa plutony R XIII po trzy maszyny plus
dwa RWD;

174

Pluton łącznikowy - trzy RWD.

Poza tym eskadry treningowe, klubowe, zapasy parkowe itd.

Z tego wszystkiego więc maszyn bojowych dwadzieścia jeden w pełnym znaczeniu tego słowa.

To zbiorowisko samolotów na dobrze znanym Niemcom lotnisku korci nowego dowódcę. Na wszelkie jednak jego przedstawienia, aby samoloty zabrać. Naczelne Dowództwo odpowiada:

- Nie wolno zdradzać przed czasem lotnisk alarmowych.

Dopiero 31 sierpnia lotnisko w Ławicy zostaje ewakuowane, by następnego dnia zostać zerżnięte gruntownie przez bombardowanie niemieckie.

Zastawiona zasadzka nasza, złożona z trzech samolotów, zestrzeliła w pierwszym dniu wojny pierwszy samolot niemiecki - heinkla.

Karasie - jakie są, takie są - poleciały nad terytorium niemieckie, kosząc idące wojska z wysokości dwudziestu metrów.

Ich koledzy w ciągu tegoż pierwszego dnia zestrzelili dwa meserszmity.

My mamy dwa samoloty uszkodzone - obydwie nie przez Niemców. Jeden rozbił przy lądowaniu ranny kapitan Zaremba, drugi nad Inowrocławiem zestrzeliła własna artyleria. Samolot lądował bez statecznika - na szczęście bez ofiar w ludziach.

Przychodzi rozkaz marszałka Śmigłego-Rydza "do rąk własnych dowódcy lotnictwa Armii Poznańskiej". Rozkaz pozwala bombardować tylko widoczne i stwierdzone jednostki nieprzyjaciela. Nie wolno bombardować nieprzyjaciela w czasie przemarszu przez wioskę.

Drugiego dnia wojny zostają zastawione dwie zasadzki na miejscu prawdopodobnego ciągu Niemców: pod Kaliszem i pod Gnieznem.

Niemcy tracą dwa heinkle, jednego henszla 126 i dwa dornierzy.

My - jeden samolot uszkodzony przy lądowaniu.

A więc i w Armii Poznańskiej widzimy to samo zjawisko, co i w innych armiach w pierwszych dniach wojny: pomimo ogromnej przewagi niemieckiej, wszędzie zadajemy im znacznie większe straty. Przyczyna, jak i gdzie indziej: "nadprzeszkolony" personel oraz większa zwrotność naszych myśliwców, okupiona większą powolnością.

Trzeciego dnia wojny już ma wpływ niemożność odnawiania załóg, remontu maszyn, paniki wobec niemieckiego lotnictwa naszych oddziałów, ostrzeliwujących każdy samolot.

R XIII, uszkodzony, kołkiem zatykający zbiornik - wreszcie widzi własne lotnisko. Własna kawaleria ostrzeliwuje go zajadle przy lądowa-

175

niu; zestrzelony i zabity porucznik Grochowski, zabity kapral Stęgieński, ciężko ranny podporucznik Sobczak.

Od strzałów niemieckich ginie nasz karaś wraz z porucznikiem Sławomirskim, kapralem Rulikowskim, kapralem Wywierkowskim; ranny - porucznik Dybczak.

Niebo grzmi niemieckimi maszynami, po szosach pędzą oszalałe tabory; jak zmartwiałe stoją na lotnisku w Izbicy pod wiśniami ze złożonymi skrzydłami nasze "erwudziaki". Cóż zrobią?

Nagle na to lotnisko wjeżdża zabłocona, utylana, sfatygowana karetka PKO z Gniezna z kilku woźnymi.

Biedaki mają wielki frasunek - wiozą milion dwieście tysięcy zło-

tych, trzęsąc się ze strachu na bombowanych szosach, nie odstępując skarbu, szukając, komu by go oddać.

Przydało się generałowi Kutrzebie, bo jego sztab był bez pieniędzy.

Kazał wypłacić woźnym tysiąc dwieście złotych renumeracji.

Wkoło się biją, a ta jego armia wisi wobec pustki. Armia Poznańska liczy 14., 25., 28. i 17. odwodowe dywizje piechoty, Wielkopolską Brygadę Kawalerii i dużo baonów obrony narodowej. Przed sobą gdzieś pod Zbąszynem ma pono jakąś kompanię landszturmu. Niemcy skierowali cały wysiłek na okrążający ruch kleszczowy. Gdyby Kutrzeba gdziekolwiek się ruszył - na północ z pomocą Bortnowskiemu czy na południe z pomocą Rómmłowi, zawsze byłoby lepiej, niż ta beczyność.

W tym trzecim dniu wojny generał Kutrzeba prosi generała Stachewicza o pozwolenie uderzenia na tyły Blaskowitza, który już jest pod Łodzią - ale bez rezultatu.

Na czwarty dzień wojny już jest jasne, że armie Łódzka i Pomorska są pobite. Armia Poznańska przegrupowuje się na umocnioną linię obrony od Jeziora Żnińskiego wzdłuż górnego biegu Warty. Nacisk lotniczy, dla którego przegrupowywanie armii nieprzyjacielskiej jest gratką, wzrasta. Koło, Konin, Kutno ulegają ciężkiemu bombardowaniu. Lotnictwo nasze wydaje z siebie ostatni wysiłek. Maszyny się ścierają z dnia na dzień w zastraszającym tempie i odwrotnie proporcjonalnie, z godziny na godzinę, doskonałą się obsługi. Kompania lotniskowa, złożona z samych rezerwistów, już w tym czwartym dniu wojny składa się ze świetnych żołnierzy, radzących sobie znakomicie. Lotnicy też nabierają doświadczenia. Kapitan Jastrzębski, pogromca junkersa w drugim dniu wojny, zapędził się bez amunicji i meserszmity go zestrzeliły. Wiedząc, że Niemcy strzelają do ratujących się lotników, mimo że spadł z wysokości trzech tysięcy metrów, otworzył spadochron dopiero na pięćsetnym metrze. Niemcy rzucili się go dostrzelić zbyt późno.

176

Dnia tego zestrzelono dwa heinkle i jednego henszla.

W piątym dniu wojny czekają z niecierpliwością na samolot wysłany wczoraj do armii Rómmła w rejonie Łodzi. Szło o nawiązanie łączności, o to, aby połączyć wszystkie nadwątlone dywizjony lotnicze, działając w ten sposób z jednego punktu na rzecz wszystkich trzech armii. Kiedy samolot nie wraca, samochód wysłany z oficerem na poszukiwania znajduje zwęglone jego szczątki, a obok trupy obu lotników, zabitych ręcznym granatem. W środku naszych ugrupowań! Zapewne samolot w ciemności wylądował, by zorientować się w terenie i wykończyli go dywersanci.

Szóstego dnia wojny przychodzi rozkaz odwrotu na Warszawę.

- Panie marszałku - łączy się generał Kutrzeba ze Smigłym-Rydzem. Rozmowa jest gorączkowa, już zarzucono kryptonimy. Warszawa czy Łódź!? Przy tych miastach wiszą jeszcze ich kryptonimy i rozmowa pełna jest "Syreny" i "Bawełny".

- Panie marszałku, brama "Syreny" może być zamknięta - dowodzi generał Kutrzeba; chce wciąż uderzać na Koło-Konin, na Blaskowitza idącego na Łódź-Skierniewice-Warsawę.

Kapitan Jastrzębski, nie zrażony przedwczorajszą przygodą, do straconego junkersa przyłącza w tym dniu heinkla 111; kaprale Matuszak i Zerkowski strącają po domierzę, strącamy też junkersa.

Ale zwłaszcza karasie nie mogą się obronić. Niemcy spuścili jeden w płomieniach, przy czym spalili się porucznik Górecki i kapral Pingot, zestrzelili drugi, przy czym zostali zabici podporucznik Wejman i kapral Wilczyński. W tym dniu też zostaje ranny podporucznik Gedymin.

Pozostaje już tylko szesnaście samolotów. Szansę walki lotniczej coraz mniejsze. Od dowódcy lotnictwa, generała Ujejskiego przychodzi rozkaz - wycofać wszystkie zdolne do ewakuacji maszyny na lotnisko ewakuacyjne za Lublin.

To znaczy - porzucić w ostatniej opresji skrwawione, rażone z nieba przez Niemców, tulące się po laskach i zagajach, wojska.

Pułkownik Kuźmiński wie, że w wyniku rozmów z Naczelnym Dowództwem koncepcja zostaje zmieniona, że przed pójściem na Warszawę armia uderzy na południe i że bez, choćby jakiego takiego, lotnictwa będzie bardzo ciężko.

- Staszku - nie mogę...

- No, to stracimy kontakt. Ja wyjeżdżam na Brześć. Będziesz radził sam...

Pułkownik Kuźmiński odchodzi od aparatu jak skazaniec, któremu wskazano wolną drogę - drogę do Rumunii, stojącą otworem.

177

Siódmego dnia wojny na 25. Dywizję w okolicach Koła dokonuje nalotu dywizjon niemieckiego lotnictwa szturmującego. Niemcy atakują bardzo brawurowo, latając nad samymi drzewami, nie licząc się zapewne z tym, że mamy obronę przeciwlotniczą. Tymczasem ta obrona strąca pięć niemieckich samolotów. 25. Dywizja walczy pod Uniejowem; kolumna pancerna niemiecka uderza na Łęczycę, na nasze tyły; nie ma jej czym bombardować; rzucona na nią zostaje... Wielkopolska Brygada Kawalerii generała Abrahama.

Wszystkie rozporządzalne jednostki pelot grupuje się dla obrony Kutna; bateria dwudziałowa pelot fabryki Cegielskiego, kierowana przez jednego z inżynierów tej fabryki, która w pierwszym dniu w Poznaniu spisała się strącając dwa samoloty - uciekła na wschód, na Rumunię.

Lotniska są coraz gorsze; uszkodzone przy lądowaniu cztery samoloty; w tych warunkach uszkodzony samolot, to samolot wycofany z obiegu; coraz ciśniej...

A jednak porucznik Wiszniewski utracił junkersa, a kapral Jasiński meserszmita.

Ósmy dzień wojny. Rozkaz: "Na śniadanie do Wierzbickiego". W tym kleconym naprędcie szyfrze oznacza to Radom, do którego się jeździło na śniadanka w renomowanej restauracji Wierzbickiego.

Pięść uderzająca Armii Poznańskiej - to dywizje 14., 17., 25. Lewe skrzydło osłania Wielkopolska Brygada, prawe - generał Skotnicki, który przyszedł z niedobitkami szwadronów z armii generała Bortnowskiego i objął Podolską Brygadę Kawalerii.

Kawaleria jest więcej czuła na ataki lotnictwa, niż piechota. Generał Skotnicki otrzymał baterię czterdziestek i dwie kompanie cekaemów przeciwlotniczych na wozach. Przebił się na Zgierz, Uderza generał Knoll.

Dziewiąty dzień wojny. Rozpoczyna się dobrze zmontowane natarcie. Przed Armią Poznańską 30. Dywizja Niemiecka, niemal starta przez generała Knolla.

Lotnictwo ujawnia 201. Niemiecką Dywizję Rezerwową, idącą z zachodu przez Uniejów. Pułkownik Kuźmiński błaga o bombowce - na próżno. W rozpacz - rzuca... dywizjon myśliwski majora Mumlera; myśliwce nasze latają nad nieprzyjacielem lotem koszącym - tak tylko rozpacz może latać - zapalają kilkanaście samochodów, wstrzymują pochód dywizji na dwadzieścia cztery godziny. Wyjątkowy wypadek w dziejach lotnictwa myśliwskiego. Dywizjon Mumlera traci tylko jeden

178

samolot. Ale już z tymi stratami samolotów, to jak z wydawaniem ostatniego grosza.

Natarcie bierze dwa tysiące jeńców. Nastrój podniesiony.

Dziesiątego dnia pomyślna kontynuacja natarcia. Pobici Niemcy wycofali się, ewakuowali już nawet Łęczycę. Tymczasem wieczorem przychodzi rozkaz: "przerwać natarcie, oderwać się, wrócić na podstawy wyjściowe pod Łęczycą".

Sytuacja się zmienia. Niemieckie lotnictwo napiera na wycofującą się armię. Karasie nie mogą przedostać się poza niemiecką zasłonę, myśliwce muszą pełnić służbę wywiadowczą. Wprawdzie i dziś zestrzelone dwa meserszmity przez podporuczników Bibrowicza i Grzybowskiego, podczas kiedy my tracimy jednego Pil, ale ileż już tych maszyn zostało...

Armia Poznańska jest odcięta od Warszawy. Na przedpolu Bzury buszują czołgi. Armia Poznańska jest sama...

Dnia jedenastego marsz na "Syrenę". Bortnowski, który się przebił z resztkami, podporządkowany Rómmłowi, osłania prawe skrzydło.

W tym ciągłym przechodzeniu oddziałów różnych armii, w tym zamieszaniu, obfity plon zbiera dywersja. Złapanego w czasie lądowania niemieckiego spadochroniarza wita dowódca plutonu żandarmerii kordialnym: "Serwus!". Spadochroniarz jest kapralem 69. pp, który zdezerterował na rok przed wojną. Zostaje rozstrzelany na miejscu.

Dnia dwunastego sztab armii znajduje się na północ od Kutna. Ukazuje się nad nim krążący henszel. Już przeznaliśmy te metody: taki samotnik jest wysyłany na wabia; mając łączność z zasadzką, ściąga natychmiast niemieckie myśliwce.

Pułkownik Kuźmiński bez większej nadziei usiłuje połączyć się z odległym o dwadzieścia kilometrów dywizjonem. Jakimś cudem "Tadeusz" od razu łączy z "Witoldem", ten z kimś znowuż i pułkownik niemal natychmiast słyszy w słuchawce:

- Tu major Mumler.

To właśnie dowódca dywizjonu.

- Panie majorze, henszel nad nami na wysokości dwu tysięcy metrów. Przyślijcie pojedynczego lotnika, żeby zerznął.

- To ja sam...

Po pięciu minutach słychać ryk silnika. Major Mumler podszedł Niemca od ogona i dał seryjkę - najwyżej dziesięć strzałów. Niemiec pali się - wyskakuje dwu spadochroniarzy. Mumler pikuje za nimi, kiedy ukazuje się pięć meserszmitów. Mumler czmychnął, lotnicy niemieccy splanowali o trzy kroki od posterunku żandarmerii.

179

Zażywny kapitan rezerwy, adwokat z cywila, kładzie na stół kod lotniczy.

- Może pan kapitan to zatrzymać - mówi badający oficer - my to mamy.

- Skąd?

- Każdy z was jest obładowany wszelkimi niezbędnymi materiałami; wiemy tyle o was, ile wy sami. A więc pan kapitan jest z eskadry 6-A. Z lotniska w Wodzisławiu. Stoją na nim trzydzieści dwa heinkle. O!

- notes? To już ciekawsze. Popatrzemy... Jest pan kapitan zmobilizowany od 15 sierpnia? Lotnisko w Brieg? O, to coś ciekawego: "Wrzesień. Lotnisko pod Wieluniem. Dziś byłem u pp. Jeż. na obiedzie. Doskonały obiad".

- Tak - wtrąca badany kapitan - to wasz poseł. Mówił, że w Polsce będzie zmiana rządu. Wybierał się z delegacją do Berlina. I w tym dniu dwunastym wojny strącamy jeszcze heinkla i dwa henszle.

Dnia trzynastego już nie ma przestrzeni. Otoczeni. Z lotniskami coraz trudniej. Pod Płockiem Niemcy przeszli Wisłę - nam na tyły. Między Łowiczem i Warszawą ujawnione dwie dywizje niemieckie. Samoloty myśliwskie muszą już z reguły pełnić służbę rozpoznawczą. Jeśli się zapędzą pod Warszawę, to w nich z reguły strzela własna przeciwlotnicza.

Czternasty dzień. Nareszcie się coś wykluwa. Z Łowicza na Skierniewice ma iść natarcie Bortnowskiego...

Eskadra towarzysząca Bortnowskiemu melduje: "Ze Skierniewic na Łowicz idzie kolumna samochodów na kilkanaście kilometrów długości".

ci".

Dowództwo uważa, że to czołgi. Rozpoczęte natarcie przerwano.

Piętnasty dzień. Piekło bombardowania naszych tyłów. Potłamszone w dzień wojsko, nocą przegrupowuje się z Kutna na Bzurę. Przecież jednak ta Armia Poznańska jeszcze nie pobita, jeszcze przedstawia wielki aktyw. Z rejonu Sochaczewa mamy podjąć natarcie na Warszawę. Tył osłania generał Skotnicki i jedenaście baonów Obrony Narodowej generała Karaszewicza-Tokarzewskiego. Prawe skrzydło osłania generał Bortnowski z 14., 16. i 36. Dywizją. Dywizje 14., 15. i 25. mają wąskim klinem uderzyć na Warszawę.

16 września. Wojska mają wieczorem zająć pozycje wyjściowe nad Bzurą.

180

Pada deszcz.

Pułap niski.

Generał Kutrzeba daje rozkaz lotnictwu:

- Ostrzelić.

A tu już tylko cztery samoloty myśliwskie do rozporządzenia.

Cóż robić... Latają... Latają bez przeszkód - Niemcy nie mają ochoty wylatywać w taką pogodę.

Major Mumler telefonuje z lotniska pod Loszynem:

- Samoloty skryliśmy przy lotnisku w lesie; po lotnisku jeżdżą trzy niemieckie czołgi.

Po godzinie telefonuje:

- Odjechali...

Maskowanie na ogół było doskonałe. Przez całą tę krótką wojnę Niemcy nie zbombardowali ani jednego lotniska Armii Poznańskiej. W eskadrze liniowej już tylko dwa karasie.

Armia Poznańska ściśnięta. "W niektórych miejscach teren jej pozostawiony nie przenosi dziesięciu kilometrów szerokości.

. - Tym silniej się rozprężymy - mówią oficerowie.

Z tych rześkich przeduderzeniowych nastrojów pułkownik Kuźmiński, przyjeżdżając tego dnia wieczorem do sztabu armii, trafia na nastrój ponury. Świece, palące się w butelkach, rzucają długie cienie, ludzie snują się jak mary.

- Czego się martwią? - myśli pułkownik - Jutro będziemy w Błoniu, pojutrze w Warszawie.

Oczekując rzuca wzrokiem przez ramię piszącego na maszynie podoficera. Dębieje: podoficer pisze rozkaz przerwania bitwy i przejścia do Puszczy Kampinoskiej.

Pułkownik Kuźmiński biegnie do szefa sztabu, pułkownika Lityńskiego;

- Zginiemy tam bez żywności i nawet bez wody...

- Taki rozkaz...

- Proszę zameldować mnie do generała!...

- Nie przyjmuje nikogo...

- A cóż z lotnictwem? Przecie... Przecie szóstego września na własną rękę zostałem... wbrew rozkazowi... A teraz... A tu w rozkazie nic o lotnictwie... Lotniska pod ogniem artylerii. W puszczy na bagnach i drzewach nie mogą lądować...

Wzruszenie ramion. I znowu: "rozkaz..."

Telefonów do miejsc postoju samolotów nie ma. Pułkownik tłucze się po nocy od jednostki do jednostki z rozkazem ostatnim: "Wymon-tować radia, siadać po dwóch na PZ 11. Lecieć za Lublin..."

Ale ani sam pułkownik Kuźmiński ani jego sztab nie korzysta z po-181

wietrznej ewakuacji. Formują się w oddział sześćdziesięciu lotników. Jeszcze i tu, na ziemi, zewsząd strzelają własni koledzy do siwych mundurów, biorąc ich za Niemców. Ale ci, co rozeznają, dołączają, radzi, że mają dowódcę. Oddziałek lotniczy zanim doszedł do Bzury, doszedł do pięciuset ludzi. Patrzą dowódcy w oczy, czują się żołnierzami.

Ale lotnictwa Armii Poznańskiej - już nie ma...

LOTNICTWO W ARMII

GENERAŁA SZYLINGA

Przy tej armii też był jeden dywizjon myśliwców oraz dwie eskadry samolotów "towarzyszących", nie nadających się do walki. (Jedna eskadra czapli z szybkością stu dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę i jedna eskadra R XIII z szybkością... aż stu czterdziestu kilometrów).

Dowódca lotnictwa w armii generała Szylinga kłopotuje się bardzo, że samoloty stoją na eksponowanym lotnisku. Ale ruszyć samoloty z lotniska podstawowego miałby prawo tylko na rozkaz, o który się upominał bez skutku. Na odprawie 31 sierpnia coś go tknęło - kazał natychmiast się wynosić z lotniska. Rozkaz taki nadpłynął następnie w nocy Hughesem, ale wówczas już by było za późno.

I września dowódca lotnictwa zostaje wezwany do telefonu. Otrzymuje rozkaz udania się niezwłocznie do sztabu. Gdy idzie ulicą, słyszy obcy dźwięk motorów. Ukazuje się dziewięć dornierów, za nimi już podążają nasi myśliwcy. Nim doszedł do dowództwa - już je obrzucili bombami. Bomba pada koło pomnika Grunwaldzkiego. Czyżby pamiętali o tym? Pogruchołali samochody sparkowane za sztabem armii, zniszczyli na lotnisku w Rakowicach czternaście szkolnych maszyn.

Ale myśliwców, znajdujących się na nowym lotnisku, nie wygnietli! Poszły one w powietrze na spotkanie gości. Ostatni startuje dowódca dywizjonu, kapitan Medwecki. Wówczas już pierwsze maszyny niemieckie wracały, lecąc wzdłuż toru kolejowego. Zobaczywszy samolot polski zapuszczający motor, wkleili mu serię. Kapitan Medwecki zostaje ciężko ranny w krzyż, niemniej jednak startuje, wzbija się wysoko, tam w powietrzu kona i spada w korkociągu.

Była to jedyna strata w myśliwcach armii generała Szylinga w tym pierwszym dniu wojny. W nalocie uczestniczyło dwadzieścia kilka maszyn niemieckich, z czego dwie zostały strącone przez nasze myśliwce i dwie - przez naszą artylerię przeciwlotniczą.

Przez pierwsze trzy dni lotnictwo nasze trzyma się dobrze i odpiera naloty. Trzeciego dnia dywizjon niemieckich bombowców natknął się na nasze samoloty w powietrzu, zawrócił, wyrzucił bomby na Pustynię Błędowską. Ciągłe nam brakowało jakichś stu dziesięciu kilometrów szybkości. Trzeba się było zasadzać, by przecinać Niemcom drogę na wskos. Jeden z podoficerów strącił dorniera nad Pustynią Błędowską,

183

ale musiał osiąść, bo walka go złapała po długim patrolowaniu i nie miał benzyny. Posłano mu benzynę "erwudziakiem". Wystartował, ale wi-

'dzi, że mu benzyny ubywa. Okazało się, że ma przestrzelony bak. Rozpoczyna drugie lądowanie, gdy ukazują się Niemcy. Daje gaz, podciąga maszynę, strąca następnego Niemca.

Plutony towarzyszące - to istni bohaterowie. Nie uzbrojeni - walili na rozpoznanie. Wyginęli prawie wszyscy.

W trzecim dniu wojny 24. eskadra liniowa karasi, która też była przy armii Szylinga, ustaliła wielkie zmasowanie jednostek pancernych niemieckich na cyplu pod Nowym Targiem. Okazuje się, że są tam zmasowane trzy dywizje. Dowódca lotnictwa domaga się namiętnie łosi, ale ich nie dostaje (nie trafiłem na żadne szczegóły użycia w minionej wojnie tego świetnego polskiego bombowca). Dwukrotnie posyła na bombardowanie swoje karasie. Jednego z nich traci.

W nocy z trzeciego na czwarty dzień wojny ma miejsce dramatyczna rozmowa telefoniczna między dowódcą lotnictwa i szefem lotnictwa armii generała Szylinga. Szef lotnictwa przeraża się, otrzymawszy rozkaz opuszczenia armii z wszystkimi samolotami.

W tak tragicznej sytuacji, w jakiej znajduje się armia, kiedy ma przechodzić Wisłę, zostawić ją bez samolotów, to znaczy zrobić ją ślepą!... Ale rozkaz jest rozkazem. Więc tylko z niedobitków eskadr towarzyszących kleci i zostawia generałowi Szylingowi eskadrę pod majorem P. z rozkazem odejścia, gdy będą mieli resztki benzyny, do generała Fabrycego.

Major P. osobiście prowadził rozpoznanie na R XIII na czterdzieści kilometrów w głąb niemieckich ugrupowań; lądował pod ostrzałem wojsk niemieckich.

Te meldunki zorientowały Szylinga i wyszedł z krakowskiego "worka".

Tymczasem myśliwcy przenoszą się, w myśl rozkazu, na zbombardowane lotnisko Ułęż pod Dęblinem. Orientują się, że są na szlaku ciągów niemieckich na Lublin, Chełm itd. Te ciągi mają swoje pory dnia niczym ciągi słońce i nasi lotnicy zastawiają na nie zasadzki. W ten sposób zestrzelili szesnaście maszyn niemieckich, tracąc swoich pięć. Wówczas ginie dowódca eskadry 122, porucznik Sędziewski. Walka zwycięska dla niego odbywała się w oczach załogi gruntowej; poszedł w pościgu za uciekającymi Niemcami i nie wrócił.

Druga eskadra dywizjonu (24.), przydzielona do Naczelnego Dowództwa, nawiązuje łączność z armią generała Kutrzeby, dokonuje 184

niezmiernie dalekich rozpoznań, z których powraca na resztkach benzyny-

Zaczyna się formować armia generała Piskora. Dywizjon przenosi się za Lublin. Co wieczór dowódca pyta miasteczka w krąg: "co słychać?".

- Były czołgi w rynku, była bitwa - odpowiada 12 września z jednego z miasteczek głos telefonistki.

- Proszę połączyć z komendantem policji.

- Policji już nie ma.

- I pani tak spokojnie siedzi przy telefonie?

- To mój obowiązek - odpowiada spokojny głos. .

Kiedy dywizjon zostaje odcięty szczypcami niemieckimi od swego niedoszłego szefa, generała Piskora, ona obsługuje go rozpoznaniem, dowozi meldunki i rozkazy na podchwytywacze. Informuje generała Piskora, że zostaje on otaczany.

Dywizjon stale puchł w ilości maszyn. Przychodził na rozbite lotniska, kleił resztki, ściągał niedobitki. Zmienił dziewiętnaście lotnisk, maskując się tak, że ani razu nie został wytropiony.

Ale i na niego przyszedł koniec - za granicą.

DZIEJE DYWIZJONU KARASI

Te dzieje będą dotyczyły dywizjonu dowodzonego przez majora Peszke.

Dywizjon ów składał się z dwu eskadr, przed wojną stacjonowanych we Lwowie i noszących numery 64. i 65. W czasie wojny eskadry otrzymały numerację 4. i 5. eskadry bombowej. Dowódcą 4. eskadry był kapitan pilot Maciej Piotrowski, dowódcą 5. eskadry kapitan pilot Mieczysław Pronaszko.

PRZYGOTOWANIA

Już 23 sierpnia jest pierwszy alarm, lotnikom nie wolno opuszczać mieszkań. 24 sierpnia jest alarm w pułku. Załogi nie opuszczają do wieczora rozstawionych bojowo po lotnisku samolotów. Na wieczór połowa składu jest zwolniona z rozkazem stawienia się o czwartej rano. Tak już jest aż do końca - cały dzień wszyscy w komplecie, a przez noc połowa.

26 sierpnia odszedł pod dowództwem kapitana Gaździka, oficera taktycznego dywizjonu, rzut kołowy. Lotnictwo zwykle przenosi się dwoma rzutami: tabory wcześniej, rzutem kołowym i samoloty za nimi rzutem powietrznym.

Rzut odszedł w nie znanym nikomu kierunku.

31 sierpnia przylatuje z Warszawy samolotem, dowódca dywizjonu, major Peszke z rozkazem wystartowania w ciągu półtorej godziny. Liczono się z możliwością napadu niemieckiego już tegoż samego dnia i założono ładowniki na karabiny maszynowe.

Nad Nosowem, koło Białej Podlaskiej, eskadry poczęły krążyć, szukając bojowego lotniska. Był to bowiem łan koniczyny pod lasem, niczym się nie zdradzający. Opowiadania, że Niemcy w pierwszym dniu wojny wydusili nam wszystkie maszyny, mijają się z prawdą. Maszyny zarówno bombowe, jak pościgowe, wojna zastała na takich prowizorycznych, bojowych lotniskach, świetnie zamaskowane. Jest to zasługa w pierwszej kolejności generała Ujejskiego - dowodzącego lotnictwem w czasie wojny.

Dopiero splanowawszy ujrzeli lotnicy swój rzut kołowy, umiejętnie zamaskowany w lesie. Powciągawszy maszyny tyłem do lasu, udali się

186

do dworu państwa Wężyków, gdzie mieli kwaterę na słomie w hallu i w jadalnym. Pałac był pomieściwy, dwór zasobny, stajnie wyścigowe. Oficerowie uważali sobie za sukces ten nocleg, bo im dziedzice proponowali czworaki. Wreszcie ułożono się z właścicielami co do kosztów utrzymania i komu pozwolono na to, ten poszedł spać.

Rano następnego dnia obudził ich warkot samolotów. Warkot obcych motorów rozeznąć jest bardzo łatwo. Nim wyskoczyli przed dom, już posłyszeli detonacje. To była bombardowana PWS1 - fabryka samolotów w Białej.

Tak zameldowała się wojna 4. i 5. eskadrze karasi.

W mig stanęły załogi przy maszynach, podwieszono bomby. Nie miały biedaczyny-bombowce na osłonę ani artylerii przeciwlotniczej, ani kolegów-myśliwców.

Ale dobrze zamaskowani, zajęli lotnisko w przededniu - wróg ich ani nie wyspiegował, ani nie dojrzał.

Ukryci w lesie, obserwują bezsilnie jak po południu przeciąga ponownie kilka eskadr bombowców niemieckich i wykańczają Białą. Tak się rozzuchwalili, że niebawem przyleciał pojedynczy wywiadowca i latał nad dworcem w Białej na wysokości stu pięćdziesięciu metrów, burczał jak trzmiel, co ma sięć na kwiat, coś wypatrywał i poleciał.

Taki dzień, przeczekany beczynn timer, to wielka próba nerwów.

BOMBARDUJEMY BRON PANCERNĄ

Drugiego dnia kapitan Gaździk odbiera telefon; dzwoni dowódca brygady lotniczej pułkownik Heller.

W chwili, kiedy ma się zacząć rozmowa, kapitan Gaździk słyszy nalot motorów i głucho trzy eksplozje bomb w stronie lotniska. Meldując pośpiesznie, przerywa rozmowę, biegnie sprawdzić, okazuje się, że to latające na Białą bombowce spostrzegły widać coś podejrzanego i rzuciły trzy bomby tytułem próby.

Jeden z pocisków upadł koło składu naszych bomb tak, że z jednej z nich odłamek urwał brzechwę, inny niedaleko cysterny z benzyną. Jeden kapral został ranny. Wzburzyli się w sobie na taki bierny chrzest bojowy.

Kapitan Gaździk biegnie do przerwanego telefonu i otrzymuje pierwsze zadanie bojowe.

Dowództwo nasze ma awizowane dwie kolumny broni pancernej,

1 [Red.:] Podlaska Wytwórnia Samolotów.

187

które ciągną na Częstochowę. Jedna z Lublińca przez Kłobuck, druga z Lublińca przez Kłomnicę.

Dywizjon karasi ma niezwłocznie dokonać przelotu i zbombardować te kolumny z pułapu czterystu metrów.

Naturalnie, że to jest bardzo niebezpieczny pułap. Czołgi niemieckie są gęsto przesiane autami z działami dwudziestomilimetrowymi przeciwlotniczymi. Takie działko na czterysta metrów wali w samolot, jak myśliwy z dubeltówki w podrzuconą czapkę. Niżej już nie można kazać bombardować, bo dla karasia, wybitnie niezwrotnego, niebezpiecznie jest schodzić poniżej czterystu metrów. 2 lotu koszącego też rzucać nie mogą, bo nasze lotnictwo nie ma bomb z zapalnikami z opóźnieniem, a bomba bez takiego zapalnika, opuszczona z nisko lecącego samolotu, może uszkodzić maszynę. Wybrano więc najniższy jaki można pułap, dając maksimum szans na celność naszego bombardowania. To wszystko obracał sobie w głowie oficer taktyczny, biegnąc podać rozkazy, ale bractwo lotnicze nad tym się nie zastanawiało. W mig stanęły załogi przy maszynach; ci, którzy mieli zostać, wprasali się, mimo dyscypliny. Czy mam pisać o poruczniku, który się rozplakał na wiadomość, że nie polecą? Łzy to zaszczytne, ale nie wymienię jego nazwiska. Jednemu podchorążemu Szumeldzie się udało, bo dowódca batalionu, lecący jako obserwator wziął dowódcę eskadry piątej, kapitana Pronaszkę, na pilota. Szumelda w te więc przesunięcia wskoczył, poleciał - i zginął.

Dwie eskadry po dziewięć bombowców uniosły się w powietrze.

Uniosły się jak Bóg da - samemu majorowi strasznie pilno było już lecieć - zbiórka i uszykowanie się w klucze była naznaczona nad Międzyrzeczem.

Karasz - polska maszyna bombowa, nośność sześćset kilogramów, szybkość dwieście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, dwa karabiny maszynowe ma pilot (celuje nimi, pochylając odpowiednio kadłub), jeden z tyłu ma strzelec, na dole kolebka z przezroczystego materiału, w którą się kładzie obserwator (on też jest komendantem samolotu), kiedy ma rzucać bomby; obserwator ma też jeden karabin maszynowy.

Karasz z punktu przyjęli nasi lotnicy bez entuzjazmu. Jako maszyny nowoczesne, miały ogromne obciążenie w stosunku do powierzchni nośnej (sto czterdzieści kg na metr kwadratowy, podczas gdy używane przedtem u nas potęzy miały sześćdziesiąt kg). Na takiej maszynie na wysokości czterystu metrów żadnych figlów wyprawiać nie było moż-

na. Nim się nauczyli jako tako zwalczać wady karasi, niejeden to życiem przytłacił.

Pokotowało się osiemnaście maszyn w powietrzu - już lecą pięknie dwoma eskadrami po trzy klucze, w każdym po trzy samoloty. Lecą

ciężko. Każdy ma podwieszonych osiem bomb pięćdziesięciokilowych i pełny bak benzyny. Przelot ogromny - czterysta kilometrów w prostej linii, tam i z powrotem osiemset kilometrów bez lądowania. Tymczasem zasięg karasia wynosi dziewięćset kilometrów. Ileż odejdzie na zmiany wysokości, wiráže, samo bombardowanie... Daj Boże dolecieć bez lądowania na rodzime lotnisko.

Nad Radomiem, nad lasami, w których są schowane nasze składy amunicji, dostają się we "wspaniały" ogień... polskiej artylerii przeciwlotniczej. Tu się też przysłużyła tajemnica wojskowa. Zamknięte w żelaznych skrzyniach leżały profile naszych samolotów i nie pozwolono z nimi zaznajamiać wojska.

Wzięli wyżej, ale za późno: porucznik Modrzewski zleciał.

Leci dale) pięć kluczów trójkowych i jedna dwójka, okulała przez stratę Modrzewskiego. Już Częstochowa. Jest zasnuta dymami od pozarów, które w kilku miejscach płoną. W dymach otwierają się okna, przez które widać płomień. Co to? Koło skrzydeł samolotów, między kluczami, jak wstążki, ukazują się kolorowe smugi. To ktoś - swoi, czy może już obcy - bić poczyną w dywizjon z karabinów maszynowych smugowymi pociskami. Rzekłbyś: ziemia zarzuca samoloty różnokolorowymi serpentynami w tym krwawym karnawale. Strzałów z dołu nie słyhać, ale słyhać raz po raz trzask pocisku o skrzydło.

Wyszli znad Częstochowy, wyszli z ognia. Dowódca poszedł w dół, na nakazane czterysta metrów, w dół poszło za nim siedemnaście bombardowców. Mignęły nasze okopy, widać od Kłobucka szlaki kurzu długości piętnastu kilometrów. To tam ciągną Niemcy...

Obserwatorzy już zeszli do kołysek i przywarli do ich przejrzystego dna. Piloci, ze słuchawkami telefonu, łączącego z obserwatorem, na uszach, trzymają aksamitne dłonie na sterach. Maszyny, jakby były końmi bojowymi, kładą się w powietrzu równiutko, zdaje się, że same

1 Ogień własny był tragedią naszego lotnictwa.
- 3 września - opowiada podchorąży II baterii przeciwlotniczej - przybiegają rozgorączkowani żołnierze: "Panie poruczniku! Jest!... Pali się!..." Udajemy się do

działa. "To ja..., to ja" - chwalą się jeden przez drugiego. Jedziemy do strąconego sa-

molotu: spadł na Mościce. Przy zwęglonym trupie znajdujemy legitymację: porucznik

Moidzień z 3. Pułku Lidzkiego.

-Kto!?...

- Tamten...

- Piechota też strzelała z kaemów...

- Wyleciał na trzy niemieckie, nagle zza lasu...

... obiad jedzą w ciszy i przygnębieniu.

Takich wypadków było wiele.

189

przeczuwają cel, na który się idzie. Dwa światelka - czerwone, zielone, czerwone, zielone - zapalają się i gasną; to obserwator daje znak, czy maszyna ma iść w prawo, czy w lewo - widzi tylko w przód. Jest niby hoplita, uwięziony w swoim uzbrojeniu. Obca mu rozkosz oglądania skutków bombardowania - potem się dowie.

Z samolotu dowódcy oderwała się pierwsza bomba i poszła w dół.

Poszły w ruch dźwigi po kołyskach. W dole w szalonym pędzie przewija się taśma z czołgami, z wozami ciężarowymi, ładowanymi piechotą. Bomba - wydaje się najprzód, że ucieka do tyłu, potem leci równo z samolotem; obserwator ma ją wciąż w polu widzenia, jest tylko coraz mniejsza. Wreszcie robi się tam w dole ciemno (słup dymu, rozrzut ziemi) i nie widać nic.

Kapitan Jaklewicz ma szczęście. Rąbnął w sam środek samochodu ciężarowego ładowanego mannschaftem jak śledziami i widział jak spod ciemnej plamy figurki ludzkie, z innych wozów zapewne, biegną w pole.

Wyrzucili, przelecieli; ci, którzy mają jeszcze nie wszystkie wyrzuczone bomby, zawracają i jeszcze raz lecą nad ciągnącą kolumną. Są amatorzy, którzy sobie smakowali ten proceder, przymierzali się, wyrzucili w pierwszym przelocie po jednej bombie - ci zawracają po raz drugi i po raz trzeci.

Dwudziestomilimetrówki niemieckie zaczynają grać, ale tego przecie przez szum motorów nie słyhać. Piloci, zamknięci przy swoich sterach, kierowani tylko światłkami jak termity wewnątrz kopców muskaniem różków, teraz - kiedy już maszyny wyrzuciły ze siebie ładunek śmierci - wpadają w szal. Schodzą w dół, pochylają swoje karasie, koszą Niemców z karabinów maszynowych.

Nie ma już mowy o komendzie, o jakimś szyku, każdy działa na własną rękę.

Wzniósł się major Peszke - widzi: z osiem, dwanaście maszyn "chodzą" nad Niemcami w dole, widzi jedną, że już się pali na ziemi, inną, że wpadła w korkociąg i spada.

Jedna z maszyn wyrывa w bok, pod las. To zapalony pilot, kapral Baranowski, prowadzący JUŻ pozbawioną bomb maszynę, ujrzał pod lasem niemiecką artylerię. Fastryguje ją z niziutka z karabinu maszynowego. Widać konie wspinające się dęba, wywracające się armaty, drobne figurki ludzkie. Jęczące w las. Hola! Hola... panie Baranowski - karaś nie jest nastosowany do lotu nurkowego, bo trudno go jest potem wyprostować, skręcisz łeb, panie kapralu Baranowski - gdzie tam! - cztery razy zawraca i praży, konie zerwane z uprzęży, ganiają po polu, śmierć panuje na dole, obserwatorzy dopadli swoich karabinów maszynowych, strzelcy w wieżyczkach z tyłu czyhają na momenty, kiedy piloci wy-

190

równywuja maszyny i koszą seriami - drżą pudła samolotów od tych strzałów, od huku motorów, od wibrującej, zda się, z załóg woli zwycięstwa, rwą w skrzydłach dziury wielkości jabłka pociski dwudziestomilimetrówek.

Jeszcze jakieś maszyny polskie lecą w dół i jeszcze jakieś - dobrze, że już i piloci i strzelcy i obserwatorzy wystrzelali całą amunicję.

Jeden za drugim odlatują bombowce - wyzbyte bomb, wyzbyte amunicji, wyzbyte znacznej części benzyny.

Czy dociągną na lotnisko?

Po drodze - puści i rozbrojeni - muszą oglądać Dęblin, nad którym ciężko pracują bombowce niemieckie. Przelatując o kilka kilometrów, widzą raz po raz w dole, w Dęblinie, wybuchy ognia. To płonie, to niszczy, to w gruzach idzie ich lotnicza stolica.

Wreszcie, już ostatkiem benzyny, dobija pierwsza maszyna na lotnisko w Nosowie. O wiele jednak wcześniej przyleciał tam... porucznik Modrzewski. Otoczyli go koledzy, poczęli pytać, jak poszło bombardowanie, mruknął tam coś, trudno od niego było czegoś sensownego się dowiedzieć i poszedł na kwatere.

Dopiero wiele później zatoczył koło nad lotniskiem pierwszy karaś.

Rzucił się personel podtrzymywać skrzydła, pomagać przy lądowaniu. W chwilę potem ukazał się następny i tak co pewien odstęp czasu lądowali jeden za drugim.

Z samolotów wychodzili lotnicy jakby pijani, jakby odurzeni dy-mem bitewnym, wyżyci z wszystkich sił, z wypiekami na twarzy, ocię-zali, obojętni. Osiemset kilometrów w prostej linii, obstrzał przez włas-ne wojska, piekielny taniec nad dwudziestomilimetrowkami, straty ko-legów, które oglądali, bezsilne obserwowanie pogromu Dębłina, pięć godzin poza ziemią i piętnaście minut poza życiem.

Rozumieją to ci, którym nie dane było uczestniczyć w tym locie.

Oglądają maszyny, podziurawione jak sita. Kapitan Pronaszko, który tak jak i wielu innych, doleciał już na zapasowym zbiorniku, znosi przy lądowaniu podwozie, które było tak postrzelano, że się załamało.

Kto wróci jeszcze, kto wróci?

Rekordowcy: kapitan Jaklewicz z pilotem Baranowskim przynoszą w maszynie dwadzieścia cztery przestrzelmy.

Kto wróci jeszcze, kto wróci?

Znowu jakiś karaś zatacza krąg, już roluje, już go podchwycili pod skrzydła. Strzelec, dziewiętnastoletni chłopak wysiada, oczy ma błędne, pokazuje na maszynę. Tam- trup obserwatora, porucznika Nów ackiego. Kiedy kładł się do kołyski, dostał dwie kule w piersi. Strzelec spełził do kołyski, odsunął ciało, wyrzucił wszystkie bomby, wystrzelał cały ładunek amunicji z karabinu maszynowego zmarłego, wrócił na swoje 191

miejsce, wystrzelał swoją amunicję. Ale teraz, wylądowawszy, dostał spazmów.

Kto wróci jeszcze, kto wróci?

Zmierzch już ciągnie. Kontury sosen majaczą na czerwonym niebie. Cicha jest ziemia naokoło i ciche jest niebo. Nie wróciło osiem załóg. Na kolacji we dworze nie ma rozmów ani śmiechu. Właściciele już wyjechali, ochmistrzyni, jakieś kobiety gospodarujące nie śmieją pytać o nic, krzątają się w milczeniu. Niewiele mówią ze sobą lotnicy. Szczupły, śniady kapitan Pronaszko liczy: cztery maszyny nie wróciły, jedna na lotnisku rozbita, w eskadrze zostało cztery maszyny, to jest drugi dzień wojny... Kapitan Pronaszko wie, że znikąd nie dopełnią mu maszyn, bo ich nie ma.

Dowódca drugiej eskadry, kapitan Piotrowski, nic nie oblicza. Nie ma go. Nie wrócił.

Zapadają w sen ciężki, niespokojny. Koledzy, którzy dziś nie lecieli, słyszą słowa bez związku i okrzyki.

Nazajutrz jednak dociągają pozostałe maszyny. Okazało się, że czte-ry spadły na terytorium zajęty przez Niemców, a cztery w pasie mię-dzy Niemcami i Polakami, lub w głębi naszych dyslokacji.

Te straty naszych karasi w równej mierze może sobie przypisać ar-mia niemiecka, jak i polska. To polska piechota strąca samolot poruczni-ka Brzeskiego. Ranny w głowę pilot Sobczak ląduje, ranny jest zresztą i pilot Okciński, który dostał cztery pociski w ramię, ranny w pierś i ko-mendant samolotu, porucznik Brzeski. Kiedy po przymusowym wylą-dowaniu unosi się, aby dać znak, że to swoi, polska piechota go dobija.

Dowódca jednej z dwu eskadr dokonujących nalotu, kapitan Pio-trowski, strącony przez własną piechotę, ale na szczęście nie ranny. Jeden z samolotów, prowadzony przez kaprała Leszka, osiadł na lot-nisku w Lublinie. W czasie krążenia nad kolumną nieprzyjacielską kula z karabinu maszynowego wbiła dosłownie Leszkowi zegarek w kiść dłoni. Pomimo to jeszcze raz nawrócił, aby dać obserwatorowi moż-ność wyrzucenia wszystkich bomb, doprowadził samolot aż do lotniska

w Radomiu, okrutnie pokancerowanego przez leje, na którym pomimo to szczęśliwie wylądował i poszedł wprost z maszyny na stół operacyjny, gdzie mu amputowano rękę.

192

ROZEZNANIA

A cóż to było z porucznikiem Modrzewskim, który musiał lądować w drodze na Radom? Okazało się, że strzały naszej artylerii przeciwlotniczej przebiły mu silnik, że zdołał uszkodzenie naprawić i dlatego wrócił wiele wcześniej przed powrotem eskadry. Major Peszke zirytował się, że zataił to, że nie uczestniczył w bombardowaniu i sklął go. Dowódca był impetyk.

Na ten trzeci dzień wojny, kiedy od rana lotnisko karasi przeżywa emocje, przyjmując dociągające maszyny, które w zeszłym dniu musiały lądować po drodze z powodu braku benzyny - jest poza tym cicho. Niemcy już w ciągu poprzednich dni wykończyli Białą, jej fabrykę samolotów, jej warsztaty, za to samolot, który wykrył lotnisko, rzucając trzy bomby, został podobno w powrotnej drodze przez naszych zniszczony - więc dywizjon ma spokój.

Mimo to następnego dnia, to znaczy czwartego dnia wojny, przenosi się na lotnisko pod Sokołowem w rejonie Siedlec.

Teraz poczynają "rąbać" odległe o czterdzieści kilometrów Siedlce.

Opowiadał mi jeden z oficerów, posłanych przez dywizjon do Siedlec, jak dwadzieścia kilka bombowców niemieckich przyleciało robić porządek z Siedlcami, kiedy był odległy od nich o kilometr. Przeczekał tam atak w rowie i wjechał do miasta pełnego trupów i jęku. Mówił o oszalałej z rozpacz kobiecie, która biegła z trupem czteroletniej dziewczynki na rękach i głos mu się załamał. Drugi lotnik siedzący przy stole (rzecz się działa w restauracji) zakapał nagle wielkimi ciężkimi łzami na obrus: "Całą rodzinę mi wymordowali!...". Lotnik pierwszy nabrał tchu w płuca:

- Kiedy przypominam sobie tę matkę, przysięgam sobie: niech dają rozkazy, jakie chcą - sześć bomb wyrzucę na wskazany cel, a dwie - na miasta otwarte...

Rozpacz mówi przez tych ludzi. Ale Polak zawsze w gębie groźniejszy.

Nad stacją koło Sokołowa też pewnego dnia ukazało się siedem bombowców i wyprawiły sądny dzień. Ze stacji poczęły dolatywać niesamowite ryki o tak niskiej wibracji, o takim natężeniu, że żołnierze bledli słuchając.

- Panie poruczniku - mówi do jednego z oficerów major Peszke

- tam się cuda dzieją. Jedź pan zobaczyć, co to takiego.

Porucznik pojechał i stwierdził, że na stacyjce stały wagony z cyrkiem wędrownym i lwy oraz tygrysy szalały z trwogi. Pojechał do starosty:

193

- Panie starosto, niech pan każe odstawić gdzieś od stacji te wagony, bo jak bestiom klatki porozbijają, to cały Sokołów wam zeżrą.

Dni i noce idą w ciągłym napięciu. Latają nasze klucze bombardować kolumny nieprzyjacielskie idące od Prus Wschodnich. Ale główne napięcie - to oczekiwanie ataku na lotnisko. Wywiad niemiecki wszystko wie. A już wtedy rozumieją wszyscy do ostatniego żołnierza: nie załoga się kończy, ale sprzęt. Mowy nie ma o dopełnieniach i mowy nie ma o poprawkach.

W takiej nocy, kiedy po całodziennym pogotowiu pół załogi poszło w kombinezonach na krótki sen, otrzymuje oficer taktyczny dywizjonu rozkaz z brygady: zmontować nadzwyczaj starannie jedną maszynę -

niesłuchanie ważne rozpoznanie.

Oficer taktyczny, kapitan Gaździk, stanął nad szeregiem śpiących i rozmyślał: "Starannie dobrać załogę... Kogo by tu wybrać? Cóż ja się będę rządził... Niech idą na ochotnika".

Jest godzina druga w nocy. Przed świtem nie wylecą. Niech pośpią.

O godzinie trzeciej w nocy budzi pierwszego z brzegu:

- Chcecie lecieć?

Ale, pogrążeni w ten czujny sen wiecznego czuwania, budzą się inni:

- On już przecie latał dwa razy. Ja polecę.

- Tyś już latał i wtedy, i wtedy. A mnie zawsze omijają.

- Nie, ja polecę.

- Przepraszam, a dlaczego nie ja?

Nagle spod pieca odzywa się głos porucznika Modrzewskiego:

- Koledzy, żaden nie dostał takiego "opeer" od dowódcy jak ja...

Milkną wszyscy. Jużci, że jeszcze nikogo tak dowódca nie oporządził jak Modrzewskiego. Jego prośba - to jedyna satysfakcja, jaką może otrzymać.

Niech leci.

I porucznik Modrzewski leci jeszcze przed świtem. Leci tam, nie czując warkotu bratniego klucza. Sam i bez bomb nad pozycjami nieprzyjacielskimi. Wracą.

Major Peszke całuje go w oba policzki. Potem go ciągnie do wielkiego gąsiora z wiśniówką. Do tego gąsiora ma dostęp tylko dowódca. Niemieccy lotnicy przed lotem z reguły byli pojeni alkoholem. W polskim lotnictwie zupełnie alkoholu nie było. Tylko po każdym locie ma załoga prawo pielgrzymki do wodzowego gąsiora. Każdy otrzymuje po jednym dużym kieliszku wiśniówki.

Nie przyszły odznaczenia, awanse, cytacje w rozkazach. Owe poczęstunki pozostały jedynymi odznaczeniami.

Zawartość gąsiora staje się poważnie zagrożona - loty rozpoznaw-
194

cze są coraz częstsze. Często jednak pozostaje w szafie rzetelnie zapracowany kielich...

...ginie w locie, zestrzelony przez własną artylerię porucznik Stangret, ginie też jego strzelec. Pilot - kapral Nowakowski uratował się, skacząc na spadochronie. Zginął kiedy indziej...

Porucznik Rudowski z pilotem, plutonowym Kuleszą, i strzelcem Szuijierzem ruszył na dalekie rozpoznanie. Wyprosił prawo zabrania czterech pięćdziesiątek.

Rozeznanie porucznik Rudowski już miał. Ale jakże tu się zbywać darmo czterech pięćdziesiątek, wyżebranych w dowództwie? Skoczył na terytorium niemieckie. Prały w nich niemieckie zenitówki, aż niebo trzeszczało. W pewnej chwili strzelec Szuijierz osunął się bezwładnie. Porucznik Rudowski pyta go, czy zawracać.

- Broń Boże, panie poruczniku - przestraszył się Szuijierz.

- Ja przetrzymam - mówi, a usta już mu bledną. Grzmotnął więc wszystkimi czterema bombami w stację na linii Kreuzburg-Rosenberg. Szuijierz omdlał, lądują więc pod Grójcem. Wezwali doktora i księdza, zdjął lekarz lepiący się od krwi kombinezon, zrobił zastrzyk. Umierający Szuijierz otworzył oczy, zobaczył porucznika R.:

- Panie poruczniku - szepnął - jak to dobrze, że to ja dostałem, a nie pan porucznik. Cały wywiad byłby na nic.

Kiedy dolecieli na macierzyste lotnisko, spostrzegli koledzy: znak eskadry wyrwany, tylne stanowisko posiekane przez rozpryski dwudziestomilimetrówek, kombinezon zmarłego miał dwadzieścia dziur - głównie w brzuch.

Pewnego dnia otrzymują rozkaz bombardowania kolumny, zmotoryzowanej niemieckiej, ciągnącej na Wyszaków. Rozkaz przychodzi popołudniową porą, a więc lot, a przynajmniej powrót będzie nocny. Naprzód wyleciał nasz rozpoznawca, w godzinę po nim o godzinie piątej piętnaście sześć karasi wystartowało z lasu krótkim startem, wprost na odległość o sześćset metrów stogi. Obciążone do ostatnich granic maszyny źle przy starcie trzymały kierunek, lotnicy, dopiero wyrównawszy ogony, widzieli te stogi, ale jakoś start poszedł. Polecieli, a tymczasem poczęto przygotowywać lotnisko dla nocnego lądowania. Wyciągnął się rząd białych lamp z krańcowymi czerwonymi, przygotowano trójkąt ognisk. Kiedy w ciemni nocnej rozległ się pierwszy warkot motoru, odkryto lampy, buchnęły ognie. Siadał jeden karaś za drugim. Obrzucili kolumnę niemiecką z niskiego pułapu, zdaje

195

się, że nikogo nie strącono, dlaczegoż więc nie wrócili: porucznik M., prowadzący maszynę rozpoznawczą, i kapitan J.?

Nazajutrz zagadka się wyjaśniła.

Wylądował kapitan na jakimś RXII, począł z punktu obdarowywać kurtkami, pledami, czapkami, haubami, okularami.

- Skąd to masz? Coś za cudactwo przyprowadził? Gdzie twoja maszyna?

Okazało się, że zbłądził, wziął na Warszawę, począł okrażać przepiślowo lotnisko, zapalił światła pozycyjne, puścił rakietę... Nic to nie pomagało niebożęciu. Dostał taki pierwszoklasny ogień naszej artylerii przeciwlotniczej, że musiał zmiatać. Poleciał więc na drugie sobie znane lotnisko - do Dębłina. W Dęblinie ani światła, ani żywego ducha.

Zbombardowane, poryte lejami lotnisko, stoi w księżycu jak widmo. Cóż miał robić? Gdzie będzie szukał trzeciego lotniska? Latał, krążył, wreszcie siadł, nadział się na leje, złamał podwozie. Obszedł lotnisko, puste składy, nabrał wszelkiego dobra, wybrał sobie tę RXII, zostawił strzelca, aby podążał do eskadry własnym przemysłem i przyleciał.

Porucznik M. też zbłądził. Siadł udatnie w czystym polu i rankiem następnego dnia gładko wystartował.

Z lotniska w Ząbkach pod Sokołowem eskadra przeniosła się do Woronka - majątku księcia Mirskiego. Już poszedł rzut kołowy, poleciał za nim lżejszy rzut kołowy, gotował się do odjazdu ciężki rzut kołowy: puste tanki, tabory, rupiecie.

Przenosić się można było tylko nocami, więc czekali aż się zupełnie ściemni. Z obu stron lotniska stać miało do ostatniej chwili po jednym karabinie maszynowym. Przy każdym kapral z dwoma żołnierzami.

Nagle, kiedy już było całkiem niemal ciemno, posłyszeli zbliżający się do lotniska huk motoru... niemieckiego. Nigdy tego dotąd nie bywało, aby Niemcy po nocy bombardowali, a rozpoznanie też nie mogło mieć miejsca nocą.

Skoczyli w las, przywarli do kaemów i czekają. Piękny dornier wypłynął zza lasu, zamknął motor i przygotowywał się do siadania. "Wiść desant..." - przemknęło przez głowę prowadzącemu rzut oficerowi. Obstrzał, choć po ciemku, był jak na dłoni i z bliskiego dystansu. Zresztą skoro siądzie na ziemi, to już mu się nie dadzą poderwać. Podwozie dorniera już niemal sięga ziemi... kiedy jeden z sierżantów puszcza serię. Niemiec zdążył poderwać, włączył motor - uciekł. Seria wypadła literalnie o trzydzieści sekund za wcześnie.

196

Coraz gorzej, coraz jest ciężiej naszym karasiom. Tropione, zmieniają raz po raz lotnisko. Łączność się rwie, możliwości odnawiania maszyn nie ma. Niebawem ma przyjść na nie pogrom.

Lotnisko jest pod Włodzimierzem w starym dworze Bocheńskich.

Stary park, wanny, kominki. Uroczą dwudziestojednoletnią pani domu (z domu Meysztowiczówna), która uważa, że dwór goszczący żołnierzy w czasie wojny, to jest składowa część systemu obrony. We krwi to się ma, widać, kresowej.

Oficerowie, kiedy już wiadomości zewsząd złe, oddychają tą atmosferą komfortu, pewności, dobrobytu.

- Ach, woda lawendowa! Już dawno jej nie miałem...

- Ach, mydło Pearsa...

Przy odjeździe jeden znajduje w walizce wodę lawendową, a drugi mydło Pearsa.

Odwdzięczają się źle. Znow ich napytują dornierzy. Dwór zostaje zbombardowany. Taki ich los - naprowadzają zgubę. Dziedziczka Ząbków pod Sokołowem również została zbombardowana i spalona. Wśród huku bomb młodziotka, dziewczęco wyglądająca dziedziczka ma jeden kłopot - jak zabezpieczyć dwoje drobnych dzieci.

Porusza się wśród tych bomb z wdziękiem jakby to była bataille des fleurs¹. Oficerom serce rośnie. Dalibóg, kiedy cywile są tacy, to nie jest ciężko dotrzymywać nie złamanej dotychczas umowy - aby od bomby uchylać najwyżej głowę... w prawo lub w lewo.

WALKA BOMBOWCÓW Z MYŚLIWCAMI

No więc tam przychodzi rozkaz już niedobry: ponieważ szoferzy są zupełnie wypompowani, wiele aut rozbitych - zostawić zbędny sprzęt, zakopać bomby, przenieść się na lotnisko w Brodach tylko z maszynami i sprzętem najpotrzebniejszym. •

Na lotnisko w Brodach? Ależ to znane otwarte lotnisko? Oficerowie kręcą głowami.

Zakopać bomby? Nasze bomby?...

Dowódca eskadry, kapitan Pronaszko, postanawia zatem, skoro nie można rzutu kołowego obciążać bombami, skoro ich lotem przewieźć nie można, bo nie można lądować z bombami - naładować bomby i powyrzucać je na Niemców. Niestety, lotnisko startu jest tak małe, że można wziąć tylko po dwie bomby.

'[Red:] Kwiatowa walka, bitwa kwiatami.

197

Krążą na dużej polaci - na próżno. Jak trzeba Niemców, to ich nie ma. Oblatali Sokal, Rawę Ruską, zapuścili się pod Lwów - dopiero ponownie nakołowawszy na Rawę Ruską, dziesięć kilometrów na południe od niej, wyrzucili z pułapu dwu tysięcy pięciuset metrów wszystkie bomby na ciągnącą kolumnę.

Powracali oddzielnymi kluczami. Na jeden z tych kluczów pod dowództwem P. (a więc trzy bombowce) natknęło się pięć meserszmitów niemieckich, a więc szybkich, zwrotnych myśliwców, przeznaczonych dla walki, nie dla bombardowania. Co za gratka!

Dwa meserszmity uderzają z dwóch stron na ciężko pełznący klucz.

Trzy inne wysforowują się w górę: spadną niezwłocznie na karasie, jak tylko ich koledzy rozbiją klucz.

Trzykrotny atak przypuszczają meserszmity do dwóch tylnych bombowców (klucz idzie trójkątem - jedna maszyna w przodzie). Za każdym razem, odparte ogniem karabinów maszynowych, odlatują i nacierają znow. Trzy idące w górę obserwują i czekają na dogodną chwilę. W pewnym momencie kapral Juk, siedzący w prawym tylnym samolocie jako strzelec, trzasnął udatnie serię na dwieście metrów i Niemiec poleciał na ziemię.

Niemal równocześnie drugi Niemiec w trzecim nalocie naleciał tak blisko na tylny lewy samolot, prowadzony przez porucznika Latawca,

że musiał półloopingiem dać nura i wypłynął przed samym nosem pilota. Pilot, pochylił cały korpus maszyny, wycelował nim i plunął z obu karabinów maszynowych. Meserszmit zapalił się i pokorkociągał na ziemię. Stała się rzadka rzecz: trudno obracać landara bombowa ustrzeliła myśliwca nie z wieżyczki strzelniczej, a z karabinów maszynowych, osadzonych nieruchomo przy pilocie.

Teraz poczuł dopiero porucznik Latawiec, że mu tkwi pięć kuł w nodze. Polecieli za swoją eskadrą, wylądowali w Hutnikach pod Brodami, a tu już zaczął się sądny dzień z bombardowaniem przez Niemców lotniska. Major Peszke z dwoma podoficerami pośpiesznie wyciąga z maszyny porucznika Latawca, zakładają mu prowizoryczny opatrunek pod drzewami, wiozą do Brodów do szpitala, czekają kolejki, aż się opróżni stół operacyjny; nagle bomba zabija przy stole operacyjnym doktora i siostrę - operowany na stole został sam.

RZEŹ KARASI

Niemcy dawno mieli na uwadze lotnisko w Brodach i stale nad nim krążył obserwator dyżurny (z takim nalatującym obserwatorem dzielnie

198

sobie radził kapitan pilot Laguna; wziął z fabryki samolot kobuz, jednoosobowy myśRwiec, i bronił cały czas lotniska sam gdzieś pod Łodzią. Leciał nisko za rozpoznawczym samolotem niemieckim, zestrzelał lub przepędzał, i ciągnąca za nim wyprawa bombardowców pozostawała bez kierunku).

Otóż dowódca eskadry, kapitan Pronaszko, zbliżając się do tego lotniska, do którego od razu nie miał nabożeństwa, zobaczył sześć samotnie siedzących na nim karasi. Zimno mu się zrobiło na ten widok, trącił kaprała Baranowskiego, który prowadził maszynę i skierował go na przyległe lotnisko w Hutnikach.

Kiedy siadają - stała się zła rzecz. W jednej z maszyn eskadry pilot jest postrzelony w piętę (w czasie tego bombardowania pod Rawą), podwozie zaś w maszynie tak postrzelono, że samolot przewraca się na plecy. Wciągają pośpiesznie pozostałe maszyny pod drzewa, ale ta bestia leży łapami do góry i prosi się, aby jaki dornier uwagę na nią zwrócił. Na dobitkę nadlatuje jakiś łoś z rozbitym podwoziem, długo więc nie ryzykuje siadać, ze dwadzieścia minut krąży nad lotniskiem, sygnalizując je niejako.

Naturalnie po chwili już jest niemiecki wywiadowca. W międzyczasie trzy spośród sześciu sterczących na lotnisku w Brodach karasi pomiarkowały się, przeleciały tu do Hutnik i siadły, bardzo ze siebie zadowolone... już po odleceniu niemieckiego wywiadowcy (a do lasu trzeba było ciągnąć maszyny półtora kilometra). Znowu nadleciały jakieś dwa łośe z Pińska i jakiś karaś, lichy wie skąd.

Ledwo sobie zasiadło całe to towarzystwo, nadleciało dziesięć dornierów i wałęsa z pułapu dwóch tysięcy metrów. Pięć bomb padło na lotnisko, trzy pod lasem. Rzut kołowy jeszcze nie dociągnął - nie ma choćby kaemów na osłonę. Porucznik Kaniowski dopadł któregoś karasia, sam jest, samiuteńki na lotnisku, wali w górę w dorniere. Dorniere, powyrzucawszy bomby, poleciały, zmieniły je heinkle, potem znowu zmieniły je dorniere i tak w kółko. Huk jest straszliwy... Trzask gałęzi w lesie... Bombardowanie jest tak gęste, że przycupieni do ziemi lotnicy na próżno marzą o przebiegnięciu do odległej o sto pięćdziesiąt metrów murowanej piwnicy (wówczas prysł ów zakład, zrobiony przy pierwszym bombardowaniu w drugim dniu wojny; zakład, dotrzymywany aż dotąd, że przy bombardowaniach "najwyżej głowa w prawo, w lewo..."). Jeden tylko Kaniowski, wystrzelawszy wszystkie naboje w jednym karasiu, idzie do drugiego. Ten chłopak wcale nerwów nie ma!

Wreszcie, kiedy dornieri poczynają pikować na sto pięćdziesiąt metrów, i on ustępuje z placu.

Bezbronne maszyny zapalają się jedna po drugiej. Dornieri odlatują.
199

I długo jeszcze burym dymem goreją samotne stosy na znak, że to już koniec 1.

Na drugi dzień następuje ponowny nalot na Brody. Już nie na samoloty, których nie ma, ale na dworzec, na którym stoi czterdzieści wagonów z amunicją.

I wówczas, ze zmiażdżonego w dniu wczorajszym lotniska - kiedy już poczęły eksplodować wagony - idzie jakaś donkiszowska seria. To kapitan dyplomowany, obserwator, Stanisław Poziomek, sam na pustym polu ostrzeliwuje z karabinu maszynowego przelatujące samoloty. Z towarzyszących bombowcom meserszmitów - posłano trzy maszyny, aby zadały szaleńcowi coup de grace². Uwzięły się na Poziomka, nurkują po kolei, kurzy się koło niego od strzałów, ale i on się uwziął. Ktoś w niebie uśmiechnął się smutno i skinął ręką - niech tam ma... Zestrzelił Poziomek dwie maszyny niemieckie. Na ostatnie podzwonne polskiemu lotnictwu.

"Wbrew chwalbom Niemców i wersjom powtarzanym nieraz przez nas samych, miały miejsce w czasie kampanii polsko-niemieckiej dwa tylko "wyduszenia" polskich

maszyn bojowych na lotniskach: tu opisane wyduszenie karasi i zniszczenie dyonu łosi

majora Weraksy na lotnisku pod Łodzią.

^Red.:] Cios łaski (ostateczny).

2 GENERAŁEM

SOSNKOWSKIM

Dywizja stacjonowała w Stanisławowie. Pierwsze transporty ruszyły w drugim dniu wojny. Trzy baony, każdy z innego pułku, bez działek przeciwczołgowych, bo te, nie wiadomo czemu, miały odejść z transportem późniejszym. Taki był rozkaz. Za tymi trzema baonami pchnięto dowództwo dywizji.

Ta, że tak rzeknę, delegacja dywizji na skutek zniszczenia toru pod Sołotwiną, wywagonowała się i poszła marszem pieszym osłaniać skrzydło generała Boruty-Spiechowicza i tegoż dnia po wywagonowaniu walczyła z nieprzyjacielem. Żadne uzupełnienia nie dochodziły. Okazało się, że generał Fabrycy zaprotestował, że żądał, żeby 11. Dywizja należała do niego i oddziały dywizji, rozrzucone po linii przejazdu dwustu pięćdziesięciu kilometrów, po drodze wywagonowano. Niektóre oddziały do końca nie wyszły ze Stanisławowa. Te trzy baony uwięzły w innej armii i nigdy do dywizji nie wróciły.

DYWIZJA JEŻ

Jakież były dzieje 11. Dywizji w okresie poprzedzającym objęcie dowództwa przez generała Sosnkowskiego?

Oskubana, nim zaczęła wojować, dywizja zajęła pozycje nad Wisłoka. I tak jej powiodło się lepiej zaczynać wojnę niż innym dywizjom: pułkownik Prugar-Ketling miał sześć baonów, dwa dywizjony artylerii, miał część służb, miał tedy czym żywić żołnierza choćby pierwsze dni, miał czym opatrzyć jego pierwsze rany. Ale artylerię przeciwlotniczą dywizyjną zabrano mu. Z góry był skazany na poruszanie się nocą, na chowanie się po lasach i krzakach, na "rozwijanie" inicjatywy z nagłą, na bicie się odruchowe, modą najdzielniejszych oddziałów tej krótkiej, nieszczęsnej "polskiej wojny": "rozładuj broń", "bagnet na broń - hurra"...

Już siódmego września rozwała się na prawym skrzydle 11. Dywizji,

24. Dywizja, która weszła w bój bez artylerii i w tym stanie musiała przyjąć uderzenie kolumn pancernych przeciwnika. Na południu pada Jasło. Niemcy stosują taktykę szczypców, więc mało niepokoją dywizję z czoła... I kiedy już nie ma ona na obu skrzydłach nikogo, cisza panuje w doskonałych, wykończonych, wypieszczonych pozycjach nad Wisłoka. Przychodzi rozkaz - trzeba je bez strzału rzucać.

Dywizja robi skok o wielkim rozpięciu sześćdziesięciu kilometrów.

Wszak idzie o to, by się oderwać porządnie od nieprzyjaciela, wyjść z obcęgów i mieć chociaż dwadzieścia cztery godziny na ponowne umocnienie się. Całą noc i dzień trwa ten szybki marsz na wschód, wzdłuż osi Frysztak-Barycz, przy ciągłych walkach straży tylnych i stałych nalożach lotniczych.

Nic już nie słyhać o kontaktach ze swoimi. Jej dowódca wysyła na wszystkie strony wypadki nocne, bo sytuacja ogólna staje się coraz gorszą i groźniejszą. Na północy, od dwóch dni, nie było łączności z żadnym z naszych oddziałów. Bezpośrednie próby nawiązania kontaktu z brygadą zmotoryzowaną pułkownika Mączka, który wycofał się przez Rzeszów na Łańcut, nie dały pozytywnego wyniku. Również starania pośredniego nawiązania łączności z brygadą tą i wzajemnego skoordynowania wysiłków za pośrednictwem grupy generała Łukowskiego nie udały się.

203

Wysłane w ciągu nocy z 9 na 10 września oddziały rozpoznawcze, przyniosły koło południa następujące wiadomości:

Od zachodu, po dotychczasowej osi marszu 11. Dywizji posuwały się jakieś większe jednostki niemieckie. Jej czołowe elementy wchodziły już w bezpośrednią styczność z własnymi placówkami ubezpieczającymi.

Na południu, wykorzystując naszą osłonę, spływały na San luźne elementy własnej 24. Dywizji Piechoty i grupy pułkownika Stawarza. Postępująca za nimi niemiecka dywizja górską szła wolno, opóźniona zniszczeniami mostów i dopiero pod wieczór następnego dnia jej straże przednie znalazły się na wysokości Barycza.

Na północy, pomiędzy 11. Dywizję Piechoty a brygadą pułkownika Mączka wcisnęła się 4. Dywizja Pancerna Lekka i omijając stawiany przez nas opór, skierowała się na Radymno, a częścią swoich sił buszowała na naszych tyłach, odcinając nam wszelkie dostawy i osłabiając łączność z dowództwem grupy, szpitalami oraz magazynami w Przemyślu. Skuteczną, dwudniową walkę podjazdową z tymi upiorami pancernymi przeprowadził dowódca kompanii zwiadowców 49. pp porucznik Buryły, niszcząc kilka samochodów, biorąc jeńców i motocykle. W czasie tych utarczek, przeważnie nocnych, wpadł w jednej miejscowości na wozy, pełne umundurowania polskiego, które właśnie "polski" sierżant-dywersant rozdawał jakimś cywilom... Zgnieciono ich na miazgę, zamiast przepytować, bo brakło tłumaczy. Gdzie tam szukać sztabów, II oddziałów, żandarmerii w tej wojnie gorzej niż manewrowej.

Dzięki dobrej robocie porucznika Buryły, nasze bezpośrednie tyły zostały na pewien czas oczyszczone. Podejrzane łaziki "polskie" gdzieś nagle znikły z osi Barycz-Dynów-Przemyśl. Dopiero w kilka dni później w Lasach Janowskich i pod Lwowem akcja dywersyjna dała się mocno we znaki. Niestety brakło już wtedy porucznika Buryły i wielu jego żołnierzy, którzy odwagę swą okupić musieli śmiercią na polu chwały. Wyróżniał się wśród nich odwagą plutonowy Wróbel.

Oddział rozpoznawczy, wysłany z rozkazu dowódcy 2. dp na Błażową przez 49. pp pod dowództwem podporucznika Szczota, znakomitego i zawsze pełnego zapału oficera, doszedł o świcie do tej miejscowości

ści i tam urządził zasadzkę na spodziewaną i przez ludność zapowiadaną kolumnę pancerną nieprzyjaciela. Zasadzkę skromnego polskiego plutonu, z jednym ciężkim karabinem maszynowym i jednym karabinem specjalnym, na niemiecki oddział pancerny o wielkiej sile ogniowej i przebojowej. Podporucznik Szczot i jego żołnierze, ukryci po domach i strychach, z zimną krwią przepuścili przesuwające się w biały dzień obok nich oddziały straży przedniej: samochody pancerne, motocykle, lekkie czołgi, baterie, część zmotoryzowanej piechoty, pionierów itd. - 204

licząc wszystkich dokładnie. Dopiero, gdy w luce pomiędzy strażą przednią a siłami głównymi zjawili się wozy dowództwa głównego, otwarto ogień, umiejętnie kierowany. Karabin specjalny zniszczył silniki wielkiego wozu dowództwa, następującego po nim samochodu osobowego oraz czołgowego wozu ciężarowego z głównych sił, wiozącego piechotę. Trzy ręczne karabiny maszynowe siekły po zniszczonych maszynach, wybijając znajdujących się w nich pasażerów. Ciężki karabin maszynowy i strzelcy bili po maszynach sił głównych, niecąc nieopisaną panikę w kolumnie i zadając bolesne straty zmasowanej tam piechocie. W rezultacie kolumna sił głównych, korzystając ze znajdującej się w pobliżu poprzecznej drogi, uciekła na północ, uwożąc ze sobą zabitych i rannych, pozostawiając trzy rozbite maszyny wraz z zabitymi na miejscu. W wozie dowódcy znaleziono ciała siedmiu zabitych oficerów i bardzo ważne dokumenty wojskowe. Z samochodu osobowego wyskoczyło trzech oficerów z teczkami i zaczęło uciekać w stronę sił głównych. Niestety, Niemcy bronili się pistoletami i zginęli na miejscu, raniąc dwóch naszych. Byli to pułkownik, dowódca kolumny, jego szef sztabu i adiutant.

Przy zabitych znaleziono dokładne plany niemieckiego działania. Na mapach były wyrysowane grube krychy czerwone. Okazało się, że wprost po piętach nam depcze Korpus Bawarski (7. Dywizja i I. Dywizja), że wyżej na północ idzie 54. Dywizja Austriacka, a za nią w tyle 44., że górą na północ ociera się o naszą 4. Dywizja Zmotoryzowana Lekka, o którą właśnie tak krwawo zawadził nasz wywiad. Nie wiedzieliśmy, że dołem (na południe) posuwa się równolegle z nami, podnóżami gór, niemiecka dywizja górską.

A więc sześć dywizji świetnie wyposażonych, w czym jedna zmotoryzowana. Po stronie polskiej - licząc od północy, porządnie już przetrzepana w ciężkich, lecz chlubnych bojach brygada pułkownika Mączka, niepełna I. Dywizja, szczątki rozbitej kompletnie 24. Dywizji, która wchłonęła w siebie resztki grupy pułkownika Stawarza.

Trzeba się wycofać, ale o tym w dzień mowy być nie może. Tymczasem Niemcy nadciągają już i zaczynają naciskać.

Wchodząc do Barycza "zafasował" kwatermistrz dywizji, kapitan Jedziniak, czyjaś zgubioną baterię ciężką oraz zapasy żywności. Starczyłoby to na dzień dla całej dywizji. Złożył więc te zapasy w stodołach i miał na dwadzieścia cztery godziny spokojną głowę. Tymczasem dziesięć niemieckich czołgów podjechało od tyłu pod samą wieś i pociskami zapaliło stodoły. Obok stała artyleria. Zła krew zalała chłopców. Kwatermistrz Jedziniak, który był artylerzystą, wpadł między nich: zaprzodkowali działa, wyjechali przed palącą się stodołę i jak grzmotnęli, tak trzy czołgi pozostały na placu.

205 -

Podczas gdy przeciwnik nadciąga - 11. Dywizja polska odchodzi nocą do Bachurza nad Sanem. Trzeba za wszelką cenę stanąć tam przed świtem; nie można nocować bliżej po drodze, bo Niemcy znają naszą oś odwrotu i będą bombardowali wzdłuż niej na ślepo.

Jest dzień 11 września. We Lwowie generał Sosnkowski otrzymuje niespodziewany rozkaz objęcia dowództwa frontu południowego.

W Bachurze znowu dywizja zwija się w jeża, znowu wysła na wszystkie strony wypady - mając tę pozorną pustkę łąk, pól i lasów, którymi (jak z papierów niemieckich wiadomo) posuwają się ze wszystkich stron nieprzyjacielskie dywizje.

Wywiad na północny wschód na próżno usiłuje zasięgnąć wieści o brygadzie pułkownika Mączka. Dziwna to wojna w wieku radia, w której by się przydał pan Kmicic, ruszający po języka. Ale w pierwszej chwili szyfry nasze - jedne, drugie i trzecie, powpadały w ręce nieprzyjacielskie i nasze radia połowe zamarły.

Wywiad na północ donosi, że oskubana przez nas trochę pod Błażowem boczna kolumna dywizji zmotoryzowanej pędzi dalej swoim szlakiem na złamanie karku przez Radymno, jak miała nakazane i nic jej polska dywizja z boku nie obchodzi: niech się z nią pozostałe dywizje bawią.

Wywiad na południe wyświeśla, że wzdłuż Sanu już suną oddziały dywizji górskiej niemieckiej. Gdzieś za Sanem pod Birczą stoją jakieś siły polskie i mają się bronić.

Kiedy nie ma ani rozkazów żadnych, ani żadnej łączności postanawia pułkownik Prugar-Ketling iść z pomocą tym wojskom w Birczy.

Wzywa młodzieńckiego podporucznika artylerii:

- Panie poruczniku, należy za wszelką cenę powiadomić tych w Birczy, żeby się trzymali do jutra do południa; że my przeprawimy się przez San pod Nienadową i uderzymy w bok Niemcom. Niech pan stara się konno przemknąć. Niech pan pamięta, że w razie, jeśli się panu uda spełnić to zadanie, krzyż waleczności, a może Virtuti - jest pewny. Okazało się, że podporucznik zadanie to spełnił, ale już z powrotem do swoich powrócić nie mógł. Co się z nim stało - nie wiadomo. Jedno tylko jest pewne, że krzyża Virtuti nie otrzymał. I że nie ma nawet jego nazwiska.

Kiedy zapadła noc, już nawet 48. pp zdołał się przeprawić przez San pod Nienadową i za godzinę miał ruszyć do natarcia na flankę przeciwnika.

I wówczas nagle przychodzi rozkaz: "Cofać się na Przemyśl z częścią 206

ciową obroną pod m. Babice i m. Krzywca. Wykonanie rozkazu trzykrotnym «tak» meldować przez radio".

Co za ironia losu, co za fatalny splót nieporozumień i beznadziejność dowodzenia na szczeblach pośrednich.

Generał Sosnkowski - jak mi opowiadał generał Prugar-Ketling - dał rozkaz generałowi Fabrycemu, aby wykorzystując wysunięte położenie 11. dp wykonać skrzydłowe uderzenie od północy na zaawanturowane siły niemieckie na południu, powstrzymując je z frontu siłami 24. dp i grupy pułkownika Stawarza. Sztab armii oceniał sytuację wówczas tak, że jednostką, która wysuwała się naprzód, podstawiając swoją flankę własnej 11. dp - była niemiecka 2. Dywizja Górską.

- Dwunastego września w południe przychodzi do mnie generał Fabrycy i rozkładając ręce, melduje, że zarówno 24., jak i 11. Dywizja wbrew rozkazom odeszły na północ. Wściekły byłem na was i rozżalony z powodu pokpienia takiej pięknej okazji. - zakończył swe opowiadanie generał Sosnkowski.

Rozkaz jego, przekazany zresztą niezwłocznie przez dowódcę armii nie dotarł ani do dowódcy 11. dp ani do dowódcy 24. dp głównie z tego powodu, że dowódca grupy generał Łukowski, do którego rozkaz był skierowany, zmieniał w ciągu dnia 11 września trzykrotnie swoje miejs-

ce postępu i wskutek tego był nieuchwytny dla przełożonych i podwładnych.

Tak więc pułkownik Prugar-Ketling, znając położenie i orientując się dobrze w sytuacji, intuicyjnie wyczuł plan działania generała Sosnkowskiego, z własnej inicjatywy porozumiał się z dowódcą 24. Dywizji i nakazał uderzenie 11. dp rano dnia 12 września na flankę sił niemieckich, walczących z 24. dp pod Birczą. Manewr był dobrze obliczony i należycie skierowany, więc musiał przynieść pełne powodzenie, tym więcej, że rozwinął się bez większych przeszkód. Niestety, dowódca, nie znając nowego położenia własnego i nieprzyjacielskiego i nie wiedząc nic o rozkazach generała Sosnkowskiego, odwołał to uderzenie i nakazał kategorycznie wycofanie się dalsze po osi Dubienko, Babice, Krzywcz, na Przemyśl, w myśl dawniej obowiązującego planu. 'O żadnej interwencji mowy być nie mogło, gdyż łączność znowu została zerwana.' A rozkaz wycofania był w stanowczej, a nawet przykrej formie. ...Ściągnięto więc z powrotem przez San 48. Pułk, ściągnięto maszerujące za nim oddziały. Rozkaz to rozkaz. Może tam pilniej potrzeba. Cóż może wiedzieć na próżno rozsyłający wywiady dywizjoner. Zostawiono tych w Birczy złudzonych pomocą, walczących, jak potem się okazało, do wieczora, aż im Niemcy odwrót odcięli.

GENERAŁ SOSNKOWSKI

OBEJMUJE KOMENDĘ

13 września rano przyleciał samolotem RWD do odciętych pod Przemyślem oddziałów generał Sosnkowski. Położenie było więcej aniżeli krytyczne. Sam Lwów już od dnia poprzedniego był otaczany przez Niemców, dowodzenie stamtąd oddziałami było zupełną fikcją, niemożliwością. Należało przegrupować rozproszone siły polskie, odciążyć Lwów, odtworzyć nie istniejący front.

Sytuacja 13 września rano, w chwili przylotu generała Sosnkowskiego, była taka:

Dywizje 45. i 44. (XVII Korpus) miały w tym dniu wyraźnie przeskrzydlać kierunek na Radymno. Od zachodu nacierają na wprost na szczupłe siły polskie I. i 7. dp (Korpus Bawarski). Od południa, od Sanu zagaściła się 2. Dywizja Górską, a ta zmotoryzowana dywizja od północy, w niepowstrzymanym pędzie przelewała się przez Radymno i Jaworów, skąd poszła prawdopodobnie na Rawę Ruską, częściowo zaś na Lwów. Oddziały wydzielone z I. i 7. dp niemieckiej z elementami pancernymi zostały wysłane koncentrycznie na Łętownię, w celu odcięcia odwrotu własnej dywizji piechoty. A więc i wschodni, dotychczas jedyny wolny kierunek, jest zamknięty. W tej sytuacji 11. Dywizja musiała wytrwać pod Krzywczą cały pełny dzień, odpierając dwukrotnie natarcie nieprzyjaciela od zachodu i południa, ponosząc dość poważne straty od jego artylerii. Najdotkliwiej odczuła te straty artyleria piechoty 48. pp, tracąc na punkcie obserwacyjnym dowódcę plutonu, porucznika Makowskiego, dwóch podoficerów i dwóch telefonistów. Ale straty nieprzyjaciela były niewspółmiernie wyższe. Znakomite punkty obserwacyjne, dające bardzo głęboki wgląd, ułatwiały żniwo naszej artylerii. Dowódca artylerii dywizyjnej pułkownik Gruziński, dowódca 11.

Pułku Artylerii Lekkiej, pułkownik Obtułowicz, dowódcy dyonów major Lorentz i Ostrowicz oraz wszyscy dowódcy baterii stałe na swych punktach, wydają rozkazy ogniowe i walą - walą, aż się ziemia trzęsie a powietrze drga, aż drzazgi lecą z samochodów i transporterów, czołgów, motocykli, dział i działek niemieckich, aż łamią się i coraz bardziej rzadną kolumny, kolumnienki i tyraliery piechoty nieprzyjaciela. Króluje nad tym ogniem artyleria ciężka, jakby chciała się odwdziżyć za przyjęcie jej - osamotnionej sieroty, porzuconej przez kogoś w Baryczu -

208

do składu 11. Dywizji Piechoty. Czego nie zmożły działa, zniszczą własne karabiny maszynowe z bliższej już odległości.

Pod wieczór położenie pogorszyło się na lewym skrzydle, gdzie udało się Niemcom wtargnąć w nasze ugrupowania i zagrozić artylerii. Przeciwuderzenie, przeprowadzone natychmiast, odrzuciło wroga z powrotem za San. Nie było już ani chwili do stracenia. Trzeba było szybko odrywać się i nocą przedrzeć do Przemyśla. Ledwie straż przednia spłynęła z Gór Krzywieckich, gdy straż tylna jeszcze walczyła na dotychczasowych stanowiskach, przyszła wiadomość od oddziału rozpoznawczego 49. pp od porucznika Buryły, że droga jest przez Niemców zamknięta pod Łętownią.

Łętownia leży o siedem kilometrów od Przemyśla. Pułkownik Prugar-Ketling ucieka się do polskiego sposobu, jedyne, mającego powodzenie w tej wojnie: każe działom piechoty wyjechać naprzód i strzelać wprost z krótkiej odległości wzdłuż bielejącej w słabej poświacie księżyca szosy na błyski karabinów maszynowych i armatek nieprzyjaciela. Kompaniom strzeleckim każe rozładować broń, aby żołnierz nie zalegał strzelając - nie rozpraszał się, aby szlusował jeden do drugiego, każe nałożyć bagnet na broń i nocą uderza.

Dywizja przebija się. Zdobywa samochody pancerne, transportowe, motocykle oraz ważne dokumenty wojskowe, z których później generał Sosnkowski może odtworzyć sobie prawdziwy obraz położenia nieprzyjacielskiego na szerszym już froncie i powziąć trafne decyzje na dni następne.

Straty, jak zwykle, w boju nocnym - niewielkie. Duch i nastrój świetny, aż się żołnierzom śpiewać chce. Dowódca dywizji pierwszy wjeżdża na most pod Przemyślem wraz ze swoim sztabem.

Jest północ. Wróciwszy z Krasiczyna i spod Łętowni, pochylony nad mapami, pracuje w kasynie garnizonowym generał Sosnkowski - dowódca frontu in partibus infidelium, dowódca niezupełnie uchwytnych armii. Przy nim generał Łukowski, pułkownik Demel, pułkownik Wiśniowski. Po ścianie tańczy olbrzymi cień pułkownika Morawskiego. Przez cały dzień słychać było w Przemyślu pomruk ciężkich dział, echa walk pod Krzywczą.

Od zmierzchu pod odległą o siedem kilometrów Łętownią wzmaga się kanonada; generał Sosnkowski coraz odrywa się od map i nadśluchuje. Jakże tu układać w ciężkim położeniu plany, kiedy się w ręku nie ma nic, a nie wiadomo, czy się dywizja Prugara-Ketlinga przebija.

Nagle... na progu staje pułkownik Prugar-Ketling.

209

- A dywizja?

- Nadciąga. Czoło jej przekracza most.

Cieszy się generał Sosnkowski. To jest dywizja, której żołnierz ma za sobą szereg dni walk, który nie dał się rozbić, który miał sukcesy i inicjatywę. Cieszy się dywizjoner Prugar-Ketling. Kończy się porzucanie doskonale umocnionych pozycji na rozkaz bez walki, kończy się bezradne macanie wypadami w ciemnościach nocnych na wszystkie strony świata.

Wraz mu generał Sosnkowski się zakrzętnął, znalazł gdzieś na torach dwa wagony amunicji. Lekki jak piórko wychodzi na plac przed kasynem. W ciemnościach prostuje się przed nim jakiś oficer. To oficer łączności kapitan Dudziński. Odbity od swoich oddziałów, znalazł bezradną i zagubioną, ale pierwszorzędnie wyekwipowaną kompanię łączności. Objął nad nią komendę i zgłasza się po rozkazy. Kompania zostaje przydzielona do 11. Dywizji.

Tego dnia i kapitan Dudziński był ucieszony: miał dowódcę.

Niestety, na tej dziwnej wojnie, łączność drutowa także nie działała, gdyż każdą z wielkim wysiłkiem nawiązaną linię, rwały wybuchy bomb nieprzyjacielskich lub własne tabory, rozpęczniałe nadmiernie przez wlanie do nich strumieni uciekinierów i ewakuowanych.

Jak magnes zbiera opiłki, tak potężny krok oddziałów zbiera niedobitki. Dywizja poczęła porastać w różne oddziały, służby, nawet w artylerię ciężką.

2 ODSIECZĄ DLA LWOWA

Cóż ma do rozporządzenia generał Sosnkowski? Poza 11. Dywizją, jeszcze 38. Dywizja Rezerwowa, która długo maszerowała, a teraz koncentruje się pod Mościskami. 11. dp ma zaledwie sześć baonów, w każdym nie więcej jak trzystu żołnierzy. 2 24. Dywizji, po klęsce 7 września pozostały tylko strzępy; razem z resztkami grupy pułkownika Stawarza, stan piechoty nie dosięga nawet tysiąca ludzi. Razem w trzech "dywizjach" około osiem tysięcy piechoty. Żadnych środków zmotoryzowanych, ani jednego samolotu, środków obrony przeciwlotniczej nie ma wcale, uzbrojenie 38. Dywizji Piechoty bardzo słabe - posiada ona zaledwie kilkanaście działek przeciwpancernych. Dywizja została porządnie przetrzepana w transportach i miała później spore straty marszowe. Środków łączności generał Sosnkowski nie posiada żadnych, przy dywizjach tylko łączność drutowa, tak mało wydajna na tej dziwnej wojnie; poza tym jedna stacja RKD o zasięgu praktycznym pięćdziesięciu kilometrów, szyfry skompromitowane. Map obszarów wschodnich od Przemyśla nie ma, posiada ich trochę jedynie 38. Dywizja Rezerwowa, która mobilizowała się najpóźniej. Tyły nie istnieją, dowóz i ewakuacja niemożliwa, drogi komunikacji z armią sąsiednią przecięte przez przeciwnika. Za to tabory - tabory, przekłute tabory bez końca, napęczniałe uciekinierami i ewakuowanymi ośrodkami, przeplecione ludnością cywilną, instytucjami rozmaitego autoramentu. Czego tam nie ma: i wozy straży granicznej i komendy uzupełnień i resztki formacji zapasowych i straże pożarne, nawet baterie szkolne artylerii ciężkiej, czyli działa bez jaszczów, bez amunicji, bez obsługi, z wybitymi do połowy końmi. Morza taborów, których przemarsz trwa noc całą, które zawalają drogę, tamują komunikację, hamują ruchy oddziałów bojowych, stając się dla nich niebezpieczeństwem, pułapką, zawadą, ciężarem, przekleństwem prawdziwym.

- Szyling otrzymał rozkaz skoncentrowania się w rejonie Rawa Ruska-Jaworów - mówi generał Sosnkowski. - Zostaję z wami, bo wasze położenie jest gorsze. Trzeba jak najprędzej odciążyć Lwów, zanim przeciwnik, który nam odcina drogę, zdola zgromadzić większe siły.

I zwracając się do pułkownika Prugara-Ketlinga:

- Przychodźcie prosto z bitwy, wiem o tym, ale nie mogę wam dać

211

odpoczynku, musimy przyjąć jakieś rozsądne ugrupowanie. Pańska dywizja wyrusza natychmiast dalej, aby stanąć na jednej wysokości z 38. Dywizją Rezerwową. Jesteście i tak co najmniej o jeden dzień spóźnieni.

- Rozkaz, panie generale.

Jest po północy, dywizja jeszcze nie ściągnęła do Przemyśla. Ci, co weszli do miasta, zalegają place i przyległe ulice. Dziwny widok przedstawia w świetle księżyca to wymarłe miasto. Żołnierze śpią, siedząc pod domami skurczeni przy biedkach karabinów maszynowych, oparci o jaszczce, przycupieni na licznych wozach taborowych, które diabli wiedzą jak zebrały się w Przemyślu. Niektóre konie, męczennicy wojny, mają torby z owsem przy pysku. Skąd ci chłopcy potrafią zafasować

furaż?

Patrzy pułkownik na swoją dywizję, która ma za sobą już dziesięć dni boju i marszu. Jest noc z 13 na 14 września. Po zamartwych szeregach idzie rozkaz. Zawodowi podoficerowie podrywają żołnierza. Zawodowi podoficerowie. Nasz świetny dorobek dwudziestoletni...

Kiedy nadchodzi dzień, opóźnione gros dywizji jeszcze jest w Przemyśle. Co robić - przecież dywizja szła na Przemyśl z bojem, musiała się przebijać. Ruch, który w zasadzie miał być nocnym, staje się marszem dziennym. Nad ranem dywizja wyrusza w dalszą drogę, pozostawiając na rozkaz generała Sosnkowskiego jeden baon z baterią w Przemyśle, w składzie straży tylnej. Straż tylna ma bronić wschodniej części Przemyśla i przepraw przez San, dopóki się da, jeśli można, choćby przez cały dzień.

Przeprawa - jakżeż dziwnie słowo to brzmi w ustach polskich żołnierzy w piękne dni wrześniowe Roku Pańskiego 1939. Rzeki powysychały, San jest strumykiem, który artyleria i czołgi mogą przekraczać w bród w dowolnym miejscu. Batalion wykonuje swe zadanie, rozbijając przy tym Niemcom kilka czołgów. Dywizja maszeruje dalej.

Naloty powtarzają się co krótki odstęp czasu. Wszędzie przekłeta równina. Nigdzie najmniejszego lasku. Żołnierz zbiega w bok drogi i wtula się w Bruzdy. Gorzej z końmi. Po jednym z nalotów pozostaje trzydzieści pięć trupów końskich. W późniejszych dniach zdarzył się nalot, w ciągu którego artyleria dywizji straciła osiemdziesiąt siedem koni. Taki marsz, to już nie jest zwykły marsz wojska, to lud jakiś biblijny, smagany gniewem sił wyższych, topnieje na pustyni.

Kiedy dochodzą do odległych o jakie dwadzieścia pięć kilometrów Kościelisk, dowódca staje obok drogi i obserwuje przemarsz śmiertelnie znużonej dywizji. Jeśli mieliście drogą istotę, którą dotknęło wielkie cierpienie i musieliście patrzeć bezradnie, tedy pomnożcie to przez liczbę żołnierzy i zrozumiecie, co się działo w sercu dowódcy w ów wieczór czternastego września.

212

Nie ma tu mowy o defiladach, o przeglądach. Tylko, kiedy salutują przeżący się pod okiem dywizjonera dowódcy oddziałów, pyta pułkownik po prostu:

- Wytrzymacie chłopcy?

I jeszcze widzi błysk w oczach, ten błysk, z którym 48. Pułk wyruszył na odsiecz Birczy i krwawił się w obronie krzywieckich wzgórz, z którym 49. pp szedł w nocy na bagnety pod Łętownię.

- Wytrzymamy.

Wzdłuż rozciągniętej nadmiernie kolumny, przeplatanej artylerią i masą nie kończących się nigdy taborów, przyjechał generał Sosnkowski. O dywizji wiedział już dużo. Widział ją po raz pierwszy w tej wojnie. Wrażenie musiało być dobre. "Bijecie się świetnie, ale marszu nie lubicie" - śmiał się patrząc ciepło na maszerujących. Zdawał sobie sprawę z dotychczasowego wysiłku i wiedział, że żołnierz 11. dp od czterech dni nie wypoczywa, nie śpi, mało co je, tylko nocą idzie, a dniem się bije. Więc raczej pochwała płynęła z ust, które potrafiły, gdy potrzeba, rzucić mocne słowa nagany.

- Czym dłużej myślę o sytuacji pod Przemyślem - mówi pułkownik Prugar-Ketling - tym bardziej widzę, jaka słuszność miał generał Sosnkowski, wyprawiając z nas wówczas ostatnie żyły. Wiem, iż szef sztabu 24. Dywizji płakał po prostu przed nim w Krasieczynie, błagając o jeden dzień odpoczynku. Gdyby generał Sosnkowski ustąpił, zginęlibyśmy niechybnie na przedpolu Przemyśla.

Niestety, nie ma czasu popasać długo pod Mościskami. Przychodzi

noc, przyjaciółka żołnierza polskiego. Co długi letni dzień, który sprzymierzył się z suszą, krwi upuścił, przychodziła noc, aby otoczyć swym płaszczem, aby kłaść chłód na ręce, na rozpalone czoła. Dywizja rusza dalej w nakazane rejony pod Sądową Wisznią.

Ale kiedy ciemne sylwetki płyną godzinami przez milczące osiedle, w jednej z chałup przy zasłoniętych oknach pracuje dowództwo. Patrzą na mapę. Cóż za wspaniała rzecz - mapa. Patrzenie na nią daje w czasie pokoju tyle wyobrażeń i tysiące przeżyć. Wówczas wyczuwa się wzniesienia gruntu, bagna, góry, wsie, rozsiane po kraju, dojazdy do miast, wody spływające, każda na swój sposób... żyje ziemia przed nami - tak ją formowały miliony lat, tak jak ją nam ukształtowała wola i praca ludzka.

Cóż dopiero teraz, kiedy każdy tor kolejowy to zagadnienie, każdy most to zagadka, kiedy czarne strzałki N-S ważą w sobie dylematy, być czy nie być, kiedy mapa przestała być ziemią piękną, ziemią dorodną, jako piersi otworzone Boże, a stała się kłębowiskiem, zdradą, czyha-

213

niem, zgubą, pomstą, zgiełkiem bitewnym, cierpieniem ludzkim bez końca, hańbą i męką, wstydem i potępieniem, rachunkiem śmiertelnym. Myśl powstaje w Naczelnym Dowództwie, aby zapchnąć się w pięć, sześć powiatów górskich, z Rumunią i Węgry na zapleczu, obsadzić wąwozy górskie. Ściągnąć tam siły wielkiej armii polskiej, która jest w rozsypce więcej niż w definitywnym zniszczeniu. Jakże to Mołotow później obwieszczał? Ze zabrał tysiąc dział, dziesięć tysięcy karabinów maszynowych, trzysta aeroplanów, góry amunicji... Miało co ściągnąć ku temu obronemu kątowni Polski, któremu aprowizacji i amunicji by nie zabrakło... (wszak złoto wywieźliśmy).

Tak oto sobie myślano w dowództwie.

Ale czekał broniący się, otaczany Lwów. Ale w sąsiedztwie na północy walczyła zdziesiątkowana armia generała Szylinga, która na pewno na południe zdążyć by nie mogła. Któż mógł zgrać ruchy wygiętego łuku licznych frontów polskich, rozcieńczonych niebacznie, konających już wówczas na przestrzeni tysięcy kilometrów.

I wtedy nocą 15 września ruszono dalej w stronę Lwowa. Poprzedniego dnia Naczelne Dowództwo wypisało rozkaz: "Generał Sosnkowski ma odejść na południe, na przeprawy na rzece Stryj". Zapomniano, co prawda, w rozkazie tym nadmienić o powziętej dnia poprzedniego decyzji, że armia generała Szylinga wychodzi spod rozkazów generała Sosnkowskiego. Rozkaz odejścia na południe, datowany dnia 14 września, zrzuca dopiero dnia 17 września - podczas największego natężenia boju pod Janowem - lotnik kluczący lotem koszącym na nie uzbrojonym RWD po czubkach drzew, pomykający jak szary skowronek przed dornierami, rozpierającymi się po niebie.

Generał Sosnkowski decyzji nie zmienił. Trzeba dochować wierności najwierniejszemu miastu. Miał wówczas do dyspozycji nieugiętą 11. Dywizję i wierzył, że do Lwowa przedrzeć się zdoła. Kto wie zresztą, czy w ówczesnej sytuacji marsz skrzydłowy na południe, pomiędzy obsadzoną linią Wereszycy, a nasiadającymi z zachodu dywizjami niemieckimi, był w ogóle wykonalny?

Pod Sądową Wisznią 11. Dywizja zaszywa się w lasy, żywiąc nadzieję, że może te przekłute bombowce dadzą schwycić nieco snu.

Wraz ze świtem jednak powstaje sądny dzień. Sądowa Wisznią jest tak bombardowana, że jadący na odprawę do generała Sosnkowskiego, pułkownik Prugar-Ketling musi wysiąść i pieszo iść, nie mogąc przez leje przejechać.

Odprawa odbywa się przy detonacji bomb i brzęku tłuczonych, na

drobne kawałki, szyb. Pułkownik Prugar-Ketling patrzy to na stojące przed chatą konie, pośród których bomby czynią straszną rzeź, to na generała Sosnkowskiego, który ani na chwilę nie przerywa odprawy.

214

Kiedy tuż pod oknem padnie bomba, poprawia szkła, jakby chciał się upewnić, że przy detonacji nie spadły.

I kiedy po raz nie wiadomo który bombowce niemieckie schodzą na Sądową Wisznę lotem nurkowym i wykaszą wszelkie życie z jej uliczek, generał Sosnkowski spokojnie nakazuje podjęcie ofensywy na północny wschód, ku Lwowowi, który jest definitywnie odcięty.

Na wprost oddziela jego grupę od Lwowa błotnista linia rzeki Wereszycy, nurzającej się w stawach i bagnach. Przechodzić tamtędy pod ogniem nieprzyjacielskim to zguba.

Generał Sosnkowski dysponuje atak na północny wschód. Uchylając się od przebywania bagien Wereszycy, wezmą wojska dyрекcję na lewo i pójdą na Lasy Janowskie. To natarcie przeprowadzi dywizja weteran, Dywizja 11. Obok niej, lecz trochę na południe nacierać ma 38. dp, uderzając po dwóch osiach również w kierunku na Lasy Janowskie. Resztki 24. dp stanowiąc będą odwód armii i posuną się za tymi oddziałami, które będą miały wcześniej powodzenie. Natarcie, na prośbę dowódcy 11. Dywizji, przesunięte zostało na późniejszą godzinę wieczorną.

Przez cały dzień artyleria niemiecka prowadzi z trzech stron ogień nękający, na Sądową Wisznę i na przyległe lasy. Od wschodu przeciwnik strzela przeważnie szrapnelami. Bomby lotnicze obracają pół miasteczka w perzynę. Pułkownik Prugar-Ketling wraca do swoich. Osobiście ze swoim szefem sztabu, podpułkownikiem Popiciem, objeżdża wszystkie oddziały, sprawdza ich gotowość bojową, wydaje rozkazy i niezbędne zarządzenia przygotowawcze. Chodzi o to, aby przed nocą uchwycić północną lizjerę Lasów Wisznieńskich, jako podstawę działań północnych. W północnej części lasów są już Niemcy, więc trzeba ich szturmem za dnia wyrzucić. Zrobi to 48. i 49. pp.

Niemcy tymczasem, mając przed Polakami respekt, próbują układow. Przysyłają parlamentariuszy - dowodzą, że jesteście otoczeni przez kilka ich dywizji i zginiemy, jeżeli się nie poddamy. Prawda - jesteście okrążeni i to dokładnie, wiemy to sami. Ilość dywizji, siły Niemców znamy z ich własnych dyspozycji i wiemy, jak pokażne są to siły. Zwei polnische Infanteriedivisionen sind voellig engekreist¹ - tak zaczynały się niemieckie rozkazy na dzień 15 września. Biedna 24. Dywizja - jej skromnych szczątków przeciwnik nie brał już najwidoczniej w rachubę, chociaż ponoć, jeszcze wczoraj na południowy zachód od Mościsk te resztki przetrzepały mu porządnie skórę. Parlamentariuszy przepędzają już czołowi dowódcy kompanii, nie dopuszczając ich nawet do dowódcy pułku. W pół godziny nadlatują niemieckie bombowce i sypią kuferki ciężkie na środek lasu, a równocześnie artyleria otwiera ' [Red.:] Dwie polskie dywizje piechoty s; całkowicie okrążone.

215

morderczy ogień na przemykające się kolumnienki 48. i 49. pp. Przy takim akompaniamencie rozpoczynają bój 48. i 49. pp o wyjście północne z lasu, o podstawę wyjściową do głównej rozgrywki. W jednym rzędzie z piechotą posuwa się artyleria pułkowa, bo z głębi lasu strzelać nie może, a najlepsze jej stanowiska znajdują się właśnie na przedzie, na lewym brzegu lasu. Traci ta piękna i mężna artyleria dowódcę porucznika Bielińskiego, kilku podoficerów i kanonierów, ale swego dopina. Wypada na brzeg lasu i szybkim ogniem otwiera drogę piechocie, niszcząc opór wroga i spędzając go z przedpoła. Podstawa do przyszłego natarcia zajęta zostaje za dnia, straty wyniosły jednak trzech oficerów, sporą

garść zabitych i rannych żołnierzy.

Na prawo od 11. Dywizji Piechoty walczy również ciężko o podstawy wyjściowe 38. dp.

POGROM NIEMCÓW POD JAWOROWEM

Gdy się ściemniło, ruszają pułki 11. Dywizji naprzód. Na prawym skrzydle na Nowosiółki, na Mużyłowice i Mogiłki idzie 49. pp, prowadzony przez żywego jak skra, czupurnego i przedsiębiorczego podpułkownika Hodałę.

Północną osią podąża 48. pp ze swym dowódcą spokojnym, zrównoważonym i zaciętym pułkownikiem Nowakiem. Na kierunek Rogoźno i Szklary.

W odwodzie za pułkiem 48. idzie pułk 53. Na prawo od 49. pp osią na Czarnokońce posuwa się lewym skrzydłem kolumna 38. Dywizji.

-W imię Boże!...

Ledwie ruszyli, zrywa się piekielny ogień. Niemcy usadowili się mocno i nie myślą puszczać odsieczy pod Lwów.

Prze naprzód 11. Dywizja. Największy ogień idzie na 49. pp, tam więc podążają oficerowie Sztabu Dywizji.

Ginie dowódca nie istniejącej już, wystrzelanej kawalerii dywizyjnej, rotmistrz Dąbrowski. Pada, trafiony w kręgi szyi, pierwszy oficer operacyjny, kapitan dyplomowany, Chelczyński. Kiedy do leżącego na wznak podchodzi pułkownik Prugar-Ketling, konający melduje z uśmiechem, że droga otwarta, że pułk idzie do dalszego natarcia.

Nie czas na pogrzeby. Pułkownik bierze "polskiego Bezarda"¹ - chłopca przewodnika, starym polskim sposobem każe rozładować broń, noc bierze pod pachę, krzaki jako wachę i przedziera się na Mużyłowice. Przedtem deliberuje z generałem Sosnkowskim na temat 48. Pułku, który gdzieś się trochę zaguzdrał.

Poszedł w przód pułk, jeno sucholeszcz trzeszczy. Wnet w kanonadę wplątało się "hurra". Uderzyli na bagnety. Kanonada bliższa cichnie, dalsza się nasila. Pułkownik śpieszy do wsi.

-Ach...

Tu ciała pokłutych Niemców, a tam dalej - już świt - armaty, czołgi, kaemy, ciągniki, kuchnie, wozy terenowe, motocykle... wieś cała zawalona, wieś nimi rozparta po ostatnią możliwość.

Ileż tych dział! Biegają podoficerowie, liczą... około dwudziestu, do-

\Be2.ard- busola.

217

kładnie jedenaście zmotoryzowanych armat i pięć moździerzy... Toż cała dywizja ma trzydzieści sześć dział. Ileż tych samochodów pancernych... ile wspaniałych maszyn bojowych... głosy liczących giną w uliczkach. I tu stoją, i tu i tam, w podwórku i wszędzie w bocznych uliczkach. Sto... sto pięćdziesiąt... doliczyć się nie można. Ile motocykli... Trupy niemieckie martwo patrzą znieruchomiałymi białkami. Na ich mundurach szerokie wstęgi czarno-białe. Litery "Germania". Tu więc legł, tu więc został rozgromiony pułk gwardii SS Regiment "Germa-

* w

nią"

Nadjeżdża generał Sosnkowski. Z żalem patrzą jego żołnierskie oczy.

- Ładna bateria przeciwlotnicza. Szkoda, że jej zabrać nie możemy... (Nigdy, od pierwszego dnia wojny, nie broniły polskie zenitówki bezbronnej w dzień 11. Dywizji... przydałyby się...).

- Ale niech pan generał tu spojrzy...

- I tam...

A w drugiej wsi - w Mogiłkach, gdzie szedł baon majora Lityńskiego-

go - też dużo zdobyć.

Czasu nie ma. Niemcy szykują się do kontrataku. Zniszczyć trzeba ten sprzęt zdobyty, nie mamy ani personelu, ani materiałów pędnych, by go uruchomić.

W mig łaziki taborowe, pośpiesznie zebrane (pułk już wyszedł przed wieś do walki) uwinęły się koło kwaczy, syconych benzyną.

Wieś duża i zasobna, częściowo przez kolonistów niemieckich zamieszkiwana. Wiemy, że dnia poprzedniego delegacjami, chlebem i solą, bramami triumfalnymi przyjmowała wroga. Pomiedzy ciężarówkami niemieckimi, wyładowanymi amunicją artyleryjską, pomiedzy wielkimi kamionami, krytymi brezentem,, przeciskają się gospodarze.

Pokazują nam sterty naboji:

-- Czy wiecie, czym to grozi wsi?

- Czy to my zaczynaliśmy wojnę?

Przechodzi przez wieś jakiś batalion 38. Dywizji, który widocznie zmylił w nocy drogę. Żołnierze bladzi, niewyspani, głodni, raczej do widm podobni, poznają generała Sosnkowskiego i wiwatują na jego cześć.

Ludność, uprzedzona, opuszcza chałupy w pośpiechu i wśród głośnych lamentów. Trudno - twarde są prawa wojny, coś robić ze zdobyczą, której wywieźć nie można. Pozwolić, by te wspaniałe działa i maszyny szerzyły dalej śmierć i zniszczenie w szeregach żołnierzy? Już płoną rzeki benzyny z cystern, z odkręconych kurków w bokach niemieckich wozów. Rzeki te dołem płyną, górą burowieją dymem, łączą się w jeziora, zionące ogniem. I kiedy drobny mak ładunków karabinów

218

maszynowych poczyną pękać w ogniu, wszystko co żyje opuszcza Mużyłowice.

Wnet i rozgrzane kuferki poczęły eksplodować z grzmotem, który szedł po polach i lasach. Coś w godzinę później nadlatują bombowce niemieckie i zasypują gradem pocisków nieszczęsną wieś, która płonie jak olbrzymia pochodnia. Tak skwitowali się Niemcy za gościnne przyjęcie, okazane im poprzedniego dnia przez mieszkańców Mużyłowic. Od tyłu już dopada, już szarpie wróg zajadły, wróg nieustanny. Gdy nagle ktoś przypomina:

- A tamta wieś, Czarnokońce?

- Prawda, stamtąd też meldowano zdobyte działa, czołgi i olbrzymią ilość sprzętu motorowego. Wieś cała jest nim literalnie zapchana; jest go jeszcze więcej, dwa razy więcej, aniżeli w Mużyłowicach.

Generał posyła saperów dywizyjnych, ale już do wsi podeszli Niemcy i saperów odparli. Jak to - tyle zdobyć ma wrócić do rąk wroga? Tedy generał Sosnkowski wysłał z zadaniem niszczenia sprzętu swego pierwszego oficera, pułkownika Demła. Gdzie pułk odwodowy? Pułkownik Kocur sam prowadzi batalion. Wpadają, przechodzą, wypierają Niemców. Luzaki za nimi, wymachują kwaczami. Już trzeszczeć zaczynają karabinowe ładunki w ogniu, już się nagrzewają i hukają wielokalibrowe "cieleća" (pociski armatnie), już się nagrzewają do czerwoności płyty pancerne, już się palą jasnym płomieniem wspaniałe wyekwipowane transportery obsady, ogromne kamiony amunicyjne i bagażowe. Pułk 48. chwilowo zawieruszył się po innych wioskach, aż generał Sosnkowski począł się niepokoić. Wyłażą z chaszców z gębami ucieśzonymi, każdy prowadzi motocykl. Nabrali tego wielką ilość. Zdobyli w Rogoźnie i Szklarach czołgi; osiem dział, sześć moździerzy, wiele działek i cekaemów - wszystko sprzęt zmotoryzowany. Co najważniejsze, przychwycili o świcie kolumnę Niemców, co porzucili w Mużyłowicach i Czarnokońcach armaty i sprzęt, w pludrach zmykali przez

poła w stronę Jaworowa, skąd niedawno przyszedli. I jeszcze nadchodzą meldunki, że w jakiejś wsi o nazwie zdaje się Mogiłki (pułkownik Prugar mapy przed sobą nie ma i nazwy dobrze nie pamięta), wzięto również dużo sprzętu motorowego. Z szerokości frontu wynika, że uderzenie Polaków objęło bodaj całą jednostkę, oznaczoną w przejętych papierach jako Gemischte Pan•z.erkorps\.

Prowadzą w środku kolumny jeńców kilku oficerów niemieckich, którzy salutują podniesieniem ręki. Generał Sosnkowski każe ich wyprowadzić na bok i oddaje pod opiekę jednego z oficerów sztabu. Jeńcy przydadzą się niebawem. Polacy używają ich jako "paszportów" przy [Red.:] Mieszany korpus pancerny.

219

rannych, których ewakuować nie są w stanie. Generał Sosnkowski zwierzał się dowódcy 11. Dywizji, że spośród wielu okropności tej wojny niesamowitej, uważał za rzecz bodaj najcięższą moralnie mus pozostawienia rannych na łaskę i niełaskę wroga.

Za Mużyłowicami generał Sosnkowski przyjmuje przygodną defiladę paru kompanii żli. dp. Żołnierze są najedzeni konserwami niemieckimi. Idą, dziady, świecąc dziurami portek, trzaskając krokiem defiladowym. Skąd się tym nie golonym od dwóch tygodni drapichrustom bierze takie krycie i równanie?

- Czołem, panie generale! - pokrzykują, jakby nie siedzieli na dnemichy, na której rantach śmierć lub niewola.

Pod wieczór dnia 16 września 11. Dywizja, poszczerbiona, lecz zresztą w zupełnym porządku, staje w Lasach Janowskich.

Ubezpiecza się od strony, z której przyszła, bo nawała niemiecka depte po piętach. Niewiele pomogły doraźnie porobione zniszczenia - wszak trwała posucha, niepamiętna od szeregu lat. Nie na długo zdołały powstrzymać tę nawałę największe nawet ofiary. Jedna z nich utkwiała głęboko w pamięci.

Plutonowy Jasiewicz, podoficer pionierów, bodaj z 49. pp, widzi małą skuteczność w wysadzaniu mostów, bo czołgi, a nawet samochody, z łatwością obchodzą je boki. Więc na rzece nieco szerszej i trochę zabagnionej, podminowawszy gęsto most, zakłada krótki lont. Czyńni to ze szczególną starannością. Przydanych mu do pomocy pionierów odsyła z powrotem do plutonu z uwagą, że sam sobie z robotą poradzi. Nie wszyscy mu wierzą. Coś podejrzewają. Jeden pionier, uszedłszy kilkaset kroków, ukrył się w krzakach i podpatruje. Widzi, jak plutonowy jeszcze raz sprawdza ładunki, zapala papierosa, a potem ukrywa się pod przyzbą mostową. W ciszy upływają dwie godziny. Na drodze pojawia się najpierw patrol kolarzy niemieckich, który spokojnie przejeżdża przez most. Za nimi, w odległości trzystu kroków, idzie kolumna piechoty. Pionier czuje, że serce mu zamiera, gdy powietrzem wstrząsnął ogromny huk. Szeregi Niemców dziwnie się zachwiały, podskoczyły w górę, a potem runęły w dół. Wałący się most przygniótł Niemców i plutonowego. Na tamtym brzegu powstał przeraźliwy krzyk. Kolarze zawrócili, z ogromną ostrożnością zbliżyli się do rzeki. Skorzystał z tego pionier, oprzytomniał i pobiegł do swoich, gdzie zameldował, że pan plutonowy stał się żywą torpedą i wysadził w powietrze całą niemiecką kompanię.

pod

Czyn plutonowego Jasiewicza niewątpliwie nie powstrzymał pochodu Niemców, ale na pewno zachwiał ducha ich piechoty i osłabił ich późniejsze uderzenia. Przykład, dany przez niego, wzmocnił zaciętość żołnierza 11. dp i ułatwił dowódcom wykonanie dalszych zadań. A za-

220

dania te coraz bardziej rosły i coraz bardziej stawały się ciężkie; trzeba było zaraz okopać się i bronić. Bez chwili odpoczynku.

Na południe od 11. Dywizji zajęła swój rejon garść żołnierzy, nosząca nazwę 24. Dywizji. Przeciwnik, zdaje się, zdwoił wysiłki i narzucił swojej piechocie mordercze tempo, pragnąc najwidoczniej udusić szczupłe siły polskie, które już miał w kotle, a które pokazały świeżo, jak kąsać umieją. Polacy zdają sobie sprawę, że pierścień się zacieśnia, że woj-ska niemieckie, opasujące Lwów, są już niedaleko. Generał Sosnkowski, który wybrał kierunek ogólnie na Janów, widząc, iż Wereszyca stanowi w tym miejscu przeszkodę słabszą niż gdzie indziej, niepokoi się, czy przejścia pod Janowem są wolne. Mają je zająć, obsadzić i ubezpieczyć odpowiednie siły 38. Dywizji Rezerwowej.

BOJE POD JANOWEM

Zaczęła się seria złych nocy i dni najcięższych. Wieczorem i w ciągu nocy 17 września napływają wiadomości, stwierdzające, że sytuacja dywizji rezerwowej jest zupełnie niejasna. Po początkowych sukcesach, dowódca dywizji pułkownik Wir-Konas, wbrew rozkazowi generała Sosnkowskiego, uderzył na trzęsawiska Wereszycy i to szerokim wachlarzem. Uderzenie załamało się, dywizja musiała się cofnąć. Jej część, która zaawanturowała się zbyt daleko na południe, została odcięta przez podchodzące z tyłu siły niemieckie. Gros musiało się przedzierać nocą ku północy na Lasy Janowskie, ruchem skrzydłowym, w niezmiernie ciężkich warunkach, pomiędzy obsadzoną linią Wereszycy a nasiadającym od zachodu przeciwnikiem, który w późnych godzinach wieczornych zdołał wcisnąć się głębokim klinem pomiędzy 38. Dywizję i słabe siły 24. Dywizji. Tak czy inaczej, do północy w wyznaczonym rejonie znalazła się jedynie lewoskrzydłowa kolumna 38. Dywizji, która weszła do lasu jednocześnie z 11. Dywizją. Na dobitkę pułkownik Wir-Konas ze sztabem i kawalerią zawieruszył się gdzieś, przepadł bez wieści. W szeregach dywizji, pozbawionych w tak ciężkiej sytuacji swego dowódcy, gruchnęła wieść, że pułkownik Wir-Konas trafił do niewoli lub jest zabity. (Odnalazł się jednak następnego dnia pod wieczór w samym Janowie).

Noc z 16 na 17 września była bardzo niespokojna. Dawali się we znaki dywersanci, którzy podkradali się lasami na skraje polan i z najbliższych odległości ostrzeliwali oddziały i dowództwa. Oni też prawdopodobnie informowali Niemców o naszej dyslokacji, gdyż ogień artylerii przeciwnika był nadzwyczaj celowy i skuteczny. Tak np. jedna bateria ciężka, z regularnością maszyny, przez noc całą kładła co parę minut salwę granatów na gajówkę, gdzie obrał miejsce postoju generał Sosnkowski; niemniej upatrzonym celem była druga gajówka, gdzie stał sztab 11. Dywizji.

I trzeba było na zachodnich skrajach lasu jeszcze następny dzień pozostać, kilka natarć niemieckich odeprzeć i mocno się skrwawić. Ale wytrzymali. Wytrzymali, a z nimi pozostał generał Sosnkowski; w tych najcięższych momentach, na najbardziej zagrożonym odcinku i w naj-

222
większym ogniu stał i rozkazywał, świecąc przykładem męstwa i odwagi, a pogardy dla rwących się stale artyleryjskich granatów i lotniczych bomb.

Cóż się działo tymczasem we Lwowie, dla którego generał Sosnkowski nie chciał odchodzić spod Przemyśla na południe, w kąt przygraniczny Rzeczypospolitej? Od chwili objęcia dowództwa, od dnia 11 września rano, generał Sosnkowski montuje przede wszystkim obronę miasta. Były we Lwowie cztery bataliony marszowe i dwanaście dział. Podzielono miasto na sektory. Wyznaczono dowódców, umocowano

co rychlej dziesięć wylotów z miasta. Przy tak szczupłych siłach o wysunięciu obrony przed miasto, ani o odwodach nie mogło być mowy.

12 września około południa Niemcy podeszli od zachodu i północnego zachodu oraz przypuścili atak na Gródeckie. Szły na Lwów dwie dywizje pancerne i jedna dywizja górską. Lwów nie miał ani jednego działka przeciwpancernego i pluł z połówek, stojących po prostu na ulicach, bez osłony piechoty. Przy działach na ulicy Gródeckiej wybito całą obsługę. Kiedy przybiegła nowa, ostatni skrwawiony obrońca usiłował samotnie obsłużyć działą. 2 nowej obsługi poległa połowa ludzi. Podporucznik Panek, ranny, dowodzi dalej. Ponownie trafiony w głowę, nie oddaje komendy. Ale atak odbito i kilka czołgów niemieckich zostało na placu.

Dwunastego po południu zaczęły napływać pierwsze oddziały 35. Rezerwowej Dywizji Piechoty. Przybył jeszcze jeden batalion marszowy. Gdy 13 września rano generał Sosnkowski odlatywał do odciętych wojsk pod Przemyśl, siły obrony Lwowa wzrosły już do dziewięciu batalionów piechoty i dwudziestu czterech armat polowych, nie licząc brygady pułkownika Mączka, pozostawionej na przedpolu miasta do dyspozycji dowództwa obrony.

Dziesięć dni walczył Lwów. Co dzień przybywa mu obrońców. W tej wojnie nieszczęśliwej dosyć było stworzyć ośrodek organizacji, ośrodek walki, by zawsze spływali obrońcy.

Biją się oddziały policji, które ściągnęły do Lwowa, kadeci, oddziały Obrony Narodowej, cywile...

Wstają wspaniałe wspomnienia Orląt, jak harfa, zda się, grają mury Wysokiego Zamku, Szkoły im. Sienkiewicza, Koszar Bema, Cytadeli...

Jakiś staruszek - pułkownik rezerwy - przyprowadził oddział z Wilna. Przyjechały dalsze bataliony 35. Dywizji Rezerwowej, która nigdy nie brała udziału w bojach, aczkolwiek została mocno przetrzebiona w transportach. Dowódca jej, pułkownik Szafran, natychmiast obsadził 223

najbardziej zagrożony zachodni odcinek. Ściągnęła jakaś artyleria przeciwlotnicza, wzięto już trzystu jeńców, narozbijano czołgów, poczęto budować skomplikowany wewnętrzny pierścień obrony, odbito w wypadzie nocnym Kortumową Górę, odebrano Wzgórza Zamarstynowskie; ba, rozzuchwalono się tak, że przedsięwzięto wypad na północ, gdzie - jak wieść gminna niesła - zmotoryzowane oddziały pułkownika Mączka parły ku Lasom Brzuchowickim z dywersją na rzecz wojsk generała Sosnkowskiego. Niestety, pułkownik Maczek w tym czasie na rozkaz Naczelnego Dowództwa maszerował już ze swoją brygadą na południe.

PRZEBICIE SIĘ 11. DYWIZJI

NA BRZUCHOWICE

Właśnie szóstego dnia obrony Lwowa, 17 września, w Lasach Janowskich rozgrywają się krwawe boje, których główny ciężar ponownie spada na 11. Dywizję. Jej pułki, jak wiadomo, mają po dwa słabiutkie bataliony; cała dywizja liczy w swych szeregach nie więcej niż tysiąc dwieście piechurów, sąsiednia 24. Dywizja, broniąca wejścia do lasu dalej na południe, ma stan piechoty wynoszący około ośmiuset żołnierzy. 38. Dywizja Rezerwowa zbiera się po nocnych ciężkich przejściach i na razie prawie wcale nie może być brana w rachubę. Razem więc polski front walki liczy około dwu tysięcy piechurów. Mniej aniżeli jeden pułk piechoty.

O świcie wyszło pierwsze natarcie na 48. i 49. pp. Załamuje się ono w ogniu artylerii polskiej. Jednocześnie Niemcy napierają na sąsiednią 24. Dywizję. (Jest to świt dnia 17 września. W tej chwili właśnie kolum-

ny czołgów rosyjskich wdzierają się na bezbronną ziemię).

W południe idzie drugi atak na prawe skrzydło, gdzie stoi 48. Pułk. Ogień niemiecki niesłychanie się wzmacnia. Pułk 48. ponosi ciężkie straty; nie zostało już w nim niemal żadnego oficera zawodowego, ale za to Niemcy kładą się potokiem, płacąc obficie daninę krwi w silnym ogniu polskich karabinów maszynowych i polskiej artylerii, która strzela gorączkowo. Po południu linie polskiej obrony otrzymują trzecie uderzenie. Niemcy znowu biją przede wszystkim na prawe skrzydło, którego nie ma czym wesprzeć, poza tym na całą dyslokację sił polskich. W lesie, tam, gdzie stoi dowództwo, jest piekło. Drzewa się walą, gałęzie padają. Sześć samochodów przed dowództwem zostaje rozbitych, pół kompanii łączności (tej pięknej, znalezionej w Przemyślu) wybite, posterunek obserwacyjny dywizji, którego nie opuszcza ani na chwilę generał Sosnkowski, stale pod ogniem. Generał niepokoi się o drogę odwrotu dywizji, która może być przekrzydlona od północy. Jest w lesie punkt skrzyżowania dróg - zwie się Trzy Kopce. Generał nalega, by punkt ten, skąd odchodzi droga na linię wycofania, ubezpieczyć batalionem 53. pp, dopytuje się stale, czy to już zrobiono; wysyła pułkownika Demla do dowódcy piechoty dywizyjnej 38. Dywizji z rozkazem skierowania następnego batalionu na Trzy Kopce, oraz ubezpieczenia dwo-

225
ma batalionami przeprawy w Lelechówce na zachodnim brzegu. Rozkaz pierwszy nie został w ogóle wykonany, drugi nieściśle.

Pułkownik Prugar spogląda na generała. Proponuje wycofanie dywizji. Generał Sosnkowski spogląda na zegarek (dwie godziny do zmierzchu. Las gęsty ułatwia oderwanie się od przeciwnika...).

- Możecie, pułkowniku, odchodzić. Oś marszu: na Brzuchowice.

Reszta sił pomaszeruje szosą przez Janów na Rzęsnę. Ja pójdę z nimi: trzeba zrobić porządek z 38. Dywizją. Wierzę, że nic złego was nie spotka. Pańska dywizja stanowi główną naszą szansę.

Generał czeka jeszcze pewien czas, aż odgłos leśnego boju zbliżył się tuż, po czym wymienia z pułkownikiem mocny uścisk dłoni i odchodzi. Już dawno batalion 53. Pułku został skierowany na prawe skrzydło. Ma on obsadzić Trzy Kopce i za wszelką cenę nie dopuścić do przecięcia drogi dywizji i zajęcia Lelechówki, przez którą idzie linia marszu dywizji•

Major Młyński ruszył z batalionem w las. Już go więcej dywizja nie widziała, ani jego żołnierzy. Wedle wiadomości uzyskanych później od jeńców niemieckich, batalion i jego dowódca polegli w boju wręcz z 61. Pułkiem Piechoty Bawarskiej.

Taborów dywizja nie bierze. Pułkownik Prugar wie, co znaczy w takiej sytuacji zatarasować sobie drogę.

Pierwszy lasem spływa na drogę do Lelechówki 49. pp.

Duktem leśnym, równoległym do tej drogi, rusza 48. pp.

Za nimi w tylnej straży pozostały batalion 53. pp. Posuwają się na jednej wysokości, będą sobie pomocni. Tak myśli dowódca dywizji.

Kiedy jednak dogania pułk 49., okazuje się, że jest stłoczony, przebić się nie może przez tabory grupy.

Na wąskiej drodze leśnej, z której nie można zjechać, wyciągnął się wąż czterokilometrowej długości. Przekłęte tabory - istna zmora całej kampanii. Znowu nie wykonały rozkazu - miały przecież odejść na Wereszycę. Ale czują szelmy pismo nosem i trzymają się blisko wojska jak rzep psiego ogona. Nawet nie raczyły, psiekrwie, wyszukać dogodnego punktu i sparkować się obok drogi. Nie darmo generał Sosnkowski nieraz przestrzegał, że sprowadzą kiedyś biedę; niedawno na odprawie w Sądowej Wiszni nakazywał wyzbycie się wszelkimi dostępnymi

środkami siedemdziesiąt pięć procent taborów.

Noc mija. Jeśli nawet batalion Młyńskiego nie przepuści 61. Pułku, 'od Lelechówką mogą już stać siły niemieckie spod Lwowa, w wypadku, gdyby 36. Dywizja nie wykonała rozkazu o zabezpieczeniu przepraw. Z tyłu, od strony Trzech Kopców słysząc silną kanonadę. A co ędzie się działo na przedzie, jeśli żołnierz liniowy nie wysunie się na czoło, jeśli tabory weprą się pod ogień niemiecki?

226

Pułkownik Prugar-Ketling każe, aby przynajmniej artyleria pośpieszała duktem - aby chociaż jeden batalion nadażył lasem, bokiem drogi, po której grzęzną tabory.

Od strony Lelechówki zrywa się wściekły, gorączkowy grzechot karabinów maszynowych. Czyżby czoło taborów wyszło z lasu?

Zapadają ciemności. Potykając się, padając, kalecząc o świerkowe gałęzie, chlaszczące po twarzy, biegnie... dowódca dywizji, z nim jacyś oficerowie, jacyś ludzie - trudno rozróżnić kto...

Kto to woła coś, kto ręką sięga wśród ciemności, aby nawiązać kontakt. Aha, to szef sztabu pułkownik Popiel. Woła, aby zebrać kogo da się i bezzwłocznie uderzyć. Znowu ta jedyna śpiewka wojska bez łączności, bez aeroplanów, bez czołgów, bez artylerii przeciwlotniczej: bagnet na broń.

Jaśniej się robi, ale wszystko tonie w gęstej mgie świtania. Łapią przebiegających żołnierzy, formują oddziałek z dwustu bagnatów. Gdzieś wszystkiemu musi być kres. Oddziałek często pada, z wysiłkiem się podrywa do nowego skoku. Po przebyciu jakich tysiąca metrów załamuje się. Kapelan dywizji, ksiądz Święcicki, podrywa się z laską w rękę i biegnie naprzód z głośnym: "Hurra". Za nim pędzi paru oficerów z korpusu sądowego i ze służby uzbrojenia. Żołnierzy ogarnia wstyd, bo podrywają się, biegną za księdzem, który już nie przypada więcej do ziemi. Wpadamy do Lelechówki. Niemcy uciekają, nie przyjmując spotkania wręcz. Wycofują się na wzgórze na lewo, uderza na nich pułkownik Nowak, który na swoją rękę zdołał zebrać ludzi. Niemcy są tam w znacznej ilości. Zwycięży, czy przegra? Nie czas myśleć o nim. Droga do Brzuchowic na chwilę rozwarła się. Nim się zamknie, jak fale zstępującego się morza, trzeba przejść. Tam - już Lwów. Przeskakują Lelechówkę, przechodzą rzeczkę. Na jej wysokim brzegu ktoś pierze z karabinów. Okazuje się - nasi, oddziały z 38. Dywizji. Bóg wam zapłać, chłopcy!...

18 września generał Sosnkowski, przekroczywszy Wereszycę, resztkami sił parł do Lwowa. Szczątki 24. Dywizji, o równowartości jednego pełnego batalionu, biją się o posiadanie Rzęsny Ruskiej.

18 września generał Sosnkowski otrzymuje przez lotnika rozkaz Naczelnego Dowództwa, datowany z dnia poprzedniego, donoszący o przekroczeniu granicy przez wojska bolszewickie, nakazujący odmarsz na południe, przejście przez węgierską granicę. W duszy jego rozpacz i burza. Jak to, odchodzić spod bram Lwowa? Lecz czemu, na Boga ten Lwów milczy tak głucho, jak gdyby obrońcy go opuścili? I czym kontynuować walkę, skoro pułkownik Wir-Konas zdołał zebrać nad Wereszycą nie więcej jak trzecią część swoich sił, skoro do godzin popołudniowych brak wszelkich wiadomości o losach 11. Dywizji? 24. Dywizja

227

zdobyła połowę Rzęsny i tchu jej zabrakło, więc żąda posiłków. Nic w tym dziwnego - lecz skąd je wziąć, skoro trzeba trzymać przeprawę na Wereszycy przynajmniej do wieczora, by nie przepuścić Niemców, by dać punkty oparcia oddziałom 11. Dywizji na wypadek, gdyby kryły się one jeszcze w lasach po tamtej stronie. Generał Sosnkowski uważa w

głębi duszy swoją ukochaną dywizję za straconą. Zbliża się wieczór i czas powziąć decyzję. Generał Sosnkowski oblicza, kiedy bolszewicy mogą być pod Lwowem i rozważa dwie alternatywy. Albo przejść na partyzantkę, pozbyć się wszelkich impedimentów i tylko z karabinami maszynowymi, z działkami przeciwpancernymi, z niewielką ilością wozów, spróbować lasami i polami na przełaj prześlizgnąć się do Lwowa od wschodu, albo też, jeśli 11. Dywizja jakimś cudem ocalała, wykonać ostatnią próbę przebicia się przez Niemców na wprost. Wiadomości o dywizji nie ma żadnych i generał wybiera w zasadzie alternatywę pierwszą - prowadzi ona nie na południe, tylko na północ. Informuje więc dowódców o sytuacji, o otrzymanym rozkazie Naczelnego Dowództwa, wydaje odpowiednie zarządzenia i nakazuje marsz na Lasy Brzuchowickie.

BÓJ POD BRZUCHOWICAMI

Chałupa w Brzuchowicach. Pułkownik Prugar-Ketling śpi. Generał Sosnkowski przychodzi. Budzi go.

- Dałem wam dwie godziny snu, pułkowniku. Trudno, musicie wstać. Musimy zrobić jeszcze jeden wysiłek. Przecież tu przed nami Lwów.

-- Rozkaz, Panie Generale.

- Ilu możemy ludzi zebrać?

Ilu ludzi? Smutne to gospodarstwo!...

- Złożę dwa słabe bataliony piechoty i dwa niepełne dywizjony artylerii.

- Rozpoczniemy natarcie. Pan je poprowadzi. Podporządkuję Panu wszystko, co zostało z 24. Dywizji.

- Rozkaz, Panie Generale.

Pułkownik Prugar-Ketling podrywa żołnierza. Wychodzą pod Brzuchowice. Od razu zrywa się niemiecki ogień; przez lasy przewiewają, uciekają sylwety. To jacyś żołnierze, którzy dawno przestali być *giehae adscripti*, jakieś łaziki...

Pułkownik Hodała, dowodzący obu batalionami, rozwija swoich weteranów i przechodzi przez łąków, zgarniając wielu po drodze. Batalion na prawo prowadzi pułkownik Głowacki, batalion na lewo major Lityński. Generał Sosnkowski pozostał w Brzuchowicach. Trzeba ściągnąć resztki 24. Dywizji i odesłać pod rozkazy pułkownika Prugar-Ketlinga, jako wzmocnienie natarcia. Trzeba kierować wycofanie pozostałości 38. Rezerwowej Dywizji, ponownie poszarpanej w dość ciężkich bojach, poprzedniego dnia na wschodnim brzegu Wereszycy. Musi ona osłaniać Brzuchowice z zachodu, skąd idzie główny nacisk Niemców. Chodzi o to, by odchodzić powoli, wykorzystując każde dogodnie stanowisko dla przejściowej obrony. Trzeba oddziałami dywizji pozamykać liczne szosy i trakty, prowadzące na Brzuchowice, którymi na tyły natarcia może werwać się broń pancerna przeciwnika. Trzeba wreszcie w odpowiedniej chwili zredukować do minimum osłonę Brzuchowic od zachodu i północnego zachodu, rzucając wszystko, co się da, do akcji na Lwów.

229

Zapada noc. Pułkownik Prugar-Ketling starannie montuje natarcie: wie, że to ostatnia stawka. Rozpoczyna je o północy.

Batalion Głowackiego, obchodzący Hołosko od południa, wpadł w zaporowy ogień. Niemcy, wiedząc o nadciąganiu generała Sosnkowskiego, umacniali się tu od siedmiu dni.

Ginie połowa weteranów 11. dp; wśród nich najdzielniejszy z dzielnych siódmej kompanii 48. pp, kapitan Josse Józef. Ten, co uderzeniem pod Krzywczą odrzucił Niemców za San, ten, co pod Rogoźnem zdo-

bywał działa i był w czasie szturm trzynaście ranny, ten co z bandażem na głowie i ramieniu prowadził swą kompanię do nowych zwycięstw pod Bruchnałem, ten co w Lasach Janowskich trzymał najbardziej zagrożony odcinek, ten co przebiegał się pod Lelechówką i w Lasach Brzuchowickich, padł pod Hołoskiem o półtora kilometra od Lwowa, a więc prawie u kresu swej żołnierskiej epopei, przeszyty trzema kulami, trafiony w nogę, brzuch i na koniec w serce. Twardy to był żołnierz i dzielny dowódca. Zmogła go dopiero szósta kula niemiecka, uderzając w samo serce.

Ginie tu porucznik rezerwy Gawlikowski, oficer ordynansowy, który na ochotnika prowadził w bój jeden z plutonów, dla którego brakło już dowódcy. Ginie porucznik Mac, kapitan Bała i wielu innych. Ale opór Niemców słabnie; artyleria piechoty rozbija ogniem wprost, z najbliższej odległości, trzy czołgi.

Batalion Lityńskiego idzie grzbietem na północ od szosy. Z początku mają duże straty. Nałożyli bagnety i uderzają. "Hurra" coraz bardziej się oddala. Przeszli. Sanatorium zdobyte.

Niemcy zamknęli dziurę. Po tamtej stronie został batalion Lityńskiego. W Rumunii już spotkałem szefa sztabu obrony Lwowa. Mówił, że Lityński doprowadził osiemdziesiąt bagnetów. To było bodaj wszystko, co z odsieczy doszło do Lwowa.

Nadchodzą z Brzuchowic resztki 24. Dywizji. Trzy bataliony po sto pięćdziesiąt chłopów - a więc raczej kompanie. W ślad za nimi przybawają wzmocnienia, wyciągnięte z 38. Rezerwowej Dywizji: też trzy bataliony, lecz nieco silniejsze - może po dwustu żołnierzy w każdym. Około czwartej nad ranem przyjeżdża generał Sosnkowski. Powoli robi się dzień.

Żołnierz jest kompletnie wyczerpany, lecz na rozkaz zrywa się ponownie do ataku. Niemcy kierują morderczy ogień i straty mamy ogromne. Generał Sosnkowski bierze udział w walce z karabinem w dłoni: prowadzi osobiście rozpoznanie, wysuwając się przed czołowe linie piechoty. Jednak - jeszcze i tym razem - przełamali Niemców. Domki, z których prażyli niemiłosiernie - zdobyte.

Opór Niemców był tu niezwykle zaciekły. Nie mieli zresztą innego

230
wyjścia, jak wstrzymać natarcie polskie lub polec. O wycofaniu się mowy być nie mogło, a tym mniej o poddaniu się, po tylu stratach, obojczych. Hart i wytrzymałość ich obrony podnosiły wkopane czołgi, ukryte za wzgórzami i domami, które ogniem flankowym swych działek i ciężkich karabinów maszynowych siały spustoszenie krwawe w czołowych rzutach naszej tyraliery. Zwalczyć tych bestii pancernych nie mogliśmy, gdyż z frontu i z punktów obserwacyjnych były niewidoczne. Trzeba się było zdobywać na czyny bohaterskie. A do poświęcenia żołnierze 11. dp byli zawsze gotowi, i to nie tylko piechota, ale i artyleria. Podporucznik Schodowski, dowódca 4. baterii, który właśnie objął dowództwo po poległym kapitanie Pietrzaku, otrzymuje rozkaz wysłania jednego działa w przód do bezpośredniej walki z tymi przekłętymi źródłami ognia wroga. Jakże do tak pięknego zadania wysłać kogoś? Podporucznik Schodowski wyznacza działą i sam obejmuje nad nim dowództwo. Galopem zajeżdża przed linię piechoty, odprzodkokuje i sam kieruje ogniem. Działą załadowano pociskiem pancernym. Trzykrotny niewypał zmusza do zmiany pocisku na granat wzór 17. Wreszcie upragniony wystrzał, jeden, potem drugi. Dwa czołgi niemieckie stoją w ogniu. Ale i przy działą ginie celowniczy i część obsługi. Podporucznik Schodowski sam nastawia działą i sam je odpala. Znowu jeden czołg rozbity. W tym momencie przychodzi seria karabinu ma-

szynowego i podporucznik Schodowski pada martwy na działo. Ale droga w tym miejscu otwarta. Wykorzystuje ten sukces piechota, szturmuje i punkt oporu zdobywa. BO) na pewien czas przycicha. Biegną do dział sanitariusze. Ratują z kogo życie z krwią nie wypłynęło, ale niewielu uratować się dało.

Nagle od naszej prawej flanki ukazują się czołgi niemieckie. Prażą naszych ogniem karabinów maszynowych z przeciwległego zbocza, z odległości stukilkudziesięciu metrów, przyczyniając dotkliwe straty. W grupie oficerów sztabu pada trafiony kulą w skroń dzielny i zdolny oficer Falkowski. Znów mamy kilku rannych oficerów, lekką ranę obrywa dowódca 49. pp, pułkownik Hodała. Generał Sosnkowski łapie dwie armatki przeciwpancerne, których ogniem kieruje. Obok pułkownik Prugar-Ketling, pułkownik Morawski dowodzą karabinami przeciwpancernymi. Pułkownik Morawski, ogromny mężczyzna, ryczy jak tur, podając obserwacje, uprzedzając, w którym punkcie ukaże się za chwilę czołg. Słychać poprzez muzykę boju przeraźliwe, ochryple, lecz radosne okrzyki: "trafiony - trafiony".

Kiedy wszystko zwrócone jest przeciwko czołgom w tę stronę, od czoła ukazują się inne. Porucznik Witek wyskakuje przed nie bez żadnej osłony z dwiema armatkami przeciwpancernymi. Jest on ranny, ginie porucznik Gawlik, ale parę rozbitych czołgów zostaje na placu. Jeden z 231

nich zostaje zniszczony przez dzielnego podoficera, który zestrzeliwuje potwora dosłownie na szerokość szosy. Razem rozbili w tym miejscu czternaście czołgów niemieckich.

Niemcy są nadal dziwnie twardzi i uparci. Nie można zmóc ich sieci ognia o gniazdach oporu zręcznie ukrytych na przeciwstokach zalesionych pagórków, które panują nad wylotem szosy. Ranni żołnierze ciągną gęsto wstecz, sanitariusze nie mogą nadażyć, zewsząd słychać jęki i wołania rannych o pomoc. Sytuację utrudnia bezwzględność przeciwnika: dwaj sanitariusze, którzy wysunęli się nieco na przedpole w celu wyniesienia kilku rannych, padają trupem w ogniu karabinów maszynowych. Zwłaszcza na jednym pagórku, na lewo od szosy, usadowiły się w chaszczach dwa szczególnie złośliwe czołgi. Zamykają one ogniem bocznym dostęp do innych gniazd oporu. Od rana nie jesteśmy w stanie zmóc gadzin, które każdą próbę posunięcia się wzdłuż szosy i na prawo od niej dziesiątkują morderczym bliskim ogniem karabinów maszynowych i dział. Trzeba się z nimi koniecznie uporać, gdyż Niemcy zajęli powtórnie grupę domków pod sanatorium. Generał Sosnkowski nakazuje o pewnej godzinie ściągnąć jeszcze jeden batalion 38. Dywizji. W Bruchowicach jako straż tylna pozostał już tylko jeden słaby batalion, który obsadził południowo-zachodni skraj miejscowości.

W pewnej chwili pułkownik Wir-Konas zwraca się do dowódcy natarcia z propozycją użycia jednego z oficerów 38. Dywizji, ponoć specjalisty w zwalczaniu gniazd czołgowych. Oficer ten (kapitan K. - nazwiska pułkownik Prugar nie pamięta) otrzymuje rozkaz opanowania pagórka ze "złośliwym" czołgiem. Próba ta nie wydaje wyniku, mimo zmasowania ognia z sześciu stockesów. Kompania, która poszła do ataku na pagórek, musiała się cofnąć z dużymi stratami. Sam kapitan specjalista został ranny w szyję.

Generał Sosnkowski czyni wyrzuty artylerii, że słabo współdziała, nakazuje systematyczne przygotowanie za pomocą haubic i baterii ciężkich. Najprzód mają być pokryte dalsze gniazda oporów, po czym ogień ma być skrócony, a w pewnym momencie znów przeniesiony w przód w celu umożliwienia ruchu piechocie. Nie ma takiego punktu obserwacyjnego, skądby obserwator nie został zaraz spędzony ogniem

flankowym z najbliższej odległości. Artyleria strzela raczej "na nos", ale gęsto i, zdaje się, skutecznie. Druty są zerwane, wybuchów na przeciwstoku piechota nie widzi, zachodzi więc trudność w uzgodnieniu momentu natarcia.

W tej potrzebie ów wesoły kapitan Dudziński, który w Przemyśle przyłączył się ze świeżutką kompanią łączności, której połowa w Lasach Janowskich poległa, zaś reszta wykruszyła się w dniach następnych - biegnie do piechoty z wiadomością, kiedy ma się ona poderwać i

232

pójść w przód. Skoro dowódca frontu walczy z karabinem w dłoni, to słuszną rzeczą jest, że szef łączności dywizji osobiście zanosi rozkazy. To już walczy gwardia nad gwardie.

Kapitan Dudziński rozkaz zanosi i sam pada zabity.

Poświęcenie jego na nic, bo na artylerię od tyłu uderza teraz atak zmasowanych czołgów. Widzieliście kiedy kota opadniętego przez dwa psy? Kot kolejno z pazurami się zwraca, wirując na ogonie, aż wreszcie w którejś chwili miażdży mu kręgi paszcza napastnika.

Nasza artyleria zwraca się przeciw czołgom. Czy rozumiecie, czym jest taki manewr? Powolność przeciw szybkości i zwrotności. Ale i ten atak z czwartej strony świata przychodzący, zostaje odbity. I tutaj przeciwnik traci kilka czołgów. Piechota jednak, która ruszyła znów na przód, jest pozbawiona wsparcia. Nic nie poradzi na żelazną pięść. Natarcie topnieje, rozplywa się. Nie ma już prawie sił polskich w kierunku głównego uderzenia.

JAK W 1863 ROKU...

Zbliża się wieczór. Z tyłu nadchodzą meldunki, że Niemcy zajęli całą miejscowość, że silne ich patrole podchodzą już lasami pod stanowiska artylerii. Jeszcze jeden zryw. Na przedzie najstarsi oficerowie: generał Sosnkowski, generał Łukowski, pułkownicy: Prugar-Ketling, Schwarzenberg-Czerny, Wir-Konas, Morawski, Demel, Wiśniewski; za nimi reszta oficerów sztabu i garść żołnierzy. Idą naprzód, wykorzystując teren, tuląc się do szkarp, rowów przydrożnych. Nagle, gdzieś nad głowami, zaterkotały z lewa karabiny maszynowe, zagrzmiały moździerze, uderzyły o szosę z przeraźliwym łoskotem ciężkie "kuferki". Kilka postaci osunęło się na ziemię. Nie, przejść nie sposób. Tak, to JUŻ teraz, dopiero teraz, koniec.

- Panie Generale, niech pan się przemyka w pojedynkę. Lwów czeka.

- Mogę iść tylko z żołnierzami. Gdybym pod Przemyślem zastał jeszcze jedną 11. Dywizję - mówi do pułkownika Prugara - przeszlibyśmy do Lwowa. Będziemy wojowali jak w 1863 roku.

Generał Sosnkowski zbiera dywizjonerów na ostatnią odprawę.

Kapitulować nie będziemy. Spróbujemy pójść na przełaj lasami i polami, gdzie trzeba - bez dróg, obejść stanowiska Niemców pod Lwowem i przedostać się od wschodu do miasta. Bolszewicy może jeszcze nie zdążyli zaciągnąć oblężenia z tamtej strony. Jeśli się nie uda, pójdziemy partyzantką na południe, podzieliwszy się na grupy. Zebrać wszystkich oficerów i żołnierzy, wziąć ze sobą niezbędną ilość działek przeciwpancernych i karabinów maszynowych. Resztę sprzętu zniszczyć. Wozów nie brać żadnych. Żołnierze są nieprzytomni z braku snu i z wyczerpania. Będziemy iść dwójkami: trzymać się za poły, by nie pogubić się w ciemności, w lesie. Wziąć przewodnika. Szpica żli. Dywizji. Na czele szpicy podpułkownik Szymański z przewodnikiem. Tuż za szpicą starszyzna i sztab. Reszta oficerów przy żołnierzach. Zbieramy tych żołnierzy. Jest ich razem z oficerami może siedemset, może osiemset chłopów. Niszczymy armaty. Idziemy w las. Wydzielane patrole

ostrzeliwują się.

Punkt zborny: gajówka. Leży tam w zabudowaniach i naokoło na polanie kilkuset naszych rannych.

234

Zostawiają ich pod opieką dwu lekarzy i sanitariuszy, którzy mają czekać na Niemców. Czekają długo na drodze leśnej powyżej gajówki na zebranie żołnierzy i wyciągnięcie kolumny.

Ruszają w las i w noc, trzymając się za ręce, aby się nie pogubić.

Długi ciemny wąz wsiąka cicho w głąb lasu, wijąc się wzdłuż załomów ścieżyny. Czoło kolumny opuszcza ją niebawem. Teraz idziemy na przełaj. Ciemno, choć oko wykol. Gdzieś w lesie trzaskają strzały karabinowe, na wskos, z tyłu tak dobrze znane dokuczliwe gniazda czołgowe, wałą z moździerzy ogniem zaporowym na szosę. Widocznie nie zdali sobie jeszcze sprawy z odejścia polskich resztek i liczą się z nocnym uderzeniem.

Potykają się o wykroty i korzenie drzew. Przechodzą w marsz gęsiego. Generał Sosnkowski nawołuje ściszone głosem do czoła szpicy:

"Wolniej, wolniej, psiakrew". Nic nie pomaga: przewodnik, nie licząc się z możliwościami kolumny, rwie naprzód szybkim krokiem.

W pewnej chwili szpica się odrywa i znika w ciemnościach. W rękę pułkownika Morawskiego zostaje ostatni jej żołnierz. Kolumna zatrzymuje się zdezorientowana. Z tyłu padają nerwowo pytania. Generał Sosnkowski nawołuje do spokoju i wydaje rozkaz: "Stać, trzeba poczekać na pułkownika Szymańskiego; na pewno wróci, by odszukać zgubioną kolumnę". Niestety, ludzie idący z tyłu grupy dowódców w podnieceniu nie liczą się z zatrzymaniem i napierają w przód. Robi się zamieszanie. Słychać rżenie koni, które we formującym się tłoku naskakują na pieszych. Naokół zaczynają migać latarki elektryczne; słychać strwożone głosy, wśród których przeważa okrzyk: "Kto tam świeci, gasić do licha!". Na domiar złego otwierają się upusty niebieskie. Co za ulewa, jakie strumienie wody spływają za kołnierze. Generał Sosnkowski rozkazuje: "Sensu nie ma iść dalej: położyć się, skupiać ludzi, trzeba się zorientować, gdzie jesteśmy".

Niestety, nie sposób jest w ciemnościach powstrzymać tyły kolumny. Siłą rzeczy dzielimy się na grupy: dokoła starszyny i sztabu zbiera się około czterystu ludzi. Wkrada się podniecony nastrój, ludzie są przemęczeni, wyczerpani, na wpół halucynujący. Ktoś mówi: "Nie ma co czekać, trzeba iść przed siebie, wszystko lepsze, aniżeli czekanie". Generał Sosnkowski milczy: widocznie zdaje sobie sprawę, iż w podobnej sytuacji trzeba przede wszystkim przeczekać, aż minie nerwowe, zresztą zrozumiałe, podniecenie. W pewnej chwili odzywa się:

- Obliczałem przed chwilą w myśli, ile spałem w ciągu ostatnich dni dziesięciu i dziesięciu nocy, doliczyłem się osiemnastu godzin. Tak, trzeba ruszać. Kto zna teren?

Jakiś porucznik podejmuje się prowadzić kolumnę z kompasem w rękę.

235

Rozpoczyna się marsz okropny, męczący, na przełaj przez zarośla, zręby, potoki, głębokie parowy.

Dzielny porucznik daje sobie radę: błądzi kilkakrotnie, w końcu jednak wychodzą z lasu na otwartą przestrzeń. Idą równolegle do frontu Niemców pod Lwowem, na ich bezpośrednich tyłach. Z prawej strony, w odległości tysiąca mniej więcej kroków, widzą drżące światła rakiet, ogień wylotowy armat, słyszą bliskie i dalsze działa, szczekanie pojedynczych karabinów maszynowych. Ma się wrażenie, że Niemcy są zaalarmowani. Dochodzą do grupy pojedynczych chat, rozpoznają. Biorą przewodnika, zapytują o Niemców. Grzybowice Małe nie zajęte, a więc

naprzód na Grzybowice. Kolumna powoli topnieje; zwłaszcza kurczy się po każdej chwili odpoczynku: ludzie padają ze zmęczenia, albo nie zważając już na nic, schodzą gdzieś na boki, aby przespać się choć chwilę. W Grzybowicach Wielkich mały incydent: grupa postaci pierzcha przed kolumną w popłochu. Patrol niemiecki? Bóg jeden raczy wiedzieć, nikt się nad tym nie zastanawia. Zobojętnieli już na wszystko i brną naprzód jak automaty, na wpół przytomni, z jedną tylko myślą: Lwów. Urządzają jednak mały postój: ludzie zasypiają momentalnie. Ktoś rusza kolumnę, podrywając ją słowami nerwowej komendy. Ruszają drogą na Dublany. Po pewnym dopiero czasie spostrzegają, iż nie ma wśród nich generała Sosnkowskiego, generała Łukowskiego, pułkownika Demla i że kolumna dziwnie zmalała. Na szczęście, po kwadransie doganiają.

Dochodzą do Dublan. Stają przed pierwszą oświetloną chałupą. Chyba już jest nie więcej żołnierzy jak stu pięćdziesięciu. Sztab wchodzi do środka: generał Sosnkowski, generał Łukowski, pułkownik Demel, podpułkownik Wiśniewski, pułkownicy: Szwarcenberg-Czerny, Wir-Konas. Pułkownik Prugar macha na wszystko ręką, wali się do przydrożnego rowu i zasypia. Ktoś szarpie go za rękaw: "Panie pułkowniku, maszerujemy. Prędkiej, bo czas leci". Ruszają ostrym forsownym krokiem naprzód. Po ujęciu paru kilometrów dogonił ich podpułkownik Wiśniewski, który zameldował generałowi Łukowskiemu, że generał Sosnkowski pozostał w tyle. Generał Łukowski daje rozkaz zatrzymania się.

Niejednemu robi się głupio na duszy. Co tu długo gadać: wyszło jakoś nieładnie. Czyżby znów zostawili dowódcę, który przyleciał dzielić z nimi dolę i niedolę? Inny głos rzuca gorączkowo: "A gdzie kapelan Święcicki? Nie ma kapelana". Czekają jeszcze chwilę, zaczyna szarżyć, nie ma rady - trzeba iść, może generał doszłusuje...

(Pamiętam szary świt przed wojną "we Lwowie... przed wojną... Przed którą wojną... Przed tą, kiedy nie było niepodległości. Pamiętam 236

szeregi strzelców i wyprostowana sylwetkę Sosnkowskiego, kiedy siedł przed cudacznie ubranym frontem przyszłych żołnierzy. Obróciło się koło historii. Z jakimże bólem patrzeć musiał na tłumy cudacznych postaci - przeszłych żołnierzy. Wielkie to brzemień zdarzeń mieliście na swych barkach, Panie Generale.)

Ale już nie ujrzeli tych, których zostawili w Dublanach, bo oto we wstającym świecie zamajaczyła przed nimi o pięćdziesiąt kroków masa kawalerii. To pułk sowieckiej jazdy na stanowiskach, obstawiony karabinami maszynowymi.

Wyjechał w przód jakiś jeździec samopięt. Szmatą białą macha na szabli. My przyjaciele... A już polami zatacza łukiem sznur jeźdźców. Generał Łukowski pertraktuje. Owszem, naturalnie puszcza... Oni są przyjaciele. Do samochodu wsiada generał Łukowski i pułkownik Wir-Konas. Pułkownik Prugar-Ketling z kapitanem de Ville, bardzo dzielnym oficerem sztabu dywizji, boczkiem, cichcem, zaszuwa się za plecy żołnierzy, wsiąka w nich. Boczkiem, kartofliskiem odchodzi grupa żołnierska, ich nie trzeba więzić. Przecież byli zmuszeni "terrorem panów polskich do walki". Ci żołnierze 11. Dywizji!...

Tłum rabuje jakiś dwór. Wieś Prusy. Łachy cywilne zamieniają mundur.

- Panie pułkowniku - proszą żołnierze ukraińscy - Niech pan nie idzie sam. Widzi pan, co robiło się w tym dworze... pana pułkownika zamordują. My Ukraińcy, z nami pan przejdzie.

Ruszają z nimi. A kiedy już wychodzą z Prus w nowej postaci - nę-

dżarz rozbitej armii, szukający protekcji u Ukraińców i oni, którym będą dawać ziemię, których będą uszczęśliwiać i wyzwalać, żołnierz Ukrainiec zatrzymuje się przez chwilę, patrzy na swego dowódcę i mówi z tępych bólem:

- Sam musiałem swój erkaem zniszczyć. Tak dobrze bił...

Tak walczyła pod rozkazami generała Sosnkowskiego 11. Karpacka Dywizja Piechoty. Tak spełniali swój twardy, żołnierski obowiązek wszyscy jej oficerowie, podoficerowie, strzelcy i kanonierzy. Piechota i artyleria, łączność i pionierzy. Wszyscy. Nawet żołnierze sztabów i służb szli, gdy trzeba było, do szturm w pierwszej linii. Nikt od walki się nie uchylał. Nikt z pola bez rozkazu nie schodził, chyba, że był ciężko ranny, chyba, że w boju padł. Tak było zawsze. Na początku działań, jak i w godzinie walki ostatniej, gdy z garści już tylko garstka została. Nawet ci, co do szpitali odeszli, uciekali po częściowym podleczeniu ran, by nocą, borem, lasem przekradać się znowu do swoich oddziałów, by bić się dalej. Wielu z nich przybywa do Francji z bandażami na nie

237

zabliźnionych ranach, bo wierzy w zwycięstwo, bo chce się pomścić za brutalnie zdeptaną Ojczyznę.

Krew ich zrosiła obficie ziemię polską. Nazwiska poległych i rannych idą w tysiące. W tysiące, w jednej dywizji piechoty, w ciągu dni i nocy niewielu.

Ale za krew naszą drogo zapłacili Niemcy i drogo jeszcze zapłacą. Wiemy, co powiedział o Polsce Hitler. Ale nie wiemy, co mówią Niemki, oplakujące swych mężów, braci i synów. Co mówią niemieckie pułki, które uciekały w popłochu przed atakiem na bagnety, porzucając drogocenny sprzęt. Zresztą, da Opatrzność, przyjdzie czas, że żołnierz polski wrogowi obelżywe słowa wepchnie w gardło z powrotem, że pomści krzywdy i niewypowiedziane cierpienia Polaków. I zniknie koszmar, zniknie udręka świata całego, jak ginie wszystko co jest bestialskie, przewrotne i nieuczciwe. Tak nam dopomóż Bóg!

2 GENERAŁEM

ANDERSEM

PATRZĄC 2 IRAKU WSTECZ...

Pustynia, po której chodzą obiegami trąby piaskowe. Przycupnięte namioty. Młode twarze, wyzierające z samochodów opancerzonych jak młodziankowie z rozpalonego pieca. Proporczyki białoczerwone, jakie nosił 15. Pułk Ułanów. Bo też i jest to odrodzony Pułk Ułanów Poznańskich w pustyni Iraku.

Jakbym książkę otworzył na przypadkowej stronicy.

Kasyno. Zawieram znajomość. Ci najmłodsi - przedstawiają się z podskokiem. Na całym świecie kawalerii trzymają się pomysły "z fasonomi". Ci w sąsiednim karpackim znowu wymyślili salutowanie ponad wierzch furażerki, a tamci w dwunastym skombinowali specjalnie krótkie płaszcze. W kraju znowu kawaleria nosiła płaszcze do pięt. Gorszą się solidni piechociarze. Bo to niby - odkądże regulamin przestaje obowiązywać wszystkich jednakowo.

A nam i im - wesoło...

Dowódca tylko, rotmistrz Kiedacz, hm... hm... przytłacza wiekiem.

Szkoda gadać - rocznik 1911, to niemałe brzemię lat. Wszystko inne młodsze, znacznie młodsze.

Ten pułk, rzucony w pustyni, mieni się swymi proporczykami jak kolorowy odprysk wielkiej masy czterdziestu pułków naszej świetnej kawalerii...

Świetnej?... Niech tam fachowcy rozprawiają - a czy to było potrzebne, a czy to było dostecznie zaopatrzone w broń nowoczesną.

My pamiętamy ich dosiad, ich skoki, pamiętamy tych chłopców w mundurach jak ułań, remonty jak ta lala, pracę od świtu do nocy młodego oficera w koszarach, pamiętamy jaki "Jasio" wchodził do pułku i jaki ułań z niego wracał do rodzinnej wsi.

- Coście myśleli, chłopcy, kiedy nadciągała wojna?

Co tam - powiedzmy prawdę. Nie myśleli zbyt wiele. Rotmistrz ich usprawiedliwia:

- Widzi pan - w dawnej Rzeczypospolitej było tak samo. Do trzydziestki chciało mu się machać szabefką. Po trzydziestce ściągał z Dzikich Pól i stawał się statystą. Może to i nie było źle?

240

Przypominam sobie tego porucznika angielskiej kawalerii, który przyjechał na tyły po wielkim sukcesie włoskim w 1940 roku w Afryce. "No i co, no i co?... - pytaliśmy zdenerwowani - Czy sytuacja była bardzo ciężka, czy już opanowana?"

"Och, tak. - odpowiadał poważnie, ciągnąc swego drinka - Naprzód to była bardzo ciężka sytuacja, ale potem to już poczęli dowozić lód do kantyny, to teraz jest całkiem dobrze".

Churchill też pod Omdurmanem cwałował, a nie statystował.

- Może to i nie było źle - uśmiecham się w odpowiedzi - ale jednak jakoś sobie wyobrażaliście tę wojnę?

Wyobrażali sobie, że wraz z pierwszym dniem wojny zwinie się wielki kułak kawalerii - sześć brygad plus cała rozporządzalna broń pancerna i runie rajdem na przełaj do Berlina.

- Wysiekliby nas do nogi, teraz to widzę. - mówi rotmistrz - Ale

i teraz wierzę, że zdołalibyśmy dopaść do Berlina i spalić go.

Wykręcali się od motoryzacji jak od dopustu Bożego. Oficer, z tytułu dobrych kwalifikacji przenoszony do oddziałów motoryzujących się, robił wszystko, co mógł, aby wrócić do lancy, do dawnego pułku, choćby na gorsze stanowisko.

Niemcy przyczyniali się do wpajania w nas tego kultu kawalerii. Generał von Seckt w szeregu rozpraw dowodził, że kawaleria jest niezastąpionym środkiem do walki w Europie wschodniej, podnosił celowość polskiej doktryny pielęgnującej masę jazdy. Nasze pisma fachowe przedrukowywały te artykuły skwapliwie. Artykuły, które były dywersja.

Losy zrządziły inaczej niż chciały marzenia.

I czytając w krainie irackiej tę przypadkowo rozwartą pustynną kartę historii polskiej kawalerii, "sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem", kawalerii, która zbyła wstrętu do motoru, ale wniosła do niego cały swój kawaleryjski fason, postarałem się przerzucać karty wstecz - aż do pamiętnego dnia 1 września 1939 roku, kiedy brygada kawaleryjska, a następnie grupa pod dowództwem generała Andersa zaczęła ostątnię w dziejach polskiej jazdy walkę; walkę, która wbrew temu, co mówią Niemcy o Achtzehn Tage Feldzug in Polen¹, trwać miała przez długich dwadzieścia osiem dni, przy czym przez dwadzieścia sześć dni utrzymywała brygada swą artylerię, broń pancerną i nawet przydzieloną piechotę.

Osiemnaście dni kampanii w Polsce.

PIERWSZE DNI WOJNY

Nowogródzka Brygada Kawalerii dowodzona przez generała Andersa

- pułki ułańskie 25., 26., 27., 4. Pułk Strzelców Konnych i 9. Dywizjon Artylerii Konnej - stała już od połowy lipca w rejonie Działdowo-Lidzbark, na granicy Prus Wschodnich.

"Ziemia Czarnego Krzyża" - Prusy Wschodnie - leżała przed nimi, jak wieki przedtem przed ich przodkami, jako kraj w lasy i jeziora

zapadły, nie rozpoznany. Trochę tych lasów ubyło, ale między piaskami jałowej gleby wyrzuciły się schrony cementowe, kilometry bastionów, lotniska, punkty obserwacyjne. Wrzało tam coś w tym kotle odwiecznych wypraw zbójeckich i buzowało się. Wywiad nasz donosił, że trzy dywizje wschodnio-pruskie spuchły w dziewięć dywizji. Opowiadał mi w 1940 roku szef naszego wywiadu, że w przeddzień wojny ustaliliśmy miejsce pobytu wszystkich dywizji niemieckich z wyjątkiem trzech, które w ostatniej chwili pojechały morzem do Prus Wschodnich. Z tego kotła, mimo krytej zbójeckiej roboty, pryskało na nasz teren. Mnożyły się podejrzanые typy, łązgujące po wsiach. Sierżant nasz zastrzelił bombardiera niemieckiego, który wjechał w rozpoznaniu w nasz teren. Naczelne Dowództwo zakazuje rozpoznania terenu i ćwiczeń w pasie pięćdziesięciu kilometrów od granicy. Generałowie - angielski Carton de Viard i francuski Fauray, ci sami, którzy niebawem wymogli odwołanie mobilizacji, błagają marszałka Smigłego-Rydzę: "Tylko niech nie wyleci jaki mostek... tylko niech nie będzie jakiej bijatyki granicznej. Bo jeśli Niemcom uda się przedstawić, że to wy zaczęliście, to nasza opinia tego nie wytrzyma, nasze narody wyłamią...". Brygada robi umocnienie. Nasz naród jest wiejski - żołnierzom i oficerom serce się ściska, kiedy im każą rąbać piękne lasy w pół dnia i wyrąbywać starodrzew na cmentarzach, zasłaniający widok. Ludność mazurska - odprysk drobny tej protestanckiej mazurskiej ludności Prus Wschodnich, która nam się po traktacie wersalskim dostała - wilkiem patrzy, donosi na tamtą stronę. Koloniści niemieccy idą pod klucz. Kiedyśmy się wycofywali, oficer polski wsadził dyskretnie klucz w drzwi więzienia, w którym siedziało czterdziestu Niemców poświadczonych o dywersję i szpiegostwo.

242

W krótkim czasie nauczyliśmy się suchym okiem patrzeć, jak wojna kosi w pół nie drzewa leśne, a ludzi i warsztaty wyciągnięte z niczego całą miłością drapiącego się na pazury ubogiego narodu; oficer zaś, który puścił Niemców wolno, wołał, aby nie podawać jego nazwiska. Świtem 1 września warkot motorów idących na Warszawę bombowców oznajmił rozpoczęcie lekcji dziejowej dla narodu, który żałuje drzew i wypuszcza z życiem wrogów.

Potem okazało się, że Niemcy stosując swoją metodę szczypców, związali się na zachód z dywizją pułkownika Bołtucia i uderzyli na wschód od brygady nowogródzkiej na 20. i 8. dywizje piechoty. Brygada miała przed sobą ciszę; tylko samoloty niemieckie płynęły wysoko górą, niosąc między obłokami naręcza śmierci przeznaczone dla serca kraju.

Na sygnał: "Burza" otwarto rozkazy operacyjne: akcja opóźniająca na odcinku pięćdziesięciu kilometrów - między Bołtuciem a 20. Dywizja-

Poszły patrole jak wachlarz - w trzy strony: dwa konne i jeden pancerny. Patrol z dwunastu ułanów z 26. Pułku z porucznikiem Radziwanowskim na czele wszedł na teren Prus Wschodnich, posuwając się na Gross-Reslau, natknął się na posuwającą się kompanię niemieckich cyklistów. Spieszył się, uderzył wręcz i poległ wraz ze swoim dowódcą. Podjazd pancerny (dwa plutony po cztery "teki") obsadził wyznaczone stanowisko i przysłał trzech jeńców; frajter, mówił po polsku, nazywał się Dombrowski, pochodził z Prus Wschodnich, ale stwierdził z naciskiem, że jest Niemcem.

Drugiego września działalność patrolowa trwa. Rotmistrz Sliwiński przysłał jeńca lotnika, który wskutek defektu wylądował na jego odcinku. Rotmistrz Budarkiewicz z 26. Pułku Ułanów uderza ze swym

szwadronem na Mroczenko na terenie Prus Wschodnich; w walce wręcz na granaty i bagnety, zadaje krwawe straty Niemcom, bierze sześciu jeńców i zmusza nieprzyjaciela do wycofania się; sam ma czterech zabitych i trzech rannych.

Nocą z drugiego na trzeci września brygada otrzymuje rozkaz wycofywania się na Płock ze zniszczeniem przepraw na Działdówce. Szczątek wspomnianego baonu, któremu zabrano dwie kompanie, będąc w składzie jednej kompanii cekaemów, plutonu pepanc i plutonu cyklistów, trwa pod dowództwem majora Peruckiego do nakazanej godziny osiemnastej, po czym również odchodzi na Mławę, świtanie otrzymując pierwszy chrzest bombowy.

Tymczasem Grupa Mławska (dywizje 20. i 8.), po trzydniowej walce, w czasie której odparto kilkakrotny atak kilku dywizji niemieckich, m.in. pierwszej dywizji SS (wykrwawionej w ataku na polskie pozycje),

243 i olbrzymiej przewagi artylerii nieprzyjaciela, bombardowana bezlitośnie, kiedy niemieckie czołgi wdarły się luka, jakiej nie zdążyliśmy ufortyfikować - poczęła się cofać. Poczęła się cofać w dzień na wyraźny rozkaz, pomimo kilkakrotnych próśb dowództwa, żeby dla oderwania się wyczekać nocy.

Toteż poniosła ogromne straty.

Brygada nowogródzka, osłaniając kierunek na Płock, już na parę miesięcy przed wojną umocniony, weszła w kontakt z nieprzyjacielem. Idące w rozpoznaniu dwa szwadrony, uderzywszy na prawe skrzydło naciskających na południe w pościgu za Grupą Mławską Niemców, zniszczyły oddział niemiecki, wzięwszy sześć samochodów pancernych. 4 września generał Przedrzymirski, dowódca grupy, w skład której wchodziła brygada nowogródzka oraz 20. i 8. dp, telefonuje do generała Andersa, że otrzymuje inne zadanie, zdaje generałowi dowództwo swojej dotychczasowej grupy.

Generał Anders wyjeżdża w trzy samochody. To jest 4 września. Ma brygadę zupełnie nie naruszoną, drobne sukcesy patroli, świetny duch wojska. Ale wie, że to chwilowo oszczędziła go wojna, że na lewo dzielny Bołtuć, zrobiwszy z dywizji piechoty jakichś zagończyków, pomimo sprężystego odrywania się raz po raz od nieprzyjaciela z upartą walką, jest już na ukończeniu, że na prawo Grupa Mławska, wysadzona z płytkich okopków, bombardowana po drogach i polach w biały dzień, przedstawia już resztkę dawnego efektywu.

Pustka na obli skrzydłach, stygmat tej polskiej wojny, stanęła przed polskim dowódcą z całą wyrazistością.

Kraj, przez który posuwają się samochody, przycupnął pod tchnieniem wojny. Ludzie wynosili cofającym się żołnierzom mleko i chleb. Oczy ich patrzyły na żołnierza z miłością, na odwrót z trwogą. Rozumieli, że zostają sami, że muszą sobie radzić.

Pod bombardowanym Sierpcem widać z trzech samochodów dowództwa, jak z budynku szkolnego nauczycielka wyprowadza dzieci w las, szukać schronienia od bomb. Szkoła była najniższego typu, dzieci najmłodsze. Szło to grzecznie, tak jak świetliczanki uczą, starsze na przedzie, drobiazg ledwo przebierający nogami na końcu...

Zahuczał samolot, zniżył się nad pierwszym z idących samochodów.

Poszła seria - został ranny dowódca saperów umocnień.

Dzieciaki złamały grzeczny porządek, zbiegły się do spódnicy nauczycielki, oblały jej kolana, dysząc w ten schron dziecienny.

Lotnik zatoczył koło, zniżył się na pięćdziesiąt metrów, tak że huk straszliwy stał nad wystraszoną gromadką. Okrążył ją jeszcze raz uważnie, sposobiąc się powoli, pewny, że nikt nie przeszkodzi, że do lasu też

już nie zdążą uciec. Zresztą gromadka stała jak skamieniała i bezsilna
244

opiekunka śmiesznego schronu kolejno rękami zakrywała przylepione główki, ale tych rak miała za mało.

Seria wypadła od razu bardzo celnie. Ciałka dzieci drgały na ugorach jak ryby. Dziewczynki ranne, jakby w poczuciu macierzyńskim, wyciągały rączki - prosząc, czy zasłaniając.

Straszny drugi element tej wojny - bezsiła wobec przemocy - objawił się dowódcy tego 4 września. Samochody pomknęły dalej.

Pod Raciążem generał Anders napotyka zastępcę dowódcy 20. Dywizji, szefa jej artylerii, dowódcę 8. dp, ich sztaby i szereg dowódców pułków. Informują, że między 20. i 8. Dywizję werżnęła się grupa pancerna generała Guderiana.

Generał Anders obejmuje dowództwo nad cofającymi się resztkami. Swoją brygadę, nad którą dowództwo obejmuje pułkownik Zeliński, pcha na Sierpc. 20. Dywizji każe maszerować na Płock, a 8. - na Wyszogród.

Istnieje silna obawa, by cofające się wojska nie poniszczyły przedwcześnie przepraw. Generał sam kieruje się na Płock, a pod Wyszogród posyła pułkownika Furgalskiego, aby dopilnował całości mostu i przeprawy swojej 8. Dywizji.

4 września generał Anders, w drodze do Płocka, zostaje zaatakowany z pułapu czterystu metrów przez klucz samolotów. Jedna z rzucanych bomb przebija kufer, robiąc w siedzeniu wozu trzy duże wyrwy. Seria z karabinu maszynowego umieszcza w kufrze trzydzieści kul, przebija wszystkie opony i unieruchamia samochód. Ranny w krzyż, generał chwilowo ulega bezwładowi. Jest to jego szósta rana. Był trzy razy ranny podczas tamtej wojny światowej, dwa razy podczas wojny polsko-bolszewickiej, a w tej kampanii wrześniowej oczekiwały go jeszcze dwie rany. Patrząc na jego osiem gwiazdek, oznaczających osiem ran, ma się wrażenie, że je zbiera jak filatelista marki pocztowe.

W Płocku założono generałowi bandaż gipsowy. W ten sposób, konno, prowadził brygadę do końca.

W PŁOCKU

Do Płocka przybył generał w sam czas: już bowiem zabierano się do wysadzania mostów.

Pułkownik Furgalski wrócił meldując, że do Wyszogrodu nie dotarł, bo w nim są już Niemcy. Okazało się to potem nieprawdą. Ale most pod Wyszogrodem wyleciał w powietrze odcinając drogę cofającym się masom wojsk i 8. dp musiała skierować się na Płock.

Ów osłaniający odwrót baonik, a raczej rozbudowana kompania, majora Peruckiego, bombardowana, hamowana przez natłok szosy, straciła kontakt z brygadą. Majora Peruckiego atakował lotnik, jakby miał do niego osobistą urazę. Nabiegawszy się koło stogu siana, nabawiwszy się z upartym lotnikiem w kotka i myszkę, począł zastanawiać się co ma czynić. Słyszał, że pod Modlinem ma być druga linia obronna i postanowił udać się w tym kierunku wraz z falą płynącego wojska. Ale rozumując, że most pod Modlinem będzie zatłoczony, postanowił iść na most pod Wyszogrodem.

W pewnym miejscu, a jest godzina szósta po południu, natrafia na ślady straszliwego pogromu, jakiemu przed sześciu zaledwie godzinami uległ ciągnący szosą pułk artylerii ciężkiej. Na przestrzeni czterech kilometrów leżały gęsto trupy końskie (ludzkie zdołano już uprzątnąć), działa, wozy amunicyjne, furgony żywnościowe.

Okazuje się, że pod Wyszogrodem most jest wysadzony. O żadne drugiej linii oporu mowy nie ma. Ośrodek dyspozycyjny nie ma też.

Trzeci element tej wojny - to działanie bez rozkazów, bo ich nie było.

Major Perucki dedukuje, że zapewne brygada, osłaniając odwrót lewego skrzydła grupy, oparła się o Płock i idzie do niego.

Przed świtem jest o dwanaście kilometrów od Płocka. Meldują mu, że z lasu strzeliła czerwona rakietą. Gdy przeszli jakieś dwieście metrów, ponownie strzela rakietą.

Major zarządza postój, tłumaczy dwom chłopakom jadącym na rowerach, że te rowery są potrzebniejsze wojsku. Rzecz charakterystyczna - rowery te mogły być ich jedynym zbawieniem, a jednak oddają chętnie i podpompowują koła. Czwarty element tej wojny to niemożność dostania się pod broń ludzi zdrowych, młodych i pragnących wal-

246
czyć. Ci chłopcy wyżyli zapewne choć część swych tęsknot, podpompowując opony we własnych rowerach, które szły na pożytek armii, skoro im nie było dane.

Major wraz z uzbrojonym gońcem siadł na rowery i zarządziwszy w pobliskiej wsi wypiek chleba, pojechał osobiście przekonać się o sytuacji.

Przed miastem natknął się na pozycje obronne, jakie zajmowała brygada. A więc dedukował dobrze...

A w Płocku był nastrój jak przed okrażeniem Zbaraża. Brygada była nietknięta. DAK należący do brygady przyprowadził wszystkie swoje szesnaście dział. Generał Anders postanawia bronić przyczółka mostowego.

Płock jest okolony wieńcem kolonistów niemieckich i sabotaż, rwący dotychczas cichcem łączność i nadający sygnały, podnosi do tego stopnia głowę, że zakrawa to na jakieś zbrojne powstanie. Konie brygady, obozujące w nadleśnictwie Łąck, są ostrzeliwane. Na horyzoncie raz po raz ukazują się lądujące spadochrony. Sąd polowy polski urządza z wszystkimi formalnościami.

Lotnictwo niemieckie uwzięło się na mosty. Nie ma polskich myśliców dla obrony, ale pięknie jeszcze działa artyleria przeciwlotnicza kapitana Zdziarskiego, która strąca cztery bombowce.

Katedra uszkodzona, są liczne uszkodzenia po mieście, ale to wszystko głupstwo. Generał Anders telefonuje do generała Bortnowskiego, komunikując, że ma pełny stan, że właściwie poza lotnictwem nic mu nie zagraża, że chciałby w jakiś sposób współdziałać. Generał Bortnowski odpowiada polecając trzymać most na Wiśle, bo on schodzi na południe.

Major Perucki, otrzymawszy rozkaz podciągnięcia swojej piechoty i przybycia na godzinę dwudziestą drugą na odprawę, wraca do swego mp. Jest promieniejący: znalazł swoją brygadę i znalazł jedną ze swoich kompanii. I będą tu stali i tu się bronili. Do porachunków ogólnych z Niemcami dochodzą porachunki osobiste: za to ganiecie dookoła stogu. Na odprawie jeden z oficerów komunikuje, że dywersanci z okien domów przybrzeżnych strzelają z erkaemów świetlnymi pociskami wzdłuż mostu, wyznaczając jego położenie. Zapewne, wobec ostrej obrony przeciwlotniczej, Niemcy będą próbowali bombardować most nocą.

Major Perucki mówi o rakietach świetlnych. Wyznacza miejsce na mapie. Konsternacja. "Tam stało tysiąc dwieście koni artyleryjskich" - konstatuje pułkownik artylerii.

1 mp - miejsce postoju.

247

A kiedy major Perucki po odprawie podąża na spotkanie nadciągają-

cego baonu, widzi idące wzdłuż mostu świetlne smugi wystrzałów. Wreszcie gniazdo tych wystrzałów wykryto: okazało się, że była to maszynka, która, raz nastawiona, sama obsługiwała się automatycznie. Zaczajony w pobliżu dywersant od czasu do czasu zmieniał jej położe-

nie.

Głucha detonacja koło północy podrywa na nogi oddziały wartujące już z tej strony Wisły. A więc Niemcom udało się zburzyć most? Ale most wysadzono na rozkaz Naczelnego Dowództwa: wysadzić mosty i przejść w rejon Puszczy Kampinoskiej, przebyć Wisłę pod Modlinem i w wyznaczonym rejonie koncentracji przejść z powrotem pod rozkazy generała Przedzimirskiego.

MARSZ POD WARSZAWĘ

Brygada spływa wzdłuż Wisły. Z tamtej strony rzeki praży ogień artyleryjski nieprzyjaciela, nieraz dobrze wstrzelany. Baon saperów zaległ pod Wyszogrodem o kilometr od rzeki - mają zadanie rozpoznania, czy mostu nie da się zrekonstruować. Porucznik Kiedacz, wysłany łazikiem, aby zbadać sytuację, spostrzega na wale nad Wisłą porzucony polski samochód ciężarowy, ładowany benzyną. Mija zaległy baon, pełnym gazem podjeżdża pod wał. Każda pięćdziesiątka wału jest przystrzelana, mucha, zdawałoby się, na nim nie siadzie. Kapral kierowca, którego nazwiska nie może sobie porucznik Kiedacz przypomnieć, wdrapuje się na wał, uruchamia ciężarówkę i sprowadza z wału. Porucznik Kiedacz siada do kierownicy łazika i pod ogniem armatnim wyprowadzają oba wozy.

Można było pod ogniem uprowadzić łazika, ale nie można odbudowywać mostu. Ogień potężnieje z godziny na godzinę. To wtedy na wysokości Wyszogrodu pseudobatalionik majora Peruckiego, podążający wytrwale za kawalerią na wozach taborowych, traci kapitana Finka i porucznika, którego nazwiska nie zdołałem ustalić, trafionych pociskami artylerii.

Wszystko więc spływa dalej lewym brzegiem aż do Modlina. Jak wąski lej ściąga rozlewisko wody, tak szeroki wachlarz wojsk pod modlińską przeprawą musi spływać na jedną szosę. Robi się ścisk i zator nie do przebycia niemal. Godzinami stoją stężone wojska w ciemności nocnej. Co pewien czas rozbłyska pół nieba żółto i czerwono. To Kazuń, przyczółek wysunięty Modlina, daje znać - że trwa...

Budowany w czerwonej cegle Modlin - Kudak wiślany, strzegący wideł Wisły i Bugo-Narwi - pęcznieje w załogę, sposobi się do przyszłej swej roli, aby nie paść prędzej niż Warszawa, aby męstwem, które wróg nawet uszanował, zostawiając broń boczną zwyciężonym, zadać kłam sloganowi niemieckiemu, wbijającemu w opinię świata poecie Achtzehn Tage Feldzug in Polen.

Przez most przepchnął się już 26. Pułk Ułanów. Ale kiedy nadciągnęły dalsze siły brygady, zastały na moście dwu oficerów z rozkazem od generała Przedzimirskiego: aby wracać do Puszczy Kampinoskiej i

249
współdziałać z generałem Bortnowskim. Generał Anders ma się udać do Rembertowa do generała Przedzimirskiego.

Żołnierz zmęczony wielogodzinnym marszem, poczyną zawracać i pchać się pod prąd uciekinierów. Generał Anders przejeżdża most i udaje się do kwatery generała Przedzimirskiego w Rembertowie. Generałowie omawiają sytuację. Generał Anders ma przejść pod rozkazy generała Kutrzeby. Armia tego generała stała beczynnie przez tydzień w worku poznańskim, nie niepokojona przez nieprzyjaciela, na próżno czekając na rozkazy, podczas gdy Niemcy likwidowali opór na

obu jej skrzydłach. Wreszcie podażyła na zachód, co spowodowało odciągnięcie Niemców od Warszawy i bitwę pod Kutnem, po czym część armii Kutrzeby po przebicju się, zasiłała garnizon warszawski i podjęła obronę stolicy. W tej armii jest Brygada Wielkopolska, a w niej 15. Pułk Ułanów, którym tyle lat dowodził generał Anders; w tej armii jest Brygada Podolska Jazdy - stworzy się przez to potężny kułak kawalerii w tej wojnie ruchowej, w której możliwość odrywania się od nieprzyjaciela stanowi o całości oddziałów.

Ale te plany przerywa telefon od generała Rómmela, który podaje rozkaz Naczelnego Dowództwa. Łączność już jest poprzerywana, szyfry podostawały się w ręce nieprzyjaciela, dowództwo więc telefonuje ciałem, używając swego szyfru, jakiego używają sztubaki i pensjonarki, komunikując sobie, że "starszy ołówek bibuli się w atramencie", tzn. że starszy brat kocha się w Jóźce.

Rozkaz brzmi: "Wyścigowiec podeprze pana z wąsikami. Ma przyjść w rejon Wiązowny i meldować się".

"Wyścigowiec" to generał Anders, który miał stajnię wyścigową.

"Pan z wąsikami" to generał Rómmel, który nosił charakterystyczne wąsiki.

Generał Rómmel organizuje obronę Warszawy. A więc należy znów zawracać spod Puszczy Kampinoskiej już raz zawróconą na moście modlińskim brygadę i prawym brzegiem poprowadzić ją pod Warszawę.

Generał Anders niezwłocznie wyrusza dopilnować tego zadania.

Wojska ruszają z powrotem. Pułk 26., który w swoim czasie przeszedł most i był zawrócony już pod Jabłonną, otrzymawszy rozkaz kontrmarszu, zrobił razem w nieopisanym ścisku szosy sto piętnaście kilometrów. Słuszniej będzie jeszcze ocenić wysiłek żołnierza, zważywszy, że w czasie trzydziestodwunastogodzinnego marszu miał zaledwie cztery godziny odpoczynku, a trzydzieści pięć godzin pozostawał w siodle.

Woda we wszystkich studniach wyczerpana jest do cna.

Wojska więc idą z powrotem nocą przez podziurawiony pociskami most Modlina, pod wstrzelanym i nękałym i nocą ogniem artylerii niemieckiej strzelającej z Zakroczymia. Z wyżywieniem jest źle. Dowództwo

Modlina szykując się do oblężenia, odmawia żywności przeciągającym oddziałom. Bo wiadomo, że już Niemcy weszli do Sochaczewa, że jakiś ich oddziałek przeprawił się już pod Karczewem przez Wisłę, że pętla dookoła Modlina się zamyka.

Ale żołnierz przedziwnie sobie radzi. Byle złapać w jakiejś rozbitej kuchni po drodze wór soli - resztę dadzą wsie przydrożne, osłupiałe, zapadłe w smutku, wynosząc skwapliwie dla żołnierza wszystko, co było pod ręką, choć wiadomo było, że ten żołnierz odejdzie.

Żołnierz więc miał co dzień gorącą strawę, patrzył koni jak oka w głowie. Brygada była cała i nie rozbita w tę noc przechodzenia Wisły.

Szli więc przez most modliński - o trzydzieści dwa kilometry od Warszawy, wzięli na południe wzdłuż prawego brzegu Wisły - przez Nowy Dwór, przez Jabłonne, piaszczystymi drogami Mazowsza, między ogrodami i ogródkami coraz zagęszczających się miejscowości podmiejskich. Nad głową dach obronny dawała im Bugo-Narew, na prawo od wroga oddzielała Wisła, na lewo był wschód kraju, w który jeszcze nie weszła wojna.

Konie skubały wystającą łaskawie zza płotów zieloność, żołnierz poprawiał się na siodle i poczynął spokojniej myśleć. Myślenie to jednak było ciężkie. W niecałe dwa tygodnie oto przybył pod stolicę, a w stolicy pono rządu już nie ma...

Zatętniły kopyta po kocich łbach Grochowa. Pragą przechodziła no-

wogródzka brygada, nie zahaczając stolicy. Szarzy ludzie szli pod ścianami, nie wiwatując, nie rzucając kwiatów, uważnie patrząc na ciągnące wojsko. Już przed sześciu dniami wyjechał rząd i możni, już przed pięciu, wezwany przez apel z radia, lunął potok uciekającej ze stolicy biedoty, już przed czterema na Ochocie pokazały się pierwsze czołgi niemieckie.

Patrzył obywatel Grochowa, przez który ciągnęła opętana ucieczka poprzednich dni, uważnie na żołnierza, ale nic sobie nie mógł wywróżyć z tego patrzenia. Żołnierz jechał jak za dawnych, dobrych, pokojowych czasów - trójkami, szarże na należnych miejscach. Lance... Dościągnięte popręgi... Wózki z cekaemami w należnych interwałach... Przeszli i poszli dalej. Piaskami lotniskowymi. Na Wawer, gdzie szarżowali ci sprzed stu dziewięciu lat, na Anin, w którym, gdy ich nie stało, rozegrał się akt straszliwej rzezi.

W trójkacie między Wawrem, Otwockiem i Mińskiem Mazowieckim stanęli w majątku Wiązowna. Rozkułbaczyli. Wystawili ubezpieczenia i zasnęli pierwszym spokojnym snem.

Sen jest skromnym przywilejem żołnierza, który nieraz jest poskąpiony dowództwu.

251

NATARCIE NA MIŃSK MAZOWIECKI

Bo na dowództwo spada nowe zadanie. Generał Anders ma objąć grupę, złożoną z brygad nowogródzkiej (obejmuje dowodzenie pułkownik Żeliński) i wołyńskiej pod pułkownikiem Filipowiczem, 19., 21. Pułk Ułanów i 2. Pułk Strzelców Konnych - i wreszcie grupa pułkownika Grobickiego, złożona z niedobitków Brygady Kresowej i KOP-u.

Sztab grupy sformował generał z oficerów, którzy świetnie wywiązywali się z najcięższych zadań, nie zawodzili do końca, byli wszędzie, gdzie tego wymagała chwila. Generał Anders mówi o ich pracy z najwyższym uznaniem. Szefem sztabu grupy został major dyplomowany Adam Sołtan, oficerem operacyjnym rotmistrz dyplomowany Stanisław Kuczyński. Obaj oni zginęli wraz z grupą oficerów ze Starobielska. Oficerem wywiadowczym był porucznik Zbigniew Kiedacz.

Dowódca nowo utworzonej grupy jedzie zameldować się do generała Rómmła. Ulice Warszawy są puste, bruki powyrywane, spiętrzone barykady, wywrócone tramwaje, poprzeciagane druty. W mieście stoi ciężki i beznadziejny nastrój - dopełnienia obowiązku bez żadnej nadziei. Nastrój ten potem, kiedy weszły duże siły Kutrzeby, zmienił się na lepszy.

W ponurym zamczysku podziemnym Naczelnego Dowództwa, na ulicy Rakowieckiej, zbudowanym w tak absolutnej tajemnicy przed wojną, że cywile nic o tym nie wiedzieli, generał Anders otrzymuje nowe zadanie. Ponieważ Niemcy sforsowali Narew i idą na Mińsk Mazowiecki, uderzyć na nich, a przez to dać czas Warszawie na poczynienie przygotowań obronnych. Z lewego skrzydła natrze grupa generała Zulaufa i grupa generała Małachowskiego. W natarciu nie weźmie udziału grupa pułkownika Grobickiego, która zabezpieczy tyły grupy generała Andersa, obsadzając Wisłę w rejonie Otwocka, natomiast do grupy zostaje przydzielona 10. Dywizja Piechoty generała Ankowicza. W starym dworze w Wiązownej, ocienionym stuletnim starodrzewiem, wypracowano gorączkowo rozkaz operacyjny ćwiczeń przedwojennych. Oś, którą ciągnął nieprzyjaciół - szosa na Mińsk Mazowiecki, była odległa o trzydzieści kilometrów. Na tak wielką odległość miało ruszyć natarcie bez uprzedniego rozpoznania i, co gorsza, bez map, wojska bowiem miały jedynie mapy rejonów swego postoju. A któż

252

mógł przypuszczać, że nieprzyjaciel nie pójdzie równolegle po bliższej osi?

Nadto, zanim ruszyło natarcie, już się okazało, że przedłużenie nasze na lewo, w którym miały być grupy Zulaufa i Małachowskiego zaje pustką. Tyły, które miała osłaniać skłębiona grupa pułkownika Grobickiego, również były nie zabezpieczone. Gdzieś pod Karczewem, pod którym przeszli już Wisłę Niemcy drobnymi oddziałami, znajduje się dobry pułk KOP-u, pod dowództwem pułkownika Kopcia i błąka się jeden batalion Obrony Narodowej bez amunicji. Pod Otwockiem, poza grupą pułkownika Grobickiego, jakieś dwa szwadrony 22. Pułku Ułanów z baterią DAK-u, która nie ma amunicji.

Wisła, rzeka magistralna, płytka tego roku jak rzadko, pełna brodów, nie obsadzona dostatecznie.

Zapewne przy pokojowej grze wojennej dowódca, któremu by dano takie zadanie, widząc jego nierealność zameldowałby, że zadania wykonać nie może. Ale w te dni 12 września pełniła się już nie gra wojenna, a gra o honor munduru.

Oddziały stoją w pozycjach wyjściowych. Ale jeszcze nim ruszyło natarcie, zdarza się incydent, który mógł wszystko pokrzyżować. Posuwające się wojska niemieckie wysyłają na boki patrole. Jeden z nich, w sile czterdziestu koni, dociera do miejsca, gdzie stał generał Anders z odwodem 4. Pułku Strzelców Konnych.

Nie chcąc się zdradzić strzelaniną, wysła przeciwko niemieckiemu patrolowi pluton liczący około trzydziestu szabel.

Sztab, stojący na wzgórzu, ma możliwość obserwowania widoczku, tylokrotnie przerabianego na ćwiczeniach, tylokrotnie marzonego przez podchorążych kawalerii i tak rzadkiego w tej wojnie maszyn.

Nasi najprzód szli stępą, potem weszli w kłus i wreszcie w galop.

Pochyliły się lance, Niemcy ściągnęli konie i poczęli uciekać. Nasze konie rozsypały się nierówną gromadą, lepsze wysforowały się w przód. Oficer, idący o dwie szkapy w przód, ściął pierwszego Niemca jak łożę na ćwiczeniu. Zaraz potem ułan zsadził lancą drugiego. Poszły lance w ruch - dziesięciu przebitych Niemców zostało na polu.

Nie ma więc co czekać, należy natychmiast ruszać z natarciem. Pomimo wielkie handikapy, uwieńczone ono zostało powodzeniem. Ciągająca szosą niemiecka 11. dp, otrzymawszy uderzenie w bok, musiała stracić czas na przegrupowanie się.

Ciężka artyleria niemiecka weszła w akcję dopiero w dwie godziny o zawiązaniu się walki. 9. DAK, świetnie dowodzony przez pułkownika Rohocińskiego (który następnie we Francji otrzymał czwarty stopień *Virtuti Militari*), czynił niesłychane spustoszenie. Gdy weszła w grę niemiecka artyleria ciężka (niemiecki pułk piechoty jest wyposażony w dwa działa ciężkie), atak polski się rozżarł. 9. DAK bije silnie i nieustę-

253
pliwie. Na skrajnym prawym skrzydle, na Siennicę, idzie 25. Pułk Ułanów. Jego tankietki, samochody pancerne i szwadron cyklistów wysunęły się daleko w przód, zastępują Niemcom drogę. Szwadron, idący na lewym skrzydle brygady wołyńskiej pod dowództwem porucznika Wojciecha Gumińskiego, już dojechał do Mińska Mazowieckiego, już pędzi, już za chwilę będzie w ulicach miasta, zasiądzie okrakiem w domostwach na osi niemieckiego marszu i .wstrzyma, stłoczy ten marsz masakrowany przez nasze boczne uderzenie! Ale porucznik Gumiński wpada pod Mińskiem w nie rozpoznane trzęsawiska, a w Mińsku już czekają narychtowane cekaemy niemieckie...Grzęzną w błocie po brzuchy konie, ułani zeskakują, ciągną za uzdy, sami toną. Już ich coraz mniej j...Tak zginął szwadron porucznika Gumińskiego.

Ale gorsza tragedia, niż wystrzelanie w pień szwadronu, czeka gene-

rała Andersa. W godzinach popołudniowych, w czasie kiedy grupa jest związana najbardziej zażartą walką, przychodzi przez radio rozkaz od generała Rómmela: "Z rozkazu Naczelnego Dowództwa niezwłocznie oderwać się od nieprzyjaciela i przejść na południe do odwodu Naczelnego Wodza".

Generał Anders odpowiada, że jest związany walką, że oderwie się zmierzchem, że odrywanie oddziałów spieszonych w dzień grozi masakra. Ale rozkaz jest nieubłagalny i wyraźny.

Po oddziałach idzie rozkaz odwrotu. Żołnierz nie może zrozumieć... Przecież wreszcie walczy, strzela, posunął się w walce naprzód już o piętnaście kilometrów, widzi trupy niemieckie, bierze niemieckiego jeńca... Oficerom się marzył piękny wyczyn: że kawaleria rozbiła dywizję piechoty.

...Aparaty telefoniczne powtarzają matowym werblem: "oderwać się od nieprzyjaciela... oderwać się...".

Do skraju błot, w których zginął szwadron porucznika Gumińskiego, dopęłnża wierna szpula kabla. Porucznik Gumiński, dosiadający silnego huntera, wyciągnął się z krwawego kąpieliska. Jego dowódca, pułkownik Filipowicz, daje rozkaz odwrotu.

- Melduję posłusznie - słyszy głos porucznika Gumińskiego - że szwadron poprowadziłem do ataku przez błoto, którego nie rozpoznałem, że dostał się w ogień karabinów maszynowych i zginął, więc rozkazu spełnić nie może, a ja też... zostaję ze szwadronem.

Porucznik Gumiński odebrał sobie życie.¹

¹ Według opowiadania śp. podpułkownika Kiedacza.

254

I ZNOWU PIĘKNIE ZORGANIZOWANA

GRUPA

Naczelne dowództwo zarządziło to oderwanie się, wówczas już bowiem zaistniał plan zapchnięcia się w pięć południowych powiatów, mając zaplecze rumuńskie za sobą. Tę taktykę potem stosował generał Michajłowicz, co prawda w stokrotnie lepszych warunkach terenowych. Marszałek Rydz-Smigły chciał mieć kawaleryjską osłonę odwrotu w rejon owego południowego trójkąta.

Jak można wnosić z książki generała Norwida-Neugebauera, rozkaz ów był wydany o dwa dni wcześniej. Można suponować, że generał Rómmel przetrzymał go, chcąc uzyskać nieco czasu dla przygotowania do obrony Warszawy. Wobec jednak marszu już w owym czasie na Warszawę generała Kutrzeby, Niemcy i tak i owak przestaliby się zajmować Warszawą aż do bitwy kutnowskiej. Gdyby zaś grupa generała Andersa nie była przetrzymana dwa dni, zapewne jej żołnierz w całości dostałby się na Węgry, jak następnie wykazały wypadki.

Bo odrywanie się nie było bezbolesne. Zagubił się pułkownik Schweizer z częścią swego 26. Pułku Ułanów (który następnie się zebrał). Ciężka artyleria niemiecka, posuwając się na ciągnikach zdybała koniowodów - prysnęło ze trzysta-czterysta koni na trzy-cztery kilometry. DAK odgryza się, zasłania ten galop, choć ogień koncentruje się na jego bateriach.

Podając rozkaz oderwania się claiem, zakończył go szef sztabu obrony Warszawy, pułkownik Pragłowski, słowami: "Więcej się nie zobaczymy; życzę żołnierskiego szczęścia".

Generał Anders daje dyрекcję marszu: w lasy na południowy zachód od Garwolina.

Poczyna się piekielny marsz po osi drogi Warszawa-Garwoli. Oś ta to korytarz między dwoma ścianami artylerii niemieckiej, strzelającej na szosę i od wschodu i od zachodu.

Generał Anders po raz pierwszy siada do auta. Porucznik łączności, siedzący przy kierownicy auta generała, zostaje ciężko ranny odłamkami granatu. Porucznik Kiedacz stoi na stopniu auta. Za każdą zamiecią metalu, która leci nad autem, przytula się do karoserii - przesąd każe wierzyć, że lepiej się trzymać człowieka, który był wiele razy w ogniu. Naokoło nad lasami widać spadochrony niemieckie. Lądują masami

255
w jakichś swoich sprawach, rządzą się, jak chcą, na tej ziemi, której nie staje sił bronić. Jak widma stoją kominy Garwolina. Zarzą się zgliszcza, w których grzebią skamieniali z bólu ludzie.

Pod Potasznikiem natykają się na wielkie pobojuwisko zmasakrowanych przez broń pancerną taborów. "Widok straszny. Trupy ludzkie i końskie w rozkładzie, niektóre zmiażdżone, inne zabite kulami. Wozy połamane, jeszcze i parę armat uszkodzonych - tu i ówdzie walizka rozpruta i tak wypatroszona, że nawet identyczności właściciela nie można ustalić".¹

Żołnierz po raz pierwszy widzi to, czego się dotąd tylko domyślał: pogrom. Zdarza się fakt - niby pukanie śmierci do okna: odbity dowódca 2. Pułku Ułanów, pułkownik Schweizer pali sztandar. Jest to 14 września.

- Pewno od tej chwili poczynają się dezercje? - pytam uczestników zdarzeń.

- Nie. Dezercji nie mieliśmy aż do samego końca.

Podpułkownik Perucki (wówczas major, dowódca owego samodzielnego baonu piechoty) opowiada:

"Jeszcze pod Modlinem spotkałem sędziego i sekretarza jakiegoś sądu wiozącego depozyty. Było tego siedem tysięcy złotych, oddali mi za pokwitowaniem, bo mi trzeba było pieniędzy na żywienie żołnierzy i żołąd. Wsadziłem pieniądze w chlebak. Przechodząc pod Warszawą, skoczyłem do żony, którą ostatni raz wówczas widziałem, dała mi bieliznę, którą też wepchnąłem w chlebak. Przyplątał się jakiś saper z chorą nogą, wziąłem go na ordynansa. Podczas bitwy o Mińsk Mazowiecki dałem mu chlebak i mówię: «Pilnujcie tego, bo to - skarb». Potem ta cholerna artyleria na ciągnikach nas dopadła, akurat jakeśmy kończyli gotować nocą. Krzyczę: «Zjedzcie zupe, bo czy zabije was - nie wiadomo, a że głodni będziecie, to wiadomo na pewno». Potem drałowaliśmy po 30-45 kilometrów dziennie i tylko dzięki temu, że brygada otrzymała dwudniowy odpoczynek, doszłusowaliśmy znowu do me). Kiedy generał Anders nas zobaczył, roześmiał się: «Ci znowu są!». Otóż w tym wszystkim zagubił mi się saper i chlebak. Co prawda, to już człowieka przestało obchodzić. Tyle naokoło ginęło dorobku ludzkiego. Przechodząc przez pewną stacyjkę, znaleźliśmy pełną cysternę. Kazałem ją zniszczyć. Widzę, że żołnierze się certują: «Ty strzelaj» - «Ty sam możesz strzelać». Chłop uważa rzucenie kawałka chleba na ziemię za grzech. Ręka chłopska, która żegna bochenek chleba przed jego napoczęciem, nie decydowała się podnieść na dorobek ludzki.

¹ Ludwik Schweizer: Wojna ber. legendy

256

Tymczasem kiedy mieliśmy ruszać z Łaskarzewa, dopchał się za mną zaganiany, zmordowany piechur i wręczył chlebak. Noga mego sapera rozpuchła, oddał chlebak mijającemu żołnierzowi, kazał mu przysiąc, że mnie znajdzie i odda chlebak «bo to skarb». W ten sposób mogłem zmienić koszulę."

Zna generał Anders te drobinki bezimienne żołnierskie, z których emanuje poświęcenie, upór i odwaga. Wie, że takich saperów, pełniących do ostatka swoje skromne obowiązki, kapralów, gotowych spod

ognia wyprowadzić porzucone ciężarówki, ułanów, ruszających z lancami do natarcia wręcz, artylerzystów, zostających na nie osłanianej pozycji i strzelających na wprost przy zasłanianiu odwrotu, poruczników Radziwanowskich, rzucających się w dziewięć koni na rozwiniętą kompanię i ginących, poruczników Gumińskich, dołączających do swego szwadronu za wrota śmierci - jest wielu, jest bardzo wielu...

Generał ma rozkaz Naczelnego Dowództwa: podporządkowywać sobie napotkane oddziały.

I kiedy dopalający się Garwolin kurzy złowieszczym dymem, a naokoło widać lądujące samoloty nieprzyjaciela, dowożące żywność i amunicję - zbiera "wyścigowiec" rozbite oddziały, włącza pod swoją komendę: pułkownika Albrechta z I. Pułku Szwoleżerów z dwoma szwadronami, dywizjon majora Kuleszy z 7. Pułku Ułanów, dywizjon 11. Pułku Ułanów, jakieś kupy już nie noszące żadnej nazwy.

Kolumny transportowe pełne - karmią dołączonych.

Za wcześnie na palenie sztandarów, na zakopywanie orłów, na rozpuszczanie żołnierzy do domów, na składanie z siebie odpowiedzialności. Wojna - trwa.

W bajkach opowydanych polskim dzieciom figuruje straszna Baba-Jaga, ścigająca dobre dzieci - Jasia i Małgosię - w omal zmotoryzowanej stęporze. Kiedy jest bardzo źle, Jasio rzuca za siebie grzebień i wyrasta osłaniający las. Albo ręcznik - i między nim i Babą-Jagą wije się rzeka.

Grupa generała Andersa skoncentrowała się i odpoczęła właśnie w lesie poniżej Garwolina. Należało teraz położyć między siebie i nieprzyjaciela rzekę.

Tym razem był to Wieprz. 25. Pułk Ułanów ruszył pierwszy i przeszedł go brodem. Dla artylerii i taborów jednak niezbędny był most, położony wyżej. Generał udał się samochodem i zdażył w ostatniej chwili przeszkodzić patrolowi 4. Pułku Ułanów, podpalającemu most. Przeprowadziwszy grupę, generał zostawia na Wieprzu, w Rykach i Ły-
257

sobykach osłony i idzie w rejon Michów-Baranów, gdzie 15 i 16 września poświęca na odłączenie piechoty i taborów oraz wypoczynek i reorganizację. Resztki kresowej brygady zostają wcielone do brygady wołyńskiej. Oddziały piechoty poddane dowódcy 10. dp, która ponownie dołączyła.

I znowu generał stoi na czele dwóch pełnych zaopatrzonych brygad kawalerii, ze swoim nienaruszonym 9. DAK-iem, z resztkami DAK-ów brygad wołyńskiej i kresowej, ze swoim kompletem pepanców, z dywizjonem rozpoznawczym samochodów pancernych.

Nim grupa się zreorganizuje, generał usiłuje sobie zdać sprawę, jakie oddziały polskie ma w sąsiedztwie. Jedzie do Lublina, gdzie organizujący oddziały obrony, eks-posel, major kawalerii Dudziński, odniósł właśnie jakiś sukces w wypadku przeciwko Niemcom. Kiedy generał dwa dni potem znowu był w Lublinie, nie zobaczył już majora Dudzińskiego, który poległ wraz z synem.

Podobno w tym rejonie otrzymał generał Dąb-Biernacki misję tworzenia armii odwodowej.

Desygnowany na poszukiwania pułkownik Grobicki wykrył generała Dęba koło Chełma i przywiózł jego żądanie, aby grupa generała Andersa przeszła w rejon Hrubieszowa.

Ponieważ termin podany przez generała Dęba wymagał tego przejścia w czasie równającym się niemal lotowi ptaka, generał Anders sam gdzie rozmówić się z dowódcą armii odwodowej. W Chełmie znajduje masę wąsającego się wojska, szereg oficerów sztabu, generała Prze-

drzymirskiego, ale nikt nie wie, gdzie kwateruje generał Dąb-Biernacki. Szczęśliwym trafem odnajduje go w jakimś foTwarczku; podczas kiedy przez pułkownika Grobickiego dawał rozkazy, to teraz nie chce przyjąć podporządkowania generała Andersa. Nie chce zabronić swoim wojskom niszczenia przepraw na drodze posuwania się grupy generała Andersa. Nie wiadomo w ogóle czego chce, robi wrażenie skończonego człowieka.

Rozmowa, prowadzona w obecności pułkownika Obertyńskiego, kończy się ostrym oświadczeniem generała Andersa, że jeśli generał Dąb-Biernacki nie czuje się na siłach dowodzić, to powinien ustąpić. Poczuć się bez dowództwa to ciężka rzecz. Gorsza jeszcze rzecz miała spotkać generała Andersa tegoż wieczora.

Sztab rezydował w Kozłowce hrabiego Leszka Zamoyskiego, syna Adama. Gospodarz, major rezerwy Pułku Ułanów Krechowieckich, robił wszystko, aby koledzy-kawalerzyści czuli się jak u siebie i odpoczęli przed dalszym pochodem. W atmosferze starej służby, pięknej zastawy, wyszukanych potraw, lśniących białością łazienek i cieniutkich prześcieradeł ogarniających ciało przyjemną świeżością, teraz, za tym ręczni-

258
kiem Wieprza oddzielającym od zmotoryzowanej Baby-Jagi, w poczućiu tego, że naokół są dyslokowane dwie pełne brygady kawalerii o pełnym niemal ekwipunku i 10. dp, chciało się niemal zapomnieć o klęsce, wierzyło się, chciało się wierzyć wszystkimi starganymi nerwami, odprężeniem całego zmęczonego ciała, że walka jest sensowna, że walka jest równa, że walka jest możliwa.

Generał nigdy nie wierzył bajdom rozsiewanym obficie, że już skruszona linia Zygfryda, że Berlin w gruzach, że flota angielska weszła na Bałtyk. Ale wiedział, że na południu są znaczne, nienaruszone siły, liczył się z planem umocnienia się w górzystym trójkącie południowym, trudnym dla czołgów, dającym schron przed samolotami, świetnym dla obrony, mającym zaplecze zaprzyjaźnionego państwa, a przez nie łączność z potężną produkcją aliantów.

Cóż dziwnego, że dnia siedemnastego września wieczorem, przy kolacji w gościnnym dworze kozłowskim, nastrój był dobry i niemal przedwojenny.

Gdy nagle w ten nastrój wlał się komunikat radiowy: bolszewicy, jako sojusznicy Niemców, wkroczyli do Polski...

Oslupieli zebrani przy stole. Oczy wszystkich skierowały się na generała.

To jest ciężka chwila dla zawodowego wojskowego, kiedy nagle musi się poczuć wszystkim: dowódcą grupy, naczelnym wodzem, prezydentem, parlamentem i rządem.

Generał poprawił się w krześle - wyglądało to jakby brał dosiad w siodle.

- Proszę panów o uświadomienie żołnierzy, że ten komunikat jest chwytem niemieckim. Walczymy dalej.

PRZEBICIE SIĘ NA SUCHOWOLE

20 września generał jedzie ponownie do generała Dęba-Biernackiego naradzić się nad sytuacją. Folwarczek, w którym kwateruje Dąb-Biernacki, jest otoczony żandarmerią. Wóz generała jest zatrzymany w dużej odległości, aby nie zdradzić przed lotnikami gdzie stoi sztab. Istotnie, krążą samoloty niemieckie i ostrzeliwuje je nasza artyleria przeciwlotnicza.

Pierwsze słowa, jakimi spotkał generała Andersa Dąb-Biernacki, to była wiadomość o przekroczeniu granicy przez Naczelnego Wodza, o jego rozkazie przedzierania się do Rumunii, a w razie gdyby się to już

nie udało - na Węgry.

Zostaje stworzony plan przebicia się przez linie niemieckie i pójścia na południe. Grupie odebrana zostaje 10. dp, natomiast podporządkowana brygada pułkownika Zakrzewskiego i teoretycznie brygada pułkownika Karcza. Teoretycznie, gdyż brygada pułkownika Karcza znajdowała się daleko w tyle i nigdy do grupy generała Andersa nie dołączyła. Z brygady pułkownika Zakrzewskiego również dołączył tylko pułk pułkownika Druckiego-Lubeckiego.

Gotuje się wielka operacja.

Generał Olbrycht, do którego grupy włączono 10. Dywizję Piechoty, ma uderzyć na prawym, północnym skrzydle - na Zamość. Grupa generała Andersa ma uderzyć na szosę Zamość-Tomaszów w kierunku na Suchowolę.

Generał Kowalski z I. Dywizją Legionową ma uderzać na lewym południowym skrzydle - na Tarnawatkę.

Jeszcze bardziej na południe działa grupa generała Wołkowickiego. To rozrzucenie sił szerokim wachlarzem osłabia siłę uderzenia. Tak jakby kto bił rozczapierzonymi palcami zamiast pięścią.

Wojska ruszają. Ale Niemcy widzą, że narasta nowy opór. Ponawiają się gęste naloty. Świtem 20 września lotnik niemiecki wykrył ogon maszerujących brygad i rozpoczyna się sądny dzień. Sztab kwateruje w majątku Kiwerskich pod Rejowcem. Dwór, jak wszystkie dwory w tej strefie wówczas, jest pełen uciekinierów. Pani domu sumituje się, że do obiadu trzeba będzie siadać w dwie kolejki. Zabawne są te nawyki gościnności wobec grozy wojny. Byłem w jednym z takich dworów, który

stał się zajezdną karczmą. Ale starano się dawać obiady z deserem i czystymi serwetami przy każdym nakryciu i chociaż gospodarze szaleli, nie mogąc sobie z tym wszystkim dać rady, pani domu, wyruszających w dalszą drogę gości, żegnała niezmiennie na ganku sakramentalnym: "Cóż się państwo tak spieszą? Państwo nie łaskawi...".

Nagle na dwór poczyną się nalot. Cywile chowają się po piwnicach i nagle nie ma kwestii dwóch kolejek. Wojsko zasiada do stołów i jedną kolejką spożywa dary Boże. Nalot trwa dwie godziny. Czterdzieści bombowców bombarduje nawrotami z bliskich lotnisk.

Po obiedzie generał Anders, mówiąc eufemicznie - "udał się na spoczynek". Włożył piżamę i wyszedł w niej do żołnierzy. Piżama podzielała uspokajająco.

Straty z tego bombardowania były znaczne: w 26. Pułku Ułanów ośmiu ludzi i dwadzieścia koni rannych lub zabitych, w stojącym obok 9. DAK-u - sześćdziesięciu ludzi i sto dwadzieścia koni. Straty też poniosły inne pułki.

Napór piechoty niemieckiej wzrasta. Ale przecież uda się gdzieś kawalerii przebić dziurę, którą przecisnąć się i reszta wojska...

22 września rozpoczyna się polskie natarcie. Biorą w nim udział brygady nowogródzka i wołyńska,

Nim jeszcze ruszyły, idący w rozpoznaniu porucznik Gierlecki urządził zasadzkę, zniszczył kilka czołgów niemieckich, wziął kilkudziesięciu jeńców, a wśród nich dwóch oficerów niemieckich z dokumentami.

Przed północą pozycje niemieckie w rejonie szosy zostały opanowane, aczkolwiek poniesiono straty. Sam pułk 25. miał około czterdziestu zabitych i rannych. Generał Anders radiem melduje generałowi Dębowski, że przejście wolne i że rusza ze swoją grupą tym przejściem.

Świtaniem następnego dnia gros grupy przekracza szosę. Najpierw szwadron straży przedniej pod porucznikiem Gierasińskim. Potem 2.

Pułk Strzelców Konnych w pieszym szyku.

Odwody niemieckie, jakie tymczasem podeszły pod szosę, zepchnęły nasze patrole i zajęły przejście. Ogień Niemców się wzmacnia. Nasze pepace walą w wieś, by ją zapalić, wykurzyć Niemców i otworzyć sobie drogę.

Generał Anders, mając ze sobą porucznika Kiedacza, starszego ułana Moroza i jeszcze jednego ułana, przesadza szosę, zajęta przez Niemców, o jakie czterysta metrów od nich.

2. Pułk Strzelców Konnych, widząc dowódcę przed pierwszą linią, rusza pod dowództwem podpułkownika Mularczyka, który ma chorą nogę, na bagnety. Generał Anders wjechał na górkę, leżącą z tamtej strony szosy i obserwuje z niej walkę.

261

Nasi rzucają granatami w leżących na improwizowanych pozycjach Niemców.

- Zobacz, co we wsi - mówi generał do porucznika Kiedacza.

Porucznik Kiedacz w towarzystwie ułana zjeżdża galopem z góry, okrąża przez las jakiegoś pięćset metrów i zbliża się od tyłu do Majdan-ka.

Majdanek, ten właśnie Majdanek, w którym potem Niemcy urządzili jedną ze swoich katowni, jest cichy i wymarły - typowa wieś na tyłach. Jakaś radiostacja, jakieś samochody...

Porucznik Kiedacz wraca z meldunkiem. Na fajnej górze stoi generał Anders. Koń pod nim tańczy, Moroz za nim na siwku - dalibóg, jak na ćwiczeniach aplikacyjnych.

Widok, który teraz mają przed sobą, jest pełen emocji. 2. Pułk Strzelców Konnych, wspierany drugim DAK-iem, wwiązał się w akcję i poszedł na bagnety na szosę. Zrzucili resztki Niemców, przeszli do wsi, wykłuli, co się dało Niemców, siedzących po piwnicach, poniszczili granatami, spalili pięćdziesiąt samochodów.

W odległości czterech kilometrów widać, jak Nowogródzka Brygada Kawalerii w konnym szyku, z artylerią, z taborami, przekroczyła szosę i prze na Suchowolę. Z brygadą wołyńską idzie dyon I. Pułku Szwoleżerów i pułk brygady wileńskiej.

Już obie brygady przeszły szosę. Generał Anders zjeżdża do nich z góry - do ogona brygady nowogródzkiej, mija ją, dojeżdża do straży przedniej, w której idzie 25. Pułk Ułanów Wielkopolskich. Ten pułk to jakby syn macierzystego pułku generała - 15. wielkopolskiego. Dlatego na proporczykach ma te same barwy - podzielone tylko niebieską żyłką.

I właśnie kiedy dowódca szwadronu idącego na szpicy, porucznik Gierlecki, melduje się generałowi - na łące na prawo o czterysta metrów ukazują się trzy niemieckie czołgi.

- Zobacz pan, co to jest - mówi generał.

- Mam zobaczyć, co to za nieprzyjaciel - powtarza regulaminowo porucznik Gierlecki. Ten sam, który niebawem zapisze sobie szarżę na Krasnobród, przy czym weźmie kilkudziesięciu jeńców; który w szarży na Tomaszów stłamsił i rozproszył kompanię niemiecką.

- W lewo marsz! - szwadron idzie harcownikami galopem. Załogi niemieckie wyskakują z czołgów i podnoszą ręce.

Jakiż był istotny cel tej operacji?

Oto od pięciu dni byli na terytorium Polski bolszewicy. Niemcy co-

262

fali się na uzgodnioną z nimi linię demarkacyjną, otwierał się więc pusty pas między cofającymi się Niemcami a nadciągającymi bolszewikami. Szło o to, aby przemknąć się na tyłach niemieckich, nim dojdą bolszewi-

cy. Przebiwszy osłonę tych tyłów, generał Anders wszedł niejako w próżnię. Zostawiwszy na miejscu 4. Pułk Strzelców Konnych, niby dre-
naż, nie pozwalający zarosnąć przebiciu i dający możliwość ściekania si-
łom generała Dęba-Biernackiego, ruszył generał Anders z gros sił do
odległej o cztery kilometry Suchowoli.

W Suchowoli przed szkołą witają go, nie wierząc swemu szczęściu,
uchodźcy Banku Polskiego z Warszawy, którzy nigdy nie myśleli, że je-
szcze zobaczą regularnego polskiego żołnierza. Generał Anders wzywa
do szkoły pułkownika Filipowicza i powiadamia go o swoim planie:
chce maszerować lasami, przesuwając się wzdłuż tyłów niemieckich na
Sambor, chce uzyskać łączność z operującym na południu generałem
Sosnkowskim, a w razie, jeśli to zawiedzie - chce oprzeć się o Węgry i
stworzyć przedmoście dla przechodzących za granicę oddziałów.
Gdyby ten plan powziął pułkownik Maczek, który ze swoją grupą
pancerną znalazł się nad granicą węgierską na dziesięć dni przed genera-
łem Andersem, przeszłaby z bronią w rękę i grupa generała Andersa i
wiele tysięcy młodego liniowego żołnierza z innych oddziałów.
Trzeba więc ponownie przejść Wieprz, który zagradza drogę na po-
łudnie.

Generał każe odrysować mapę i dysponuje przeprawę brygady no-
wogródzkiej przez Krasnobród, a wołyńskiej - na zachód od Krasno-
brodu, pod Jacną.

Tymczasem przez dzień cały krwawi się na szosie 4. Pułk Strzelców
Konnych, ale nikt nie przybywa... Pod wieczór nadażył, znajda wiecz-
na, baonik majora Peruckiego. Jego straż przednia otrzymuje na szosie
z punktu ogień cekaemów niemieckich.

Major Perucki ustawia pepance na szosie, kieruje jedną kompanię na
lewo na przeciwuderzenie. Dowódca tej kompanii zostaje ciężko ranny
w pachwinę, jego zastępca w płuca, kompania umożliwiła przejście
resztkom baonu, ale sama już nie zdążyła oderwać się od nieprzyjaciela
i już więcej nie dołączyła.

Luka otworzona rano, zamknęła się definitywnie. Pułkownik Karcz
szedł forsownie i nie doszedł. W promieniu przeszło pięćdziesięcikilo-
metrowym rozrzucona wachlarzem armia generała Dęba nie zdołała na
ten punkt ściągnąć.

I. d.p.l. cały dzień ostrzeliwał Tarnawatkę i nie ruszył się z miejsca.
Utrudzony baonik, kicający po polskich bezdrożach przez czter-
dzieści cztery dni za konnym ludem, brnąc nocą, czuje się u kresu sił.
263

Kiedy dnieje, napotyka coraz większe liczby żołnierzy rozbitej armii
Piskora, którym dowództwo kazało iść do domów.

Nie ma co - dłużej tak pomykać się nie da. Major Perucki pozwala
tym wyczerpanym, którzy sobie tego życzą, opuścić szeregi. Pięćdzie-
siąt procent jednak zadeklarowało, że chce walczyć dalej. To był prosty
prowincjonalny batalion, w którym służyli przypadkowo werbowani
"Jasie". Byli oni poranieni, głodni, z obdartymi nogami, bez wieści od
rodzin od początku wojny, od rodzin, które teraz oczekują ich opieki.
Co tylko tamtą ich kompanię dziesiątkowały cekaemy niemieckie, ich to
samo mogło spotkać łąda godzina. A jak nie - to niewola, daleko od
rodzin i od ziemi. Na "chłopski rozum" biorąc, upieranie się przy wojo-
waniu nie miało sensu. A przecież połowa ich jeszcze deklarowała, że
chce walczyć.

Bo chłop polski z kultury narodu wraz z wadami wziął rycerską fan-
tazję.

Trzy swoje pepance (czwarte działko zostało rozbite) oddaje major
Perucki wraz z obsługą ściągającym z szosy skrwawionemu 4. Pułkowi

Strzelców Konnych.

Oddaje mu też wraz z obsługą swoich czternaście cekaemów. Zaczął wojnę z dwunastoma cekaemami.

Żołnierze stoją w szeregu - rozdaje im się żołd z onego chlebaka, z onych depozytów jakowychś pieniaczy. Łzy w oczach. Krótkie przemówienie - o tajnej walce w kraju.

Duch jest silny, ale ciało mdłe. Nim te wszystkie przygotowania minęły, wykruszyło się sporo innych. Zostało stu pięćdziesięciu. Po oddaniu obsługi dla cekaemów - siadło na podwozy sześćdziesięciu turystów. W tym wszyscy co do jednego oficerowie i sześćdziesiąt procent podoficerów.

WALKA O PRZEPRAWĘ

Rozpoczęła się przeprawa. Generał przeprowadza się z nowogródzka brygadą. W trakcie przeprawy uderzają Niemcy z lewej strony, od Tomaszowa, skąd szli na zatknięcie uczynionego wylomu. Właśnie ma się przeprowadzić 25. Pułk Ułanów. Znowu szarżuje jego pierwszy szwadron, pod porucznikiem Gierleckim. Trzykrotnie szarżuje porucznik Gierlecki po porębie leśnej, dając przez to możliwość trzem pułkom ułańskim i artylerii przejścia Wieprza.

Przy trzeciej szarży porucznik Tadeusz Gierlecki poległ.

Generał każe czterem cekaemom osłaniać przeprawę. Ale cekaemy można ustawić tylko tuż przy przeprawie, bo wzgórze obsadzili Niemcy. Niemcy już kładą ogień artyleryjski na przeprawie. 19. Pułk Ułanów zdążył wyskoczyć. 4. Pułk Strzelców Konnych, który ledwo nadążył z szosy tomaszowskiej i szedł w ariergardzie - nie przeszedł. Wykończony został w walce i nie poddał się. Pojedynczy, przekradający się następnie przez Wieprz, ułani meldowali śmierć zastępcy dowódcy pułku, majora Nowackiego.

Grupa idzie na Podklasztorne krajem leśnym, sosnowym. Pełno tu świeżych grobów rozbitej armii Piskora. Cicho jest w lasach sosnowych. Kraj jest jak brzeg morski w czasie odpływu. Idąc terenem odpływającej armii niemieckiej, brygada zbiera, ife dusza zapragnie, wozów, sprzętu, zapasów intendenckich i nie broniącego się jeńca. W pewnym miejscu spadają z drzew dwaj zestrzeleni Niemcy, którzy tam szukali ucieczki; ciągle wybuchają strzelaniny.

Tegoż dnia wieczorem sztab nocuje na plebani!. Ksiądz, wstrząśnięty klęską Piskora, mówi, że Polska się skończyła. Brygada przychodzi z innej atmosfery. Prowadzi jeńców.

Przybywa pułkownik Grobicki, przywożąc wiadomość, że brygadę wołyńską i pułkownika Zakrzewskiego odcięto na ich przeprawie.

Melduje się porucznik Bądryński z I. Pułku Strzelców Konnych.

Błąkał się kilka dni ze sztandarem na piersiach. Był w armii Piskora. Nacierali w kierunku Tomaszowa. Mieli początkowo powodzenie, potem zamknęła się przed nimi jakby głucha ściana. Zamiast próbować w in-
1 Przypis na str. 266.

265

nym miejscu, ciągle uderzali, z grupą pancerna pułkownika Roweckiego, w to samo miejsce. A wreszcie generał Piskor kazał się poddać. Była tam grupa generała Szylinga, resztki dywizji śląskiej generała Sadowskiego, brygada motorowa warszawska i inne jednostki. Nie chcieli się poddawać. Były protesty. Wypowiadanie posłuszeństwa. Spalili czołgi-

Porucznik milknie i patrzy w naftową lampę, jakby przed jego okiem jeszcze raz przesuwali się te sceny. ^

Zegar proboszczowski malowany w naiwne kwiatki, z ciężarkami na mosiężnych sznureczkach, poczyną rzeźić godzinę dziesiątą. Ktoś prze-

kręca gałkę radia. Polskiego radia już dawno nie ma, a kiedy było, nie umiało się zdobyć na jeden ludzki sensowny głos, nim nie ozwał się w ' W niewydanych wspomnieniach pułkownika Grobickiego znajdujemy następujący fragment dotyczący tej przeprawy: "W tej chwili zauważyłem stojącą beczynnie koło tartaku u brodu baterię. Wyciągnąwszy z niej jedno działo, postanowiłem ostrzelać nim na wprost, z otwartej pozycji, stanowiska niemieckie pod klasztorem i tym sposobem wykurzyć ich z tej wygodnej dla nich pozycji. Przy dziale usiadł mój adiutant, ppor. Kamiński, z zawodu artylerzysta 30. PAL-u, ja zaś osobiście kierowałem ogniem. Odległość była 1200 m, toteż strzelaliśmy z armaty jak z karabinu do poszczególnych ludzi. Granaty kładły się wiankiem koło Klasztoru, rażąc cekaemy i okopaną piechotę. Samego klasztoru nie mogliśmy ostrzelać, gdyż znajdował się w nim polski szpital polowy, zagarnięty przez Niemców i przepełniony rannymi, jak nam doniosła o tym nie-liczna pozostała ludność miasteczka. Rezultat naszego ognia nie dał długo na siebie czekać i Niemcy na łeb na szyję zaczęli opuszczać zajmowane pozycje, uciekając w stronę Tomaszowa. Widząc to część 25. p.uł. przeszła w bród rzekę w lewo od Krasnobrodu i w szyku konnym uderzyła na uciekających, goniąc za nimi po szosie do Tomaszowa. Walka od razu ustała i oddziały nasze zajęły klasztor, gdzie odbito szpital z rannymi i całym personelem doktorskim, oraz wielu jeńców polskich, których Niemcy w swojej ucieczce nie zdołali uprowadzić. Jadąc tam, oglądaliśmy po drodze rezultat naszych strzałów. Na łące pod klasztorem leżało kilkanaście naszych trupów i przewracało się sporo rannych. Z klasztoru wyszli nasi sanitariusze i zaczęli ich zbierać i opatrywać. Ppor. Kamiński, który ciągle się skarżył, że jako adiutant nie może wziąć bezpośredniego udziału w walce, był teraz nadzwyczaj szczęśliwy, że nareszcie mógł zobaczyć rezultat swojego bezpośredniego strzelania i to z takim wynikiem. Rozczulającym był widok naszych oficerów i żołnierzy, których uwolniliśmy z niewoli niemieckiej. Wraz z lekarzami i sanitariuszami sztafa me wiedzieli Jak nam się wywdzięczyć i obsypywali papierosami, częstowali chlebem i kawą. Kilkunastu jeńców niemieckich z ponurym wzrokiem przyglądało się temu. Nasi ludzie opowiedzieli nam, że parę dni temu dowództwo niemieckie ogłosiło swoim oddziałom, że wojna z Polską została zwycięsko zakończona i po defiladzie z orkiestrą część oddziałów odeszła w kierunku północnym, jak im mówiono - do domu. My przypuszczaliśmy, że ich przesuwano na front francuski. Było charakterystyczne, że jeńcy niemieccy prawie że nic nie wiedzieli o ogólnej sytuacji

międzynaro-

dowej i nie chcieli wierzyć, że Anglia też wypowiedziała wojnę Rzeszy Niemieckiej.

Toteż nie było nic dziwnego, że miny Niemców wziętych do niewoli były niewesołe gdy stwierdzili, że oświadczenia ich dowódców okazały się bluffem, a my nie myślimy

jeszcze o zakończeniu wojny, lecz, jak im to staraliśmy się wyjaśnić z uśmiechem

-

«dopiero ją faktycznie zaczynamy*».

266

nim schrypnięty głos prezydenta Starzyńskiego. Polska się karmi niemieckim radiem. Niemieckie radio mówi, że bolszewicy weszli do Lwowa. Oficerowie spojrzeli po sobie. Ostatnia nadzieja - połączenia z generałem Sosnkowskim we Lwowie i bronienia się tak, jak Warszawa się broni - prysła.

Ksiądz powiedział: - Wszystko przepadło.

Generał powiedział: - Wyruszamy o drugiej w nocy. Wzmocnić ubezpieczenia.

Za oknami stała głucha noc. Na tyłach plebani! na placu spało czterdziestu jeńców niemieckich, nakarmionych gęsiami uzyskanymi we wsi. Była to noc z 23 na 24 września, kiedy na punkcie przejściowym, skrzyżowania szos Krasnobród-Majdan i Tomaszów-Józefów, punktualnie o godzinie drugiej minut trzydzieści, tak jak było nakazane na odprawie, ukazał się szwadron straży przedniej.

Generał Anders stał na punkcie przejścia na swoim Carewiczu, sześćcioletnim karogniadym wałachu po Roi Bard i Kurtyzanie. Za nim wachmistrz Pietkowski, od kilkunastu lat nieodłączny od generała, prowadził zapasowego Regenta, znanego w Polsce z konkursów hippicznych. Widzą ułani generała i bez komendy prężą się, poprawiają dosiad, skracają wodze, biorą "lance w dłoń" i robią zwrot głowy, patrząc z podniesioną głową w oczy dowódcy.

Generał robi poprawki: "pięty do dołu", "wyżej broda", "strzemień na środek stopy", "łydka do tyłu".

Oficerowie - wszyscy ogoleni. Jeden z nich włożył furażerkę, a hełm zawiesił na szabli. Generał każe mu hełm włożyć.

Opowiadał mi jeden z oficerów z oburzeniem i kpinami: "Ot, czym zajmowaliśmy się do końca - byłem na odprawie we Lwowie w czasie, kiedy grunt palił się nam pod stopami. Prowadzący odprawę generał Langner uważał za wskazane rozwódzić się, że oficerowie na ulicach ukazują się z rozpiętą górną haftką przy kołnierzu. Ten ważny wywód przerwało wejście policjanta z meldunkiem, że czołgi niemieckie ukazały się na rogate Grodzkiej."

- Panie poruczniku - powiedziałem - a czy pan wie, że Napoleon forsując most pod Lodi urządził pod ogniem musztrę formalną? Że to samo robił słynny kawalerzysta generał Lassale?

Szedł, jak zwykle w straży przedniej, 25. Pułk Ułanów. Jego dowódca, pułkownik Stachlewski jechał w hełmie niemieckim, zdobytym pod 267

Baranowem, zeszkrobawszy orła niemieckiego i czarny kolor z tarczy czerwono-biało-czarnej. Przy nim, na siwku, któremu jeszcze się chciało tańczyć, ulubieniec generała, podporucznik Zbigniew Gędziński, gotów stale na każdy wypad, każdą awanturę.

Szedł 27. Pułk Ułanów, konsystujący cały czas w Nieświeżu, nad samą bolszewicką granicą, pułk, który od Lidzbarku po tę tu Ciotusze szedł wiernie, równo, nie gubiąc się nigdzie, będąc na każde zawołanie. Szedł pułk 26. - ten, który opromienili swymi szarżami rotmistrz

Budarkiewicz i porucznik Radziwanowski.

Szedł w przepyszej formie ciężko zbombardowany 9. DAK, prowadząc wszystkie działa tak, jak je miał pod Lidzbarkiem, nie uрониwszy ani jednej armaty ani pod Mińskiem Mazowieckim, ani pod Majdankiem, ani pod Krasnobrodem.

Szły wreszcie resztki wykrwawionej Brygady Wileńskiej, przeformowane w 4. Pułk Ułanów, szły resztki 19. Pułku Ułanów, dywizjon I. Pułku Szwoleżerów.

Wczoraj przychodził goniec za gońcem z hiobowymi wieściami.

Chrypiało radio niemieckie triumfalnymi fanfarami, odbierającymi wszelkie nadzieje. Ksiądz powiedział: "Wszystko zginęło..."

Więc cóż im miał powiedzieć dowódca w tę noc, kiedy szli w przyszłość, która nie miała nadziei?

"Pięty do dołu - wyżej broda!"

MARSZ MIĘDZY NIEMIECKĄ

I ROSYJSKĄ ARMIA

Marsz brygady prowadził przez bezdroża, przez lasy, przez chaszcze, przez karczowiska i poręby. To się stało, to się dołączało klusem. Błądziło się często i trzeba było zawracać.

Koło Maziami wynurza się jakiś wachmistrz z plutonem 4. Pułku

Strzelców Konnych - ten pluton był jedynym, który się uratował.

Niemców na razie nie widać. Byli wczoraj, ale odeszli na zachód, informując struchlałą ludność, że ich zamieniają bolszewicy. Tylko przez lasy idą grube, nie znane polskiemu wojsku kable. Taki kabel, grubości dziecinnej ręki, nie obawia się żadnego przejeżdżania czołgów, żadnego przerywania. Przerywany jednak przez naszych ułanów i włączony do aparatu podsłuchowego, zaszumił rozkazami dowództwa jakiegoś korpusu na wycofanie się taborów i zakładów z Tomaszowa na Zamość i z Cieszanowa na zachód.

Wojska idą przez miejsca, gdzie poddał swoją dywizję generał Mond.

Około południa następuje postój brygady w majątku Huta Różaniecka. Właścicielka majątku, Żydówka, nie posiada się ze zgorzienia, że brygada nie poddała się dotychczas. Straszno się robi wysuwać z nocy zawiłgłych lasów do budzącego się dnia i do ludzi.

Konie otrzymują owies. To jest dziwnie krzepiąca muzyka - chrzęst owsa w pyskach kilkuset koni.

Od 25. Pułku Ułanów, ubezpieczającego postój brygady słychać strzały. Pułkownik Stachlewski przysyła meldunek, że z kierunku Płazowa nacierają nań samochody pancerne i piechota. Samochody pancerne natrafiają zniecka na dociągających furmankami sześćdziesięciu "turyistów" baoniku-znajdki. Pociski pękają o kilkaset metrów od furmanek. Wóz z ciężko rannym oficerem leci na przedzie galopem, za nim pozostałe pięć furmanek.

Z parady, ze strzałami podjechali pod ganek - tak jak dobrymi czasami dziedzic jeszcze przed bramą sąsiada mówił: "Pał z bata!"

Tymczasem generał wysłał porucznika Kiedacza zbadać sytuację.

Porucznik jedzie motocyklem. Pod laskiem wszystko przewidujący

269

pułkownik Stachlewski postawił żołnierza, aby ostrzegał nadciągających od brygady, że między tym laskiem a laskiem, z którego się broni 25.

Pułk Ułanów, jest przerwa, która leży pod obstrzałem. Porucznik Kiedacz przebiega tę przerwę pieszo i dobiega do spieszonych ułanów, ostrzeliwujących atakującą niemiecką piechotę.

Pułkownik Stachlewski przerywa obserwowanie przez lornetkę i mówi, że chodził do ataku, że wziął do niewoli jeńców i dwa samocho-

dy pancerne. Pokazuje plik dokumentów, zabranych u wziętych do niewoli oficerów niemieckich. Jest w tych dokumentach całe kwatermistrzostwo korpusu. Bo wszak dostaliśmy się na tyły niemieckie. Dokuczliwość Niemców narasta - już wprowadzili w grę artylerię. Stwierdzamy, że ściągają siły w celu zamknięcia nam drogi na południe. Generał więc decyduje się obejść Niemców w ciągu nocy, lasami przeskoczyć szosę Bełżec-Jarosław między Narołem i Płazewem. Brygada zmienia kierunek, rusza na północ, na nowej drodze spotyka znowuż przekradających się pojedynczych żołnierzy z I. Dywizji Piechoty Legionów, którzy opowiadają o wielkich stratach dywizji. Na dukcie leśnym nagle podbierają przedzierającego się samotnie kawalerzystę, podporucznika Kwiatkowskiego.

- Siadaj, Wojtek, na konia jako dowódca plutonu cekaemów brygady!

Porucznik Kwiatkowski ma łzy w oczach. Przed chwilą był dziadem - teraz ma konia pod sobą i dowodzi.

Tak jeszcze przed Rejowcem dobił do brygady generał Plisowski, ranny jako obrońca Brześcia. Generał Anders dał mu teraz dowództwo brygady nowogródzkiej, podporządkowując pułkownika Żeliszewskiego jako zastępcę.

Samochody osobowe już dawno zlikwidowano, przelewając benzynę do podążających z brygadą samochodów pancernych. Obecnie z wózka zostają przeniesione dwie walizki generała na juki pionierskie. Przy tej okazji wręczają generałowi znaleziony jeszcze pod Krasnobrodem w niemieckim wozie pyszny, skórzany kombinezon, podszyty futrem. W tym kombinezonie prowadzi brygadę do końca, w tym kombinezonie idzie po swoje dwie ostatnie rany.

Zapadają ciemności takie, o których mówią na kresach "choć oko wykol". Brygada się prowadzi omal trzymając się za ręce. Działa DAK-u łamią z trzaskiem drzewa. Zewsząd widać błysk rakiet niemieckich, rzekłbyś: polują w kocioł na przemykającą się brygadę.

Na szosie przed nami ciągły warkot motorów - ruch nie ustający jakby szedł jeden ciągły konwój. Wreszcie brygada pomyka przez szosę

270
se: najprzód 26., potem 25. Pułk Ułanów, za nimi DAK, zamyka 27.

Pułk Ułanów.1

Krótki postój. Przynoszą generałowi wyrwaną w polu rzepę.

' "Wylonilo się pytanie - notuje w swoich pamiętnikach pułkownik Grobicki - co zrobić z jeńcami niemieckimi, których do tego czasu za te dwa dni nagromadziło się

w oddziałach około dwustu, a których nie można było dalej prowadzić ze sobą, gdyż

opóźniali marsz, a poza tym kłopot był z ich wyżywieniem. Były różne zdania w tym

względnie, aż wreszcie za moją poradą postanowiono zaprowadzić ich w chwili naszego

wymarszu możliwie daleko w głąb lasu i pokręciwszy tam we wszystkie strony, tak, żeby zupełnie stracili orientację dla zmylenia kierunku, puścić na wolność. Jak nam po-

tem opowiadali konwojenci, Niemcy gdy im w lesie oświadczone, że mogą teraz iść do-

kąd chcą, bardzo się tym zmartwili, gdyż będąc bez broni bali się bardzo zemsty ze

strony cywilnej ludności. Długo podobno prosili, aby ich samych nie zostawiać, że

wolą iść przy oddziałach wojskowych, gdzie im bezpieczniej i o wyżywienie

łatwiej, że
nie tylko nie będą uciekać, ale jeszcze w marszu dopomagać będą przy popychaniu
i
wyciąganiu wozów itd. Paradoksalna sytuacja doprowadziła do tego, że konwój
musiał
galopem uciekać, aby się wreszcie od nich odczepić".

ROZGROM NIEMCÓW

Teraz w straży przedniej idzie 26. Pułk Ułanów. Na Budomierz Mały, Lasy, folwark Horaj, Nahaczów, Kochanówkę. Około piątej nad ranem grupa zbliża się do nowej szosy, idącej na Jaworów-Krakowiec. 26. Pułk Ułanów staje. Kiedy to trwa za długo, generał podejżdża osobiście. Pyta o dowódcę pułku, nikt nie wie gdzie dowódca pułku się znajduje (następnie okazało się, że pułkownik Schweizer znudzony, zasnął w biedce telefonicznej). Generał dojeżdża do szwadronu, który szedł w szpicy. Dowodzący szwadronem rotmistrz Budarkiewicz melduje, że zobaczono Niemców. Teren pod szosą, w którym znajduje się pułk, jest zarośnięty chaszczami, więc nie ma pola widzenia. Wiadomo, że tuż z tamtej strony stoi wieś Broszki, w której najwidoczniej kwatrują Niemcy.

Wtem pada strzał. Nie ma czasu czekać, aż zaalarmowani Niemcy zorganizują obronę. Szwadron rotmistrza Budarkiewicza rusza w konnym szyku do ataku, za nim inne.

Kiedy wychynęli z chaszczów, widzą jak z chałup wybiegają Niemcy, jak goniec od placówki kieruje się do młyna. Szwadron znosi placówkę, wpada w wieś, nim Niemcy zdążyli uruchomić cekaemy. Pułk 27., idący za pułkiem 26., widząc, że Niemcy uciekają ze wsi, bierze polem w prawo, wycina uciekających a częściowo bierze do niewoli.

O jakie dwa kilometry za Broszkami leży wieś Morańce, przedzielona zwilgłą łączką, przez którą płynie struga. Z Morańców poczynają grać cekaemy niemieckie.

Oba atakujące pułki przechodzą więc bezpośrednio do ataku na Morańce, spieszywszy żołnierzy i podciągawszy cekaemy.

Generał wjeżdża bezpośrednio za 26. Pułkiem do Broszek. We wsi szybko powiększa się liczba jeńców, sprowadzonych z łąk okolicznych, wyciąganych z różnych zakamarków. Zziębnięci ułani ocierają ociekające krwią szable.

Ranny feldfebel niemiecki, którego generał osobiście bada, zeznaje, że należy do baonu ubezpieczającego odchodzącą 28. Dywizję. Jego kompania stała w Broszkach, a pozostałe dwie kompanie, które się bronią obecnie, były dyslokowane w Morańcach.

272

Od prawej strony słychać strzały. To jakiś baon niemiecki rozwinął się w tyralierkę i idzie wesprzeć tych w Morańcach.

Generał posyła kapitana Koszutskiego do cekaemów, aby część ich zwrócić w stronę nadciągającego ataku, pcha gońca do DAK-u, aby jak najprędzej nadciągnął i niezwłocznie zajmował pozycje, a majorowi Lizoniowi, komendantowi kwatery głównej, każe wraz z plutonem kwatery głównej zbadać, czy teren na lewo ode wsi, przez cmentarz, jest wolny, tamtędy bowiem zamierza obejść Niemców.

Zwierzyszy porucznikowi Kiedaczowi dalsze badania jeńców, generał rusza na linię.

Tymczasem już i 25. Pułk podciągnął i przeszedł do akcji. Nadciągają "turyści" majora Peruckiego, wyładowują się z wozów i drapią się na górkę piaskową po prawej ręce, ubezpieczając akcję z tej strony. Nagle "turyści" widzą pełnym pędem zbliżający się po szosie niemiecki wóz osobowy z białą flagą.

Pułkownik Schweizer, który w międzyczasie się znalazł, wyznacza właśnie eskortę dla odprowadzanych w tył Niemców, kiedy przyprawiają mu kapitana niemieckiego jako parlamentariusza. Kapitan przedstawił się i zameldował, że dowództwo niemieckie wysoko ceni postawę kawalerii polskiej, ale ponieważ Naczelne Dowództwo Polskie przeszło granicę, o czym może generałowi Andersowi nie jest wiadomo, i ponieważ bolszewicy zbliżają się od wschodu - dowództwo niemieckie proponuje złożyć broń.

Ponieważ trudno jest jechać do generała Andersa na linię ognia i przez podwiłgłą łączkę w samochodzie, dają Niemcowi konia i zawiązują oczy. Generał Anders, powiadomiony o przyjeździe parlamentariusza, poleca go wstrzymać w Broszkach; zdejmuje kombinezon, wkłada płaszcz z dystynkcjami, pas koalicyjny i udaje się do Broszków.

- Pańskich propozycji przyjąć nie mogę - mówi, kiedy Niemcowi odwiązano przepaskę - Dotąd szedłem jak chciałem i gdzie chciałem, mam nadzieję, że i nadal tak będzie.

Wówczas Niemiec wysuwa drugą propozycję: generał Anders odda jeńców, a Niemcy puszcza go wolno na południe.

Propozycja nęcąca. Morańców nie udało się jeszcze sforsować, opór niemiecki rośnie, słychać strzały nacierającego baonu, który temu broniącemu się w Morańcach idzie z pomocą, droga na południe zamknięta.

Ale generał waży coś w sobie: - Oddam jeńców, jeśli dacie glejt, że mnie żadne wojska niemieckie aż do granicy nie będą atakować.

Niemiec odpowiedział, że on o tym decydować nie może, że prosi generała o danie swego przedstawiciela. Wyznaczony przez generała, pułkownik Schweizer, jedzie z kapitanem niemieckim, któremu pozwolono zabrać do wozu dwóch ciężko rannych Niemców.

273

Pułkownik Schweizer tak opowiada:

"Zjawienie się parlamentariusza niemieckiego było dla mnie dowodem, że zaskoczyliśmy tylne straże Niemców, cofających się za San i że dowództwo niemieckie chce zapewnić sobie spokojny odwrót.

Ruch na szosie potwierdził moje przypuszczenia. Nie dojeżdżając Krakowca, mieliśmy jedną baterię i parę kuchen. W Krakowcu jakiś szpital pośpiesznie się ładował, we dworze Gnojnice (dwa kilometry na zachód od Krakowca) - gdzie było dowództwo, panował gorączkowy ruch. Stojący w parku wóz dowodzenia zwijał linie, ordynansi latali z walizkami, załadowane samochody odjeżdżały.

Kapitan poprosił mnie, abym czekał na odpowiedź w samochodzie: sam wszedł do dowództwa.

Po pół godzinie wrócił i dał na piśmie następującą odpowiedź:

1. 28. dp daje polskiej kawalerii wolne odejście na południe.
2. Kawaleria polska daje oddziałom 28. dp wolne odejście na zachód.
3. O ile siły polskie spotkają jakiegokolwiek inne oddziały niemieckie - będą przez nie atakowane.
4. Dowództwo niemieckie ceni wysoko postawę kawalerii polskiej, która teraz jeszcze walczy, lecz podkreśla, że sytuacja jej jest beznadziejna - i dlatego radzi złożyć broń.

Co do punktu trzeciego, zwrócił mi kapitan uwagę, że rozumie to w ten sposób, że jeśli natkniemy się na Niemców - to będą się bić, lecz szukać nas nie będą. Było to równoznacznym dla mnie, że walki nie chcą i będą jej unikać.

Następnie zameldował mi, że mnie odwiezie, lecz prosi o zawiązanie oczu. Po paru minutach jazdy auto zatrzymało się, kapitan oświadczył mi, że tu zostaje; prosił, abym zdjął opaskę, pojechał sam jego autem dalej, po czym auto odesłał".

W Broszkach-Morańcach tymczasem walka trwała.

- Niech pan da znać temu nacierającemu baonowi, że pertraktacje w toku - mówi generał kapitanowi Koszutskiemu.

Wówczas kapitan Koszutski siada na konia i w białym kożuchu, z kijem w rękę, jedzie na tyralierę niemiecką. Niemcy nie chcą zaprzestać posuwania się, ale przestają strzelać i posyłają gońca dla sprawdzenia słów kapitana Koszutskiego.

Kiedy przybywa z glejtem pułkownik Schweizer, sytuacja się likwiduje, baon atakujący wycofuje się, jeńcy formują się w czwórki i odmaszerowują, a my poczynamy liczyć straty.

2 27. Pułku Ułanów zostali zabici lub ciężko ranni: rotmistrz Kwieciński, porucznicy Olszewski, Delatour i podporucznik Popławski. Szeregowych zginęło około osiemdziesięciu.

274

Straty 26. Pułku Ułanów: rotmistrz Budarkiewicz ranny, zabrany z pułkiem, podporucznik Deszyński ciężko ranny, pozostawiony u ludności, trzech ułanów zabitych, sześciu rannych.

Major Lizoń natknął się na gniazdo karabinów maszynowych i zginął.

WALKI 2 NASUWAJĄCĄ SIĘ ARMIA TIULENIEWA

Nie na darmo Niemcy zgłosili desinteressement. Wiedzieli, że w robocie wykańczania sporu zastąpią ich rosyjscy sojusznicy. Bo przecież tuż za nimi szła cała armia generała Tiuleniewa.

Koło dziewiątej rano, poładowawszy rannych na wozy, ruszyła grupa na południe dalej, nie mając poczucia zmniejszonego niebezpieczeństwa, mając tylko poczucie, że staje wobec innego wroga.

Wróg nie kazał na siebie długo czekać. Kiedy grupa przechodziła koło Dernak, przyspieszył rotmistrz Lichtarowicz, dowódca szwadronu pionierów brygady wileńskiej i zameldował generałowi: "Okolo baonu bolszewików w Dernakach, pułkownik Grobicki, który tam pojechał po rozkazy Pana Generała, dostał się do niewoli. Bolszewicy napadli również na brygadę wileńską w Leszczesnem, raniąc i biorąc do niewoli pułkownika Druckiego-Lubeckiego. Szwadron pod moim dowództwem odparł natarcie i odbił jeńców. Rannego pułkownika Lubecckiego odesłałem do grupy"1.

A więc pułkownik Grobicki otworzył smutny korowód idących do niewoli bolszewickiej. Miał rozkaz stanąć w jakiejś Leszczesnej, map nie mieli, nikt nie miał pojęcia gdzie się znajduje ta dziura. Krewki pułkownik rozegrał swój sztab po okolicy w poszukiwaniach i siedział z najbliższym otoczeniem pod drzewem w nie ustającym deszczu, przemęczony nad wszelki wyraz, głodny i śpiący.

O godzinie trzeciej nadjechał wreszcie pędem kapitan Janke z wiadomością, że znalazł przekłętą Leszczesną, a w niej łącznika od generała Andersa, nakazującego pogotowie marszowe i wzywającego pułkownika Grobickiego do sztabu.

Pułkownik Grobicki wgramolił się na konia i w towarzystwie jedynie podporucznika Kamińskiego i dwu luzaków ruszył do generała Andersa kwaterującego w Dernakach, odległych o dwa kilometry za ledwie. Minął ona Leszczesną, gdzie jego szwadron pionierów gotował jedzenie i karmił konie, krzyknął, by i jemu przygotowano jedzenie i poczłapał po rozmokłej glinie dalej, chwiejąc się w siodle, garbiąc pod swoją pelearną deszczową i raz po raz zapadając w sen.

1 Cytowane za książką pułkownika Schweizera.

276

Gdy podjeżdżali do miejsca, w którym droga wchodzi do lasu, zoba-

czyli dwóch piechurów bez broni, którzy na widok kawalerzystów szybko się skryli do lasu. Wzięli ich za zdemobilizowaną włączając się piechotę.

I oto nagle w pośrodku liściastego lasu rozległ się wokoło z krzaków wrzask i krzyk: Zdawajcie!

Pod nogi Dziadka, konia pułkownika Grobickiego padł granat ręczny, po którym koń przysiadł, pułkownik zaś poczuł odłamek w okolicy prawego łokcia. Otoczył ich tłum mongolskich twarzy.

Bolszewicy pociągnęli ich z sobą w tył na dopiero co miniętą Leszczesną. Gotujący posiłek pionierzy rzucili się do broni i polscy jeńcy zmuszeni byli stać na szosie w ogniu ich karabinów maszynowych, podczas kiedy bolszewicy pokładli się w rowach.

"Byliśmy świadkami - pisze pułkownik Grobicki - jak zaskoczeni w Leszczesnej pionierzy przez jakieś pół godziny stawiali opór bolszewikom, po czym część pionierów, znajdującą się po zachodniej, bardziej od lasu odległej części wsi zdołała dosiąść koni i odskoczyć w kierunku Rogoźna, unikając otoczenia, zaś będąca bliżej lasu w liczbie piętnastu z porucznikiem na czele, po dłuższych pertraktacjach z przybyłym w międzyczasie politrukiem poddała się, nie mając już możliwości wycofania się i została wkrótce potem za jedną z chałup w naszych oczach wykłuta bagietami."

Zaprowadzony do kancelarii dowódcy brygady sowieckiej w Sądowej Wiszni, spotkał pułkownik Grobicki w przedpokoju grupkę oficerów niemieckich, uwolnionych przez bolszewików z niewoli w grupie generała Andersa. Z grupy tej nagle wyłonił się znajomy oficer. Porucznik Gudenus.

Stojąc przed kilku dniami obok kościołka we wsi pod Jaworowem i obserwując akcję plutonu I. Pułku Szwoleżerów, spostrzegł jak w ogniu własnych cekaemów biegnie rowem przyszosowym grupa niemieckich jeńców z podniesionymi rękami, eskortowana przez dwu szwoleżerów. W grupie tej było trzech oficerów.

- Skąd pana porucznika znam? - spytał pułkownik jednego z właśnie rewidowanych oficerów.

- Porucznik Gudenus, panie pułkowniku. - stanął na baczność zapytany - Ostatni raz miałem możność grać z panem pułkownikiem w brydża u konsula rumuńskiego w Wiedniu.

[Red.:] Poddaj się!

277

- Cóż robić, poruczniku - uśmiechnął się pułkownik, gdy Niemca odprowadzano dalej - a la guerre comme' a la guerre!

Teraz, u bolszewików, porucznik Gudenus z kolei wołał:

-Was, Herr Oherst, sie auch kier? Nicht gelungen der Sprung nach Ungarn? Ja, mein Gott!...2 A la guerre comme a la guerre!

A cóż tymczasem działo się z grupa generała Andersa.

Patrole ze wszystkich stron sygnalizują nieprzyjaciela. Nie ma mowy o odpoczynku. Przychodzi noc, a oddziały, które i poprzednią noc były w pochodzie, od świtu brały udział w ciężkiej walce, a potem dzień cały były znów w pochodzie - maszerują dalej. Nie można ich zasadzać do marszu, bo padają zasypiając. Zdarza się, że oddział idący w szpicie staje - dowódca wysyła sprawdzić powód - okazuje się, że śpią w siodłach. Zostaje utworzony specjalny oddział idący w tyle, który zabiera i cuci śpiących.

Zaczyna padać deszcz, wojsko posuwa się gliniastym stokiem, droga jest przeraźliwie ciężka, zwłaszcza dla artylerii. Ma już ona tylko resztkę amunicji, więc likwiduje jaszczkę, a konie ich przyprzega do dział. Mimo jednak tego, że ma teraz po dwanaście koni przy dziale zamiast

po sześć, kiedy staje przed stokiem stromym na czterdzieści pięć procent, trzeba z koni zsadzić kilka szwadronów i na rękach wciągać działa. Ale ani jedno nie jest pozostawione. Jest ich - całe szesnaście, jak w dniu wybuchu wojny.

Okolo godziny dziewiątej idący w straży przedniej 25. Pułk Ułanów natyka się na ogień bolszewików, ale robi przejście.

Map nie ma. Major Perucki jest z tych stron. Podejmuje się prowadzić - przez Felsztyn, przez Sambor, przez przełęcz Sianki wreszcie, do której byle się dostać, to się ją zamknie kilku pepancami.

Idą szwadrony, idą błotnistymi bezdrożami, jarami stromymi i śliskimi. Deszcz przechodzi w ulewę. Pochód dostaje się w jar tak wąski i tak stromy, że powstaje korek i zamieszanie. Tam trzeba porzucić ostatnie trzy samochody pancerne, uratowane z piętnastu przelewaniem benzyny z baków samochodów osobowych.

W środku nocy 25. Pułk Ułanów ponownie natyka się na wieś obsadzoną przez bolszewików. Generał dojeżdża do czoła. Pułkownik Stachlewski, dowódca tego pułku, melduje, że ode wsi strzela sześć bolsze-
1 [Red.:] Na wojnie jak to na wojnie.

2 [Red.:] Cóż, panie pułkowniku, i pan jest tutaj? Nie udał się skok na Węgry?
No

tak, mój Boże!...

278

wieki ch karabinów maszynowych. Generał każe 25. Pułkowi osłaniać, aż nie przejdzie gros sił, a potem iść w straży tylnej. W straży przedniej wobec tego idzie 26 Pułk.

Wstaje świt 27 września, a lunatyczne wojsko wciąż idzie. Naprzeciw niego wyrasta jakaś niebotyczna ściana oporu. Z góry widać jak 26. Pułk harcownikami zbliża się do wsi. 2 bardzo dalekiej odległości spotyka go ogień olbrzymiej ilości cekaemów. Pułk zwija się.

Wyjeżdżają pepance i cekaemy na pokrycie.

Bolszewików czuć naokoło. Napełnione są nimi wsie i chutory, napełnione są nimi szosy, napełnione są nimi polskie drogi, napełnione są nimi polany i dukty, lizjery lasów i przełęcz, sylwetki ich roją się po wzgórzach. Podoficer 26. Pułku przyprowadza dwa samochody ciężarowe chleba, który zdobył na bolszewikach. Chleb pachnie, żołnierz straszliwie zgłodniały. Ale generał każe nie tykać łupu - słaby to zastaw, ale trzeba spróbować mówić z tymi bolszewikami. Może to ostatecznie nic im nie szkodzi, że ci ostatni żołnierze walczącej Rzeczypospolitej ujdą za granicę. Mają przecież całą tę ziemię, jej plony, jej fabryki, jej dobra. Może ta garść żołnierzy funta kłaków dla nich nie warta, a w każdym razie - dwóch ciężarówek pachnącego chleba?

L

Wyjeżdża rotmistrz Kuczyński z pocztą dwu ułanów, z białą chusteczką na lancy. Nic nie wie, do kogo jedzie. Brani do niewoli jeńcy bolszewicy, pytani o to z jakiej są formacji, uparcie, tępo odpowiadają swoje: U nas odna tolko - Krasnaja Armia¹.

Parlamentariuszy spotykają strzały. Ale wspinają konie i wydobywając z nich największy pęd - prą w stronę strzałów.

W małej kotlinie doszłusowują coraz nowe oddziały. Oczy wszystkich na małym poczcie, który pędzi pod kulami. Już się skryli. Widzi ich jeszcze najdalej wysunięta część 26. Pułku Ułanów.

Jeden z pocztowych spadł na ziemię. Strzały się wzmagają. Rotmistrz z towarzyszącym ułanem przywarli do szyi końskich i galopują wciąż naprzód. Drugi ułan zsuwa się z konia. Samotnie galopujący dalej rotmistrz skrył się za górką.

Jednak - wrócił... dotarł... mówił... Przyjęli go z wyzwiskami: "My

z trzech stron, z czwartej Niemcy. „Zdawajcie...”. Wrócił rozbrojony. Jednocześnie uderza natarcie rosyjskie czołgami, a w kotlinę, w której stoi grupa, poczynają padać granaty. Było to już za dużo dla żołnierza zmęczonego ponad kres możliwości. W ciągłym ruchu od dwudziestu siedmiu dni, po walkach pod Mińskiem, po bombardowaniu na szosie garwolińskiej i w lesie pod Rejowcem, po przebijaniu się przez szosę tomaszowską, po walce o przeprawę pod Krasnobrodem - od Krasno-
' [Red.:] Mamy tylko jedną - Armię Czerwoną.

279

brodu siedł dni i noce w zaciskającej się pętli, cztery długie dni i noce. Na ostatnie sto sześć godzin w siodle, jak wylicza pułkownik Schweizer - wojska miały dziewięć godzin wypoczynku - i to bez zaopatrzenia. A jednak ten żołnierz i teraz walczy. Jak się następnie okazało, szła na niego cała armia Tiuleniewa - wypoczęta, odżywiona, zmotoryzowana, nie zużyta. Przeciw niej zajeżdża na pozycje DAK bez jaszczów i 25. Pułk Ułanów prowadzi walkę opóźniającą. Pepance i cekaemy walczą do ostatka.

Jak potem stwierdził w rozmowie z generałem Andersem Tiuleniew - rozbito wówczas bolszewikom osiemnaście czołgów.

Przyszła chwila, że „ręka żołnierza długo i głęboko szukała i nie znalazła...”.

Działa zniszczono z braku amunicji.

Oślaniane akcją opóźniającą pułku dwudziestego piątego cofają się sztab grupy wraz z dwudziestym szóstym w jedną stronę, a dwudziesty siódmy w drugą.

Dalej oddają głos obecnemu majorowi, wówczas kapitanowi Koszutskiemu, który, wówczas dostawszy się do niewoli, zdołał po kilku miesiącach z niej uciec, przedostał się do Anglii i tam drukował swoje wspomnienia, z których cytuję ustęp dotyczący ostatnich chwil grupy generała Andersa.

OSTATNIE CHWILE GRUPY

GENERAŁA ANDERSA

(Opowiadanie majora Koszutskiego)

„...ostatnie pociski armatnie oddał 9. DAK. Kończyła się również amunicja małokalibrowa. Żołnierz był śmiertelnie zmęczony. Widziałem obsługi działek pepanc., które trzeba było budzić przy każdym ukazaniu się czołgów. W liniach tyralierskich ułani zasypiali na czterysta metrów przed nacierającymi bolszewikami. Głodne konie gryzły korę i liście.

Ostatni odchodził generał Anders z grupą sztabu. Generał był bardzo smutny i milczący, lecz jak zawsze szalenie spokojny i opanowany. Na swoim folblucie wyglądał jakby był na konnym spacerze, a nie jak na końcu przegranej kampanii.

Wyjechaliśmy z lasu. W tej chwili dostaliśmy ogień bolszewickiej baterii z otwartego stanowiska. Linie harcowników... - ich pierwsza seria długa, następna krótka - obramowali nas z punktu. Trochę nieprzyjemnie. Patrzymy po sobie i na generała. Ten jedzie jakby nie zauważył ognia - zamyślony, wprost nieobecny tutaj duchowo. Jest właśnie dokładnie na linii strzałów.

Trzecia seria, znów krótka...

Luzacy nie wytrzymali. Wyrwali naprzód galopem i zniknęli za jakąś fałdą terenową. Pokazuję rotmistrzowi D. gdzie według mnie powinny upaść następne granaty. Trafiłem «w szymel», pomyliłem tylko tę serię, co do której uważałem, że już powinna być «w celu», tj. ugodzić generała. Pocisk trafił jedynie w taczankę radio.

Równamy konie, bojąc się, żeby ktoś nie wysunął się naprzód, bo

wstyd. Jedziemy zresztą źli, bo po co ta defilada, zamiast przeskoczenia galopem kilkuset metrów, otwartej, nieprzyjemnej przestrzeni. Tym bardziej, że zaczyna się już brzęczący świst karabinów maszynowych i widać z tyłu sylwetki krasnoarmiejców.

Wyjechaliśmy wreszcie w fałdę terenową i zaraz za nią w las - bardzo szczęśliwie. Jest za to inna gruba przykrość, bo orientujemy się że 25. i 27. Pułk Ułanów poszły w złym kierunku. Generał wysłał mnie, abym je zawrócił. Galopuję około 2 km i łapię tylko dowódcę 27. p.uł. z pocztą. Pułki są już około 5 km na przedzie. Przekazałem rozkaz, podając równocześnie przewidywane miejsce zbiórki brygady i wracam.

281

Droga już była przecięta. Bolszewicy wpakowali się między odchodzące «gros» a straż tylną (26. p.uł. ze sztabem generała). Lasem na przełaj zdołałem jednak przejechać do swoich. Krótki postój w lesie; grupa I p. szwoleżerów ppłk. Kamińskiego (20. Ak. I, pluton pionierów i jeszcze inne). Jest nas razem około 300-400 koni. Nagle widzę o 20-30 kroków konny patrol bolszewicki około 5 ludzi. Stoją i przyglądają się nam zupełnie oślupiali. Najbliższego zastrzeliłem osobiście z karabinu. Pozostali też nigdy nie zobaczą rodzinnego Donu, czy Wołgi. W kilka sekund zlikwidowali ich ułani. Dwóch rzucało się po ziemi jak ryba wyjęta z wody. Siadamy na koń i w tej chwili mamy na karku silny oddział kawalerii z taczankami. Zaczyna się bardzo gwałtowna strzelanina ze wszystkich stron. Nie mogę się zorientować, gdzie i kto strzela. Idą seria za serią. Generał formuje oddział 6 taczanek jako straż tylną i pod jej przykryciem odchodzimy w las. Trudno mi odtworzyć sobie dzieje tego marszu. Nie miałem bowiem wówczas poczucia czasu, przestrzeni ani kierunku. Zmęczenie czy obojętność? Nie wiem. Pamiętam tylko epizody. Początkowo idziemy «rojem», na przełaj lasem. Konie strasznie się denerwują. Ze wszystkich stron bardzo silny ogień z karabinów maszynowych. Przedzieramy się przez krzaki i gałęzie. Wychodzimy na otwartą polanę: dostajemy serię prosto w nos - i z powrotem w las. Jakaś bagnista struga, grzęźniemy, jakaś grupa odłącza się, aby obejść bagno - inni przeciągają konia w rękę. Oddział nasz topnieje do stu-dwustu koni. Dochodzimy na kraj lasu. Znów ogień. Widać, że jesteśmy w «worku».

Wjeżdżamy w gęste krzaki, i rozbijamy tu biwak starannie zamaskowany i ubezpieczony czujkami. Zaczyna mżyć przeraźliwy kapuśniaczek. Zimno jak cholera. Generał wysłał gońców do rzekomego miejsca zbiórki brygady, celem złapania oddziału. Kto ma żdźbło owsa, karmi konie, które wyglądają na bardzo zmęczone. Nakrywamy się płaszczami, próbując spać. Grzejemy się wzajemnie. Powstańcy, psiakrew na co nam przyszło. Nam, polskiej kawalerii, najlepszemu na świecie wojsku. Sen nie przychodzi, za to myśli, czarniejsze od nocy, tłuką się po głowach. Więc to chyba już koniec, tutaj u nas, na własnej ziemi. Ale myśli, rozpaczliwie szukające promienia nadziei, oświeśla błysk: przecież walka idzie dalej; tam daleko, gdzieś za linią Maginota, formują ponoć nasze oddziały. Więc jeszcze nie wieczór. Tam teraz musi być nasze miejsce. Tam może przyjdzie dla nas rozkosz zemsty: za naszą krew, za nasz znój i za... wstyd.

Klaruje się droga marszu. Węgry - Francja. Mówimy o tym. I zaraz zmęczenie jest mniejsze i zimno mniej dotkliwie i wraca powoli wisielski humor. Ktoś mówi: «No cóż, przegrać musieliśmy, bo i Herkules d... gdy narodu kupa». Ale się jeszcze odkujemy za swoje.

282

Okolo godziny 17 wraca wysłany goniec z meldunkiem, że znalazł w oznaczonym miejscu bolszewików zamiast naszych oddziałów. Na dro-

dze przed nami warkot czołgów bez przerwy. Odnosimy wrażenie, że czołgi te jeżdżą tam i z powrotem, pilnując przejścia.

Wraca drugi goniec i melduje, że nie znafazł pułków - i że wszędzie dokoła nas bolszewicy. Rozmawiamy z generałem o naszych myślach; generał zgadza się całkowicie, że obecnie tutaj dalsza walka całością brygady jest nonsensem.

Około godziny 18 zwołuje odprawę oficerów, na której decyduje:

- Dalsza walka jest niemożliwa. Nie mamy żdźbła furazu ani żywności. Brak amunicji, brak środków łączności. Brak środków opatrunkowych. Żołnierz jest śmiertelnie zmęczony. Postanowiłem: gros szeregowych ma iść do domów. Podobno bolszewicy puszczają ich wolno. Ci, którzy są zdecydowani dalej walczyć, mają małymi grupami przedrzeć się na Węgry. Stamtąd pójdziemy do Francji, gdzie podobno formuje się armia polska. Ci, co zostaną tutaj niech wiedzą, że nie przestali być żołnierzami Rzeczypospolitej, i że to nie koniec walki o nią. Przegraliśmy kampanię, ale nie wojnę. Gdy podejmiemy kiedyś znów walkę na własnej ziemi, jestem pewien, że żołnierze nowogródzkiej kawalerii będą pamiętać swoje miejsce w szwadronie brygady. Obecnie należy raczej odmawiać ułanów od marszu na Węgry, ze względu na konie i brak amunicji. Niech idą ci tylko, którzy są absolutnie przygotowani na śmierć i nie mają nic do stracenia.

Marsz tych, którzy pójdą, będzie niesłychanie ciężki. Około stu kilometrów gór pomiędzy bolszewikami. Przedsięwzięcie to uważam w naszych warunkach za szalone. Dobrać się grupkami po 10-15 ludzi. Nikt nie będzie mógł liczyć na pomoc kolegów. Każdy musi liczyć tylko na siebie. Rannych, słabych i chorych będziemy musieli porzucać w drodze. Prawdopodobnie będą dobijani. Ci, którzy zdecydują się pójść, zabiorą najlepsze konie i całą amunicję. Resztę broni zakopać. Pozostałe konie niech zabiorą do domów pozostający w kraju - może część ich ocala.

Ja z Władkiem Zgorzelskim dostaliśmy ciężkie zadania podania decyzji generała do wiadomości ułanom i namawiania ich na powrót do domów.

Ciężko było wyperswadować tym chłopcom, że mają się rozbroić i wracać do chat. «Jak to - mówili - czy to koniec?» . Nikt nie chciał pierwszy podnieść ręki do góry, że decyduje się wrócić do domu. Widać było, że wstydzą się opuścić szeregi. A jednak tak być musiało. Byli tak śmiertelnie zmęczeni i w większości na tak osłabionych koniach, że absolutnie nie nadawali się do tej przedostatniej rozgrywki, jaką miało być

283
to skautowskie przemykanie się na Węgry. Musieli zostać, aby umożliwić marsz innym, tylko zupełnie zdeterminowanym. Tak być musiało. Po półgodzinnych perswazjach około 90 ułanów zdecydowało się zostać w kraju, a około 80 (wraz z oficerami) miało iść w nieznaną wędrówkę. Utworzyliśmy pięć grup po 14-18 ludzi. Generał Anders, zdecydował się iść z nami, tj. z rtm. Zgorzelskim, por. Kiedaczem, ppor. Kwiatkowskim i Wiewiórskim i ze mną. Byliśmy dumni z wyróżnienia, ale zarazem i wściekli, że wraz z generałem Andersem dołączyło się do nas kilku innych ludzi, których ocenialiśmy, że będą dla nas tylko «kulą u nogi» w drodze. No, ale nie mogliśmy oponować, choć ogarnęły nas kiepskie przeczucia na widok trzech patałachów.

Grupa nasza w ten sposób wzrosła do czternastu ludzi. Mieliśmy ruszyć o godzinie 19.30.

Pod wieczór drobny deszcz zmienił się w szaloną ulewę. Wykreśliłiśmy marszrutę według mapy 1 :500 000 (jedyna jaką posiadaliśmy), siłą rzeczy bardzo niedokładną. Raczej na nos, niż na względy topograficz-

ne. Przed samym jednak marszem, dziwnym zbiegiem okoliczności, znalazł się w naszej kryjówce jakiś cywilny człowiek - Rusin. Podejrzewaliśmy, że to szpieg. Chłopina jednak twierdził, że przyszedł nas wyprowadzić z matni.

Mając do wyboru błądzenie według niedokładnej mapy i niepewnego przewodnika, wybraliśmy właśnie tego ostatniego.

Ruszyliśmy w nieznane w piekielnych ciemnościach i w huraganową ulewę. Chłop szedł pieszo, nie chcąc jechać konno. Jechaliśmy początkowo ubezpieczając się szpicą, na 10-15 kroków w przedzie.

Przez jedną drogę, na której w dzień spacerowały czołgi, przeszliśmy gładko - droga była pusta. Następnie około półtorej godziny maszerowaliśmy lasem. Ciemno było niesamowicie i deszcz zalewał oczy. Wreszcie wydostaliśmy się na otwartą przestrzeń i zatrzymaliśmy się jak wryci. U naszych stóp w odległości około 300 metrów w ciemnościach nie kończący się wąz światelek pełznął na zachód po szosie Sambor-Chyrów. Światelek tych naliczyliśmy około 150 - początku i końca nie widać. Po warkocie poznaliśmy czołgi. Szły na bardzo nierównych odległościach wóz od wozu. Stanęliśmy, obserwując dłuższy czas... W pewnej chwili kolumna światel stanęła. Czekamy około pół godziny. Stoją.

Obok dużych światel zaczynają krążyć małe światełka latarek ręcznych. Widocznie gotują się na postój nocny lub dłuższy odpoczynek. Co robić? Szosę tę przecież musimy przekroczyć za wszelką cenę jak najprędzej, dostać się jeszcze przed świtem, zaszyć się w lasach i górach gdzieś koło Starego Sambora. Trzeba zaryzykować przejazd między czołgami.

284

Zbitą gromadą koni podchodzimy jak duchy do szosy, celując w środek szerszej wyrwy między światłami. Na oko oceniamy: około 100 metrów odstepu. Serca biją trochę za głośno. Już tylko parę kroków. Przewodnik nasz nagle odrywa się od konia i daje susa w ciemności. Zniknął. Teraz my. Skok. Z miejsca cwał czternastu koni. Iskry poszły po szosie. Skok dalej galopem po rozmokłym gruncie, bo prawie nasze plecy liznął śpiewający strumień z karabinu maszynowego... i cisza - tylko żywszy ruch światel po szosie i później zapuszczanie motorów. Możecie teraz szukać wiatru w polu.

Zatrzymaliśmy się na chwilę, aby zebrać się do kupy i o dziwo, jest również i nasz przewodnik z nami. Co za morowiec. Ruszamy stępem. Rozmokła rola i głębokie rowy odwadniające. Coraz zsiadamy z koni i przeciągamy je przez rowy na wodzach.

Namyślają się chwilę, chrapiąc nieufnie nozdrzami, wreszcie skaczą niezdarnym kozim skokiem. Na jednym z rowów moja klacz sponiewierała mnie okropnie. Skacząc wprost na mnie, wgniotła mnie w błoto. Jesteśmy oblepieni skorupą lepkiego błota. Rozpierała nas jednak radość pokonania - jak nam się wtedy wydało - najważniejszych przeszkód do wolności, wymknięcie się z kotła bolszewickiego. Cóż więc znaczyć mogły jakiś drobny ból, czy deszcze, czy błoto.

Miałem jednak pecha tego dnia. Przejeżdżając bowiem przez jakiś kamień, czy kamienny mostek bez poręczy, klacz cofnęła się bez powodu i zwała się wraz ze mną na wznak do kanału. Dałem nura głową. Cud, że nie utopiłem się, lub nie złamałem kręgosłupa, będąc całkowicie przygnieciony ciężarem konia.

Biedne bydlę wygrzebało się z trudem z kanału, trzęsąc się jak osika w takt moich zębów, tańczących z zimna. Byłem mokry zupełnie od stóp do włosów. Wygrzebawszy się z przekłętego rejonu rowów, jechaliśmy ostro, prawie równolegle do szosy. Przewodnik nasz «ciągnął» jak

na biegu maratońskim. Dobrnęliśmy wreszcie około godziny 21 do jakichś odosobnionych futorów (nazwy nie pamiętam). Zaobroczyliśmy konie i ulokowaliśmy w chacie przy jakimś olbrzymim ogniu. W fantastycznych ilościach jedliśmy zgłodniałym jajecznicę, chleb z masłem, serem i śmietaną. Jedliśmy jak dzicy ludzie pół nadzy, gdyż rzeczy nasze się suszyły. Przy tej okazji popaliliśmy buty. Pierwszy nasz przewodnik nie znał dalszej drogi. Wynagrodzony sówicie odszedł, nie chcąc jednak podać swego nazwiska. Był to dzielny człowiek. Szedł z nami na pewno nie dla zarobku, gdyż mu nic nie obiecywaliśmy z góry.

Wyłonił się teraz problem dostania innego, który był konieczny do przeprowadzenia nas przez Strwiąż. Dwóch kolejno schwytanych gospodarzy uciekło. Dopiero trzeci zgodził się pójść - pod groźbą spalenia chaty, jeśli ucieknie. Ruszyliśmy około godziny 23. Noc była zimna 285

i ciemna. Ulewa przeszła w drobny, przykry deszczyk. Nieprzyjemnie było wychodzić z ciepłej chaty. Jechaliśmy długim, dobrze wypracowanym stępem. Kilka razy mieliśmy wrażenie, że naprzeciw nas ktoś maszeruje - zwyczajne złudy.

W półtorej godziny podciągnęliśmy pod wieś Felsztyn nad Strwiążem. Z dużych ogrodów obserwujemy zabudowania.

W wiosce znaczny ruch. Na drodze migają światła latarek i pędzą wozy. Od czasu do czasu wybucha głośniejszy szmer głosów. Najwyraźniej kwateruje wojsko. Przewodnik twierdzi, że nie ma innego przejścia przez rzekę, jak pod samą wsią. A więc decyzja jest prosta - musimy mimo wszystko przejść przez nią. Przewodnik trzęsie się ze strachu i coś bąka, że zapomniał drogi. Lufa rewolweru jest jednak doskonałym środkiem na przywrócenie mu pamięci. Ruszamy przodem, kierując się wprost na szosę. Tu na szczęście chwilowo pusto. Sto metrów drogi wydaje się jednak strasznie długie. Przewodnik idzie, zataczając się jak pijany, wreszcie mówi: zabył dorohu - nie znaju de nam treha. Nie wytrzymałem nerwowo i wyrzuciłem chłopca z całym rozmachem z konia. Poskutkowało niesamowicie. - Najdu. Dobry kwiat. «Najdu» w środku postoju bolszewickiego. Żebyś skończył draniu. Wreszcie kapliczka. Skręcamy w lewo - już widać rzekę. Z lewej strony widać zabudowania folwarczne - zaczynają rzeć nasze konie na odzew kozackim. Z prawej o 50 kroków spakowany tabor i światła. Prędszej, do diabła, prędszej.

Uf, nareszcie rzeka i bród. Jaki ładny jest świat po tamtej stronie. I noc cieplejsza i droga lepsza i weselsze są drzewa... Kłus.-Przejeżdżamy parowem obok wsi Łaszki Murowane i zaraz już szosa Stary Sambor-Chyrów. Jest już widniej. Robimy krótką naradę. Generał chce iść na przełaj polami i górami, z dala od szosy. My odwrotnie twierdzimy, że lepiej iść szosą - o ile usłyszymy coś podejrzanego zawsze zdążymy zwać w pola, a natomiast idąc szosą, zyskujemy ogromnie na czasie i szybkości marszu i zmęczeniu koni. Poza tym będziemy udawać bolszewików i jechać ubezpieczeniem. Generał się zgadza. Ruszamy. Ładna jest teraz jazda. Trochę emocjonujący konny spacer we wrześniową noc - nic więcej. Jest uczucie rozgrywki sportowej - czy zabawy w «chowanego». Kto będzie sprytniejszy - my, czy oni? Jeśli minimy przed świtem rejon Starego Sambora i wejdziemy w góry, to powinno się udać. Jedziemy bardzo regularnym chodem, na przemian kłusem i stępem. Konie idą rażno. Nieprzyjemne jest tylko kolejne dźwiganie erkaemu. Cięży bowiem mocno i obija plecy.

Deszcz przestał padać. Około godziny trzeciej wjechaliśmy do wsi Stara Sól. Wieś cicha, jak umarła. Jadę z rtm. Tuskim na szpicy. Głośno dudnią kopyta końskie na bruku. Mniej więcej w połowie wsi lekki za-

286

kret, i za nim... wyrastają jak spod ziemi trzy lub cztery postacie z długimi bagnetami na karabinach.

- Stój! kto idiot?

Tuski bez sekundy wahania odpowiada flegmatycznie:

- Nie bój się. Swoi.

- Jacy swoi?-ryczy szynel.

- Siódmy konny korpus.

- Ruki w wierch!

- Nie krzycz, sukinsynu - replikuje znów Maksio, próbując przełamać nieufność naszych rozmówców starym wypróbowanym słowem rosyjskim. Ale przeliczyliśmy się - jak się to później okazało. Popularne ongiś słowo jest obecnie na surowym indeksie u czerwonych towarzyszy. Zamiast więc spodziewanej polubownej odpowiedzi, na słowo «sukinsynu» - gruchnęły nam strzały prosto w twarz. Kto tych patałchów uczył strzelać? Chybić z odległości 3 kroków, to już sztuka. Może zresztą strzelali z pewną wątpliwością w duszy, na wszelki wypadek. Nam to jednak starczyło. Ryczę Maksiowi: «w nogi!». Konie zrobiły jakiegoś dzikiego pirueta na zadach i z miejsca poszły cwałem do tyłu, mieszając się od razu z resztą grupki, która zdążyła dojechać nam prawie na ogony. Ci nawrócili prawie równocześnie z nami i... jazda. Boże, co to był za galop! Konie wyciągnięte jak struny i tylko iskry z mokrej szosy i coraz gęstsze strzały z tyłu i z boków. Zapalają się światła w oknach. Nasz tabor 14 koni przeszedł jak wichra przez budzącą się wieś. Jeden był tylko strach, że jak się szkap wywróci, to nigdy już nie spróbuję węgierskiego wina. No, ale nie potknęła się żadna-dobre były bydła. Z nas nikt nie został nawet draśnięty. Za wsią skręciliśmy momentalnie w prawo, w pole, jadąc równolegle do bocznej odnogi wsi. Za półtorej godziny świt. Trzeba za wszelką cenę przejść na południe wsi. Zbyszek K. idzie na rozpoznanie przejścia. Długo nie wraca. W końcu jest. Melduje, że znalazł lukę we wsi, gdzie nie ma bolszewików. Tą luką przedostaliśmy się szczęśliwie na kierunek Stary Sambor. Jedziemy teraz okropnie wolno, jakimiś podłymi drożynami lub na przełaj. ^Marsz nasz ponadto opóźnia bardzo zmęczony generał Plisowski, rtm. Slizień, i kpt. Tr., którym ciągle coś się psuje z siodłami lub w... żołądku i raz po raz schodzą z koni w tajemniczym celu. Kniemy brzydko. Zamiast minąć Stary Sambor po ciemku, dojeżdżamy do niego o brzasku. Nad rzeką mgła. Nie wiemy gdzie jest bród, wyjeżdżamy więc na przedmieście szukać języka. Spotykamy chłopów. Dowiadujemy się, że rzeka jest wszędzie płytka i że ponadto w miasteczku kwateruje batalion piechoty i jakaś kawaleria sowiecka. Psiakość. Trzeci raz tej nocy ta sama historia...

Już najwyższy czas skończyć tę pogawędkę i dać nura. Wykonuję to

287

z godnością - stępem. Rzekę przejechaliśmy około 500 metrów od wioski. Na drugiej stronie nagle widzimy przed sobą najwyraźniej grupy piechurów sowieckich, wyłaniające się z mgły. Spiczaste czapki i bagnety. Idą na nas w kierunku miasta. To wszystko, psiakrew, przez to przekłete guzdranie się. Przecież wystrzelają nas jak kaczki. Nie ma mowy, żebyśmy się mogli wycofać. Naprzód. Rozsypaliśmy się lawą i ruszamy kłusem. Nagle cała nasza tyraliera wybucha śmiechem. Bolszewicy bowiem zamienili się w kopice siana. Ładny kwiat - próbowaliśmy szarżować na stożki. I to sami oficerowie rozpoznali «nieprzyjaciela». Ale bądź co bądź lepiej, że były kopki siana. Zaraz za Starym Samborem wjechaliśmy w góry. Konie i my byliśmy solidnie zmęczeni. Miałem znów paskudny wypadek z kłaczą, która zwała się jak kłoda na

ziemię, ciężko gniotąc mi już i tak obolałą lewą stopę.

Dzień był ciepły i słoneczny. Chcieliśmy dociągnąć do wybranej z mapy wioski na odludziu i tam odpocząć do zmroku. Pojechaliśmy z Tuskim na rozpoznanie i zginęliśmy. Naprzód dojechaliśmy do zupełnie innej miejscowości (bez mapy). Potem nie znaleźliśmy swoich na miejscu zbiórki. Następnie dotarliśmy do wsi osławionej jako gniazdo bolszewickie. Wioska była pusta. Jako bolszewików nakarmili nas chłopcy bardzo gościnnie chlebem, serem i śmietaną. Jakiś «haziaj» objął Maksa wpół i zionąc mu w nos opowiadał, jak to było za Polaków.

Dziadyga plótł niestworzone brednie, jak to im skóry policjanci z głów ściągali, jak ich mordowali itp. I nawet nie można było go trzasnąć w zęby za łgarstwo. Z coraz większym niepokojem wyglądaliśmy naszych. Musieli przecież tu przyjechać. Zamiast nich przyszedł chłopak z wiadomością, że przyjechali do wsi kwaterunkowi bolszewicy i że wieczorem ma przyjść tutaj na postój cały pułk piechoty. Udając radość z przybycia «swoich» piorunem dosiedliśmy koni i, niby jadąc na ich spotkanie, wywialiśmy z zapowietrzonej wioski. Jeżdżąc po przeklętych górach, szukaliśmy znów około 3 godziny naszych kolegów. Byliśmy prawie już zrezygnowani, gdy raptem spotkaliśmy ich odpoczywających na biwaku. Generał, jakby coś przeczuwając, nie wszedł do wsi i biwakował na wzgórzach w krzakach, mając doskonałą obserwację na wszystkie strony. Trochę jedzenia i jabłek przyniósł nam ze wsi nieoczekiwanie służący popa, z listem zapraszającym na kwaterę do wsi.

•Znacznie później dowiedzieliśmy się, że była tam szykowana na nas zasadzka. Przed wieczorem trochę odpocząwszy (jednak bez snu), ruszyliśmy dalej na południe.

Władek Zgorzelski, który jeździł kiedyś na zawodach konnych i biegach me tylko w Europie, ale i w Ameryce twierdzi, że ten marsz nocny z 29 na 30 września był największym crossem świata. Jechaliśmy bowiem nocą na przełaj, lub rzadko dzikimi drożynami leśnymi przez gór-

skie pasmo Niedzielnej. Musieliśmy przebyć około 450 metrów względnej różnicy poziomu, często gęsto po stokach nachylonych do 50-60 stopni. Jazda ta była rzeczywiście fantastyczna. Miejscami przedzieraliśmy się przez zbite gąszcza leszczyny i głogu, jadąc z zamkniętymi oczami. Gałęzie darły ubrania i zdzierały karabiny. Byliśmy podrapani do krwi, w strzępach ubrań, z poobtłukiwanymi kolanami. Jak te konie szły? Teren był pozornie zupełnie nieprawdopodobny do przejechania konno, a jednak te bydlęta przedzierały się z szalonym poświęceniem, obsuwając się bardzo często w przód lub na zboczach. Najprzykrejsze były jary w ścianach prawie prostopadłych ze strumykami na dnie. Widać jednak, że nie ma rzeczy niemożliwych. Około godziny I w nocy dojechaliśmy do wsi Topolnicy. Wioska ta miała być naszą bazą odpoczynku, gdyż mieliśmy nadzieję zajechać do folwarku, którego właścicielka była kuzynką porucznika Kiedacza. Byliśmy diabelnie zmęczeni. Czwarta noc absolutnie bez snu. Świat dosłownie tańczył przed oczami, wywołując dziwne majaki. Chwilami zdawało się, że jedziemy przez jakieś miasto o ładnych, białych domach. Chwilami - przed łbem końskim wyrastała albo prostopadła góra, albo przepaść bez dna. Zdzierało się wtedy konia wodzami na miejscu i zmuszało się do patrzenia przed siebie - dopiero po kilku sekundach wyrasta droga przed nami. Powtarzało się to coraz częściej. Przed Topolnicą zeszliśmy z koni, czekając na wynik rozpoznania wioski przez por. Kiedacza. Widziałem wtedy, jak wezwany do generała por. Wiewiórski coś zameldował i zwałił się z nóg, jak rażony pociskiem i tak został, dopóki go nie podnieśli. Po prostu zasnął w jednej sekundzie. Czekaliśmy wypoczynku z jakąś zażartą

tęsknotą. Niestety wysłany na zwiady Zbyszek wrócił, meldując, że kuzynka gdzieś wyjechała, folwark pusty nie nadaje się do kwaterowania. Zdecydowaliśmy się więc zajechać do drugiego sąsiedniego mająteczku. W tym mocno zniszczonym folwarku nakarmiliśmy konie i wypiliśmy morze herbaty, później jak nieprzytomni zasnęliśmy po dwóch na jednym łóżku. O godzinie trzeciej mieliśmy ruszać dalej. Ale wszyscy nie wyłączając posterunku pilnującego postoju, przespaliśmy godzinę i obudziliśmy się dopiero około godzinie 4.30. Mimo świadomości niebezpieczeństwa i odpowiedzialności, nie można było zwalczyć snu. Leciało się w jakąś przepaść bez dna coraz głębiej i głębiej w niebyt. Uczucie nie do przezwyciężenia. Stan, jak pod działaniem chloroformu. Generał Anders był wściekły z powodu naszego opóźnienia. Było zupełnie widno, kiedy wyjeżdżaliśmy w kierunku na Turze. Na drodze widzieliśmy ślady gąsienic samochodów pancernych. W Turzem kupiliśmy owsa i wypchaliśmy nim owsianki. Znow strata około godziny. Właśnie siadamy na konie, gdy na podwórze wpadł jakiś chłopak, wołając: "Bolszewicy we wsi!».

289

Jakaś ścieżyną polną przeskoczyliśmy do lasu - nie wiem, czy zauważeni - w każdym razie bez wystrzału. Ujechaliśmy około 6 kilometrów, tj. razem od Topolnicy 15; generał postanowił w lesie zaobroczyć konie i dopiero wieczorem przejść przez niebezpieczny most na Strypie w Isajach.

Rozbiliśmy biwak. Sześciu karmiło konie, reszta ubezpieczała postój. Nie upłynęło jednak 40 minut, gdy nagle zagrzechotał karabin maszynowy i posypała się gęsta strzelanina karabinowa. Nie wiemy, kto strzela. Nie słyszymy gwizdu pocisków, więc początkowo myślałem, że to nie do nas. Podbiega jednak kpr. Petrykowski i pokazuje coś w lesie. Aha! Widzę, że około 60 piechurów obchodzi nas biegiem przez las od wschodu. Jakaś inna grupa leży wzdłuż drogi od północy i strzela bardzo gęsto w naszą stronę. Nie można było ich zobaczyć. Przywarli na 80 kroków szczelnie do ziemi pod ogniem por. W. z erkaemu i kilku naszych karabinów. Strzelamy z kpr. Petrykowskim do biegnących. Natychmiast i ci zalegają i otwierają ogień. Przestaję strzelać na wezwanie generała i razem z nim oraz z rtm. T. zaczynamy siodłać konie. Osiodłaliśmy trzy. Generał woła: «Do konia. Po chwili podbiegają koledzy. Przy samych koniach pada ppor. Kwiatkowski, trafiony w głowę (on, którego napotkała grupa i który otrzymał dowodzenie plutonem cekaemów - p r z y p. M.W.). Pada kapral... (nazwiska nie pamiętam). Chwilę rzuca się po ziemi w drgawkach. Wskakujemy we trzech na osiodłane konie - reszta chwyta się za puśliska i ogony i gazu, pod górę. Za sobą słyszymy «hurra» bolszewickie i konwulsyjny krzyk generała Plisowskiego i rtm. Slizienia: «Na pomoc».

Szkoda mówić. My im już nic pomóc nie możemy. Temu - kto został, tylko Bóg może dopomóc¹. Za nami biegnie luzem, rżąc głośno, reszta naszych koni.

Oglądam się - widzę jak jeden z nich roluje przez łeb jak zając, drugi leży, nie mogąc podnieść zadu. Siwek rtm. T. dostaje postrzał w bok. Mocno krwawi, ale idzie. Swoją drogą, bolszewicy strzelali beznadziejnie, bo przecież widać nas było jak na dłoni, podjeżdżających pod stromą górę, porośniętą jedynie niskimi krzakami jałowca. Można oyle wystrzelać nas jak kaczki, mając choćby rekruckie pojęcie o strzelaniu.

! Jak jednak mi opowiadał rotmistrz Slizień następnie, popijając wodę z płócienne-

go bukłaka w moim namiocie w Kirkuku - okułbaczył nieco później i wyrwał wraz z generałem Plisowskim. Natknęli się na uwiązane konie, ale już gromadki z

generałem

Andersem znaleźć nie mogli. Odjechawszy około pięciu kilometrów zaszyli się w gąsz-

cze. Tam jednak ich otoczyła tyraliera milicji. Jedyne obecne krasnoarmieje nie dał ich zabić. Szli pięć kilometrów z podniesionymi rękami. Rotmistrz Ślizień dwukrotnie

pada pod uderzeniem kolby. Szarpie mu sygnet, chcąc go zedrzeć z zapuchniętego palca.

Dowództwo w Turcji zgorączkowane: Sztab generała Andersona Gale generała Anderson?

290

Wreszcie dostajemy się na grzbiet. Kilkadziesiąt metrów przed nami bardzo gęsty świerkowy młodniak.

Za grzbietem musimy zostawić konie, bo nie wszyscy mamy je teraz, a poza tym las będzie za gęsty na jazdę konną. Zrzucamy więc siodła i wiążemy konie do drzew. Ruszamy dalej pieszo. Konie jednak zrywają uwiąz i całe stado galopuje za nami. Dobiegają do nas i po prostu wchodzi w naszą grupę, kładąc pyski na ramionach. Jest w tej scenie coś dziwnie wzruszającego - wygląda tak, jakby nie chciały nas opuścić w tej groźnej chwili. Są szalenie zdenerwowane i jakby zdumione. Jest nam niesłychanie głupio na duszy - bo przecież absolutnie nie możemy teraz ani wsiąść, ani prowadzić ich w rękę. Ponadto biegnące za nami stado pokazuje kierunek naszego odwrotu. Musimy się rozstać z wierznymi do końca towarzyszącymi broni. Musimy je zostawić wiążąc do drzew na łup wrogów. Paskudna chwila dla kawalerzysty. Ale tak być musi.

Generał Anders zupełnie odruchowo, z jakąś determinacją odpina ostrogi i odrzuca je w las. Machinalnie robimy wszyscy to samo. Powie ktoś - gest teatralny zbędny dla kawalerzysty. Może - ale jeśli się go wykonuje, mając przed oczami śmierć nie bohaterską i nie zaszczytną, a śmierć zbiega bez chwały, której świadkami będą tylko podkarpackie drzewa i uciecha wrogów - to gest ten nie miał w sobie nic teatralnego. Był to odruch płynący gdzieś z potrzeby oddania w tej chwili, w ten sposób, hołdu koniowi.

Już ucichł krzyk generała Plisowskiego - widocznie gotów. Zaszyliśmy się w krzaki i przedzieramy się przez nie jak dziki w kierunku zachodnim. Idziemy tak ze dwa kilometry. Przed nami dalekie strzały. Zmieniamy kierunek na północny i po jakimś czasie zapadamy we wnęce terenowej w rodzaju misy na zboczu.

Las tu jest wysokopienny, mieszany, dość gęsto podszyty. Ze strzałów dokoła widać, że las jest otoczony. Postanowiliśmy więc próbować szczęścia, pozostając na miejscu, schowani do wieczora, zaś w nocy wysliznąć się z pułapki. Jest zimno. Zgrzani po forsownym marszu, po pewnym czasie zaczynamy okropnie marznąć. Zbijamy się w kupkę jak kuropatwy na śniegu. Ktoś wyciąga z kieszeni książeczkę do nabożeństwa, ktoś drugi różaniec i modlimy się z rewolwerami w rękach, dokoła obłożeni granatami ręcznymi. Jest przejasna świadomość, że to już koniec, że idzie nieubłagana, nieodwołalna śmierć.

Wiadomo nawet, jak się to wszystko odbędzie. Za chwilę wyjdą na nas «Oni». Będziemy się bronić. Zastrzelimy kilku, może kilkunastu, później będzie nas coraz mniej i - skończy się wędrówka. Ale przychodzi równocześnie myśl straszna, że mogą przecież nas wziąć żywym lub rannym i oddać zbolszewiczej tłuszczy. Wtedy... Czuję jak

291

cierpnę od tych myśli. Jestem pewny, że wszyscy myślimy to samo. Jest między nami śmiertelna cisza - słysząc w lesie każdy szelest. Dokoła

rozlegają się strzały i nawoływania. Zaciskamy silniej rewolwery, i idzie jakaś rozpaczliwa, największa w życiu, zażarta modlitwa. Tak modlić się mogą tylko konający w chwili przytomności, wiedząc, że za parę minut spadnie na oczy ciemna zasłona. Znowu strzały i krzyki. Słychać łamanie gałęzi. Na chwilę wszystko milknie i znów zaczyna się zbliżać. Minuty wloką się jak godziny - czas jakby zatrzymał się na miejscu. Chwilami ogarnia przedziwna senność. Oczy same się zamykają i spać, spać. Nie wiem dlaczego, ale ciągle budziliśmy się nawzajem. Dokoła tupot - chce się strasznie kaszleć. Zaczynam się po prostu dusić, tłumiąc kaszel. Nagle ktoś wyciąga rękę i coś pokazuje pistoletem. O cztery kroki z boku stoi ich dwóch i patrzą przed siebie. Karabiny na «gotuj broń». Aha, więc zaczyna się początek końca. Podnosimy pistolety i wolno celujemy. Jeśli obróci się w naszą stronę, będą pierwsi przed nami prosić o przejazd Charona, 10 strzałów kłapnie - wierzgną dwie pary nóg, a potem przyjdą inni i przyjdzie nasza kolejka.

Co jest jednak? Bolszewicy gęsiego schodzą w dół. Zostajemy znów sami. Trzy razy powtarzała się ta sama historia. Ktoś widocznie roztoczył nad nami welon niewidki. Gdyby nie diabelnie zimno, może z czasem przywyklibyśmy do naszej sytuacji. O zachodzie słońca ruszyliśmy w dalszą wędrówkę. Starym wypróbowanym sposobem na kierunek kompasu. Prowadzimy z Władkiem Zgorzelskim, ciągle sprawdzając. Droga była ciężka, bo musieliśmy przechodzić przez kilka prostopadłych jarów i duże zwaliska drzew.

Z trudem około godziny 20 doszliśmy do wsi Świdnik. Wybieramy na skraju odosobnioną chatę, którą otaczamy dokoła, skradając się jak wilki, po czym dopiero po dwóch wchodzimy do chaty. Ostrożność taka jest konieczna, bo nie wiadomo, czy we wsi nie ma bolszewików. Interes mamy tu krótki - jeść i wziąć przewodnika. Z jedzeniem jednak jest gorzej, bo dostajemy zaledwie po pół szklanki mleka i pół bochenka chleba na dziesięciu. No, ale dobre i to.

Więcej chat nie chcemy przeszukiwać, aby nie robić we wsi alarmu. Z przewodnikiem idziemy na przełaj, potem równolegle do wsi. Jest pełnia księżycowa. W jej świetle widzimy jakieś postacie biegnące ze wsi i wyprzedzające nas. Przewodnik prowadzi nas do kładki na Stryju (około 4-5 km) pod wsią Łastówką, po czym odchodzi. Po przejściu kładki jesteśmy dość zmęczeni (szczególnie generał) i chcemy chwilę odpocząć, ale słysząc podejrzany ruch we wsi, ruszamy bezzwłocznie naprzód. Przecinamy w poprzek niezabudowaną część wioski. Na drodze spotykamy babę i chłopaka z wózkiem. Proponujemy, aby chłopak poszedł z nami na przewodnika za dobrą opłatą. Kiedy ten nie zgadza

292

się, Zgorzelski chwyta go za kołnierz i każe maszerować. Chłopak jednak wyślizguje się z kurtki, która pozostaje w ręku Zgorzelskiego i ucieka. Prawie w tej chwili rozlega się we wsi bębnienie w żelazną szynę na alarm. Za chwilę zaczynają bić dzwony w cerkwi. Jesteśmy u podnóża dość wysokiej stromej góry, którą musimy przejść, aby wydostać się dalej w kierunku na wieś Kondratowo. Mamy około 800 m podejścia... W Łastówce ruch i szum, jak w poruszonym ulu. Kiedy dochodzimy mniej więcej do 1/3 wysokości góry, ze wsi wylęga banda około 200-300 ludzi i z dzikim wyciem przy akompaniamencie bicia cerkiewnych dzwonów, gongów i szczekania psów, zabiega nam drogę od wierzchołka. Bezpośrednio za nami napiera nam na pięty mała grupa około 40 ludzi, wrzeszczących jak opętani. Rozsypujemy się szeroką, półkolistą ławą. We wsi biją dzwony coraz głośniejsze. Tłum wyje. Słychać okrzyki: «Bij takich synów. Biery ich żywymi! Nie strzelaj, nie strzelaj! Zdaj się, Polaczki!» itd. No, dobrze, bierzcie kto mocny. Idziemy wolno pod górę.

Generał mówi nam: «Nie strzelać, nie prowokować rozlewu krwi».

Banda podchodzi na 30-40 kroków. Jeśli ich puścimy bliżej, to i broń nam nie pomoże. Na naszym prawym skrzydle słyszę strzały i krzyk: «hurra». Odwracam się, ryczę także: «hurra»; szturmujemy tłum, strzelając na wszystkie strony z pistoletów i karabinów. Kilka postaci roluje jak zające. Reszta gromady zatrzymuje się na moment, odwraca się w tył i z niehumanicznym wrzaskiem: «Mordują!», zaczyna biec w dół do wsi. Równocześnie prawie odzywają się strzały z małej grupy, nacierającej z tyłu. Widać błyski wylotowe. Podbiegam do generała. Ten w pewnej chwili chwytając się za udo i mówi spokojnie:

- Zdaje się, że jestem ranny. O! dostałem drugi raz.

Ogarnęła nas w tej chwili jakaś straszliwa wściekłość. Bez słów wyrwamy granaty i rzucamy. Wrzask okropny. Generał Anders ślania się i prosi o zrobienie opatrunku. Nie można jednak tego zrobić natychmiast, bo boimy się odcięcia odwrotu. Chwyćmy go więc pod rękę i wlecmy na grzbiet, potykając się ciężko na każdym progu zbocza. Na szczycie oglądamy rany. Są dwie. Jedna w krzyż, w okolicy nerek - małeńki otwór wlotowy, trochę siny, słabo krwawiący, bez rany wylotowej. Druga wysoko w udzie, silnie krwawiąca. Opatrujemy obie, jak umiemy, opatrunkami osobistymi. Zdajemy sobie sprawę, że położenie jest jednak poważne. Rany są ciężkie - szczególnie ta w krzyż. A do granicy pozostało jeszcze około 30 km na wprost górami. Generała samego zostawić nie możemy, a iść z nim, czy nieść go prawie, nie sposób. Jakieś cienie obchodzą nas w kierunku na Kondratową. Musimy iść za wszelką cenę, choćby tylko i dalej od bolszewickich zbirów.

I zaczął się teraz najtragiczniejszy nasz marsz. Sześć godzin wlekliśmy ciężko rannego człowieka. Stara, niedokładna mapa, austriacka, me

293

oddawała należycie terenu. Poblądziliśmy... Zeszliśmy z drogi i szliśmy na przełaj, na kierunek bezarda po oślizgłych od szronu górach, raz po raz przewracając się. Generał dostał krwotoku. Niosą go pod rękę przeważnie rtm. dypl. Kuczyński i ordynans. Żeby im ulżyć, generał próbuje od czasu do czasu iść samodzielnie, ale nie może, bo ślania się po każdym kroku. Wreszcie pełza tylko. Zawieszony na sznurze rewolwer, miarowo kołysze się przed nim. Wygląda to bardzo przykro i smutnie... Nieść go więcej nie może jak dwóch, bo coraz to wysyłamy patrole na boki, dla szukania jakichś zabudowań. Reszta nas ubezpiecza marsz, idąc obok z pistoletami i granatami w rękach. Dokoła nas ciemne, raczej wyczuwalne, niż widzialne, postacie.

Stałem mi tej wrześniowej nocy księżycowej nad Stryjem przed oczami, dziwnie dokładny obrazek oglądany kiedyś w dzieciństwie w historii Polski dla dzieci. Stary, siwy hetman z pałaszem w dłoni, podtrzymywany przez garść towarzyszy, ściskających z jakąś rozpaczliwą determinacją broń. Cecora... Boże, jakże niedaleko jesteśmy teraz od siebie tą grozą chwili, tą dławiącą niemocą położenia, w którym jest tylko słowo - zginąć. Ale czyż tak? Nie. Za wszelką cenę nie... Kiedyś - inaczej - zgoda. Ale dziś, tak parszywie, jak bezdomne psy?

Generał po raz drugi dostaje ataków i dreszczów. Kładzie się na ziemi i mówi:

-To już zdaje się koniec... Zostawcie mnie samego, ze mną nie dojdziecie. Idźcie sami - ja zostanę. Pozdrówcie żonę i przyjaciół i zamelujcie komu trzeba.

Kiedy nie godzimy się opuścić go, wyciąga rewolwer i chce się strzelać, żeby nam nie przeszkadzać.

Prosimy go i zaklinamy, że przeniesiemy go mimo wszystko, że znajdziemy podwodę itd. Jeszcze w to wierzymy. Dreszcze są coraz silniej-

sze. Nie zważamy już na nic, palimy ogień. Obieg krwi staje się normalniejszy. Ruszamy dalej - dokąd? nie wiem. Wreszcie około godziny 3 wychodzimy z powrotem nad Stryj. Orientujemy się w położeniu. Najbliższa wieś - Jasionka Stasiowa o 4 km. Generał jest blady jak kreda, z kroplami potu na twarzy i trzęsie się znów febrycznie. Sił nie ma już zupełnie - my na wykończeniu. Generał daje nam ostatni rozkaz: «Musimy się rozstać». On pójdzie do wsi na los szczęścia. My w dalszą drogę - w nieznane.

Generał Anders nie chce się zgodzić przy tym, żebyśmy szli pierwsi rozpoznać wieś, lub odprowadzić go do wsi. Twierdzi, że wywołamy znów prawdopodobnie jakąś niepotrzebną, strzelającą awanturę. Zegnamy się.

Z generałem idzie na ochotnika rtm. Kuczyński i ułan K., ordynans.

294

Psiakrew, ciężko. A więc zostało nas już tylko siedmiu - a czternastu rozpoczęło wędrówkę.

Generał odszedł. Ruszamy za nim w 20-30 minut. Jesteśmy nad rzeką Stryj. Jest dość widno. Idziemy brzegiem. Po kilku kilometrach skręcamy w lewo - niby do wsi. Znów błądzimy. Jesteśmy szalenie zmęczeni. Sił zaczyna brakować, ale trzeba iść. Wleczeni się znów z godziną - zaczyna świtać. Złe. Przed nami wieś. Poszliśmy rozpoznać ją ze Zgorzelskim. Znaleźliśmy bolszewików i wycofaliśmy się. Jest prawie widno. Podchodzimy pod górę koło samej wsi. Na szczycie góra porośnięta jest krzakami jałowców, dalej przed nami druga góra i rzadki las, ale nie mamy sił już tam iść. Zaszywamy się w jałowce jak zające. Jest zimny świt, ziemia wilgotna. Jako okrycie mamy jedynie własne ubrania. Zrzucamy własne buty grzejąc się wzajemnie, zasypiamy niepomni niczego.

Budzimy się około 9 rano. Jest cieplej - piękne jesienne słońce - w dole dymią kominy Jasionki Stasiowej. Ludzie na polach kopią ziemniaki. Jest cisza i spokój polskiej jesieni dokoła - tylko my, garstka siedmiu zbiegów, nie czujemy spokoju. Wczoraj cały dzień bez jedzenia. Nie mamy również nic do palenia. Zapadłe oczy i spalone usta. Oczywiście zwierząt lustrujemy okolicę. Góra nasza lekko porośnięta jałowcem, jest właściwie ze wszystkich stron widoczna. Za dużo ludzi na polach. Za chwilę może się zacząć znów polowanie na nas. Trzeba czekać. Zasypiamy z powrotem.

W południe pustoszeją pola. Zaczynamy więc chyłkiem, pojedynczo, bardzo wolno schodzić z naszego wierzchołka i przenikać do zarośli u podnóża, skąd już krzakami idzie droga na dalszą górę. Spostrzegamy jednak, że nas zauważono. Jacyś ludzie biegną do wsi. Złe. Musimy co prędzej dopaść zadrzewień następnego zbocza. Podejście jest jednak strome, jak i wykroty. Dopiero po upływie chyba godziny, dochodzimy na szczyt, gdzie zalegamy. Chcemy tu przeczekać do wieczora. Obserwujemy wieś, która jest na odległość około jednego kilometra. Około godziny 14 lub 15 wyjeżdżają ze wsi trzy samochody ciężarowe i czołg i wychodzi grupa piesza około 30 ludzi. Pierwsi idą wprost na naszą górę z północy. Czołg i samochody zatrzymują się na brukowanej drodze u stóp naszej góry od południowego zachodu. Z jednego samochodu wychodzi grupa żołnierzy w sile około 18 ludzi. Grupa ta w tyralierze kieruje się wprost na nas, podchodząc pod stromą w tym miejscu górę. Drugi samochód jedzie dalej około 500 metrów i zatrzymuje się. Wyładowuje się z niego oddział piechoty w sile również około 20 ludzi. Ci, po wyładowaniu się, idą wprost na nas od południa. Z naszymi pistoletami i karabinami jesteśmy za słabi na walkę (erkaem został w lesie pod Topolnicą, jako bezużyteczny, bo brak było amunicji). Po-

295

zostaje odwrót na wschód, ale to jest zupełnie beznadziejne, bo trzeba wyjść na całkowicie otwarte, szerokie, doskonale widoczne zbocze, na którym muszą nas zobaczyć i wystrzelać. Jest chwila dezorientacji. Ktoś rzuca jakąś radę, ktoś drugi inną. Obie beznadziejne. Nagle Władek Zgorzelski daje rozkaz: «Kłaść się na ziemi, i nakryć gałęziami, może nas nie zauważą; innego wyjścia nie ma». Pięciu zalega w jednym dole. Ja z kapralem Petrykowskim w drugim, blisko zbocza dla obserwacji. Naciągamy na siebie gałęzie świeże i stare, tak że tworzy się jakby kopiec. Operacja dość trudna, bo trzeba się samemu nakryć. Wzgórze nasze jest porośnięte dość rzadkim lasem jodłowym, podszytym jałowcem. Zbocza są wyłącznie jałowcowe. Jest więc pewna szansa ocalenia, jeśli nie będą patrzeć pod każdy krzak. Obserwuję z Petrykowskim bolszewików, idących wprost od drogi. Idą bardzo wolno. Chwilami giną z oczu w krzakach i załamaniach. Ogarnia mię nagle zupełna obojętność. Jest mi tylko szalenie nudno. Nuda jest przeraźliwa, beznadziejna nuda, jak w jesienny wieczór, kiedy godzinami chłupie deszcz za oknami i człowiek jest sam, zagubiony w pustej wiosce poleskiej. Ziewam i ziewam. Przypomina mi się nagle, że w oknach mieszkania rodziców Hani jest zawsze dużo czerwonych i żółtych kwiatów. Myślę, że to jest ładne i zasypiam. Budzi mnie szarpanie za rękę - to Petrykowski. Leżąc na boku widzę, że stoi nad nim bolszewik z jedną gwiazdką na kołnierzu. Coś komuś pokazuje ręką i krzyczy: Podażdi. Śmieszne, nie wiem po co i dlaczego wyciągam bardzo ostrożnie pieniądze z kieszeni bluzy i wciskam je pod mech. Drugą rękę z rewolwerem przyciskam do siebie i z biodra celuję do bolszewika. Jeśli popatrzy w dół, strzelę. Zresztą nie myślę o niczym.

Mamy jednak szczęście i on i my. Zupełnie jak na filmie. Towarzysz coś jeszcze pokrzykując odchodzi. Cała ta historia trwała może dwadzieścia sekund.

Leżymy dalej nieruchomo. Jest zupełna cisza. Zasypiam znów. Około godziny 16 zaczynamy wypęłzać spod krzaków. Dokoła nie ma nikogo. Dzień jest ciepły, słoneczny, bezwietrzny. Włóczy się babie lato. Wreszcie przychodzi zbawczy zachód słońca i z nim swoboda działania. Orientujemy się według kompasu i ruszamy na kierunek Jasionka Stasiowa (na Kondratową boimy się obecnie iść, sądząc, że ten kierunek jest znany bolszewikom po przejściu wczoraj przez Łastówkę). Zbyszek Kiedacz znęca się ciągle nad kpt. T., że ten jedyny spośród nas rzucił nie tylko karabin, ale nawet płaszcz. Reszta jest ciągle uzbrojona «po zęby» - karabinki, 2 pistolety i po 4-5 granatów ręcznych. Idziemy na przełaj. Prowadzimy jak zwykle we dwójkę, Władek Zgorzelski i ja, stale i wzajemnie sprawdzając kierunek marszu. Początkowo idziemy skokami - tj. tak, że szpica robi około 100 kroków, po

296

czym dołącza reszta. Boimy się bowiem zasadzki. Droga piekielnie ciężka z powodu przeklętych jarów o ścianach prawie prostopadłych, zarosniętych leszczyną i z wodą na dnie. Przecinamy je na przełaj, bojąc się omijania ich, aby nie zgubić kierunku i nie znając jak dalej trzeba iść, żeby je minąć. Walimy się niezliczoną ilość razy z nóg. Jesteśmy spocony, podrapani, ubrania się dra i buty znów mokre od spodu. Nie wiem jak mogłem zrobić tę drogę mając nadwyrężoną torebkę stawową w lewej kostce (w upadku z koniem do kanału 28 września). Później nie mogłem włożyć buta przez cztery tygodnie, a nogę tę też czułem poważnie przez 5 miesięcy. Doktorzy w Sz. kiedy oglądali moją stopę, byli przekonani, że całą tę historię naszego marszu zełgałem jak pies. A przecież szedłem. Człowiek może bardzo wiele, jeżeli go pędzi konieczność.

Może zrobić rzeczy nieprawdopodobne. Ta diabelska wędrówka przez jary i potoki trwała około 3 godzin. Wreszcie wyszliśmy na drogę kołową, po której marsz wydał nam się podróżą sleepingiem. Noc piękna, księżycowa, ciepła. Wróciły siły, tylko byliśmy przeraźliwie głodni. Doszliśmy do Jasionki Stasiowej. Postanowiliśmy iść we trzech do wsi, aby zdobyć żywność i przewodnika, czterech pozostałych miało czekać przed wsią. Idziemy. Zgorzelski, Tuski i ja. Wszyscy w krótkich kożuszkach, mówiący po rosyjsku. Dobijamy się do chaty. Wchodzimy i żądamy jedzenia. Tuski opowiada prawdopodobną historię, że zgubiliśmy nasz szwadron, który odjechał z naszymi końmi w kierunku Turki. Nie budzi to podejrzeń. Wypytujemy czy nie ma tu Polaków i jak się zachowują. Czy nie trzeba ich zlikwidować. Chcemy w ten sposób uzyskać wiadomości o swoich i zdobyć przewodnika. Chłopi opowiadają, że jest jeden mechanik w Jasionce Stasiowej, ale że on właśnie jest «ruski», tylko w 1937 r. zrobił się na Polaka, aby dostać posadę i że to człowiek «nasz», bardzo «porządny». Drugi Polak ma być w Radyczy, też gajowy - ten to prawdziwy. Poza tym dowiedzieliśmy się, że przez wieś przechodziło kilka szwadronów kawalerii sowieckiej, i że kwaterują w Turce. Radycz ma być wolna. Z jedzeniem jest źle. Chleba i mleka brak. Jest tylko bryndza i placki jakieś z kartofli gotowanych, których mimo głodu jeść nie sposób, bo dostajemy mdłości. Głodni ruszamy dalej^

Prowadzi nas jakiś kulawy chłop - bo chcemy zejść do tego neofity Polaka. Idzie do niego Zgorzelski. Tuski wraca po pozostałych kolegów. Ja czekam przed gajówką sam. Jest niezbyt przyjemnie, bo we wsi robi się jakiś ruch, od czasu do czasu słychać nawoływania i pojedyncze wystrzały karabinowe. Wreszcie wychodzi Zgorzelski z jakimś starszym chłopem, który ma nas prowadzić do Radyczy. Kulawy chłopak znika. Wychodzimy ze wsi. Szukamy Tuskiego i towarzyszy. Czekamy przeszło pół godziny. Gwiżdżemy nasze umówione hasła - nie strzela-

297
my z pistoletu, koledzy nasi przepadli jak kamień w wodę. Do dziś nie wiem jak to się stało, że nie mogliśmy się spotkać. Ruszamy więc we trójkę z ciężkim sercem, sądząc, że nasi poszli naprzód. Maszerujemy około dwu godzin. Przewodnik pokazuje nam coś w dali, mówiąc, że to wieś Radycz i gajówka. Płacimy sto złotych i odchodzi. Mimo iż leśniczówka miała być tuż obok - nie możemy jej znaleźć. Błądzimy z godzinę i wracamy do miejsca skąd odszedł przewodnik i... spotykamy się z resztą kolegów i z naszym przewodnikiem, którego schwycili po drodze. Wymyślamy sobie wzajemnie nasze zagubienie się, w gruncie rzeczy bardzo uradowani; wiemy bowiem z doświadczenia, że jak ktoś się zgubił, to go znaleźć z powrotem można tylko cudem.

Teraz razem z przewodnikiem maszerujemy do gajówki. Jest ona położona doskonale, bo z dala od wioski. Otaczamy ją, stając z bronią w ręku przy drzwiach i oknach - dwóch wchodzi do wewnątrz. Gajowy, młody człowiek, lat około trzydziestu, jest przerażony. Mówimy mu, kto jesteśmy, i prosimy: dziś o jedzenie, jutro o przewodnika. Uspokaja się trochę, afe na widok naszego przewodnika widać nowy paroksyzm strachu: «2dradzi mnie, że was przyjąłem i będę gotów». Gajowy nazywa się Zabelak, robi wrażenie kulturalnego człowieka. Wnętrze chaty pachnie czystością i dosytem. Zabelak budzi młodą, przystojną żonę, która daje nam chleb sitny i świeże masło (co za rozkosz). Rozpala ogień i zaczyna coś warzyć. Po skosztowaniu chleba zaczynamy się robić podobni do ludzi. Myjemy się, golimy, suszymy nasze buty, po czym kładziemy się na podłodze na wielkiej baranicy i odpoczywamy. Szcześnie nasze koronuje przyrządzony przez gajowinę jakiś

gulasz z kluskami. Było to najwspanialsze jedzenie w moim życiu. Do dziś dnia wydaje mi się, że nigdy nie jadłem w życiu lepszej stawy; smak jego i tego chleba czuję do tej pory w ustach. Jesteśmy o czternaście kilometrów od granicy węgierskiej. Jutro będzie przewodnik - droga tylko lasami. A więc jesteśmy prawie w domu. Znika z nas gdzieś koszmarny beznadziejności włóczędzy - to co przeszliśmy, wydaje się nam złym snem. Widzimy się już wolnymi - niedługo znów zaczniemy walkę. Ogarnia nas dziwne lenistwo. Zasypiamy. Budzi nas przerażony gajowy:

- Świta, muszą panowie iść do lasu i tam poczekać na mnie. O drugiej przyprowadzę przewodnika i pójdziecie na granicę -: tu w mieszkaniu zostać nie możecie, bo mogą przyjść bolszewicy.

Zupełnie słusznie. Zwlekamy się z posłania, zabieramy wielki kożuch gajowego i maszerujemy. Gajowy lokuje nas w gęstym lesie o 2-3 km od wsi. Miejsce jest wspaniałe, doskonale ukryte, i bardzo trudne do odnalezienia nawet z 10 kroków. Na wszelki wypadek proszę gajowego, by - gdyby bolszewicy przyszli do niego, powiedział, że poszliśmy

298

w nieznanym kierunku o świcie. Obiecuje tego solennie dotrzymać. Rozścielamy kożuch i kładziemy się spać, jeden obok drugiego, przewodnik w środku, czaty są zbędne. Budzę się o 12 godzinie na swoją zmianę i stwierdzam, że zgubiłem latarkę elektryczną (zresztą bez baterii). Robi się czegoś bardzo przykro - tę latarkę zabrałem z domu, wychodząc z domu na wojnę i obiecałem solennie żonie, że ją przywiozę z powrotem, bo latarka ta nie była własnością moją, tylko wydana Hannie dla celów OPL. Przypomniał mi się ten moment, jak żona prosiła mnie, mówiąc: «pamiętaj, nie zgub tej latarki, bo przecież po wojnie będę ją musiała oddać». Zawsze ta sama - nie umiejająca zrozumieć, jak można w zawierusze wojennej postradać cudzą latarkę. Ta Hanna stanęła mi zupełnie wyraźnie przed oczami i naszło mnie parszywe uczucie, że przecież nie dojdziemy, bo zgubiłem jej latarkę. (Na wojnie potraciłem wszystkie rzeczy, a z latarką się nie rozstałem). Mówię do ppor. Żywie-
nia:

- Zdaje mi się, że jednak wsiąknijemy w końcu.

- Złam twarz - mówi - ja ci powiadam, że jutro będziemy już pić węgierskie wino.

Po swoim dyżurze położyłem się spać. Nagle budzę się i słyszę jakieś krzyki i ruch w lesie. Nade mną widzę granatowe spodnie i długie buty. Chwytałem leżący przy głowie pistolet. Krzyk: Zdaj się, nie strzelaj, nie strzelaj!. Ostrze bagnetu na plecach. Wyrężyłem się tylko - i... odłożyłem pistolet. Bagnet zelżał.

Wstałem wraz z innymi. Dokoła nas 20 żołnierzy, jeden starszy lejtnant, dwóch lejtnantów, i 2 erkaemy. Pierwsze pytanie: «Sztab generała Andersa?». Da - odpowiadamy. Połowa sowieciarzy trzyma w ręku nagany. Nagany te najwyraźniej trzęsą się im w ręku, jakby mieli febrę. Dobre wojsko. Brosaj oruże. Nie ma co robić, ani rzucać, bo broń nasza leżała przy nas na ziemi i większą część jej zabrali bolszewicy, kiedy nas schwycili. Robią rewizję bardzo delikatnie. Najwidoczniej boją się przybliżyć do nas. Oddajemy im nasze dokumenty. Pieniądze rzucamy na kupę - jest tego około 37 tysięcy złotych. (Pieniądze skarbowe były dzielone pomiędzy oficerów, aby nie przepadły wszystkie razem - mieliśmy więc ich sporo). Uczciwość czasem jest idiotyczna. Na zezwolenie bolszewików, możemy zabrać pieniądze własne, a oddać rządowe, bierzemy tylko po garstce z kupki, zabierając sobie gażę wrześniową - zamiast przyznać się do całości. Odpokutowaliśmy bardzo naszą niewczesną uczciwość później w Szepietówce. Bolszewicy pytają się co to

jest, wskazując na granaty ręczne. Kiedy ich objaśniamy, odsuwają się z respektem i każą nam je zakopać własnoręcznie. Interesuje ich bardzo, [Red.:] Rzuć broń.

299

czy to są granaty gazowe. Widzimy, że nie wierzą, kiedy twierdzimy, że to są zwykłe granaty zaczepne. Wreszcie jesteśmy gotowi. Stawaj po dwa. Ustawionych w dwurzędzie otacza nas konwój 20 ludzi z bronią «na gotuj broń». Oficerowie z pistoletami i każą maszerować. Idę w dwójkę z Maksem Tuskim. Ten jest w garnizonowym letnim mundurze ze sznurami i orzełkami oficera dyplomowanego, z oznakami MSW i 17. Pułku Ułanów, i boso (buty zostawił w leśniczówce). Poza tym bolszewicy narzucili na niego do niesienia ogromny kożuch, na którym spaliśmy. Biedny Maksio. Patrzę na jego bose nogi i obserwuję jak błoto przecieka mu między palcami, rzadkie, czarne błoto - kontrast dość dziwny i niesamowity z czupurną miną małego chłopca i podwójnymi akselbantami u prawego ramienia. Maks z pełnym samozaparciem się dźwiga baranicę. O Maksiu, gdyby ciebie teraz zobaczył twój mały Jurek - byłeś jak symbol tego, co się z nami działo. Nie pobity, a rozbrojonny. Dumny, a na bosaka. Niewolnik ze wszystkimi dystynkcjami swej godności i szarży.

I tak zaczęła się nasza niewola."

RESZTKI 26. PUŁKU UŁANÓW 19. DAK-U1

Przy dowódcy 26. Pułku Ułanów zebrało się kilkudziesięciu jeźdźców. Do tej grupy dołączył się kapitan Czapliński z 9. DAK-u z pięcioma oficerami i kilkunastu kanonierami. Prócz tego rotmistrz Lichtarowicz i kapitan Kropiński, ranny w ramię pod Dernakami.

Skoro rozkaz generała Andersa rozwiązał grupę i kazał się przedzierać na Węgry - należało oprzeć dalszy stosunek do żołnierza na podstawie ochotniczej. Na osiemdziesięciu ludzi pięćdziesięciu wyraziło gotowość przedzierania się dalej.

Po całonocnym marszu, około godziny piątej nad ranem zatrzymali się we wsi Solsy pod Niżankowicami i zakwaterowali się: grupa artylerzystów w jednym, a ułani w drugim domu. Przed jedenastą zbudziły ich strzały. Ułani gotowi szybciej, ostrzeliwali się, czekając, aż artylerzyści posiodłają. Polegli porucznik Okulewicz oraz oficer rezerwy DAK-u, czterech ułanów, trzech kanonierów, zabito sześć koni.

Oślaniani przez nasz erkaem, wąskim jarem wycofali się ze wsi na drogę do Niżankowic. Z obu stron drogi, zarówno jak z Niżankowic, wychodziły tyraliery bojówek, co świadczyło, że akcja była uplanowana. Grupa kieruje się na lewo, ułani zarabali paru bojówkarzy, równocześnie koń porucznika Lewkowicza padł, podano mu drugiego i przerwano się przez boczną wieś.

Gdy po kilku godzinach marszu grupa schodziła z grzbietu ku leżącym na dole Łodzinkom, rozległy się strzały. Grupa zdecydowanie jechała naprzód, machając białymi chusteczkami i wołając: ne strylaty. Bojówkarze przestali strzelać. Niepewnie, wietrząc zasadzkę, grupa zjeżdżała w dół. Jakiś wyrostek, wymachując karabinem leciał na spotkanie, przeprasząc, że wziął grupę... za Polaków. Kożuchy, w które było ubranych wielu ułanów, dźwięk poprawnej wielkorosyjskiej mowy, którą go powitano, do reszty go umocnił w jego przekonaniu.

Pelen entuzjazmu wwindował się na podanego mu zapasowego konia bez siodła, aby towarzyszyć oddziałowi i uprzedzać wszędzie bojówki, żeby nie strzelały. Jechał zadowolony w szpicy między kapitanem Czaplińskim i porucznikiem Żywieniem, którzy rozmawiali z nim po rosyjsku. Podane w streszczeniu według książki pułkownika Schweizera.

301

sku. Z tym dziwnym ubezpieczeniem maszerowali szybko i spokojnie, Uprzedzani dywersanci witali kwiatami i żywnością tę "razwiedkę", za którą jakoby idą główne siły bolszewickie. Dufność ułanów tak wzrosła, że w Starej Birczy przy latarniach podkuli siedem koni.

Po czterdziestu kilometrach jazdy na oklep przewodnik wybitnie ostygł w swym zapale i chciał wracać. Spozrzegł się. Na najbliższym postoju uciekł.

Po stracie w Solsy dwóch oficerów i siedmiu szeregowych i odłączeniu kilku, grupa liczyła trzydziestu trzech.

Trick jednak, nieświadomie zastosowany, w dniu następnym znowu się udał. Pod Tyrawą Wołoską spotkali ich na rowerach wyrostki z pękami kwiatów. Na krańcu Tyrawy stał tłum z kwiatami i sztandarami czerwonymi i niebiesko-żółtymi. Jeźdźcy wysłuchali w skupieniu antypolskich tyrad, objedli się, nabrali papierosów, podkuli parę koni i ruszyli co najprędzej, każąc obfite przyjęcie przygotować ciągnącym za nimi siłom głównym.

O parę kilometrów przed Sanem o godzinie jedenastej odpoczywają dwie godziny w polskim folwarczku. Właściciele Polacy poznali polskie wojsko, ale prosili, by się nie zdradzać. Ułani ze służbą wymłócili owies, wszyscy dostali strawę.

I znowuż w dalszej drodze spotykały ich, jak wszędzie, we wsi Załuże uzbrojone bojówki z kwiatami, dowiedzieli się, że w Lisku są Rosjanie. Skręcili w bezdroża. Posuwali się stokiem tak stromym i gęstym, że z największym trudem, pomagając koniom, które się wywracały, weszli na szczyt, gdzie zaszyli się w gąszcz.

Z tego wyniesionego ukrycia widzieli ruch drobnych patroli niemieckich za Sanem, a pod wieczór, z kierunku Sanoka usłyszeli dźwięki orkiestry niemieckiej, a z Liska bolszewickiej.

Następnego dnia, minąwszy Orelec, o świcie - między Orelcem a Bóbrką - natrafiają na czujkę bolszewicką. Padł strzał. Poszli do szarży. Podając ją słowami pułkownika Schweizera:

"Teraz dopiero przekonaliśmy się wszyscy, jak dużo zawdzięczamy okolicznościom, że oszczędzane konie miały zapas sił.

Noc kończyła się. Galopowaliśmy drogą, by uniknąć niewidocznych w ciemności przeszkód. Koło mnie byli rotmistrz Lichtarowicz, Kropiński i podporucznik Zakrzewski. Po trzystu metrach wpadliśmy na konną czujkę - czterech kozaków. Przejechaliśmy po nich. Jednego ustrzelił z pistoletu rotmistrz Lichtarowicz, drugiego Zakrzewski, pozostałych zarąbali ułani.

Jeszcze słyhać było jękiza nami, a już wpadliśmy na placówkę pod wsią. Obsługa biegła do karabinów maszynowych. Padło zaledwie parę

302

niecelnych strzałów. Placówkę spotkał los czujki. Za nami słyhać było znowu jęki.

We wsi powstało ogromne zamieszanie i bieganina. Komendy, nawoływania, przekleństwa, strzały - wszystko się mieszało. O kilometr przed nami lampa elektryczna oświetlała podwórze cerkiewne. Tam ruch był największy. Z dalszych chałup bolszewicy strzelając biegli do drogi i do cerkwi. Z końca i z boku wsi zagrały cekaemy. Zamieszanie, i tak wielkie, powiększały rżące konie, które pozrywały się z uwiązów.

Przejechaliśmy przez ten kotłujący się tłum jak lawina. Co nie położyło się od kuł lub cięć, to kładło się pod kopytami koni.

Minęliśmy oświetlone podwórze cerkiewne, kierując się na folwark odległy o paręset metrów. Jeszcze więcej zgietku, jęków i śmierci na naszej drodze - i znaleźliśmy się poza tym wzburzonym i poruszonym

mrowiskiem. Droga przed nami była wolna, żegnały nas tylko strzały. Wszystko trwało szalenie krótko".

Ale straty i po polskiej stronie były dotkliwe. Z 26. Pułku wypadłszy za wieś, nie douczono się porucznika Żywienia, podporucznika Chrzanowskiego, podporucznika Lewkowicza oraz trzech ułanów.

Z 9. DAK-u brak było oficera, ogniomistrza, czterech kanonierów.

Porucznik Wropaj, ranny, utrzymał się na koniu, ale musiał się odmeldować i odłączyć. Koń pod rotmistrzem Lichtarowiczem i cztery inne były ranne. Ponieważ jednak konie bolszewickie, urwawszy się z konołęzi, pomknęły za grupą i wmieszały się w nią, więc miano czym ranne konie zamienić.

Prac po pierś końskie przez San, przeszli na tamtą stronę. Wdrapali się na jakiś stok, na którym o głodzie przesiedzieli do zmierzchu. Konie jadły jeno liście.

O zmierzchu napotkali ich letnicy z Warszawy, chyłkiem przynieśli nieco kawy, chleba, szynki. Przysłali też przewodnika a wraz z nim... gdzieś napotkanych podporucznika Chrzanowskiego i ogniomistrza, których uważali za straconych w szarży. Gdy zabito pod nimi konie - korzystając z ciemności i zamieszania, przekradli się do Sanu, przepłynęli go i skrywali się cały dzień po chaszczech.

O godzinie drugiej ruszono dalej. Do granicy węgierskiej było w linii powietrznej dwadzieścia pięć, a drogami około czterdziestu kilometrów. Konie są tak zmęczone, że kilka trzeba było zostawić. Ludzie również ledwo powłóczą nogami. W pewnym miejscu z poziomu czterystu metrów wspinali się przeszło cztery godziny na grzbiet Łopiennika, wysoki 1069 metrów. Zalegli na odkrytej połoninie, szerokiej na dwieście do trzystu metrów. Zbliżała się jedenasta godzina. Bliskość granicy poprawiała humory.

303

Gdy nagle poderwał ich strzał posterunku i okrzyk: "Niemcy!". Równocześnie zarechotał erkaem. Odpowiedzieli strzałami. Niemcy byli o sto metrów. Nie było czasu dosiadać koni - na piechotę pyrgnęli w las, przedzierali się między ogromnymi głazami. Nagle zaszła im drogę skała niemal prostopadła, spadająca na trzydzieści metrów. Pogoń szła - sami nie wiedząc jak spuścili się z niej w gęste zarośla, potem zaraz wzięli w bok i w górę, a nie w dół, aby zmylić pościg i zapadli z bijącym sercem. W tej ucieczce Niemcy złapali podpułkownika Szaflarskiego i jednego ułana.

E

Będąc tropieni, nie mogą się przemykać zbyt liczną grupą.

Artylerzyści z kapitanem Czaplińskim, porucznikiem Nowickim, jeszcze jednym oficerem i pięciu kanonierami pozostali chwilowo.

Ułani-z pułkownikiem Schweizerem, podporucznikiem Chrzanowskim, podporucznikiem Zakrzewskim, podchorążym Turło i czterema ułanami - udali się niezwłocznie dalej. Do tej ułańskiej grupy przyłączył się rotmistrz Lichtarowicz i ranny kapitan Kropiński.

Odeszli w kierunku południowym, ku Dołżycom. Z krawędzi strome go wzgórza patrzyli na Dołżyce. Ruch w tej zapadłej wioszczynie panował niezwykajny. Motocykle pędziły w kierunku Krywego, Strubowisk i Cisny. Z samochodów ciężarowych wyładowywali się żołnierze. Szosą prowadzono połapane konie. Chłopi biegali we wszystkich kierunkach. Podporucznik Chrzanowski odszedł o kilkadziesiąt metrów w lewo, skąd pole obserwacji było o wiele szersze. Była godzina piąta i dookoła cisza absolutna. Gdy nagle padły strzały rewolwerowe i okrzyki: Hande hoch, ergebt Euch!1

Bez namysłu skoczyli z prostopadłego wzgórza, na którego skraju

się znajdowali. Niemcy nie mogli się zdecydować na to, do czego mogła skłonić tylko ostateczna desperacja. Kontakt był zerwany. Ale nie mógł też tak karkołomnych sztuk dokonywać ranny Kropiński, ani Chrzanowski, który był o kilkadziesiąt metrów.

Kapitan Kropiński jednak, jak się potem okazało, położył się w szczelinie między głazami, przeoczyli go, odczekał, trafił do leśniczego i po dwudziestu czterech godzinach znalazł się na Węgrzech.

Znowu uszczuplona gromadka posuwała się stokami i żlebami. Od dwudziestu czterech godzin nie mieli nic w ustach. Wreszcie poczęli w ciemności posuwać się stromym żlebem, służącym w zimie do spuszczenia drzew. Żleb był zawalony grubymi pniami oślizłymi od wilgoci, zwalonymi przez burze drzewami i gałęziami. Podłoże stanowiły głazy porośnięte mchem. Co kwadrans ludzie prosili o odpoczynek. Pięli się ciągle w górę. Około północy między wierzchołkami drzew, dotychczas Ręce do góry! Poddajcie się.

304

gubiącymi się w ciemności, poczęło się pokazywać niebo. Zrozumieli że dochodzą do grzbietu. Wkrótce las się skończył i wyszli na szczyt.

Jeszcze przechodzili koło jakiejś sadyby. Jeszcze zgubili podchorążego Turłę i dwu ułanów, rwących kapustę w ogrodzie tej sadyby. Wysłanie gońca wstecz za nimi nie dało rezultatu. Jeszcze przemykali się koło sylwetek uzbrojonych chłopów, z psami na łańcuchach, którzy przeszukiwali góry.

Poszedł deszcz. Wstawał w nim blady świt. W pewnej chwili porucznik Zakrzewski zobaczył słup. W bladym świetle poczynającego się dnia rozeznali numer słupa 267, z napisem z jednej strony: R P, a z drugiej ze starym napisem: C S R.

Dotarli pułkownik Schweizer, podporucznik Zakrzewski, ułani Liśiak, Ulewicz, Wysocki i rotmistrz Lichtarowicz z 4. Pułku Ułanów.

A CO 2 RESZTKĄ BATALIONU

MAJORA PERUCKIEGO

A "turyści", drepząc za kawalerią od granicy Prus Wschodnich po szosę Sambor-Chyrów - przemierzywszy tysiąc czterysta kilometrów - już nie nadążyli na tę ostatnią bitwę grupy generała Andersa w dniu 27 września.

Majora, a wówczas już podpułkownika Peruckiego, dopadłem aż w Persji. W kasynie oficerskim, kędy tego Roku Pańskiego 1943 karmiono jak we dworze - miłe rączki dały nam doskonałego chłodnika, inne miłe rączki przyniosły nam aż po dwie porcje lodów.

Ale na nogach gospodarujących puciołowatych pańienek widać było plamy, tak typowe - plamy poszkorbutowe - "wizy sowieckie".

Drzewa ogródka rzucały miły cień, plamy jego suwały się po krawędzi fontanny i po naszym dosycie migały czarne plamy wspomnień, jak te plamy na łydkach odhodowanych pańienek.

"Turysta nad turysty", podpułkownik Perucki, od tamtych pamiętnych dni wrześniowych zwiększył swoje doświadczenie turystyczne o pokaźną ilość mil przebytych przez Rosję.

I tak oto w Persji dowiedziałem się jaki był koniec jego oddziału.

Było ich jeszcze dwudziestu siedmiu na czterech furmankach. Trzeba było dać koniom choć dwie godziny wypocząć po tych nocnych, w deszcz, przeprawach po oślizłych jarach.

No i wtedy właśnie, kiedy stali w jakimś dworze, rozegrała się ostatnia bitwa.

Zaroilo się naokoło od oddziałów, od patroli bolszewickich. "Turyści" pozdzierali odznaki - z rewolwerami tylko w ręku przemykają się lasami.

W jakiejs dolince wysuwa się na nich pięć czołgów bolszewickich, które w nich strzelają. Z zakrętu wysuwa się w pięknym szyku jakiś polski pułk ułański. Cofa się do lasu, strzela z działek przeciwpancernych.

"Turyści" wsuwają się w las. Zaszytym w gąszcz jak zwierzyna leśna, tuż pod nosem, maszeruje pełny pułk kawalerii bolszewickiej.

306

Utyłłani, głodni, chlupiąc wodą w butach, idą bezdrożami na Lutowiska.

Co gdzie się tkną jakiejs wsi, to muszą brać nogi za pas: każda wieś roi się od bolszewików. Ostatecznie wpakowali się całkiem w ręce ubezpieczeniu bolszewickiemu.

Była ciemność i deszcz lał jak z cebra, nic nie można było rozeznąć. Ale wagabundów wówczas pełno było na drogach. Zrewidowali ich, poodbierali co mogli, szarż się nie domacali i puścili.

Mając już niejako immunitet, udali się do wioski, zakwaterowali się. Ale rozumieli, że póki nie będą mieli cywilnych ubrań, poty nie będą mieli pewności, czy ich inny oddział nie przytrzyma.

Wobec tego major Perucki, jako miejscowy, rusza następnego dnia rano furmanką do Sambora - kombinować ubrania.

W Samborze łatwo napotkał uczynne niewiasty, które zaraz, natychmiast po klęsce, już organizowały przebieranie wojskowych, wysyłanie ich w strony rodzinne, przechowywanie, aż się otworzy możliwość przejścia przez granicę.

Pod wskazanym adresem zastał je - szyjące, segregujące, przymierzające. Skąd brały tyle tych cywilnych ubrań?

Czterdziestokilkuletnia niewiasta podniosła się ze swego miejsca, aby spotkać przybysza. Niewiele pytając, ruchem nałożonym przymierzyła marynarkę do jego ramion. I wówczas ten jej gest wywołał jego wspomnienie: to było równo przed ćwierć wiekiem... był młodym chłopcem... ruszał do legionów... Wtedy w tym samym Samborze, tym samym ruchem, młoda dziewczyna przymierzyła do niego mundurek strzelecki.

Przyjrzał się.

- Stefka!...

Opuściła, zdumiona, ręce. Nagle poznała... Cały ból, stłoczony pod wysiłkiem, wybuchł na zewnątrz. Zarzuciła mu ręce na szyję i rozplakała się.

Kolegów swoich już nie zobaczył. Przybiegł goniec ze wsi uprzedzić, żeby nie wracać, że bolszewicy ich wszystkich aresztowali.

Ci, którzy się wydostaną z tej topieli, może będą wracać jako żołnierze. I jak przed ćwierć wiekiem, może ich ponownie witać będzie pani Stefa, jeśli ocaleje, i jak przed ćwierć wiekiem rzucać będą kwiaty. I tak samo, jak wówczas, będzie mieć łzy szczęścia w oczach.

Tylko włosy już będą siwe.

Za dużo cierpienia - jak na jedno pokolenie.

LOSY GENERAŁA ANDERSA

PO WRZEŚNIU...

Kiedy się pisze książkę o wrześniu, dziwnymi człowiek musi chodzić tropami. Powinien by mieć możliwość unosić się w powietrzu, chodzić po wodzie, mieć dywan latający i możliwość zajrzenia w każdy zakątek globu. Atmosfera całego świata nasyciła się cząsteczkami, wyemanowanymi z rozedrganej walką atmosfery polskiej. Do mego pokoiku nad morzem w Tel-Awiiw raz po raz zjawiali się dziwni goście: ten przeszedł pieszo z Polski przez Bałkany, ów dwadzieścia jeden nocy szedł przez Niemcy w swoim mundurze, aż doszedł, inny na dnie węglowym

handlowca francuskiego, przyjeżdżającego po wizytówkę do Bejrutu dziesięć dni jechał świata bożego nie widząc. Generał Anders mówił mi, że w Gibraltarze widział chłopców, którzy dotarli z Francji łódką tam, gdzie, zdawałoby się, francuska młodzież powinna docierać. Nie ma ich, wygodnie siedzących, w jednej części globu, ani w jednym kraju. Pisząc ich dzieje, trzeba by iść za nimi, jak za żywym srebrem. Kończąc książkę o kampanii wrześniowej w Bukareszcie, miałem ich wielu, którzy szli mi przez ręce, a przecież nie dopytałem o grupę generała Andersa.

I dopiero, kiedy rozwarły się czeluści Rosji, zacząłem zbierać kruszynki wiadomości: a to w Iraku - od rotmistrza Kiedacza, majora Rankowicza, a to w Persji od podpułkownika Peruckiego, a to w Palestynie od rotmistrza Slizienia, a to aż z Anglii, z publikacji pułkownika Schweizera i majora Koszutskiego, a to aż z Indii z pamiętnika pułkownika Grobickiego.

Żaden z nich jednak nie informował o losach generała Andersa - po wzięciu generała do niewoli.

Tropiąc tę sprawę zajechałem - do którego już kraju? - aż w góry Libanu, gdzie generał spędzał krótki czas rekonwalescencji po ataku malarii.

Dziwnie kontrastowała ta historia, pełna cierpienia, z otoczeniem, w którym odbywała się rozmowa. Siedzieliśmy na tarasie pięknego "Parc-Hotelu", w górach Libanu, na wysokości ośmiuset metrów. Tuż pod nami błękitniało Śródziemne Morze i płał się w oparach gorąca Bejrut. Był sierpień 1943 roku. Generał wyglądał nędznie, wyczerpany malarcią, ja kończyłem trzymiesięczną wólcę po najbardziej gorących

308 punktach świata; przyjeżdżałem niemal bezpośrednio z Margilu - między Basrą a Zatoką Perską nad wodami Szatt-el-Arab, to znaczy połączonego Eufratu i Tygrysu.

2 ileż przepaścistych kątów świata wiodła droga generała Andersa! Rozmawialiśmy w przyjemnym chłodku, który panuje w górach, służba dyskretnie rozlewała afternoon-tea, nic nam w tej atmosferze spokoju nie brakowało.

A przecież, słuchając opowieści generała, odczuwało się komfort tego normalnego hotelu jak najprzeróżniejszą egzotykę. Generał, patrząc w dół, gdzie stoki zielonych winnic poczynają się zapępiać kłębamii mgieł, zdawał się przez ich opary patrzeć dalej, poprzez niknącą sylwetkę Bejrutu, w obraz nade wszystko wyraźny i niezatarty.

Na dnie tego obrazu - jak punkt zieleniejący w blasku - zbocza schodzące ku Jasionce Stasiowej, ostatnie kroki na wolności, w tę przedwieczorną chwilę, kiedy ciągniony pod rękę przez rotmistrza Kuczyńskiego i ordynansa schodził ku wsi, nie chcąc obciążać marszu ostatnich podwładnych.

A potem badania, najprzód wojskowe na miejscu, przyzwoitsze, potem we Lwowie enkawudowskie - coraz obleśniejsze. Umieszczony w szpitalu staje się ogniskiem ściągającym cały Lwów.

Miasto semper fidelis, natychmiast po klęsce militarnej poczyną robotę konspiracyjną. Te wszystkie strumyczki prywatnych inicjatyw przebijają sobie mozolnie drogę. Któż może być bardziej pewnym i niezawodnym łącznikiem, jak nie dowódca ostatniego walczącego w Małopolsce oddziału?

Generał czuje się źle: kula wędruje po udzie i boli nieznośnie, rana w krzyżu przyprawia o drętwienie całe ciało. Od rana jednak do nocy przyjmuje sznur interesantów.

Wśród nich pojawia się - żona. Wśród nich pojawia się - córka.

Drobinki rozbitych rodzin szukają się wzajemnie.

Przekupiony pięcioma tysiącami złotych komisarz wystawia świadectwo inwalidzkie i przepustkę na stronę niemiecką, skąd były widoki przejścia na Węgry. Kiedy jednak generał z rodziną dojeżdża do Przemyśla, zostaje aresztowany i odstawiony z powrotem do Lwowa.

Siedzącego na Brygidkach nawiedzają inni goście. Pewnego razu przychodzi generał Iwanów z gromadą enkawudowskich dostojników. A papierosika, a to, a owo, a: kak pożywajecie} - dobroduszość najnaiwniej stosowana względem rannego, którego żonę więżą oddzielnie, którego uczęstowano więzieniem miast szpitalem.

I równocześnie z tym naiwnym papierosikiem - na jednej płaszczyźnie - a czyby tak generał nie został szefem rządu w Polsce?

I po raz drugi wizytuje też samo gremium - a czyby generał nie

309

przyjął służby w sowieckiej armii? Dostałby rangę komarza (dowódcy armii).

Ostatnia propozycja odrzucona, ostatni most spalony. Przeniesiony na Łukiszki do wspólnej z innymi aresztantami celi, leży całe dnie na tapczanie, nie mogąc się ruszyć wskutek ran. Wdzięcznym sercem wspomina polskich kryminalistów, złodziei, bandytów, batiarów lwowskich, którzy podejmują koło niego zabiegi w pełnym zrozumieniu, że należą się one rannemu dowódcy.

Ale niedługo tego. Pewnego dnia wpada sześciu enkawudystów, chwytają tapczan wraz z rannym i niosą przez odległe korytarze do samotnej celi. Cella ma tylko wiadro blaszane i wybite okno wysoko w gó-

rze.

- Myślałem, że już przychodzi mój koniec - mówi generał.

W tej nie opalanej celi z wybitym oknem, karmiony raz na dwa, trzy dni rzadką zupką, mając do rozporządzenia jedynie lekki koc, nie wypuszczany dla załatwienia potrzeb naturalnych (zawartość wiadra blaszanego zamarzała), siedzi przez dwa miesiące - od połowy listopada do połowy stycznia, nie mając żadnej komunikacji z ludźmi, nie mając nic do czytania, mając dzień i noc światło silnej żarówki

Jak przeniósł te dwa miesiące, sam nie rozumie. Odmroził sobie w tej celi twarz - porobiły się strupy ciekące ropą na długą brodę, która mu wyrosła. Przez całe dwa miesiące nie dostał wody do umycia się. Pytam go, jaki sobie stworzył reżim moralny, aby żyć, aby nie zwariować, aby przetrzymać.

Ale tu mam ten sam kłopot, który miałem wypytyując go o jakieś bardziej kolorowe szczegóły z dziejów pochodzenia grupy, które podali mi jego oficerowie. Żadnych szczegółów. Daty, fakty, cyfry, przemarsze.

- Szkoda, że tam żadnej "pestki" nie było. - powiadam - Kobieta to by potrafiła naopowiadać.

- Rzeczywiście. - uśmiecha się generał - Dzisiaj opowiadała mi jedna pani trzy godziny o śmierci pewnej wygnanki. Pozazdrościłem jej. Bo, cóż - meldują mi, że kilkuset ludzi zginęło. Znaczy to - mam stan o kilkaset szabel mniejszy. I tyle.

Usiłuję przyjść z pomocą:

- Przez okna nic nie było widać?

- O, właśnie, dobrze, że pan o to zapytał. - mówi generał - W okienku widać było czubek wieżyczki kościelnej z krzyżem, na którym siadały kawki. Więc zawsze zgadywałem, ile ich siądzie.

Wreszcie po dwóch miesiącach, w styczniu, pół żywy człowiek zachrypty, któremu rzęziło w piersiach, pokryty skorupą strupów, został wyjęty z tego grobu za życia i przewieziony w izolowanej celce więz-

niarskiego wagonu do Moskwy na Łubiankę.

310

przyjął służby w sowieckiej armii? Dostałby rangę komarza (dowódcy armii).

Ostatnia propozycja odrzucona, ostatni most spalony. Przeniesiony na Łukiszki do wspólnej z innymi aresztantami celi, leży całe dnie na tapczanie, nie mogąc się ruszyć wskutek ran. Wdzięcznym sercem wspomina polskich kryminalistów, złodziei, bandytów, batiarów lwowskich, którzy podejmują koło niego zabiegi w pełnym zrozumieniu, że należą się one rannemu dowódcy.

Ale niedługo tego. Pewnego dnia wpada sześciu enkawudystów, chwytają tapczan wraz z rannym i niosą przez odległe korytarze do samotnej celi. Cella ma tylko wiadro blaszane i wybite okno wysoko w górze.

- Myślałem, że już przychodzi mój koniec - mówi generał.

W tej nie opalanej celi z wybitym oknem, karmiony raz na dwa, trzy dni rzadką zupką, mając do rozporządzenia jedynie lekki koc, nie wypuszczany dla załatwienia potrzeb naturalnych (zawartość wiadra blaszanego zamarzała), siedzi przez dwa miesiące - od połowy listopada do połowy stycznia, nie mając żadnej komunikacji z ludźmi, nie mając nic do czytania, mając dzień i noc światło silnej żarówki

Jak przeniósł te dwa miesiące, sam nie rozumie. Odmroził sobie w tej celi twarz - porobiły się strupy ciekące ropą na długą brodę, która mu wyrosła. Przez całe dwa miesiące nie dostał wody do umycia się. Pytam go, jaki sobie stworzył reżim moralny, aby żyć, aby nie zwariować, aby przetrzymać.

Ale tu mam ten sam kłopot, który miałem wypytując go o jakieś bardziej kolorowe szczegóły z dziejów pochodzenia grupy, które podali mi jego oficerowie. Żadnych szczegółów. Daty, fakty, cyfry, przemarsze.

- Szkoda, że tam żadnej "pestki" nie było. - powiadam - Kobieta to by potrafiła naopowiadać.

- Rzeczywiście. - uśmiecha się generał - Dzisiaj opowiadała mi jedna pani trzy godziny o śmierci pewnej wygnanki. Pozazdrościłem jej. Bo, cóż - meldują mi, że kilkuset ludzi zginęło. Znaczy to - mam stan o kilkaset szabel mniejszy. I tyle.

Usiłuję przyjąć z pomocą:

- Przez okna nic nie było widać?

- O, właśnie, dobrze, że pan o to zapytał. - mówi generał - W okienku widać było czubek wieżyczki kościelnej z krzyżem, na którym siadały kawki. Więc zawsze zgadywałem, ile ich siądzie.

Wreszcie po dwóch miesiącach, w styczniu, pół żywy człowiek zachrypli, któremu rzeziło w piersiach, pokryty skorupą strupów, został wyjęty z tego grobu za życia i przewieziony w izolowanej celce więziennego wagonu do Moskwy na Łubiankę.

310

Widocznie osądzono, że już powinien być dostatecznie zmięknięty.

Następuje szereg badań znaną metodą. Stosowana jest cała gama - od izwoltie papirosku do sprowadzania enkawudystów z gumowymi pałami i straszenia nimi, do zapowiedzi, że "odeślemy do Lefortowa, to tam zwawo skórę obedną".

(...przez głuche mury przedostaje się wieść - Francja padła).

Badania te tyczą wszystkiego - a przede wszystkim tego, kto i jakie propozycje przynosił we Lwowie w tych pierwszych dniach, kiedy ge-

nerał leżał w szpitalu, jakie tematy były poruszane.

Kiedy te badania, prowadzone całymi nocami przez zmieniających się sędziów (a jedno trwało bez ustanku dwadzieścia pięć godzin), nie dają żadnego rezultatu, delikwent znowu zostaje odstawiony na pewien czas dla "zrobienia na miętko".

Tym razem jest to mała wąska celka z taburetem, przyśrubowanym w drugim jej końcu, na wprost drzwi. Na taburecie przesiedział nieruchomo generał wszystkie dni przez cztery miesiące. We drzwiach był "judasz" i silny reflektor skierowany na twarz. Nie można było zasłonić oczu ręką, natychmiast otwierały się drzwi i interweniował stale kontrolujący strażnik. Nocą należało spać z rękami na kołdrze, z twarzą zwróconą w stronę reflektora.

Bez wyraźnego powodu czteromiesięczna tortura zostaje przerwana i więzień przeniesiony do wspólnej normalnej celi. Wybuch wojna rosyjsko-niemiecka, co na razie nie przynosi żadnych zmian.

Dopiero w drugiej połowie sierpnia wchodzi strażnik z nakazem: so-hiratsia z wieszczami. Taki rozkaz - opuszczenia celi wraz z rzeczami - może znaczyć wszystko: drogę do wolności, drogę na tamten świat, drogę do innego więzienia.

Ale strażnik dodaje niezwykle polecenie: ubrać się przyzwoiciej, to znaczy związać dwa sznurki, zwisające od kołnierza więziennej koszuli. W korytarzach też innowacja. Dawniej na badania szło się z wykręconymi rękami - każdą rękę trzymał jeden strażnik idący z tyłu.

Teraz idzie się wolno, rzeczy niosą strażnicy.

Długi jest marsz korytarzami ogromnej turmy. Idący wkraczają w coraz to inne jej regiony, wreszcie w korytarze wyłożone puszystymi dywanami, o froterowanych posadzkach. Zjawia się w lansadach ... naczelnik więzienia, nadskakujący, cały w uśmiechach - jedna słodycz. Co za nowe kawały, u Boga Ojca?...

Więzień zostaje wprowadzony do obszernego gabinetu, pokrytego dywanami, urządzonego z przepychem.

Dwóch wykwintnie ubranych po cywilnemu panów zaprasza okrągłym gestem, aby siadać. Człowiek, który cztery tygodnie kampanii wrześniowej wysiedział w siodle, dwa miesiące w celi z wiaderkiem, w 311

którym się ścinał lód, cztery miesiące na przyśrubowanym taburecie, a resztę tych dwu długich lat na stołku w celi ogólnej - zapada się w kryty skórą Lehnstuhl, czuje pod głową rozkosznie miękkie elastyczne oparcie.

I...papirosku .\...czajku. I - kak pożywajecie^

Rozmowa - psiakrew - światowa! Nowe propozycje zapewne i nowy garnitur tortur.

Przecucia nie mylą. Po ekwiwokach ogólnych "pogawędka" przechodzi na tory polityczne. Ze ot... wojna z Niemcami. I że ot... jaki to wspólny wróg...

- Szliście z nimi przecie ręką w rękę.

- W polityce - wie pan generał... wszak różnie bywa. Ale teraz mamy wspólnego wroga.

I znowu - czajku... papiroskii...

- Gratulujemy panu generałowi. Czy panu jest wiadomo, że jest mianowany głównodowodzącym armią polską?

A więc - zaczyna się... Trzeba jeszcze jednego papierosa wypalić, jeszcze jedną szklankę herbaty wypić - póki nie zniknie to wszystko, nim nie pocznie się nowe niewiadome i nowa męka.

- Czy wiadomo panu generałowi?

- O moim mianowaniu? Przez kogo?...

- Przez polski rząd.

Więzień się kurczy. Widać zrobili z kimś tę komedię, którą mu proponowali we Lwowie...

-Jaki rząd?

- Generała Sikorskiego w Londynie.

"Papiroska" niknie z pola widzenia. Już nie czuje rozkosznej miękkości fotela. Prostuje się jakby siedział na Carewiczcu.

- Więc jestem wolny?

- Ależ tak - zaczęli mówić jeden przez/drugiego. - Szykują właśnie panu generałowi mieszkanie...

- W tej chwili zajędzie automobil.

- W takim razie z kim mówię?

-Ja Beria.

- A ja - Mierkułow.

Straszliwe dla całej Rosji nazwiska dwóch naczelných enkawudzystów.

Ale współczesny Maluta Skuratow i jego pomocnik są uosobieniem słodyczy. Przeczekują w miłych rozmówkach do zmroku; trudno w dzień wieść tego głównodowodzącego armią sojuszniczą w galowej formie - z dwoma związanymi pod szyją sznurkami więziennej koszuli. Sam naczelnik więzienia niesie jego obdrapaną walizkę. Limuzyna.

312

Przywożą do wykwintnego mieszkania z łazienką, z własnym kucharchem i pokojówką. Jutro się zacznie nieustanny ciąg krawców, szewców, bielizniarzy, konfekcji. Dziś pan generał spocząć raczy. Zostawiają go samego, życząc dobrego snu w pięknej pościeli.

Przed wszystkim - kąpać się. Wdziany w czystą piżamę, która oczekiwała, wchodzi do jadalnego pokoju i widzi stół uginający się pod ciężarem zakąsek: kawior, siomga, łosoś, prosiak w sosie chrzanowym, drób... Napoje - oryginalne zagraniczne - Martell, Pommard. Służba pyta, jaki obiad każe sobie przygotować.

I wówczas - głównodowodzący armii sprzymierzonej rozwiązuje długo pielęgnowany w samotne dni więzienia kompleks: każe dać dwa jaja na szynce.

>

HUBALC2YCY

W NIEZNANE

W Hołynie, o pięćdziesiąt kilometrów od Grodna, 102. Pułk Ułanów, sformowany na tę wojnę, dowiedział się z ust generała Przedzieckiego, że do Polski wkroczyli bolszewicy.

Ludzie i konie ścisnęli się ku sobie - i już szli ku Wilnu... Jedni może spekulowali na bliskość litewskiej granicy. Większość szła instynktem prawniecznym do ośrodka jaśniejącego Ostrą Bramą, polskością, pamięcią szubienic Murawjewa, męką, decyzją, walką.

A już pod ziemią białoruską, ziemią sapowatą, niewdzięczną, rozchcianą brzoza, znaczoną wrzosowiskami i rojstami - szło pierwsze drganie kataklizmu, który przytoczył się od wschodu na długą ilość lat.

W Ostryniu spotkały ich pierwsze strzały bolszewickich dywersantów.

Na rynku, przytruchlałym żydowskimi sklepikami, przez który toczył się nieskończony pochód już wygnańczych wojsk - w bok od zamazanej masy ludzkiej, w której nie rozeznasz poszczególnych twarzy, w bok od tumultu ciągnących biedek, jaszczów, dwukółek, furgonów, ambulansów, autobusów, drabiniaków, limuzyn, w bok od szosy, którą już poczynął ugniatać Wschód od pierwszego najścia - lśniący samochód, oficer wyprostowany stojąc, wydaje z niego rozkazy. Posłuszni ułani toczą beczki z benzyną.

Jakiś spłoszony pułkownik resztką autorytetu interpeluje:

- Co pan major zamierza?

Zwrócił wygoloną twarz, o pięknym męskim profilu. Zajaśniał tęczą bagietek:

-Rebelia!

I już ten stary wyraz przyplątał z niepamięci wieków, że zdało się

- bagietki jak ryngraf.

Płynęli dalej do Grodna, a za nimi wielką łuną świecił buntowniczy Ostryń, płoną Skidel, Jezioro, Dęby, z których padły strzały do żołnierza polskiego. Oficerowie chwieją głowami w zgorszeniu:

- Wstyd i hańba... Własne miasteczka palić... Bezprawie na własnej ziemi... Na to dwójka i sądy polowe. Niedobrze...

Pewno, że niedobrze. Cóż, jeśli idą czasy, kiedy zanikną sądy, kiedy na najejchanej ziemi zostanie samotny człowiek, pasujący się ze swoim

316
sumieniem, kiedy przeciw cwałującym czterem jeźdźcom Apokalipsy wstanie drapieżny instynkt z prałat, nakazujący bronić, walczyć, mścić i umierać.

Na kocich łbach Grodna, po których zazgrzytały już gąsienice bolszewickich czołgów, instynkt obrony wstał nie wiedzieć skąd - nie z rozkazów, nie z planów. Wchodzących ułanów 102. Pułku powitał - jak znak, jak memento, jak upomnienie - samotny trup polskiego żołnierza, leżący przy bolszewickim czołgu, który przed śmiercią spalił. Uliczkami, które śmierdzą rynsztokami i pachną macierzanką, przeciągnął powiew drapieżnego instynktu. Z każdego niskiego domku mogła grozić najeźdźcy śmierć. Kiedy kolumna sowieckich czołgów szła przez most na Niemnie, na Mostowej wyskoczyło z bramy domu dziecko - kadet jedenasto-dwunastoletni, z butelką benzyny. Błyskając kadecim słońcem na czapce - spalił czołg. Kilkanaście czołgów bolszewickich, z pozamykanymi klapami, z których nie zdołały ująć załogi, znieruchomiało na tych śmiesznych półwsiowych uliczkach.

Z Grodna cofali się dalej, na Sopoćkinie. Już z jedną myślą - ująć na Litwę. Leżący na krzyżowce trup generała Olszyny-Wilczyńskiego ostrzegał: nie masz tu już nic do roboty, żołnierzu!

Tak gadał trup poprzez instynkt, kiedy do żołnierza nie mówiły ani rozkazy, ani gazety, ani radio. Pochyleni w siodłach, pilno słuchali w sobie tych stacji nadawczych, które przyszły pełnić zastępczą służbę za stację warszawską, za stację wileńską, za stację w Baranowiczach. Wówczas w szwadronie osłownym dziewięciu ich zatrzymało konie przy słupie granicznym. Był wśród nich rotmistrz Karpiński, rotmistrz Sołtykiewicz; ułan Kleczyński, dziennikarz w cywilu; podporucznik Sawczyk; plutonowy Alicki, plutonowy Rodziewicz. Major Florowski dał im z pułku najlepsze konie.

Odwrócili szkapę łbami ku niewiadomej i zamaczonej Polsce. Idźmy za nimi; może choć poniekąd znajdziemy, może dowiemy się o losach choć poniekąd, którzy poszli za głosem ślepego instynktu. Były wieści, że tak jak przed dwudziestu laty - przez bierną masę "tutejszych", między sercami zawsze wiernych najżarliwszych Polaków - żagiew partyzantki pełga, świetli się, polatuje, niesiona ręką tą samą-pułkownika Jerzego Dąbrowskiego.

Puścili konie w kłus i doszli podpułkownika Dąbrowskiego w Janowie Łomżyńskim.

Natłoczona izba. Podpułkownik Dąbrowski z wypiekami na twarzy siedzi za stołem. Podpułkownik Dąbrowski ma zapalenie płuc i czter-

317
dzieści stopni gorączki. W izbie - odprawa oficerska. To jeszcze wolne

wojsko. Pistolety przy pasach, mapniki, hełmy.

- Ilu ludzi pójdzie? - pyta podpułkownik.

Iludzi pójdzie? Oficerowie spoglądają po sobie. Dowodzą tymi rezerwistami od krótkiego czasu, nie mieli ich w akcji, nie znają. Oficerowie milczą. Jacyś zapaleni podporucznicy coś tam ręcą.

- Więc nie zbierze się więcej niż pięćdziesięciu? - pyta podpułkownik. Żył mu pęczniej na skroniach: - Nie walczę. Nie mam z czym. Nie widzę ani jednego procentu szansy na przebicie się do Warszawy. Cisza. Nikt nie zabiera głosu, nikt nie kwapi się do wyjścia. Nikt jednym ruchem nie chce przyłożyć się do decyzji kapitulacyjnej, jak przedtem nie chciał się przyłożyć do decyzji walki. Rezerwiści ucisząją siebie, że to przecie rzecz zawodowych. Zawodowi - że to przecież wojsko, że rozkaz. Katastrofa przyszła zbyt szybko, by ich wezwyczaić w inne myślenie. Rozkaz - święta rzecz. I jakże dobra! będą bez winy. Z ławy pod piecem wstaje oficer, którego nie znają. Na dworze jest samo południe, ale okienko zasłonięte wpuszcza skąpo światło.

- Obejmuję pułk. Na moją komendę!

Już go rozejrzeli. Tak, to ten, co palił Ostryń.

- Majorze, ja rozwiązałem - mówi z wysiłkiem Dąbrowski. I w tym głosie jest cała groźba, cała konsekwencja długich lat zawodowej służby, cały sąd polowy. Major Dobrzański, tak się bowiem nazywa zbuntowany, docenia. Wysunął się na środek, stoi w oświetlonej części izby. Żołnierskie oczy zebranych z upodobaniem ogarniają piękną postawę, nieskazitelny moderunek, suchy regularny profil. Z tym wszystkim kontrastują oczy, które patrzą jasno i wesoło.

W Dąbrowskim, mimo minionych dwudziestu lat, tkwi watażka.

Ten uzurpator wymierza policzek jego legendzie. Dąbrowski chwyta za pistolet. Robi się poruszenie. Najbliżsi chcą przeszkodzić. Nie potrzeba. Przed nimi dobiegły wspomnienia, kiedy on sam tak decydował...

Wbrew wszystkiemu... Ze wspomnieniami dobiega żal, wstyd, rozpacz, uznanie. Straszna niemoc podpłynęła pod gardło, sztych przeszły płuca.

- Boże, Boże! - szlocha. Rzuca pistolet na stół. Wybiega z izby.

Ale zebranych umiejscawia suchy, spokojny głos. To major Dobrzański, który stoi za stołem.

- Jedna jest tylko przysięga - mówi - i nikt nas od niej nie zwolnił. Nikogo nie zwalniam. Ruszamy na wieczór.

Powiódł okiem po zebranych. I widząc, że się prężą, że już są pod jego komendą, dodał tonem miększym, już jak do kolegów, z którymi się wiąże na ciężki los:

- Daję oficerskie słowo honoru, że doprowadzę oddział do Warszawy.

318

W sto sześćdziesiąt koni ruszają o dziesiątej wieczorem. Piękny to moderunek, piękna postawa tej polskiej kawalerii. Miękka i łaskawa jest polna droga pod kształtnym kopytem, świeże i szeptliwe wierzby przy drodze. Dobry jest ostry kłus w rześkiej nocy, która się kładzie na czoło jak zimny kompres.

O szesnaście kilometrów jest most przez Narew, strzeżony już przez bolszewików. O dwieście metrów od niego prowizoryczny most pontonowy, nie obsadzony.

Major wysuwa się pierwszy. Odtąd już aż do śmierci zawsze pierwszy będzie prowadził w niebezpiecznych przejściach.

Most dudni. Jak grzmot huczy wleczone za oddziałem działo. Jakieś spłoszone: Kto idiot!?... jakieś serie na ślepo macające po ciemności. Gdy się oderwali i weszli w zagaj, major, okryty kocami, przestudiował mapę. Poszli szybkim pochodem w dół Narwi, na dzień zapadli w

jakiejś wioseczce, otoczonej nadnarewskimi błotami.

Przecież to tak niedalekie były dni, kiedy miało się własne państwo, sprawną armię, czterdzieści pułków kawaleryjskich, kiedy nad zwykłym majorem kawalerii stała piramida aż do Naczelnego Dowództwa, kiedy wszystko było określone, normowane, powiązane, przygotowane warianty, kiedy od oficera żądało się rzeczy ciężkich, ale określonych jak wysiłek, rzeczy dramatycznych, ale wyraźnych, jak ryzykowanie życia. Kiedy rzecz najcięższa - decyzja - była normowana stopniem i funkcją, wydzielona regulaminem na wąski odcinek odpowiedzialności. W tę noc z 23 na 24 września, pierwszą samotną noc po "rewolcie", major Dobrzański - od szesnastego roku życia, od legionów, tkwiący w wojsku, nie mający nigdy styczności z polityką, z dziennikarstwem, z pracą społeczną, nawet z pracą sztabową, nawet z dwójką - został sam nagle cyplem małej piramidki stu sześćdziesięciu ludzi, kiedy całe dowództwo odeszło w noc, w niewiadome, kiedy stacja radiowa nie odbierała rozkazów, kiedy jedyne, co było wiadome, to to, że wszędzie jesteśmy pobici przez Niemców, że Rosjanie wkroczyli na całym półtoratysiąc kilometrowym froncie, że żadnej sojuszniczej pomocy nie ma. Adiutant spał na ławie pod piecem szczęśliwym snem sprawiedliwego. Na zewnątrz po chałupach spali wszyscy, komu tylko było wolno, znużeni pochodem i przeżyciami. Siedząc pod obrazami za stołem, major usiłował przy pomocy niewielu sylogizmów, którymi władał, uporządkować sobie oblicze moralne swojego "buntu", stworzyć jakąś wiarę, jakąś ewangelię dla tych ludzi, których wziął pod swoją komendę, których nie pytał o zdanie, zagroziwszy nawet w impecie, że każdemu dezterterowi wsadzi kulę w łeb. A przecie to już był tydzień, jak jego Naczelnny Wódz przekroczył most do Rumunii.

319

- Jedna jest tylko przysięga - umacniał się na duchu przypominając słowa, które mu się powiedziały na oficerskiej odprawie.

A co będzie, jeśli zostanie sam?

Skronie mu pulsowały. Co będzie, jeśli zostanie sam? Od szesnastego roku życia nie był sam. Od szesnastego roku był w zdyscyplinowanym środowisku ludzkim. Tak dożył do swoich czterdziestu dwu lat. I nagle... co będzie, jeśli go odejdą, co będzie, jeśli się wykruszą, co będzie, jeśli jakaś władza, która może jeszcze się tam gdzieś telepie po Polsce, każe się zdemobilizować? Nie mógł sobie z tym dać rady, a noc biegła.

I tak, jak wczoraj, na odprawie, przeciął problem dla nich wszystkich tym, że nikt ich nie zwolnił z przysięgi, tak teraz dla siebie nie mógł znaleźć wyjścia nad najprostsze: "Nikt mi nie może kazać zrzucić munduru. Przecie przepisy nie mogą zabronić oficerowi rezerwy nosić mundur. Jeśli nawet zostanę sam - munduru nie zrzucę".

Mozolna budowa ideologiczna był skończona. Wsparty nią, będzie walczył przez siedem miesięcy.

Położył się na wysoko moszczonym łóżku i zasnął.

W wioseczce tej spędzili noc, jak zając, kiedy przywaruje, a myśliwi chodzą dokoła. Major wyprowadził oddział najbłotnistszym skrajem, wysławszy kilkaset metrów trzęsawiska sianem. Działło jednak nie dało się wlec długo. Dotarłszy do Bugu, porzucili je, zatapiając zamek w rzece. A za Bugiem już im znowu oddział sowiecki zaszedł od czoła; widząc zdecydowaną postawę, uchylił się od walki. Ułani, zbywszy działa, cwałują. W stronę Warszawy - bardzo dalekiej. Taczanki, jak oszalałe, podskakują po korzeniach ledwo przetartej drogi. Po trzech kilometrach tej jazdy - znowu strzały. Ubezpieczenie przednie melduje oddział niemiecki z czołgami i działami. Odskakują taczanki, osłaniają,

wpadają na tenże oddział sowiecki. Strzały. Przemknęli się. I długo w tej nocy słyszą za sobą strzały, którymi się wymieniają zdeorientowani najeźdźcy.

Nie mają działa i nie mają taborów. Dwie noce idą ostrymi kłusami - po dwu dobach zapadli w bagnach o osiemnaście kilometrów od Warszawy. Zrobili, licząc w linii powietrznej, dwieście kilometrów. Pod wieczór 27 września wysuwają się z bagien, wchodzą do majątku Krupki.

Dwór ich wita śliwowicą i miodem. Są półżywi, trwając w stanie ostrego pogotowia. Połowa stanu - na wartach.

A rano już wiedzą - że decyzja, że przedzieranie się, że wola do-
320

trzymania wierności - że wszystko na próżno. Powiedzieli im o tym uciekający z Warszawy. Z Warszawy, która kapitulowała.

Wezwano ich do ogrodu na odprawę. Żołnierz to liniowy, regularny, o przedwojennym drylu, choć zharowany. Ustawiają się w tym ogrodzie w dwusereg - jak tyle lat po podwórcach koszar. Jak zwykle przy zbiórkach potracają się, dobierają się, ustawiają się wzrostem, odliczają. To, co było przed chwilą luźną gromadą ludzi, którzy biegiem przybyli - porządkuje się, już nabrało kształtu geometrycznego, już coraz bardziej cichnie. Dopieroż wzrok każdego znieruchomiłego, jeszcze wolny nim nie padnie komenda "w prawo patrz!", ustawia się, szuka punktu oparcia.

Człowiek po człowieku - oczy żołnierskie zbiegają się w jeden punkt - tam gdzie, ustawiony tyłem, stoi dowódca.

Rotmistrz Sołtykiewicz sprawił szyk, melduje zbiórkę. Major Dobrzański odwraca się i wszyscy widzą - major płacze.

- Żołnierze! Warszawa padła!

Warszawa padła! Widomy symbol walki. Przecież widzieli oddziały zaborców, bezkarnie hulające po Polsce. Szli ku tej Warszawie. Padła!

Żołnierze płaczą. Są jak spłoszone stado kuropatw. Cóż teraz robić?

Nic nie wiedzą. Czy ten dowódca ma jeszcze coś do rozkazywania?

Więc bez dowódcy? Więc już cywile, choć w mundurach? Jakże?

Major, gdy przed chwilą stał odwrócony tyłem do oddziału, bezwiednie powtórzył gest Rzymian, którzy, kiedy przychodził skon, zakrywali twarz togą, by nikt na niej nie zobaczył bólu. A więc tak prędko przyszedł ten czas, który ważył w chałupie nad Narwią, czas, kiedy oto został sam - on, który od szesnastego roku życia słuchał rozkazu i tkwił w szeregu.

Teraz zobaczył ich oczy, inne niż na wszystkich zbiórkach jakie miał w życiu; zrozumiał, że przestaje być dowódcą i pierwsze uczucie, jakie przyszło na jego bezradność, to chwytający za włosy gniew:

- Kto słaby, niech idzie do cholery!...

I już znowu - trzyma oddział w ręku. Choć na krótko.

- Nie wszystko przepadło. We Francji idzie walka. Ja nie zdejmowałem munduru od szesnastego roku życia. I nie zdejmę. A wy - jak chcecie. Kto nie chce walczyć - iść na prawo, kto chce zostać ze mną - na lewo.

Przed dwudziestu jeden laty, pamiętam, w mgliste świtanie 21 maja 1918 roku w fortecy bobrujskiej rozległy się takie same słowa. Kapitulującego przed Niemcami Dowbora uwięziliśmy, oddziały wyruszyły na nakazane punkty, dowodził przysłany z legionów pułkownik Bartel de Weydenthal, zastępował go Lis-Kula. Poszliśmy do Legii Oficerskiej,
321

która zdradzała załamanie, Bartel tak samo chciał przeciąć sprawę jak teraz Dobrzański. I to samo się zdarzyło wtedy: na stronę "nie walczyć"

nie poszedł nikt, na stronę "walczyć" - garstka zapaleńców.

Wówczas ci bierni poczuli się na siłach, poczuli się, siłą rzeczy, w automatycznej większości, znaleźli się, nie robiąc kroku - na prawo.

Teraz, 28 września 1939 roku, w majątku Krupki pięćdziesięciu ich poszło na lewo, stu zostało w miejscu.

Tych pięćdziesięciu to podchorążowie, młodzi oficerowie przeważnie z rezerwy, garść podoficerów. Wśród nich w całości grupa owych dziesięciu, którzy zawrócili konie od granicy litewskiej.

Odchodzący oddali broń i najlepsze konie - pozostający zadekawawszy konie, przeczekali dzień, noc i jeszcze dzień. Przejeżdżał patrol niemiecki, pozabierał z dworu wszystkie wędliny - nie zauważył dychającego tuż cicho oddziału - pięćdziesięciu konnych. Dobry znak. Po selekcji ludzi, koni i broni, wypoczęci na schwał, ruszają nocą 29 września z Krupek na południe. Ostрым kłusem całonocnym docierają do lasów Zamoyskiego.

Nocami roi się od ludzi i porządkuje się dla nowego stanu rzeczy Polska. Płochliwe cienie powracających żołnierzy migają leśnymi duktami. Zbrojny oddział pięćdziesięciu dzielnych na dobrych koniach patrzy z żalem. Czyżby już oni jedni tylko byli zbrojnym ramieniem Rzeczypospolitej?

Spotykają na dukcie człowieka w kałesonach i koszuli. "Kto obrabował?". Wskazuje ręką. Major Dobrzański sady we wskazanym kierunku, koń pod nim tańczy, harap zwisa z napiętką.

Za zakrętem widzą trzech cywili z karabinami, otaczających żołnierza, który już zdjął mundur. Cywile pierzchają w krzaki, ułani pędzą ścieżką na poprzek.

- Stać! Swoich grabiecie?

- Broń zbieramy...

- Kula w łeb! - przecina major.

Wachmistrz Rodziewicz zeskakuje z konia, cywile rzucają się do ucieczki w trzech różnych kierunkach. Rodziewicz - znakomity strzelec, najprzód kładzie z visa wąsala w zakopiańskim kożuszku, potem dwóch innych.

Milcząc odjeżdżają ułani, pozostawiając nie pogrzebione ciała. Także to poczyną "zbrojne ramie Rzeczypospolitej"? Jako żandarmi, nie jako armia? Najbliższa wieś poinformowała, że straceni doraźnie byli kryminalistami z rozpięchłych więzień. Czy już w tej ojczyźnie tak gęsto wstanie anarchia i tchórzostwo, że przesłoni ich decyzję i jej sens?

322

Hańba poczyną ich żreć i gnać jak potępieńców przez Polskę, która się nagle zapadła. Spotykają jakiś sąd wojskowy, z wozami pękatymi w konserwy.

- Konserwy chcecie nam zabrać? - burzy się jakiś audytor. - To bezprawie...

Rotmistrzowi Sołtykiewiczowi drga pożądlawie pejcz, tańczący cieniem po cienkiej skórze konia:

- A to nie bezprawie, że pan kapitan pobory całe życie brał, a teraz ucieka?

Kapitan patrzy na Sołtykiewicza zdumionym wzrokiem. Zjadł zęby na rozprawach, ale jego logika jest bezsilna wobec tych nonsensów.

A oni - istotnie - już wsuwają się w zaczarowany kraj szaleństwa.

Że - munduru się nie zdejmują. Że - walczy się. Wbrew nie tylko Niemcom, ale i rodakom; wbrew nie tylko rodakom, ale i sensowi.

Rodziewicz jedzie z patrolem do wsi w bok, gdzie u sołtyśa jakiś oddział pono pozostawił mapy. Deszcz siąpi. Wchodzi z tej chlapaniny do domu sołtyśa i zastaje ucztę. Pełno demobilizujących się łazików. Góry

mięsiwa. Butelka wody co parę cali na stole. Pijane: "Niech żyje, żyje nam!...".

Staął w progu człowiek ociekający wodą, zachlapany, w modnym wojskowym.

- Na stypę trafiłem?

Podniosła zapuchnięte oczy nieżyczliwa niechęć. Warknął umocniony nią sołtys: - Nijakich mapów nie mam...

- Map nie macie? Przecie wam niepotrzebne. Ruszyć się od żarcia nie chce dwa kroki?

- Panie plutonowy! - mówi zwierzętno jakiś major. - Czego pan chce od tego człowieka? Skoro mówi, że nie ma, to znaczy nie ma. Pilno do kieliszka skurwielom!...

Cios w szczękę - sołtys leci pod stół. Ręce cofają się od kieliszków.

- Gospodarzu - mówi tym samym tonem starszego oficera major

- jeśli macie mapy, to je oddajcie. Nie można ich trzymać, bo to przecie rządowe.

Czyż naprawdę zostali samotni w tych lasach, splachetkach piasku, zarosionych ciemnozielonych kartofliskach, w opłotkach nędznych wsi, które grabią co jeno mogą ze smętnego łupu wojny? Czy może już nigdzie nie ma uczciwego ludzkiego serca, które wyjdzie naprzeciw nim - partyzantom, powstańcom, romantykom?

A przecież ci partyzanci, romantycy, powstańcy wszystkich czasów mieli swoich uczonych w piśmie, swoich bardów, statystów, którzy na swoją głowę brali dorobienie uzasadnienia, dorobienie legendy do nierozsądnego zrywu serca.

323

Za zakrętem leśnej drogi zawarczał motor. Schwycili za pistolety.

Ale w samochodzie siedział cywil - hrabia Zamoyski. Posłyszał, że jakiś oddziałek niezawisły krąży w okolicy. Pewno macie zdrożone konie? Siła w tych okolicznościach zależy na koniu... A u niego w majątku Niemcy przyaresztowali część ewakuującej się stadniny janowskiej. Gdyby Niemcy przyaresztowali arrasy zamkowe, ołtarz Wita Stwosza, Grunwald Matejki, ważne papiery MSZ - miałby może trudniejsze zadanie hrabia Zamoyski, aby przekonać o niezbędności ich odbicia. Ale konie! Mój Boże, stadnina janowska, w której jako depozyt pozostawili czołowi jeźdźcy Rzeczypospolitej swoje bieguny!

"Jakie też tam konie mogą być?" - zastanawia się major Dobrzański i już zarządza wypad, gdy się ściemni.

Koń - to dla niego nieodłączna część życia. Kiedy jako czteroletni jeszcze chłopak coś zbroił, pomykał wraz z siostrzyczką pod żłób i tak formułował warunki kapitulacyjne gońcom rozsrożonej matki:

- Dobrze, dostanę rżniętkę, ale niech mnie mama sama spod żłobu zabierze.

Srogie ogiery, gwaranty immunitetu, były kopytami o przeorynę.

Rozochociony ojciec, do którego dotaczała się sprawa w ostatecznej instancji, wyrokował, że warunki kapitulacji mają być dochowane. W ten sposób miejsce pod żłobem stało się uświęconym tradycją azylum.

Ośmioletni chłopak przeszedł wstrząs mózgu, kiedy się zwałił - przy skoku... przez krowę. Leń koronny - zdobył jednak promocję do czwartej, w zamian za obiecane angielskie siodło.

I tak oto się stało, że - przez pasję koniarza - wdał się w pierwszą utarczkę z Niemcami, z którymi nie zamierzał walczyć, zamierzając przemknąć się ku granicy węgierskiej.

Zresztą - nie była to żadna utarczka. Pludry pierzchły. Ułani przebiegli przez ich puste kwatery, w których piętrzyły się porzucone płaszcze i tornistry, i wpadli do stajen. W ciemności powitały ich nozdrza

nieufne, prychliwe. Stajnia pachnąca nawozem i amoniakiem, pełna chrzęstu żutego owsa, gra jak harfa eolska, jest emanacją ciepłego, kolorowego życia i prężności.

Już idą, bijąc kształtnym kopytem po deskach podłogi. W kwadracie drzwi ukazuje się ogier - płomień, ogier - wiatr. Rozwiał odsadę ogona, rozdał chrapy, toczy błyszczącym okiem osadzonym w małej kształtnej głowie. Skupili się ułani, podziwiają maść: ogier jest cały w wielkie koła sześciocentymetrowej średnicy - najprzód idzie czarny otok, w nim żółty, znów czarny i w środku biała kropka.

- Resztki dawnej rasy - mówi major Dobrzański, przebiegając ręką po grzbiecie konia, kończąc u nasady nieuchwytną pieszczotą koniarza - znakiem wtajemniczenia między jeźdźcem i rumakiem.

324

Bo to dzianet Hetmański- ostatni pono z polskiego rodu, dar króla rumuńskiego dla marszałka Śmigłego-Rydza.

Zajaśniało za nim w kwadracie drzwi. To śnieżnobiały arab Grom.

Gniada flegmatyczna szkap, wysoka, chuda, noga wiązana jak konstrukcja żelbetowa. To Dyngus, Rómmłowski rekordzista w skoku wzwyż.

Czternaście koni wysokiej klasy. Ostatnia, płasząc, trwożąc się, wychodzi baletnica - klacz Irena, zwyciężczyni wielu konkursów.

Major dosiadł dzianeta, Irena dostała się podchorążemu Morawskiemu. Dyngusa, z nabytymi świeżo żoźzami, prowadzą na powodzie.

Jakże lekko niesie ten dzianet. Jak marzenie! Major zagłębił się we wspomnienia.

Pierwsze międzynarodowe konkursy hipiczne w Łazienkach. Na próbnym jazdach zwała mu się na "fortepianie" jego Wanda. Nieprzytomnego zawieziono do lecznicy. Łód, pielęgniarka...

- Co z krampą? - pyta otwierając oczy. Każe się znieść ze schodów i zawieźć do stajni. Ale Wanda jest w dobrej kondycji. I obandażowany Dobrzański staje do konkursu, bierze pierwszą nagrodę "Wisły". W Zakopanem - na złotym kasztanie. Biedny pocztowy zbiera ciągle "opeery" od oburzonych pułkowników i generałów, kiedy na pytanie, jaki koń, odpowiada: "Nic ci do tego". Bo tak się nazywa złoty kasztan.

Londyn... Nagroda indywidualna dla najlepszego jeźdźcy wszystkich narodów. Złota papierośnica księcia Walii z napisem: The best individual score of all officers of all nations.

Aldershot... Mały zwięźły kasztan Generał. "Czego pan ma zamiar dokonać na tym poloponny?" - pytają Anglicy. A jednak Generał skacze jak piłka, Dobrzański otrzymuje pierwszą nagrodę, jest to wielki dzień Polaków (druga - Królikiewicz, trzecia - Szosland).

Westchnął do wspomnień. Przesadził parę niskich sosenek. Ulubiony sposób na uspokojenie nerwów. Obejrzał się na oddział - człapali za nim nie sprawiając wrażenia stroskanych. Żołnierz, jeśli zjadł, wyspał się, ma wypoczętego konia i dowódcę, to więcej się trapi tym, że go puślisko obciera, niż sytuacją, w której się znajduje.

PIERWSZA UTARCZKA

POD MACIEJOWICAMI

Brzegiem Maciejowie spłynęli ku Wiśle. Nad nią srebrzyła się w poświacie księżycowej wieś Kępa. To tu, przeprawiając się po wąskich wirowatych ławicach, wytonął Wołyński Pułk Ułanów.

Niemcy w szerokim zasięgu przyaresztowali wszystkie łodzie i krypy, zebrali pod wsią i postawili wartę. Sowicie zapłacony rybak wykradł "bat", spłynął cicho, dwa razy obrócił, przewożąc po dwadzieścia kilka koni.

Zapadli we wsi na tamtym brzegu, odległej od Wisły o dwa kilometry. Zrobiła się siódma rano.

Czujka melduje, że pod wsią ugrzęzło w piachu siedem niemieckich ciężarówek, wyładowanych sprzętem łączności.

Major patrzy przez lornetę - tak jest, czernią się w piachu pod samym laskiem.

Są niedźwiedzie, które Białorusini nazywają miasun. To jest taki niedźwiedź, który uświadczył, jak smakuje mięso. Z tą chwilą znika dobroduszy wegetariański misio i robi się niebezpieczny drapieżnik. To samo stało się z oddziałem, przemykającym się na Węgry, który z pasji koniarskiej zdecydował się zaatakować eskortę stadniny janowskiej i zmusił ją do ucieczki bez walki. W każdym rozbudzona wyobraźnia kreśliła obrazy: a co by było, gdyby nastąpiło spotkanie wręcz?

Więc teraz...

Więc teraz major wysyła w prawo na obejście laskiem rotmistrza Sołtykiewicza, plutonowego Rodziewicza i dwu ułanów. Sam z całym oddziałem, kryjąc się za wyniosłości gruntu, przesuwają się z wolna w lewo, dając czas Sołtykiewiczowi.

Gdy ruszyli do szarży, Niemcy dostrzegli ich na odległość stu pięćdziesięciu metrów.

Rzekłbyś - powtórzyła się scena pierwszego spotkania ze Szwedami laudańskiej chorągwi. Niemcy niezwłocznie pyrgnęli pod ciężarówki i spod nich otworzyli gęsty ogień. "Dobry żołnierz!" - musiało przejść przez głowę cwałującemu majorowi, jak ongiś Wołodyjowskiemu, podziwającemu sprawność zaskoczonych z nagłą rajtarii.

Konie brały pełny pęd. Szarżowali od czoła dwoma grupami. Prawą dowodził sam major, lewą kapitan dyplomowany, Kalenkiewicz. Przy-326

padli do wozów, zeskoczyli, strzelając z pistoletów pod koła. A już od tyłu doszli lasem ludzie Sołtykiewicza. Prażeni przez nich Niemcy rzucają broń, wyłazą spod wozów.

Esesmani!

- Kula w łeb! - wskazuje na nich pistoletem major.

Młody esesman rzuca się na kolana, całuje jego buty. Dostaje strzał z góry. Bezpośrednio potem major strzela do najbliższych ze swego waltera, Rodziewicz przyłącza się z visem - wykończyli ośmiu. Razem poległo dwudziestu dwu Niemców z dwoma oficerami. Jeszcze zapykały nasze karabiny po krzakach - jeden zbiegł.

r,

Ułani biegają, podpalając samochody. Major z pionową zmarszczką na czole, tak charakterystyczną dla niego, ponagla. Gorzko mu, nie wie - co z nim. Wczoraj strzelał kryminalistów, dziś bezbronnych Niemców. Wojna wyuczona z czytanek, wyimaginowana w podchorążówce, wojna z panache blanc¹, kulturowana w marzeniach - odeszła gdzieś, zawałiła się wraz ze światem, który go otaczał.

- Panie majorze, gotowe - meldują ułani. Wiedzą, że się odwróciła karta. Że pocznie się za nimi pościg. Patrzą w dowódcę jak w tęczę.

- Na koń!

Odjechali ze dwieście metrów:

- Zabitych wziąć na taczankę- rzuca za siebie major.

Plutonowy Rodziewicz zawraca po dwu naszych poległych - i już zastaje kilka nagich trupów. Chłop siedzi, oficerowi buty ściąga.

Spojrzeni na twarz plutonowego - zdrętwieli:

- Przecie naszych my nie tykamy; a te dranie mało nas pokrzywdzili?...

Puścił płazem. Może instynktem zrozumiał: my przed chwilą zabi-

liśmy jeńców, chłop obdziera trupy - obaj sposobimy się na niewiadomy czas, idziemy przez zamęt, dojdziemy do siebie.

Nasi polegli - luzak majora i jakiś podchorąży - obaj trafieni w czoła przez hełmy.

W rychłej borowinie w bok od leśnego duktu, wykopali groby krótkimi łopatkami, troczonymi u siopeł. Major z dzianeta mówi pierwszą część Pozdrowienia anielskiego:

- Zdrowaś Mario, łaskiś pełna...

- Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci. Amen. - odpowiadają żołnierze.

Dzięcioły i leśne szare sikorki sfruwają patrzeć, na ten pierwszy pogrzeb partyzantów. Leśnych grobów od tej pory narastać będzie przez długie i jeszcze nie skończone lata, w których ludzie, opuszczeni, zda-[Red.:] Panache blanc - biały pióropusz.

327

wałoby się, przez Boga, rozpaczliwie w godzinę konania prosili o odpuszczenie grzechów nie rozeznaczonych, zbrodni świętych, spraw nie rozsądzonych przez konfesjonał, spraw, uczepionych pazurami o jedno - o instynkt, o wolę trwania, o walkę.

Długa seria z cekaemu starczyła za salwę. Postawili dwa krzyżyki z brzoźek. Gdybyż dotrwały, aż będziemy je mogli umieścić przy grobie Nieznanego Żołnierza - te pierwsze krzyże samotnej walki.

Dopieroż spostrzegli - nie ma podchorążego Morawskiego. Nie widzieli, by poległ. Ruszyli.

Na lasy idą, na lasy, na lasy starachowickie. Krążą dni kilka. Gdzie wychyną, wszędzie im sygnalizują Niemców. Trudno będzie przejść ku granicy węgierskiej - konno, zbrojne, w ordynku. A inaczej nie chcą. Zasmakowali Niemców - oddział "miasun". Widać taki los - prowadzić wojnę w Polsce. Major to decyduje bez radzenia się, bez głosowania. Ciekawy rotmistrz Sołtykiewicz pyta. "Idź do cholery!" - odpowiada major. On jest wódz. On sam - waży odpowiedzialność.

Więc tylko co dzień podaje się ludziom miejsce zbiórki w razie rozproszenia. Tak już będzie przez długie miesiące aż do końca oddziału.

Więc tylko - każe major przybrać pseudonimy. Te pseudonimy tak zrosną się z oddziałem, że nazwiska uczestników nieraz pozostaną kolegom nie rozeznane do końca.

Więc skoro pójdziemy za nimi przez osiem miesięcy, poznajmyż się.

Dowódca przyjmuje miano Hubal. Jest to przydomek rodowy Dobrzańskich. Dobrzańskich herbu Leliwa - półksiężyc z gwiazdą. Na ten czas, kiedy to warto, co nie jest kundlem. Kiedy skupili się przy nim ci najtwardsi z chłopów, ci najlepsi z ziemian, ci najbardziej wytrzymali z robotników. Polska - rasowa, twarda, znaczone indygenatem charakteru, nie załgana szarą urawniówką, kolorowa każdym stanem, jak łąka polska kolorowi się i pachnie każdym kwiatem.

Hubal-Dobrzański wnuk powstańca, hrabiego Lubienieckiego, prawnuk pułkownika Dobrzańskiego, adiutanta króla Stasia, odziedziczony po nim sygnet, zostawił piątego września siostrze dla córeczki Krysi. Teraz, rozdając miana żołnierzom, podejmując obrzęd dziki i obcy oficerowi służby stałej - wplątywania "Jasiów" w te tam hocki klocki konspiracyjne, ma świadomość, że poczyną grę, z której jedno widnieje wyjście; na tamtą stronę. - Kula bolszewicka się mnie nie imała - mówi, rozpamiętując 1920 rok - ale od niemieckiej zginę.

Tak się stało. Więc niechże się rozedrze na chwilę zasłona przyszłości i nad jego ludźmi.

) ' ' .

Kapitan dyplomowany Kalenkiewicz przybiera pseudonim Kot-

328

wież. Ziemianin z Trokienik pod Woronianami, ongiś posiadłości Bohusz-Szyszków, gdzie kraj leśny, jeziorny, zielony, gdzie szeroki trakt na Michaliszki, Woronę, Komaje zawadza o Orwidów Zyndram-Kościalkowskich, o cudo w oprawie wód i lasów - Olszewo Chomińskich, o stary dwór w Honoratowie piewczyni tej ziemi, Romerowej, biegnąc wzdłuż jeziora Świr zawadza o rezydencję Skirmuntów, biegnie na Narocz. Kapitan Kalenkiewicz, instruktor podchorążówki saperów przed wojną, smukły, wysportowany, który swoim pięknym tenorem umila niejedną przemarsz, niejedną postój - przystał do tej widmowej kawalerii, do bezsensu, wstającego na dawnych traktach przeciw czołgom. Wysłany przez Hubalę jeszcze do Francji dla łączności, zrzucony w 1943 ponownie w Polsce, broni tych właśnie ziem, ginie w nierównej walce, położywszy trupem kilku przeciwników.

Porucznik rezerwy 4. Pułku Ułanów, Feliks Karpiński przybiera pseudonim Korab. Ziemianin z Kutnowskiego (bukiet ziem zbierany na polskiej łące!), z ziem pszennych, najświetniejszych w Polsce, porównanych sandomierskim, komiliton od serca - celujący w świetnym rozeznawaniu map. Chudy "żuraw", o twarzy jaśniejącej dobrocią - wcielenie namysłu i rozwagi, hamulec na Hubalę. Pracując w następstwie w wywiadzie w Radomsku, rozstrzelany w gestapo.

Podporucznik Iljin, prawy Polak, konstruktor lotniczy, oficer rezerwy. Zwarty, o stalowych nerwach. Ujęty na pracy konspiracyjnej, zginął w Oświęcimiu.

Podporucznik rezerwy piechoty Zygmunt Morawski przybiera pseudonim Bem. Syn podpułkownika Morawskiego, z Wielkopolski, ekskirasjera niemieckiego sprzed tamtej wojny, rozstrzelanego w 1944 roku w oflagu w związku z tłumieniem przez Hitlera spisku na jego życie¹. Jego syn Zygmunt, o szalonej odwadze, która aż gniewała Hubalę ("durna odwaga" - mawiał), zginął następnie tragicznie w Libii.

Porucznik rezerwy piechoty o nie odszukanym przeze mnie nazwisku, sędzia z Opoczna, który przyjął pseudonim Tchorzewski - aresztowany w następstwie przez gestapo, zamęczony po srogich torturach: darli z niego skórę, wbijali drzazgi pod paznokcie.

1 [Red.:] Ojciec Zygmunta Morawskiego nie zginął w oflagu w 1944 roku - wspólne zdjęcie podporucznika Morawskiego z Ojcem, tj. podpułkownikiem dyplomowanym piechoty Marianem Morawskim, wykonane w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, publikuje Marek Szymański w książce Oddział Majora Hubalę (Warszawa 1975).

M. Wańkowicz prawdopodobnie wykorzystał tu informacje odnoszące się do pułkownika dyplomowanego Witolda Dzierżykraj-Morawskiego - kawalerzysty, który rzeczywiście zginął w Mauthausen 9 XI 1944 roku (i według ustaleń Mariana Krwawicza

- zob. Polski Słownik Biograficzny, t. XXI, s. 753-755 - "Rodziny nie założył").

E?

329

Plutonowy Romuald Rodziewicz, zwany w oddziale Romanem, został przy tym imieniu, jako przy pseudonimie. Drobnny ziemianin z powiatu wołyńskiego, sam był z tatarskiego rodu, nosząc w herbie Tarnawa kołczan i strzałę (święć się blasku asymilacyjny Rzplitej) - i siedział na stuśsześćdziesięciohektarowym folwarku Ławski Bród, na szlaku dawnych osiedleńców Witoldowych, na brodach, przejściach i szlakach.

Pamiętam swoją wizytę w tym ich majątku, starego stryja Rodziewicza, zawziętego pszczelarza, majstrującego słynny rodziewiczowski krupnik, sąsiada sześćdziesięciohektarowego Litawora-Abramowicza także z Tatarów, rzekę Berezynkę, której brodu tu pilnowali z prawie-

ków, toczącą przejrzyste wody przez jeden z najpiękniejszych w Polsce krajobrazów gminy Zabrzezie powiatu wołyńskiego. Pamiętam polskość nastła, jak stuletni dębniak, język soczysty i miękki i stała, nie rozumującą gotowość do ofiary. Plutonowy Roman, świetny strzelec (to on ustrzelił trzech rozbiegających się w różne strony maruderów), doskonały jeździec, silny jak tur (to on zwał jednym uderzeniem sołtysa), oddany dowódcy bez reszty, więzień potem Oświęcimia.

Plutonowy Alicki, syn chłopca z Wołynia (bukiet klas, bukiet ziem...), odważny, twardy, bez rozumowania trwający wszędzie do końca, do końca żołnierz dywersji. Poległ w powstaniu warszawskim¹. Plutonowy zawodowy Głowacz, z Pierwszego Pułku Szwoleżerów.

Zdegradowany za znęcanie się nad rekrutami, skazany na trzy lata więzienia, zbiegł z transportu do Legii Cudzoziemskiej, w której przebył długie lata, ponawiając z niej czterokrotnie ucieczkę, wreszcie ze skutkiem, popełnił w Niemczech bigamię; gdy się zanosilo na wojnę, podkradł żonę Niemkę i zameldował się do pułku. W oddziale Hubala nosił pseudonim Lis, pasujący do jego lisiego pyska, o małych biegających oczach. Hubal cenił jego zdeterminowaną, zdecydowaną na wszystko bandycką odwagę. "Po wojnie pierwszy cię zamknę - mawiał - znajdziesz się na samym czubku szubienicy". Losy zrzuciły inaczej, a może i nie. Po zlikwidowaniu oddziału Hubala, Lis prowadził patriotyczno-bandycką partyzantkę na własną rękę. Ulubiony trik jego bandy to było przeciąganie liny stalowej na ukoś przez drogę. Pędzący samochód niemiecki wpadał w rów, w którym już czekali okrutni oprawcy.

Mówią, [^] że walczył do końca okupacji. (Święć się ogniu niezłomnej duszy - Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi).

1 znów nie odnalezione nazwisko² - podchorąży o pseudonimie Dołęga. syn ziemianina z Włoszczowskiego, absolwent podchorążówki' [Red.:] W wydaniu krajowym: "po rozwiązaniu oddziału pracował w wywiadzie, następnie przeszedł do 30 Dywizji Piechoty AK".

2 [Red.:] Henryk Ossowski.

330

artyleryjskiej we Włodzimierzu. Adiutantował Hubalowi do jego śmierci. Nie lubiany za paniczkość, za przedwojenny stosunek do żołnierza do końca, w czym był swoisty fason. Bardzo dobry bojowo.

I znowu nie odnalezione nazwisko - kapral rezerwy Pomsta, robotnik gdzieś z COP-u. Cekaemiarz trwający do końca, i mimo rozkazów odwołujących przy odwołaniu pod Szalasami i tam zabity.

I mały Tadzio Madej, wesół, śpiewak, ulubieniec oddziału, siłący się na próżno na poważny pseudonim Nawrocki, bo u kolegów był i pozostał Tadmek-Lotnikiem. (We wrześniu był ochotnikiem w lotnictwie we Lwowie). Chętny na wszelkie imprezy, zagorzał patrolowiec, zabity w 1943 roku przez Niemców na Marszałkowskiej.

I ten osiemnastolatek nieznanego nazwiska, Ryś, uczestnik wrześniowej obrony Warszawy, który poległ wraz z Hubalem.

I inny osiemnastolatek - Brejer - przystojny, wesół, odważny.

Trwający w oddziale do końca, nie rozstający się z bronią po końcu oddziału. Niemcy się go bali. W 1941 roku w Ostrowi Mazowieckiej, gdy wchodził do wagonu, narzucili nań z tyłu siatkę, powalili, zdeptali.

[^]akże spamiętać ich wszystkich, bezimiennych? Święć się w pamięci, już poczcie duchów, bo nie ludzi żywych. Święć się w pamięci - bukiet ziem, klas, zawodów, naczynie gorzkiej, studnia łaski, wieżo nonsensu, arko instynktu, ucieczko niepokornych, ratunku mężnych, odkupienie hańby, zgubo wsi na zemstę podanych, anarchio nieusłuchana, tragedia ziemi najechanej i rozdartej.

[^] I [Red.:] W wydaniu krajowym autor dodał ten fragment:

"Oddział otaczają cywile - jak zwykle partyzantów walczących we własnym kraju. Niechże wymienię z nich wszystkich - dających noclegi, przechowujących broń, przewożących rannych, pełniących wywiad, furazujących - tego leśniczego Wróblewskiego w leśniczówce Dęba - ułana rezerwy, wierne) odwagi osobistej, który nie porzuca oddziału jego losom po śmierci dowódcy, ginie, osierocając żonę i dwoje drobnych dzieci.

Niechże wymienię choć siostry ze szpitala miejskiego w Opocznie - siostrę Ludwikę, siostrę Annę, siostrę Donatę Gniazdowską, które pod kierunkiem starszej siostry

Mamerty Sienkiewicz, nie patrząc na niebezpieczeństwo grożące im ze strony Niemców bezpośrednio sąsiadujących ze szpitalem, przechowowały rannych oddziału, leczyły, wynajdowały cywilne ubrania, rozwoziły po okolicznych domach. Odstawiał ich woźnica szpitalny, Józef, z wielkim osobistym ryzykiem".

DWIE WALKI W GÓRACH

ŚWIĘTOKRZYSKICH

W lasach starachowickich dołączył Bem. Okazało się, że zaspał w stodole. Śladami kopyt końskich oddziału przemachał sześćdziesiąt kilometrów.

Krążą po lasach starachowickich, ubezpieczeni siecią służby leśne), oddanej całą duszą oddziałowi. Już nowa walcząca Polska się budzi, już poczyną krzepnąć, już ludzie znają drogę dla siebie, bez oglądania się na państwo.

Ciasno się robi, trzeba się podać ku lasom suchedniowskim. Dążą do nich nocą. Jest pierwsza połowa października - cały czas leje deszcz. Wodze rozmiękły jak flaki, skręcone. Ręce białe, zmurszałe, w czerwone kropki. Wichry przejmujące. Mundury całkiem przemoknięte. Gdy nogę podejmowało się w siodle, woda wylewała się z cholewy. 2 deszczem zmieszany przychodzi śnieg.

Za krótko okazało się tej nocy na przemknięcie z lasów starachowickich do suchedniowskich. Brzask ich zastał jeszcze w polach otwartych i zasiapionych.

Kłusowali szerokim błotnistym traktem trójkami. Hubał przodem, mały, w półkożuszku, obwieszony granatami, z harapem w ręku. Groźna pionowa zmarszczka między wesołymi oczami. Pod nim niósł się Hetmański. Cętkowany jak pantera, delikatny jak dziewczyna. Nie poznać po nim nocnego marszu. Na błądy poranek parskął, zad podbierał, a przednie nogi zmieniał, a rozdymał różowe nozdrza, a boczył się i uaawał, że się trwoży.

Butrym prowadził zaraz za Hubalem białego Groma, luzem jak zwykle, sam siedząc na ogromnym wałachu. Szedł Tatar pod Leśniakiem - krechowiecki wyga od militari, i Bucefał pod Olendzkim, nieco krótki i gruby, ale żelazny w marszu, i pałukowaty Szerszeń pod Skromnym, obaj specjaliści od trzymania drogi w ciemnościach.

Szedł Jastrząb pod Lisem, a Wilk pod Sępem - jakieżby inne brali ludzie i zwierzęta imiona? Najwięcej było drapieżców - Orłów, Sokółów, Rysiów i Żbików. Był też, oczywiście, Bohun i Kmicic. A czym większy dzieciuch, tym straszliwsze brał imię. Więc Azja i Pożoga, Zemsta i dwu Jurandów, i Scyzoryk, i czterech Jaremów, bo wszyscy rodzeni bracia i prawie równolatki.

332

Wszyscy ci chłopcy szli w nieznane. Wszystkim nijako się robiło w otwartych polach, kiedy dzień nadszedł.

Byle do lasu, byle już do lasu...

Nagle, gdy już zabłąkitniały lasy suchedniowskie, ze wsi przed nimi

wyjeżdża dwu kawalerzystów niemieckich.

Rotmistrz Sołtykiewicz wypiera do czoła:

- Panie majorze, cofamy się.

Hubal spojrzał zimno:

- Panie rotmistrzu, na swoje miejsce!

Niemcy na widok oddziału zawrócili. Hubal rzucił okiem w bok - jechali już groblą, mając po bokach bagno. Wziął dzianęta w kłus. Oddział się poderwał, ludzi objęło podniecenie.

- Do cholery, nie najeżdżać! - obejrzał się Hubal do tyłu.

Wpadają w wieś - pustą. Przecwałowują wieś, biorą za nią wskos przez majdan do młyna. Zebrani przy młynie chłopci wrzeszczą:

- Dlaboga! Niemcy w krzakach!...

Kule już gwiżdżą.

- Harcownikami ku rzece!...

Już bród. Grząsko. Podporucznikowi S..., w cywilu aspirantowi policji, przekręca się siodło z torbami tak wyładowanymi złotem, zgrabionym w jakimś banku, że je czterech ludzi na konia ładowało. Niestety chciwiec nie może sobie z nim dać rady. Przelatujący mimo chcą go wziąć na swoje siodło, ale nie jest w stanie oderwać się od skarbu i tak zostaje.

Oddział już dostaje się do zbawczego lasu.

Lasy suchedniowskie są jednak tylko pomostem łączącym z lasami świętokrzyskimi. Tam dąży Hubal - w dzikie góryste zalesione ostępy. Tam będzie bezpieczniej, niż w tych przerzedzonych lasach, które są jak wyliniała, zjedzona przez mole, ongiś wspinała szata, a przez te wyłysienia coraz to przebłyskuje pole uprawne i wieś, a we wsi- zorganizowane i posłuszne życie i Niemcy.

Jeszcze się z tymi wsiami nie obyli, jeszcze sądzili, że wszystko jest przeciw nim. Posyłali po paru ludzi pod opłotki zakupić żywności, jaja jedli na surowo, konie prowadzili w marszu z karmnikami na pyskach. Niemcy po odbiciu przez Hubala stadniny janowskiej, po wybiciu oddziału łączności, szli już tropem, już zacieśniali. Mieli wieści o kierunku ruchu oddziału, potwierdzone ostatnio na styku z Niemcami przy przejściu brodu.

Stach Jurand, wracający z podsłuchu, meldował, że ruch samochodowy na szosie wzmógł się znacznie. Brat jego Józek słyszał w nocy przemarsz oddziału wojska przesieką H-4. Oceniał go najmniej na kom-
333

panie. Pomian, zastępca Hubala (kapitan piechoty Grabowski, który odszedł następnie do wywiadu AK w Piotrkowie), przyjął kolejno meldunki Jurandów i każdemu odpowiedział to samo: "Dureń jesteś". A jednak nawet zimnokrwisty Bem chodził stale w pasie z ładownicami na płaszczu, a chłopcy, mimo iż nie było żadnych rozkazów, przestali się na noc rozbierać, rzędy były potroczone i rzemyki poskręcane w ślimaki.

Najgorsze było to, że po apelu wieczornym Pomian zaczął znowu podawać miejsce zbiórki "na wypadek rozproszenia", budził po nocy chłopaków i pytał o nazwę tej miejscowości, która im się stale myliła z podaną w dniu poprzednim.

Przecucia były słuszne - zabawa rozpoczęła się niezwłocznie, skoro dobili do przedgórzy lasów świętokrzyskich. Niemcy przetrząsali je ustawicznie i do uszu ułanów doleciały "A hu!... A hu!..." - jak na nagonkach.

Hubal, zmiarkowawszy odległość nagonki i kierunek, w którym się posuwa, zatrzymał oddział przed młodym sośniakiem:

- Do zsiadania. Przez zagajnik prowadzić konie w rękę. Na drugim

końcu w linię plutonów, na koń i szablę w dłoń. Sprawdzić znajomość miejsca zbiórki na wypadek rozproszenia.

"Dziczy" sośniak urwał się po trzech stajaniach i przed ułanami otworzyła się rozległa poręba, ciągnąca się aż do szosy.

Samotne nasienniki, nie wspierane w walce z wiatrem przez stojących zwartym szykiem towarzyszy, pochyliły się na wschód, skrzypiące i krzywe. Dołem rosły kępami jałowce i z rzadka krzaki leszczyny. Po drugiej stronie poręby, za szosą, stał wysokopienny bór, przez który przedzierały się pierwsze promienie słońca. Niewidoczne w przeźroczystym powietrzu, więzły w pajęczynach pokrytych kropelkami rosy, łamiąc się i rozświetlając srebrzyste kręgi.

Na dwóch nasiennych sosnach siedziały dzięcioły i kuły na zmianę, wczepione pazurami w korę, a ogonami zaparte; budziły się też inne ptaki i las był pełen poświstów i świergotu, nad którym górował drozd - śpiewak.

- Szarża do tego miejsca - wskazał ręką Hubal. Bał się zagalopo-

wania.

Niemcy wyszli z wysokopiennego lasu gęstą tyralierą, bardziej wrzaskliwi, niż nagonka łowiecka. Nie dalej niż o trzysta metrów przemykały krzakami szare postacie grupami po kilku. Ułani Hubala parali się z końmi, które, znudzone, chwytaly jasnozielone pędy sosenek, a każde szarpnięcie powodowało nienaturalne chwanie się wierzchołków młodych drzewek.

Niektórzy Niemcy podeszli już na dwieście metrów, a może nawet 334

sto pięćdziesiąt. Dzięcioły przerwały pracę i lecą właśnie nad zagajnikiem, stulając co chwila skrzydła i opadając ku ziemi, by za chwilę wysilonym trzepotem odrobić utraconą wysokość. Śmignął między konie zając z wysoko postawionymi uszami.

Ściszony syk przebiegł po linii.

Wypuścili konie w skok.

Było nie dalej jak czterdzieści kroków, kiedy Niemcy zaczęli bezładnie rzucać granaty. Bucefał stanął dęba pod Olendzkim i nie chce iść na przód. Ale ława koni prze niewstrzymana. Już i Bucefał goni, naginając jasnym brzuchem stojące po drodze jałowce. Z szosy odezwał się karabin maszynowy. Niemcy poczynają uciekać zrazu pojedynczo, potem grupkami, niektórzy rzucają broń, inni ostrzeliwują się na chybił trafił. Felek Korab z kapralem Wroną dopadli pierwsi.¹

Pocziwy "starszy pan" Feliks przypomniał sobie, jak za młodu zabawiał gości strzelaniem w galopie do talerzy, złożonych na ziemi. Droga obiega owalny gazon przed gankiem, z którego sąsiedzi i rodzice, oczywiście także "ona", obserwują gonitwę. Lśniące misy leżą do góry dnem w równych odstępach.

Korab widzi przed sobą rząd błyszczących hełmów. Spina Dyngusa ostrogami. Szlachetny olbrzymi koń dobywa całą swą wspaniałą szybkość. Długi jeździec dostosowuje ruch ciała do rytmu konia i strzela miarowo dziesięć razy jak do talerzy. Zmienia magazyn.

O ile Dyngus szedł jak rozhuśtany olbrzym, ściglejsza od niego, choć o osiem centymetrów mniejsza, Irena, wyciągnęła się po swojemu równo jak struna tak, że Wrona siedział prosty i nieruchomy z wzniesioną szablą i gdy starszemu panu Folkowi ręka z pistoletem drgnęła - poprawiał.

- Jak łoży ma maneżu w Augustowie koło kościoła.

Rów... szosa... rów... trzask karabinu maszynowego nad samym uchem i zaraz cisza głęboka i las kolumnowy wysokopienny, sklepiony

górami jak kościół.

Wstrzymali konie, obejrzeni się.

Długa linia harcowników mknęła przez porębę na karkach niemieckiej piechoty. Koni bez jeźdźców nie ma. Na szosie o trzydzieści kroków stoi samochód pancerny. Korab z Wroną przemknęli tuż za nim i to ich ocaliło. Strzelec tylnego karabinu spóźnił się o mgnienie oka ze swoją serią. Ale biada kolegom, którzy teraz wypadną z jałowca na białą, szeroką szosę.

Nim Wrona uświadomił to sobie, już Korab rzucał mu wodze Dyn-gusa, a sam pędził wielkimi krokami do samochodu. Wrona związał ko-1 Biorę opis szarży z opowiadania śp. kapitana Kotwiczą.

335

nie razem, zaczepił rzemienie o sęk sosny i skoczył za nim. Młodszy był i żwawszy od Koraba, podobnie jak Irena od Dyngusa.

Razem dopadli. Razem z dwu stron wrzucili visy w szczeliny. Razem wypróżnili magazynki.

Właśnie Roman wyskakiwał z krzaków na szosę, a za nim Leśniak na Tatarze, starym zwycięzcy w militari, i Skromny na Szerszeniu, Pomian na przyciężkim nieco dereszku, z którego piana spadała płatami. Wyłoniły się wszystkie stare konie. Bucefał tylko przyszedł za późno, razem z młodzieżą i z daleka było słychać przekleństwa Olendzkiego. Za chwilę przeskoczyły szosę oba juczne w karabiny, które prowadził Zakrzewski.

Korab włączył na swoje miejsce na ogon oddziału.

W tej szarży, szarży ostatniej zapewne w tej wojnie na białą broń (w następnych szarżach używali Hubalczyki tylko pistoletów), zasieki! ułani szablami pięciu Niemców. Oddział strat nie poniósł - zaskoczeni Niemcy, którzy od szeregu dni robili takie nieszkodliwe pohukiwania po krzakach, potracili widać głowy.

Rotmistrz Sołtykiewicz podjeżdża znowu:

- Trudne warunki... Należy się naradzić...

- To nie sowiet. - warknął Hubal - Nie w smak ci? To ruszaj sobie.

Rzucił okiem na Virtuti na piersiach Sołtykiewicza, zreflektował się:

- Szkapę możesz zabrać...

Tak oto ubył pierwszy. Dzielnym, rozważnym, ale do partyzantki Hubalowej niezdatnym.

Jeśli Hubal w ten właśnie dzień ostro i z takimi konsekwencjami uchylał się od rozmowy, to dlatego, że zamierzał zrobić rzecz, której by nie potrafił na rozsądek wytłumaczyć ani obronić. Pozostać postanowił, mianowicie, w miejscu, w którym odbyła się walka.

Informował ich, żywił i przyjmował gajowy - ojciec ośmiu dorodnych córek. Ale dzień ten i następny, który miał przyjść, spędzali w rozpadlinach skalnych wraz z końmi. Powtarzały się w Polsce czasy Łokietka, ukrywającego się w grotach Ojcowa.

Na pojutrze tej bitwy rano przybiegł stary gajowy z wieścią, że Niemcy biorą straż leśną za przewodników - że, najwidoczniej, pódzie wielka obława.

Umykać?

Hubal zatroskanym okiem rzucił na konie. Jak umykać? Wszędzie obstawione. Naturalnie, przerwać się oddziałowi jazdy przez piechotę nie będzie tak trudno, ale ileż koni wyginie? A z nimi ludzi, bo przecież

336

Niemcy nie będą żywić żołnierza oddziału, który w ich pojęciu nie jest wojskiem regularnym.

A zresztą... Te tu Niemiaszki hukające po krzakach dotąd wyławiały

tylko przemyskające się do domu grupki żołnierzy, mniejsza, że jeszcze uzbrojonych, ale już nie mających woli oporu. Mimo przedwczorajszego pokropienia, jeszcze się nie zdążyli nałożyć do tego, że mają do czynienia z oddziałem regularnym, karnym i zdecydowanym na wszystko, jeszcze tutaj wiele uzyskać można przez zaskoczenie.

I Hubal wybiera starannie kilka miejsc, w każdym ustanawia gniazdo erkaemu z kilku ułanami. Plutonowy Alicki z trzema erkaemami stanowi grupę ruchomą. Dobrze umieszczony cekaem stoi w odwodzie - gdyby przyszło się cofać.

Miał rację stary gajowy - ta obława rozsierzdzonych przedwczorajszą porażką Niemców była gęsto zmasowana, rzucono widać do niej wszystkie rozporządzalne w okolicy siły. Pamiętni, jak jazda Hubala przebiła łatwo ich rozsianą po lesie tyralierę, idą obecnie Niemcy gęstą masą - ściana to ziejąca ogniem, do której żaden koń nie dojdzie.

Już wyszła siwa ściana z zieleni, już wbrzusza się między erkaemowe stanowiska, starzy erkaemiarze nieznacznie wodzą gruzłowatymi palcami po maszynkach, podejrzliwie poglądają po miedziakach z karabinami, którym wezbrany z emocji dech skacze muszką po ruchomych celach, mgłą zachodzą oczy, szkodzi każda gałązka, którzy szybko reputują sobie nauki, jak mierzyć, jak naciskać język spustowy.

Żaden nie zarwał. Gdaknął pierwszy uprawniony erkaem, ten, który miał zaczynać, poszły serie pośpieszne i chciwe, wyprawiły się pociski z pojedynczych karabinów po cele upragnione już od całej wieczności.

Zwinęła się ściana szyta krzyżowym ogniem i pierzchła. Nikt ich nie gonił. Na pobojuwisku zostało kilkadziesiąt trupów, a w sercach żołnierskich żal, że to tak błyskawicznie się odbyło, że tylu ich uszło.

Hubal zarządza apel. Stają w upojeniu. To przecie pod nim Niemcom konie brali nazajutrz niemal po upadku Warszawy, to pod nim wybili do nogi oddział łączności, to on zdecydował się na przejście obsadzonej przez Niemców wsi, to on lasem szarżował na obławę niemiecką, to on, wbrew rozsądnym pogadywaniom i przewidywaniom, nie uszedł, nie radząc się nikogo przyjął walkę, to dzięki niemu kilkadziesiąt trupa zaściela las, a oni na tym tu apelu są wszyscy, zdrowi, by choć jeden draśnięty!

Hubal każe starannie zebrać broń z pobojuwiska. Oddział ma jej nadmiar, więc ta niemiecka broń, opatrzona, opatulona pracowicie, idzie do ziemi wedle wiadomych znaków. Oddział Hubala, gospodarz staranny, będzie odtąd przez długie miesiące gospodarował takimi sadzonkami od Suchedniowa po Spałę, na przyszły plon, na przyszłe dożynki!

337

BĘDZIEMY POMOSTEM

MIĘDZY WRZEŚNIEM I WIOSNĄ

Hubal jest porwany jak na skrzydła tą wiarą ludzi, tym entuzjazmem, tym ich oddaniem.

Tak mu się wiedzie, a ma ich tylko do węgierskiej ziemi domykać? W uchodźców zamienić, po garnizonach długie miesiące błocić? Ewidencje i wykazy pisać?

Wzdrygnął się. Bogiem a prawdą nie miał w wojsku przedwojennym najlepszych kwalifikacji. Często kwatermistrzem bywając miewał scysje a zatargi stałe, wyrobił sobie opinię, że nie nadaje się na czas pokojowy, przed samą wojną wyszedł do cywila na jakieś stanowisko w jakiejś fabryce rządowej.

To więc po to tu zasmakował niemieckiego mięsa, po to tylko poczuł, że nie święci garnki lepia, po to wzięła go na skrzydła miłość żołnierza, po to już do oddziału popłynęła pierwsza fala ciepła bijąca z Polski, oddania ludzkiego i wiernej rodaków pomocy na śmierć i życie, aby

teraz byle zaleszczycki pułkownik nad nim się wygłupiał i uczył wojska?

A przecie wojna - jest, jest wielka sojuszników potęga czekająca wiosny, uplatani są Niemcy w nadciągający na zachodzie kataklizm, zbyt pewni tu na wschodzie, by bez opamiętania po krzakach kilku powiatów ganiać, na śmiech się narażać, kilkudziesięciu konnych szukać. Byle ich raz drugi dobrze ugryźć jako to dzisiaj uczynił, a poza tym cicho siedzieć, to i oni cicho siedzieć dadzą, odkładając uporządkowanie na koniec wojny. Bo jeśli wygrają, musiałby oddział automatycznie się zlikwidować. A jeśli nie wygrają - a Hubal jest tego pewny...

Ach, jeśli nie wygrają, powstanie Polska jak długa i szeroka. Wstanie Polska, po której ciągle sygnał iść będzie, że jest oddział regularny, który istnieje i walczy. Zbiegną się do oddziału krocie, tysiące, dziesiątki tysięcy, setki tysięcy. Przybędą z zagranicy wypoczęte pułkownik! i generały, dręczyciele w grach aplikacyjnych, molochy, wiecznie niesyte wykazów.

A on powie:

- Macie tu, dziady sakramenckie, sto tysięcy uzbrojonego ludu i bawcie się po swojemu. Ja tam nie do tego, jadę do Afryki polować. I już ma niewyszukaną formułkę dla swoich żołnierzy:

338

- Nie sztuka iść do Francji. Powiedzą Niemcy, że w pięć tygodni z Polską skończyli. Będziemy tu w kraju pomostem między wrześniem i wiosną.

A im to wszystko jedno. Człowiek tylko wydaje się egoistycznym bydlęciem. Dać mu raz zachłysnąć się bohaterstwem i staje się nałogowcem. Raz mu odebrać wolność, a potem ją ukazać, i już się nią upija. Wielu spotykałem, co przeżywszy okupację, opowiadają o powstaniu, że te dni kiedy jedli plujkę i życie ich wisiało na włosku i co dzień ubywało najbliższych - były dniami najszczęśliwymi w ich życiu, dniami nigdy nie zaznanego upojenia.

Hubal więc postanawia możliwie nie dokuczać Niemcom, grać na przetrwanie, przygotowywać mobilizację wiosenną. Posyła Romana z czterema ułanami o dwadzieścia kilometrów w bok od linii marszu (bo sam przerzuca się w Końskie - w górach z końmi trudno), aby zabezpieczyć papiery i pozostałości rozbitego pułku.

Wpół drogi, jaką miał przebyć, natyka się Roman na znajomą gajówkę. Pisałem, że służba leśna otaczała oddział od lasów spalskich przez suchedniowskie aż po świętokrzyskie nieustanną opieką, a teraz, po zwycięskich starciach, wyolbrzymiona wieść biegła przed nimi. Gajowi zatrzymują, dziewczyna jak malowanie zaprasza.

- Major zabronił gdziekolwiek po drodze się zatrzymywać - opowiadał mi ze skrucą Roman - ale myślałem, że jeśli się ludzie posilą, to te pół godzinki mitręgi się opłaci.

Zostawił przed gajówką Kazika, aby trzymał pięć koni i miał baczenie, wszedł do gajówki, a tam już jajecznicza na słoninie skwierczy i butelka wódki wyjeżdża na stół.

Przegryźli, jak Pan Bóg przykazał, idą zluźnić do tej jajeczniczy Kazika, a tu z lasu wysuwa się tyraliera niemiecka.

Ułani do koni, Niemcy otwierają taki ogień, że szkoda gadać - żywa dusza przez bramę na drogę nie wyjedzie. A tu i popręgi popuszczone. Zwinęli się przy nich wraz, wmiotło ich na konie i uskoczyli za obejście. A tam dookoła płót półtorametrowy, nie bielony po panaszkowskemu, ale zaostrzony.

O koniu, który czujesz i rozumiesz! O koniu, który w szarży stajesz się stepowym mustangiem, uszy kładziesz po sobie i rwiesz do przodu,

zęby szczerzysz, kasać byś gotów, jak zwierzę! O koniu, który w ucieczce brzuchem się kładziesz po ziemi, nie potkniesz się, przewioniesz nad rannym jak najczulsza matka, lekko splanujesz za każdym rowem, przesadzisz przeszkody, o jakich by nie marzył najsSelektywniejszy steeple chase.

Wszystkie pięć koni przesadziło ostrokół, pełni jajecznicy ułani po-
339

grążyli się w las, spełnili zadanie, dołączyli do oddziału biwakującego w jakiejś wsi w drodze na Końskie.

Po raz to pierwszy oddział tak biwakuje - nie po gajówkach, nie w skałach, nie w lasach. Wieś obstawiona wartami - wpuszczają wszystkich, nie wyjdzie nikt. Wieś rządzona przez władze Polski Niepodległej, będąca w posiadaniu "samodzielnego oddziału kawalerii wojsk Rzeczypospolitej Polskiej"¹. Bo po zrobienie takiej pieczętka pchnął Hubal umyślnego.

I pieczętka ta jeszcze nie gotowa, a już poszła wieść, już oddział działać poczyną jak magnes.

Siedzi Hubal w izbie za stołem przy obiedzie, starszyzna wsi mu świadczy honory. Serce rośnie patrząc na nieskazitelny moderunek żołnierzy, na ich wojskową postawę. Pieczętka mówi o oddziale wydzielonym regularnych wojsk Rzeczypospolitej i tak ma do końca być: z raportami karnymi, meldowaniami się, apelami, postawą zasadniczą. Nie przymus nad tym, nie sąd, tylko Hubalowe: "Niech idzie do chole-ry!...".

Pocztowy melduje jakiegoś obcego podporucznika.

Do izby wszedł w kompletnym mundurze jak z igły, w pełnym moderunku żołnierskim, wysmukły blady chłopak:

- Podporucznik Marek Szymański melduje swoje przybycie.

- Daj gęby - mówi Hubal. Zna go sprzed wojny. Postanowił, idąc na "neutralne" przetrwanie, nie przyjmować nowych ludzi do oddziału, ale jak tu można nie przyjąć Marka. To chłopak "wojskowy od kolebki". Po Korpusie Kadetów ukończył zawodową podchorążówkę saperów.

Nie zawiódł się Hubal. Podporucznik Marek Szymański, przybrawszy pseudonim Sęp, zapisał się jako jedna z najpiękniejszych kart w dziejach oddziału. Wykazał murowany charakter, podejmował najcięższe zadania. Po rozpołowieniu pod Szalasami oddziału Hubala, dowodził z jego rozkazu w Górach Świętokrzyskich wydzieloną z oddziału piechotą, z resztą osieroconego oddziału przebił się do Hubala na drugi dzień po jego zgonie, następnie walczył w dywizji AK na Wołyniu, potem szedł jak wilk w tropy armii niemieckiej w głąb Rosji, w służbie naszego wywiadu. Zginął podobno w powstaniu warszawskim.²

Nowo kreowany Sęp, uspokoiwszy się, że jego oferta nie została odrzucona, kręci się czegoś:

* [Red.:] W wydaniu krajowym; "Oddział Wydzielonego Wojska Polskiego".

2 [Red.:] W wydaniu krajowym w miejsce tego zdania informacja: następnie w Brygadzie Dywersyjnej "Broda 53", w 27 Dywizji Piechoty AK na Wołyniu i w Powstaniu Warszawskim (bat. "Czata" w zgrupowaniu "Radosław").

340

- Panie majorze, bo tam właściwie przed chałupą jeszcze jeden cze-ka.

Hubal nastawił swoją groźną zmarszczkę pionową i błysnął wesołym okiem:

- Kto?...

- Starszy ułan... Doskonały cekaemiarz.

Starszy ułan Gruszka istotnie zasługiwał na tę atestację. Kochał się w

cekaemie. Wiecznie miał coś koło niego do roboty. W strzelaniu z niego dochodził do niesłychanej precyzji. Otrzymałszy fajnego kasztana, nauczył go kłaść się jako przedpiersie karabinu maszynowego i strzelając zza niego na trzysta metrów do białej chaty, umiał się w sześciu seriach ognia podpisać imieniem i nazwiskiem (podaje za Kotwiczem). I ten wypłacił się Hubalowi za zaszczyt przyjęcia. Wypłacił się z czubem. Wzięty wkrótce potem do niewoli (już w połowie listopada), katowany w gestapo w Końskich, słowa nie pisał, z wiadomościami o oddziale poszedł na rozstrzelanie.

- Ale to już ostatni. - przysięgał się Hubal - Nie przechowamy się większym oddziałem do wiosny.

A tymczasem na postoju w następnej wsi wdarła się do chałupy dziewczucha wiejska, przystojna osiemnastolatka. Zmieszany pocztowy łapał ją za chustkę, nie mogąc dać rady z babskim ferworem:

- Panie majorze, nijak zatrzymać, śliska jak wąż. Mówi, że do pana majora z ważną wiadomością.

A już dziewczucha - puc... puc... ^ boćnęła majora dwa razy w rękę, chłopskim obyczajem obejmując go za kolana. I beczy.

- Czego ryczysz? - pyta niezadowolony major. Już się do niego poczynają ściągać ze wszystkim. O rozsądzanie diabli wiedzą jakich spraw!

Dziewczyna zanosi się od płaczu. Zmiękł, objął:

- Boję się powiedzieć - podnosi dziewczęńskie oczy.

Ułany patrzy - za niańkę nagle ma być dowódca. Rozeźlił się:

- To idź do diabła!...

Nowy atak całowania po rękach. Z chlipów wychodzi, że dowiedziała się, że jest polskie wojsko, że biegła jak nieprzytomna ze wsi odległej o siedem kilometrów, że ważnego nie ma nic, ale... niech ją pan major przyjmie...

Buchnął śmiech... Zerknął major po śmiejących się gębach, widzi - przypadła im ta wariatka do gustu. •

- Co z tobą będziemy robić?

- Dziewczyna jestem... Wiejska... Tutejsza... Wszędzie przejdę...

Wszystko wywiem...

- Gotować będziesz dla oddziału - przecina niewczesne zapędy.

341

- Dobrze - mówi pokornie - i szyć... i wszystko...

- Co z tą małpą robić? - wzrusza ramionami Hubal. - Jesteśmy tu do jutra. Zostań. Jutro zobaczymy.

Nazajutrz wysłał ją do Krakowa - z listem do matki. Załatwiła wszystko jak najlepiej, przywiozła od matki medalik.

I tak została w oddziale jedyna kobieta, Maria Cel, znana całemu oddziałowi jako Tereska, chłopska Joanna d'Arc oddziału.

Niemcy, zdało się, szybko chwycili intencje Hubala i coś wyglądało, że poszli jakby na milczącą ugodę. A może robili poważniejsze przygotowania? Hubal miał wiadomości, że po odniesionej porażce oceniają go na kilka tysięcy. Omijali oddział, nie zaciskali pętli, nie tropili. Hubal z kolegami urządzali polowankę, popijawę, wycieczki.

Pewnego razu wybrał się z iljinem i Alickim na spacer, żeby szkapy rozprężyć, wiatru w piersi nałapać. Jak zwykle, jak każdy z Hubalczyków aż do końca, byli w pełnych mundurach z dystynkcjami.

Na zakręcie wypadło na nich dwu niemieckich żołnierzy na rowach. Ujrzawszy polskich kawalerzystów, pospadali z wrażenia z rowów.

Hubal zawołał - podoficer niemiecki wylazł z rowu i zameldował się przepisowo.

- Gdzie jedziecie?
- Do Radoszyc.
- Skąd jesteście?
- Z Lipy.
- Ilu tam was na posterunku w Lipie?
- Sześciu.
- A w Radoszycach?
- Dwudziestu sześciu.

Tańczy koń pod Hubalem. Hubal waży coś w sobie. Nie schował pistoletu, wyszarpniętego na widok Niemców. Ten to sam walter, z którego strzelał wziętych do niewoli łącznościowców. Jak urzeczeni patrzą Niemcy na rękę, trzymającą pistolet.

Waży w sobie Hubal, co robić, a chwile wydają się Niemcom wiecznością. Rozważa: starsi ludzie... Bawarczycy... I przecie - miał nie szukać zwady...

Ale szkoda ich puścić bez kawału. Wesole oczy rozjaśniają się na pomysł, który mu wpada do głowy:

- Ten - wskazuje na szeregowego pistoletem - niech wraca do Lipy, a ty - wskazuje na podoficera - jedź dalej do Radoszyc. I tu i tam macie zapowiedzieć, że do wieczora na obu posterunkach nie ma być żywej duszy niemieckiej, bo przychodzę.

342

Uszczęśliwieni gehorsamst kwitują otrzymany rozkaz.

Efekt kawału przeszedł oczekiwania. Nie tylko wyewakuowały się Lipa i Radoszyce, ale i posterunki w trzydziestokilometrowym promieniu.

Widzi Hubal, że to panowanie niemieckie nad głuchymi zakątkami nie jest zbyt mocne, coraz bardziej myśli o szukaniu zaplecza dla nie powiększanego oddziału, o budowaniu szeregu kontaktów. Ludność cywilna powinna wiedzieć, że ktoś czuwa, powinna się liczyć, powinna czuć na sobie żelazną rękę. Rozkazy "oddziału wydzielonego wojsk Rzeczypospolitej" nie mogą być mniej szanowane niż rozkazy niemieckie. Do tej akcji w społeczeństwie trzeba mieć pomocników poza oddziałem.

Na jednym z postojów (oddział co kilka dni zmienia miejsce postoju) zgłasza się pewien oficer P., pochodzący z tych stron (zachowajmy jego nazwisko przy sobie) z ofertą współpracy. Hubal daje mu list do kolegi z tamtej jeszcze wojny z propozycją nawiązania sieci w jego rejonie.

P. zobowiązał się odnieść odpowiedź w ciągu dwu dni. Siedem dni minęło - do Hubala doszły wieści, że P. siedzi gdzieś na jakiejś plebani! i nie myśli o wywiązaniu się z zadania.

Hubal wzywa Iljina, Bema, Romana i Alickiego:

- Dwadzieścia pięć w gołą dupę - nakazuje Iljinowi, jako dowódcy. - A ty - zwraca się do Romana, który słynie z ciężkiej ręki - w moim zastępstwie dasz mu trzy razy w gębę.

Pojechali, weszli do plebani!. Akurat u księżulka dobrodzieja przy paru już wypróżnionych butelczynach siedziało wesole towarzystwo, któremu rej wodził P.

Weszli - w mundurach, przy pistoletach, wianki granatów podtrzymują koalicjki. P., zmieszany, tłumaczy się, że jeszcze nie zdążył wypełnić polecenia.

Sprowadzili sołtysa i trzech siwych staruszków - najpoważniejszych we wsi. Jak kara i wyrok, to nie bezprawie i przemoc.

Iljin wykłada im całą sprawę i konkluduje:

- ... i za to, z rozkazu dowódcy, mają dostać dwadzieścia pięć w

gołą dupę. A wy macie być świadkami.

Sołtys i staruszkowie poglądają po sobie, drapią w głowy. Snadź są jednego zdania, bo sołtys zabiera głos i mówi poważnie:

- Juści, jeśli nie słuchał polskiego rządu, to mu się słusnie należy...
- Przeca Polak... - kiwają głowami staruszkowie.
- Ma pan dostać dwadzieścia pięć w gołą dupę - ogłasza Iljin.
- Jestem oficerem!

343

- Romek, wykonać rozkaz
- Trudno bić w inteligentną głowę - zwierzał mi się Romek. Zamknął oczy - pęc! - P. poleciał na podłogę. Romek ma niezawodne uderzenie.

P. podnosi się:

- Wykona pan rozkaz?

Odeszły go skrupuły oficerskie. Trzęsie się. Odpina sam spodnie.

Ratuje pozory:

- Ulegam przemocy...

Wymierzają mu nakazane dwadzieścia pięć plag. Delikwent zapina spodnie, mówi płaczliwie:

- Nie wiedziałem, że w ten sposób uczy się miłości ojczyzny.
- W ten sposób uczy się wykonywania jej rozkazów - mówi Iljin.¹

Następnego dnia przyjechał sołtys na miejsce postoju Hubała "prze-prosić pana majora, że jeden z naszych tak postąpił".

¹ Oto dalsze losy Iljina. Złamany reumatyzmem, musiał opuścić oddział. Pojechał leczyć się do Warszawy do siostry i załatwił Hubałowi sprawy oddziału. Pewnego razu przysłany Hubalczyk upił się i wdał się w burdę z gestapowcem.

- Szkopie, Hubalczyk jestem - oświadczył, kiedy Niemiec zażądał dokumentów.

Nie dano mu użyć broni. Znalezione przy nim adres Iljina. Aresztowany wraz z dru-

gim Hubalczykiem, podporucznikiem Gołko, przewieziony wraz z nim do Oświęcimia. w krótkim czasie obie ich rodziny w tymże samym dniu otrzymały powiadomienie o ich straceniu.

OPAŁY W CISOWNIKU

A jednak Niemcy nie dają za wygraną. Nie ma co się łudzić. Gromadzą siły i znów od Radoszyc, z których niedawno tak haniebnie uciekli, zaciska się oblawa.

To jest 4 listopada 1939 roku, dopiero miesiąc i sześć dni od upadku Warszawy, miesiąc i sześć dni, w ciągu których tyle się działo.

Wysłana naprzód na rowerze Tereska ku podnóżu Gór Świętokrzyskich, wyszukała cichą wieś Cisownik, leżącą na ustroniu, w lasach.

Przybył do niej oddział po przemarszu nocnym na piątą rano.

Wieś jak to wieś - o tej porze już jest na nogach. Wylegli przez opłotki - rozpoznają, kto też to wjeżdża.

Nagle buchnęło:

- Wojsko polskie!

Kobiety płaczą, podnoszą w górę dzieci, wskazują im żołnierzy. Gospodarze kłaniają się we wrotach: "A dyć do mnie, jeśli łaska...".

Zajęli kilka chałup w rząd. Wystawili z obu końców wsi posterunki po dwu ułanów. Nim opatrzyli konie, nim podjedli sobie, już i dziewiąta godzina przyszła. Tedy legli nie rozbierając się, z pistoletami na sznurach na szyi. Śpią.

Nagle z końca wsi trzasnął strzał pistoletowy. I zaraz strzały przeniosły się w głąb wsi.

Na klaskanie strzałów koło stodoły Dyngus, chory na zółzy, zaledwie otworzył zmęczone oczy i przeniósł ciężar olbrzymiego swego ciała z jednej nieprawdopodobnie owrzodzonej nogi na drugą.

Irena zerwała powód. Słysząc było głos kaprała Wrony: "Do koni! Zdrada! Do k-o-o-o-ni!!...".

Zagrały karabiny maszynowe. Pociski szyły słomiany dach. Irena parła piersią drewniany drąg, tarasujący pół otwarte wrota. Z sąsiedniej chałupy wypadł kapral Olendzki na oklep na Bucefale i podchorąży Leśniak na Tatarze. Rwali do lasu. Arabcy rżęły na drugim końcu wsi. Roman, Bem i Alicki spali w jednej chałupie. Bem i Alicki na alarm zatrzęśli Romana za ramiona i pyrgnęli z chałupy. Roman schwytał chlebak, wyskoczył tyłem na obejście, skoczył przez płot do chałupy majora, ale chałupa już była pusta. Wtedy wbiegł do stodoły, w której było kilka koni. Roman, ratując przede wszystkim Dżaneta, narzuca mu siodło, ale koń zrzuca je, stając dęba.

345

Tymczasem już granat eksplodował tuż pod stodołą. Roman poniechał koni, wyskakuje. Na ulicy z jednej strony rój Niemców, po jej przeciwnej stronie pruje z erkaemu Bem. Czeka na Alickiego, z którym przysięgli sobie, że jeden drugiego rannego dobije. Ale Alicki się nie zjawia. Mignął Sęp z długą fajką w zębach, przeskakujący ulicę. Roman rzuca granat i w czasie kiedy granat wybucha, przeskakuje ulicę do czekającego Bema. Przeskakują płot, w tej chwili Roman otrzymuje głuche uderzenie. Czuje na plecach mokro, krzyże drętwią. Za płotem grząski zorany ogród.

- Zygmuś, dostałem...

Sięga ręką - ręka mokra, ale nie czerwona. Wącha - pachnie spirytusem. To kula niemiecka, przebiła manierkę ze spirytusem na dnie chlebaka, który zesunął się na tył. Płaszcz, który Roman miał przerzucony przez ramię, postrzelany jak sito.

O dwieście metrów widnieje las. Służbowy, który wpadł ich zbudzić, krzyknął, że miejsce zbiórki w tym lesie.

Istotnie, na maleńkiej polance już są zebrani.

- Co z końmi? - pyta Hubal.

Roman wyjaśnia.

- Idioto, nie należało siodłać, tylko pospuszczać było, same by przyszły.

W tej samej chwili już Niemcy biorą konie. Już część ich idzie ulicą. Człapią, caplają. Głosy ludzkie słysząc nieznane jakieś, gardłowe i twarde. Obcy żołnierze w siwych mundurach prowadzą Groma. Rozpuścił biały ogon, chrapie. Idzie Hetmański, cętkowany jak pantera, a potulny jak dziecko. Za nimi inne. Obcy żołnierze przyszli też po Dyngusa.

Wyciągnął na całą długość szyję i ostrożnie przestawia chore nogi.

Irena była w ogóle nerwowa. Pozwalała się osiodłać tylko kapralowi

Wronie, albo rotmistrzowi Kotwiczowi.

Skoczyła. Zwaliła obu Niemców o zrab.

...płot... znowu płot... zamknięta brama... rów...

Jak parcours w Łazienkach, i w Łodzi, i w Zakopanem.

Rzuciła się w bok - na drodze Niemiec płasko rozciągnięty twarzą do ziemi.

Wyciągnęła się w galopie wioskową ulicą, lśniąca jak miedziana struna, ona, najściglejsza w szwadronie. Szara gromada żołnierzy zabiega drogę. Piersiami w nich i w skok! Rola pryska spod kopyt... las. I już kapral Wrona troskliwą dłonią gładzi jej zamszowy pysk.

Ale w ogóle uratowano tylko osiem koni. Alicki, który nade wszystko kochał swego ciemnogniadego angloaraba o czterech białych pęcicach, wpadł do stajni (dlatego nie mógł go doczekać się Bem), zwolnił swego (na nim uratował się Hubal), zwolnił i te inne, zdążył wsadzić na

346

konia jęczącego z bólu zreumatyzowanego Ijina. Otrzymał postrzał wierzchem dłoni przez skórę.

Nie zjawiał się Sęp, podporucznik Gołko i Tereska. To źle - Teresce rzucił Hubal, kiedy powstał alarm, wszystkie papiery, dziennik pułkowy, mapy.

Nastrój dosyć minorowy. Aby go podnieść, zarządza Hubal w lesie na końcu wsi zasadzkę, aby odbić Niemcom zabrane konie. Ale zasadzka spełza na niczym - Niemcy wycofali się inną stroną.

Pieszko więc przeważnie przedzierają się koło wsi Szałasy do gajówki Rosochy - uprzednio wyznaczonego miejsca zbiórki.

Na drugi dzień przyjeżdża do Rosoch na nieodłącznym rowerze - Tereska. Ze wszystkimi papierami. A jakże. Gdy Niemcy wpadli, zastali ją z wrzecionem na łóżku, pod które rzuciła papiery. Opowiada, że kilku Niemców zostało zabitych i rannych, że ona sama pomagała opatrzyć rannego kapitana niemieckiego, opowiada jak brali konie, jak wyrwała się Irena. Mówi, że padli ofiarą zdrady. Pewna kobieta z tej wsi była w przeddzień w miasteczku, widziała mieszkańca tej wsi (robotnik z huty, który długie lata we wsi nie mieszkał i na czas wojny wrócił), jak zmawiał się z Niemcami. Wieś spuściła mu manto. Już się w niej nie pokaze.

W kilka godzin po Teresce pojawili się Sęp i Gołko. Nikt więc nie poległ, tylko oddział stracił wszystkie prawie konie.

Niemców Tereska obliczała na jakich trzystu. Czemu nie ścigali?

Może ich spieszyło ranienie kapitana. A może - woleli nie przypierać "wściekłego majora" {Der totle Major - powszechnie go nazywali Niemcy).

2 tych ośmiu koni - jeszcze dwa mieli stracić.

Hubal przesuwają się znów ku lasom spalskim. Po drodze każe się odłączyć plutonowemu Lisowi z przydanym kapralem Gruszką do wsi odległej o dwadzieścia kilometrów od linii marszu, aby zarejestrować, fachowo zabezpieczyć i ukryć broń, którą tam pozostawił rozbijający się oddział.

Wykonali zlecenie i wracają pod wieczór, bo w okolicy wielu kolonistów niemieckich i major zabronił nocować.

Rozkaz to rozkaz. Wieczór ciągnie, kości po całodiennej pracy bolą, diabli wiedzą, gdzie oddział teraz pełźnie na piechotę. Kiszki marsza grają... We drzwiach samotnego obejścia przy drodze stanęła dziewczyna i śmieje się do żołnierzy. Przecie major zabronił spać we wsi, ale nie zabronił gdzieś spać w ogóle.

Zwrócił Lis spiczastą twarz do Gruszki - kaprał obrócony w siodło już się cały miał ku dziewczynie.

347

Zanocowali. W nocy Lis, czuciem tyloletnim tropionego łąkę - coś wyczuwa. Budzi Gruszkę, a w tejże chwili rozwalają się drzwi, do chałupy wpada snop światła. Hndne hoch! - krzyczy coś, co już całkowicie wypełniło ramę drzwiowa. Lis, już zwinięty na podłodze, strzela z dołu w tę masę. Niemiec padł. Lis przeskoczył pierwszy, Gruszka przez niego i popędził do stajni. Lisa już spotkał ogień od płotu; prasnął się pod ścianę, zaraz od niego łukiem poleciał granat: w dymie wybuchu - pomyka do stajni; tam Gruszka pora się z ulubionym kasztanem. Lis przez strych stajni wpadł w drugie obejście i uciekł ogrodami. Gruszka został przyłapany przy koniu; torturowany - nie wydał; tak zginął pierwszy mistrz erkaemu.

A Hubal, przesuwając się ku tym lasom spalskim, nocuje na plebani! w Ruskim Brodzie. Znęcił go ten domek plebanii za wsią samopas stoją-

cy, ku lasowi nabliżony.

Proboszcz, ksiądz Ptaszyński, pięćdziesięciolatek, żyłasty, z rewerencją niezwykłych gości obiega. Jeszcze tam gospodyni - obrządkiem dawnym - a to naleweczka, a to kielbaska podwędzona a miękka na całe sąsiedztwo słynna, a to pierniczki miodowe - całkiem jakby to odpust i zjechali kolatorowie i dobrodzieje. Ale proboszcz, myśliwy znany, górnym węchem wie, co za zwierzyna i w tym zrozumieniu nad miodowymi pierniczkami przeciągają: panagrottgerowe wizje, Kordecki jak go widział w Sandomierzu na Obronie Częstochowy; ksiądz Brzózka - ostatni z ostatnich; ksiądz Skorupka - pacholę niewypierzone, które nazwą ulicy uczcili.

Tedy zwierzy ksiądz temu oto brodatemu majorowi, który w kożusku przed nim siedzi i, tylko patrzeć, na płótno wskoczy i tak siedzieć będzie pokoleniom:

- Majorze, drogi, kochany... Strzelać umiem, broń mam... Ale... mam skrzynkę granatów i nie umiem z nimi obchodzić się.

Waży major jajkowy granat w dłoni:

- Widzi ksiądz proboszcz - tak należy zawleczkę odciągać... łyżki, Boże broń, nie popuszczać... A potem: sto-dwadzieścia-jeden, sto-dwadzieścia-dwa, sto-dwadzieścia-trzy - wtedy rzucać. Nie prędejsz, bo mogą zdążyć odrzucić.

Z nabożeństwem dotyka ksiądz Ptaszyński granatu; gruby pancerz, niby skórka ananasa. Albo jak tabliczka czekolady - każda cegielka innemu dziecku.

- Bo to obronny, do rzucania z przykrycia...

Podejrzliwie oglądając się na gospodynię, ksiądz proboszcz drepcze do skrzyni. Okaże się potem, wiosną, że zda egzamin z otrzymanej lekcji.

348

UŁANI WERBUJĄ, STRZELCY MASZERUJĄ

- ZACIĄGNĘ SIĘ...

Dwudziestojednoletni Henio Białas kręcił się po rodzinnym Piotrkowie i pytał o drogę do Francji. Piotrkowskie agencje Cooka nie znały jeszcze drogi na wprost, ale już słyszały o Hubalu. "Wyjdiesz z Piotrkowa i pójdziesz wewte stronę". To znaczy na południo-wschód. Chłopak szedł sto kilometrów, mijając niemieckie tereny, aż doszedł do Radoszyc i do znajomków w Radoszycach. A w Radoszycach już było pełno tej hubalowej sprawy. Gospodyni najstarszego syna straciła we wrześniu, najmłodszy Jurek już u Hubala tkwił, a średni Leszek, że to kaprawy na jedno oko, że to w gospodarstwie choć ktoś jeden potrzebny na Boga, był przez energiczną niewiastę desygnowany jako odwód. Ze to na wiosnę, jak naprawdę będzie potrzeba - pójdzie.

Tam tedy, w Radoszycach, zbiegały się granice legendy i prawdy tajemniczej, surowej, zasnutej, która chodziła tuż. Niewiele z niej na razie mógł uszczknąć Białas. I na wszystko, co pytał, jedna odpowiedź: "Terreska powie".

Aż po kilku dniach, istotnie, zjawiła się na rowerze zapowiadana Terreska. Chichotliwa dziopka, rozczochrana, roześmiana, smagła, szczupła.

- Jak się masz - wita się z partesu.

Poszeptały z gospodynią.

- Cholery można dostać. - mówi (to było powiedzonko powszechne w oddziale i Tereska starannie je celebrowała) - Nie wiem, co będzie, ale wezmę ciebie.

- Weź rower, jedźcie do Kielc - szepcze Leszek.

Przepedałowali sześćdziesiąt kilometrów. Już podskakują po kocich

łbach - tych samych, po których przed ćwierćwiekiem równo wchodziły pierwsze legionowe patrole.

Domki Kielc starsze są i świadomsze, niż ludzie. Zasnuły w doskonałą nudę, w szarość, w "co mi tam...". Kiedy się do nich schodziło za carskich czasów z zielonych rozłogów Gór Świętokrzyskich, z puszczy jodłowych, z wietrznej Łysicy, spod lazurowiejącej Słupi, z drożyn pachnących próchnicą - te same domki w sianie deszczu pochylały się nad kocimi łbami, przed tymi samymi domkami stał gorodowoj, a w nich - buzowało się posiedzenie komitetu redakcyjnego wielkiej księgi maturzystów.

349

Kiedy wojewoda kielecki budował, miastu nad stan, sobiepański pałac sportowy, kąpiący od marmurów - domki, sypiące zmurszałą dachówką, stały sobie, a w nich pyrkło jak w garnczku, który już się zagotował, tego nakipiałe życie.

Białas czeka w bramie. Domek mieści przytulisko dla starych kobiet. Tereska wsiąkła w zakamarki. Śmierdzi kotami i amoniakiem i nudą taką rozmazaną, że gdzieżby co z tego... Że wszystko to lipa.

Nagle bodnął go wilgotny, gorący szept Tereski:

-Chodź!...

Kluczą zakamarkami. Te kompleksy domków po naszych miasteczkach zrastają się ze sobą przejściami, galeryjkami, przebiciami, łączonymi na doraźną potrzebę, że miasto przestaje być kompleksem oddzielnych "posesji", a staje się mrowiskiem.

W pewnym miejscu Tereska każe czekać. Różowy tulipan żarówki oświecła Czarnieckiego na łożu śmierci jak żegna się z ulubionym dereszem. Niewiadomy zegar tyka gdzieś w głębi. Z tym tykaniem rozmiędla się dusza chłopaka jak paździerzony len - już byś nie pozbiarał włókien, zda mu się, że całe jestestwo wionie ku sufitowi w cieniu jakimiś pasemkami mdławymi, chybotliwymi, które wchłania mrok, niebyt, nierealność, bezczas. I nagle nogi, bolące po sześćdziesięciokilometrowym pedałowaniu, przypominają, że tu oto siedzi nie symbol dodany patetycznym dziejom, jak dźwięk nikły heroicznej sonacie, tylko on, żywy chłopak, Białas z Piotrkowa, złożony ze ścięgien, tłuszczu, krwi, kości, białka, węglowodanów, fosforu, któremu zadart się boleśnie knykciec u prawej nogi i który chce jeść.

W to czekanie między białasową wiecznością i białasowym jęczeniem cielesnym, po raz drugi wpada wezwanie:

-Chodź!...

To znów - wilgotny szept Tereski.

Staje przed wysokim flegmatycznym panem. Korab - on to był bowiem - nie wie, czy "kto inny" przyjmie.

- Broni, munduru nie ma? To źle. Weź go, mała, na kolację - daje pieniądze. - Wróćcie za dwie godziny.

A po dwóch godzinach wchodzi do poczekalni cywilny1 pan z brodą i Białas od razu rozumie, że to m a j o r.

I słyszy po raz trzeci w tym dniu:

-Chodź!...

Major zamknął drzwi:

- Po coś tu w ogóle przyszedł, smarkaczu?

1 Major - jak dalej o tym - właśnie jechał do Warszawy.

350

- Walczyć o ojczyznę, panie majorze - odbębnia, przygotowanym zawczasu, wyuczonym drylem.

- Co ty myślisz, szczeniaku, że będziesz miał wygodę, jak u mamy, że ci kawcię z bułeczką do łóżeczka będą nosić? Najlepiej wracaj do

domu.

- Melduję panie majorze, że nie po to przyszedłem, żeby wracać...

-Milczeć!...

Chwila ciszy.

- Broń masz, mundur masz?

- N-nie - tłucze się duch w chłopcu.

- Właśnie!.. Cóż ty myślisz, że mam magazyn "mob"?! I że ci wszystko podetkną - od butów do gaci?!

- Panie majorze...

- Milczeć! Ja mówię: idziesz na pewną śmierć. Za zradę u mnie tym się karze - pokazuje rewolwer. - Do niewoli też nie masz prawa iść. Idź, namyśl się.

- Nie mam co się namyślać.

Z wesołych oczu Hubala poszły dwa strumienie światła:

- Kiedy chcesz jechać? - zapytał innym głosem - Dziś?

- Tylko rower muszę zwrócić.

- Jutro o tej porze zameldujesz się.

Chwycił chłopaka za włosy, podał rękę. Pokazał zegarek:

- Dziewiętnasta.

- Tak jest, panie majorze.

Wychodzi upojony. To nic, że jest ciemno i pada deszcz, to nic, że w tym samym dniu z powrotem musi pyrgnąć sześćdziesiąt kilometrów dla oddania roweru, to nic, że zaraz z powrotem bez snu będzie musiał wracać, by piechotą znowu odrobić te sześćdziesiąt kilometrów, aby się stawić na tę sztabową, na tę wojskową, na tę operacyjną (a całkiem[^] przypadkowo przez majora podaną) dziewiętnastą godzinę pierwszego rozkazu. On pokaże majorowi kawcię... Pokaże majorowi bułeczki...

W Radoszycach gospodyni przyjęła bohaterskie decyzje załamywaniem rąk i pośpiesznym suszeniem przyodziewku na gorącym piecu.

- To już cię podwożę nieco na rowerze - zaofiarował się Leszek.

Po pięciu kilometrach, na które była umowa, powiada:

-Jeszcze aby trocha...

Chłopcy mówią o życiu w oddziale Leszkowego brata, o Hubalczykach. Co jakiś czas, to Leszek prolonguje. Aż wreszcie oświadcza, że dowiezie rekruta Hubalowego do Kielc.

Kiedy stanęli na kocich łbach przed obojętnymi domkami, w których mrowisku buzowały się sprawy i sprzed i po niepodległości, Leszek rozkraczył spracowane nogi, zdjął maciejówkę, dokumentnie wy-

351

tarł pot, przetarł kaprawe oko, z którego mu ciągiem lzy ciekły i powiada:

- Bo ja też do oddziału... Żal matki, bo jej samej trudno. Ale miarkowałem na wszystkie boki i już inaczej nie będzie.

Teraz Białas proteguje do Tereski, Tereska do Koraba, Korab do Hubala. Przeważało, że Leszek ma brata w oddziale. Niech tam!

Chłopcy jadą pociągiem do Opoczna. Dziwnie się czuć znowu między "cywilami". W pociągu pełno jest młodych ludzi, którzy zajęci są jakimiś handlami. Z Opoczna należy udać się do leśniczego w odległej o czternaście kilometrów Dąbrowie. Podwozi ich kawałek drogi ziemianka. Kawałek drogi podpychają się wózkiem pachciarskim. Młodzi ludzie, ziemianka, pachciarz - to drobinki jakiegoś świata falującego na zewnątrz. Gdzieś tam, koło leśniczówki Dąbrowa, stos wysokiego napięcia, który ponownie je stopi.

Ale stos wysokiego napięcia w postaci zażywej pani leśniczyny zdradza maksimum nieupodobania na widok dwóch typków w maciejówkach:

- Dzisiaj niedziela... pan leśniczy zajęty.
Międlą się pod gankiem, aż póki leśniczy nie wypłynął we własnej osobie.
Tedy rekruty wyżywają się w postawie na baczność:
- Z rozkazu pana majora Hubala ma pan leśniczy nam podać m.p. pana majora Pomiana.
Bolszewicy kpinkują, że komenda "w dwuszereg wstecz" brzmi w polskim wojsku: Pan za pana chowajścia. Ale spod tej kupy panów - "em-pe" (miejsce postoju) błysnęło twardo i po Langiewiczowsku.
- Proszę - wprowadza leśniczy do domu.
W domu - dwaj w mundurach. Potem okazało się, że Bem i Roman.
- A my jedziemy na urlop - mówi Bem.
Właśnie wówczas Hubal, po przygodzie w Cisowniku, zdecydował, że należy swój oddział poddać komendzie ogólnej. Kotwicz wówczas ruszył z Kielc do Anglii, by z powrotem skoczyć w 1943 roku do Polski, stanąć na czele Dywizji Wołyńskiej i zginąć w walce na Wileńszczyźnie. Hubal zaś wyprawił się do Warszawy na poszukiwanie kontaktów, rozpraszając na ten czas oddział po krótkich urlopach. Białas, co dopiero przybyły ze świata młodych ludzi, ziemianki i pachciarza, rzucił na umundurowanych pytające spojrzenie:
- Nie boją się panowie?
- O! - wyciąga Bem dwa pistolety.
Roman uchyla kołdry na małżeńskim łożu leśniczostwa; pod kołdrą, jak jaja, które wysiaduje kwoka, leżą wianuszkami granaty.
352
Rekruci otrzymują wskazówki jak iść na osławione m.p; Po drodze mają udawać handlarzy, skupujących świnię.
- Cholery można dostać - cieszą się Bem i Roman - oddział będzie na sto dwa!
Obawiali się, że te urlopy to początek likwidacji, a tu nowych werbują...
Targując zawzięcie po wsiach świniaki, ażeby stworzyć za sobą alibi, bocznymi drożynami według szkicu na bibułce pchają się a pchają do tej jakiejś chałupy, w której jest Polska Niepodległa i rządzi polskie prawo wojskowe. Wieczór zapadł, droga się zagubiła w ugorach, idą już tylko na głos psów. Doszli do dwóch chałupin z dwu stron drogi, która pojawiła się znowu. Pyrgnęły po niej spłoszone dzieciaki, wyszedł przed drzwi gospodarz.
- Ceguj?
- Gospodarzu, idźcie na środek chałupy, krzyknijcie: "Pomian".
- Ceguj mom ksyceć... Nikoguj ni mo...
I znowu międlenie pod tym kolejnym przedśionkiem niepodległości, aż nie buchnął blask przez wypchnięte w ciemności drzwi i w tym blasku nie stanęła sylweta - w mundurze...
- Panie kapitanie... - prężą się.
- Daj spokój... Wchodźcie..
- Tak jest, panie kapitanie! - nie mogą sobie darować jeszcze jednego ryknięcia.
W izbie ukazują się Pomian i Sęp.. Ucałowali przybyłych.
- Brat Jurka? - zapoznają się z Leszkiem. - Jurek właśnie na patrolu. No, zjedzcie.
Na talerze w ptaszki pada naręcz światłej szynki. I kiedy ładują pełnymi gębami, Pomian i Sęp wygmyrują karabiny, ładownice, amunicję...
- Umiecie obchodzić się z bronią?

- Tak jest, panie kapitanie - porywają się na baczność, z ustami pełnymi szynki.

- Nie potrzebujecie się prężyć.

Wchodzi Jurek i Lis z patrolu. Oni dwaj i ci dwaj oficerowie - oto i cała kadra. Teraz będzie ich sześciu... Jurek, który nosi pseudo Sokół każe im wynaleźć pseudonimy. Leszek będzie Zagłobą, bo i Zagłoba miał bielmo na oku. Białas przybiera pseudonim Mściwój.

Pomian, Sęp, Lis, Sokół, Zagłoba i Mściwój wypęczniali szynką - śpią pokotem na słomie. Okolica spatrolowana, wielkie to odludzie, ich tak mało - nie ma co wart stawiać.

Kiedy rano się budzą, widzą przy stole Pomiana, jak z suszonych liści chłopskiego "tabaku" kroi tytoń "dla całego oddziału". Potem wyno-
353

są się od chłopca i tak koczują po wsiach - co noc w innej - nim nie przyjdzie czas udać się na nakazaną zbiórkę w lasach spalskich, na punkt, gdzie mają pościagać urlopnicy i gdzie ma przyjechać z Warszawy ich major.

Do Bielawy, gdzie była zbiórka, przeskoczyli nocą szosę, lśniąca światłami nieprzerwanie idących niemieckich samochodów.

WILIA I PO WILII

W Bielawie już wrzało. Już co chwila przybywał ktoś nowy, witany wybuchami radości. Nie nawalił ani jeden z urlopników.

I zaraz - warty, służbowi - dosyć dziadowania, znowu rozpoczynamy wojsko. I zaraz sygnalizują - major jedzie!...

Wysypali się przed dom, stanęli w ordynku, a tu major przyjeżdża saniami z dwoma niewiastami, a sanie garbią się z tyłu ogromnym tobołem bagażu.

- Czołem, chłopcy!

- Czołem, panie majorze!

Wrzaśli, aż śnieg się zsunął z najbliższych łąp świerkowych.

Nim Hubal co rzekł - toboły powiedziały, że nad łązęgami rozpoczyna się opieka. Toboły wyłoniły trzydzieści litrów spirytusu, a papierosów, a konserw, a ciepłych skarpet, a swetrów uczciwie, z dolewką naszydełkowanych.

Wielka sala w pawilonie myśliwskim Pana Prezydenta, dekorowana flagami narodowymi i alianckimi, portretami Piłsudskiego, Prezydenta, Śmigłego, świeciła bielą stołów ustawionych w podkowę. Pod obrusy napchano z gorliwości tyle siana, że kieliszki stały jak pijane.

Dopieroż przed piotrkowskim chłopakiem, na tym nędznym skrawku niepodległości, otworzyła się wizja splendoru: panie jakieś w wieczorowych sukniach, panowie jacyś - okoliczne ziemiaństwo - w czarnych tużurkach, ksiądz w sutannie, chłopcy reprezentacyjne, gajowi, garstka szkolnej młodzieży, podfruwajek nieco dla ozdoby - no, cała Polska. A wśród tego oni, wojaki, w wyprasowanych na kant spodniach, oni, którzy są zarazem gospodarzami i fetowanymi. Wypinają piersi; gra ta, czasem śmieszna, często wzruszająca, kultura szlachecka, która przesiąknęła wszystkie stany - prawią komplementy, szastają się, patrzą z nabożeństwem na majora - w piekło by skoczyli za mm, w piekło by skoczyli za każdą z tych różowych buź, w piekło by skoczyli za honor, za mundur, za niepodległość, za młodość własną.

Wziął major opłatek w ręce i dusze skruszały. Szedł kołem, według szarż, jak gospodarz, jak Ojciec i przełamując pszeniczny symbol życia, pożywał z nich, a oni pożywali z niego. Po czym stanął u końca stołu, aby mówić i cisza zrobiła się, słyszeć było za oknem zsuwający się ze świerków śnieg.

355

I wtedy - rzekłbyś: Hostię podnosząc wysoko - ponad zwarty rząd głów podniósł w górę i trzymał słowo - "Francja". I że czekają. I że przyjdzie wiosna, a z wiosną akcja. I że rozkazy nie zaczepiać Niemców, trwać w defensywie, gromadzić broń, szkolić kadrę.

Ma rozkazy!...

Więc zaraz, jakby na potwierdzenie tej radosnej wieści, dobył major papieru i czyta:

"Za dzielność i zasługi położone dla oddziału..."

I zaraz potem - nominacje z Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej:

Kapral podchorąży Bem - podporucznikiem.

Plutonowy Roman - wachmistrzem.

Plutonowy Alicki - wachmistrzem.

Więc zaraz, na wywdziękę tej Niepodległej Ojczyźnie, która przecież jest, która daje im dary, nominacje i rozkazy - Rota. A potem już, zbywszy marsa - hołd wspomnieniu mamuś, które gdzieś tam schną i nic nie wiedzą - kolędy. A potem - już sobie i swojej młodości - żurawiejki.

U majora klawa wiara

Piją wódkę, ćmą cygara

I wreszcie - po naszeptaniu się w kącie - po raz pierwszy wówczas

Piosenka Huhalczyków, która odtąd im ma towarzyszyć z refrenem:

Więc szumcie nam jodły piosenką;

Polacy, podajcież nam rękę.

Wśród lasów, wertepów,

Na ostrzach bagnatów

Wolności niesiemy jutrzenkę.

«

Tak oni oto śpiewali pełną piersią, będąc odlegli o osiem kilometrów od pałacyku w Spale, gdzie stał kwatery sztab generała Blaskowitza, o cztery kilometry od szosy Nowe Miasto-Rzeczycza, którą sunęły sznury samochodów niemieckich.

Nie dziwili się temu żadni stateczni Anardraci, nie dziwił się żaden aliancki oficer łącznikowy, bo ich nie było.

Panie odjechały, odjechali ziemianie, zaczęła się popijucha - jak to w wojsku.

- Nie wydaj - mówi major do chłopca, który go przywiózł. Chłop ukiął, całuje majora po rękach, łzy mu płyną po twarzy jak groch.

Sęp się uparł, melduje się majorowi:

356

- Panie majorze, natychmiast wyruszam... zdobędę panu majorowi Opoczno.

Więc dla pewności powymowano Sępowi naboje z pistoletu.

Alicki, pragnąc uczcić wachmistrzostwo, dobrawszy Rysia i jeszcze jednego - w mundurach, z pistoletami, udali się na pasterkę do Studziannej, w której rezydowała placówka niemiecka. Weszli pomiędzy modlących się, przepchnęli się do ołtarza. Wysłuchali całej pasterki i wrócili.

Późno już było, gdy ktoś z oparów dymu i alkoholu wywołał majora na zewnątrz. I inni wysunęli się za nim. Przed domem siał się niepokalany śnieg i w mroźnym powietrzu stały czarne świerki. Stadko ośmiu jeleni wysunęło się przed nie na jasną przestrzeń przed dom i stało, szybko i pierzchliwie nasłuchując.

- Jak my... te polskie jelenie.

Gwiazdy zamrugały nad nimi i nad huczącą samochodami szosą.

Gdy obudzili się rano pierwszego dnia świąt, czekał ich pieczony jeleń i

zatrzęsienie papierosów i wódeczność. Dobrze tam były dni w tej Bieliwie, całe dziesięć dni w jednym miejscu. Strzelali jelenie, dziki, jadła było w bród.

Po tym nabożnym pasterkowaniu Alickiego w Studziannej, nachybał się do oddziału z wizytą młody zakonnik filipin z mieszczącego się w Studziannej klasztoru, ksiądz Mucha.

- W brydża grasz, katabasie? - zainteresował się rzeczowo major.

"Katabas" sprostował pierwszemu warunkowi: grał.

Mrugnął major Romanowi - nalał Roman majorowi z "białej głowy"¹, a księdzu - szklankę spirytusu.

Księżyna - że to zamiary swoje na oddział miał - wychylił duszkiem. Zbielał, zatrząsał się, dech mu zajęło.

- Co, dobra, katabasie?

Dopieroż głos wrócił;

- Dobra - mówi.

- Jak dobra, to mu dajcie drugą.

- Jak wódz, to i ja...

Po tej drugiej niby zaczął się brydż - Boże odpuść. Ksiądz Mucha wstał i wygłosił przemowę: że widzi tu dużo bezbożników; że chce ich bronić od piekła.

Tak oto nieoczekiwanie wylała się zamierzona przy przyjeździe suplika - aby go przyjęto na kapelana oddziału.

- No, żebyś się sam, katabasie, z nami do piekła nie dostał...

Wódka wyborowa.

357

I tak stańto. Że ksiądz Mucha przyjedzie. Na kapelana.

Przykład Alickiego rozpałił wyobraźnię. Pokazać wszystkim na przekór, że jest wojsko polskie, wojsko regularne.

Na Nowy Rok - większość zgłosiła się... na nabożeństwo do Studziannej.

Szedł oddział kilkudziesięciu ludzi trójkami, po kawaleryjsku. Każdy jeden guzik dopucowany, jak w przedwojennych czasach, pasy - jedna rozkosz kaprałskich oczów.

Przed kościołem dwu na straży stańto z erkaemami, z granatami.

Reszta tłumnie przez kościół ku ołtarzowi parła przez rozchylający się tłum i widziało im się, że oto są laudańską chorągwią, powracającą z wojny.

Niemiec wtedy, na Nowy Rok Pański 1940, mocno już dzierzył ludzi w garści. To ta ani zipnąć nie śmieli, ani głowy pokrzywić. Tylko ci, co najbliżej, łokcie wystawiali - aby choć otrzeć się o zjawiony mundur. Niewiasty klęczące od posadzki wyciągały ręce - aby jeno raz pogłaskać i już potem wrócić z kościoła w ten podniewolny Nowy Rok. Msza była o dziesiątej. Wystali, jak Pan Bóg przykazał, całą mszę, klękali łańcem mundurów na Ofiarowanie i Podniesienie, aż drżący ksiądz odwrócił się od ołtarza, ręce rozwiódł na tę wojacką ścianę i zain-tonował Dominus vobiscum.

A potem z brzękiem ostróg wyszli z kościoła, ustawili się, sprawili i okrzyknęli, i odmaszerowali do sań.

Co było powodem tej dziwnej tolerancji niemieckiej, trudno wiedzieć. Może trwoga ich szczupłej obsady w Studziannej, może ogólna polityka, nakazująca czekać, aż oddział wzbierze patriotyczną młodzież, aż na wsiach przechowujących narosną konotatki, uprawniające do bezlitosnej rozprawy.

Obecny generał Rudnicki, wówczas komendant Okręgu Krakowskiego z ramienia ZWZ, opowiadał mi, że w początkach stycznia odwie-

dził w Warszawie swoich znajomych Mańkowskich z Winogóry (ongis majątek generała Dąbrowskiego) w Poznańskim. Kiedy wojna wybuchła, kwatrował u nich sztab niemieckiej dywizji. Szef sztabu tej dywizji, major Rozenek, uprzedził, że tu przyjdzie gestapo i poradził Frau Grafin, aby usunęła się póki czas, a cenne rzeczy powierzyła dywizji, która jest translokowana do Radomia. Stamtąd ofiarował się rzeczy odwieźć do Warszawy. Istotnie, słowa dopełnił i przyjechał akurat w czasie wizyty generała Rudnickiego.

- Wie pan - opowiadał, nie wiedząc kogo ma przed sobą - włóczy się tam po Radomiu taki major, który prowadzi partyzantkę. Wkła-

358
da kożuch na mundur, zapuścił brodę i myśli, że jest całkowicie zamulowany. Wszyscy o nim dobrze wiemy, ale nie ruszamy go. Es ist so romantisch!...

Generał Rudnicki, otrzymując skargi od własnych komórek organizacyjnych, że po terenie hula Hubal na własną rękę, pojechał do Chrobrego Wielopolskich pod Pińczowem, zaaranżował przez Tereskę spotkanie z Hubalem, ale długa i ostra rozmowa nie dała rezultatu. Był to czas, kiedy Torwid (generał Michał Karaszewicz-Tokarzewski), pierwszy komendant ZWZ, ustąpił z zajmowanego stanowiska i Hubal wciąż się powoływał na rzekomo osiągnięte porozumienie. Generał Karaszewicz-Tokarzewski jednak, zapytany przeze mnie, oświadczył, że i za jego czasów uskarżał się ustawicznie komendant w Kielcach na samowolę Hubala.

Ów tymczasem coraz śmielej sobie poczynął. Na komendanta policji w Studziannej zanosili chłopci skargi: że bije, że wysługuje się Niemcom. Roman otrzymał rozkaz zbadania sprawy z nie ograniczonymi pełnomocnictwami - aż do strzelenia w łeb.

Wziął Alickiego i Lisa - jedynych do takich wypraw - i kopną drogą kropnęli się do Studziannej.

Lis został przy saniach, Alicki stanął, ubezpieczając przy drzwiach, na posterunku. Roman wszedł - sam.

Stanął, w oszronionym kożuchu, w izbie pełnej policjantów.

- Gdzie komendant?

Zrozumieli, co to za interesant. Bez oporu wskazali drzwi:

- W gabinecie.

Roman wszedł, nie troszcząc się o policję. Wiedział, że Alicki ich nie wypuści.

Za biurkiem siedział komendant policji w Studziannej, krępy brunet. Roman rozchylił burkę, błysnął pas z granatami. Wychylił się za drzwi:

- Pan komendant prosi.

Weszli. Zagroził im drogę od progu, wyszarpnął visa. Fama o nieulekłych Hubalczykach, którzy przed kilku dniami defilowali na Nowy Rok w tej tu Studziannej, obezwładniła policjantów. Nie wyłączając komendanta, podnieśli ręce.

- Skargi są na pana. Ma się pan wytłumaczyć. Wszyscy - spuścić ręce. Jestem niezły strzelec. Więc bez kawałów.

- Jestem legionista, peowiak - mówi komendant - mam Virtuti i trzy Waleczne. Chłopów biję za rozkradanie zwierzyńca, bo chcę ustrzec zwierzostan, a nie chcę donosić Niemcom.

359

Dogadali się - tymczasem. Spotkają się przy końcowych i decydujących chwilach oddziału.

Ile by tak czasu rządził się Hubal w Bielawie tuż pobok Blaskowitza nie wiadomo, gdyby nie zadarł z samym Blaskowiczem personalnie. Pe-

wnego dnia, kiedy polował, rozległy się niedaleko puszczy strzały; przybiegł od tamtej strony zemocjonowany gajowy:

- Uciekajcie!.. To sam Blaskowicz poluje.

Sam Blaskowicz! Czyż można marzyć o lepszym zakładniku? Czyż można, wobec takiej gratki, trzymać się taktyki nieofensywnej ?

-Samami w nich!

Nie kute płozy niziutkich saneczek szybko przeniosły po puchach leśnych ostępów. Nie wymiarkowali, że to tak blisko, że wcześniej należało się śpieszyć, buchnęły w stronę sań strzały poczynających się nie-mieckich stanowisk, poparli tyralierą krzakami, ale Blaskowicz zwał. Odtąd nie polował, obciągnął Spalę drutami i siedział w niej jak borsuk. Ale Hubal tegoż dnia zamiótł ślad po sobie, przenosząc się do odległego o cztery kilometry Stefanowa.

Tam, w Stefanowie, dołączył wreszcie ksiądz Mucha. Pojechał go wykraść klasztorowi Roman, zamówiwszy się, że to niby przyjeżdża po obiecaną przez flipinów maszynę do pisania.

Szaro jeszcze było, kiedy, zziębnięty nieco, stanął przed furką klasztorną. Braciszek zawołał młodego, co tylko z kleryków, księdza Sobczaka. Młody księżyna oczami pożera bohatera, tańczy koło niego jak koło lalki porcelanowej. W następstwie spotkać się mają w Oświęcimiu...

Ksiądz Sobczak wie z namaszczeniem dostojnego gościa do przeora. Ksiądz przeor wita wojaka godnie: flachą śliwownicy i dobrym metrem, słynnej na całą okolicę, kielbasy zakonnej. Ostatecznie pamięta, że patron jego zakonu, święty Filip z Neri, był najweselszym świętym kościoła katolickiego, że trzymały go się różne krotchwile, że pewnego razu na przykład zgolił pół głowy i tak tańczył na ulicy. Przeor niewątpliwie wie o krotchwili, którą tu szykuje ksiądz Mucha, wykradając się "bez jego wiedzy" z całym potrzebnym sprzętem liturgicznym, wie, że poczcziwinie trzeba dać czas się spakować, że nie może o tym powiedzieć Romanowi wprost, więc coraz to nakłada mu na talerz nowy glon kielbasy, coraz to dolewa śliwownicy.

- A czy wie pan wachmistrz, że tu w klasztorze nocuje nowy aspirant do waszej reguły?

W celi, do której puka Roman, z łóżka unosi się ku niemu wychudła twarz wachmistrza podchorążego Józefa Swidy. Brał udział w końcu 360

września w zwycięskiej szarży pod Krasnobrodem, gdzie się przebiła grupa generała Andersa; ranny ciężko, dowlókł się do kuzyna w Miechowskim, gdzie leżał dwa miesiące a teraz przyjechał - z bronią, z mundurem - szukać oddziału Hubala.

Pochodził z Hiewina w Borysowskim, ze starego gniazda Swidów. Pamiętam dziadka jeszcze jego, gorącego patriotę i zawziętego kalwina, dwór stary w wielkim parku, podanym ku Berezynie. Hiewin odpadł po traktacie ryskim, młody podchorąży go nie pamięta. Wróci na kresy północno-wschodnie, kiedy znowu na nie nasuną się bolszewicy, wróci jako dowódca pułku piechoty AK.

Swida przyjechał do Stefanowa z księdzem Muchą, zameldował się Hubalowi, kiedy ten właśnie kończył raport karny ze zbyt porywczym Bemem, który uparł się dawać ułanom przedwojenny "cuk", wedle naj-klasyczniejszych wzorów.

Przywieziony mundur i broń, rana, to, że jest krewnym wysłanego do Francji Kotwiczą, za którym się Hubalowi cniło - otworzyło Świdzie drzwi do oddziału. Poszedł do plutonu Bema, aby tego narwańca trochę powściągnąć.

W kilka dni potem przybył rotmistrz Walicki, z ręką na temblaku,

po szarzy pod Kutnem.

Tyłu tych kawalerzystów przybywa, a oddział od czasów Cisownika bez koni. Dotąd jeździło się tylko po broń. Zostawiało się tyle tylko karabinów, ilu mężczyzn w chałupie, na resztę wystawiało się kwit z okrągłą pieczęcią z orłem: "Oddział Wydzielony Kawalerii w Górach Świętokrzyskich"¹. Chłopi o te kwity prosili. W ten oto sposób oddział rozporządzał całymi kopcami broni - na tę wiosenną sprawę.

Teraz - czas było pomyśleć o koniach. Wiele doskonałych wierzchowców zdeponowała u chłopów tu i tam rozbrajająca się kawaleria. Nad Pilicą u bogatego gospodarza sygnalizowano piękną siwą klacz. Roman, powiadomiony, że koń jest przechowywany w stodole, pojechał z Alickim. Gospodarz w otoczeniu siedmiu synów - drągali patrzył wilkiem, ale dyndający u pasa vis wzbudzał respekt. W stajni klacz się nie okazała, w stodole pełnej sprzętu - też. Przypierany do muru gospodarz ukląkł w chałupie i przysiągł na krzyż, że nijakiego konia nie ma.

Dopieroż za obejściem dopadła z jazgotem wdowa sąsiadka. Ze to klacz w sąsieku sprytnie schowana, że urządzenie specjalne.

Wrócili.

'[Red.:] w krajowym wydaniu tego tekstu dodano przypis: "Oddział miał trzy pieczęćki; 1. Okrągła z orłem pośrodku i napisem: Oddział Wydzielony Wojska Polskiego,

2. Podłużna: Oddział Wydzielony WP mjr Hubala, 3. Podłużna: D-ca Oddziału Wydzielonego WP (-) Hubal".

361

- Więc nie macie konia gospodarzu?

Wziął się pod boki:

- A bo co?

- A bo to!...

Nie na darmo żurawiejka głosiła o Romanie, że "kogo w mordę strzeli zdrowo, ten pamiętkę ma morową".

Chłop padł na podłogę, kobieta podjęła szloch:

-Tylko nie zabijajcie... Jest koń...

Rzucił na nią złym okiem chłop, poprowadził do sąsieku, targnął za rzemień - odjechała ściana pełna snopów, umieszczona na listwach w ramie. Wyrzało nalane oko klaczy w małej, prychliwej główce.

W ten oto sposób zebrano trzydzieści kilka koni. Major chce stworzyć pluton kawalerii i pluton piechoty.

SZKOLENIE I... NIESUBORDYNACJA

Oddział przenosi się do Anielina i rozpoczyna forsowne szkolenie.

Bem, nie dosyć widać powściągnięty tym raportem karnym, szaleje. W mrozy piekielne dopada swoich rekrutów jeszcze za ciemna, wyciąga ze snu, pędzi do czyszczenia koni. Nim doszło się do stajen, buty twar-dniały jak skała. Poczynano się czyszczenie - od pęcín. Siódme poty biły na chłopaków, nie czuli już mrozu, buchając parą, po kolei zrzucali kożuch, płaszcz, sweter.

- Już wyczyszczony - meldują wreszcie.

Lis (degradacja przed wojną za "cuk" nieludzki i trzy lata więzienia) zbliża się, przysuwa do konia ostry nos i swoją lisią twarz:

- To ma być wyczyszczony koń?

I znów trzeba kręcić wiecheć - cała to sztuka. Szczotkują godzinę jeszcze, a koń wciąż kurzy.

- Już, panie plutonowy. . •

Lis jedzie palcami pod włos:

-Krampa cała w kurzu...

I tak w kółko. Bo ambicją "oddziału wydzielonego kawalerii" jest,

że nic się nie zmieniło, że żołnierz jest regularny, że kampania polsko-niemiecka z całym fasonem - trwa.

Toteż danie Teresce munduru jest ewenementem i wyłomem me lada. Mój Boże - teraz widzimy tuzinami pięćdziesięcioletnich damskich poruczników, nie umiejących nawet dystynkcji rozróżniać, cóż dopiero broni! Biedna Tereska, spełniająca funkcje nad wyraz niebezpieczne, długo musiała się prosić o ten zaszczyt munduru. Chciał się z tych żalów a szlochów wymigać major, kupując jej piękną czarną suknię na wyjazdy, ale poradź tu z Tereska.

Major zezwolił wreszcie, ale postanowił dziewczynie dać szkołę: żeby wiedziała, że co mundur, to mundur. Kazał jej się zameldować w tym upragnionym mundurze.

- Panie majorze, strzelec Tereska melduje się.

- Kaczy chód! - rozkazuje Hubal.

Nieszczęsna Tereska chodzi jak kaczka z prysydem.

- Za drzwi. Wejść ponownie! Kaczy chód...

363

Za czwartym razem, strzelec Tereska, poddawany skomplikowanym "cukom", nie wytrzymał i ryknął wielkim płaczem:

- Panie majorze... ja już nie mogę... wszystko mi się pomieszało...

- Odebrać mundur!...

Dopieroż szloch.

- Tyłek spiorę - huczy major. Ale uważa, że już przesolił:

- Odmaszerować. Noś już sobie ten mundur.

Strzelec Tereska rozjaśnia się. I po dziecinnemu przechodząc od płaczu do uśmiechów, występuje o nowe uprawnienia:

- Panie majorze, ale ja będę z ułanami spała...

Skaranie boskie z tą Tereska! Stateczny Swida, który przybrał pseudonim Lech, otrzymuje zadanie spania z nią.

- Ty tam jednak uważaj na tę dziewczynę, żeby jej nie napastowali

- mruczy major. ^/

Ale nie ma potrzeby. Wiadomo, że Tereska - to Tereska.

Gdy trzeba było - umiał się major ująć za swego "strzelca Tereskę".

Wysłał ją do Warszawy po kurierki. Dał list do powinowatego pod Nowym Miastem, aby przenocował Tereskę. Szlagon się obruszył: nasyła tu jakąś dziewczuchę, od razu poznać, że to nikt "z towarzystwa": "szwendanie się jakieś, które tylko może ściągnąć kłopoty". Nie przyjęła Tereska dała sobie rady, pojechała do Warszawy, przywiozła kurierki i dopieroż rozpuściła buzię.

Major z irytacją szarpał brodę.

- Roman, odwieziesz kurierki na stację; potem zajedź do tego pana, pamiętaj, żebyś był w pełnym mundurze i dasz mu naukę.

Wziął Roman Tadka i Stulika. Zrzucili przed gankiem kożuchy, Stulik został przy saniach, Tadek stanął u drzwi, Roman wszedł do hallu.

- Jaśnie pan w jadalni... ma gości... - tłumaczy lokaj na widok munduru i granatów u pasa.

- Panie, tam... Niemcy - szepcze, zbywając lokaj stwa, kiedy Roman nie daje się zatrzymać.

W pokoju jadalnym idylla. Treuhander, jakiś Niemiec w mundurze, dwóch cywilów i pan domu trącają się kieliszkami.

- Morgen! - salutuje niezwykle gość do połówki.

- Dom okrażony. Za nieposłuszeństwo kula w łeb. Pana - proszę na rozmowę.

Wyszedł z Romanem zmieszany dziedzic do drugiego pokoju. Sławne Hubalowe "dwadzieścia pięć w dupę i trzy razy po mordzie" były zbyt znane w okolicy.

- Wie pan, na co się pan naraża? - straszy Romana.
- Tymczasem wiem, na co się już pan naraził.
- Nie poznałem pisma... Bałem się prowokacji...

364

- Uszanuję pański siwy włos; ale dziesięć metrów owsa ma być na jutro przysłane; może pan wracać do tak miłego towarzystwa... Żeg-

nam.

Zmęczony czyszczeniem koni i cięciem łoży, Białas dostaje od Hubala pięćset złotych i urlop na tydzień do Piotrkowa. Jechał, jak wszyscy Hubalczyki zawsze, w mundurze, bo major w wypadkach tylko wyjątkowych dawał zezwolenie na noszenie cywilnego ubrania. Ratował się, jak i inni w takich wypadkach, noszeniem obszernego kożucha.

Miał dwa pistolety i granaty.

W domu - wielkie święto. Legenda o Hubalowym oddziale była wszystkim znana. Do młodego żołnierza cisnął się kto mógł, każdy przynosił jakiś specjalnie cenny, a to obrazek, a to medalik, aby chronił od śmierci.

Ślepa ciotka, żyjąca na łasce w jego ubogiej rodzinie, wywabiła go do kuchni i wcisnęła mu orzełka po legioniście z tamtej wojny i srebrną dziesięciozłotówkę.

Jednak nie wybył przyznanego mu tygodnia. O czwartej nad ranem pobiegła z ust do ust po całej dzielnicy wiadomość, że po domach idzie sztrajfa. Bracia Jurek i Zdziś wybiegli na obie strony domu ubezpieczać, siostra (którą wzięto potem do Oświęcimia) podała pistolety i pas z granatami. Nie żegnając się ze śpiącymi staruszkami, wypadł tyłami na inną ulicę.

Kiedy już brnął ostępem leśnym dor Anielina, uderzyła go cisza w osiedlu. Szwagierka sołtysa, u której mieszkał major, spotkała go szlochem:

- O Jezusie Najśłodszy!... Zdradził szwagier, zdradził... Niemcom nadał... O, żeby on z piekła nie wyrzął... Złapały go nasze... Pan major liworwerem oko mu wybił... Wsadziły go na strych, miały sędzić, a ja głupia zapomniałam, że strych zna... Uciekł, do Niemców pewnie. I nasi musieli uciekać.

- Dokąd uciekli... Muszę za nimi...

- O Jezu, późno już, pan zachlapany, utyłany, zharowany jak nie człowiek...

- Przecie jeśli ich szwagier sprowadzi, to będę musiał strzelać...

Zginiecie...

- Wszystko jedno... Pan zmęczony... Przecie i psa wstyd wypędzać w taką noc.

Został, przenocował. Sołtys nie wrócił. Okazało się, że, dręczony wyrzutami sumienia za to przesadnie gorliwe sołtysowskie urzędowanie, sam odszukał oddział na nowym m.p., rzucił się do nóg, obiecał ekspiację i był najwierniejszym odtąd agentem partyzantów.

365

Białas poszedł na chybił trafił do znajomego leśnika. Istotnie zajrzał tam patrol, który go zabrał. Okazało się, że Hubal odskoczył z oddziałem aż do lasów przysuskich, do wsi Gałki. Bo już miał wiadomość, że w krąg lasów spalskich ściągają duże siły niemieckie.

Gałki, duża niegdyś wieś, ale rozkomasowana, liczyła kilkadziesiąt chałup słomą krytych.

Te słomą kryte kilkadziesiąt chałup, ostatni punkt zaczepienia regularnej armii wrześniowej, poczęły promieniować famą na całą Polskę. Niemcy już dobrze w kluby wzięli kraj, który pogodzić się nie mógł z

utrata niedawnej wolności. Do Gałek ściągała fantazja polska, polska niepokorność i polska rozpacz. Między innymi do Gałek dobrnął Brzozowski, sprawca mimowolny zbiorowego mordu w Aninie. W karczmie anińskiej do niego i jego towarzysza uczepili się Niemcy, prowokując ich jako Polaków, a kiedy nie chcieli wznosić nakazywanych okrzyków, chcieli ich aresztować. Mieli przy sobie broń, musieli reagować. Za dwu zabitych Niemców wywleczono po nocy z domu dwustu Polaków. Ustawiono ich rzędami po dwudziestu przed karabinami maszynowymi. Kiedy rozstrzelano dwustu, okazało się, że jest jeszcze ostatni rząd nadwyżki, liczący czternastu ludzi. Tych puszczono do domu. Z jednym z tej czternastki, który patrzył na całą egzekucję, mówiłem. Za młodym wrażliwym chłopcem wlokły się cienie pomordowanych. Przyszedł do oddziału Hubala, by zginąć i zamiaru świadomie dopełnić.

Tych straceńców pchało się do szeregów bez miary. Wiedzieli, że oddział jest pierwszą jednostką armii krajowej, którą miano tworzyć, dążono pod sztandary wojska, nad którym ma władzę legalny rząd. Gdyby Hubal ogłosił odezwę, posłał werbowników, łatwo mógłby mieć wrychle kilkanaście tysięcy.

Ale major utrudniał przyjmowanie, przesiewał. Nie miał możliwości tworzyć dużego oddziału. Każdego kandydata osobiście badał, przyjmował nie więcej jak dwa, trzy procent zgłaszających się. Pomimo to oddział spuchł do trzystu dwunastu.

Powstaje półtora plutonu kawalerii, którym dowodzi rotmistrz Walicki (Walbach), ten z szarży pod Kutnem, jeździec z licznych konkursów hipicznych.

Kompanią piechoty dowodzi kapitan Pomian.

Poczyna się formowanie taboru.

Stworzona zostaje piekarnia. Chleb żołnierzom wydaje się bez ograniczenia. Mięsa otrzymują po ćwierć kilo dziennie. Tytoń przysyłają konspiracyjne władze z Kielc. Żołd wynosi po sto kilkadziesiąt złotych miesięcznie bez względu na szarżę. Tu regularny "wydzielony oddział

366 kawalerii", pilnujący przedwojennego drylu, poszedł śladami legionów z tamtej wojny. O pieniądze na żołd nie potrzebowała boleć głowa władze centralne. Oddział zagarnął kasę wojskową polską, w której znalazł osiemdziesiąt tysięcy złotych i dwa kilo złota. Inną kasę wojskową, zawierającą sto siedemdziesiąt tysięcy złotych, przywieźli sami chłopci. Oddział ma w krąg swoje placówki. Sołtys wsi Rzeczyca, Wojakowski (zabity przez Niemców w 1943), skruszony sołtys Anielina, są pełnymi oddania agentami. W Opocznie wielce energicznym agentem jest miejscowy restaurator, w innym miasteczku kierownik spółdzielni, który sam posłał syna do oddziału. Ziemianka, panna Doda Szwajcer, odwiedzająca oddział konno, ofiarowała parę wierzchowców, dyrektor fabryki Gerlacha ofiarował na cały stan żołnierski piękne komplety sztućców w futerałach. Kurierki z Warszawy - Ludka, Genka, Hela, wypróbowane dziewczyny, dowoziły amunicję pistoletową, której bardzo brak było dla siódemek belgijskich i dla Walterów.

Żołnierz czuł się coraz lepiej, w swoim rzemiośle coraz sprawniej. Przez trzy niedziele z rzędu, po spowiedzi i komunii, ksiądz Mucha od nowo zaciężnych robotników z Tomaszowa, uczniów z Końskich, synów gospodarskich z okolicznych wsi odbierał przysięgę. Przysięgę ci "faszyści" składali nie Hubalowi, jak ci Hitlerowi na lewo, jak ci Stalinowi na prawo. Składali ją według przedwrześniowego wzoru na wierność Rzeczypospolitej.

Pali ich chęć wzięcia wreszcie udziału w jakiejś akcji. Odżywają pla-

ny opanowania Opoczna. Przychodzi wieść, że w majątku Drużbackich Zameczek Niemcy trzymają piętnaście koni kawaleryjskich. Majątek ten, otoczony lasem Felgustów, graniczącym z lasami spalskimi, leżał na uboczu. W parku, który otaczał dwór modrzewiowy, stał ongiś zameczek myśliwski Kazimierza Wielkiego. Do dziś jeszcze pokazują resztkę tunelu, który miał wieść jakoby do domu Esterki.

Plan był wypracowany drobiazgowo. Białas miał jechać na wywiad i poprzecinać druty telefoniczne. Zaraz potem mieli towarzysze podjechać saniami, rzucić Białasowi erkaem, z którym miał ich osłaniać, sami zaś mieli rzucić się do stajen, gdy druga część miała obezwładnić Niemców. Białas kilkakrotnie przepowiadał otrzymane instrukcje majorowi, który sam sprawdzał jego pistolety, i już siedział w saniach, kiedy go odwołano.

- Marsz, smarkaczu, do domu - mówi major cholernie markotny.

- Co się stało, panie majorze? - pyta chłopak, który już wyobrażał sobie plastycznie, jak strzela z erkaemu, jak Niemcy spadają z koni.

- G...no! - mówi Hubal ze złością.

Okazało się, że rozważny Korab nasiadł, że nie można ściągać pom-367

sty na cywilną ludność, że jak instrukcje od naczelnej komendy, to instrukcje.

Wyżej uszu już miał Hubal tych instrukcji!..

Za to serce mu rosło, gdy patrzył na krzepnący oddział.

Jeden z nowo przyjętych, którego nazwiska nie znam, podporucznik rezerwy piechoty, w cywilu sędzia z Opoczna, który przyjął pseudonim Tchorzewski, otrzymawszy od żony z Opoczna dwa ogromne gary smalcu przetopionego ze słoninką, raczył nim swój pluton ku zazdrości innych plutonów. Coś, pożerając ten smalec, zawzięcie wkuwali, aż wreszcie pewnego dnia po ćwiczeniach podprowadził pluton pod Hubala i ryknęli mu na nutę Hej strzelcy wraz:

Hej, partyzanci majora Hubali,

Idziemy dziś na krwawy z Niemcem bój.

Pragnienie zemsty serca nasze pali,

A przeciw nam bombowców wroga rój.

Więc granat w garść, a erkaem przy boku.

Na wrogów swych przypuśćmy dzielny szturm,

Niech stał granatów rani ich głęboko,

A erkaem niech sieje śmierć naokół.1

Rozstawił Hubal nogi, chwieje się na nich z ukontentowaniem, śmieje się szeroko, z zadowoleniem gładzi brodę.

Tedy mu hukną na inną melodię:

7.a gruzy naszych miast,,

2a braci naszych krew.

Szarpajmy wrogów data!

Niech zniknie szwabski chwast.

Odpowie na nasz zew

Powstając Polska cała.

Hubal przy okazji sam lubił popić i innym nie bronił. Wszedł w modę samogon z miodem i masłem. Pociągając go, Hubal przyglądał się, jak młodzi godzinami bawili się w "salonowca". To znaczy wybrany wypinał się, kładąc głowę na kolana majora, inni go kolejno walili aż do-
tąd, póki nie odgadł, kto uderzył. Wówczas odgadnięty zajmował jego miejsce.

* [Red.:] W wydaniu krajowym ostatni wers; "A nam przygrywa dźwięk bojowych surm .

Tereska, obserwująca "salonowca", nie wytrzymała. Ale że ręki nie była dość pewna, zdzieliła Romana polanem i wpadła, bo któżby sobie pozwolił na taką grę me fair, jak nie Tereska. Dopieroż jak ją podłapało bractwo, miała za swoje! Skończyło się bekiem, a potem znowu ją korciło.

Nabijał się z niej cały oddział, i coraz latała na skargę do majora:

- Panie majorze, ten Bem...

-Jaki Bem?

- Porucznik Bem...

- Jaki porucznik Bem?

- Pan porucznik Bem...

- Aha. No więc co?

- Mauzer mi ukradł.

U Tereski każdy pistolet nazywał się mauzer.

-Jak to? Zamieniłaś pewno?

- Ale niedobry...

- To po co zamieniłaś?

- Mały... ładny...

- Bem, jak to było?

- Sama chciała. A że łusek nie wyrzuca, to przecie na to jest żołnierzem, żeby umieć broń sprawdzić.

- Trudno, dobrowolnie zamieniłaś - konkluduje Hubal. Tereska łyka łzy, nie tyle przez ten obrzydliwy pistolet, ile przez to, że bractwo pęka ze śmiechu.

- No, inny ode mnie dostaniesz - pociesza Hubal.

Uboga wieś Gałki zda się stajenką, w której odbywa się misterium poczynania się nowego życia. Jak ongiś do stajenki dążyli nie tylko trzej królowie z bogatymi darami, tak i tu nie kończyło się na wierzchowcach panny Dody, czy sztućcach dyrektora Gerlacha; zewsząd pielgrzymowała ludność z ubogimi darami.

Zwykle te pielgrzymki miały miejsce w niedzielę. Idzie chłopina z zawiniątkiem, ogląda się niepewny na te tam burmoszenia żołnierskie. Wiadomo - od urzędnika, a od żołnierza bezpieczniej chłopu jak najdalej. Przed chałupą większa żołnierzy gromada z pozdejmowanymi czapkami, jacyś mniej groźni.

- Jajków ta parę psyniosem - tłumaczy się chłop.

Nagle srebrzysty dzwonek zadźwięczał w chałupie, pokłękaly wojażki. Nad ich głowami ujrzał chłop księdza Muchę, jak wysoko wznosi hostię.

- O Jezu, toć prawdziwe wojsko polskie - pada chłop na kolana.

Innym razem - Hubal akurat zabawiał się przy onym samogonie z 569

miodem - wchodzi chłop, omszały jak pień. Ułapił Hubala za kolana, płacze, tyle z tego starczego miamlania można zrozumieć, że krowę dla wojaków przyprowadził; z daleka, ażę spod Opoczna. I niechże "Wielmożny pan naczelnik nie odrzuca chłopskiego daru".

- A wiele krów macie?

- Dyc ostala tam aby jedna jałówka.

- Zabierajcie swoją krowę z powrotem.

Ale chłop stoi na swoim. Ze to "wy krwi nie żałujeta".

Skinął Hubal na adiutanta, przynosi adiutant pieniądze.

- Adyc ja i grosza trochy psyniosem - kwapi się stary wydobywać węzełek zza pazuchy.

Tak w sercach ludzkich buzowała się już wiosna przedwcześnie, chociaż na świecie stał jeszcze luty. Przecież dokoła Gałek w krąg nie było mostku, na którym by nie widniał napis:

"Im słońko wyżej, tym Sikorski bliżej".

Tak sobie te pisaki upodobały mostki na te napisy, jakby wymościć mostkami na wiejskich drogach chciały lekkie przejście tym niezmiernym siłom, co wiosną ruszą Polską szeroko jak woda.

Poniekiedy kundel polski już też zaczynał kombinować, czy by na tę wiosnę nie stawiać. I takich gości miewał Hubal w swojej chałupie w Gałkach.

Wchodzi typ, przedstawia się jako porucznik rezerwy.

- Siadać proszę, panie poruczniku - już mu złocisty samogon, do kubka sączą.

- Na zdrowie, panie poruczniku. Z czym pan przychodzi.

Gość jest edukowany, polerowany, wyznający się w zagadnieniach, "patrzący trzeźwo, ale bez iluzji". Gość "nie przeczy, że sytuacja Niemców jest raczej krytyczna", z drugiej strony jednak "nie należy zapominać" itd.

Słucha Hubal, zważają mu się oczy, drgają policzki; jego bliscy wiedzą, że zły to znak. Ale zatokowany w kunsztownych ekwiwokach kundel brnie dalej. I wreszcie z tych rozważań "z jednej strony" i "z drugiej strony" wylania się pater familias, który gotów będąc spłonąć na stosie - niemniej jednak "z drugiej strony" - mając obowiązki względem rodziny, która teraz zwłaszcza jest więzią tego... hm... (kundel spojrzał na twarz majora i poczyną się jękać) podstawową - chciałby wiedzieć, co będzie miał za swój akces, kiedy przyjdą alianci.

- Całuj mnie w dupę - przecina nagle Hubal misterny węzeł gordyjski, który upletli Brutus w kontrargumentach z paterfamiliasem.

- Won! - krzyczy, kiedy z nagłą skonsternowany statysta nie może połapać się w sytuacji.

370

Na czwarty tydzień postoju w Gałkach poczyną się robić coraz ciasniej. Niemcy uparcie ze wszech stron się podsuwają, przesuwając coraz bliżej i powiększając garnizony, które pełnią służbę, ćwiczą normalnie, ale pęcznieją i zaciskają się coraz bardziej.

Czym tłumaczyć taką cierpliwą taktykę niemiecką?

Z jednej strony Hubal ich niesłuchanie bluffował, myszkując patrolami w szerokim promieniu, nakazując ludności meldować ukazywanie się znacznych partyzanckich sił w coraz innych miejscach. Z drugiej strony, otrzymawszy od oddziału kilkakrotnie łupnia, Niemcy nie chcieli narażać na szwank nie tylko swoich ludzi, ale i swojej reputacji.

Ale są już tak blisko, że niejednokrotnie, odbywając ćwiczenia, żołnierze słyszą inne huki - to Niemcy ćwiczą na swoich strzelnicach.

Wreszcie nad wsią stale poczynają krążyć wywiadowcze aeroplany.

Latają tak nisko, że porywczy Bem chce do nich strzelać z karabinów maszynowych. Ale Hubal zakazuje.

Strony więc respektują się - na razie. Czujka niemiecka, wystawiona z cekaemem przed fabryką Gerlacha, zatrzymawszy Lecha i Dołęgę po godzinie policyjnej - ujrzawszy pistolety, czmycha ze swym cekaemem do bramy. Roman, wysłany z sześciu ludźmi po broń, wraca w cztery wyładowane parokonne sanie. Wracając wąską wyjeżdżoną w śniegu drogą w jedną koleinę, natykają się na ciągnięty przez trzydzieści koni chłopskich drewniany pług, odgarniający śnieg. Podoficer niemiecki, nie mogąc się rozgadać z durnawym Stulikiem jadącym w pierwszych saniach, biegnie do ostatnich sań, w których siedziało dwóch pasażerów, suponując, że to tam siedzi właściwy dziedzic, czy ktoś starszy. Istotnie, siedział w nich Roman.

- Verfluchte polnische Schweine! - podnosi, czerwony ze złości i zasapania, rękę do uderzenia. W tej chwili powiał wiatr i uniósł plande-

kę, ukazując cekaem.

Niemiec cofa się, bełkocąc coś, blednąc nagle. Potykając się w zwalach śniegu idzie do pług, gorliwie każe mu zjeżdżać w bok. Z palcami na cynglach pistoletów defilują przed przykucniętymi w rowie Niemcami w szeregu wyładowanych bronią sań.

Do Gałek wjeżdża się teraz jak do fortecy. W krąg patrole ruchome, ronty, czujki, hasła. Od dwu dni zarządzone jest ostre pogotowie i żołnierzom rozdano dwudniowe racje.

Roman melduje o swojej przygodzie majorowi, ale Hubal słucha z roztargnieniem.

- Zamelduj się panu pułkownikowi!

- Ci, co radzili, ci, co już czwartego, piątego września pozdejmowali mundury, a teraz, pod wiosnę... - wybucha Hubal.

371

Okazuje się, że Warszawa, nie mogąc sobie poradzić z anarchizmem Hubala, najprzód odwołała go z zastępstwa komendanta Okręgu Kieleckiego (Hubal komendantwa za bytności w Warszawie nie przyjął, nie chcąc rozłączać się z oddziałem), a obecnie przysłała pułkownika Millera (pseudonim pułkownika Okulickiego), komendanta Okręgu Łódź, aby zdemobilizował oddział.

- Czy pan pułkownik Miller prowadzi jaką partyzantkę? - pyta

Roman. -Jeśli nie, pan major pozwoli, że nie będę się meldował.

Ale na razie wybucha strzelanina i wszyscy chwytają za broń.

- Panie majorze, jestem pod pańskimi rozkazami - deklaruje pułkownik Miller, wyciągając pistolet.

. Alarm okazuje się fałszywy, ale tragiczny. W tym ciągłym wypatrywaniu, czy się coś nie rusza na lizjerze lasu, w tym ciągłym wyglądanu nadciągających Niemców, postrzelały się dwa patrole; w jednym patrolu okazał się zabity, w drugim ciężko ranny.

Przysłano pułkownika Millera z jego misją do Gałek na pięć minut przed dwunastą.

Zebrała się odprawa z udziałem wszystkich oficerów, podchorążych i podoficerów nie mających służby. Około pięćdziesięciu chłopów.

Nie wszyscy byli krnąbrni jak Roman. Większość przecież trzymała się psychicznie zawieszona na świadomości, że oto są pod rozkazami prawowitej władzy, ciągnącej się z pomazania prawowitych konstytucyjnych czynników, zasiadającej w stolicach świata jako partner bliskiego wyzwolenia.

Dlatego nie miał wstydlivej roli pułkownik Miller. Przychodził jako przedstawiciel tej władzy. Stwierdził, że jest dumny z pobytu wśród żołnierzy oddziału. Że jednak oddział nie może być tak liczny, że jest rozkaz zredukować go do liczby, jaką miał po utarczce w Górach Świętokrzyskich, do trzydziestu kilku ludzi. Że wszyscy inni mają już przydziały do roboty konspiracyjnej w kraju.

Zapanowało milczenie. Dotąd tu Hubal był bezapelacyjny pan i władca. Teraz w słowach pułkownika Millera przemówiło coś, co było ponad nim - rząd, racja stanu, plan.

Hubalowi zwężyły się oczy, tiki poleciały po twarzy. W tym wypadku nie można było przeciąć sytuacji szorstką żołnierską propozycją.

Czuł to, widząc oczy najbliższych.

- Ja - powiedział zduszonym głosem - przysięgam w Krupkach, że munduru nie zdejmę. Innych nie krępuję, nie wiążę. Nie mnie przysięgali. Niech namyślą się, bo gdy raz zostaną, będę wymagał. Zrobić odprawy. Zameldować wynik na osiemnastą.

Wstaje Korab (Karpiński) - najwierniejszy z wiernych. Obsiadły go wrzody jak pięść, ruszać się nie może, nie jechał na leczenie, bo chmury

372

zbierały się nad oddziałem. Korab, mózg i rozważa dowództwa, świetnie orientujący się w terenie, żołnierz z 1920 roku, twardy charakter, który przypieczętuje pracę w wywiadzie w Radomiu śmiercią w gestapo.

Korab, który udaremnił wyprawę na Zameczek i powściągał tyle innych odruchów - chce, aby dowódca "wydzielonego oddziału kawalerii" słuchał rozkazów. Tyleż razy wpłynął na Hubalę, może i tym razem... Przecie Hubal tylokrotnie potwierdzał, że nic się nie zmieniło, że armia regularna, że przysięga dawna, że dawny porządek wojskowy, że rząd...

- Panie majorze, jako stary żołnierz żądam kategorycznie rozkazu od pana majora.

Ale w Hubalu stanął dęba zagończyk, twarz mu drga, nie może wydać takiego rozkazu. Czepia się myślą precedensu, który pono istnieje w marynarce - że najstarszy mówi na końcu.

- Masz iść na odprawę - mówi do Koraba - a po niej się zameldujesz. Moja decyzja na końcu.

Wyszli hurmem, pozostawiając jeno zatwardziałców. Sęp, Lech, Bem, Alicki, Roman, Dolega, ksiądz Mucha podchodzą kolejno do Hubalę i meldują, że nie mają o czym myśleć, więc na odprawę nie idą. Czują, że krzywdę im robi ten warszawski rozkaz, bo przecie pokochali ten mundur - na śmierć i życie. Nie zdejmą go. Przez nich to ten chłop, chwalcący sobie okupację i ceny, przejrzał, ocknął się. Przez nich wieść idzie po Polsce i karki rozprostowują się ludziom. Zostaną przy majorze.

Odwrocił się Hubal ku oknu, by ukryć wzruszenie.

Na odprawach młodziki poddane są próbie ponad ich umysłowe zasoby. Rząd w Angers każe, sam rząd Najjaśniejszej wciąż istniejącej Rzeczypospolitej. Więc szukają chłopięcych wybiegów, by zostać. "Po-słuchałbym rządu, ale przy manipulowaniu bronią ranilem kolegę, major mi pakę darował, kazał się zrehabilitować w polu. Więc muszę...".

Na godzinę osiemnastą już Hubal wie, że opuszczają go wszyscy starsi wiekiem i stopniem. Odchodzi kapitan Pomian, odchodzi rotmistrz Walicki, a więc i dowódca piechoty i dowódca kawalerii, odchodzi Korab, odchodzi autor hymnu Hubalczyków Tchórzewski, odchodzi porucznik Lachowicz i tylu innych. Nie zobaczy już oddział urlopowanych Iljina i Gołki i innych. Któż zostaje?

Odchodzący rozjeżdżają się tegoż dnia, nie żegnani przez majora, który zamknął się w izbie. Korab tylko dostaje się do niego.

- Rób, jak chcesz - ściska go Hubal - ale ja ci daję tylko dwumiesięczny urlop... Z powodu wrzodów...

373

Flegmatycznemu, służbistemu Korabiowi lzy płyną po twarzy.

Idzie wieczór, czuwają placówki, wystawione spośród pozostających, a do sznureczka wypływających ze wsi coraz to dołącza się i taki, który nie zadeklarował się na odprawie.

Ilu ich zostanie?

Za ciemną stanął apel tych, co zaraz ruszą z buntowniczym majorem w nieznane, już bez opieki owego potężnego rządu w Angers, bez owych wspianiałych sojuszników, bez papierosów z Kielc, bez kurierów z Warszawy, bez kontaktów - w zwiłgłość pierwszych roztopów, między butwiejące strzechy nędznych wsi.

Major przyjmuje apel na koniu. Podjeżdża do niego z raportem Lech: <

- Panie majorze, melduję posłusznie oddział do apelu. Tylu i tylu

oficerów, podoficerów, ułanów.

Okazuje się, że jest osiemdziesięciu ludzi i pięćdziesiąt koni, łącznie z taborowymi.

Hubal przejeżdża wzdłuż szeregu. Mży blask od śniegu, może każdego poznać. Osadził konia:

- Nie będę przyjmował nowych do oddziału. Musimy tylko utrzymać się. Taki rozkaz. Ten, co go dawał (przyp. M. W. - Torwid-Tokarzewski), nie odwołał go. Wiosną rozpoczniemy dywersję. Kierunek - w Góry Świętokrzyskie. Za mną!

Po zboczach drogi czernieją gromadki ludności. Kobiety płaczą, żegnają krzyżem świętym.

Po sześciu tygodniach, kiedy śniegi zeszyły i można było użyć broni motorowej, Niemcy otoczyli wieś, rozstrzelali ludność do ostatniego dziecka; Gałki - polskie nieznane Lidice - spalili i, spędziwszy ludność okolicznych wsi, kazali gruzy roznieść i zaorać.

Tak "ze słońcem wyżej" przyszła wiosna dla wioszczyny, której się zdało być Betlejemem.

WIELKI BÓJ POD HUCISKAMI

Oddział zakwaterował się w Huciskach. Kął to inny niż reszta Polski.

Pełno zamartwych kopalń w krąg, po stromiznach świerkowych pełno odwiecznego diabelstwa. Kolej daleko, zima ostra nad wyraz, cała okolica tonie w głębokich śniegach.

Znów ludność znosi jadło, opieka oficjalnej Rzeczypospolitej cofnięta, a przecież z jej strzępków żyją. Dzierżawca rządowy, Niemiec, od 1920 roku ożeniony z Polką, tenutę za stawy rządowe wpłaca oddziałowi, każe sobie skrupulatnie wypisywać kwity. Poza tym donosi, co Niemcy myślą, a myślą niedobrze. Wiedzą, gdzie oddział siedzi, znów przetaczają te swoje śmieszne garnizony, wywiadują się, szkice zbierają - rzekłbyś: maszyny oblężnicze budują na rozpoczęcie szturm do licho wie jakiej fortecy.

W gromadce straceńców, znowu powiększonej do setki, bo major mimo mocnych postanowień, przyjął koło dwudziestu ochotników, panuje nastrój zupełnie bez troski. Niech się major za nich martwi, trzeba korzystać z młodego życia. Raz po raz przyjdzie żal, jak w ten pierwszy dzień Świąt Wielkiejnocy, spędzony bez panów w czarnych ubraniach, bez kurierów z Warszawy, bez spirytusu i papierosów z komendy okręgowej, kiedy o Sikorskim już nie informuje nikt, kiedy w tym zawianiu śniegiem ksiądz Mucha ponownie przyjmuje przysięgę od ochotników, ponownie i wciąż uparcie na tę Rzeczpospolitą, która ich znać nie chce. Ale znów przytływa ciepłą falą młodość i chęć życia, i - "niech się major martwi".

W drugi dzień świąt Roman, otrzymawszy dwudniową przepustkę, jedzie do dziewczyny o sto kilometrów od Hucisk. A że w pojedynkę major jeździć zabraniał, dobrał sobie durnego i odważnego Stulika. Sto kilometrów było przez Drzewicę, a w Drzewicy stało tysiąc Niemców (okrażanie na dobre się rozwijało). Objeżdżać aż przez drugi most, jak kazał major, znaczyłoby to nadrobić w jedną stronę trzydzieści kilometrów. W dwa dni zrobić dwieście sześćdziesiąt kilometrów - nie podziękowałyby za to konie, nie byłoby wiele profitu z dziewczyny. Tedy pojechali - zakochany Roman i gotowy na wszystko Stulik - przez Drzewicę. Przejeżdżali pusty jej rynek nocą. Po ulicach zalegały łąty śniegu, ale po łysinie rynku kopyta huczały jak dzwon.

375

Za miasteczkiem tuż za mostem stały koszary z Niemcami, a na moście ich posterunek. "Tak cóż ty zrobisz?" - jak mówią u Romana w wołyńskim powieście: pistolety w garść, przegalopowali most i

ostrzelawszy budkę strażnika, pomknęli dalej. Byli już z pięćset metrów od koszar, kiedy zaterkował za nimi cekaem.

Wracając musieli już nadrabiać drogi, bo Niemcy narobili sądny dzień z tym "napadem na koszary", organizując obławę w szerokim promieniu.

Zachodził major w głowę, co by to za napad być mógł, co za konkurenci pojawili się w okolicy, wreszcie tropnął się i woła Romana:

- Jak jechałeś na przepustkę, robaczku?

Ale tylko w brodę się uśmiechnął; amator był na takie rzeczy.

Niewidzialne palce niemieckie - czuć, jak do kosteczki rozbierają oddział, jak analizują każdy magazynek w ładownicach.

- Co pan tu uważa? - pytają huciscy chłopci jakiegoś obcego, ubranego z waszecia, który przechodził Huciska.

Pokazuje na usta, wydaje nieartykułowane dźwięki - niemowa.

Po paru pejczach przez pysk niemowa przemówił - po niemiecku.

Jest żołnierzem. Granatowa policja w Chlewiskach dała mu cywilne ubranie i wskazówki.

Niemca rozstrzelano, a do granatowej policji z wizytą posłał major Alickiego z siedmiu ułanami.

Jakże tu wzbierają te wojskowe i policyjne załogi dookoła!... Okazuje się, że w Chlewiskach jest skoszarowanych czterdziestu policjantów. Jeden ułan został przy koniach, inni stanęli pod oknami. Alicki stuka do drzwi.

- Kto tam?

- Wojsko polskie...

Cisza.

- Pierwszy pluton z koni i do okien - komenderuje Alicki.

-- Otwieramy! Już otwieramy!...

Mdło oświetlona sala koszarowa. Rozbudzeni policjanci stoją między łózkami w bieliźnie. Jeden sika po łóżku z tego strachu.

- Komendant? Pan nauczył szpiega, jak nas szpiclować? Pan go przebrał za cywila?

- Takie miałem rozkazy...

- Kładź się, jakeś taki posłuszny na rozkazy.

I wobec asysty czterdziestu podkomendnych pan.komendant, obnażwszy uprzednio starannie na rozkaz to, co potrzeba, otrzymuje nahażem sakramentalne dwadzieścia pięć.

376

Tegoż samego wieczora sierżant, posłany o siedem kilometrów po młynarza Niemca, zbytnio interesującego się oddziałem, przerywa majorowi brydża: - Panie majorze, melduję, że przywiozłem ptaszka.

- Pokaż.

Sierżant wraca w towarzystwie dwu ułanów, którzy dźwigają długi zamączony worek. Dopieroż z niego wyłabudują skulonego, umęczonego Niemca.

- Wstać - mówi Hubal do tragicznego ariekina.

Niemiec leży.

-Wstać!

- Ich verstehe nicht polnisch.

- Toś się urodził w Polsce i nie rozumiesz? - jak nie wyróżnie szpicrutą. A szpicruta fajna, zakończona sarnim rogiem, z tabliczką: "Swemu dowódcy". No i pękła...

Opadła na krysie przez pysk mąka, wzbierać poczęła krysa krwią.

Poderwał się Niemiec, milczy.

- Ty skurwysynu, od urodzenia polski chleb żarłeś - major sarnim rogiem bije w usta; zda się, że otworzył krwawiące usta jak kluczem, bo

Niemiec najczystsza polszczyzną zagadał: że niewinny.

- Zrewidować...

Jest! Jest list. Zapieczętowany, zaadresowany do niemieckiego komendanta w Opocznie. A w liście - wszystkie szczegóły o oddziale.

- Szpieg?

- Niemiec jestem.

- Skąd wiadomości?

Milczy.

-Powiesić!

Dopieroż gdy go pociągnęli do wyjścia, zagadał: wiadomości miał od chłopów z młyna i od niemieckiego kolonisty Webera.

Spojrzał major po swoich - pożałował ich na brudną robotę:

- Rozstrzelajcie.

- Panie majorze - sklamrze szpicel.

- Precz!

Jeszcze nie rozległy się strzały, a już galopował wachmistrz Roman, wysłany po Webera. Przy nim Lis, Tadek i jeszcze jeden ułan. Ppdporucznik Bem dołączył na ochotnika, więc komenda została przy wachmistrzu.

Noc. Gospodarstwo na odludziu. Stukają do drzwi.

- Kto tam?

- Leutenant Schmidt.

Nie pomaga.

377

- Tur auf! Choroba jasna... - łomoczą kolbą.

Weber otwiera.

- Broń oddaj...

- Nie mam.

Cios w pysk. Żona odmyka szafę, w której stoi kilka karabinów.

- Żona Polka - jęczy Weber - dzieci polskie, nie umieją po niemiecku...

Jeszcze raz dostaje w mordę:

- Ubieraj się.

Dzieciaków ośmioro. Jasne bużki, polskie. Z warkoczami. Całują ułanów po rękach i nogach, przypadają do ojca:

- Tatuśku, najmilszy!.. Co z tobą zrobią?...

Roman ściga się z własnym sercem, bo jeszcze chwila, a załamie się.

Wypycha Webera w objęcia Lisa.

- Ucieka!... - krzyczy Lis.

Weber nurknął pod konia, słysząc jak chłapie błoto. Roman na ten chlap daje cztery strzały, w ich błyskach widać uciekającą sylwetę. Skrył się w krzakach.

Lis, nie używany do żadnych samodzielnych funkcji od czasu zano-cowania i wsypy z Gruszką, srodze zrugany przez majora za wypuszczenie Webera, poczuł, że mu życie nie miłe. Czuł, że musi coś wyczy-nić, aby się odkuć w opinii. Wysłany po zakupy do Chlewisk, jak zwykle w mundurze, bo inaczej żołnierze "wydzielonego oddziału ka-walerii" nie mieli prawa chodzić, znajduje w sklepie kupę Niemców i przed nimi stertę zakupionych paczek.

Przypomniał sobie praktykę w niemieckim przy żonie Niemce. Nie racząc wyjmować rewolweru, jeno świecąc mundurem, wypytuje dokładnie - co w tej paczce, a co w tej? Rachunek jeszcze nie uregulowany? Bitte zahien - zwraca się do Niemców. Przerażeni, rzucają portfele na stół. Zagrządzając sobą drzwi, dokonywa drobiazgowej operacji oblicza-nia i płacenia i zwraca portfele z resztą gotówki.

- Schönsten Dank für die hiihschen Geschenke für polnische Heere-

struppen.1

Sierżant, który przywiózł w worku młynarza, wrócił z patrolu mocno spietrany. Major zakazywał burd z Niemcami, a tu mu się zdarzył fatalny casus: zaszedł ze swoimi w kożuchach do karczmy, więc Niemcy nie poznali, że to żołnierze. Powiedzieli coś wzgardliwego na Polaków, ci się odcięli, Niemiec uderzył sierżanta w twarz, ten stracił panowanie nad sobą, wyprowadził wszystkich trzech Niemców z karczmy i zastrzelił.

'[Red.:] Najlepsze dzięki za eleganckie prezenty dla polskiego wojska.

378

-- Panie majorze - tłumaczył się - nadbiegło jeszcze kilku. Złapałem pierwszego z brzoza za kołnierz, tłumaczył się, że jest Bawarczykiem i puściłem.

Ale tłumaczenie nic nie pomogło - sierżant powędrował do paki, zainstalowanej w chlewie.

Wreszcie stało się, co się miało stać z tego cierpliwego przygotowywania się Niemców, szpiclowania, grupowania się a osaczania.

Nadszedł dzień 30 marca, dzień walki pod Huciskami. O godzinie czwartej rano tego dnia przycwałował jeden z ochronnych patroli z wiadomością, że Niemcy schodzą szykiem ubezpieczonym z góry, spływającą na płaską kotlinę, na której drugim wyniesieniu stały Huciska.

Równocześnie patrol kontrolujący szosę Chlewiska-Skłoby doniósł, że posuwa się nią duża ilość wojska, że poprzedza ją patrol z cekaemem.

- Cekaemy w patrolu? - pytał zemocjonowany podchorąży Barbarycz, który przysłał w Gałkach. Był on dowódcą dwu cekaemów, jakie posiadał oddział, i bolał, że nie ma ich więcej. - Panie majorze, łatwo zasadzkę urządzić i cekaem zdobyć. Przecież to tylko patrol! Hubal pozwolił. Barbarycz pogalopował z czterema ułanami.

Jasne, że Niemcy otaczają. Ci, co z góry schodzą, są bliżsi. U tamtych może Barbarycz narobi zamieszania, zmusi ich do rozwinięcia się przedwcześniego w przekonaniu, że natknęli się na główne siły.

I major, pchnąwszy silny patrol konny kaprała Pomsty za Barbaryczem jako ewentualną łączność i osłonę, podjeżdża do piechoty, czterdziestu dwu żołnierzy, których już sprawił Sęp.

- Chłopcy! To oni zaczęli. Dziś się zaczyna. Nic nie macie do stracenia!

Zwraca się do Sępa:

- Zejść w dół, obsadzić się przy szosie, nie otwierać ognia za wczesnie.

Ruszyli ostro w dół, a Hubal przyskoczył do plutonu konnego:

- Wysłać patrol dla sprawdzenia, czy Niemcy nie odchodzą. Prowadzi... - zawiesił głos, przemierzając twarze.

- Panie majorze... ja - wysunął się błagalnie jeden.

Poznał major tę ciemną, ściętą bólem twarz. To Brzozowski, ten z Anina, który szuka śmierci.

- Nie o twoją śmierć chodzi, a o wiadomość - mówi chmurno.

-Jeśli umrę, znaczy odchodzą i pan major będzie miał wiadomość.

- Dobrze.

Pokłusował z Tadkiem i drugim ułanem. Skryli się za górką.

Patrzy Hubal z góry na oddział Sępa, który już wdał się w walkę.

379

Niemców mrowie (po bitwie stwierdzono, że szły z góry do ataku dwa bataliony, tzn. tysiąc pięćset chłopów). Silnie uzbrojeni w broń maszynową i granatniki. No, naszych mało, ale oni czekają na miejscu i mają szesnaście erkaemów.

Za Hubalem ksiądz Mucha, któremu zęby szczękają ze strachu.

Święty ksiądz - im bardziej boi się, tym więcej się przemaga:

- Panie majorze, a może natarcie zrobimy?

- Precz, katabasie.

Widać, że nasi padają i zaczyna być źle. Lewe skrzydło, dowodzone przez Drabika, cofa się.

Tereska z pistoletem w garści, leci z góry. Nie przypadła do ziemi ani razu. Jednym pędem dobiegła do Drabika, nawymyślała mu piskliwie, leci naprzód. Poszli za nią. Niemcy poczęli uciekać. Słychać z Hubalowego miejsca krzyki ich oficerów: Hak!.... Diabła tam halt! Już uciekają całą ogromną masą. Już uciekają na całej szerokości. Brawo, Tereska!

Wraca patrol Pomsty z wiadomością, że patrol Barbarycza wybity, że Barbarycz poległ. Pomsta dotarł do szosy na tyłach. Stoi tam około pięćdziesiąt samochodów, które przywiozły Niemców, stoi dowództwo.

Hubal czuje się bezpieczny od strony Sępa, może rozporządzić ostatnim odwozem:

- Wachmistrz Alicki dojedzie do miejsca, na które poprowadzi

Pomsta, spieszy pluton, uderzy na samochody, spali.

W plutonie jest już tylko dwunastu, bo reszta rozepchnięta na patrole. Widząc, że główne natarcie niemieckie się cofa - Bem, Roman, Lech, Zemsta i inni przyłączają się na ochotnika.

Pomsta prowadzi przemyślnie, dołem zalesionej góry, która oddziela od szosy. Dali koło duże, spieszyli się o trzysta metrów od szosy, pną się ku niej przez zarośnięte zbocze. Już prześwił. Przywarli brzuchami

- widzą: o trzy metry za szosą z tamtej strony, zaparkowane samochody. O jakie dwadzieścia metrów od nich, na małym wzniesieniu, oficerowie lornetują walkę.

Mają jeden elkaem, bo inne poszły w patrolach, dwa precyzyjne sztucery "prezydentowskie" ze Spąły, poza tym każdy ma karabin, pistolet i po dziesięć-piętnaście granatów.

Kapral Kagankiewicz, zawodowy plutonowy artylerii, mistrz elkaemu, intonuje. Umieściwszy się wygodnie i aż przebrednie swoją maleńką kogucikowatą postacią, naprzymierzawszy się i napoprawiawszy, jedzie po tej grupie sztabowej za drogą. Zaraz za nim popykiwać poczęły "prezydentowskie", a między samochodami rwać się niezliczone wybuchy granatów.

380

Niemcy popadali, ale grunt nie dawał wielkiej zasłony. Maestro Kagankiewicz wyłabudowywał ich pojedynczo z każdego płytkiego dołka, jak kiedy pies wygryza pchły. Wypuścił wszystkie dwadzieścia magazynków bez jednego zacięcia. Inni chodzili sobie karabinami po Niemcach, wybierając jakby widelcem z bufetu: może grzybka, a może śledzika.

Wreszcie, widząc, że Niemcy całkiem już przytłumieni, wypadają na szosę do walki wręcz. Z rowu z przeciwległej strony szosy podnosi się postać w polskim mundurze: z lewej podniesionej ręki bucha krew:

- Koledzy, nie strzelajcie! - przebiega do Polaków.

Zza góry od strony Skłobów pokazał się osobowy wóz. Błysnął we wschodzącym słońcu i znów skrył się za falistością terenu. Cofnęli się w krzaki, znieruchomieli w oczekiwaniu. Wóz znów się ukazuje na załomie, znów ginie z oczu - widać, że jest to wielka limuzyna, wóz dowodzenia.

Znowu się wyłonił o jakie pięćdziesiąt-sześćdziesiąt metrów. Wschodzące z przeciwnej strony słońce ostrymi promieniami przebija limuzynę - widać w niej pełno oficerów. Gdy wóz jest o dwadzieścia metrów, spotykają go strzały, Roman celnie rzuca granat, limuzyna staje z prze-

chyłem, oficerowie niemieccy wyskakują z pistoletami w garści, padają przeszyci kulami.

Ale z kupy powalonych Niemców idą strzały. Roman biegnie strzelając, jest o trzy metry od strzelającego, już widzi twarz Niemca w okularach w złotej oprawie. Niemiec bierze Romana na cel, a ten czuje, że już wystrzelał magazynek. Na szczęście dopada Lech, kopie Niemca w rękę, kula poszła bokiem. W następnej sekundzie Lech go zabija. Pomsta zrywa zabitemu szlify.

- Palić samochody!

Sprawiają je jeden za drugim: strzał w zbiornik - zapalka do strugi. Przy siedemnastym widzą, że od strony pobojuwiska ciągnie kupa Niemców. Cofają się w las, Alicki rannego Polaka bierze na siodło, wracają do majora w stanie powiększonym o jednego.

Dojeżdżają Hubala, uformowani dwójkami, z fasonem. Są pokrwawieni, ale niemiecką krwią, gdy uwijali się przy trupach.

Alicki podjeżdża przepisowo, salutuje:

- Panie majorze, melduję, że rozkaz wykonany.

- Dobrze było, chłopcy!

- Ku chwale ojczyzny, panie majorze - skandują ułani "wydzielonego oddziału kawalerii".

Major ogląda naramiennik szwaba, sprawionego przez Lecha:

- Pułkownikowski - mówi z uznaniem, oglądając złoty pleciony bulion.-A ten drab, to kto?

381

"Ten drab" okazał się synem właściciela Chlewisk. Skombinował sobie mundur i właśnie dążył do oddziału, gdy go Niemcy ogarnęli.

Wraca Tadek z drugim ułanem z patrolu Brzozowskiego.

- Panie majorze, Brzozowski nas zostawił za górką, a sam wysforował się naprzód. Podpełzłem pod szczyt i widziałem, jak otwarto do niego ogień i jak spadł z konia. Potem podjechali do niego Niemcy, ale był martwy.

Dotrzymał obietnicy - rozeznał; "ekspijował" za masakrę w Anime.

Teraz jest czas i na relację o Barbaryczu, jedyne go uczestnika tego patrolu, który - ranny - wrócił.

Patrol niemiecki, idący w szpicy, zauważył patrol Pomsty, wysłany jako osłona dla Barbarycza i zapadł w zasadzkę, na którą nadział się odsądzony w przód Barbarycz. Meldujący ułan został ranny wraz z drugim kolegą. Barbarycz krzyknął rannym, żeby się wycofali, a sam z dwoma pozostałymi osłaniał odwrót. Mimo to tego drugiego rannego zabili. Osłaniający też nie wrócili - widać polegali.

Hubal posłała Romana z Tadkiem i Stulikiem ku Skłpbom. Zaraz za błotnistym zakrętem leży ciało owego rannego ułana dostrzelonego w odwrocie. Zaraz potem trup Barbarycza przy dwu trupach niemieckich. Potem znów w kolejnej odległości dwa trupy ułańskie.

Z każdym mijanym trupem krew coraz bardziej tężeje w żyłach trzyosobowego patrolu. Wieś Skłoby milczy, zastygłszy wybiegiem opłotków w podkisie łąki. Za burymi chałupami zaczęła się ta sama śmierć, która skosiła patrol Barbarycza.

Zda się, czują tę śmierć nawet konie. Gdy Roman skręca ze śmiertelnej drogi w pole, żagwią się niosem trząskim w bok a w bok, byle zejść temu czemuś nieznanemu, co we wsi czeka. Z pyskami zdartymi wędziłem już wreszcie są między pierwszymi krzakami bramującymi pole i już odprężają się ułani i konie, już pomykają świadomie wielkim łukiem, okrążając wieś.

Dopieroż gdy od tamtej strony ją zaszli, gdy przysunęli się pod fałdę

ostatnią, że już za nią tylko wieś jak na patelni, warknął Roman: "Cze-
kać tu!" - i sam skoczył.

Przypomnieli koń i jeździec cwał mimo budki szyldwacha w Drze-
wicy. Położył się wierzchowiec brzuchem na ziemi - przegalopował
Roman Skłoby z pistoletem w garści. Mignęły płoty, garnki na kołkach
wbitych w ścianę, zatrzaśnięte okna, rozwarte wrótnie. Wymarła stoi
wieś Skłoby, wykopalisko jakieś, ni to Biskupin nowy, który zostanie
pokoleniom tej wojnie na znak.

382

Przyhamował za wsią, obrócił konia - i znowu w pęd z powrotem.

Czy gdzie nie gdaknie zza płota zagapiony kaem?

Że wieś milczała - dopadł tamtych dwóch i już inną manierą, tru-
chtëm drobnym, fasonem ułańskim zapychają ku wsi Jałt po swoje.
Jakoż w pierwszej z brzoza izbie są ludzie. Baba zaniemówiona ze
zgrozy i chłop w wypęzłym kożuchu.

Rozeznał swoich, wykiwał ku drzwiom.

- Coście narobili, ludzie! Co z nami tera będzie!...

Wlaź w ramę drzwi, w którą jarzyło słońce. Pojrzał na drogę wiejs-
ką rozpryskaną w bajorach niezwykłymi śladami. I nagle:

- Jak psy tu uciekali! Pełno trupów na maszynach wieźli. O, pa-
trząjta na drogę - ady ciekły krwią jak wieprze!...

Nie, nie ma Niemców we wsi. Słońce stoi nad nią jak żółtko - zda
się, wstrzymało się w biegu i tak zamrze. Starzy teraz we dwoje chrypią,
jak było. Tyle wyrozumieć można, że naprzód, jak się rozległa strzela-
nina z patrolem Barbarycza pod wsią, przywieźli dwu rannych do tyłu.

A już potem, po bitwie, runęła ta krwawa ławica.

Stępa, rozglądając się, wyjeżdża Roman ze swymi ludźmi z powro-
tem. Mają czas, starają się wczytać w to, co tu się działo.

Ten pierwszy trup to pierwszy ułan zabity spośród trójki, osłaniają-
cej odwrót rannych po pierwszej salwie. Tu już dalej cofali się kolejno
Barbarycz z jedynym pozostałym ułanem. Osłaniali siebie kolejno, aż o!

- tutaj poległ ułan. I już zaraz ciało Barbarycza. Przy nim dwa niemie-
ckie trupy? Skąd?...

Zeszli z koni, usiłują wyrozumieć. Trup Barbarycza leży na brzu-
chu, głowa, zmasakrowana jakąś eksplozją, nierozpoznawalna, wisi na
kadłubie krwawym rozwarciem wyszarpanego gardła. Obaj zabici
Niemcy leżą omal na nim, odrzuceni z lekka wybuchem. Porwane w
krwawą miążgę mundury wskazują, że powalił ich ręczny granat. Ale
któż go mógł rzucić? Pomsta ze swoim patrolem był jeszcze zbyt dale-
ko, a przecie Barbarycz - to już był ostatni walczący.

Barbarycz? Tak, to jego dzieło. Postrzelony śmiertelnie w pachwinę
i spływający krwią, widząc zbliżających się Niemców, przywarł do zie-
mi, trzymając granat pod gardłem. Już dobiegają... Wyliczył... Odbez-
pieczył...

- Sto-dwadzieścia-jeden... O Matko Boża, czy się nie zatrzymają...

Biegną ku niemu równo. Na łatwy łup i po pewną śmierć.

- Sto-dwadzieścia-dwa - rzezi granat pod gardłem dojrzewając ku
wybuchowi.

- Sto-dwadzieścia-trzy... Już klamka zapada, już nie wyrzuci od
siebie granatu kurczowo zaciśnięta dłoń. Kopnięcie buta, blask wybu-
chu i wolność!... Wieczysta wolność podchorążego Barbarycza.

383

Hubal z oficerami objeżdża pobojuwiska. Tam na szosie, gdzie na-
stąpił rozgrom samochodów niemieckich, błyszczą gęsto w słońcu krzep-
nące kałuże krwi. I jak przodkowie jeździli oglądać po boju krwawą
robotę Longinusa Podbiپیęty, tak teraz Hubalczyki kontemplują w

zdzumieniu robotę maestro Kagankiewicza. Naliczyli czterdzieści trupów, położonych przez jego serie.

Ale najwięcej raduje serca żołnierskie główne pobojuwisko, gdzie się potykało czterdziestu dwóch Sępa. Od miejsca, w którym Tereska narobiła jazgotu, pod górkę ku lasowi - jakby krwawym chlustem zalało zbocze szesnaście naszych ełkaemów. Leżą nienawistne sine mundury wiankami, leżą przeważnie strzeleni w tył, rozkraczeni w tym obłędnym uciekaniu pod górkę, niepomni nawoływań Halt!, z twarzami ściętymi przerażeniem. Władcy, panowie polskich dróg, polskich miasteczek, wiszący władczym skrzekiem nad zmartwiałym krajem. Więc jest ktoś, kto ich pogromił? Więc jakież rezultaty, choć tak nierówne siły, uzbrojenie, choć tak nierówna walka?

Rozbiegli się żołnierze po pobojuwisku - liczą trupy. 2 tymi, co leżą na szosie - sześćdziesięciu ośmiu. Trzynaście trupów oficerskich. Chłopi, którzy już napłynęli, strzygąc okiem na oficerskie sztyblety, informują, że Niemcy przywieźli rannych na kilku ciężarówkach podczas, kiedy część ich musiała wracać pieszo.

Naszych poległo sześciu, dwu zostało rannych. Tych rannych niezwłocznie wyprawiono na przechowanie i leczenie do owego przyjaciela - Niemca. Tym sześciu u skraja lasu wykopano groby, przy każdym umieszczono butelkę z personaliami. Wszyscy rzucali ziemię do grobu. W rychłą ziemię wbito sześć krzyży - aby świadczyły na tej ziemi, jak przez ubiegłe lata krzyże powstańcze. Długa seria ciężkiego karabinu maszynowego oddała salwę honorową.

I wtedy - znowuż upojenie zastąpiła rzeczywistość. Przynajmniej dla ich wodza.

Co robić?

OKRAŻENIE POD SZAŁASAMI

Najbliżej lasy przysuskie, w których łatwiej się kryć. Pchnął na nie major natychmiast po bitwie, jeszcze przed pogrzebem, Lecha z silnym patrolem. Dojechał Lech do Krasnobrodu, przepenetrował uliczki, zaglądał w obejścia - nie znalazłby jednego Niemca w Krasnobrodzie, ci-sza go witała i za Krasnobrodem.

Ściągnął Hubal czoło pionową, tak charakterystyczną zmarszczką. Różnie zwierz dziki zachowuje się w obieży. Szarak uszy położy po sobie i kica najcichszymi duktami, na których słyszać tylko postukiwanie dzięciołów. A tam właśnie, na tych przesmykach pod okapem świerków - myśliwi. Lis wystawi trójkątną mordę z bakami pod wiatr, przetańcuje w kółko naokoło własnej kity i wrywa gdzie jazgot największy, gdzie stłoczyły się furmanki oczekujące na myśliwych.

Lisią snadź naturę miał w tej grze o życie Hubal, bo wyczuł, że Niemcy chcą go wciągnąć w lasy przysuskie i nakazał marsz... w kierunku za wycofującymi się z bitwy Niemcami, na Odrowąż.

Następnie sprawdziło się jak słuszną powziął decyzję. Okazało się, że jednokierunkowe, a nie oskrzydlające uderzenie niemieckie na Huciska nie było błędem, tylko celową operacją. Niemcy oceniali, że oddział Hubala liczy... sześć tysięcy żołnierza i na Huciska uderzyli jednym batalionem przy wsparciu bronią maszynową drugiego batalionu z prawego skrzydła. Za Huciskami na lasy przysuskie stała pustka, a w lasach przygotowana silna zasadzka. Razem z obstawieniem skrzydeł, które niby ścianki leja miały zapewnić wlanie się do lasów przysuskich cofających się Hubalczyków - w operacji brało udział pięć baonów SS, Wehrmacht i policja niemiecka, piętnaście tysięcy z czymś chłopą. Ruszyli, w ślad za tymi Niemcami, przed zmierzchem. Szli ostrym marszem, usadowiwszy piechotę na wozach. O pierwszej w nocy stanęli pod Odrowążem. Konna szpica zwiedziała się w pierwszej chałupie z

brzega, że we wsi kwateruje placówka niemiecka złożona z pięciu żołnierzy. Bem z pięciu spieszącymi ułanami otoczył chałupę, w której spali i wybrał jak raki z więcierza. Niemcy prędkiej by się spodziewali śmierci, jak Polaków w Odrowążu, na szlaku cofających się niemieckich oddziałów, kiedy ci Polacy "powinni byli" maszerować na lasy przysus-

385
kie. Czuli się do tego stopnia poza terenem operacji, że nie tylko nie wystawili wart, ale jeszcze z nimi nocowało dwóch cywilnych niemieckich techników drogowych.

Technicy deklamowali, że są Austriakami, równie uciśnionymi jak Polacy, że tak samo czekają na wyzwolenie spod niemieckiego buta. Hubal, który uprawiał politykę faworyzowania Austriaków i Bawarczyków, powiedział krótko:

- Pójdziecie wolno.

Austriacy z emfazą oświadczyli, że byli pewni rycerskości Polaków, którzy przecież walczą wraz z nimi za wspólną sprawę.

Zostawiwszy "sojuszników" swemu losowi, oddział znowu z Odrowąża wysiadł w noc. A już szło na pierwszy kwiecień i wiatr świeży od gór, na których tajał śnieg, uderzał wilgotną płachtą o twarz.

Szli tak na Suchedniów, spiesząc, aby na kwaterach znaleźć się rano. Aż po lewo, gdzie wciąż jeszcze ciągnęły się wierne Góry Świętokrzyskie, biegnące za wojskiem coraz niższymi pagórami (niby matka za synem, który odmaszerowuje na wojnę, a ona nadaża coraz niesporzej) - objawiły się nagle kontury tych gór w zaróżowiającym się niebie, niby ramiona matki, która już musi zostać i tylko ręce wznosi w niemym błogosławieństwie. Zaraz potem srodze spurpurowiały obłoki i poczęły zmykać z nieba, przestawiać się, robićienne porządki, oczyszczać plac. Dopieroż czerwona kula słońca poczęła iść w górę i baczyć pilno, czy aby wszystko jest do recepcji przygotowane. Mały obłoczek, spóźniony z jakiegoś polskiego urlopu, zbierał nogi i szorował, maleńtas, do niebiańskich koszar, aby nadażyć przed apelem. Teraz wyranżerowane anielice poczęły zza lad nadobłocznych wyrzucać postawy seledynów, które pasmami spływały na ziemię - rzekłbyś: dekoratorzy niebiańscy upinają trybunę, na której zasiądzie Pan na Majestacie. Słońce, nadzorca srogi, fuknęło promieniem, rzuciło wskazówkę i już seledyny zapłonęły po rantach siedmiu barwami tęczy.

Jasno się zrobiło w rośnej dolinie, którą szli, zbywszy gór. Boćki stały na zielonych prześwitach, bażki muskały ułanów po policzkach, kaczeńce, zawilce najradośniej wołały do nich, jak coś najswojsze wita w dobry czas, skowronki strzelały w górę i biły pieśnią, od której pękały młode serca żołnierskie z nadmiaru szczęścia, jak kiedy pęka kasztan na wiosnę. Cóż bo im? Pobili wczoraj taką siłę, gotowi są choć dziś się zmierzyć ponownie. Major ich prowadzi, a gdzieś z tą wiosną podąża-Sikorski.

Major tylko jeden jadąc w przedzie, kręcił brodę, nastawił pionową zmarszczkę, i zdał się być daleki od tego wiosennego święta.

Była szósta rano, kiedy stanęli, po czterdziestokilometrowym mar-

386
szu, we wsi Szałas, odległej o dwadzieścia pięć kilometrów od Kielc. I kiedy Hubal stał w obejściu, igrając pejcem i czekając, aż się rozstawią placówki, podniósł na niebo wzrok. Ustał na nim zgiełk, zamarł wiatr, niebo jaśniało do, pół wysokości równym, coraz intensywniejszym ku górze światłem. Światło to krył ciężki obłok, nasiniony przedrannym, nocnym granatem. Spod jego brzegów świecił blask niesamowity i kiedy całe niebo było uprzątnięte i puste, zdało się, że tu ustawiono tron na wysokościach, że rozedrze się ciemny granat i że umęczone serca ludz-

kie usłyszą i ujrzą i wchłoną prawdę, która się objawi i która da życie.

2 wolna i inni podnieśli głowy i wpatrywali się w zjawisko. Ale granatowy obłok począł się rozłazić, rozpylać się, rzednąć, aż wylazło z niego znudzone, dobrze już dzieńne słońce i poczęło ważnieć jak burgrabia - mistrz ceremonii po uroczystości.

Niezbadane są wyroki Opatrzności. Niezbadane w dziwach, pełniących się na niebie; niezbadane w duszach ludności Szałasów, która znosiła mleko i jajka i całowała majora po rękach; i niezbadane w krzywdach nie zawinionych, na których obliczenie buchalterowie niebiescy mają rachunkowość zakrytą pojęciu ludzkiemu.

Bo oto już na drugi dzień przyszła wieść z Hucisk... z byłych Hucisk, w których zostawili dobre ręce piorące, gotujące, cerujące, ręce błogosławiące krzyżem świętym przy wymarszu. Niemcy ostrzeliwali Huciska przez kilka godzin ogniem artyleryjskim, łapiąc ludzi, którzy uciekali z pożaru. Potem pognali ich do szybów po lasach, eksploatowanych jeszcze za polskich czasów, i wytłukli w nich granatami, nie wyłaczając niemowląt i starców.

Tego dnia mdły promyk świeczki do brzasku mżył w chałupie zajmowanej przez majora i nikt nie śmiał wejść do samotnego człowieka pasującego się ułomnym rozumem, błędzącym instynktem, palącym sumieniem - z zakrytymi wyrokami.

Jeśli Boże wyroki nierozeznane są i nierychliwe, to te szatańskie są jasne. Drugiego kwietnia o godzinie ósmej wróciły zewsząd rozesłane patrole.

Ten od Kielc meldował duże siły niemieckie, ciągnące na Szałasy.

Ten od Odrowąża - to samo.

Ten od Suchedniowa - to samo.

Hubal zarządza ostre pogotowie i pcha w trzy strony patrole po pięciu.

Po upływie pół godziny patrole wróciły, mając Niemców na pięcinach. Wszystkie trzy patrole były gęsto ostrzelane, wszystkie trzy w odległości po półtora kilometra od Szałasów.

Wszyscy czterej ułani z patrolu Bema zabici lub ciężko ranni zostali 387

na placu; on sam, gdy ranny koń padł pod nim, uciekł w postrzelanym płaszczu; w drodze go ranna klacz dogoniła.

I już po chałupach drzazgi lecą odłupywane przez kaemy niemieckie, bijące z wszystkich trzech stron. Już z trzech stron Niemcy rozwijają się do akcji.

Z boku uderza silny ogień. Padają ranne dwa konie i jeden ranny ułan. Ale już las o grząskim podszyciu i grobla weń wiedzie w bagnisko. Zepchnęli się na tej grobli, odsapnęli. Może to i dobrze, że błoto pobocz - boki mają chronione.

Ale już Sęp idący w tylnej straży musi ostrzeliwać się w dwu kierunkach - to zamyka się tuż za lasem pierścień oblawy niemieckiej. Pchnęli się więc groblą w głąb i zaraz stanęli, bo posłyszeli jak własna szpica wdała się w strzelaninę.

Ciasno!...

- Z konia! - rozkazuje major.

Koniowodni zostają, spieszeni ułani biegną gęsiego dwoma brzegami grobli ku szpiczowi, która nie przestaje się ostrzeliwać.

Niemcy pierzchają, pozostawiając dwu zabitych. Depcząc im po piętach, wpadają ułani o tysiąc metrów dalej na krzyżówkę, którą tworzy ich grobla z inną przecinającą. Z tej innej grobli, z lewa, idzie na krzyżówkę silny ogień broni maszynowej. Opór niemiecki stężał. Snadź stoi przed Hubalczykami silna zapora. Górą nieustanny warkot samolotów

niemieckich. Bem na krzyżówce wwiązuje się w walkę, ogień ciągle naraża.

Hubal z nieodłącznymi Romanem i księdzem Muchą już dobiegł niemal do krzyżówki, ale w gęstwie lasu nie widać nic poza gałązkami świerków. Ksiądz, oganiając się głową od bzykających kuł, jak zwykle boi się strasznie i jak zwykle w takich wypadkach zdradza maksimum inicjatywy:

- Niech pan major się napije - wyciąga półlitrową flaszkę.
- Idź do diabła!...

Uliłował się Roman - wypili z kapelanem.

- Roman - przerywa major te niewczesne praktyki - nawiaż z Bemem.

Roman czołga się ku krzyżówce, gałęzie ścinane kulami sypią mu się na głowę. Dociera do swoich leżących w tak gęstym podszyciu, że nie widzą Niemców, odległych o trzydzieści-czterdzieści metrów.

- Niech żyje Polska ! - woła Bem.

Nastawili uszu - wiedzą: to awizo.

- Na bagnety! - spada krótki krzyk Bema.

Wypadli na groblę, na której stała porzucona dwukółka wojskowa, na niej płaszcz, a przy niej trup niemiecki. O osiem metrów dalej opusz-
388

czony cekaem niemiecki. To on miał tyle do gadania na tej krzyżówce! Pierzchli Niemcy. Skacząc przez wykroty, drapiąc twarze o gałęzie, skoczyli Hubalczycy za nimi. Krzyki hukają po całym lesie, oddalają się, rozpraszają.

Roman wraca z meldunkiem do Hubala, mija go po drodze Tereska z pistoletem w garści; tej zawsze pilno do każdej bitki.

- Siadaj na konia - mówi frasobliwie Hubal. - Wstrzymaj ich.

Roman dogania ich aż dopiero po jakich ośmiuset metrach. Ten ogląda zdobyty pistolet, inny majduje przy niemieckiej torbie. Inni zakładają opatrunki na powierzchowne rany.

Roman spieszą się, przedziera się przez las, natyka się na Bema, Sępa i Teresę, opatrujących rannych.

- Kompania była - dyszy radośnie Bem - daliśmy im bobu... kilkanaście trupów, dwa cekaemy - podnosi do góry skrwawione przy opatrunku rozczapierzone dwa palce.

- Co zamierzasz?

- Wystawiłem ubezpieczenia, zbieram zabitych (czterech) i rannych (czterech).

Dojeżdża Hubal.

- Rozsądnie zrobiłeś - mówi do Bema. - Zjemy obiad.

Sakralne słowa, które tak dobrze robią. W 1920 roku, kiedy generał Zeligowski podjechał do oddziału, zatrwożonego wieścią, że bolszewicy go okrążają, podrapał się swoim obyczajem po głowie i widząc gotujący się kocioł, zaśpiewał po wileńsku:

- Tak cóż ty zrobisz? Ot, zjem chiba ta zupa!

I Hubalczycy poczynają jeść obiad, podczas kiedy Niemcy opukują ze wszystkich stron i nasze placówki nie nadają się ostrzeliwać.

O godzinie czwartej punktualnie milknie niemiecki ogień jak uciął.

Fajerant!

Jest coś niesamowitego w tej rozmierzonej flegmie, tak przeciwstawnej naszemu rzucaniu się. Mają czas! Mają nas w worku! Krwawa i ostateczna robota jutro się zrobi nieomylnie z mniejszym ryzykiem, z większą precyzją. A teraz - noc jest do spania i do wypoczynku.

Nierozłączni Roman z Tadkiem i Stulikiem pełzną daleko w głąb w kierunku, w którym pierzchła niemiecka kompania. Kluczając między

łaskawymi dzikimi malinami, podołem rozłożystych leszczyn, lochami zwitłymi pod świerkowymi łapami, ustalają, że oddział jest zamknięty w klinie dwóch szos, na których są okopani Niemcy, tkwią nieruchomo kadłuby pancerek, żółcą się leśną próchnicą wybudowane gniazda ciężkich karabinów maszynowych i gęsto krążą pancerne patrole.

Zaiste - już są w niewoli. Jutro tylko pozostaje Niemcom posegregować więźniów i spisać personalia.

389

Błądząc po tym swoistym obozie koncentracyjnym, opasanym trójkątem obwarowanych szos, trafiają na chałupę w lesie stojącą. Gospodarze informują, że jeszcze przed pół godziną stała u nich chmara Niemców.

Gospodyni chce robić jajecznicę, ale oni biorą tylko kilkanaście surowych jaj i pijąc je żarłocznie, wracają do majora już zupełną ciemnością.

Ale majora już nie ma. Gdzie poszedł? Słychać trzask, ktoś przediera się przez krzaki. To major przysyła po nich. Jest o trzy kilometry stąd w gajówce i wzywa na kolację.

Próbując iść nie groblą a na przełaj, brną po ramiona w lodowatej wodzie. Kilka gęsi, komin rozpalony, na którym rozwiesili wyżęte ubrania, godzą ich z losem. Gospodyni daje suche onuce, siedzą goli i ogrzewają się. Hubal nad mapą medytuje sam. W zielonym zegarze co kwadrans ukazuje się kukułka.

Czas wolno idzie w monotonnym tykaniu zegara, bruzda pionowa nie schodzi z czoła majora. Osiem razy wyskakuje kukułka z zielonego zegara, przyjemnie rozbiera ciepło, połknięta gęś, suche onuce, mgiełka chodzi przed oczami siedzących pod kominem ludzi, aż wreszcie Hubal podnosi ku nim wzrok:

- Stwierdzam okrażenie całkowite.

Nabliżyli się ku stołowi pod wąż lampę. Hubal zabłądził ręką po mapie:

- Groblą nie będziemy się przerywać, dobrze obstawiona. Ot, którąś z tych ścieżek chłopskich - zamiótł sygnetem - wyjdziemy z góry na wieś, siedzącą okrzakiem na szosie.

Jakoż zaraz ruszyli milczącym lasem, stojącym w obramowaniu warkotu pancerek, strzegących trójkątu otaczających szos.

Z góry porosłej lasem, która wisiała nad szosą było do wsi na szosie około trzystu metrów. Na rozkaz Hubala spieszył się Roman z Kasp-rzakiem i Jurą i ruszyli ku wsi z wywiadem.

Pierwsze jej obejście było przed szosą. Odsunęli cicho po podmokłej ziemi chłopski kołowrót, wniknęli między czarne chałupy. Nie szczeknął pies, nie załopotał ptak w kurniku, koń żaden nie dźwięknął łańcu-

chem. Przesunęli przez obejście cieniem ścian i przyłgnęli do wrót na

3

szosę, biegnącą przez wieś. Tyle tam po tych szosach dookoła lasów ref-

^

lektorów a pancerek, a rontów, a kaemów. A tu - nic... Gwiazdy wysiały się na niebo i mrugają nerwowymi tikami.

(

Wolniutko odciągnęli wrótnię, trzema widmami przesądziła szosę, w mig uporali się z wrotami obejścia po przeciwnej stronie, już nie hamując się, już na wyprzódki, we wzburzeniu otwarli czwarte wrota - z tamtej strony wsi - ku wolności... Przetrasowali drogę odwrotu!

(

390

Czyżby - i tym razem - Bóg czuwał nad nimi i niesamowite żołniers-

kie szczęście?

- Wszystkie cztery wrota otwarte - meldują Hubalowi. - Przejście wolne.

- Nic nie zauważyliście?

- Pies się odezwał z tamtego końca wsi.

- Niemiecki pies - konkluduje Hubal. - Szkopy pilnują wylotu grobli, a my tu...

Ruszył koniem:-Marsz!...

Major jedzie pierwszy, jak zwykle w takich razach. Roman przy nim. Taborek ośmiu wozów za nimi podnosi skrzyp jak cholera.

Już jest czoło w obejściu, już konie majora i Romana mają wejść na szosę...

Wówczas nagle runęła na nich ławica reflektorów. Jasno zrobiło się jak w dzień i równocześnie z obu stron poszedł silny nieprzyjacielski ogień.

- Romek! Granatami na prawo! - krzyczy major, a sam rzuca granaty w lewo. Bo teraz, kiedy wszystko rzuca się do tyłu, oni są osłoną odwrotu.

Spłoszony koń Tereski stanął dęba, spadła jak kluska na ziemię:

-Romek, pomóż!...

Zemocjonowany Roman zsiada, z taką siłą wrzuca na siódło dziewczynę, że przeleciała na drugą stronę konia, siedzi na ziemi i klnie jak szewc. Roman obiega konia, ładuje ostrożniej, pomykają za majorem. Dojeżdżają taborów, wszystkie konie w nich wybite. Konie w zaprzęgu taczanki z cekaemem również. Bolesna to strata i major medytuje chwilę:

-Wyjść zamek, wjeżdżać w las...

Cała kolumna już się zanurzyła w lesie z powrotem, nie ma kogo osłaniać. Major z Romanem i Tereską ostatni wjeżdżają między drzewa. I wówczas, kiedy zatrzymują się, by sprawdzić sytuację, słyszą - grający własny cekaem.

To cekaemiarz Pomsta, godny następcy Gruszki i Barbarycza, został przy swojej maszynie. Trzymał Niemców, póki starczyło serii. Potem za późno już było do swoich dobieć. Gdy się przemykał, przyłapali go Niemcy w jakiejś chałupie i przyłukli.

Tak zginął Pomsta, robociarz, kapral rezerwy, wysoki chudy chłop o długim ramieniu, którym tak dobrze się posłużył przy miotaniu granatów pod Huciskami.

Cofnęli się pod dawne chałupy, raz jeszcze zamżyli lampkę, raz jeszcze Hubal rozmawia z mapą.

391

- Jest pod tamtą drugą szosą zagaj jak szczotka - mówi chłop gospodarz - do samej szosy dochodzi. Tylko wkraść się a hycnąć.

Istotnie, zagaj gęsty niesamowicie, ale u jego czarnej ściany stoi nieustający blask reflektorów. Poczuli coś Niemcy, poczęli szyc w zagaj, poszły wzdłuż serie cekaemów, narósł warkot nadjeżdżających z obu stron motorów.

Cofnęli się.

Znów Hubal w mapach.

Prowadzi ich pod dawną szosę jeszcze raz. Idą ochotnie dziwni żołnierze, Przygoda gra w nich jak musujące wino.

Na dawnej szosie spotyka ich ogień. Znów się cofają. Stłoczyli się przed obejściem ponownie, Hubal igra pejcem i opowiada kawały.

- Co mówi, co? - dopytują dalsi. Każdy kawał idzie kręgiem, a wraz z nim fale śmiechu.

A niebo już się przeciera. Moce niebieskie nie wyczyniają na nim

żadnych cudów, jak wówczas, gdy odchodzili z rodzonych Gór Świętokrzyskich. W prześwitach, bramowanych szczytami świerków, stoi jaśń surowa i blada. Słońce uciekło, obłoki uciekły, powiedziałbyś - Bóg świat opuścił i na puste niebo wdarł się szatan w warkocie samolotów, które polatują nad samymi czubkami drzew.

Zamróż zaranny przenika pod żołnierskie płaszcze. Ruszyli za majorem rośnym lasem na skrzyżowanie grobli, na wczorajsze miejsce walki Bema.

Cekaemu już nie mieli. Zaryglowali się ełkaemami na wszystkie strony-

Po niemieckiej stronie oddziały, pełniące nocną służbę, wracały na kwatery. Oddziały, które je miały zamienić, już wysuwały się ze smakowitych śpiworów, goliły się, pojadały tłuste polskie jadlo i leniwie odbywały apele. Potem rolowali płaszcze, zapaliwszy papierosy czekali, aż dowódcy wrócą z odpraw. Dowódcy na odprawach mieli wiadomości radiem z nieba i z ziemi, mieliby z głębi wody i spod ziemi, gdyby było trzeba, bo za nimi stały miliony wolnych rezerw, sypiące skrami fabryki, przemysł, nauka, organizacja, siła, wyliczenie, plan.

Nie było więc po co ani się śpieszyć, ani nie dospać, ani nie dojadać. Operację poczęli o dziewiątej, Kiedy nasze ełkaemy zatrzęsły się ogniem, ostrzeliwując się na wszystkie cztery strony świata;

Niemcy rozsądnie się cofnęli. Wszak za czyn ekspijującego Brzozowskiego, za zabicie dwu Niemców, rozstrzelali dwustu Polaków w Aninie. Droga jest krew niemiecka. ,

Teraz więc samoloty szyją z cekaemów po lesie i na przemian zrzu-

392
cają ulotki. Ulotki są pełne uznania dla bohaterstwa Hubalczyków.

"Spełniliście swój obowiązek, nie możecie więcej od siebie wymagać. Poddajcie się, uznajemy was za żołnierzy armii regularnej".

Tak kucharka, kiedy chce schwytać kurę na rosół, zagnawszy ją w winklel murów, chowa rękę z nożem pod fartuch, a drugą sypie ziarno. Chłop, który się przekradł z Szalasów, opowiada, że rannego kaprała z patrolu Bema Niemcy przyprowadzili do wsi w krwawych szmatach, broczącego z nie opatrzonych ran, boso. Zakopali go w ziemię po głowę, dopieroż tę męczeńską głowę bił, kopał, opluwał cały dzień kto chciał; zmarł dopiero wieczorem, słysząc nie milknącą strzelaninę kolegów na krzyżówce.

O godzinie czwartej po południu - fajerant. Za ciemna może coś rozpaczliwego osaczonym przyjść do głowy - lepiej się cofnąć za oświetlone, grzmiące pasy szos. Szosy te zajęły jeszcze inne oddziały - tak mało zwierzyny, tyle rozporządzalnych strzelb, należy reglamentować odstrzał, należy wszystkich po równi dopuścić do emocjonującego, a w gruncie rzeczy bezpiecznego sportu.

Hubal na wszystkie strony wysłał wywiady, złożone z żołnierzy i chłopów. Wszędzie moc Niemców i pierścień reflektorów i rakiet.

O północy robi daremną próbę przerwania się. Gdzie się oddział zbliży, zrywa się ogień i nabliża się warkot pancerek.

Hubal zbiera pluton piechoty, złazi z konia, wchodzi między nich;

- Przemknąć się nie można bez walki. A jedyna walka to szarża, bo zapewnia szybkie przeskoczenie. Wy - nie macie koni. Sęp! - do mnie. Masz swój oddział rozproszyć po dwóch z bronią w ręku. Niech po dwóch się przedzierają - tu (wskazał na mapie odcinek szosy). Szerokość przeskoku nie większa - niż, o, taka. Miejsce zbiórki - w Górach Świętokrzyskich (podaje gajówkę). Czekać z przeskokiem do świtu, aż zgasną reflektory. No...

Całuje Sępa. Sęp, dowódca piechoty, z puchem bokobrodów na poli-

czkach, w kożuszkach więcej powstańczym, jak wojskowym, pasowały do tych, co tu walczyli w tych lasach w sześćdziesiątym trzecim. Hubal kolejno podaje rękę każdemu piechurowi. Ujmują tę rękę w swoje pokancerowane dłonie nabożnie, jakby w nie kto wkładał coś bezcennego. Jest cicho, rzekłbyś: ksiądz przesuwają się wzdłuż szeregu klęczącego, rozdając komunikanty. Tylko z boku trzasnęła gałązka - to Sęp odprowadza swego wierzchowca, oddając go konnemu oddziałowi. Dotąd oddział ponawiał próby przedarcia się w miejscach, gdzie las najbliższej przytyka do szosy, kędy najłatwiej przeskoczyć. W tych miejscach Niemcy skoncentrowali całą uwagę. Obecnie Hubal wybrał odcinek

393
lasu rzadki, wyłysiony, który urywał się już na trzysta metrów przed szosą Kielce-Odrowąż.

Czekali szarówki, aż ustał nieznośny pierścień blasku dokoła leśnego kompleksu. Cicho między drzewami przesuwało się trzydziestu jeźdźców łysinami śniegu, zalegającymi pod wielkimi świerkami. Hubal, jak zwykle - w przedzie, przy nim, trzymając się ręką siodła - chłop przewodnik.

Już zaszarzeli ciężką frędzlą na linii ostatnich drzew.

- Pistolety w garść! Granaty! - podaje Hubal szeptem.

- Pistolety w garść! Granaty! - podaje szeptem jeden drugiemu.

Poprawili się w siodłach. Całe ich istnienie zbiegło się w oczach i w prawych rękach. Nikt nie wierzył, że przejdą. Przecież mieli za sobą cztery nieudane próby.

Padł niemiecki strzał i zaraz poszedł ogień ciężkich karabinów w las na wprost, w las na wskos, szosą, na poprzek.

- Za mną galopem - marsz! - woła pełną piersią Hubal. Przewodnik odkleja się od siodła i wielkimi susami sady wstecz, Hubal, za nim Tereska - piorunem idą ku szosie. W rowku przed szosą - gniazdo cekaem. Hubal wali w nie granatem, koń w blasku wybuchu wspina się i daje szczupaka przez głęboki rów na szosę. Przy skoku przez następny rów wali się kobyła Bema, wali się przez nią koń Romana z jeźdźcem, na skłębione na ziemi konie wpada Lech, ale jego świetnie naskakany półanglik Emir, dar Szwajczerówny, przenosi jak przez "fortepian" na konkursach hipicznych. Cień któregoś przelatującego ułana podchwytuje na siodło Bema. Roman, z pistoletem w garści, biegnie za swoim wierzchowcem, który poderwał się i wyrывa za innymi. Widzi - rozpartej szkapie księdza idzie jucha ze łbą. Wskakuje, ale szkapa po dziesięciu krokach pada. Niemcy już biegną za nim. Przypomniawszy tego umęczonego w Szalasach, strzela do Niemców, podnosi pistolet do czoła. "Stój" - huczy nad nim i już w tejże chwili równa się, przelatuje koło niego Lis, odstawiając strzemień. Roman wskakuje, rzuca granat w tył, już ich kryją drzewa. Lis urywanymi słowami mówi, że zawrócił po trzech ułanów, którzy zdarli konie i pognali za przewodnikiem. Stąd się spóźnił (ci trzej, otoczeni przez Niemców, zginęli w walce).

O czterysta metrów za szosą doganiają czekający oddział. Prócz trzech, którzy zawrócili i zginęli, nie ma jeszcze jednego i nigdy nie dowiedzieli się, jaki los go spotkał.

Uzupełniają konie - jest wierzchowiec Sępa i kilka luzaków.

Ksiądz, dobierając sobie nowego konia, opowiada z podnieceniem, jak kula niemiecka trafiła go "w samą lufę", jak zabito pod nim konia.

- Niech no ksiądz pokaże swego visa - mówi Roman, który zdążył dostrześć księdzowego wierzchowca.

394

W visie - wystrzelany cały magazyn. Dzielny katabas, który wszędzie się pchał, odchodząc równocześnie ze strachu od przytomności

ci, cwałując z odbezpieczonym visem, przy każdym szarpnięciu skaczącego przez rowy i przeszkody konia naciskał cyngiel i wygarniał biednej szkapie w łeb.

Już zdrowy śmiech buchnął, już znowu - wolność przed nimi; jeszcze raz zakpili z Niemców, są niepokonani, oni - Hubalczycy...

Składnie dojechali do najbliższej gajówki. Jeszcze jeden koń okazał się ranny. Znalazłszy w obejściu pięknego ogiera, kazał major Teresce wypłacić pięć tysięcy złotych i ruszyli dalej.

Jadą cztery kilometry otwartą przestrzenią, aż wreszcie widzą w szczerym polu samotny zagajnik w bagnisku.

- W nim będziemy stać do wieczora - mówi Hubal.

Spojrzeni po sobie - przecież Niemcy, zarządzwszy pościg, niewątpliwie przetrząsną ten zagajnik.

Wprowadzili konie w gąszcz, rozpuścili popręgi, wystawili ubezpieczenia na wszystkie strony.

Tymczasem z kierunku, z którego przyszli, idzie nieustający huk.

To Niemcy, oblegając Hubala dwa dni bezskutecznie, nie mając zamiaru forsować stanowisk leśnych, sprowadzili dużą ilość dział i grzmocą po lesie. Jak okazało się potem, myśleli, że tylko patrol się przerwał, sądzili, że owe "sześć tysięcy" wciąż siedzi w lesie, i kruszyli las na miazgę-

Na płaszczyźnie ukazały się liczne patrole niemieckie, snujące się w różnych kierunkach. Niektóre z nich przesunęły się drogą odległą o kilkadziesiąt metrów. Ułani założyli koniom karmniki na pyski, aby snadź który nie zarżał i narychtowali elkaemy. Ale Niemcom nie pilno było zbaczać z drogi. Czekali wciąż na owe "sześć tysięcy". A może woleli postąpić tak roztropnie jak ów bankier, który, rozwścieczony, szukając kochanka żony, znalazł go w jednej z szaf... z pistoletem w garści. "I tu go nie ma" - pośpiesznie obwieścił, zamykając szafę.

Samoloty się snują a wypatrują - trzeba się powszywać jak kuropatwy. Jeść nie ma co.

Wraz z ciemnością - ruszyli w nieznane. Rozumieją, że gdziekolwiek by poszli - znowu się zaciśnie obroża. Nie ma już takiego cyfelka w Polsce, gdzie by mogli egzystować.

Zostawili Kielce na lewo, posunęli się na Włoszczowę. Właściwie
395

mogliby z równym powodzeniem zostawić Kielce na prawo, iść na północ, na południe, na wschód, czy na zachód.

Pod Wągrowcem zaczęła leśniczówka, major przerzucił nogę przez siodło:

- Nasermater! Wszędzie obławy; tu robimy państwo na dwa dni.

"TRĘDOWACI"

Stańto więc ubogie państwo dwudziestu czterech nie chcących złożyć broni. O piechocie Sępa nie ma wieści. Stańto więc ubogie państwo, obstawione placówkami.

Tu doszły ich, niby noty sąsiedniej potencji - odezwy landrata do żołnierzy oddziału majora Hubala. Landrat chwalił i narzekał, obiecywał i groził.

Tu przybiegły zdyszane wieści, wieści żałobne, stwierdzające, że grozi nie na próżno. Szałasy, tak jak Huciska, zniszczyła ekspedycja karna. Wszędzie, gdzie się oddział przesunął, wszędzie gdzie zaczerpnął wody ze studni, szli w ślad oprawcy. Chcieli być wiosną dla tej ziemi, stali się zwiastunem nieszczęść. "A kędy tylko krwawą chustą skinie...".

Tak, to oni, "wydzielony oddział kawalerii".

"Wydzielony oddział?". Nie, oddział zbuntowany, zbuntowany przeciw prawowitej władzy, przeciw żywym symbolom Rzeczypospo-

litej.

Hubal jest blady śmiertelnie, zmarszczka pionowa nie schodzi mu z czoła.

Wtedy właśnie, wtedy, w te dni już ponad wytrzymanie, w dni zapadania się wszelkich nadziei, w ten dwieście dziewiętnasty dzień ich wojowania wpada wiadomość o Narwiku. Błysnęła i znikła, wypaliwszy ognisty ślad w duszy, że gdzieś tam regularny żołnierz polski potyka się i walczy.

Ale Narwik był jakby światło latarni morskiej, które zapaliło się zbyt późno i zbyt daleko. Oddział w ręku dowódcy jest jak koń w ręku jeźdźcy. I wówczas, kiedy majora przygięły wieści o masakrach niemieckich, w tej leśniczówce pod Wągrowcem, po raz pierwszy pomiędzy żołnierzy, którzy otoczeni w lesie zaśmiewali się z kawałów dowódcy, wśliznął się - strach. Nadleciał, jak nadlatuje na złocące się w polu zboże wiatr, idący przed chmurą gradową.

Ksiądz Mucha, który musiał przez tyle potyczek, przez tyle niebezpieczeństw stłumiać obłądny strach, idąc zawsze na czele, okazało się, że przesilił ducha, który starał się nieść w ciele zbyt kruchym i trwożliwym. Tuląc się w kącie, zgięty w pół, rzuca obłądnym wzrokiem:

- C-i-i-cho!... Idą już... Idą!!...

397

Biedny filipin, miotany sprzecznym uczuciem uwielbienia dla tych krwawych centaurów z rzeniem końskim miotających granaty i równocześnie serdecznej troski, że czeka ich smoła i ogień wieczysty. Biedny, bohaterski, z duszą dziecka gotową do uwielbienia, z duszą świętego otwartą na dobro, nic nie wiedzący o świecie i sprawach jego, praktykujący ten świat od razu i bez przygotowania w atmosferze mordy, tłustego słowa żołnierskiego, kart, wódki i nieustannego łamania piątego przykazania, a wraz z nim wszystkich innych dziewięciu.

Bóg mu za tych bezbożników serdecznie kochanych nie dał eksploatować ofiarą najwyższą - śmiercią na polu chwały, na które przynosił Ciało i Krew tego Boga wiecznie żywego. Stokroć przyszło cięższą napętać pokutę młodemu mnichowi ze Studziannej - siedział oto teraz w kącie i drżał, miotając obłądne słowa. Nie można już "katabasowi" rzuścić tłustym żartem, nie ma już księdza Muchy, duch jego już gdzieś błądzi zdając niewiadomy rachunek; ta żalosna reszta, co się trzęsie w kącie, to sam nazbierany skondensowany strach, który został.

I nagle zrozumieli, jak im brak księdza w tym opuszczeniu i niedoli, jak im brak mszy po chałupach na postojach. Choćby tam na nie i nie szli, choć major pędził srode na te praktyki, których wymaga regulamin armii polskiej, a więc i "wydzielonego oddziału kawalerii" - dobrze było czuć, że obok odbywa się to, co trzeba, to co odbywało się w powietrzu, przesyconym wspomnieniem matki, domu, dzieciństwa, wzdychań do dziewcząt na sumie, pierwszych dziecięcych kajań i pierwszych dziecięcych wzruszeń.

A tu nagle, kiedy tyle razy nabiżało się do nich nocne niebo, nabite gwiazdami, kiedy tyle razy śmierć przechodziła obok, ginęli najbliżsi koledzy, kiedy już ich opuściła i ta słaba podziemna Polska, kiedy usunęła się i ta jedyna opora, której trzymał się "wydzielony oddział", kiedy zostawiali za sobą trupki dziecinne i mordowane kobiety, kiedy dowódca zajał się w sobie i zmierzch!, cóż zostawało im prócz własnego sumienia, z którym nie nauczeni byli inaczej gadać, jak przez konfesjonał? Przyjdzie ślepa niedziela, nie uniesie się w górę złocista monstrancja, nie zabłyśnie ornat, niby nic, niby w spokojny czas, niby łamacz fal, za którym choć na chwilę nabożeństwa człowiek jest jak łódeczka wątła na cichej wodzie portu.

I wówczas - zjawił się następca księdza Muchy. Ksiądz Ptaszyński, ów, którego ongiś major uczył zaostrzać granaty.

Ksiądz zjawił się w mundurze, w pasie obwieszonym granatami i zameldował się, jak się patrzy, do oddziału.

Biskup sandomierski, ksiądz Lorek nadesłał list pasterski dla odczytania wiernym. Ksiądz czytał z ambony list, jakoby kolbę kukurydzy
398

obierał. Ściągając, październik po październiku, bogobojne słowa, rytualne teologiczne zwroty - ukazał z nagłą żółtą twardość ziaren - słów.

Ustawione rzędami, nad którymi tu i ówdzie jeszcze polatywało pobożne westchnienie, namawiały owieczki na roboty do Niemiec.

Przez parę pokoleń trwała w Polsce pamięć księdza Piotrowicza w Wilnie, który ukazał się na ambonie z zapaloną świecą, odczytał list pasterski renegata biskupa Zylińskiego, o wprowadzeniu dodatkowych nabożeństw w języku rosyjskim, po czym ukaz spalił i pojechał na Syberię.

Dobre, pocziwe czasy XIX wieku, kiedy dobroduszny pocziwiec Murawiew, okrzyczany za wieszatiela, w gruncie rzeczy z wielkimi terminami powiesił czterdzieści osiem osób.

Ksiądz Ptaszyński, rąbnawszy twardym głosem po odczytaniu listu: "A ja wam mówię, parafianie moi, że biskup jest zdrajca", wiedział o praktykach katowskich gestapo.

Jakoż od tego czasu nikt nie uświadczył go w dzień na plebani! W umówione, znienacka wybrane dni, odprawiał nabożeństwo w kościele obstawionym czujkami. Były to czasy, kiedy dookoła szumiało od przesadzonych wieści o Hubalczykach i Niemcy nie jeździli po nocach. Mając za plebanią las, nauczysz się u majora miotania granatów, ksiądz Ptaszyński nocował, jak Bóg przykazał, na swojej plebanii, z przekornością trwając na własnych śmieciach. Niemcy kilkakrotnie zajeżdżali po niego w dzień, rozumiał, że sięgną po niego nocą; garnirował co wieczór parapet okienny granatami, jak zwykła gospodyni wykladać pomidory, by dociągnęły na słońcu.

W dzień, kiedy w lasach pod Szałasami obiegli Niemcy oddział, szarówką jeszcze stanęły przed plebanią trzy samochody niemieckie, z których wysiadła gromadka Niemców. Ksiądz patrzył na to wysiadanie spod firanki żarzącym wzrokiem, a kiedy skłębili się przy furtce, wchodząc na ścieżkę, rzucił trzy granaty, zrobił miazgę, legę artis wyładował w to jeszcze cały magazynek i tyłem plebani! uciekł w las.

Pięćdziesięcioletni teolog, z ukończonymi studiami w Rzymie, ukląkł wysokim kościstym ciałem, wyciąga spod munduru ogromny krzyż.

- Ależ to taki niemal jak ten, na którym ukrzyżowali Chrystusa! - śmieje się Hubal, pokrywając lekkie zmieszanie. Co też ten klecha wy-czynia?

Ale ksiądz Ptaszyński wie, że wstępujący do oddziału składa przysięgę i ksiądz Ptaszyński od dziś chce być żołnierzem "wydzielonego oddziału kawalerii".

•- Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej jedynemu - podnosi spod krzaczastych brwi wzrok z zapadłych oczo-
399

dołów i kontynuuje stereotypową przysięgę żołnierską na wierność Bogu, honorowi, Ojczyźnie i Prezydentowi.

Zebrani stoją na baczność, księdzu ceglaste rumieńce wybiegają na policzki, temperament pasjonata poczyną grać, a dziecinną duszę ponosi improwizacja, jak Orcia w Niehoskiej Komедii.

- ... a jak wejdziemy do Sandomierza - głos klęczącego podnosi

się, słowa przysięgającego poczynają biec szybko - to na rynku publicznie dam biskupowi dwadzieścia pięć w gołą dupę...

Nagle ksiądz uświadamia sobie w jak straszliwe obieże wniósł go temperament, wkładający plugawie słowo, bezbożny czyn w solenną przysięgę; załamuje się, bije się w piersi, robi się robak pokorny; ale nie rewokuje:

- ... a potem - słyszą zebrani pokorny szept wśród walenn się pokutnego w pierś - pójdę do klasztoru na pokutę... Będę nosił włosienicę... całe życie...

- Zostań - podniósł go z klęczek Hubal i ucałował. - Będziemy razem będę klepać.

Do Warszawy doszedł nie tylko raport pułkownika Millera. Doszedł jęk wyrzynanych przez Niemców wiosek.

W tymże dniu, kiedy przysięgał ksiądz Ptaszyński, zameldował się majorowi rotmistrz z Komendy Okręgowej w Kielcach.

Major znał rotmistrza jeszcze z dawnej pospólnej służby. Ale że komendy kieleckiej nie cierpiał, więc burknął tylko:

-Co?...

Rotmistrz wyprężył się:

- Rozkaz z Komendy Głównej, z Warszawy.

Hubal drgnął. A może... kiedy pod Narwikiem się zaczęło... Wiosna... Może po zwycięstwie pod Huciskami ręka do zgody... przecie tylko on... ręka co wesprze... dowództwo, co zdejmie straszną odpowiedzialność... Boże, takie oparcie dać zmaltretowanym żołnierzom!

- Idą już... Cicho... Idą już... - woła przejmującym szeptem z przyległej izby obłąkany kapelan.

Szarpnął się Hubal:

- Dawaj...

Czyta. Błednie. Gniecie papier i rzuca go adiutantowi. Odwrócił się do ściany. Milczy. Cisza.

Adiutant Dolega przebiega wzrokiem pognieciony papier. Komentant Główny Grabiec każe natychmiast rozformować oddział. Grozi sądem polowym.

400

Hubal odwraca się ku rotmistrzowi z twarzą ściągniętą wściekłością:

- Ty... śmiałeś... taki rozkaz mi przywieźć?

Rotmistrz prostuje się jeszcze bardziej. Rozumie - śmierć.

- Pan rotmistrz przejdzie do sąsiedniej izby. Postawić przy nim wartę. Zawołać księdza. Wszyscy wyjść.

Ksiądz Ptaszyński, który już założył trzy gwiazdki i przybrał pseudonim Leliwa, spieszenie nadbiega.

-Jakiś rozbójny gówniarz!... -wybucha Hubal, krążąc po izbie.

- Do mnie - taki rozkaz! Mundur mi chce zdjąć? Ja ten mundur od szesnastego roku życia noszę bez przerwy. Złożyliśmy przysięgę, mamy prawo mundur nosić... Nawet Naczelnny Wódz nie ma prawa mi go zakazać bez sądu. Nie było rozkazu demobilizacji... Mam prawo takie samo do munduru jak ci pod Narwikiem... Mnie pod sąd polowy?

To ja...

Sposzony ksiądz zatrzasnął drzwi do drugiej izby. Długo za drzwiami gotowały się dwa głosy. Najprzód przeważał wzburzony głos majora, potem, coraz dłuższymi okresami, głos księdza.

- Maszynę! - krzyknął przez drzwi Hubal. Adiutant wszedł z maszyną do pisania.

Hubal podyktował:

mp, 6 kwietnia 1940 roku

Oddział Wydzielony

Kawalerii Wojsk Polskich
w Górach Świętokrzyskich
Do Pana Grabca

Żadnych Grabców nie znam i znać nie chcę. Rozkazy takowe
mam w dupie i na przyszłość przyjmować nie będę.

Dowódca Oddz. Wydzielonego

Major Hubal

Zalakował. Wezwał rotmistrza:

- Tobie już niewiele brakowało. Jeżeli jeszcze raz pokażesz się z takim listem - rozstrzelam.

I teźże nocy - wymarsz.

W jakim kierunku?

Kierunku - nie było. Wszędzie teren nasilony niemieckim wojskiem. I wszędzie wsie, które będą palone.

401

Hubal, przed przyjazdem rotmistrza z tym rozkazem Komendy Naczelnej, chciał podać się w Miechowskie - to już było DOK, na czele którego stał Bór-Komorowski. Miał nadzieję z nim się dogadać, mimo anatemy rzuconej za pośrednictwem pułkownika Millera. Ale teraz - zrozumiał: jest sam, będzie już - do końca - sam.

W Miechowskie więc nie poszli, był to bowiem kraj mniej zalesiony. Chcieli pójść ku lasom spalskim, ale pięknie zagospodarowane te lasy porznięte były przesiekami, na których Niemcom łatwo strażować. Szli więc na bardziej dzikie lasy kozienickie.

Szli ostrym kłusem bardzo ciemną nocą. Po chałupinach samotnych budzona ludność informuje, że wszędzie są Niemcy. Nie można jużjechać przez wsie. Ludzie są zdrętwiali, boją się, należy batożkiem wystraszyć z chałupy chłopą na przewodnika, którego na zapasowym koniu prowadzi luzak majora za wodze.

Nie można przejeżdżać przez wsie, nie można przejeżdżać szosy.

Hubal w grubym kożuchu, jak zwykle w takich wypadkach, jedzie na przedzie. Podjeżdżają do szosy, przewodnik drży:

- Obsadzona, panie majorze.

- Pistolety w garść - podaje szeptem Hubal.

Zaraz skoczą. Brzeg lasu tuż.

Przedwcześnie, o czterdzieści metrów od szosy, wypalił któremuś odbezpieczony pistolet.

- Galopem marsz! - krzyczy pełnym gardłem Hubal.

- Hak! Haltf... - krzyczą Niemcy.

Gęsta strzelanina.

Hubal pierwszy, Roman i Alicki za nim, Swida zamyka. Przelecieli.

Wstał za nimi blask rakiet. Przeliczyli się. Są wszyscy! Wraz z księdzem Ptaszyńskim dwudziestu pięciu! Przewodnik chlipie.

Kłus!... Kłus!...

Ku świtowi są już w lasach włoszczowskich, w zapadłej gajówce. Tu trzeba pożegnać się z wiernym towarzyszem, księdzem Muchą. Hubal wysłał go z listem do znajomego majątku. Ksiądz Mucha siedzi na wozie obok eskortującego gajowego. Włos mu się zmierzwił, rzuca dzikie spojrzenia:

- Idą już!... Idą...

Tereska ze szlochom ucieka do chałupy. Płacz przeradza się w histериę. Niezaradny ksiądz Mucha był pupilem tej dzielnej dziewczyny.

Hubal daje Teresce silną dawkę na sen - śpi ciężkim snem do wieczora.

Okazuje się, że w drodze w nocy prysnął z oddziału Jura ów zawodowy podoficer, zdegradowany przed wojną za próbę gwałtu. Nadzwyczaj dzielny, o narowach bandyckich, pociągnął za sobą Rocha Kowals-

402

kiego oddziału, głupiego, wielkiego Stulika oraz luzaka majora, starszego ułana Maruszewskiego.

A więc - po tylu próbach, po tylu przejściach - oddział, teraz dopiero, poczyną się załamywać.

Przez noc idą spiesznym marszem na Przedbórz, Sulejów. Znow lasy spalskie. Tu kiedyś były ich najpiękniejsze dni. Tu zbrojno i szumnie, odwiedzali kościoły. Tu sprawiali pasterkę, tu - czekali wiosny. Przyszła wiosna - gorzka wiosna.

Już nie śmia się nikomu pokazać na oczy, bo ujrzeć ich, to znaczy widzieć śmierć. Wyminąwszy Inowłódz, zapadają w las koło Koziej Wólki.

Powiódł Hubal wzrokiem po rośnej, nieprzytulnej polanie, na którą mżył bladym światłem świt. Skinął na żołnierzy, a kiedy go otoczyli:

- Tu zostajemy.

Powiódł wzrokiem po szerniałych, wychudłych twarzach:

- Tak, tu zostajemy. Gdzież pójdziemy? Do ludzi? Na śmierć ich wydawać? Jak w Gałkach? Jak w Huciskach? Jak w Szalasach?...

Wyrzucił na nich gorzką tyradę miejscowości: Nowocie, Nieborów, Wilkoń, Krasny Bór - spalonych po przejściu oddziału. Tak. Tu zostaną. Nie będą błyskać tej Polsce mundurami. Odpoczną dwa, trzy tygodnie i pójdą do Francji.

Przywarli tedy pod budami ze świerkowych łapek - rzekłbyś; obozowisko trędownych. Niemcy wnet odczuli nakaz unikania starc - nałożą coraz bezpieczniej, zalewają teren dokoła wojskiem, zasypują wsie odezwaniami.

Hubal rwie się, by się połączyć z piechotą, ale piechota, według rozkazu, w Górach Świętokrzyskich, a Góry Świętokrzyskie obsadzone i lasy spalskie, w których zapadł Hubal - obsadzone.

Jest ich tu teraz, wraz z Tereską i po odejściu Jury, Maruszewskiego i Sulika, dwudziestu dwóch. Niewiele z tym pocznie... Iluż zachował Sęp? Nieoceniona Tereską wyprawia się w Góry Świętokrzyskie na rowery. Dziewczyna po cywilnemu wszędzie wsiąknie.

Niezależnie od niej wysłał Hubal do Sępa dwu zaufanych cywilów.

Po kilku dniach wraca kolejno cała trójka. Nikt z nich do piechoty nie dotarł. Nawet Tereską, trzy razy zatrzymywaną, raz już prowadzoną na rozstrzelanie.

Wszyscy troje słyszeli terkot cekaemów, dudnienie artylerii, nieustanny warkot samolotów. Ciasno opasany jest Sęp! Dowiedzieli się, że przy przemykaniu się spod Szalasów poległo jego dwunastu żołnierzy, że z dwudziestu ośmioma dotarł do Gór Świętokrzyskich i walczy.

Hubal porywa się - iść na pomoc. Ksiądz Ptaszyński jednak to nie zastrachany ksiądz Mucha:

403

- Chce pan major w dalszym ciągu zalewać kraj krwią? - świdruje Hubala wzrokiem spod krzaczastych brwi. Nie można mu powiedzieć "nie twoja sprawa, katabasie". Nie można mu kazać milczeć. Ani swemu sumieniu.

Uciekł i drugi luzak majora - Kasprzak.

Dochodzą wieści, że Jura po okolicy werbuje, niby do Hubalczyków. Z pewnością formuje bandę. Nasze patrole, mające blisko zasięg, nie mogą na niego natrafić. Aż przychodzi wieść, że Jura ma w Studziannej dziewczynę.

Roman, Lis, Brejer, Kagankiewicz wybierają się do Studziannej po cywilnemu, wozem.

Ciemno było, kiedy zajechali przed chałupę. Na skrzyp wozu wy-

szły dwie postacie:

-Już przywieźliście? - poznali głos Jury.

- Tak - mówi Roman. - Podnieś no łapki...

Tamci dobrze wiedzą, czym pachnie odmowa; podnieśli.

- W tył zwrot! - komenderuje Roman; Lis i Kagankiewicz ich obmacują, szukając broni.

- Panie wachmistrzu - prosi Jura - niech mnie pan wachmistrz wypuści; pan major mnie rozstrzela.

- Milcz, złodzieju.

Roman zwraca się do tego drugiego. Jura uderza po pistoletach Lisa i Kagankiewicza i daje nura pod brzuch koński. Lis zdążył raz strzelić. Roman kolbą zdzielił Jurowego koleżkę, skoczył za Jurą, potknął się, z kolana strzela dziewięć razy. Światła gasną (potem okazało się, że policja niemiecka na odgłos strzelaniny uciekła ze Studziannej). Lis i Kagankiewicz pędzą za Jurą, strzelając w ciemność. Roman wwala tego drugiego na wóz i czeka.

Potem już okazało się, że Jura otrzymał tej nocy siedem lekkich postrzałów. Wszył się w krzaki pod cmentarzem i osłabł z upływu krwi. 2 rankiem chłop go zawiózł do szpitala w Opocznie, gdzie się podał za Hubalczyka. Ale już nad szpitalem był ostry niemiecki nadzór, izolowali go pod strażą. Mimo to potrafił nocą z pierwszego piętra wyskoczyć i uciec.

Przysłał do Hubala list: nie jest godzien wrócić, ale przyrzeka, że na własną rękę będzie gniótł Niemców, tylko z nich żyć, a nie z ludności. Kiedyś przyjechało po niego rowerami gestapo, w chwili, gdy się goilił.

-Gdzie Jura?

- Który?

- Bolesław.

- A, to w tamtej chałupie.

404

Poszli do sąsiedniej chałupy, a on na ich własnym rowerze uciekł.

Następnie - uciekł z więzienia w Radomiu.

Wreszcie - co już stanowiło rzadko spotykany rekord - uciekł z Oświęcimia.

Tęgi był nabój energii w Hubalczykach.

Kasprzaka też pojмали.

- Pamiętasz, com wam zapowiedział w Gałkach? - pyta Hubal.

Kasprzak płacze.

- W pysk tobie nie dam - mówi Hubal - ręki nie chcę brudzić.

I z nagłą litość go widać zdjęła na widok tego luzaka, zawsze chętnego, zawsze wiernego. Jakieżże to miary wymagania stawia tym ludziom, którzy mu zawierzyli, którzy walczyli wraz z nim aż do kresu możliwości? Czy ci, co z nim nie poszli od razu, byli lepsi? I skądże on tu będzie sędzią?

- Dać mu dwadzieścia pięć - machnął ręką.

Kasprzak zboląły, odchodzi po egzekucji w głąb lasu. Idzie przesieką, widzą, że zwalnia. Staje. Myśli. Idzie z ociąganiem z powrotem. Hubal nastawił swoją pionową zmarszczkę. Kasprzak doszedł, klęka, po chłopsku obejmuje nogi Hubala, całuje w buty. Nie chce ciepła, nie chce wygody, nie chce bezpieczeństwa. Chce ginać z nimi... Byle pan major przyjął...

Ale Hubal się nie zgodził.

I Stulika ujęli. Ogromne, głupie chłopisko, uczestnik tylu niebezpiecznych patroli, tym potyczek, stanął przed Hubalem. Nikt tam do niego w oddziale złości nie miał. Ale major mu nie mógł darować, że za-

brał broń. I ten otrzymał dwadzieścia pięć i odszedł nie bardzo rozumiejąc, co się stało.

Nic z tego - Zachód się nie ruszy, Niemcy biorą inicjatywę. Ułani mający nocną służbę widzą, że do świtu major nie sypia. Wiele pali, dużo pije, zamyka się z księdzem.

Nagle - rozświeciło się na polanie "trędowatych". Przyjechały kurierki: Ludka i Genia.

- Jak to, przecież już nam nie można pomagać?

Dziewczyny śmieją się srebrzyście i zaraz od tego śmiechu rażniej i wesoło się robi na polanie. One tam nic nie wiedzą. To, co przywożą jest od "młodej Warszawy".

Niech tam będzie od kogo chce, skoro już wyładowują z wozu gazety, smakołyki, amunicję pistoletową.

Lubili te dziewczyny, studentki WSH, całym sercem. Genię potem rozstrzelali Niemcy w Białymstoku, gdy jako kurierka jechała do Wilna.
405

Lubili te dziewczęta. Wiele im pomagały - do końca. I po śmierci Hubała...

I Hubal je lubi. Siedzą w jego szałasie na tapczanie z mchu. Wieczór zapadł i ciemny las szumi. Kuchenna lampka stoi na drewnianej pace. Przy lampce gąsior samogonu z miodem.

- Ile lat macie, dziewczuchy?

Okazuje się - mało.

- Taak... - pociąga Hubal samogon - a ja... 1897 rocznik.

Po prawdzie to już kawał życia żył. Gdzie powiedziane, że należy żyć więcej? Człowiekowi nigdy nie dosyć... Taki był jak one, albo i młodszy, kiedy szedł do legionów. Miał siedemnaście lat. Po sumie w Niegardowie, po przyjęciu komunii, ukląkł, podał szablę księdzu. Staruszek ksiądz, który go uczył katechizmu, błogosławił tę szablę i wezwał wiernych do zmówienia litanii na jego intencję.

Cóż, pewno szła za nim ta litania i te intencje, czepiały się za nim, jak babie lato, coraz niklejsze... Walczył pod Jastkowem, Lubiatowem, Kowlem, Maniewiczami.

Po buncie pod Rarańczą, uwięziony w Huszt, ucieka w gorączce trzydziestu dziewięciu stopni, pod strzałami wartowników. Maszynista go przemycza jako palacza. Potem na piechotę... Ziemianin Dunin przechowuje go na strychu... Podleczył nogi - poszedł... Gdy odsiecz Lwowa - tworzy detaszowany szwadron z kryminalistów więzienia w Samborze. Szwadron miał taką opinię, że zabraniano do niego z innych szwadronów zajeżdżać. Ale bili się dobrze.

W 1919 otrzymuje Virtuti Militari. O, ten - pokazuje krzyż na szorstkiej wełnie. To tylko odznaczenie zawsze nosi.¹

A potem - nudny czas garnizonów. Mówili, że się nie nadaje do wojska w czasie pokoju. Ileż tych garnizonów, ile kątów Polski...

Naprzód - z 2. Ułańskiego Legionowego sformowany - 2. Szwoleżerski Rokitniański.

A potem kolejno:

18. Pułk Ułanów Pomorskich. Grudziądz. Zadarcia z praworządny-
mi Pomorzanami, ścinanie nowo posadzonych drzewek w parku, zatar-
gi z prezydentem miasta, Poszwińskim.

Więc tedy - 20. Pułk Ułanów w Rzeszowie.

Więc za tym - 2. Pułk Strzelców Konnych w Hrubieszowie, 4. Pułk Ułanów Zaniemeńskich w Wilnie.. Nuda... Zdechłby, żeby nie te konkursy hipiczne...

¹ Miał też cztery Krzyże Walecznych i za 1920 rok; Był przedstawiony do Virtuti Militari IV klasy.

406

Uśmiechnął się do wspomnień. Kusa lampka kopcić poczęła. Hubal przechylił się przez stół, by zdjąć zaczernione szkiełko. Ogniwko przy krzyżu pękło, srebrne Virtuti, spadając, stuknęło głucho o skrzynię jak o wieko trumny.

- To już... znak. Za parę dni mnie diabli wezmą.

-Ależ...

- Idźcie, kozy, spać. Za starym oficer. Wiem, co mówię.

Kiedy wychodziły, spłoszone, już cały niemal komin lampki był pokryty czarnym nalotem. W szafasie stał swąd kopcia, samogonu i beznadziei.

Tejże nocy pełniący służbę Roman z troską widzi w czarnym wnętrzu szafasu nieustannie żarzący się ognik papierosa.

- Romku, to ty? - pyta major. - Chodź, siadaj.

I znowu - o dzieciństwie w Proszowskiem. O jasnej, spokojnej Polsce, pachnącej podorywkami, sianokosami, mieniającej się najprzód walkami, potem nieskończonym sznurem koni, kobiecym śmiechem...

- Oł, dziś gadamy, a za parę dni długie, białe robaki będą mnie toczyły.

Poderwał się Roman:

- Niech pan major głupstw nie mówi. Pójdę.

- Siadaj, stary durniu. Ja umrę, ale i ty wtedy nie masz prawa żyć...

I znowu - o wsiach palonych... O ludziach mordowanych - przez niego... Palce rąk bezsilnie i kurczowo zaciskają się koło gałęzi barłogu. Za dnia białego - stara się być spokojny. Wszak jest dowódcą.

- Gdybym przeżył - mówi do ułanów - gdybym przeżył, co się nie stanie, gdybym przeżył... nim będzie Polska niepodległa, zostanie nas jeszcze mniej. Wtedy będziemy niepotrzebni. Jak się pozbieram, to starczy na przejazd nas wszystkich do Afryki. Będziemy tam wypoczywać.

Nie nęciła go ta Polska, która znów obrośnie garnizonami. Nie przypuszczał, że ta Polska cokolwiek zapłaci.

A oni - te młodziki - po prostu, myśleli, że ich major z bronią w ręku do Francji wyprowadzi.

ŚMIERĆ HUBALA

Dwudziestego szóstego kwietnia zjawia się w obozie trędowatych... komendant policji ze Studziannej, ten sam, na którego ongiś wyprawiał się i1
Roman w obronie spalskich kłusowników.

W mundurze, z pasem, przy rewolwerze - melduje się służbowo pod szafas z gałęzi świerkowych, j

- Może mi pan major nie wierzyć... mieliśmy ze sobą porachunki...

Ale to wszystko głupstwo wobec tego, co jest. Jesteście zagrożeni. A ja

- jestem Polak... Przyjechałem ostrzec. Niemcy ciągną od Gór Świętokrzyskich, a wszelki odwrót już przecięty. Jedyne ratunek - przebrać 1
się po cywilnemu i pojedynczo się przemykać.

Spojrzał na pionową zmarszczkę na czole Hubala i uciał:

- Odmeldowuję się panu majorowi.

Czy nie chciał jako komendant policji komplikacji na swoim terenie?

Czy też nieufność majora była niesłuszna? J

Dusze ludzkie we własnym państwie, na wolności, są jak rzeka, która płynie swoim korytem do wiadomego ujścia. Ale kiedy kataklizm zatamuje wody, porwie obwałowania, kiedy przemoc jak śruba uciśnie <
dusze, rozlewają się one jak wody bagniska na różne strony, każdy człowiek szuka sobie innego wyjścia, trudno poznać, gdzie Wallenrod, a gdzie szpicel, gdzie Mucjusz Scewola, a gdzie histrion, gdzie Winkelryd, a gdzie Tartarin de Tarascon.

Trudno poznać, aż przyjdzie czas próby. Na skromnego komendanta policji w Studziannej przyszedł czas próby w 1943, kiedy samodwa z synem ostrzelał się najeźdźcom, zabił kilku i nie dał się wziąć.

Co kilka godzin idą patrole Hubalczyków duktami. Cały 27 kwietnia ptak się nie spłoszy, zwierz nie pomknie z określonej strony. Nie ma znaków niepokoju. Sójki skrzeczą po chojarach jak zawsze, dziecięcy łążą po pniach i opukują, mysikróliki smykają dołem podszycia, słońce łagodnie się kładzie drgającymi plastronami na mchach - rzekłbyś: ręka matki gładzi i spędza z czoła chorobliwe urojenia.

28 kwietnia przybiega gajowy: "Niemcy obsadzili na Pilicy wszystkie mosty i wszystkie brody, wiedzą już dokładnie o was".

Hubal wysłał Romana z Tadekiem i Brejerem pieszo w kierunku Pilicy (jest już tak ciasno, że nie ma gdzie wysłać konnych patroli).

- 408

Podpełzli rowami na trzysta metrów ku Pilicy. Widzą - brzeg aż roi się od Niemców. Roman obliczył ich na ośmiuset. Posłał Brejera z wiadomością i meldunkiem, że należy zarządzić ostre pogotowie. Uzupełniwszy spostrzeżenia, wraca w pół godziny potem. Konie posiadłane, czujki wystawione, ludzie przy broni. Ale major robi ostrą uwagę, że dowódca patrolu nie ma stawiać wniosków, tylko meldować, co widzi. Oddział cofa się na kilometr w głąb. Coś dziwnego dzieje się z Hubalem, coś jak z wyżłem, który traci węch. Nie wysłał patrolu w kierunku przewidzianego marszu. Jest spokojny, stara się podżartowywać, ale oczy, zawsze wesołe oczy, które tak kontrastowały z pionową zmarszczką pojawiającą się w trudnych chwilach - są zgasłe. Jest to człowiek rozpięty na bólu psychicznym, napiętnowany fatalizmem, który zginie.

Wrócił patrol Bema z wiadomością, że Niemcy wchodzą do lasu ze wszystkich stron. Jest po czwartej po południu. O tej porze? Bardzo już są, widać, pewni swego.

W trzy strony trzema duktami poszły spieszenie patrole po trzech ludzi z erkaemami i zapadły. Żołnierz to już był oblatany, przekuty, a po bitwie pod Huciskami niebawem zadufany w sobie. Patrole przypuściły Niemców na bliskie dystanse i przyjęły skutecznym ogniem. Tałatajstwo odpłynęło wszędzie i na las począł się zsuwać zmrok.

Poszedł puszczą zimny wiatr. Zbyci szalaśców, stali pod drzewami niepewni, nasłuchując. Tak wilcza rodzina, zruszona nagonką, przystanie, nasłuchuje, kędy pierzchnąć.

I znów idą Roman, Brejer i Tadek ku Wólce, wsi nad Pilicą. Obawiając się, że w lesie napatoczą się na placówki niemieckie, wychodzą na bagnistą łąkę pod lasem. Zdjąwszy buty, brnąc wodą po kolana, robią wielki krąg, obchodząc wieś z przeciwnej strony.

Wieś stoi nieruchoma w czarnych opłotkach. Zbliżywszy się, rozeznała kilka punktów żarzących się papierosów. Dają jeszcze większy krąg - coś w polu bieleje. To kobiety i dzieci z węzełkami, żalosny pochód tych, którzy za nich będą płacić życiem. O Boże!...

Przeczekali, wyszli z bagien, włożyli buty, poczęli zbliżać się do wsi. Pierwsze dwie chałupy puste. Opłotkami przekradają się w kierunku, z którego przed półtora godziną widzieli żarzące się papierosy. Ale wieś jest zupełnie pusta. Niemcy wygnali ludność za Pilicę i sami wycofali się za rzekę.

Resztą nocy oddział przechodzi pod wieś Ponikłę. Tam była nauczycielka, do której wszyscy wzdychali. Nazywali ją "złote słońce Ponikły". Rozłokowali się w szkole. Przyniesiono im jeść - stypę. Próbowali spać. Świtem ruszyli na dwa kilometry w głąb lasów. Dalej iść nie było można. Ich dawne obozowisko zajęli już Niemcy.

409

Niespieszne) Niemcom. Jest zimne okrucieństwo w tej nieśpieszności. Cały 29 kwietnia zmasowują się naokoło, pęcznieją coraz grubszym pierścieniem, nie wchodzą w las.

Pod wieczór Hubal każe ruszać. Jakby poweselał - udziela się to natychmiast żołnierzom. Podchodzą pod Fryszerkę - małe osiedle. Pukają ostrożnie do młynarzowego okna. Wychyla się młynarz. Poznał i zaniemówił.

- Jezus Maria - szepcze. - W stodole cała kompania leży.

- Przeprowadzi pan?

- Dobrze - wyłazi przez okno.

Prowadzi na Anielin. Już te wszystkie ruchy na tak małe dystanse, jakby chłopcy bawili się w wojnę. Ledwo ruszyli, już przed nimi dukt.

- Za dnia obsadzili go Niemcy, pójdę sprawdzić - szepcze młynarz.

Poszedł i zaraz dukt począł strzelać.

- Przeskakiwać - podał Hubal.

Pod nimi biały mech na piasku, ale tupotu dwudziestu dwu koni nie zatai. Przeskoczyli jednak, mimo ognia, bez strat.

I już Anielin. Słyszeli, zbliżając się do wsi, szczekające psy, a tymczasem jadą przez Anielin jakby wymarły. Istotnie, byli w nim Niemcy, ale sądzili, że przepuszczają szpicę. Wieczne ich złudzenia, że walczą z tysiącami.

Za Anielinem tuż - gęsty jak szczotka młody zagajnik.

- Zaszycemy się w niego - mówi Hubal. - Nie będą się spodziewali, że utknęliśmy im pod nosem. Jutro przewali się oblawa i odsądzimy się ze sto kilometrów.

Wpychają konie siłą w zagaj, nakładają karmniki na pyski.

- Oficer służbowy - wydaje rozkazy Hubal - podchorąży Dołęga; służba - Zemsta, Brejer, Kagankiewicz, Ryś.

Sam wyznacza im posterunki dookoła zagaja.

Nałamali ułani łapek świerkowych majorowi, przykryli plandeką.

Tadek odrolował mu dwa koce. Położył się, zaczepiwszy o rękę cugle wierzchowca.

O piętnaście metrów, z cuglami zaczepionymi o rękę, z pistoletem na sznurze, przyległ Roman. Dwie doby nikt z nich nie spał; to prawdziwy los nie mieć służby. Dołęga, który ją ma, przysiadł - aby tylko na chwilę. "Chcę trochę odpocząć" - słyszy jego słowa Roman ostatkiem przytomności.

Stojący na posterunku Zemsta, ślusarz w cywilu, rozwiera oczy na las. Las szumi gęstym głuchym szumem. Raz po raz zdaje się chłopakowi, że coś sunie na niego, ale to pada czerń chojara. Uspokaja się i znów

410

odpływa w szum lasu. Wstrząsa głową. Jest pewien, że nie śpi, na warcie spać nie można, od tego zależy los towarzyszy. Nie, nie śpi, tylko te cienie tak łudzą. O! znowu się taki nasuwa; chłopak z niecierpliwością podrzuca głowę - widzi Niemca o pół kroku przed sobą z nastawionym karabinem. Chwyta za lufę, wyrwał karabin Niemcowi, pyrgnął w tył, szarpie Hubala.

2 nawyku skoczył major na równe nogi, ale śpi.

- Panie majorze, Niemcy! O, ich karabin.

Hubal bierze karabin:

- Dobrze, wracaj na ubezpieczenie.

Dobiega Lech - Hubal stoi zupełnie nieprzytomny:

- Patrz, Lech, karabin niemiecki - obraca broń w rękę.

A już gruchnęły strzały.

- Weź patrol na kierunek drogi! - krzyczy wytrzeźwiony Hubal do Lecha.

Jaki tu patrol, kiedy nieprzyjaciel na karku! Lech biegnie do ułanów, zaciągających popręgi. "Za mną!" Ociągają się. Tam - pewna śmierć, a tam - ucieczka. Oprzytomnieli. Pobiegli samopięt osłaniać odwrót.

A tymczasem Hubal skoczył do Romana i szarpie go za rękę. Roman już słyszy strzały, słyszy krzyki: Halt!, ale chce się ludzić, że to sen.

- Romek, wstawaj! - krzyczy major.

.- Co takiego? - pyta Roman (byle odwlec, byle jeszcze chwileczkę).

-- Niemcy! - krzyczy w ucho Hubal.

Teraz i Roman przytomnieje. Rzuca siodło na konia, popręży.

A już słysząc głos Hubala w innym miejscu:

- Alicki, do mnie!

Ogień narasta, widać do szpicy niemieckiej dobiega ich oddział. Koń Romana się płoszy, skacze mu na plecy, przewraca, niknie w gąszczu.

Roman biegnie ku Niemcom, z nagłą wynurzają mu się o piętnaście metrów. Rzuca granaty, strzela z visa. Popadali. Pierzchli. Roman wraca, na polance nikogo nie ma, napatacza się Bem. "Gdzie major?"

W majora uderzyła salwa z odległości siedmiu-ośmiu metrów.

Drgnął, pokazał na krzaki, wpadł w nie z Dołęgą i Tadkiem. Pewno podążył za Pilicę, na umówiony punkt zborny. I Roman z Bemem idą w tym kierunku. Zwołują dwunastu ludzi, łapią cztery konie. Jedyne, który zdążył znaleźć się na koniu, to ksiądz Ptaszyński. Wpada na nim z chaszczy, wisząc na siodle z odbezpieczonym granatem, którego nie rzucił, a przetyczki się zbył. Brejer mu robi przetyczkę z sosnowej gałązki.

Poza majorem nie ma Dołęgi, Tadka, Rysia, Lecha i kilku innych (Tereska z wieczora została wysłana). Ruszają na punkt zborny, podany 411

jak zwykle uprzednio. Jest to Rzeczyca za Pilicą, którą przechodzą pół w bród, pół w pław. W Rzeczycy swój człowiek, sołtys. Okolica pełna niemieckich kolonistów, więc czekają w mokradłach do zmroku. O zmroku zjawia się sołtys, przeprowadza do chałupy. Mówi, że Niemcy się chwala, że der tolle Major poległ. "Pójdziemy stwierdzić" - decydują... Sołtys na tę imprezę wydostaje pięć cywilnych ubrań. Czekają, aż noc zapadnie.

O godzinie ósmej zjawia się Lech. Jego blada twarz o wystających kościach policzkowych, rzadki wąsik, wąskie usta i spłowiałe wodniste oczy, mogące znamionować okrucieństwo, stanowią teraz, jak i zwykle, maskę nie dającą się przebić żadnej ekspresji.

Wszedł kocim ruchem przez drzwi, jego charakterystyczna ręka, pokryta sinymi sznurami żył, drgnęła do pistoletu - zobaczył podejrzanę zbiorowisko cywilów.

- Cywile za stołem? - wycedził drewnianym głosem, poznając swoich. - Nie w mundurach? Czy major zabity?

Bo przecie tak byli przez niego chowani - póki życia w ciele, poty mundur na karku - nie zdarty.

Ale oni zbyt byli porażeni pytaniem o majora, by odczuć potępienie w słowach Lecha. Haratał się z Niemcami na dystans, dosłownie, dwu kroków w tym szczerbowatym zagajniku. Niemcy zapadli, osadzili się, wtedy Lech ze swymi ułanami skoczył do tyłu za majorem. Ale Hubala na dawnym miejscu nie było. Niemcy długo nie nasuwali się, Lech ze swymi przetrząsał krzaki chyba z godzinę, póki było można. Gdy Niemcy znów ruszyli, wyrwali z zagajnika przeciwną, chociaż też obstawioną, stronę. Rzucili granat i niemiecka czujka z erkaemem uciekła.

Zjawia się Tadek. Wszystkie oczy zawisły na nim. To on z Dołęgą i majorem skoczyli w krzaki, kiedy plunęła w nich salwa z odległości kilku metrów. Tadek mówi, że z majorem i Dołęgą oraz trzema końmi znaleźli się na maciupieńkiej łysince. Major właśnie nogę usiłował włożyć w strzemień, koń mu się bardzo kręcił, kiedy dostali salwę z drugiej strony. Tadek skoczył kilka kroków wstecz, na dawne miejsce, ale tam byli Niemcy. Pełznąć dołem młodych chojaków wyłabudał się z obław.

Spojrzeni po sobie - nadzieja była coraz mniejsza.

I zaraz poszli w noc - każdy oddzielnie, a wszyscy o to samo - zbadać: czy żyje?...

Przebyli w pojedynkę rybackimi łódeczkami Pilicę.

Roman doszedł do Fryszerki. Znowu puka w młynarzowe okno - jak wczorajszej nocy.

412

Wyjrzał młynarz - poznał i zaniemówił.

- Jezus Maria - mówi - to jeszcze... wy...

- Co z majorem?

Młynarz widział spędzonych tysiąc naszych chłopów, którzy byli przygotowani, aby poprzeczyć niemiecki atak. Bo atak miał być przed świtem, a na zagaj napruli się przesuwając ku duktowi linię. To ci chłopcy mówili, że major nie żyje. Ze trupy naszych, wraz z jego ciałem, powieźli do Studziannej. Ze tam przyjechał jakiś generał. Że ze Studziannej powieźli zwłoki samochodem dalej. Wieźli też jedenastu swoich zabitych, w tym majora niemieckiego.

Alicki też przyniósł potwierdzenie wieści. Niemcy mieli znaleźć zwłoki w dole ziemnym (stąd się tłumaczy, że przeszukiwania Lecha były bezskuteczne). Wywieźli na tę łysinkę i przeżgnęli pierś zmarłego czterokrotnie bagnietem.

I Lech przyszedł. Niemcy ściągnęli z Anielina wóz z gnojem. Rzucili ciało zmarłego na gnój i, pastwiąc się, wieźli wśród uragań tłumiących się po lesie oddziałów. I jeszcze ściągnęli czterech zabitych Hubalczyków.

Dzień był, kiedy pozbierali się wszyscy, kiedy poskładali te wiadomości. A dzień - to bezruch i skrycie od tego światła, które należało do Niemców.

Poklękali więc wszyscy, co ocalili, piętnastu (i tylko jeszcze nie wiadomo było, co z Dołęgą i Tereską), w stodole i odmówili za księdzem Anioł Pański. Potem wyleźli pojedynczo na blask dzienny. Byli jak ślepe kocięta i nie wiedzieli, co robić.

I wraz przyjechała Tereska, która miała głębszy wywiad.

Była w Studziannej, kiedy ich przywieźli. Naprzód niemieckie trupy i tego ich zmarłego majora. Studzianna mrowiała się od niemieckiego wojska - w szerokim terenie, z obsadzaniem wsi, szos, duktów i przeskoków, polowały na tych dwudziestu dwóch dwie dywizje. Kiedy dwa gnojowe wozy z trupami naszych wjechały za wozami, wiozącymi poległych Niemców i kiedy okazało się, że jest pięciu tylko zabitych Hubalczyków - tłum żołdactwa ogarnął dziki szal. Grudy błota sypały się na zmarłych ze wszystkich stron.

W zmarłe oczy walono kamieniami. Twarze były tak zmasakrowane, że Tereską rozeznała tylko dziewiętnastolatka, kaprała Rysia - tego, który do końca bronił Warszawy i dołączył 29 IX w Krupkach. Nagle wyzwiska urwały się na najwyższej nucie, tłum stężał. Pod drugi wóz gnojowy podjechała czarna, lśniąca chromami, limuzyna. Wysiadł z niej szczupły, o ściągłej twarzy, generał niemiecki i podszedł do wozu, na którym leżał samotnie-der.tolle Major.

413

Twarz jego, w okolu ciemnoblond brody o złotych refleksach, była blada i wykrwiona, ale - czy to, że wieźli go w drugim z kolei wozie, czy dzięki pedanterii niemieckiej, dbałej o identyfikację - nikt nie zadrasnął tej twarzy. Oczu Hubalowi nikt nie zamknął i teraz, mając obficie gnoju podsypanego pod głową i jakby wyniesiony - patrzył w twarz tego, który kiedyś zmiatał przed nim z obławy, który teraz pokonał go... w rycerskiej walce.

Bo pierwszy atak niemiecki się skończył, drugi, na pożytek legendy, miał zacząć działać. Generał Blaskowicz, błyszcząc czerwienią generalskiego płaszcza, złotem bulionów, złotych liści na kołnierzu munduru, krzyżem żelaznym pod szyją, skrzypiący rzemieniami, w doskonale wyglansowanych butach, mając za sobą świetny sztab, salutował do daszka wgiętej pruskiej czapki - grottgerowskiego powstańca w kożusku, z romantycznym zarostem. Rzekłbyś - improwizacja tamtych bezbronnych lat, kiedy ci z dwururkami poszli w lasy, w te lasy, pod tenże Anielin, w którym w 1914 roku potykali się niemal tacyż bezbronni chłopcy. Gdyby nie jedno - gdyby nie ten srebrny wycinek metalu na błękitnej wstążeczce, przypięty na kożuszku, gdyby nie nieustępliwy znak, świadczący, że oto temu pokoleniu znów położył się pod nogi wynurzony spomiędzy fal wschodu i zachodu ład własnej państwowości, "istm wąski między dwoma oceanami na splukanie skazany"¹.

Co myślał generał Blaskowicz? Oto przed siedmiu miesiącami przyjmował w salonce niemieckiego dowództwa kapitulującego generała Rómmela. Te oto dziesięć tysięcy kapitulującego wojska to było ostatnie już, poza zlikwidowanym w tydzień potem generałem Kleebergiem, wojsko Rzeczypospolitej. Nie miała już ona twierdz ani składów, nie miała dział ani sprzętu, nie miała benzyny ani samolotów. I nagle, te tu jego dywizje miesiącami muszą uganiać się po krzakach za tą garstką szaleńców. Aby w dwudziestym wieku kronikarz tej wojny mógł pisać tak samo jak w siedemnastym jego poprzednik:

"Inne narodowie mają u swoich granic góry wysokie, morza niezgłębione. W Polsce równina płaska, nikomu niebronna. Wróg komunikem łącznie wejść może, wynieść, miast napaliwszy, jasyr pobrawszy. Piersi tylko nasze a gardła, oto cała obrona, oto morze, oto góry, oto fosy a mury, oto cała obrona nasza".

Długo salutował generał Blaskowicz rzuconego na gnój przeciwnika. Powoli ręce świąty poczęły podjeżdżać do daszków, za nimi salutowali oficerowie w tłumie, za nimi ryczący przed chwilą tłum zbierał kopyta Głośna rozprawa Wacława Nałkowskiego, publikowana w 1903 roku w Słowniku raficznym.

Geograficznym.

414

na baczność. Generał Blaskowicz nie odejmował ręki od daszka, i tak stali zwycięzcy, nie wiedząc, jaką postawę zachować należy przed tym wozem; był trzydziesty kwiecień w południe i już majowe słońce, te, które zwykło dekorować umajone polowe ołtarze, zapaliło wzniesienie gnoju pod głową zmarłego w barwy złotogłowiu, z którego poduszki podtykali moźnym rycerzom. Ziemia poczęła się robić lekka i przestronna pod nogami siorbającym Piętom Studziannej, które przechyliły się przez garnki hełmów, ziemia poczęła grzeć błotem wciągłym tym Niemcom, których nie zwierzał glid, którzy tu musieli stać stadem niecierpliwym i zbaraniałym - każdy na własnych nogach dla siebie, każdy przy zesztyniałych rękach dla jakiegoś Schauspiel, po coś potrzebnego generałowi.

Tedy warknął Blaskowicz jakąś komendę przez ramię. Posunęli od

lśniącej limuzyny świetni oficerowie i dźwignęli funkelnagelneu rękawiczkami ugnojone zwłoki. Złożyli je w samochód, ażeby heid był uczczony, ażeby nikt nie powiedział, że pohańbiła rycerskiego przeciwnika armia niemiecka, pozostawiając go łaskawemu błotowi Studziannej i siorbującym cywilnym Piętom1.

'Na skutek moich starań o materiał o poległym majorze Dobrzańskim-Hubalu, siostra

jego, ambasadorowa Papce, otrzymała następujący list od p. Zofii Pietrabissa, z domu Pol-

ki, zamężnej za dyplomata włoskim, datowany z Rio de Janeiro dn. 20 VII 46 (w nawia-

sach wstawiam dopiski p. Papee):

"Pytasz o moją rozmowę z Niemcem. Zostało mi to jak jakaś legenda - pamiętam sło-

wa - a już nie pamiętam, gdzie to było (w Berlinie - przyp. P.), w roku 1942, zima, a

może wcześniej. Było wtedy kilku wielkich generałów - był to obiad u konsula general-

nego Włoch. Nie wiadano, że jestem Polką. Przy cocktailu jeden z nich, najstarszy ranga

(gen. von der Lippe - przyp. P.) w rozmowie po francusku filozofował na temat wojny.

Twierdził, że nie daje mu ona satysfakcji, że jest łatwa, że nikt się nie broni, że każda bitwa

jest z góry wygrana. Właściwie bili się tylko Polacy, bronili się jak lwy.

Rozumiesz, jak

waliło mi serce w tym momencie...

»Tak, oni bili się jak lwy« -powtarzał jakby sam do siebie. - »Ja sam urządziłem wspaniały pogrzeb ostatniemu z obrońców, ostatniemu z walczących, który bronił się w

lasach aż do wiosny i poddać się nie chciał. Pogrzeb był wspaniały, nie mógłbym nic wspa-

nialszego dać nawet naszemu bohaterowi, bo my Niemcy szanujemy , admirujemy wiel-

kiego godnego nas przeciwnika. I chociaż to wróg, na grocie kazałem postawić krzyż z na-

pisem: Hieriięgt em Heid (przyp. m oj : taki grób nikomu w kraju nie jest znany). Zresz-

tą może pani znaleźć i w pismach opowieść o Schimmel Major, jak go nazywaliśmy, jak

duch bowiem zjawiał się na białym koniu w otoczeniu swoich ludzi, atakował nas i niepo-

koił. Nazywał się Dobrzański«. Ze zdumieniem usłyszałam własny głos, który pytał: »Czy

ten słynny jeździec?*. Nie dostałam odpowiedzi. Generał był ze swoimi myślami, najwi-

doczniej wzruszony swoją rycerskością, zadowolony z siebie.

it: »Czy

Kochana - tyle lat, tyle wrażeń, ludzi - nie dziw się, nie gniewaj, że Twój Wielki

Brat został mi tak jak był, jak Biały Duch.

I dlatego może wszystko, co jest dniem, datą, zwykłością - nie zostało przy mnie".

EPILOG

Znali więc prawdę: ten, któremu oddali bez reszty siebie, który myślał i decydował za nich przez te śmiertelnie trudne siedem miesięcy - nie

żyje. Byli przez te siedem miesięcy w lasach, nie wiedzieli, co się przez ten czas dzieje, przenieśli się w nierzeczywistość we wrześniu, w państwie własnym, trwali w tej nierzeczywistości w "oddziale wydzielonym kawalerii", aby - jak bohaterowie fantastycznych powieści - ocknąć się do życia na nieznanym łądzie n'eznanej epoki.

Siedzą w lesie i radzą. Zachowane cztery konie odprowadził sołtys w inny koniec wsi, siodła pochował. Ten las - to jedyna znana rzeczywistość. Już beużyteczna. Dalej za tym lasem - niewiadome.

Draży ich rozpacz i wstyd, że żyją, a oto major zginął.

"Ale i ty nie masz prawa żyć po mojej śmierci" - powiedział.

- Ale jak umrzeć? Żołnierz i samobójca - to dwie najodleglejsze antytezy. Żołnierz - zawsze chce żyć i zwyciężyć. Major też chciał żyć, szukał albo zwycięstwa, albo przetrwania, nie działał bez planu. A jaki tu plan? Bez wodza? W siedemnastu? (Bo jeszcze dołączył Dolega; dopadł tragicznej nocy konia, uciekł z papierami i z kasą. Zostawił je u gajowego i przekradł się po cywilnemu).

Lech siedzi oparty plecami o pień sosny. Puścił po kolanach pocięte żyłami dłonie: on tam nic nie wie - major kazał trwać do końca, a trwać to znaczy bić się z Niemcami. I znowu ulubione hubalowskie: "Nikt nas nie demobilizował..."

Alicki radzi przejść pod Włoszczowę, zaszyć się w lasy, może się coś zacznie?... A jak się nic nie zacznie - to do Francji.

Roman uważa, że bić się należy, ale z sensem. Mundur nie jest rzeczą najważniejszą, lecz walka, której formy się zmieniają. Trzeba przede wszystkim nawiązać kontakt z piechotą, a następnie z konspiracją. Kontakt z piechotą!... Serce im się ścisnęło. W przejściach ostatnich trzech dni nie mieli czasu pomyśleć o losach Sępa.

Książd podtrzymuje Romana: przejść należy do konspiracji, rozsiać się, a w sposobnej chwili skrzyknąć się - jako Hubalczycy.

Skrzyknąć się? Kto będzie wodzem? Najstarszy stopniem między nimi jest Lech.

Wtedy, w ten sam dzień w Rzeczycy nad Pilicą, zjawia się samodwa z drugim żołnierzem - Sęp. Tyle tylko zostało z piechoty.

416

Gdy się rozstali wówczas okrażeni w lasach pod Szalasami, nie wyskoczył tak łatwo z pierścienia oblawy. Poległo dwunastu. Po przebicciu się przez obsadzoną szosę zostało mu dwudziestu ośmiu. Jeszcze kilkakrotnie przebijali się oddziałem zwartym. Mieli wielką siłę ognia - szesnaście elkaemów. Mieli duże straty, zostało ich kilkunastu, ale i Niemców narżnęli. Niemcy zalali całe Góry Świętokrzyskie, samoloty stałe mieli nad głową: naprowadzały natychmiast ogień artylerii, gdziekolwiek się schronili. Walczyli dwa tygodnie, zostało ich kilkunastu, Sęp miał kilka dezercji, wreszcie rozpuścił oddział i z czterema żołnierzami przedzierał się do Hubala. Trzech poległo w tym przedzieraniu się, on z jednym doszedł. Tak więc - było ich dziewiętnastu. Sęp jest równy stopniem Lechowi. Ale żaden nie chce objąć dowództwa. Cień wspomnienia o Hubalu ciąży - któż żywy dotrzyma kroku legendzie?

Jednak - nie rozeszli się. Przesunęli się w Końskie trzema grupami. Kiedy te trzy grupy połączyły się znowu - znów ich było trzydziestu. To przekradła się reszta niedobitków Sępa, jacyś wydobrzali chorzy Hubala, pozostawieni w marszu. Żołnierz to był prosty, przedwrześniowy. Nie zawiedli go nigdy dowódcy, i wierzył. Choćby nie wiem jak rozbity - czuciem wilka, psim węchem, chłopską zaciekłą wiernością, polskim sercem tropił trasę oddziału i znów się meldował. Tylko - gdzie wódz?

Kazali oddziałowi się rozproszyć i czekać wezwania. Roman, Bem i Dołęga pojechali do Warszawy - szukać dowódcy. Swoich kontaktów nie mają - Iljin już w Oświęcimiu, Korab (Karpiński) prowadzi robotę w Radomsku, gdzie też go wkrótce rozstrzela gestapo. Do władz konspiracyjnych po tych wszystkich rzeziach wsi, które nastąpiły po wypowiedzeniu posłuszeństwa przez Hubala, udawać się nie śmia. Wówczas Swida, który ma jakieś kontakty w Miechowskim, przez tamtejszą organizację znajduje rotmistrza rezerwy, który w 1919 roku był dowódcą Hubala.

Rotmistrz ma półtora metra w pasie, ale Swida jest dobrej myśli.

Zawszeć to ktoś bliski legendy.

Zwołują zbiórkę we włoszczowskich lasach. Znow obstawionymi duktami ciągną nocami umundurowani i zbrojni. Alickiemu, przemycającemu się z Tadkiem, zaświecił niemiecki patrol latarką o trzy kroki. Padli i wyładowali magazynki; kilka niemieckich trupów zostało na placu. Wszyscy doszli, wszyscy się stawili. W mundurach. Jak nakazywał Hubal. -

Tylko przyszedł wódz przyjechał w cywilu, wygodnie, koleją, z dokumentami. W gajówce melduje mu się starszyzna. Z fasonem. Tak jak, 417

uczono w "wydzielonym oddziale kawalerii" za najlepszych dni treningów w Gałkach.

Łypnął pomazaniec na te twarze ściągnięte, wpadłe pilne oczy, na ludzi leśnych wichrem przewianych, wygarbowanych deszczami, po stokroć przeskakujących szosy w łunach reflektorów, na weteranów potyczek nad Narwią, pod Kępą, w Górach Świętokrzyskich, pod Huciskami, pod Szałasami, nad Pilicą, w Anielinie i powiada:

- Hubal był u mnie ułanem, to prawda. Ale ja nie jestem Hubal i radzę wam tymczasem się rozejść.

Zjadł jajecznice, przyrządzoną przez gajową i odjechał.

Jeszcze przez dwa miesiące (!) kręcą się po lasach spalskich. Na każdej gajówce na stałe Niemcy osadzili specjalną straż leśną w czarnych mundurach. Ludność ich nazywa "kruki", a te kruki wietrzą za żerem na samotnych i nie chcących kapitulować, żołnierzach Hubala. Sęp we włoszczowskich lasach miał większą harataninę. Lis znalazł złoto przy zabitym Niemcu, rozłakomił się, poszedł "na swoje"¹.

Zapadli w lasach, oliwiąc broń, chroniąc mundury, meldując się na zbiórki - czekali aż dotąd, mimo wszystko - czekali. W tym późnym lecie wciąż nie nadchodzącej, wytęsknionej przez zimę wiosny.

Coraz gorzej było z tą wiosną. 14 maja kapitulowała armia holenderska - znak jawny. 19 maja przełamany front francuski - uparcie mówili wciąż o kieszeni, w której odetną alianci Niemców. 28 maja kapitułuje Belgia - znak jawny i potwierdzenie. 30 maja Anglicy ewakuują się z Dunkierki - cóż pozostaje, aby żywić ich wiarę? 14 czerwca - pada Paryż. Głucho się robi na świecie - nie masz takiej potęgi, by w największej stolicy świata, która by nie struchlała, w proch nie padła.

15 czerwca wojska sowieckie zajmują Litwę, 16 czerwca zajmują Estonię. Diabeł ostatecznie zawładnął światem, a przecież - trwają na tym cypelku niepodległości obrzeżonym jodłowymi gałązkami.

17 czerwca marszałek Petain wydaje rozkaz złożenia broni, a 21 czerwca wbrew temu rozkazowi jeszcze walczy I. Polska Dywizja Pancerna we Francji, jeszcze trwa Polska Brygada w Syrii i jeszcze trwają w lasach spalskich żołnierze "wydzielonego oddziału kawalerii".

Aż teraz oto - 22 czerwca Francja podpisała zawieszenie broni; na całym kontynencie nie masz ani jednego ogniska oporu.

' Zebrał bandę w Górach Świętokrzyskich, licząc przeciętnie dwudziestu ludzi i

grasował z nią przez półtora jeszcze roku. Był wierny obietnicom, które składał zban-
dycony Jura za życia majora - grabił tylko Niemców. Przeciągał przez szosę na ukos
linewkę stalową, a kiedy samochód niemiecki rolował do rowu, zabijał i obierał
pasaże-
rów, odskakiwał na kilkadziesiąt kilometrów i po zacisznych melinach oczekiwał,
aż
zacichnie śledztwo. Co z nim się ostatecznie stało, nie wiem.

418

Wówczas, w dniu 25 czerwca. Brygada Kopańskiego przekracza gra-
nice Syrii.

I wówczas, w tenże sam dzień 25 czerwca, kiedy ich szczęśliwsi ko-
ledzy w tej brygadzie wystawili karabiny maszynowe przeciw spacyfi-
kowanym trabantom generała Dentza, ich koledzy w lasach spalskich
otrzymali rozkaz zbiórki.

Szli, jak chodzili po tej Polsce przez całe dziesięć miesięcy jej niewoli
- w mundurach, z dystynkcjami, przy broni.

Na polanie przed leśniczówką stanął oddział czterdziestu dwóch
umundurowanych żołnierzy Hubala. Bo tylu, mimo zamknięcia wer-
bunku, nasiąkło do lasów spalskich dawnych Hubalczyków. Prawdopo-
dobnie w ten dzień nie zbrakło ani jednego z tych, którzy ocaleli po
dniu oddania się Hubalowi na śmierć i życie w Gałkach.

Wódz ich nie żył, zobowiązania upadły. Obowiązek względem oj-
czyzny leżał gdzie indziej - tak uczyły nasze władze podziemne. Na-
dziei nie było, mogła być tylko zguba. I wodza nie było. Po tamtej stro-
nie były wszelkie rozgrzeszenia, po tej wszystkie potępienia. A przecież
szli na zbiórkę, zbrojno, w mundurach - wszyscy co do jednego, nie
wiedząc, czy im nie każą ponownie uderzać na dywizje, na korpusy, na
armie, na świat spodłaly, struchlały, niewolny.

W chałupie zebrała się starszyczna: Sęp, Lech, Dołęga, Roman, Alicki
i ksiądz. Jest i Tereska. Ta przez cały czas była aniołem opiekuńczym
oddziału. Łącznie z Genią i Ludką zaopatrywały oddział w broń i pa-
pierozy.

Wyszedł przed chałupę Sęp - dowódca wyróżnionej, walczącej do
końca, piechoty. Zakrzyknął komendę - stężał umundurowany dwu-
szereg.

Wtedy wystąpił ksiądz - jedyny mowny. Wytłumaczył, że wojna
przedłuża się, że nasze władze nalegają na rozwiązanie i że należy wal-
czyć inaczej. Wzniósł okrzyk: "Niech żyje Polska" i zakończył... po
księdzowsku:

- Teraz klękniemy i zmówmy "wieczne odpoczywanie" za majora.

Uklękli. Szło na lipiec 1940. Słońce przez drzewa kładło blask na
głowy klęczących.¹

¹ Broń zabezpieczono i wykaz schowków przekazano przez Dołęgę władzom orga-
nizacyjnym w Opocznie. Dzienniki działań, rozkazy, zdjęcia pochowano w wielu
miei-

scach; pod Opoczniem, Krasnymstawem, pod Ruskim Brodem, pod Gałkami. Ludzie
poszli do pracy konspiracyjnej, i większość z nich nie żyje. Nie mając dostępu
do nicze-

go, napisałem jednak, ilem wiedział, bo kruche i niepewne są nasze pamiętki,
nasze do-

kumenty - równie kruche niemal jak życie świadków. Z nawrotem kataklizmów jakie,
myśleliśmy, w ludzkości się nie powtórzą, może na wielki naród przyjść
konieczność

- żywienia się ustną tradycją, sagami, podawanymi z ust do ust. więc kiedy

papier

skręca się w ogniu, niechaj zostanie wolna pieśń o Hubalu.

419

INDEKS NAZWISK

Abraham Roman, gen. bryg. dr 178

Albrecht Janusz, pik dypL kaw. 257

Alicki Józef, wachm. 317, 330, 337, 342-346,
356-359, 361, 373,376,380,381,402,410,413,
416,417,419

Anders Władysław, gen. bryg. 62, 239, 241-245,
247, 250,252-258, 260-263, 267, 270, 273,276,
278,280,281,284,289-291, 293, 294, 299, 301,
306, 308, 309,361

Aniołek, strz. 77

Ankowicz-Dindorf Franciszek, gen. bryg. 252

Ariet Wiesław, urzędnik 32, 36, 40, 47-51, 57

Balcer, nauczyciel 29

Bała Mieczysław, kpt. 230

Bamke, ks. 47

Baranowski, kpr. 190, 191, 199

"Barbarycz" (Kuropka Edmund), pchor. 379,
380,382,383,391

Bartel Kazimierz, prof. 12

Bartel, właściwie Weydenthal Barthel Przemy-
sław de, ppłk 321, 322

Baron Jan 21

Bartoszak Franciszek, mat 82

Bądryński Antoni Jan, por. rez. 265

Beck Józef, płk dypL., minister 15, 67

"Bem" patrz: Morawski Zygmunt, ppor. 329,
332, 334,343-346, 352, 353,356,361,363,369,
371, 373, 377,380,385, 387-389,392-394, 409

Beria Ławrientij 312

Bębenek Alojzy, urzędnik 32, 36, 51, 55

Białas Henryk, szer., ps. "Mściwój" 349, 350,
352, 353,365-367

Biały Jan, mjr pil. 163

BiangaJan55,57

Bibrowicz Henryk, ppor. pil. 179

Bieliński Władysław, por. art. 216

Bieniasz Józef, plut. 71, 72

Blaskowitz Johannes, gen niem. 176, 177, 356,
360,414,415

Bobelak 19

Bocheńscy 197

Bohusz-Szysko 329

Bójko Jakub, senator 64

Bottuć Mikołaj, gen. bryg. 171, 243, 244

Borówko Andrzej 51

Bortnowski Władysław, gen. dyw. 119, 171, 176,
178,179,180,247,250

Bór-Komorowski Tadeusz, płk kaw./gen. dyw.
402

Brejer (właściwie Brajer) Roman, ułan 331, 404,
408-411

Brzeski Michał, por. lotn. 192

Brzozowski, kpr. 366, 379, 382, 392
Brzóska Stanisław, ks. 348
Budarkiewicz Włodzimierz, run. 243, 268, 272, 275
Buder Piotr, plut. 71
Budzyński Bronisław, poseł 29
Buryło Kazimierz Marian, por. 204, 209
Caesar Gaius 8
Carton de Viart Adrian, gen. ang. 67, 242
Cedrzyński (właściwie Ćebrzyński) Arsen, por. pil. 167-169
Cel Marianna, st. ułan, ps. "Tereska" 342
Chełczyński (właściwie Hełczyński) Edward Jan, kpt. dypl. art. 217
Chmielewski 58
Chodack; Marian, minister 32-35, 49-54, 56-58, 74
Chomińscy 329
Chrobok, inż. 19
Chrzanowski Wiktor, ppor. rez. kaw. 303, 304
Churchill Winston, premier ang. 241
Chichalewski, kpt. 148, 154
Coulondre Robert, ambasador 16
Cwynar Stanisław, kpt. pil. 163
Czapliński Aleksander, kpt. art. 301, 304
Czerwiński Stefan, ppłk dypl. art. 125
Czudek.kpr. 106, 117
Czyżewski, konsul 31
Damerau, konsul 15
Danielewicz, urzędnik 33
Dab-Biernacki Stefan, gen. dyw. 258, 260, 261, 263
Dąbrowski Franciszek, kpt. 68, 72, 81
Dąbrowski Jerzy, ppłk 317, 318
Dąbrowski Józef, rtm. 217
Deik Władysław, sierż. 34
Delatour (właściwie Latour de) Wacław, ppor. kaw. 274
Delka 55
Demel Franciszek 209, 219, 225, 234, 236
Dentz, gen.419
Deszyński, ppor. 275
Dobrzański Henryk, mjr, ps. "Hubal" 318-325, 328,415
Dombrowski 243
"Dołęga" patrz: Ossowski Henryk, pchor. 330, 371,373,400,410-413, 416, 417, 419
Dowbor-Muśnieki Józef, gen. broni 321
Drabik 380
420
Drapella Juliusz Alfred, gen. bryg. 171
Drucki-Lubecki Konstanty, płk dypl. kaw. 260, 276
Druzbaccy 367
Dudziński Julian Stanisław, kpt. 210, 232, 233
Dudziński Juliusz, mjr rez. kaw. 258

Dunin 406
DunstJan 32, 33, 36, 39, 44, 50-59
Dybczak, por. lotn. 176
Dydyński, ks. 29
Eberhardt Friedrich, gen. niem. 83, 84
Estreicher Stanisław, prof. 12
Fabrycy Kazimierz, gen. dyw. 184, 202, 207
Falkowski Jerzy, mjr dypl. kaw. 231
Falkowski, ppor. inż. 113, 114, 122
Faury Louis, gen. franc. 67, 242
Feryć Mirosław (właściwie Ferić), ppor. pil. 168
Filipowicz Julian, płk dypl. kaw. 252, 254, 263
Fink Oskar Juliusz, kpt. 249
Florkowski Jerzy, mjr kaw. 317
Fojkis Walenty, kpt. 18, 19, 21, 23
Forster Albert 53
Franciszek, ks. 29
Fryderyk Wilhelm II 64
Furgalski; Teodor, płk dypl. 245, 246
Ganowicz Lucjan, por. art. 107
Gawlik Zbigniew, por. rez. 231
Gawlikowski Zdzisław, por. rez. 230
GaździkJan Stanisław, kpt. pil. 186, 187, 194
Gedymin Włodzimierz, ppor. pil. 177
Gędziński Zbigniew, ppor. 268
Gierasiński (właściwie Gierasieński) Tadeusz
Izydor, por. kaw. 261
Gierlecki, por. 261, 262, 265
Głodny Hans 8
Głogowski Adam, radca 32, 36, 47, 48, 51-54, 58
Głowacki Jerzy, ppłk 229, 230
Głowacz Franciszek, plut., ps. "Lis" 330
Goersdorf, ppor. 14, 22
Gołko Leon, pchor. (ps. "Lorek") 344, 347, 373
Górecki, por. obs. 177
"Grabieć (właściwie "Grabica") patrz: Rowecki
Stefan, płk dypl. 400, 401
Grabowski, dr, także Margulies 139, 140
Grabowski (właściwie Grabiński) Józef, kpt., ps.
"Pomian" 334
Grabowski Eugeniusz, kpr. 68, 69, 73
Graf, konsul 15
Grażyński Michał, wojewoda 15
Grismann Zygmunt 58
Grobicki Jerzy, płk dypl. kaw. 252, 253, 258,
265, 266, 271, 276, 308
Grochowski Zbigniew, por. obs. 176
Gródecki Stefan, por. 68, 81
Groth Edward, konsul 48, 56
Grudziński Bronisław, kpr. 69, 81
"Gruszka" (Kaczorowski Marian), st. strz. 340, '
347, 348, 378, 391
Gruziński (właściwie Gruński) Władysław, płk
art. 208
Grzybowski Lech, ppor. pil. 179
Gryczman Jan, chór. 68, 70, 72-74, 78-83

Gudenus, por. niem. 277, 278
 Guderian Heinz, gen. niem. 245
 Gumiński Wojciech, por. kaw. 254
 Halicki Kazimierz Bolesław, płk 142
 Hames, mjr niem. 169
 Heller Władysław Eugeniusz, płk dypl. obs. 187
 Hencke (właściwie Henke), ppłk niem. 83-85
 Hess Rudolf 9, 11
 Hindenburg Paul von Beneckendorf, feldmarsz. niem. 47
 Hinske, płk niem. 168
 Hitler Adolf, kanclerz 8, 9, 11, 12, 15, 16, 22, 32, 34, 36, 47, 51, 53, 88, 112, 238, 367
 Hodała Karol, ppłk dypl. 217, 229, 231
 "Hubal" patrz: Dobrzański Henryk, mjr kaw. 6, 328-334, 336-344, 346-349, 351, 355, 359-361, 365-374, 377, 379-382, 384-395, 397, 399-412, 414, 415, 417-419
 Iłjin Modest, ppor. 329, 342-344, 347, 373
 Iwanów, gen. radż. 309
 Jakubowicz Kazimierz, kpt. obs. 190, 191
 Janicki Zbigniew, ppor. 168
 Janke Zygmunt, kpt. dypl. 276
 Jankowski, por. 121
 Januszewicz Wojciech, por. pil. 168, 169
 Januszewicz, plut. 220
 Janowski, kpr. 178
 Januszewski Franciszek, kpt. pil. 176, 177
 Janziniak Aleksander, kpt. dypl. 205
 Janos Józef, kpt. 230
 Januk Jan, kpr. 198
 Janura Władysław, kpr. 390, 402-404, 418
 "Jurand" (Jodłowski Edmund) 333
 Jagankiewicz Stanisław, kpr. 380, 381, 384, 404; 410
 Kaleta 13
 Kaletowa 13
 Jakubowicz Maciej, kpt. dypl., ps. "Kotwicz" 326, 328, 329
 Kamiński, ppor. 266, 276
 Kamiński Jan Ołompiusz, ppłk art. 282
 Kaniowski Zdzisław Andrzej, ppor. 199
 Karcz Jan, płk dypl. kaw. 260, 263
 Karpiński Feliks, por., ps. "Korab" 329, 372, 417
 Karpiński 317
 Kasprzak (właściwie Kasprzyk) Tadeusz 390, 404, 405
 Kiedacz Zbigniew, rtm. 240, 249, 252, 254, 255, 261, 269, 270, 273, 284, 289, 296, 308
 Kita Józef, strzel. 84
 Kiwerscy 260
 Kleczyński, ułan 327
 Kleeberg Franciszek, gen. bryg. 148, 152, 156, 414
 Kluge Hans Gunter, gen. niem. 171
 Knoll-Kownacki Edmund, gen. bryg. 178

Kocur Szymon, ppłk dypl. 219
421
Kolanko 19
Kopański Stanisław, gen. dyw. 419
Kopeć Feliks, ppłk 253
"Korab" patrz: Karpiński Feliks 329, 335, 336,
350, 352, 367, 373, 374, 417
Kordecki Augustyn, zakonnik 348
Koszade, ppor. 114-116
Koszutski Stanisław, kpt. 273, 274, 280, 281, 308
"Kotwicz" patrz: Kalenkiewicz Maciej, kpt.
dypl. 328, 341, 346, 352, 361
Kowalow Michał 145
Kowalski Wincenty, gen. bryg. 260
Krasnodębski Zdzisław, kpt. 167
Krasnokucki Włodzimierz, por. rez. sap. inż,
120-123, 126
Kręcki Franciszek, dr 58, 59
Kręgielski Zdzisław, por. 301, 302, 304
Kropiński Zenon Władysław, kpt. dypl. art. 301,
302, 304
Królikiewicz Adam, mjr kaw. 325
Kuczyński Stanisław, run. dypl. 252, 279, 294,
309
Kuleśza, plut. 195
Kulesza-Hanka Stefan, płk kaw. 142, 144
Kutrzeba Tadeusz, gen. dyw. 6, 174, 176, 177,
181, 184, 250, 252
Kuźmiński Stanisław, płk dypl. pil. inż. 174, 177-
-179, 181
Kuhler (właściwie Kuchler) Georg von, gen.
niem. 171
Kwiatkowski, ppor. 270, 284, 290
Kwieciński Józef, rtm. 274
Lachowicz, ppor. 373
Langner Władysław, gen. bryg. 267
Lasalle Karol hr. gen. franc. 267
Laskowski Florian, kpt. pil. 171, 172
Latawiec Michał, por. 198
Latwis Stanisław, por. pil. 164
"Lech" patrz: Świda Józef, pchor. 364, 371, 373,
374, 380, 385, 394, 411-413, 416, 417, 419
"Leliwa" patrz: Ptaszyński Edward, ks. 401
Lemański Kazimierz 55
Lendzion Antoni, poseł 29, 39, 40, 44, 55, 56, 58,
59
Leszek Adolf, kpr. 192
Leśmak, pchor. 332, 336, 345
Leśniewski Mirosław, kpt. lotn. 171-173
Lewandowicz Jerzy, por. 87, 88, 103
Lewkowicz Józef, por. 301, 303
Lichtarowicz Józef, rtm. 276, 301-305
Lippe von, gen. niem. 415
"Lis" patrz: Głowacz Franciszek 330, 332, 347,
348, 353, 363, 377, 378, 394, 404, 418
Lis-Kula Leopold, płk 321

Lisiak, ułan 305
 Litawor-Abramowicz 330
 Lityński Eugeniusz Robert, mjr 218, 229, 230
 Lizoń Włodzimierz, mjr 273, 275
 Lorek Jan Kanty, bp 398
 Lorentz (właściwie Lorenz) Kazimierz Władysław, mjr 208
 "Lotnik" patrz: Madej Tadeusz, ułan 331
 Laguna Piotr, kpt. pil. 199
 Łangowski Bronisław, dr 58, 59
 Łaniewski-Wołk Jerzy, por. rez. 146
 Łapkowski Wacław, por. 170
 Łakowiec, kpr. 79, 80
 Łopatniuk Józef, plut. 70, 80
 Łukowski (właściwie Orlik-Łukoski) Kazimierz, gen. bryg. 203, 207, 209, 234, 236, 237
 "Łużyc Jerzy" (Wańkowicz Melchior) 6
 Mac Marian, por. 230
 Maczek Stanisław, płk dypl. piech. 203-205, 223, 224, 263
 Madej Tadeusz, ułan, ps. "Nawrocki", "Lotnik" 331
 Magdziarz Franciszek, plut. 77
 Makowski Antoni Franciszek, por. art. 208
 Maleszewski (właściwie Maliszewski) Teodor 29
 Małachowski Stanisław, gen. bryg. 252, 253
 Mańkowscy 358
 Marcinek Józef 115, 117, 118, 121
 Markowski, por. 116, 121, 124, 125, 127-129, 131
 Maruszewski Mieczysław, ułan 403
 Matuszak, kpr. 177
 Medwecki Mieczysław, kpt. pil. 153
 _Melka Feliks 58
 Mędyk, dr 31, 34, 35, 43
 Meysztowiczówna 197
 Michac 10
 Michajłowicz (właściwie Mihajłowić) Draża, gen. jug. 255
 Mielszyński, kpr. 172
 Mielech Stanisław, dr 39, 47
 Mierkułow 312
 Międzybrodzki 22
 "Miller" patrz: Okulicki Leopold, ppłk dypl. 372, 400, 402
 Mirski, książę 196
 Mitis, pchor. 116, 124, 125, 128-131
 Młyński Stanisław, mjr 226
 Moderow Włodzimierz 31, 44, 57
 Modrzewski Radosław, por. obs. 189, 191, 193, 194
 Moeldecke, konsul 15
 Mokkę Hans von, ambasador 15
 Mołotow Wiaczesław 214
 Mond Bernard, gen. bryg. 104, 106, 269
 Morawski Tadeusz, pchor. 328
 Morawski Zygmunt, ppor., ps. "Bem" 329

Morawski (właściwie Morawski-Dzierżykraj)
Witold, płk dypl. kaw. 329
Morawski, płk 209, 231, 234, 235
Morawski Marian, ppłk 329
Moroz, ułan 261, 262
Możdżeń Henryk, por. obs. 189
"Mściwój" patrz: Białas Henryk, strz. 353
Mucha Ludwik, ks. 357, 358, 360, 367, 369, 373,
375,380,388,397,398,402, 403
Mularczyk Józef, ppłk kaw. 261
Mumler Mieczysław, mjr pil. 178-181
Nagórski Stanisław, ks. 29
Nałkowski Wacław 414
422
Napoleon I Bonaparte, cesarz 64, 267
"Nawrocki" patrz: Madej Tadeusz 331
Nawrót, majster 173
Nowacki Władysław, mjr kaw. 265
Nowacki Michał, por. 191
Nowak Walenty, płk 217, 227
Nowak 13
Nowakowski Władysław, pchor. 169
Nowakowski Walerian, kpr. pil. 195
Nowicki, por. 304
Norwid-Neugebauer Mieczysław, gen. dyw. 255
Obem de, por. 137
Obertynslu Tomasz, płk 258
Obtułowicz Czesław Tomasz, płk 208
Ogryczak Roman 53, 54
Okciński (właśc. Okoński) Franciszek, pil. 192
Okrzeja Stefan, por. pil. 166, 169
Okulewicz Józef, por. art. 301
Okulicki Leopold, ppłk dypl., os. "Miller" 372
Olbrycht Bruno, gen. bryg. 260
Olendzki Piotr 332, 335, 336, 345
Olszewski Stefan, por. kaw. 274
Olszyna-Wilczyński Józef, gen. bryg. 317
Opulski Tadeusz Michał, kpt. pil. 167
Osoba, por. 114, 116
Ossowski Henryk, pchor., ps. "Dolega" 330
Ostrowicz Tadeusz, mjr 208
Pająk Leon, por. 68, 70-76, 79, 83
Palusiński, por. 166
Pamuła Leopold, ppłk pil. 167
Panek Kazimierz, ppor. 223
Papee Leonia 415
Paszota Bolesław 29
Pawlikowski Stefan, płk pil. 165, 167
Perkowski Tadeusz 45, 56, 57
Perszon Augustyn 29
Perucki Piotr, mjr 243, 246-249, 256, 263, 264,
273,278,306, 308
Peszke Alfred, mjr obs. 186, 190, 193, 194, 198
Petain Philippe, marsz, franc. 418
Petrykowski, kpr. 290, 296
Petzef (właściwie Petzelt) Adolf, plut. 71, 77

Piątek 8
Pietkowski, wachm. 267
Pietrabissa Zofia 415
Pielosch Kari 10
Piłsudski Józef, Marsz. Polski 36, 37, 65, 135, 355
Pingot Marian, kpr. 177
Piotrowicz, ks. 399
Piotrowski Maciej, kpt. pil. 186, 192
Piotrowski Leonard, st. ogn. 82
Piskor Tadeusz, gen. dyw. 174, 185, 264-266
Plisowski Konstanty, gen. bryg. 270, 287, 290, 291
Płonka 21
Pogorzelski Władysław, kpt. sap. 116
"Pomian" patrz: Grabiński Józef 334, 352, 353, 366, 373
"Pomsta" (Stańczykowski Marian) 331, 379-382, 391
Półeczek, ppor. 20
Popiel Wacław, ppłk dypl. art. 215, 227
Popławski Ignacy, ppor. kaw. 274
Powierza Władysław, płk dypl. 113, 114
Poziomek Stanisław, kpt. dypl. obs. 200
Poznański Józef, kmdr 31, 44, 54
Pragłowski Aleksander, płk dypl. kaw. 255
Pronaszko Mieczysław, kpt. pil. 186, 188, 191, 192, 197, 199
Prudio Wincenty 19
Prugar-Ketling Bronisław, pik dypl. 203, 205, 207, 209-211, 213-215, 219, 226, 227, 229-234, 236, 237
Przedrzymirski-Krukowicz Emil, gen. bryg. 244, 248, 249, 258
Przeździecki Wacław, gen. bryg. 316
Przybycin 19
Ptaszyński Edward, kpt. dr ks., ps. "Leliwa" 348, 398-403, 411
Ouisling Widkun 12
Rabenda Lucjan, kpt. mar. 155
Radke, dyr. 40
Radziwanowski Bronisław, ppor. kaw. 243, 257, 268
Rankowicz Wojciech, mjr 308
Rauschning Herman 9, 11, 12
Reszke (właściwie Peszke) Alfred, mjr obs. 163
Rodziewicz Romuald, wachm., ps. "Roman" 317, 322, 326, 327, 329, 330
Rogaczewski, Franciszek, ks. 29, 58, 59
Rohociński (właściwie Rohoziński) Tadeusz, ppłk 253
"Roman" patrz: Rodziewicz Romuald, wachm. 329, 330, 336, 339, 343-346, 352, 353, 357, 359-362, 364, 369, 371-373, 375-378, 380-383, 388-391, 394, 402, 404, 407-412, 416, 417, 419
Romerowa 329

Rowecki Stefan, płk dypl. piech., ps. "Grabica"
266
Rozenek, mjr niem. 358
Rómmel Juliusz, gen. dyw. 176, 177, 179, 250,
252,254,255,414
Rudnicki Klemens, gen. bryg. 358, 359
Rudowski Eugeniusz, por. 195
Rulikowski (właściwie Orlikowski) Stanisław,
kpr. 176
Rupiejko, por. 148
Ruprecht 33
Rusin Antoni, por. 97
Ruszkowski Marcin 55
Rygielski Bernard, mat 70, 72
"Ryś" (Kossowski Antoni), kpr. 331, 357, 410,
411,413
Sadowski Jagmin Jan, gen. bryg. 266
Sadowski - patrz wyżej: płk 20
Sawczyk Włodzimierz, ppor. rez. 317
Sawicki-Sawa Kazimierz, gen. bryg. 146
Schodowski Józef, ppor. 231
Schuschnigg Kun von 50
Schweizer Ludwik, płk dypl. kaw. 255, 256,
423
272-274, 276, 280, 301, 302, 304, 305,308
Seckt (właściwie Seeckt) H. von, gen. niem. 241
Seelos, konsul 15
Sędziewski, por. 184
"Sęp" patrz; Szymański Marek, por. 340, 346,
347,353,356,357,373,379,380,384,388, 389,
393, 394, 397,403,416-419
Sidorowicz, konsul 31
Sidorowicz Gustaw, kpt. pil. 166
Sikorski Władysław Eugeniusz, gen. broni 312,
370,375,386
Siwiński Włodzimierz, por. 107-109, 111
Skibiński Józef Ludwik, kpt. obs. 163
Skirmuntowie 329
Skorupka Ignacy, ks. 348
Skotmcki-Grzmot Stanisław, gen. bryg. 171,178,
180
Skromny 332, 336
Słaby Mieczysław, kpt. dr med. 68, 74, 81
Sławomirski Julian, por. 176
Smorawiński Mieczysław, gen. bryg. 146
Sobczak, ks. 360
Sobczak Kazimierz, pil. 192
Sobczak Kazimierz, ppor. 176
"Sokół" (Szkodziński Jerzy) 353
Sobociński Wincenty, ppłk 29, 32, 36-39, 43, 47,
48,57
Solik Piotr 19
Sołtan Adam, mjr dypl. kaw. 252
Sołtykiewicz Stanisław, rtm. 317, 321, 323, 326-
-328,333, 336
Sosnkowski Kazimierz, gen. broni 6, 201, 203,

205-215, 217-232, 234-237, 263,267
Spiechowicz-Boruta (właściwie Boruta-Spiechowicz) Mieczysław, gen. bryg. 202
Stachiewicz Wacław, gen. bryg. 176
Stachlewski Bohdan Kazimierz, płk 267, 269, 270,278
Stachula 8
Stalin Józef 16, 367
Stangret Kazimierz, por. obs. 195
Stankowski Wiktor 33
Starzyński Stefan, preż. 267
Stawarz Aleksander, płk 204, 205, 207, 211
Steffens, sierż. 169
Stęgiński, kpr. 176
Stoch Czesław, ppor. rez. sap. 121, 124-126, 128-131
Stulik 364, 371, 375, 382, 389, 403, 405
Sucharski Henryk, mjr 33, 50, 63-68, 71, 73, 74, 80, 83-86
Supernak Kazimierz, por. rez. 113, 114
Szaflarski, ppłk 304
Szafran Jarosław, płk dypl. 223
Szafranski, woźny 55
Szalewicz Wacław, płk 146
Szamlewski Edmund, kpr. 70, 72, 77
Szczot Edmund Franciszek, ppor. 204
Szembek Jan Włodzimierz 15
Szewczuk Edward, chór. 82
Szosland Kazimierz, mjr kaw. 325
Szuijierz (właściwie Szulierz), strz. 195
Szumelda Zygmunt, pchor. 188
Szwarcenberg-Czerny (właściwie Schwarzenberg-Czerny) Bolesław, płk 234, 236
Szejczer Doda 367, 369, 394
Szylling Antoni, gen. bryg. 119, 122, 183, 184, 211,214,266
Szymański, ppłk 234, 235
Szymański Marek, por., ps. "Sęp" 340
Ślęzak, kpr. 121
Śliwiński Władysław, run. 243
Śliwczyński Mieczysław, kpt. 117
Ślizień Olgierd, rtm. 287, 290. 308
Śmigły-Rydz Edward, Marsz. Polski 67, 171, 174, 175,242,255,325,355
Śniegocki 40
Świda Józef, pchor., ps. "Lech" 360, 361, 402, . 417
Święcicki Walerian, ks. 227, 236
"Tchorzewski" (Wiistenberg Józef), ppor. 329, 368
Tchórzelski, kpt. 29, 32, 36, 38-40, 43, 45-48
Tejkowski Czesław 58, 59
"Tereska" patrz: Cel Marianna 342, 345, 347, 349, 350, 352, 359, 363, 364, 369, 380, 384, 389, 391,394,395,402,403,411,413,419
Tiuleniew I. W., gen. radż. 276, 280

Tokarzewski-Karaszewicz Michał, gen. bryg.,
ps. "Torwid" 180, 359, 374
"Torwid" patrz: Tokarzewski-Karaszewicz Mi-
chał, gen. bryg. 359
Tour de la (właściwie Latour de) Kazimierz, kpt.
art. 140
Turło Marian, pchor. 304, 305
Tuski Maksymilian, rtm. 286-288, 297, 300
Tysarczyk 58
Ujejski Stanisław, gen. bryg. pil. obs. 177, 186
Ulewicz, ułan 305
Uracz Bolesław, por. rez. 113, 114, 116
Urban, por. 172
Ville de Bronisław, kpt. 237
"Walbach" patrz: Walicki; Józef, rtm. 361, 366,
373
Walicki Józef, rtm., ps. "Walbach" 361, 366, 373
Walter, konsul 15
Wambeck 13, 15
Wandel, por. 137
Warchoł Władysław, płk 146
Warta (właściwie Wart) Roman, ppłk 89, 93, 94,
97, 99, 102
Weber 377, 378
Wejman (właściwie Weyman) Ludwik Wiktor,
ppor. 177
Weraksa (właściwie Werakso) Józef, ppłk pil.
163, 200
Wesołowski Marian 35
Westermeyer 48-50, 55-56
Wężykowie 187
Wiecki Bernard, ks. 29
Wierciński Juliusz, inż. 44, 54, 55
424
Wierzbicki 178
Wiesner Rudolf, senator 11, 13, 15
Wiewiórski, por. 284, 289
Wilczyński, kpr. 177
Wilk Szczepan 19
Wir-Konas Alojzy, pik 222, 227, 232, 234, 236,
237
Wiszniewski, por. 178
Wiśniewski Kazimierz, ppłk dypl. 209, 234, 236
Witek Zygmunt Franciszek, por. 231
Wnuk Wincenty, mjr 65
Wojakowski, sołtys 367
Wołkowicki Jerzy, gen. bryg. 260
Wołowicz Eustachy 31, 34, 35, 43-
Wrona, kpr. 335, 345, 346
Wropaj, por. 303
Wróbel, plut. 204
Wyrostek Witold, por. mar. 155
Wysocki, ułan 305
Wyspiański Stanisław 64
Wywierkowski (właściwie Wiewiórkowski) Jan,
kpr. 176

Zabielak, gajowy 298
"Zagłoba" (Kaczorowski Leszek) 353
Zając 10
Zakrzewski Leszek, opór. 302, 304, 305, 336
Zakrzewski Adam, płk kaw. 260, 265
Zalewski Antoni 27, 32, 33, 35, 36, 42-44, 47, 51-
-53,57
Zamoyski, hr. 258, 322, 324
Zaremba Jerzy, kpt. pil. 175
Zawadowski Zygmunt 32, 33, 35, 43-45, 47, 56,
Zawieja 21, 109
Zdziarski, kpt. 247
"Zemsta" (Lisiewicz), kpr. 380, 410
Zgorzelski; Władysław, rtm, 283, 284, 288, 292,
293,295-297
ZięcikJ-.ppor. 102
Zulauf Jufiusz, gen. bryg. 252, 253
Zwolski Zbigniew 114
Zyndram-Kościakowscy 329
Zeligowski Lucjan, gen. broni 389
Zeliszewski; Kazimierz, płk kaw. 245, 252, 270
Zerkowski, kpr. 177
Żyliński, bp. 399
Żywiec Wacław, por. kaw. 299, 301, 303
INDEKS NAZW MIEJSCOWOŚCI
Adamów 156
Adersdorf (obecnie Orlowo)
57,67
Aldershot 325
Ankara 63, 64
Angers 373, 374
Anielin 363, 365, 367, 409, 413,
418
Anin 251, 366, 379, 382, 392
Antonówka 121, 123, 126
Augustów 335
Babice 207
Bachurz 206
Baranowice 317
Baranów 111,112, 258, 268
Barycz 203-205, 208
Basra 309
Bejrut 308, 309
Bełżec 270
Berchtesgaden 13
Berlin 16, 51, 92, 180, 241, 415
Będzin 109
Biała 187, 193
Biała Podlaska 186
Białystok 405
Bielawy 354, 355, 357, 360
Bielszowice21, 109
Biłgoraj 113
Bircza 206, 207, 213
Biskupin 382
Białów 204, 206

Błonie 181
Bóbrka 302
Braszków 63
Brody 144, 197-200
Broszki 272-274
Brześć n. Bugiem 64, 177
Brzeziny 137, 141
Brzeźno (Oliwa) 77
Bruchnał 230
Brzuchowice 225-227, 229, 230, 232
Budomierz Mały 272
Budy 154
Budziska 149
Bukareszt 88, 308
Bukowna 21
Busk 141
Bydgoszcz 14, 22, 171
Casamassima 86
Chełm 145-147, 167, 184, 258
Chlewiska 376, 378, 379, 382
Chmielów 111
Chojnice 171
Chorzów 13, 20
Chrobrze 359
Chropaczów 21
Chrzanów 107
Chyrów 284, 286, 306
Cieszanów 269
Cieszyn 15
Ciosny 113
Ciotusza 268
Cisną 304
Cisownik 345, 352, 361
Czarnokońce 217, 219
Czarny Las 109
Czerwonka 14
Częstochowa 81, 171, 188, 189
Ćwierczynowiec 22
Dąbrowa 352
Denysów 168
Dernak 276, 301
Dessau 79
Dębica 101
Dęblin 141, 154, 164, 184, 191, 196
Dęby 316
Dołżyce 304
Drzewka 375, 382
Dubienko 207
Dublany 236, 237
Dubno 141
Dunkierka 418
Dynów 204
Działdowo 242
Edwardówka 113-116

Felsztyn 278, 286
Fordon 171
Friedenschluss (obecnie Mirów)
27
Fryszarka 410, 412
Fryszak 203
Gałki 366, 369-372, 374, 379,
403,405,418,419
Garwolin 137-139, 255-257
Gdańsk 10-12, 25-29, 31, 32,
38, 39, 42,47,49-58, 64-67,
70, 73, 80
Gdynia 27, 31, 50, 65, 155
Gliniany 64
Głubczyce (Leobschutz) 12
Gniewków 171
Gniezno 175, 176
Gnojnice 274
Gocławek 166
Górka Węgierska 89
Góra 94, 97, 99
Góra Kalwaria 137
Góry Krzywieckie 209
Gręboszów 64, 65
Grochów 251
Grodno 316, 317
Gross-Reslau 243
Grójec 195
Grudziądz 171, 406
Grzybowice Małe 236
Grzybowice Wielkie 236
Hel 142
Heubude (obecnie Stogi) 74
Hiewin 361
Hołosko 230
Hołynka 316
Honoratów 329
Horaj 272
Hrubieszów 144, 258, 406
Huciska 375, 376, 379, 385,
387,391,397,400, 403, 409,
418
Huszt 406
Huta 151,152
Huta Różaniecka 269
Hutnik! 198, 199
Inowłódz 403
Inowrocław 175
Isaje 290
. abłonna 250, 251
Jacna 263
Janów 214, 221, 222, 226
Janów Łomżyński 317
Iarosław 270
426
asionka Stasiowa 294-297, 309

asło 203
astków 406
aworów 208, 211, 219, 272,
277
Jezioro 316
Jędrzejów 22
Józefów 267
Kalisz 175
Kalthof (obecnie Kałdowo) 39,
45, 56
Kamionka Strumiłowa 141-142,
157
Karczew 251, 253
Karol-Emanuel (obecnie Ruda
Śląska) 13
Katowice 8, 15, 81
Kępa 326, 418
Kęty k. Białej 88
Kielce 349, 351, 352, 359, 366,
374, 387, 394-396, 400
Kirkuk 290
Kłajpeda 65
Kłobuck 188, 189
Klornica 188
Knurów 21
Kobylanka 165
Kochanówka 272
Kock 148
Kokoszki 27
Kolibki 28, 31
Koło 176-178
Komaje 329
Komorów 64
Kondratowa 293, 296
Konin 176, 177
Końskie 339-341, 367, 417
Kościeliska 212
Kowel 406
Kozia Wólka 403
Koziełsk 146
Kozłówek 258
Krakowiec 272, 274
Kraków 64, 81, 88, 106, 107,
111, 113, 119, 135, 342
Krasieczyn 209, 213
Krasnobród 16, 262, 263,
266-268, 270, 279, 361, 385
Krasny Bór 403
Krasnystaw 419
Kreuzburg (obecnie Kluczbork)
195
Królewiec 58, 79
Krupki 320, 322, 372, 413
Krywe 304
Krzywczyna 207-209, 230
Kutno 63, 176, 178-180, 250,

361,366
Kuty 170, 174
Kwidzyn 31
Lasy 272
Lasy Brzuchowickie 224, 228,
.asy J
230
Lasy Janowskie 204, 215, 220,
222,225,230,232
Łaszki Murowane 286
Lelechówka 226, 227, 230
Leobschiitz (obecnie Głubczy-
ce) 12
Leszczesna 276, 277
Lidkę 374
Lidzbark 242, 268
Ligota 23
Lipa 172, 342, 343
Lipiny 155
Lisk 302
Londyn 312, 325
Loszyn 181
Lubiatów 406
Lublin 145, 146, 170, 177, 181,
184, 185, 192,258
Lubliniec 188
Lutowiska 307
Lwów 15, 109, 116, 141, 146,
186,198,204,208,211,215,
217,221,223-230,234,236,
267,309,311,312,331,406
Łagiewniki 109
Łany Polskie 142
Łańcut 203
Łasin 22
Łaskarzew 257
Łastówka 292, 293, 296
Łaszów 146
Ławica 174, 175
Ławski Bród 330
Łąck 247
Łęczyca 178,179
Łętownia208,209,213
Łodzianki 301
Łowicz 137, 141, 180
Łódź 11,176,177,199, 200,346
Łuck 141
Łysobyki 258
Maciejówkę 139,140, 326
Magdeburg 37
Majdan 267
Majdanek 262, 268
Makoszowy 16, 17
Maniewicze 406
Maziarnia 269
Michaliszk; 329

Michałkowice 18-21, 23, 109
Michów 258
Mielec 101
Międzyrzec 188
Milchkenngasse (obecnie Stągiewna) 52
Mińsk Maż. 251-254, 256, 268, 279
Miranda 63
Mława 169, 243
Modlin 141, 246, 248-251, 256
Mogiłki 217-219
Morańce 272-274
Morawska Ostrawa 31
Moskwa 63, 310
Mościce 189
Mościska 211, 213, 215
Mroczenko 243
Murnau 63
Mużyłowice 217, 219, 220
Nahaczów 272
Narol 270
Narwik 397, 400, 401
Neapol 86
Neufahrwasser (obecnie Nowy Port) 29, 56, 58, 66, 68, 73, 81, 85
Nieborów 86
Niedomice 101
Niegardów 406
Nienadowa 206
Nieśwież 268
Niżankowice 301
Nosów 186, 191
Nowe Miasto 356, 364
Nowocie 403
Nowosiółki 217
Nowy Dwór 251
Nowy Korczyn 107, 112
Nowy Targ 184
Odroważ 385-387, 394
Ojców 336
Okęcie 169, 170
Oliwa 27
Olszewo 329
Opoczno 329, 352, 357, 367, 368, 370, 377, 404, 419
Orelec 302
Orwidów 329
Orzegów 21, 109
Ostrów Mazowiecka 331
Ostryń 316, 318
Oświęcim 63, 93, 329, 330, 344, 360, 365, 405, 417
Otwock 170, 251-253
Pacanów 107

Palmiry 169
Parczew 148
Paryż 12, 174, 418
Pawłów 21, 109
Piekary 21
Piekło 29, 39
Pińczów 109,359
Pińsk 155, 199
Piotrków 163, 334, 349, 350,
365
Płazów 269
Płazew 270
Płock 140, 180, 243-247
Podklasztorze 265
427
Ponikła 409
Porabka 101
Potasznik 256
Poznań 15,178
Prusy 237
Przedbórz 403
Przemysł 204, 206-209, 211-
-213,223,225,232,234,309
Przytoczna 156
Pszczółki 50
Pszczyna 93
Puszcza Kampinoska 248-250
Raciąż 245
Radom 178,189,192,358,
373, 405
Radomsk 329, 417
Radoszyce 342,345,349,351
Radycz 297,298
Radymno 204, 206, 208
Rakowice 183
Rarańcza 406
Rawa Ruska 130, 146, 157,198,
199,208,211
Rejowiec 157, 260, 270, 279
Rembertów 165, 166, 250
Rio de Janeiro 415
Rogoźno217,219,230,277
Rosenberg (obecnie Olesno)
195
Rosochy 347
Rożnów 101
Ruski Bród 348, 419
Ryki 257
Rzeczyca 356,367,412,416
Rzeszów 101, 203, 406
Rzęsna 222, 226-228
Rzym 399
Sambor 263, 278, 284, 306, 307,
406
Sandomierz 170, 400
Sanok 302

Sadowa Wisznia 213-215, 226,
277
Sianiu 278
Siedlce 193
Siekierki 165
Siemianowice 15
Siennica 254
Sierpc 244, 245
Skidel 316
Skierniewice 177, 180
Skłoby 379, 381, 382
Słupia 349
Soborów 140
Sochaczew 180, 251
Sokal 198
Sokołów 193, 194, 196, 197
Solsy 301, 302
Sołotwina 202
Sopoćkinie 317
Sopot 29, 44
Spała 337, 356, 360, 380
Stale 111-114
Stalowa Wola 101, 111
Stanisławów 202
Stara Bircza 302
Starachowice 165
Stara Sól 286
Starobielsk 252
Stary Sambor 284, 286-288
Stefanowo 360, 361
Strubowiska 304
Studzianna 357-359, 398, 404,
408, 413, 415
Stutthof 56, 58
Suchowola 260, 262, 263
Suchedniów 337, 386, 387
Sulejów 403
Syrokomla 149, 154
Szałasy 331, 340, 347, 387,
393, 394, 397, 399, 403, 417,
418
Szepietówka 299
Szklary 217, 219
Sniatyń 158
Świdnik 292
Tarnawatka 260, 263
Tarnowskie Góry 8, 106
Tarnów 15, 64
Tczew 50, 67
TelAwiw 308
Tomaszów 121, 124, 146, 260,
262, 265-267, 269, 367
Topoln;ca 289, 290, 295.
Toruń 14, 15
Trokieniki 329
Trzebinia 117

Tuczna Baba	125
Turka	290, 297
Turze	289
Tylża	58
Tyrawa Wołoska	302
Ułęż	184
Uniejów	178
Warszawa	16, 32, 51, 81, 119, 139, 149, 163-170, 177, 179, 180, 181, 186, 196, 243, 249-252, 255, 256, 263, 267, 303, 318, 320, 337, 344, 350, 354, 358, 364, 367, 372, 374, 375, 400, 405, 413, 417
Wawer	167, 251
Wągrowiec	396, 397
Westerplatte	6, 30-33, 36, 42, 49, 55, 62-69, 71, 73-86, 142
Wiazowna	250-252
Wiedeń	277
Wieluń	180
Wilkoń	403
Wilno	223, 316, 399, 405, 406
Winogóry	358
Włodawa	147, 148, 157
Włodzimierz Wołyński	146, 197, 331
Włoszczowa	395, 416
Wodzisław	29, 180
Worona	329
Woroniany	329
Woroniec	196
Wólka n. Pilica	409
Wrzeszcz	27
Wyszków	195
Wyszogród	245, 246, 249
Zaborów	168
Zabrzezie	330
Zakopane	325, 346
Zakroczym	250
Załuże	302
Zameczek	367, 373
Zamość	116, 121, 260, 269
Zawada	157
Ząbki	196, 197
Zbaraż	247
Zbaszyń	176 ,
Zgierz	178
Zielonka	165
Zelechów	149
Żywiec	89
SPIS RZECZY	
OD AUTORA	5
DYWERSJA NIEMIECKA W POLSCE	7
Okres "przyjaźni" polsko-niemieckiej	11
Tuż przed wojną	13

Wybuch wojny	18
PIERWSZE TRZY DNI WOJNY W GDAŃSKU	25
Zostają... ..	29
"Goście" przechodzą przez most	31
Immunitet	33
Zemsta	38
Tortury i morderstwa	47
WESTERPLATTE	61
TE PIERWSZE WALKI	\ 87
Pierwsze czołgi	90
Pierwsza gorycz	93
W opałach	95
Obrona mostu	101
DZIEJE KOMPANII SAPERSKIEJ	105
Jeszcze stawiam pod karabin	111
Masakra w lesie	113
Białe rękawiczki	115
Jak zające w kotle	119
Ponoć nasi biją w tarabany... ..	122
Odwet niemiecki	124
Cmentarzysko broni	128
429	
JĘDREK, WITEK I ICH TYSIĄCE... ..	133
Opowiadanie Witka	137
Walka pod Kamionką Strumiłowa	141
Hej! Gdzie to walczą jeszcze?	144
W armii generała Kleeberga	148
Ziemia zwraca broń... ..	151
Ucieczka z niewoli	154
Znowu pod bolszewikami	I 157
Dziecko!	160
WALKA O POLSKIE NIEBO	161
Ogólne dane	162
Brygada obrony Warszawy	165
Lotnictwo w armii generała Bortnowskiego	;... 171
Lotnictwo w armii generała Kutrzeby	174
Lotnictwo w armii generała Szylinga	183
Dzieje dywizjonu karasi	186
Przygotowania	186
Bombardujemy broń pancerną	187
Rozeznania	193
Walka bombowców z myśliwcami	197
Rzeź karasi	198
Z GENERAŁEM SOSNKOWSKIM	201
Dywizja jeź	203
Generał Sosnkowski obejmuje komendę	208
Z odsieczą dla Lwowa	211
Pogrom Niemców pod Jaworowem	217
Boje pod Janowem	222
Przebiecie się 11. Dywizji na Brzuchowice	225
Bój pod Brzuchowicami	229
Jak w 1863 roku... ..	234
Z GENERAŁEM ANDERSEM	239
Patrzac z Iraku wstecz... ..	240
Pierwsze dni wojny	242
W Płocku	246

430

Marsz pod Warszawę	249
Natarcie na Mińsk Mazowiecki	252
I znowu pięknie zorganizowana grupa	255
Przebiecie się na Suchowolę	260
Walka o przeprawę	265
Marsz między niemiecką i rosyjską armią	269
Rozgrom Niemców	272
Walki z nasuwającą się armią Tiuleniewa	276
Ostatnie chwile grupy generała Andersa	281
Resztki 26. Pułku Ułanów i 9. DAK-u	301
A co z resztą batalionu majora Peruckiego?	306
Losy generała Andersa po wrześniu	308
HUBALCZYCY	315
W nieznane	316
Pierwsza utarczka pod Maciejówkami	326
Dwie walki w Górach Świętokrzyskich	332
Będziemy pomostem między wrześniem i wiosną	338
Opaly w Cisowniku	345
Ułani werbują, strzelcy maszerują-zaciągnę się... ..	349
Wilii i po wilii	355
Szkolenie i... niesubordynacja	363
Wielki bój pod Huciskami	375
Okrażenie pod Szalasami	385
"Trędowaci"	397
Śmierć Hubala	408
Epilog	416
INDEKS NAZWISK	420
INDEKS NAZW MIEJSCOWOŚCI	426

Opracowanie techniczne

FELICJA ŁUBIŃSKA

MAREK KOWALSKI

Korekta

MARIA SZCZUREK

NOTA WYDAWCY

Seria "Dzieł Emigracyjnych Melchiora Wańkowicza" obejmuje 8 tytułów książek tego autora stworzonych i opublikowanych poza krajem w latach 1939-1955. Z dorobku tego czytelnik polski zna jedynie fragmenty dzieł bądź ich wersje okrojone {Monte Cassino). Kolejne tomy serii zostały przygotowane do druku na podstawie publikacji wydanych za granicą. Pewne drobne zmiany w tekście wynikają jedynie z uwspółcześnienia ortografii, sprostowania ewidentnych błędów druku bądź potknięć językowych oraz poprawek wprowadzonych ręką Autora w toku przygotowywania wznowień.

Wydano na podstawie: Melchior Wańkowicz, Wrzesień żagwiący, Wydawnictwo "Gryf", Londyn 1947; Officine Grafiche Italiane, Roma 1947

ISBN 83-7021-097-X

WYDAWNICTWO POLONIA 1990

Żarn. 2125.

Ark. wyd. 30, ark. druk. 27

Skład: Wydawnictwo Polonia Oddział w Lublinie

Druk: Tiskarna Ljudske pravice, Ljubijana, Jugoslavlja

Yugoslaviapublic, Belgrad

>w książek

'9-1955. Z

'rsje okro-

wna pod-

Wrzesień żagwiący - Melchior Wańkowicz.txt

' wynikają
ów druku
ra w toku
awmctwo